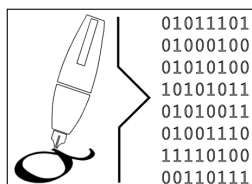


MERCEDES LACKEY

SŁUGA MAGII

Pierwszy tom z cyklu
„Trylogia Ostatniego Maga Heroldów”

Tłumaczyła: Magdalena Polaszewska-Nicke



Tytuł oryginału:

MAGIC'S SERVANT

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1989 r.

*Dedykowane
Melanie Mar — tak po prostu
oraz
Markowi, Carlowi i Dominikowi
za ich krytyczne wsparcie*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Twój dziadek — rzekł Radevel, krzepki piętnastoletni kuzyn Vanyela — był szaleńcem.

Coś w tym jest — pomyślał Vanyel, pocieszając się nadzieją, że przy odrobinie szczęścia może uda im się dobrnąć do końca schodów bez szwanku.

Ową uwagę Radevela sprowokowała zapewne klatka schodowa na tyłach zamku, na której teraz się znajdowali; ciągnęła się od izby czeladnej na trzecim piętrze aż do zaplecza pokoju na bieliznę na parterze. Stopnie były tak wąskie i śliskie, że nawet służba nie korzystała z tego przejścia.

Twierdza lorda Ashkevron w Forst Reach była konstrukcją osobliwą, skleconą z najróżniejszych elementów. W czasach prapradziadka Vanyela przypominała ona zwyczajną warownię, lecz do momentu kiedy ziemie te przejął dziadek Vanyela, granica posiadłości przesunęła się daleko za Forst Reach. Wtedy to stary grzesznik, dobijając pięćdziesiątki, postanowił, iż funkcja obronna powinna ustąpić pierwszeństwa wygodzie — jego wygodzie przede wszystkim.

Vanyel nie miał nic przeciwko temu — nie uważał decyzji dziadka za całkowicie niesłuszną. Sam chętnie poparłby pomysł zasypania fosy i wybudowania kominków we wszystkich pokojach. Rzecz w tym, że staruszek miał dość osobliwe fantazje na temat tego, co gdzie chciałby umieścić, a na dodatek często zdarzało mu się zmieniać decyzje już w trakcie przebudowy.

Przeróbki dziadka miały swoje dobre strony. Dzięki nim w całym zamku pojawiło się mnóstwo oszklonych i zaopatrzonych w okiennice okien, a małe okienka w dachu dawały teraz światło wszystkim pokojom na poddaszu oraz klatkom schodowym. Kominki znajdowały się prawie w każdej izbie, a ogrzewane wygodki zajmowały sporą część budynku łaźni. Każda wewnętrzna ściana, dla zabezpieczenia przed zimnem i wilgocią, została otynkowana i pokryta drewnem. Natomiast stajnie, służbówki, psiarnię oraz wybieg dla kur przeniesiono do nowych przybudówek.

Ale były też i mankamenty. Jeśli ktoś na przykład nie orientował się zbyt dokładnie w rozkładzie wszystkich zabudowań i pomieszczeń, z łatwością mógł się zgubić. Zamek krył teraz mnóstwo zakamarków, do których dostęp zdawali się mieć wyłącznie wtajemniczeni, i tylko ci, którzy dokładnie go znali, nie napoty-

kali na przeszkody poruszając się po nim. Co gorsza, do owych skrzętnie ukrytych zakamarków należały również miejsca pełniące bądź co bądź ważną rolę, jak łaźnia czy wygodki. Poza tym stary lubieżnik, dziadek Vanyela, nie uwzględnił w swych planach przebudowy przyjscia na świat następnych pokoleń. Pokoje dziecięce umieścił bowiem w obrębie mieszkań dla służby, co w praktyce oznaczało, że nim synowie lorda Withena przenieśli się do sali kawalerskiej, a córki do alkowy, wszystkie dzieci mieszkały razem, stłoczone po dwoje lub troje w bardzo malutkich pokoikach na poddaszu.

— On był też twoim dziadkiem. — Vanyel poczuł się zmuszony do zrobienia tej uwagi. Za każdym razem, gdy tylko poruszano temat dziadka Joserlina oraz jego rozbudowy zamku, kuzynowie Ashkevron zachowywali się w taki sposób, jak gdyby nie łączyli ich z Vanyelem i jego rodzeństwem żadni wspólni przodkowie.

— Ha. — Radevel zamyślił się na chwilę i wzruszył ramionami. — A jednak był szaleńcem. — Uniósł zbroję i ochraniacze, aby ułożyć je trochę wyżej na swym ramieniu.

Vanyel zachował spokój i zbiegł nawet z kilku ostatnich kamiennych stopni, aby przytrzymać dla kuzyna otwarte drzwi. Radevel wszakże oddawał mu przysługę. Vanyel wiedział jednak, iż kuzyn miał o nim równie złe zdanie, jak inni mieszkańcy zamku.

Spośród wszystkich kuzynów Radevel wyróżniał się najmiłszym usposobieniem i łatwo było przekabacić go na swoją stronę. Zaś łapówka w postaci nowej rękawicy do polowania z sokołem okazała się nazbyt cenną przynętą, aby chłopiec potrafił odrzucić propozycję Vanyela. Mimo to jednak nie byłoby dobrze złościć go teraz kłótnią. Mógłby dojść do wniosku, że ma ciekawsze rzeczy do roboty niż pomaganie Vanyelowi, a wtedy nawet rękawica straciłaby na atrakcyjności.

O bogowie, oby to się udało — myślał Vanyel, gdy wchodzili do ponurej tylnej sieni. Czy wystarczająco dużo ćwiczyłem z Lissą? Czy moja metoda ma jakiegokolwiek szansę przy standardowym ataku? A może nawet próbowanie jej jest szaleństwem?

W pogrążonej w mroku sieni panował taki sam chłód jak na klatce schodowej. Radevel szedł pierwszy i głośno stąpając po kamiennej posadzce pogwizdywał z zadowoleniem, aczkolwiek niezbyt melodyjnie. Vanyel starał się powstrzymać grymas, jaki wywoływało na jego twarzy tak okaleczone wykonanie jednej z jego ulubionych melodii, i oddawał się powoli swym ponurym rozmyśleniom:

Za trzy dni Lissa wyjedzie, a jeśli nie uda mi się sprawić, aby wysłano mnie razem z nią, zostanę zupełnie sam. Bez Lissy... Może jeśli zdołam udowodnić, że powinienem ćwiczyć tą samą metodą co ona, ojciec pozwoli mi jechać razem z nią.

Właśnie ta niezupełnie jeszcze sprecyzowana myśl skłoniła go do trenowania innego stylu walki niżli ten, którego powinien był się uczyć. Ćwiczył w tajemnicy wraz ze starszą siostrą, Lissą, a dzisiejszy eksperyment miał być właśnie tego

treningu ukoronowaniem.

Doprowadziła do niego także nagła potrzeba okazania lordowi Withenowi, że jego najstarszy syn nie jest tchórzem, za jakiego uważa go fechtmistrz, i że potrafi odnieść sukces w pojedynku stosując własne zasady.

Vanyel zastanawiał się, dlaczego jest jedynym chłopcem, który uzmysławia sobie fakt istnienia innych stylów walki, poza tymi, których uczył Jervis. Sam czytał o nich i wiedział, że są równie skuteczne. Gdyby było inaczej, dlaczego wysyłano by Lissę, aby wychowywała się i uczyła z Trevorem Coreyem i jego siedmioma adeptkami, które mają zostać zaprzysiężone mieczowi? Według oceny Vanyela, cudem byłoby kiedykolwiek odnieść zwycięstwo przy użyciu brutalnego stylu, jakim posługiwał się Jervis, a zmierzającym do posiekania przeciwnika na kawałki. Jednakże dopóty, dopóki Jervis będzie się cieszył posłuchem u lorda Withena, nie było mowy, aby ten uwierzył, że jakakolwiek inna metoda walki może zdać egzamin w polu.

Chyba że Vanyel sam zdoła mu to udowodnić. Wtedy ojciec będzie zmuszony dać wiarę temu, co zobaczy na własne oczy.

A jeśli nie potrafię tego dowieść...

... O bogowie. Nie zniosę tego dłużej.

Wraz z odjazdem Lissy do Zamku Brenden straci też jedynego sprzymierzeńca w tym domu, jedynego przyjaciela, jedyną osobę, której nie był obojętny.

Dzisiejszy popis miał być punktem kulminacyjnym spisku uknutego wraz z Lissą. Radevel spróbuje go pobić stosując się do nauk Jervisa. Vanyel zaś będzie usiłował walczyć po swojemu, ubrany tylko w watowany kaftan i hełm, osłaniając się najlżejszą tarczą i zdając się całkowicie na własną szybkość i zwinność.

Radevel kopnął nie zamknięte zasuwą drzwi prowadzące na pole treningowe i pozostawił Vanyelowi zamknięcie ich, zanim ktoś zacznie narzekać na przeciąg. Po mrokach sieni wczesnowiosenne słońce okazało się zbyt jaskrawe — Vanyel zmrużył oczy, przyspieszając, aby dogonić kuzyna.

— No dobrze, pięknie — powiedział życzliwie Radevel i rzuciwszy cały ekwipunek na skraju pola treningowego, podał Vanyelowi jego część zbroi. — Przygotuj się. Zobaczymy, czy ten twój nonsensowny pomysł jest coś wart.

Założenie „pancerza” zabrało Vanyelowi dużo mniej czasu niż jego kuzynowi. Ostrożnie zaproponował mu swą pomoc, lecz starszy chłopiec tylko parsknął.

— Miałbym założyć zbroję byle jak? Tak, jak ty to robisz? Nie, dziękuję — odparł i metodycznie kontynuował procedurę zapinania i dopasowywania swych ochraniaczy.

Vanyel zarumienił się. Stał niepewnie z boku zapadniętego pola treningowego, kontemplując gęstą, martwą trawę pod stopami.

Nigdy nic nie partacze, chyba że Jervis patrzy — pomyślał zasepiony, drżąc lekko pod wpływem zimnego podmuchu wiatru przenikającego kaftan. Wtedy nic mi nie wychodzi.

Zdawało mu się, że okna zamku znajdującego się za nim są oczami wpijającymi się swym wzrokiem w jego plecy. Zupełnie jak gdyby z utęsknieniem wypatrywały jego kolejnej porażki.

Czego mi właściwie brakuje? Dlaczego nigdy nie udaje mi się zadowolić ojca? Dlaczego wszystko, co robię, jest złe?

Westchnął, dotknął palcami trawy i przez głowę przebiegła mu myśl, że lepiej byłoby teraz jechać konno, zamiast szykować się do podjęcia z góry skazanej na porażkę próby dokonania rzeczy niemożliwej. Był najlepszym jeźdźcem w Forst Reach. On i Gwiazda nie mieli sobie równych podczas najbardziej nawet niebezpiecznych pogoni na polowaniach. Gdyby tylko zechciał, Vanyel potrafiłby ujeździć każdego konia ze stajni.

Tylko dlatego, że nie zawracam sobie głowy tymi brutalami nie umiejącymi zliczyć do trzech, ojciec nie pasuje mnie nawet na rycerza. . .

Bogowie, tym razem muszę wygrać.

— Zbudź się marzycielu — burknął Radevel przytłumionym przez hełm głosem. — Chciałeś walczyć, więc zabierajmy się do roboty.

Vanyel wyszedł na środek pola treningowego z nerwową rozważą, odkładając założenie hełmu do ostatniej chwili. Nienawidził go, nienawidził uczucia bycia zamkniętym w czymś, a najbardziej nie znosił tego, że wąska szparka w przyłbicy tak bardzo ogranicza pole widzenia. Czując już pot spływający pod pachami i po plecach, czekał, aż Radevel zbliży się do niego pierwszy.

Radevel odwrócił się, lecz Vanyel zamiast osłonić się tarczą, tak jak zrobiłby to Jervis, usunął się z drogi ciosu i mijając Radevela bokiem, sam go ugodził. Jervis nigdy nie przykładał wagi do precyzji walki, lecz Vanyel sam odkrył, że odpowiednie zaplanowanie zadawanych ciosów może naprawdę przynieść dobry efekt. Radevel wydał odgłos zaskoczenia i uniósł swą tarczę, ale zrobił to zbyt prędko i odstłonił się na uderzenie.

Widząc drugie już odstłonięcie się przeciwnika w tak krótkim czasie, Vanyel poczuł w sobie wzbierający zapał i zaryzykował jeszcze jeden atak. To pchnięcie dosięgnęło wprawdzie Radevela, ale okazało się zbyt słabe, aby nazwać je uderzeniem obezwładniającym.

— Słaby! — krzyknął Vanyel, uskoczywszy na bok, zanim kuzyn sam zdąży ocenić cios jako nieudany.

— Prawie dobry, piękniś — odparł Radevel z niechętnym podziwem w głosie. — Jeszcze jeden taki, a przy mojej wadze, powalisz mnie na ziemię. Spróbuj. . .

Rzucił się do ataku; jego miecz ćwiczebny zamajaczył przy tarczy.

Vanyel w ostatniej chwili usunął się na bok, a Radevel siłą rozpędu zatoczył się i zatrzymał dopiero w połowie odległości między Vanyelem a granicą pola.

Nowy styl rzeczywiście działał! Radevel nie mógł nawet zbliżyć się do Vanyela, który dźgał go przy każdej okazji. Jego pchnięcia nie miały mocy nawet

zblizonej do śmiertelnej, ale było to spowodowane przede wszystkim brakiem praktyki. Jeśli...

— Przerwijcie, do stu diabłów!

Chłopcy znieruchomieli. Na plac wkroczył fechtmistrz Forst Reach. Jego oczy nabiegłe krwią ciskały gromy.

Podczas gdy Jervis, najemnik o kamiennej twarzy i blond włosach, mierzył ich wzrokiem, Vanyel pocił się już nie tylko z wysiłku. Fecht mistrz zmarszczył brwi, a chłopiec poczuł, że ślina napływa mu do ust. Jervis wyglądał na rozwścieczonego, a kiedy Jervis był zły, wówczas na ogół Vanyel był tym, który cierpiał.

— No cóż — zaskrzeczał mężczyzna po chwili wystarczająco długiej, aby przerażenie Vanyela zdążyło sięgnąć zenitu. — Uczymy się nowej dyscypliny, tak? A który z was ją wymyślił?

— Ja, panie — wyszeptał Vanyel.

— Nietrudno zgadnąć, że zachodzenie przeciwnika od tyłu, przyczajanie się i uniki wydają ci się bardziej atrakcyjne niżli uczciwa walka — szydził fechtmistrz. — A więc, jak ci poszło, mój bystry młody lordzie?

— Spisał się, Jervisie. — Ku absolutnemu zdumieniu Vanyela Radevel odpowiedział za niego. — Nie udało mi się go trafić, a jeśli tylko włożyłby w swe pchnięcia całą siłę, położyłby mnie raz czy dwa.

— Jesteś zatem prawdziwym bohaterem w walce z niedorostkiem. Idę o zakład, że czujesz się jak Veth Krethen, prawda? — Jervis splunął. Vanyel starał się opanować złość, licząc do dziesięciu. Nie protestował nawet, że Radevel był prawie dwa razy większy od niego i z pewnością trudno byłoby go określić jako „nedorostka”. Tymczasem Jervis, w oczekiwaniu na ripostę, wbił w niego swe nienawistne spojrzenie. Nie usłyszał jednak ani słowa sprzeciwu. Rzecz dziwna, ale to właśnie wydawało się wprawiać go w jeszcze większą wściekłość.

— Dobrze, bohaterze — burknął, odbierając broń Radevelowi i wciskając sobie na głowę hełm chłopca. — Przekonajmy się, jak dobry jesteś naprawdę...

Błyskawicznie, bez ostrzeżenia, przypuścił atak. Vanyel padł na kolana, uchylając się przed wirującym ostrzem. Naraz uświadomił sobie, że Jervis naciera na niego pełną parą i nie zważa na fakt, że jego przeciwnik nie ma na sobie zbroi.

Wszak Vanyel jej nie włożył.

Gdy Jervis natarł ponownie, Vanyel, bliski rozpaczy, obrócił się wokół własnej osi, dał nura, wywinął się, zakreślił i wtedy ujrzał pewną szansę. Tym razem desperacja obudziła w nim siły, jakich nie użył w walce z Radevelem. Ugodził Jervisa w klatkę piersiową, ten zachwiał się na moment, a Vanyel wykończył swe natarcie solidnym ciosem w głowę.

Fecht mistrz zatoczył się dwa lub trzy kroki do tyłu. Vanyel z sercem w gardle wyczekiwał jego reakcji. Potrząsnął głową dla odzyskania jasności umysłu. Zapadła potworna cisza.

Jervis zdjął hełm; jego twarz ściągnęła wściekłość. — Radevelu, zabierz chłopców i przynieś broń i zbroję lordziątka Vanyela — powiedział śmiertelnie spokojnym głosem.

Radevel wycofał się z boiska, obrócił się na pięcie i popędził w stronę zamku. Wtedy Jervis podszedł z wolna do Vanyela i zatrzymał się w odległości około metra od niego, wprowadzając go w taki stan, że ten nieomal padł trupem na miejscu.

— A więc lubisz atakować od tyłu, co? — powiedział tym samym, śmiertelnie spokojnym tonem. — Chyba nie przyłożyłem się zbyt do nauczania cię, czym jest honor, mój młody lordzie. — Po jego twarzy przemknął nikły uśmiech. — Myślę jednak, że można temu wnet zaradzić.

Powłócząc nogami, zbliżał się już Radevel obładowany resztą ekwipunku Vanyela.

— Włóż zbroję — rozkazał Jervis. Vanyel nie śmiał się sprzeciwić.

Później, gdy wszystko się skończyło, Vanyel nie potrafił przypomnieć sobie dokładnych słów Jervisa. Pamiętał tylko, że ten zrugął go przy wszystkich, nazwał tchórzem i oszustem, mordercą, który nie potrafiłby spokojnie, z honorem, stawić czoła przeciwnikowi. Tylko mglista aura strachu i złości, otaczająca wspomnienia tamtego dnia, nadawała sens kołaczącym się w głowie słowom.

Ale wtedy Jervis dopiął swego. Pobił Vanyela swoją metodą, posługując się własnym stylem.

Był to pojedynek, który od samego początku nie rokował dobrze dla chłopca. Nawet gdyby Vanyel rzeczywiście wykazywał jakąś biegłość we władaniu bronią według zaleceń Jervisa, i tak nie miałby żadnych szans. Kilkakrotnie powalony na ziemię, słyszał w uszach dzwonienie wywołane ciosem, którego nie zdążył nawet zauważyć, i odganiał przed oczu wirujące gwiazdki.

— Wstań — mówił wtedy Jervis. . .

Po pierwszym upadku Vanyel podnosił się jeszcze pięć razy, coraz wolniej. Za każdym razem próbował się poddać. Do momentu, gdy padł po raz czwarty, zupełnie zatracił jasność umysłu i w ogólnym ośpieniu nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo się poniża. Jervis jednak nie przyjmował jego rezygnacji. Nawet wówczas gdy Vanyel z ledwością mógł wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, Jervis odmówił mu.

Nieprzyjemne było uczucie ogarniające Radevela na widok twarzy Jervisa ugodzonego przez jego kuzyna. Nigdy, odkąd mieszkał w tym zamku, nie widział starego drania ogarniętego takim szałem.

Spodziewał się wprawdzie, że Jervis zechce przetrzepać trochę skórę Vanyelowi, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, iż może stać się świadkiem dokonanej z premedytacją. . .

. . . masakry. Tylko tak mógł to nazwać. Vanyel nie był przeciwnikiem dla Jervisa, a Jervis nacierał na niego pełną parą, jak gdyby walczył z wyszkolonym

dorosłym wojownikiem. Nawet Radevel to zauważył.

Toteż odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że ugodzony po raz pierwszy chłopiec padł na plecy i łapiąc oddech, wymamrotał deklarację kapitulacji. Najgroźniejszym rezultatem walki mogło być wówczas kilka siniaków na ciele wyrostka.

Lecz kiedy Jervis odrzucił tę rezygnację, kiedy jął okładać Vanyela płaską częścią swego pałasza, by zmusić chłopca do podniesienia miecza i tarczy dla osłony własnego ciała przed ciosami, Radevela znów ogarnęło przerażenie.

Działo się coraz gorzej. Jeszcze pięć razy Jervis zwałął Vanyela z nóg, uderzając za każdym razem z większą nienawiścią.

Ale za szóstym razem Vanyel nie miał już sił, by się dźwignąć.

Cios Jervisa przełamał jego drewniano-miedzianą tarczę w samym środku. Gdy chłopiec padł, Radevel ku swemu przerażeniu ujrzał, że ręka, w której Vanyel trzymał tarczę, jest złamana. Przedramię było zgięte w pół.

Oznaczało to, że obydwie kości pękły i tylko cud sprawił, że nie przeszły przez mięśnie i nie przebiły skóry.

Radevel spostrzegł, że obłąkańczy wzrok Jervisa wciąż pała nienawiścią.

Błyskawicznie rozważył wszystkie okoliczności w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia z sytuacji i szybko doszedł do wniosku, że należy natychmiast sprowadzić Lissę. Miała ona status osoby dorosłej, była opiekunką Vanyela. Dlatego też, bez względu na to, jakie Jervis wynajdzie usprawiedliwienie pobicia chłopca, wiadomo było, że nie odważy się tknąć Lissy. Gdyby to zrobił, jego kariera w zamku zakończyłaby się; wyrzucono by go momentalnie, łamiąc mu obydwie ręce. Jeśli nawet nie zrobiłby tego sam Withen, znaleźliby się inni, którzy chętnie stanęliby w obronie Lissy.

Radevel wycofał się z placu i gdy tylko stwierdził, że zniknął z pola widzenia Jervisa, puścił się biegiem w stronę zaniku.

Vanyel znów leżał na łopatkach, nie mógł już złapać tchu. Znajdował się w stanie jakiegoś szoku, który prawie zupełnie odebrał mu zdolność odczuwania czegokolwiek, poza... poza tym, że dzieje się z nim coś dziwnego. Spróbował wstać, ale rwący ból w lewym ramieniu wydarł z niego przeraźliwy krzyk.

Gdy doszedł do siebie, pochylała się nad nim Lissa. Jej końską twarz ściągnęła trwoga. Była blada, a nozdrza jej wydatnego nosa Ashkevronów wydymały się jak u przestraszonej kobyły.

— Nie ruszaj się, Van. Obydwie kości przedramienia są złamane. — Klęczała obok niego, delikatnie, lecz zdecydowanie, przytrzymując jednym kolaniem jego lewe ramię tak, aby nie mógł nim poruszać.

— Pani, proszę się od niego odsunąć — głos Jervisa zdradzał już znudzenie i obrzydzenie. — W tej ręce tylko trzyma się tarczę. Przywiążemy ją do deski, natrzemy balsamem i chłopak będzie zdrów...

Lissa nie zmieniała pozycji, ale odwróciła głowę w stronę Jervisa z taką prędkością, że przepaska w jej włosach rozwiązała się i śmignęła jak bat koło nosa Vanyela.

— Jak na jeden dzień wyrządziłeś już dosyć krzywd, mistrzu Jervisie — warknęła, — Myślę, że się zapominasz.

Przez głowę Vanyela przemknęła myśl, że chciałby teraz zobaczyć twarz Jervisa. To dopiero musiał być widok.

Ale ból w ramieniu zaczął przybierać na sile i był to wystarczający powód, aby nie zaprzętać sobie głowy niczym innym.

Zwykle w Forst Reach nie zatrudniano na stałe Uzdrowiciela, lecz ciotka Vanyela, Serina, przebywała tutaj u swej siostry, opiekując się nią podczas ciąży. Ciężarna miała już za sobą trzy poronienia i nie chcąc ryzykować następnego, poddała się opiece swej osobistej uzdrowicielki. Teraz Lissa dopilnowała, aby właśnie uzdrowicielka, a nie Jervis, zajęła się ręką Vanyela.

— Och, Van. . . — Lissa przysiadła bezceremonialnie na brzegu łóżka Vanyela i westchnęła. — Jak to się stało, że wdałeś się w tę awanturę?

Wyraz niepokoju na jej twarzy, dziobaty nos Ashkevonów i wydatna broda, wskazująca na dużą determinację, sprawiały, że Lissa wyglądała teraz jak zawzięta, uparta kobyła. Jej wygląd odpychał większość ludzi, lecz Vanyel znał ją wystarczająco długo, aby rozpoznać w jej oczach wyraz rozpaczliwej udręki. Wszakże to właśnie ona opiekowała się nim przez całe dzieciństwo.

Vanyel nie miał pewności, czy jego odpowiedź zabrzmiała sensownie, lecz dołożył wszelkich starań, by wyjaśnić siostrze, co zaszło. Lissa podkuliła nogi i oparła brodę o kolana, przybierając niegodną damy pozycję, której widok rozdrażniłby zapewne lady Tressę nie na żarty.

— Myślę, że masz pecha. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Nie robisz nic złego, ale ciągle przytrafiają ci się różne rzeczy.

Vanyel zwilżył wargi i popatrzył na siostrę spod przymrużonych powiek.

— Liss. . . tym razem Jervis był naprawdę rozjuszony, a twoje słowa nie na wiele chyba się zdały. On pójdzie prosto do ojca, jeśli już tego nie zrobił.

Lissa potrząsnęła głową.

— Nie powinnam była tego powiedzieć, prawda? Van, chciałam tylko, żeby zostawił cię w spokoju.

— Ja. . . ja wiem Liss, nie winie cię za to, ale. . .

— Ale to ja rozwścieczyłam go na dobre. Zobaczę, może uda mi się dotrzeć do ojca przed Jervisem, ale nawet jeśli zdołam to zrobić, ojciec pewnie i tak nie będzie chciał mnie wysłuchać. Przecież jestem tylko kobietą.

— Wiem. — Pokój raptem zawirował i Vanyel zamknął oczy. — Tylko. . . spróbuj, Liss. . . proszę.

— Spróbuję. — Ześlizgnęła się z łóżka i pochyliwszy się, pocałowała go w czoło. — A teraz postaraj się zasnąć, jak zaleciła ci Uzdrowicielka, dobrze?

Vanyel skinął głową.

Odkąd umarła starsza pani Ashkevron, Lissa — nieustępliwa i niezależna jak babka, która ją wychowywała — została właściwie jedyną osobą w zamku zdolną sprzeciwić się woli lorda Withena. Biorąc pod uwagę charakter zmarłej babki, nie było to zbyt zaskakujące. Wydawało się bowiem, iż — ku ogólnemu zdumieniu męskich członków rodziny oraz co bardziej uległych dam — każde pokolenie rodu Ashkevronów wydawało na świat jedną kobietę obdarzoną silnym charakterem.

Lady Tressa, dama o dość nikłej sile przebiccia, oddawała się wprawdzie w pełni przeżyciom związanym ze stanem błogosławionym, folgowwała do woli swym kaprysom i chimerom, lecz niestety wszelkie fantazje okresu ciąży ustawały i odpływały w niepamięć, gdy tylko nowy potomek rodu przychodził na świat. Wówczas to niemowlę natychmiast przekazywano w ręce innych, którzy zajmowali się nim aż do czasu, kiedy dziecko dorastało na tyle, aby włączyć je z pożytkiem do swity matki. Gdy urodziła się Lissa, oddano ją babce.

Vanyel zaś przeszedł pod opiekę Liss. Już z chwilą, gdy Liss zabierała brata z pokoju dziecięcego, połączyła ich szczerą miłość. Dla niego stawiałaby czoło nawet rozwścieczonemu lwu.

Teraz wyruszyła na poszukiwanie ojca. Szybko przekonała się, iż nie zdoła go odnaleźć, ale mimo to nie powróciła zaraz do komnaty Vanyela. Niestety. Chłopiec stał się całkowicie bezbronny w obliczu ojca, który runął na niego niczym bóg miotający pioruny.

Withen wpadł do jego maleńkiego pokoiku o pobielonych ścianach, gdy Vanyel był już bardzo wyczerpany zawrotami głowy wywołanymi potwornym bólem oraz lekami podanymi przez uzdrowicielkę. Leżał na wznak na łóżku, starając się nie wykonywać żadnych ruchów, lecz wciąż zdawało mu się, że pokój nie przestaje wirować wokół niego. Ból przyprawiał go o mdłości; pragnął tylko jednego: aby zostawiono go w spokoju. Jego ojciec był ostatnią osobą, jaką chciał teraz oglądać.

Ale nim Vanyel zdążył się zorientować, że jego ojciec już stoi przed nim, Withen zaczął go besztuć:

— Cóż to za oszustwa? — ryknął.

Vanyel drgnął i przez moment zaświtała mu myśl, że bardzo chciałby mieć odwagę zasłonić uszy.

— Na bogów, ty szczeniaku, powinienem złamać ci jeszcze drugą rękę!

— Nie oszukiwałem! — zaprotestował Vanyel, unosząc się z postania, zbyt gwałtownie niestety. Głos załamał mu się w najmniej odpowiednim momencie. Starał się usiąść, ale skończyło się to kolejnym zawrotem głowy i pokój zawirował jeszcze szybciej. Wspierając się na zdrowym łokciu, osunął się z powrotem na pościel, próbując zwalczyć pulsujący ból w lewej ręce.

— Walczyłem. . . — wykrztusił resztką tchu. — Walczyłem tylko według rad Seldasena!

— A któż to jest ten Seldasen? — ryknął ojciec, marszcząc brwi. — Jakież to tchórzowskie zwyczaje nakazują biegać w kółko i zadawać przeciwnikowi ciosy w plecy, co?

O bogowie, co ja właściwie zrobiłem? Choć wciąż kręciło mu się w głowie, Vanyel próbował przypomnieć sobie, czy rozprawa herolda Seldasena na temat sztuki wojennej i taktyki była książką, którą „pożycza” sobie nie pytając o pozwolenie, czy też znajdowała się ona na liście lektur obowiązkowych.

— A więc? — Gdy lord Withen rzucał spod oka swe gniewne spojrzenie, jego ciemne włosy i broda nadawały mu wręcz demoniczny wygląd. Jednakże w oczach odurzonego lekami Vanyela, drapieżności nadawała mu jeszcze aureola jaskrawoczerwonego blasku.

— Ojczy, dlaczego nigdy nie chcesz wierzyć, że mogę mieć rację?

Vanyel przypomniał sobie z ulgą, że książka Seldasena znajduje się na „legalnej” liście lektur, a jego nauczyciel, Istal, polecił mu nauczyć się kilku jej rozdziałów na pamięć.

— To herold Seldasen, ojczy — podjął wyzywająco, czerpiąc ze swego buntu nowe siły. — To z książki o taktyce, którą Istal kazał mi przeczytać. — Słowa, które sobie przypomniał dodały mu odwagi i teraz wyrzucił je z siebie prosto w twarz ojcu. Zacytował:

„Niechaj każdy mąż stający na polu bitwy walczy podług swoich zdolności i niech nie będzie zmuszany do użycia żadnego ze stylów. Niech mąż zręczny wykorzysta swą zwinność, a jego uzbrojenie niech będzie lekkie. Niech bierze udział w potyczkach, ale nie przybliży się zbyt do wroga. Niechaj mąż o ciężkiej budowie stanie ze swymi towarzyszami ramię przy ramieniu, tworząc mur obronny, którego przeciwnik nie zdoła przełamać. Zaś mąż niskiego wzrostu, a o bystrym oku, niechaj uczyni dobry użytek ze swej głowy i zawsze nią uderza. Herold niechaj walczy swym umysłem — nie ciałem. Mag heroldów zaś winien wojować czarami — nie mieczem. I niechaj żaden mąż nie będzie nazwany tchórzem za odmowę zajęcia miejsca poniżej jego godności”.

— Wcale nie zadawałem ciosów od tyłu! Nawet jeśli Jervis mówi, że było inaczej. . . nie zrobiłem tego!

Lord Withen patrzył nieruchomo na swego najstarszego syna z ustami otwartymi ze zdziwienia. Przez moment Vanyelowi zdawało się, że zdołał dotrzeć do serca ojca, który przywykł raczej do tego, że syn cytował poezję aniżeli historię sztuki wojennej.

— Chcesz się teraz popisywać wywodami na temat jakiejś przeklętej książki? — warknął lord Withen, rozwiewając ostatnie nadzieje Vanyela. — A co jakiś tam plebejusz herold może wiedzieć o walce? Posłuchaj mnie, chłopcze. Jesteś moim spadkobiercą, moim pierworodnym, i jeśli chcesz zająć moje miejsce, gdy mnie już nie będzie, korzystaj lepiej z tego, czego Jervis może cię nauczyć! Jeżeli on mówi, że oszukiwałeś, to, do stu diabłów, oszukiwałeś!

— Ależ ja nie oszukiwałem i nie chcę zająć twojego miejsca... — zaprotestował Vanyel. Lekki odebrały mu zdolność panowania nad sobą i sprawiły, że wypowiadał myśli, które powinien był zatrzymać dla siebie.

Na te słowa lord Withen stanął jak wryty. Gapił się na Vanyela, jakby ten oszalał, jakby wyrosła mu druga głowa, jakby ni stąd, ni zowąd przemówił nagle w języku Karsytów.

— O wielcy bogowie, chłopcze... — wybełkotał po kilku zdających się wiecznością sekundach, podczas których Vanyel oczekiwał już tylko, kiedy na głowę zwali mu się cały dach. — Czego ty chcesz?

— Ja... — zaczął Vanyel i zaraz zamilkł. Gdyby powiedział lordowi Withenowi, że chciałby zostać bardem... .

— Ty niewdzięczny szczeniaku. Będziesz się uczył tego, co ja uznam za stosowne, i będziesz robił to, co ja ci rozkażę! Jesteś moim spadkobiercą i będziesz wypełniał swoje obowiązki wobec mnie i tej posiadłości, nawet jeśli miałbym widzieć cię półżywym!

Wypadł z pokoju, zostawiając syna osłabionego bólem, złością i kompletną rezygnacją. Vanyel zaciskał oczy pełne łez.

O bogowie, czego on ode mnie oczekuje? Dlaczego nigdy nie potrafię go zadowolić? Co mam zrobić, by przekonać go, że nie mogę być tym, kim on chciałby mnie uczynić? Mam umrzeć? A w dodatku... w dodatku ta ręka, o bogowie, jakież to potworny ból — czy jest bardzo uszkodzona? Czy kiedykolwiek jeszcze będę mógł sprawnie się nią posługiwać?

— Serwus, Van... .

Otworzył oczy, zaskoczony dźwiękiem ludzkiego głosu.

Drzwi jego pokoju uchylone były do połowy. Przez szparę zaglądał do środka Radevel, ale Vanyel usłyszał także dochodzące zza jego pleców szurania i szeptu.

— Wszystko w porządku?

— Nie — rzucił Vanyel podejrzliwie. Czego, u diabła, on chce?

Krzaczaste brwi Radevela podskoczyły jak para podnieconych gąsienic.

— Nie bujaj. Na pewno boli.

— Boli — uciął Vanyel czując, że wzbiera w nim ponura, szatańska złość.

Przyglądałeś się wszystkiemu — pomyślał — i nie zrobiłeś nic, aby go powstrzymać, kuzynie. Nie pofatygowałeś się nawet, aby obronić mnie przed ojcem. Nikt z was tego nie zrobił.

Radevel, zamiast odejść, przesunął się powoli w głąb pokoju.

— Hej — powiedział, rozjaśniając się — powinieneś był to widzieć! Wiesz... bach! i tarcza pęka w pół... i ty upadłeś... i to ramię...

— Idź do diabła! — warknął Vanyel. Był niemal gotów zabić kuzyna. — I możesz zabrać ze sobą te upiory skradające się za tobą!

Radevel aż podskoczył. Zrazu zdawał się wstrząśnięty, potem jakby obrażony.

Vanyel nie zwracał na to uwagi. Zależało mu tylko, aby kuzyn i cała reszta zbiegowiska jak najszybciej sobie poszli.

Wreszcie został sam. Od razu spłynął na niego nieprzyjemny, wypełniony jakimiś skrawkami koszmarów, sen. Kiedy znów się obudził, zobaczył matkę nadzorującą wynoszenie z pokoju rzeczy Mekeala.

To było coś nowego. Lady Tressa nie interesowała się zwykle żadnym ze swych dzieci, chyba że upatrywała w tym jakąś korzyść dla siebie. Zapewne i tym razem nie było inaczej. Odkąd pięć lat temu Vanyel po raz pierwszy wykazał się prawdziwym talentem muzycznym, stał się nieodłącznym członkiem jej małego orszaku. Bardzo sobie ceniła umiejętności swego osobistego minstrela, a oznaczyło to, że dopilnuje, by Vanyel powrócił do zdrowia.

— Tylko nie hałasuj. — Z nie ukrywaną złością szeptała do Mekeala. — Nie chcę, abyś mu przeszkadzał, kiedy powinien spać. I nie wchodź w paradę uzdrowicielce.

Trzynastoletni Mekeal, miniaturowa kopia swego ojca, wzruszył obojętnie ramionami.

— I tak już czas, abyśmy się przenieśli do sali kawalerskiej, pani matko — odparł, gdy lady Tressa zwróciła ku niemu oczy. — Nie mogę powiedzieć, że będę tęsknił za tą kocia muzyką i brzdąkaniem.

Choć Vanyel widział tylko plecy matki, dezaprobata w jej głosie nie umknęła jego uwadze.

— Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś przyswoił sobie trochę ogłady Vanyela — odpowiedziała lady Tressa.

Mekeal, dość rozbawiony, znów wzruszył ramionami.

— Z kiepskiej mąki nie będzie dobrego chleba.

Pomiędzy tańczącymi płomieniami świec próbował dojrzeć tę część pokoju, w której leżał Vanyel.

— Wygląda na to, że braciszek nie śpi. Cześć, pięknisiu. Przenoszą mnie na dół. Zdaje się, że zostaniesz tu sam.

— Wyjdź! — rozkazała Tressa i Mekeal, chichocząc bezlitośnie, wyniósł się z pokoju.

Następną miarękę świecy przyszło Vanyelowi spędzić w towarzystwie zapłakanej Tressy, odgrywającej nad jego łóżkiem teatralne sceny rozpacz i oddającej się atakom spazmów, za którymi zdawała się wprost przepadać. W pewnym sensie było to równie trudne do zniesienia jak wściekłość Withena. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się Vanyelowi być obiektem podobnych lamentów.

O bogowie — pomyślał zmieszany — sprawcie, aby odeszła. Dokądkolwiek, nieważne dokąd.

Musiał ją nieustannie zapewniać, że wyzdrowieje, choć sam wcale nie był tego pewny. Jej przeraźliwa histeria doprowadzała go do skrajy wytrzymałości, toteż z wielką ulgą powitał nadejście uzdrowicielki, która delikatnie wyprowadziła matkę, aby mógł trochę odpocząć.

Ból oraz odurzające leki sprawiły, że następne tygodnie zwały się w świadomości Vanyela w rozmytą mgłę, z której wyłaniały się tylko postacie dworek jego matki. Jedna z nich zawsze czuwała przy jego łóżku. Vanyel z trudem powstrzymywał krzyk, obserwując, jak tracą głowę i załamują ręce, ogarnięte szalonym podnieceniem. Nawet Melenna, służąca matki, która kiedyś zdawała się mieć nieco więcej oleju w głowie, nie zachowywała się inaczej. Vanyel czuł się, jak gdyby niańczyło go stado rozemocjonowanych gołębic, które w krótkich przerwach między atakami spazmów natychmiast zaczynały się do niego wdzięczyć. Szczególnie Melenna.

— Czy mam ci podać poduszkę? — gruchała.

— Nie — uciał Vanyel, licząc w myślach do dziesięciu. Dwa razy.

— Czy przynieść ci coś do picia? — Dziewczyna przysunęła się trochę bliżej i pochyliwszy się nad nim, zatrzepotała rzesami.

— Nie — odparł, zamykając oczy. — Dziękuję.

— Czy...

— Nie! — warknął niezupełnie zdecydowany, co w tym momencie dokuczało mu bardziej: łomot w jego głowie czy pytania Melenny. Pytania Melenny stałyby się mniej uciążliwe, gdyby przynajmniej nie towarzyszył im ból głowy.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

Vanyel uchylił jedną powiekę, aby móc ją widzieć. Ona znów pociągnęła nosem i ogromna łza spłynęła po jej policzku.

Była dosyć ładną, drobniutką dziewczyną, jedyną spośród dworek i służących jego matki, której udało się opanować pewną ceną umiejętność Tressy. Melenna umiała bowiem płakać, wystrzegając się czerwonych plam i opuchlizny na twarzy, które niestety były nieodłączną ceną, jaką każda dama musiała zapłacić za długotrwałe spazmy. Vanyel słyszał kiedyś o tym, że obydwa, Mekeal i Radevel, parę razy próbowali zakraść się do jej łóżka. Wiedział też, że Melenna podkochiwała się w nim, mimo to możliwość wykorzystania jej przychylności do zbliżenia intymnego nie robiła na nim wrażenia.

Dziewczyna jeszcze głośniejszym pociągnięciem nosem. Gdyby podobna sytuacja miała miejsce choćby tydzień wcześniej, Vanyel westchnąłby, przeprosił i pozwolił jej coś dla siebie uczynić. Zrobiłby cokolwiek, aby ją uszczęśliwić.

Tak byłoby tydzień wcześniej. Teraz... To dla niej tylko gra — pomyślał. Gra, której nauczyła się od matki. Męczy mnie już branie w niej udziału. Wszystkie te podchody wychodzą mi już bokiem.

Zignorował ją i zamknawszy oczy modlił się, aby lekarstwa zaczęły wreszcie działać. W końcu zadziałały i ostatecznie uwolniły go na moment od jej towarzystwa.

— Van?

Ten głos wyrwałby go nawet z najgłębszego snu, nie mówiąc już o tej niespokojnej drzemce, w którą zapadł przed chwilą. Z trudnością wyplątał się ze szponów koszmaru i otworzył oczy.

Na brzegu łóżka siedziała Lissa ubrana w skórzany strój do jazdy konnej.

— Liss...? — Zaczął, ale zaraz uzmysłowił sobie, że strój do jazdy konnej oznacza... o bogowie...

— Van, przykro mi. Nie chciałam cię opuszczać, ale ojciec powiedział, że mam jechać teraz albo nigdy. — Płakała, lecz nie tak ładnie jak lady Tressa; jej zaczerwienioną twarz pokrywały plamy. — Van, proszę, powiedz, że nie masz mi tego za złe!

— Nic... nic nie szkodzi, Liss — wykrztusił. Słowa uwięzły mu w gardle lodowatą bryłą, taką samą, jaką poczuł gdzieś we wnętrzościach. — Ja... ja wiem, że musisz jechać. O bogowie, Lisso, jedno z nas musi się stąd wydostać!

— Van... znajdę... znajdę jakiś sposób, aby ci pomóc. Przysięgam. Mam prawie osiemnaście lat, jestem prawie wolna. Ojciec wie, że Gwardia jest dla mnie najważniejszym miejscem. Od dwóch lat nikt nie starał się o moją rękę. Nie śmie rujnować mojej szansy na posadę, inaczej byłby skazany na moją obecność tutaj. Bogowie wiedzą, że nie grozi ci już żadne niebezpieczeństwo. Jeśli ktokolwiek odważy się nakazywać ci cokolwiek, zanim uzdrowicielka uzna, że jesteś już wystarczająco sprawny, przeciwstawi się niebiosom. Może do czasu, kiedy zdejmą ci szynę, uda mi się znaleźć sposób, abyś do mnie dołączył...

Brzmiała w tych słowach taka nadzieja, że Vanyel nie miał serca zaprzeczać.

— Spróbuj, Liss. Nic... nic mi nie będzie.

Odwrócił się do ściany i zapłakał. Lissa była dla niego jedynym wsparciem. Była jedyną osobą, która kochała go takim, jaki był. A teraz odeszła.

Po tym wydarzeniu przestał nawet udawać, że na czymkolwiek mu zależy. Wszak nikt się nie zatroszczył nawet o to, aby pozwolili Liss zostać do czasu, gdy wydobrzeje. Po co więc miałyby zawracać sobie głowę kimkolwiek czy czymkolwiek. Przestał nawet silić się na udawane grzeczności.

„Zbroja nie chroni — zbroja maskuje. Hełmy zasłaniają twarze,
a twój przeciwnik staje się tajemnicą, zagadką”.

Seldasen dobrze to ujął. Te słowa idealnie pasują do tamtych dwóch na dole.

Spojrzenia oczu w szparach przyłbic były okrutne i puste. Nie sposób było odczytać myśli w nich ukrytych. Przeciwnicy dobyli mieczy, wymienili identyczne pozdrowienia i wycofali się dwadzieścia kroków, do przeciwnych krańców pola. Słońce znajdowało się dokładnie nad ich głowami, a cienie tworzyły jedynie niewielkie plamy u ich stóp. Dwanaście niespokojnych, uzbrojonych postaci kręciło się nerwowo przy granicy kwadratowego placu. Ostre słońce spaliło krótką, martwą trawę na kolor jasnej słomy, a każdy szczegół sylwetek przeciwników oświetlało z bezlitosną dokładnością.

Kiedy się poruszają, przestają być tak tajemniczy — pomyślał.

Jeden z wojowników, postawny, pełen niebezpiecznego wdzięku, nosił wytarte ochraniacze i sfatygowaną zbroję, pod którymi z pewnością kryło się wspaniale umięśnione ciało. Każdy jego ruch zdradzał precyzję i profesjonalizm. Każdy gest zapowiadał zagrożenie dla przeciwnika.

Drugi, o głowę niższy, wyposażony był w nowiutkie, nieskazitelne uzbrojenie. Miał na sobie czyściutkie ochraniacze i wypolerowany z wielką starannością pancerz. W swych ruchach był jednak niezgrabny, niepewny, wręcz bojaźliwy.

Pomimo że wyraźnie był przełknięty, nie brakowało mu odwagi. Nie czekając, aż jego przeciwnik wykona pierwszy ruch, wydał z siebie wibrujący, wyzywający okrzyk i rzucił się przez spalony słońcem plac na potężnego wojownika. Biegając ciężko po twardej, suchej ziemi, ustawił miecz do zadania niskiego ciosu.

Ale atakowany nie próbował nawet usunąć się z jego drogi; po prostu wysunął w bok swą pokiereszowaną tarczę. Miecz nacierającego spadł prosto na nią i ześliźnął się po niej ze szczękiem. Rosły wojownik ponownie ustawił ją w pogotowiu i odpowiedział silnym ciosem. Jego miecz zadźwięczał o tarczę przeciwnika, odbił się i wtedy atakujący — wykorzystując siłę rozpędu swego oręża — ugodził niższego wojownika prosto w głowę.

Dźwięki walki odbijające się o białe mury zamku poniosły się echem. Wydawało się, że tylko szalencie pozostawiony sarni sarni potrafiłby wszcząć taki hałas. Niższy wojownik, odrzucany do tyłu z każdym ciosem, stopniowo ustępował pod naporem zacieklego ataku. W końcu stracił równowagę i padł na wznak. Miecz wypadł mu z ręki.

Jego głowa zadudniła głucho o kamienistą ziemię.

Przez chwilę leżał niemal bez ruchu, z ramionami wyrzuconymi w bok, jak gdyby chciał objąć nimi słońce. Zdawało się jednak, że jego oczy oglądają tylko gwiazdki. Potrząsnąwszy głową w oszołomieniu, spróbował się podnieść.

W tym samym momencie poczuł na gardle czubek miecza swego przeciwnika.

— Poddaj się chłopcze. — Ostry, dudniący głos wydobył się z ciemnej szczeliny hełmu. — Poddaj się, albo cię wykończę.

Pokonany zdjął hełm i okazało się, że był to kuzyn Vanyela, Radevel.

— Jeżeli mnie zabijesz, kto będzie czyścił twą kolczugę?

Czubek miecza nie drgnął.

— Och, dobrze już, poddaję się — powiedział chłopiec z ponurym grymasem.
— Poddaję się.

Miecz wytopiony z metalu do wyrobu garnków powędrował do prostej, skórzanej pochwy. Jervis zdjął swój sponiewierany hełm tą samą ręką, w której trzymał tarczę. Zrobił to z taką łatwością, jak gdyby drewno i brąz nic nie ważyły. Odrzucił do tyłu zlepione potem jasne włosy, podał chłopcu prawą rękę i — z tą samą, wystudowaną precyzją ruchów, jaką posługiwał się w walce — pomógł mu wstać.

— Następnym razem, chłopcze, poddaj się od razu — zagrzmiał fechtmistrz, marszcząc brwi. — Jeżeli twojemu przeciwnikowi będzie się spieszyło, weźmie żart za odmowę, a ty zamienisz się w zimnego trupa.

Jervis nie poczekał nawet, aby wysłuchać speszzonego „tak” Radevela.

— Ty tam, na końcu, Mekeal. — Skinął na brata Vanyela, stojącego na skraju placu treningowego. — Załóż hełm.

Vanyel parsknął kpiąco, widząc sposób, w jaki Jervis znów wciska na głowę henn i kroczy dumnie, aby zająć swą poprzednią pozycję w samym środku placu.

— Reszta maruderów — ryknął fechtmistrz — pokażcie, że żyjecie. Dobrać się w pary i rozpocząć solidny atak.

Jervis nie ma uczniów, to żywe cele — pomyślał Vanyel, przyglądając się wszystkiemu z okna. Wie, że tylko ojciec dałby mu radę, ale i tak w każdej przekłej walce skacze prosto do gardła. Z dnia na dzień staje się coraz bardziej paskudny. Jediną ulgą, jaką stosuje, jest to, że uderza tylko połową swej mocy, co i tak wystarcza, aby zwalić Radevela z nóg. Drań znęca się nad słabszymi.

Vanyel osunął się na zakurzone poduszki i przymusił swą bolącą rękę do ćwiczenia jeszcze jednej palcówki. Połowa strun lutni, zamiast wydać piękny donośny dźwięk, brzdęknęła głucho. Jego ręka straciła zarówno siłę, jak i zręczność.

Nigdy już nie uda mi się porządnie tego wykonać. Jak może mi się to udać, jeśli prawie nie mam czucia w tej ręce?

Przygryzł wargi i znów wyjrzał przez okno. Mrużąc oczy, patrzył na henn Mekeala na tle murawy cztery piętra niżej. Wieczorem każdy z nich będzie lamentował, okładając rany końskim mazidłem i przechwalając się, jak długo tym razem stawiał opór Jervisowi. Dziękuję, nie ja. Jedna złamana ręka mi wystarczy. Wolę dotrzeć do moich szesnastych urodzin z nietkniętą resztą kości.

Ten malutki pokoik w wieży, gdzie Vanyel krył się za każdym razem, kiedy wzywano go na ćwiczenia, był jeszcze jedną pozostałością po szaleństwach budowlanych dziadka Joserlina. Była to ulubiona i, jak dotąd, najbezpieczniejsza kryjówka Vanyela — mała rupieciarnia sąsiadująca z biblioteką. Jediną w miarę wygodną drogą do tego pomieszczenia wiodła przez niskie drzwi w głębi biblioteki, lecz pokoik miał też okno wychodzące na tę samą stronę budynku, co okno pokoju Vanyela na poddaszu. Kiedy tylko przyszła mu na to ochota — nawet podczas najgorszej pogody i w najczarniejszą noc — Vanyel mógł wyjść przez okno

swego pokoju, przesunąć się po pochyłym dachu i wślizgnąć do środka przez wąskie okno. Najtrudniejszą rzeczą w tym wszystkim było pozostanie nie zauważonym. Pokój ten, dziwaczny zakątek w kształcie klina, był wszystkim, co pozostało po ostatnim podeście klatki schodowej prowadzącej na ostatnie piętro. Stanowił ewidentny dowód zmiany zamierzeń w trakcie przebudowy, ponieważ reszta klatki schodowej przerobiona została na komin, a otwór, gdzie przedtem znajdowały się drzwi zapadowe, prowadził teraz do nadstawki kominowej. Oznaczało to, że choć w samej spiżarni nie było kominka, dzięki ścianie komina w pomieszczeniu tym panowało łagodne ciepło, nawet w czasie największej niepogody.

Od czasu kiedy Vanyel przychodził się tutaj ukrywać, ani razu nie pojawiło się w tym rozgardiaszu nic nowego, nikt też niczego tam nie szukał. Nie dostępność pokoju sprawiała, że podobnie jak wiele innych dziwactw dziadka, łatwo było go zignorować.

Jeśli idzie o Vanyela, taka sytuacja bardzo mu odpowiadała. Trzymał tam swoje instrumenty, nawet te dwa, harfę i cytrę, których posiadanie było mu zabronione. Poza tym, kiedy tylko miał ochotę, mógł się zakraść do biblioteki i wybrać sobie jakąś książkę. Miał tam w kącie pokoju fotel, w którym mógł się wygodnie wyciągnąć, a na półce z tyłu — kolekcję ogarków pozwalających czytać nawet w nocy. Instrumentom nie zagrażały tutaj niezgrabne ręce i figle jego braci, a on sam miał możliwość ćwiczenia w spokoju.

Ułożył przy oknie kilka starych poduszek, tak aby mógł obserwować, jak jego bracia i kuzynowie obrywają na ćwiczeniach, przeganiani po całym placu, podczas gdy on grał, albo raczej próbował grać. Czasami obserwacje te dostarczały mu nawet pewnej rozrywki. Bogowie wiedzieli, że tak naprawdę nie było mu do śmiechu.

Było to odosobnione miejsce, lecz odkąd Lissa odjechała, Vanyela nigdy nie opuszczało uczucie osamotnienia. Wprawdzie trudno było się tam dostać, ale w swoim pokoju nie mógł się ukryć.

Dopiero gdy wyzdrowiał, Vanyel dowiedział się, że podczas gdy on leczył swe złamane ramię, jego braci i kuzynów przeniesiono wraz z Mekealem do sali kawalerskiej. Vanyel zaś pozostał w swym pokoju, nawet gdy ręka się zrosła i uzdrowicielka zdjęła szynę. Jego bracia wyśmiali przed ojcem jego grę na lutni i powiedzieli Withenowi, że byłiby szczęśliwi, gdyby Vanyel nadal zajmował swą dawną izbę, oczywiście jeśli zechce. Withen, prawdopodobnie przypomniawszy sobie, jak blisko jego pokojów mieści się sala kawalerska, ochoczo przystał na tę propozycję. Vanyel nic sobie nie robił z owych knowań. Dla niego oznaczało to, że odtąd miał pokój wyłącznie dla siebie, w czym znajdował niejaką otuchę.

Inne miejsce ucieczki, mały pokój jego matki, nie było już tym schronieniem co dawniej. Zbyt łatwo można by go tam znaleźć, a ostatnio pojawiła się też inna niedogodność: damy i wychowanki jego matki zaczęły z nim flirtować. Do pewnego momentu sprawiało mu to nawet przyjemność, lecz one oczekiwały, aby

dworską grę przemienić w romantyczną miłość, na co on wciąż nie czuł się gotowy. W dodatku lady Tressa nieustannie je zachęcała do takiego zachowania.

Jervis popychał Mekeala do tyłu, krok po kroku. Głupcy — pomyślał Vanyel pogardliwie, zmuszając swe palce do ćwiczeń w rytm uderzeń Jervisa. Muszą być pomyleni, aby dzień po dniu pozwalać temu staremu, zgorzkniałemu człowiekowi robić z siebie idiotów, a może nawet dać sobie zmiażdżyć czaszki — tak samo jak moje ramię! Zaciął usta w złości, a wspomnienie błysku satysfakcji, który ujrzał w oczach Jervisa, spotkawszy go po raz pierwszy od czasu „wypadku”, ścisnęło mu żołądek. Niech diabli wezmą tego drania, umyślnie złamał mi rękę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Potrafi przecież dokładnie obliczyć siłę każdego zadawanego ciosu.

Vanyel miał przynajmniej bezpieczną kryjówkę. Bezpieczną, ponieważ dotarcie do niej wymagało nie lada odwagi. Ani Jervisowi, ani ojcu, ani nikomu innemu nie przyszłoby do głowy, że Vanyel mógłby się zdobyć na wspinaczkę po dachu. Nawet jeśli przypomnieliby sobie o istnieniu pokoiku.

Ta dziwna zbieranina na dole nie wyglądała na krewnych. Wszyscy kuzyrowie Ashkevron, osiągając wiek dojrzewania, nabierali muskularnej budowy, ich kości stawały się masywne, a mięśnie silne i twarde jak u koni pociągowych.

Synowie Withena, nabierając masy, rośli jednocześnie w górę.

Vanyel był jedynym, który wdał się w matkę.

Zdawało się, że Withen nie mógł tego przeboleć, a nawet obwiniał się za to.

Vanyel parsknął, widząc Mekeala zataczającego się do tyłu pod wpływem ciosu w hełm.

Pewnie aż mózg mu się wymieszał! Dobrze mu służy opowiadanie dokoła, jaki to z niego będzie wspaniały wojownik. Głupkowaty chudzielec. Potrafi tylko myśleć o siekaniu ludzi na kawałki w imię honoru. Wspaniała wojna, ha! Idiota nie widzi nic poza czubkiem własnego nosa. Mimo tej gadaniny, widząc prawdziwe pole bitwy, umarłby ze strachu.

Vanyel wprawdzie sam nie widział nigdy pola bitwy, posiadał jednak dużo bogatszą wyobraźnię niż którykolwiek członek jego rodziny. Nie miał trudności z wyobrażeniem sobie, co mogłyby uczynić te miecze, gdyby były prawdziwe. Od razu też stawał mu przed oczami obraz siebie samego okaleczonego śmiertelnymi ranami, tak często opiewanymi w balladach.

Lekcje władania orężem niewiele zajmowały Vanyela, przywiązywał on jednak wielką wagę do nauki. Znał wszystkie ballady historyczne i — w przeciwieństwie do swych rówieśników — potrafił cytować te ich fragmenty, które opowiadały o tym, co działo się po wielkich bitwach: o listach zabitych, umierających, okaleczonych. Nie uchodziło też jego uwagi, że po zsumowaniu liczby nazwisk z owych list, otrzymywało się zwykle wynik o wiele wyższy niż liczba bohaterów, którzy przeżyli.

Vanyel wiedział bardzo dobrze, na której liście znalazłby się, gdyby kiedy-

kolwiek przyszło mu wziąć udział w starciu zbrojnym. Wyciągnął już wnioski z naucki, jaką mu dał Jervis. Po co więc w ogóle miałby próbować zostać bohaterem?

Poza tym za każdym razem, gdy natknął się na lorda Withena, ten raczył go swymi wywodami na temat obowiązków najstarszego syna wobec posiadłości.

Bogowie. Jestem takim samym wołem pociągowym jak każdy inny osioł w posiadłości! Obowiązek. To wszystko, o czym słyszę — pomyślał, patrząc nieruchomo przez okno, nie dostrzegając w dole już nic poza trawą. Dlaczego ja? Mekeal byłby sto razy lepszym lordem posiadaczem niżli ja i świetnie by się czuł w takiej roli! Dlaczego nie pozwolono mi pojechać z Lissa?

Westchnął i odłożywszy na bok lutnię, sięgnął do kieszeni tuniki po skrawek pergaminu, który przyniósł mu giermek Trevora Coreya, doręczony wcześniej do rąk Tressy „oficjalne” listy od Lissy.

Złamał pieczęć i starannie wygładził kartkę. Lissa postąpiła bardzo sprytnie, rozdzierając ten zabazgrany i poplamiony skrawek, wiedząc, że nikt nie zauważy jego zniknięcia! Użyła dobrego, silnego atramentu i choć litery były troszkę zamazane, Vanyel nie miał trudności z odczytaniem listu.

textitNajdroższy Vanyelu!

Gdybyś tylko mógł być tutaj! Nie potrafisz wyrazić, jak bardzo za tobą tęsknię. Dziewczynki Coreyów są dość miłutkie, ale niezbyt bystre. Zupełnie jak nasi kuzynowie. Wiem, że powinnam była wcześniej do ciebie napisać, ale nie miałam ku temu okazji. Twoja ręka powinna już być zdrowa. Gdyby tylko ojciec nie był tak zaślepiiony! Uczą się dokładnie tego samego, co wspólnie ćwiczyliśmy.

Vanyel wziął głęboki oddech, czując w sobie narastającą falę gniewu przeciwko niemądrej postawie Withena.

Obydwoje wiemy, jaki on jest, więc nie kłóć się z nim, kochanie. Po prostu rób, co ci każe. To nie będzie trwało wiecznie, naprawdę, nie będzie. Tylko się trzymaj. Ja zaś uczynię wszystko, co tylko będę mogła. Lord Corey jest człowiekiem dużo mądrzejszym niż ojciec. Może uda mi się namówić go, aby Cię zaprosił. Może się uda. Bądź tylko naprawdę grzeczny, a może wtedy ojciec będzie z Ciebie dość zadowolony, by pozwolić Ci tu przyjechać. Uściski.

Liss

Vanyel zwinął list i odłożył go na bok. Och, Liss. Nie ma żadnej nadziei. Ojciec nigdy nie pozwoli mi tam jechać, nie po tym, jak ostatnio wykręcałem się od ćwiczeń. *To nie będzie trwało wiecznie.* Pewnie masz rację. Prawdopodobnie

następnym razem, kiedy Jervisowi uda się mnie dopaść, nie przeżyję. Bogowie, dlaczego nikt nigdy mnie nie pyta, czego pragnę, a kiedy pyta, dlaczego nie robi tego szczerze i wcale nie słucha mojej odpowiedzi?

Przymrużył oczy i znów spojrzał w dół na małe, okładające się figurki, przypominające paliki od namiotu, które z determinacją usiłują powbijać się nawzajem w ziemię.

Zaniepokojony, odwrócił się od okna, wstał i odłożył lutnię obok dwóch pozostałych instrumentów, na prowizoryczny stojak, który sam sklecił z desek.

Do kogo bym się zwrócił, dostaję tę samą odpowiedź — pomyślał. Lissa mówi: „Nie walcz, rób, co ci ojciec każe”; matka płacze, spazmuje i powtarza właściwie to samo co Lissa. A przecież nie jest kompletną idiotką. Jeśli zależałoby jej na mnie, poradziłaby sobie jakoś z ojcem. Ale oczywiście jej uczucia do mnie kończą się tam, gdzie zaczynają się koszty, jakie mogłaby ponieść za wstawienie się za mną. A kiedy próbowałem powiedzieć ojcu Lerenowi, jaki Jervis jest naprawdę. . .

Wzdrygnął się. Wykład o obowiązkach synowskich był wyjątkowo przygnębiający, ale ten o „właściwej, męskiej postawie”. . . Pomyślałby kto, że przyłapano mnie na cudzołóstwie z owcą! A wszystko przez to, że zaprotestowałem przeciwko gruchotaniu własnych kości. Czuję się, jakbym robił coś złego, ale nikt nie chce mi powiedzieć, co to jest i dlaczego jest złe! Myślałem, że może ojciec Leren zrozumie mnie, z racji tego, że jest księdzem, lecz bogowie, z tej strony nie nadejdzie żadna pomoc.

Przez moment poczuł się jak uwięziony; bezpieczne schronienie zamieniło się w więzienie. Nie miał odwagi ruszyć się ze swej kryjówki. Na pewno zaraz by go dopadli i wtłoczyli w znieawidzoną zbroję, a wtedy Jervis z mściwą satysfakcją mógłby mu nawymyślać i wziąć odwet za wszystkie ćwiczenia, których Vanyelowi udało się uniknąć. Tęsknym spojrzeniem sięgnął poza obręb placu treningowego, ku leśnej gęstwinie i łące rozpościerającej się za nią. Jakże piękny był to dzień. Właśnie zaczynało się lato, a lekki wietrzyk wpadający przez otwarte okno oszołomił go wonią siana i blaskiem słońca. Vanyel zapragnął nagle znaleźć się z dala od domu, spacerować lub jechać konno wśród drzew. Niestety jednak wciąż więziła go własna niemoc wobec pewnych spraw i świadomość, że mimo wszystko musi poddać się nakazom innych.

Jutro będę musiał towarzyszyć ojcu podczas jego objazdu — zasępił się. Najgorsze jest to, że nie ma sposobu, aby tego uniknąć. Ojciec chwyci mnie w swoje szpony, gdy tylko zejść na śniadanie.

Nowy obowiązek stał się nową torturą, która pojawiła się wraz z odzyskaniem sił, a była udreką nie lżejszą niżli ćwiczenia pod okiem Jervisa. Już sama myśl o wszystkich tych chłopach wytrzeszczających oczy, świdrujących go wzrokiem, jak gdyby chcieli przejrzeć na wskroś jego duszę, przejmowała go dreszczem. Choć uwielbiał jazdę konną, ta wycieczka nie zapowiadała się zbyt przyjemnie.

O nie... Spędzi cały dzień słuchając ojca prawiącego o obowiązkach lorda posiadacza wobec dzierżawców pracujących dla niego oraz chłopów trzymających ziemię pod jego protekcją i zarządem. To jednak nie był najgorszy aspekt tego ciężkiego doświadczenia.

Najgorsi byli sami ludzie, sposób, w jaki mierzyli go wzrokiem, ich tępe oczy pełne mrocznych myśli, których nie był w stanie odczytać. Oczy, które spodziewały się po nim wszystkiego, domagające się od niego rzeczy, których nie chciał im dać i których nie potrafiłby im dać, nawet gdyby zechciał to uczynić.

Nie chcę, by tak na mnie patrzyli! Nie chcę być odpowiedzialny za ich życie! Znów przeszły go ciarki. Nie wiedziałbym, co robić w razie suszy albo najazdu. Co więcej, nic mnie to nie obchodzi! Bogowie, na myśl o nich — tych ludziach pożerających mnie żywcem swymi oczami — skóra mi cierpnie...

Odrzucił się od okna, uklęknął przy swych instrumentach i wyciągnął rękę, dotykając gładkiego drewna i naprężonych strun. O bogowie, gdybym był kimś innym... gdybym tylko miał szansę zostać bardem...

Kiedyś, nim złamał rękę, często wyobrażał sobie siebie jako dworskiego barda. Nie w jakimś zakątku na uboczu, jak Forst Reach, lecz na jednym z wielkich dworów: Pograniczu Wirującego Sokoła czy Twierdzy Południowej. Może nawet na Wielkim Dworze Valdemaru w Przystani. Wyobrażał sobie siebie otoczonego kręgiem wielbicieli, rozmarzonych dam i obwieszonych klejnotami lordów oczarowanych każdym słowem jego pieśni. Marzenia te unosiły go ku innemu życiu — życiu ze snów. Mógł zobaczyć siebie w towarzystwie nie dziewcząt z kręgu Tressy, lecz całego Wielkiego Dworu Valdemaru, włącznie z królową Elspeth. Przypatrywał się temu tak długo, aż wyobrażenie stawało się bardziej prawdziwe niż rzeczywiste otoczenie. Widział, słyszał, czuł, z jaką niecierpliwością oczekują jego śpiewu. Widział jasne świece, czuł perfumy, słyszał głęboką ciszę...

Teraz nawet czar marzeń prysł. Teraz skazany był na ćwiczenie w samotności, gdyż nie było już Lissy, która chętnie słuchałaby nowych melodii. Lissa była wspaniałą słuchaczką — miała dobry słuch i znała się na muzyce wystarczająco dobrze, aby można było zaufać jej rzetelnej krytyce. Z wyjątkiem Tressy była jedyną osobą w zamku, która zdawała się nie uważać jego fascynacji muzyką za coś zgoła wstydliwego. Była też jedyną osobą, która wiedziała, że Vanyel ponad wszystko pragnie zostać bardem.

Vanyel nie występował już nawet przed damami matki, gdyż nie życzył sobie, aby słuchały jego niezdarne brzdąkania.

A wszystko przez kłamstwa tego zuchwałego drania, którego ojciec uczynił fechtmistrem...

— Withenie...

Vanyel zamarł. Zdyszany, lekko drżący głos jego matki dobiegający zza małych drzwi do biblioteki wytrącił go z zadumy. Uklęknął powoli, cicho, unikając najmniejszych odgłosów. Odkrycie jego bezpiecznej kryjówki było ostatnią

rzeczą, jakiej pragnął!

— Withenie, cóż takiego masz mi do powiedzenia, że nie mogliśmy rozmawiać o tym w moim pokoju? — zapytała. W ostrym tonie głosu matki wyraźnie pobrzmiwało wzburzenie i nie skrywana irytacja.

Vanyel wstrzymał oddech i usłyszał dźwięk zamykanych drzwi biblioteki, potem ciężkie kroki ojca przechodzącego przez pokój.

Znów zaległa grobowa cisza. Wtem. . .

— Odsyłam stąd Vanyela — oznajmił szorstko Withen.

— Co? — krzyknęła Tressa piskliwym głosem. — Ty. . . jak. . . dokąd. . . dlaczego? W imię bogów, Withenie, dlaczego?

Vanyel poczuł się, jak gdyby ktoś obrócił jego serce w kamień, a ciało w glinę.

— Nie potrafię nic z niego wykrzesać, ani ja, ani Jervis — warknął Withen. — Wysyłam go do kogoś, kto zrobi z niego mężczyznę.

— Nie potraficie z niego nic wykrzesać, bo obydwaj myślicie, że aby „zrobić z niego mężczyznę”, trzeba go zmusić, by stał się kimś, kim nigdy być nie może! — Głos Tressy, choć przytłumiony przez ścianę, niósł w sobie wyraźną nutę hysterii. — Wystawiasz go do walki z mężczyzną dwa razy od niego silniejszym i oczekujesz, że. . .

— Że zachowa się jak mężczyzna! To skamląca beksta, Tresso. Bardziej się boi szkód, jakie ponieść mogłaby jego piękna buzia i delikatne rączki, niż uszczerbku na honorze. A ty nie polepszasz sytuacji, czyniąc go ulubieńcem towarzystwa. Tresso, ten chłopak wyrósł na dumnego jak paw strojnisia, a co gorsza, na marne-go tchórza!

— Tchórza! Bogowie, Withenie, tylko ty mogłeś to powiedzieć! — Głos lady Tressy pałał pogardą. — Uważasz go za tchórza tylko dlatego, że jest zbyt mądry, aby pozwalać twemu wspaniałemu fechtmistrzowi okładać się do nieprzytomności raz na dzień!

— A co robi zamiast tego? Ucieka i ukrywa się, bo raz, tylko raz, złamał sobie swą delikatną rączkę! Dobrzy bogowie, do czasu kiedy osiągnąłem jego lata, każdą kość zdążyłem sobie złamać przynajmniej raz!

— Czy to ma być oznaką cnoty? — zakpiła Tressa. — Czy raczej głupoty?

Vanyel ze zdziwienia otworzył usta. Ona. . . bogowie! Ona mu się sprzeciwia! Nie mogę w to uwierzyć!

— Jest to oznaką zdolności znoszenia pewnych niedogodności w celu nauczenia się czegoś — odparł gniewnie Withen. — Dzięki tobie i twoim wychowankom, wszystko, czego Vanyel dotąd się nauczył, to jest umiejętność dobrania tuniki harmonizującej z kolorem oczu i piana pieśni miłosnych! Jest zbyt przystojny i to mu szkodzi, a ty go zepsułaś, Tresso. Pozwalałaś mu przekupywać cię tą śliczną buzią, a głupota i arogancja, na jaką nigdy nie pozwoliłabyś Mekealowi, uchodziły mu na sucho. Teraz on nie ma już za grosz poczucia odpowiedzialności, unika nawet cienia obowiązku.

— Przypuszczam, że wolałbyś, aby był taki jak Mekeal — rzekła z przekąsem Tressa. — Chciałbyś, aby zamieniał się w słuch, kiedy mówisz, i nigdy cię nie prowokował. . .

— Do wszystkich diabłów, tak! — wrzasnął Withen, wyprowadzony z równowagi. — Chłopak nie wie, gdzie jest jego miejsce! Nabija sobie głowę bzdurami wyczytanymi z książek. . .

— On nie wie, gdzie jest jego miejsce? Ponieważ potrafi samodzielnie myśleć? Dlatego, że — w przeciwieństwie do pewnych dorosłych osób, których nie wymienię — potrafi napisać więcej niż tylko swoje nazwisko? Bogowie, Withenie, to ten twój książeczek każe ci to wszystko mówić, prawda? A ty odsyłasz Vanyela, ponieważ nie odpowiada on jego kryteriom dobrego wychowania, czyż nie tak? Ponieważ Vanyel jest wystarczająco inteligentny, by poddawać ocenie to, co się do niego mówi, a Leren nie lubi pytań! — jej głos sięgnął niesłychanie wysokich tonów. — Ten ksiądz owinął sobie ciebie wokół palca tak ciasno, że nie śmiesz nawet oddychać, jeśli ci na to nie przyzwala!

Ach — pomyślał Vanyel. Podczas gdy jedna część jego umysłu wciąż pracowała, pozostała część w oszołomieniu pograżyła się w rozmyślaniach nad kwestią „bycia odesłanym”. Teraz poparcie matki miało swoje racjonalne uzasadnienie. Lady Tressa nie przepadała za ojcem Lerenem. Vanyel był tylko wygodną osobą, przy użyciu której Tressa próbuje wbić klin między Withena a jego przyjaciela.

Vanyel wiedział jednak, że była to absolutnie niewłaściwa droga do osiągnięcia tego celu.

— Spodziewałem się, że powiesz coś w tym rodzaju — zagrzmiał Withen. — Nie masz wyboru, Tresso. Chłopak pojedzie, czy ci się to podoba, czy nie. Wysyłam go do Savil do Wielkiego Dworu. Ona nie będzie tolerowała żadnych głupstw, a on sam, znalazłszy się w środowisku, gdzie nie będzie już jedynym pięknisiem, nauczy się może wreszcie czegoś poza szczebiotaniem ballad i przesiadywaniem przed lustrem.

— Do Savil? Tej starej więdźmy? — Głos Tressy stawał się coraz bardziej piskliwy, aż wreszcie matka zaczęła krzyczeć. Vanyel miał ochotę zrobić to samo.

Zbyt dobrze pamiętał swe pierwsze, i ostatnie, spotkanie z ciotką Savil.

Naśladowując — najlepiej jak tylko potrafił — maniery dworskie, Vanyel skłonił się nisko przed srebrnowłosą nieznaną kobietą odzianą w nieskazitelną biel heroldów. Herold Savil — która w wieku czternastu lat spakowała się i bez słowa wyruszyła do Przystani, gdzie, z chwilą przekroczenia tamtejszej bramy, została Wybrana — była wzorem dla Lissy. Lissa zamęczała babkę Ashkevron prośbami, aby ta opowiadała jej wszystkie historie o Savil, jakie sama kiedyś zasłyszała. Vanyel nie potrafił zrozumieć, co tak bardzo pociągało Lisę. Lecz jeśli ona jest tak pełna podziwu dla tej kobiety, to pod pozorami powierzchowności Savil musi

w istocie kryć się coś szczególnego.

Szkoda, że akurat wtedy, gdy Savil postanowiła odwiedzić rodzinną posiadłość, Lissa przebywała z wizytą u kuzynostwa.

Ale może Withen dokładnie to wówczas zaplanował.

— A więc to jest Vanyel — powiedziała szorstko kobieta. — Ładny chłopiec, Tresso. Ufam, że jest nie tylko elegancki.

Vanyel zeszywniał, słysząc te słowa. Potem wyprostował się i zmierzył ciotkę chłodnym i — jak miał nadzieję — taksującym spojrzeniem. Bogowie, przy odpowiednim oświetleniu wyglądała jak jego ojciec. Podobnie jak Lissa, miała ów straszny nos Ashkevronów — nos, który ona i Withen wysuwali do przodu jak miecz prujący powietrze.

— Och, nie rzucaj mi takich piorunujących spojrzeń. Zdarzali się mężczyźni lepsi od ciebie, którzy próbowali zmrozić mnie wzrokiem i im się to nie udało.

Vanyel zarumienił się. Ciotka zaś odwróciła się od niego, jak gdyby przestał istnieć, i skierowała się ku jego matce, która stała nieruchomo, nerwowo ściskając chusteczkę.

— A więc, Tresso, czy chłopiec zdradza jakieś oznaki daru czy talentu?

— Tak, bardzo wyraźne — odparła Tressa, bardzo podniecona. — Jest równie dobry jak minstrele, których dotąd gościliśmy.

Savil odwróciła się i przeniósłszy wzrok znów na Vanyela, przewierciła go spojrzeniem.

— Ma potencjał, ale jest za mało aktywny — rzekła powoli. — Szkoda. Miałam nadzieję, że przynajmniej jedno z waszych dzieci będzie posiadało mój dar. Oczywiście możesz sobie pozwolić na poświęcenie jednego z nich na służbę u Królowej. Dziewczeta jednak nie posiadają nawet potencjalnych darów, czterej pozostali z twoich chłopców są gorsi niż ten tutaj, a nawet on, ze względu na swój słaby potencjał, zdaje się być niczym więcej niżli wieszak na ubrania.

Dała mu ręką znak, że może już odejść. Vanyel spłonął.

— Zobaczyłam już, co chciałam tu zobaczyć, Tresso — powiedziała i wychodząc, ujęła matkę Vanyela pod rękę. — Nie będę już nadużywać waszej gościnności.

Z tego, co usłyszał Vanyel znać było, że Savil nie różni się zbytnio od swego brata — jest szorstka, zimna i bezlitosna, zajęta tylko tym, co poczytuje za swe obowiązki. Nigdy nie wyszła za mąż. Nie zdziwiło to Vanyela; nie mógł sobie wyobrazić, aby ktokolwiek zechciał kochać się z ową deprimującą arogancją Savil. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego serdeczna, kochająca Lissa chciała być taka jak ona.

Matka zaczęła histerycznie szlochać. Ojciec zaś nie czynił nic, aby ją uspokoić. Dla Vanyela było to oznaką, że nie ma już nadziei na odwrót od fatalnego

planu ojca. Chaotyczne spazmy matki znamionowały odwołanie się do najwyższej instancji. Jeśli one zawiodły, oznaczało to, że nie było już żadnego ratunku.

— Przestań, Tresso — rzekł spokojnym głosem Withen, wciąż niewzruszony.
— Chłopak odjeżdża. Jutro.

— Ty... bezduszny potworze... — Tylko tyle można było zrozumieć pośród szlochów Tressy. Potem rozległ się odgłos jej pantofelków stukających o podłogę, gdy pospiesznie wybiegała z pokoju, wreszcie wolniejszy, cięższy dźwięk butów ojca. A później Vanyel usłyszał już tylko dźwięk zamykanych drzwi, ciężki i nieodwołalny, niczym odgłos zatraskującej się na wieki płyty grobowca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Vanyel osunął się na swój stary fotel i zapadł w jego przyjaznych objęciach.

Nie był zdolny do myślenia. Wszystko zamarło w odrętwieniu. Patrzył nie widzącymi oczami na prostokątny skrawek nieba obramowany oknem. Po prostu siedział i patrzył. Nie miał nawet świadomości mijającego czasu, aż do momentu, gdy słońce przywędrowało do jego okna i zaświeciło mu prosto w oczy.

Odwrócił się od rażącego blasku i dopiero to wyrwało go z oszłamiającego transu, w jakim trwał od dawna. Wówczas zorientował się, że popołudnie dawno przeminęło i że będzie lepiej, jeśli wróci do swego pokoju. Ktoś wkrótce przyjdzie zawiadomić go o kolacji.

Mocno zniechęcony podszedł ociężałe do okna i wyjrzał przez nie, rozglądając się automatycznie, czy nie ma w dole nikogo, kto mógłby go zauważyć. Ledwie to zrobił, uświadomił sobie naraz, że — biorąc pod uwagę zasłyszana rozmowę rodziców — zagrożenie wykrycia tajemnego pokoiku na poddaszu przestawało odgrywać jakąkolwiek rolę. Kryjówka nie będzie mu już potrzebna.

Na placu treningowym nie było nikogo, został tylko pusty kwadrat darni i kura wydziobująca coś z trawy. Patrząc z góry, można było odnieść wrażenie, że cały zamek nagle się wyludnił.

Vanyel odwrócił się i sięgnąwszy ręką ponad głowę, uchwycił kamienne zewnętrzne obramowanie okna i wskoczył na parapet. Odzyskawszy równowagę, w pół-rozkroku postawił stopę na gzymsie biegnącym wokół dachu, obszedł szczyt i przytrzymując się dachówek, zaczął przesuwać się w kierunku okna swego pokoju.

W połowie drogi między obydwojma oknami zatrzymał się na moment, aby popatrzeć w dół.

To wcale nie jest tak daleko od ziemi. Gdybym był w pełni sił, to najgorszą rzeczą, jaka by mi groziła, byłoby złamanie nogi. Ale wtedy nie mogliby mnie odesłać, czyż nie tak? Może więc warto spróbować. Może właśnie warto to zrobić.

Zastanowił się przez chwilę, ale przypomniał sobie, jak bardzo bolało go złamane ramię.

To nie jest dobry pomysł. Przy moim szczęściu ojciec odesłałby mnie, jak tylko by mnie poskładali. Po prostu władowałby mnie na wóz jak worek ziar-

na. „Doręczyć do herold Savil bez żadnych szczególnych względów”. Co gorsza, mógłbym złamać znów to samo ramię, albo oba. Może mam szansę doprowadzić tę rękę do sprawności, ale jeśli teraz ją złamię, to nie będzie w pobliżu uzdrowiciela, który upewniłby się, że jest dobrze złożona.

Vanyel wsunął nogi do pokoju, balansował przez chwilę na parapecie i opadł na łóżko. Ledwie się tam znalazł, odeszła mu ochota na wykonanie nawet najmniejszego gestu. Zwrócił się gwałtownie w stronę ściany i wbił wzrok w bielony, pochyły sufit.

Zastanawiał się, czy jest w stanie uczynić cokolwiek, aby wyplątać się z tego bałaganu. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł możliwy do wprowadzenia w życie. Było już za późno, aby „poprawić swe zachowanie” — nawet jeśli chciałby to zrobić.

Nie... nie. Nie mogę, absolutnie nie mogę się spotkać z tym sadystycznym draniem, Jervisem. Chociaż nie jestem pewien, które zagrożenie jest w tej sytuacji gorsze — ciocia „Żelazny Lód” czy Jervis. Wiem dobrze, jak on by się zachował. Co do niej — nie mam pojęcia.

Skrzywił się i przygryzł wargę, próbując zapanować nad emocjami i rozmawiać logicznie. Wiedział tylko, że Savil otrzyma jak najgorsze sprawozdanie na temat jego zachowania i że w Przystani — o ironio! — nie będzie miał ani sprzymierzeńców, ani kryjówki. To było najgorsze — przeniesienie się w zupełnie nieznanie miejsce ze świadomością, że wszyscy tam zostali poinformowani, jaki to okropny z niego chłopak, że wszyscy bez przerwy będą czyhać na jego potknięcia. Niestety, od decyzji ojca nie było już ucieczki. Niezależnie od tego, jak bardzo matka go sobie upodobała i jak bardzo go rozpieszczała, Vanyel nie był aż tak naiwny, aby zaufać Tressie w jakiegokolwiek sprawie czy też oczekiwać, że matka kiedykolwiek sprzeciwi się Withenowi. Ten drobny chwyt podczas kłótni stanowił wyjątek. Właściwe zabiegi Tressy zawsze zmierzają do tego, aby prowadzić życie wygodne i pełne rozrywek. Płakała z powodu Vanyela, ale wcale go nie broniła. Nie tak jak Lissa. . .

Gdyby tylko Lissa była tutaj.

Gdy zjawił się giermek, aby wezwać wszystkich na kolację, udało się Vanyelowi zebrać wystarczającą ilość energii, aby rozchmurzyć się i odpowiedzieć na wezwanie, choć wcale nie był głodny.

Z racji tego że Wielki Refektarz nie był dość wielki, aby pomieścić wszystkich naraz, dobrze urodzeni z Forst Reach jedli późno — jedną miarkę świecy po odejściu od stołów służby, najmitów i wojów. Wzdłuż schodów i korytarzy o wytartych kamiennych posadzkach zapalono już kaganki i latarnie. Nie zdołały one jednak rozświetlić ciemności panującej w sercu Vanyela. Chłopiec włókł się ciemnymi korytarzami i schodził po kamiennych schodach, ignorując przemykających obok niego służących załatwiających swe sprawy. Ponieważ jego pokój znajdował się w tej samej części zamku co kwatery służby, zanim dotarł do Wielkiego

Refektarza, musiał pokonać długą drogę.

Gdy tylko się tam znalazł, zatrzymał się pod osłoną ciemności panującej w przejściu, aby ocenić sytuację wewnątrz.

Jak zwykle, był niemal ostatnią osobą zasiadającą do stołu i — o ile dobrze zauważył — brakowało tylko ciotki Seriny. Ona jednak mogła jeść już wcześniej, z dziećmi. Bacząc, by pozostać nie zauważony, wykorzystał moment, gdy lord Withen zaśmiał się głośno, rozbawiony jakimś dowcipem ojca Larena, i wślizgnął się na swe miejsce przy niskim stole obok brata, Mekeala. Ojciec Leren, zazwyczaj surowy duchowny, zdawał się być dziś w niesłychanie dobrym nastroju. Widząc to, Vanyel sposepniał. Jeśli Leren był zadowolony, dla Vanyela nie wróżyło to nic dobrego.

— Gdzie się podziewałeś całe popołudnie? — zapytał Mekeal, przerywając siorbanie zupy, aby przesunąć się na ławce i zrobić miejsce bratu.

Vanyel wzruszył ramionami

— Czy to ma znaczenie? — zapytał, siląc się na obojętność. — Nie jest tajemnicą, co myślę o tych absurdalnych ćwiczeniach, i nie jest tajemnicą, co Jervis myśli o mnie. A więc, czy ma jakieś znaczenie to, gdzie byłem?

Mekeal zachichotał.

— Może i nie ma. Ale wiesz chyba, że Jervis porachuje ci kości, jak tylko dostanie cię w swoje ręce. A pewnego dnia na pewno cię dopadnie. Dopraszasz się o jeszcze jedno złamane ramię. Jedno, bo przy odrobinie szczęścia może nie złamie ci obu. Jeśli tego właśnie chcesz, niech będzie i tak.

A więc ojciec nic mu jeszcze nie mówił — pomyślał Vanyel zaskoczony. Jego łyżka zastygła nad zupą. Zerknął w stronę głównego stołu. Lady Tressa siedziała na należnym jej miejscu, u boku lorda. Nie wyglądała na bardziej zmartwioną niż zwykle. Z pewnością zniknęły już wszelkie ślady irytacji, których przypadkowym świadkiem stał się jej syn dzisiejszego popołudnia.

Czy ona rzeczywiście się za mną ujęła, ten jedyny raz? Czy zdołała nakłonić go do ustąpienia? Och bogowie, oby tylko tak było!

Odzyskanie nadziei nie przywróciło mu jednak apetytu. Napięcie zaciskało się kłamrą na żołądku Vanyela. Zdawało mu się, że w sali panuje straszny zaduch. Połuźnił sznurówki tuniki, ale i to nie przyniosło ulgi. Płomienie latarni wiszących na ścianach sprawiały, że cienie ludzi tańczyły na stołach. Vanyel zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów dla odzyskania równowagi. Poczł, że trawi go gorączka, a twarz mu oblał rumieniec. Po zjedzeniu zaledwie kilku łyżek gęstej, szybko stygnącej zupy, zdającej się nie mieć wcale smaku, skinął na służącego, aby ten zabrał miskę.

Kręcił się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca na drewnianej ławce, i nie spuszczać oka z wysokiego stołu i swego ojca, przesuwał widelcem kawałki jedzenia z jednego końca talerza na drugi. Wysoki stół był naprawdę wysoki — wzniesiony na podium dobre dziesięć centymetrów ponad poziomem podłogi i ustawiony

w poprzek niższego stołu, u jego szczytu, jak daszek litery T, górował nad stołem niższym, rzucając na niego cień. Nawet nie patrząc w jego kierunku, Vanyel czuł obecność siedzących tam ludzi, unoszących się nad nim niczym złowieszcze widma. Z każdym kolejnym daniem jego żołądek napełniał jakby nowy kamień, coraz to zimniejszy i twardszy, aż wreszcie chłopiec zupełnie stracił chęć do jedzenia.

Wtem, dokładnie podczas deseru, gdy zdawało mu się, że może jest już uratowany, jego ojciec wstał.

Lord Withen górował nad stołem, tak jak górował nad wszystkim w Forst Reach. Był dumny z tego, że jest „prostym człowiekiem”, niewiele różniącym się wyglądem od otaczających go mężczyzn, co pozwalało im czuć się swobodnie w jego towarzystwie. Jego mocną, brązową, skórzaną tunikę i lnianą koszulę trudno było odróżnić od odzienia któregokolwiek z najemnych wojów. Jediną oznaką uprzywilejowanej pozycji były srebrne — nie miedziane, jak u innych — wypolerowane ćwieki zdobiące jego tunikę, rozciągniętą wokół szyi i na wydatnym brzuchu. Jego długie, ciemne włosy spinała na karku srebrna klamra, a zarost na kanciastej brodzie przycięty był krótko.

Wygląd Vanyela zawsze wyraźnie irytował Withena, szczególnie wtedy, gdy porównywał fizjonomię swego najstarszego syna z wyglądem Mekeala. Vanyel różnił się bardzo od reszty członków swej rodziny, wyglądał jak dziecko podrzucone przez wróżkę. Był szczupły, ale niezbyt wysoki. Mekeal zaś, choć dwa lata młodszy, przewyższał wzrostem swego brata, był postawny i muskularny. Vanyel miał czarne, połyskujące granatowo włosy i uderzające, srebrnopopielate oczy, dokładnie takie same jak jego matki. Jego twarz wciąż jeszcze była gładka, bez zarostu. Mekeal zaś miał oczy orzechowobrązowe, już musiał się golić, a jego włosy chyba nie sposób byłoby odróżnić od włosów Withena. Mekeal zdobywał przyjaciół z równą łatwością, jak oddychał.

Ja nie miałem nikogo poza Lissa — pomyślał Vanyel.

Mekeal nie miał słuchu, Vanyel zaś żył muzyką. Mekeal cierpiał z powodu lekcji scholastyki, na których Vanyel tak bardzo przewyższał brata, że nie było między nimi porównania.

Słowem — Mekeal był w każdym calu synem swojego ojca, Vanyel zaś pełnym jego przeciwieństwem.

Być może właśnie o tym myślał Withen, ogarniając spojrzeniem swych dwóch synów. Płomienie latarni tańczyły za plecami Withena, sprawiając, że jego cień sięgał połowy długości niższego stołu. Jego potężna sylweta zdławiła ledwie kielkującą nadzieję Vanyela.

— Po stosownym namyśle — zagrział niespodziewanie Withen — zdecydowałem, że nadszedł już czas, aby Vanyel zdobył wykształcenie, jakiego tutaj nie możemy mu zapewnić. A więc dzisiejsza noc jest ostatnią, którą z nami spędza. Jutro wyruszy w podróż do mojej siostry, Savil, maga heroldów na Wielkim Dworze Valdemaru. Obejmie ona oficjalną opiekę nad Vanyelem do czasu osiągnięcia

przez niego pełnoletności.

Withen usiadł ciężko.

Nagle Tressa załkała głośno i odsunęła się od stołu. Jej krzesło przewróciło się z takim łaskotem, że pośród grobowej ciszy, jaka zaległa w Wielkim Refektarzu po słowach Withena, odgłos ten zabrzmiał, jak gdyby cały stół zwałił się na ziemię. Podczas gdy Withen zachowywał kamienny spokój, ona wybiegła z sali, szlochając w rękaw. Jej wychowankowie i damy podążyli w ślad za nią i tylko Melenna, ociągając się z odejściem, rzuciła przez ramię nieprzeniknione spojrzenie w stronę Vanyela.

Wszyscy obecni zastygli w bezruchu, niby zaczarowani jakimś złym zaklęciem.

Wreszcie Withen sięgnął po orzecha z miski stojącej przed nim, położył go na dłoni i skruszył. Vanyel — i nie tylko on — aż podskoczył na ten dźwięk.

— Bardzo ładne orzechy były w zeszłym roku, prawda? — rzekł Withen do ojca Lerena.

Zdawało się, że był to sygnał dla wszystkich obecnych do wszczęcia oszalałej paplaniny. Po prawej ręce Vanyela trzej kuzynowie zaczęli robić zakłady o wynik wyścigu Kerla i Radevela, który miał się odbyć nazajutrz. Po lewej stronie Radevel szeptał coś do Mekeala, a w tym samym czasie siedzący naprzeciwko jego najmłodszy brat, Heforth, poszturchiwał się z kuzynem Larenssem.

Vanyela wyraźnie ignorowano. Gdyby nie szelmowskie spojrzenia rzucone nań z ukosa ze wszystkich kątów sali nie tylko przez młodzież, mogłoby się здаwać, że rozplynął się w powietrzu. Podniósłszy wzrok na wysoki stół, napotkał spojrzenie ojca Lerena, patrzącego na niego z chytrym uśmieszkiem. Gdy ich oczy spotkały się, ksiądz skinął lekko głową, posłał Vanyelowi kipiące satysfakcją spojrzenie i dopiero wówczas zwrócił twarz ku Withenowi. Podczas owej cichej wymiany, której nikt inny zdawał się nie widzieć, Vanyel poczuł nagle, że bladeść powleka mu twarz, a ciało przeszywa nieprzyjemny dreszcz.

Jako że posprzątano już po deserze, starsi opuścili salę i oddalili się do swoich zajęć. Kilka dziewcząt jednak — w większości kuzynek Vanyela — pojawiło się z powrotem, co oznaczało, że lady Tressa udała się już na spoczynek.

Pozostali chłopcy i młodzi mężczyźni powstali ze swych miejsc. Po kolacji młodzież zwykle przejmowała panowanie nad refektarzem. Wspólnie z dziewczętami, które właśnie przyszły, utworzyli teraz trzy szemrzące grupki, dwie po cztery osoby i jedną składającą się z jedenastu osób. Każda z nich wyraźnie wyłączała Vanyela ze swego kręgu. Nawet dziewczęta zdawały się przystać do tego spisku, mającego na celu pozostawienie Vanyela w całkowitym osamotnieniu.

Vanyel udawał, że nie zauważa szeptów i zazdrosnych spojrzeń. Podniósł się z ławki zaraz po tym, jak inni go opuścili, stawiając sobie za punkt honoru spokojne przejście w stronę wielkiego kominka, by zatrzymać się tam nieruchomo z wzrokiem utkwionym w płomień. Szedł z wysoko uniesioną głową, z wystudio-

waną maską znużonej obojętności na twarzy.

Czuł na karku spojrzenia, lecz nie chciał się odwrócić, nie chciał zdradzać swych uczuć, przede wszystkim zażenowania, o jakie przyprawiło go ich zachowanie.

W końcu, dochodząc do wniosku, że dostatecznie już zaznaczył swą postawę, przeciągnął się, ziewnął i zawrócił. Spod na wpół przymkniętych powiek potoczył spojrzeniem po całej izbie, ledwie omiatając wzrokiem obecnych. Potem leniwym krokiem przemierzył zdający się ciągnąć w nieskończoność Wielki Refektarz, przystając tylko na moment, by chłodnym skinieniem głowy pożegnać grupkę stojącą w pobliżu drzwi, i wreszcie dobrnął do spokojnej przystani mrocznego korytarza.

— Och, bogowie, pomyślałby kto, że to następca tronu! — zawołał Sandar, wywracając oczy i wznosząc w górę ramiona. — Królowa Elspeth nie powazyłaby się na taką hardość!

Osiemnastoletni Joserlin Corveau, zbierając myśli, przez moment odprowadzał chłopca wzrokiem. Był najstarszym z wychowanków i tym, który przybył tu ostami. Tak naprawdę, nie był właściwie wychowankiem ani też bliskim kuzynem. Prawdziwy kuzyn, po wielu latach bezdzietności, wybrał Joserlina na swego spadkobiercę i ponieważ sam nie cieszył się dobrym zdrowiem, wyraził życzenie, aby chłopiec wychowywał się pod opieką lorda Withena i w ten sposób poznawał zasady zarządzania w innej posiadłości. Joserlin był szeroki w ramionach i wysoki jak wszystkie drzwi w zamku, i nawet Jervis respektował siłę jego młodych mięśni. Już po krótkiej sesji treningowej z młodym Josem, Jervis oświadczył, że chłopiec osiągnął odpowiedni wiek, aby ćwiczyć razem z wojami Withena. Po zapoznaniu się z metodami, jakimi posługiwał się Jervis „trenując” innych chłopców, Jos był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Niektórzy spośród młodszych chłopców nie ustrzegli się popełnienia błędu przy ocenie Joserlina i sądząc z jego dość niemrawego sposobu mówienia i silnej postury, wywnioskowali, że mają do czynienia z tępakiem. Szybko jednak, zaskoczeni kilkoma inteligentnymi dowcipami chłopca, odkryli, że powierzchowność Joserlina nie ma nic wspólnego z jego prawdziwą naturą.

Joserlin lubił mówić o sobie, że choć nie potrafi myśleć szybko, każdą sprawę kontempluje z wielką wnikliwością. Mimo to jednak z tym wielce niepokojącym wieczorem wiązało się wiele spraw, których jego umysł nijak nie potrafił powiązać w żadną logiczną całość.

Tymczasem pozostali członkowie grupki, do której sam dołączył, kontynuowali roztrząsanie szczegółów zachowania i sytuacji Vanyela.

— Wydaje mu się, że jest następcą tronu — zachichotała Jyllian, kokieteryjnie szeleszcząc swymi spódnicami. — Uważa się za kogoś lepszego od nas wszyst-

kich. Powinniście go widzieć w buduarze, och, jak on nami rządzi! — Zadarła nos i spoglądając na innych z góry, jeła przedrzeźniać Vanyela grającego na lutni. — A tylko spróbuj poprosić go o coś innego niż piosenka! Brrr! Zamienia się w sopel lodu! Pomyślałby kto, że jesteśmy jakimiś potworami, tak się od nas odwraca!

Mekeal parsknął i pogardliwie potrząsnął głową.

— Pewnie myśli, że nie jesteś dla niego dość wspaniała! Nikt nie jest go godzien, pewnie tylko dama o królewskiej krwi! Wydaje mu się, że dziewczyny takie jak ty są za nisko urodzone.

— Albo zbyt brzydkie — parsknął Mertin. — O nieba, pomyślcie tylko, żadna z waszych pięknych twarzyczek nie może się równać ze słodkim obliczem jego wysokości. Przecież nie może wziąć sobie panny nie dorównującej pięknością jemu samemu.

— Nie wątpię — wtrącił Larens, stanąwszy za plecami Mertina. — Ale gdy tylko się znajdzie w Wielkim Dworze, zobaczy, że nie jest jedynym przystojniakiem na świecie. Dla odmiany może nagle znaleźć się w czyimś cieniu! Daję słowo honoru, że zaraz po przyjeździe do Przystani naszego drogiego Vanyela spotka gorzkie rozczarowanie.

— Do diabła, to nie jest sprawiedliwe — gderał Mekeal, popadając w pośępny nastrój na wspomnienie celu podróży Vanyela. — Oddałbym rękę za to, żeby pojechać do Przystani! To znaczy, pomyślcie tylko... tam gromadzą się najlepsi wojownicy w kraju. To centrum wszystkiego! — Rozkładając ręce w geście kompletnego zniechęcenia, omal nie uderzył Mertina. — Jak ja mam kiedykolwiek otrzymać rangę oficerską czy jakąkolwiek inną pozycję, jeżeli nigdy nie spotkam nikogo, kto ma wpływy na Dworze? Po to oddali tam na wychowanie moją siostrę! Na Dworze masz szansę, że ktoś cię zauważy! Mogę się założyć, że ona zostanie oficerem, a mnie dostanie się najwyżej dowództwo okręgu, co właściwie nic nie znaczy! Muszę się dostać do Dworu! Ja nie dziedziczę posiadłości! To ja powinienem jechać, nie Vanyel! To jest niesprawiedliwe!

— Ha. Masz do tego prawo — odezwał się Larens, nerwowo przebierając nogami. — A niech to, wszyscy jesteśmy drugimi albo trzecimi w kolejności synami, wszyscy powinniśmy mieć taką szansę. Inaczej ugrzęźniemy gdzie beczynnienie na resztę życia! Nigdy nigdzie nie pojedziemy, będziemy tkwić tutaj, w tej dziurze.

— A pomyśl o tamtejszych damach — dodał Kerle, wywracając oczami i całując się w rękę. — Same najpiękniejsze ślicznotki królestwa.

Zaniósł się śmiechem, ale widząc zbliżającą się dłoń Jyllian wycelowaną w jego głowę, pochylił się i zrobił szybki unik dla uniknięcia ciosu. Jyllian, udając złość, zagroziła mu pięścią.

— Do diaska, pomyślcie tylko — ciągnął Mekeal. — Czym on sobie zasłużył na taką nagrodę? Ciągłe tylko udaje, że jest minstrelem, patrzy na nas z góry i, kiedy tylko może, unika obowiązków! — utyskiwał Mekeal, dla podkreślenia

dobitności swych słów uderzając pięścią w rozwartą dłoń drugiej ręki. — Jest wprawdzie ulubieńcem matki, ale to wręcz niemożliwe, aby ona właśnie namówiła ojca do odesłania Vanyela na Wielki Dwór. Widzieliście przecież, jak zareagowała! A więc, dlaczego? Dlaczego on, podczas gdy każde z nas oddałoby życie, aby tylko pojechać do stolicy?

Joserlin siedział wciąż zapatrzony w ciemność. Nieustannie analizował wszystko, co zaobserwował dzisiejszego wieczoru. Gdy tylko ucichł Mekeal, wszyscy zwrócili wzrok ku niemu i jeli spoglądać nań wyczekująco. Odchrząknął. Jego rówieśnicy już dawno zdążyli się przekonać, że Joserlin nie był podobny do Vanyela, bystrogo intelektualisty, jedyne go światłego umysłu pośród gromady braci i kuzynów. Wiedzieli jednak, że posiada on niezwykłą umiejętność dostrzegania we wszystkim istoty rzeczy. Teraz pragnęli tylko wiedzieć, czy zna już odpowiedź na ich pytania. Zwykle znał i — jak się tego spodziewali — tym razem także potrafił zaspokoić ich ciekawość.

— Dlaczego myślicie, że to nagroda? — zapytał z cicha.

Wyraz zdziwienia na zwróconych ku niemu twarzach i przebłysk rodzącego się zrozumienia sprawiły, że zaczął kiwać głową, widząc, jak wszyscy powoli dochodzą do tych samych co on wniosków.

— Widzicie? — powiedział równie cicho jak przedtem. — To nie jest dla Vanyela nagroda. To wygnanie.

Schroniwszy się pod osłoną ciemności korytarza, Vanyel nie musiał już powstrzymywać drżenia. Nie miał jednak odwagi zatrzymać się. Komuś mogło przyjść do głowy, aby go śledzić.

Mógł jednak zrobić coś innego. Teraz, gdy nie dosięgały go już pożerające, ciekawskie oczy innych, mógł pobiec.

A więc biegł. Bezszelestnie, w ciszy, podążał za swym cieniem przez zadytmione korytarze, oświetlone bladym blaskiem. Na swej drodze ucieczki mijał ciemne, zamknięte drzwi prowadzące do alkowy, do sali kawalerskiej, do kaplicy. Za każdym razem, gdy przechodził obok lampki czy latarni, tuż przed nim na podłodze kładł się chudy, wykoślawiony cień jego sylwetki. Biegł wciąż przed siebie z pochyloną głową, tak aby nikt nie mógł dojrzeć łez w jego oczach. W każdej chwili zza mijanych drzwi mogła wysunąć się nieprzyjazna mu osoba.

Nikt się jednak nie pojawił. Vanyel dotarł do bezpiecznego schronienia, do skrzydła zamku zajmowanego przez służbę, nie napotykając po drodze na żadne przeszkody. Gdy tylko tam się znalazł, nie zważając już na nic, rzucił się na górę klatką schodową. Ktoś wygasił już latarnie, ale Vanyel nawet nie zwrócił na to uwagi. Tak często biegał po tych schodach z oczami przysłoniętymi mgłą łez, że jego stopy nauczyły się same rozpoznawać drogę.

W szaleńczym biegu skoczył na ostatni podest i w ułamku sekundy przemie-

rzył ostatni metr dzielący go od jego pokoju. Bliski szlochowi nie mógł już złapać tchu, gdy w ciemności wyciągał z kieszeni klucz i przekręcał go w zamku. Łzy cisnęły mu się do oczu.

I trysnęły ledwie zdążył przekroczyć próg pokoju. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, znów przekręcił klucz w zamku i z odrzuconą w tył głową, opartą o szorstkie drewno, przywarł do nich plecami. Powstrzymywał szloch z czystej, pełnej dumy, obawy przed tym, że ktokolwiek mógłby dowiedzieć się o jego nieszczęściu, nawet służący. Gorące łzy jednak spływały już po policzkach i wsiąkały powoli w dekolt jego tuniki, a Vanyel nie potrafił ich zatrzymać.

Nienawidzą mnie — pomyślał. Oni wszyscy mnie nienawidzą. Wiedziałem, że nie przepadają za mną, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo mnie nienawidzą.

Nigdy przedtem nie czuł się tak bardzo osamotniony i bezbronny. W tym momencie — mając pewność, że umrze — z miejsca wyskoczyłby z okna. Jednakże odległość do ziemi była zbyt mała, a perspektywa bólu zdawała się gorsza od samotności.

W końcu rzucił się na łóżko, odsłonił narzutę i z drżeniem powstrzymując wybuch płaczu, wsunął się pod kołdrę.

Mimo wszelkich wysiłków, łzy znów popłynęły i Vanyel tłumił szloch, przyciskając głowę do poduszki.

Och, Liss... Och, Liss... nie wiem, co robić! Nikt się o mnie nie troszczy, nikogo nic nie obchodzi, nikt poza tobą nie dałby za mnie złamanego grosza, a na dodatek rozdzielili nas. Boję się, jestem zupełnie sam, a ojciec usiłuje mnie złamać. Jestem pewien, że do tego właśnie dąży.

Przewrócił się na plecy i piekącymi od płaczu oczami spoglądał w ciemność nad sobą. Chciałbym umrzeć. Zaraz, w tej chwili.

Próbował zmusić swe serce, by przestało bić, lecz ono uparcie ignorowało jego wysiłki.

Czuł, że gniecie go każda nierówność materaca, każda fałda pościeli. Każdy mięsień jego ciała napięty był do bólu, w głowie pulsował okrutny łomot, łzy paliły oczy.

Zdawało mu się, że spędził całą wieczność leżąc bez ruchu, lecz zapomnienie, którego tak pragnął, wciąż nie nadchodziło. Wreszcie porzucił próby przywołania snu, przez chwilę szukał po omacku kawałka świecy, potem zsunął się z pościeli prosto w duszną ciemność. Porwał szlafrok, narzucił go na rozdygotane nagie ciało i jął przemierzać pokój.

Choć w izbie było dość ciepło, może nawet gorąco, posadzka pod jego stopami okazała się wręcz lodowata. Po omacku odszukał drzwi i przyłożywszy ucho do szczeliny z boku, nasłuchiwał, czy z korytarza lub ze schodów nie dobiega jakiś dźwięk.

Cisza.

Ostrożnie odsunął rygiel i znów nastawił ucha. Potem uchylił drzwi i przez szparę wyjrzał na korytarz.

Nie było tam na szczęście nikogo, ale najbliższa latarnia znajdowała się daleko, w ślepych załamaniu korytarza.

Wziął głęboki oddech i naprężył się jak struna, przybierając postawę tak reżolutną, jak gdyby nagle sam stał się panem na zamku. Poruszał się spokojnie, z pewnością siebie, nonszalancko, dokładnie tak, jak gdyby czuł na sobie wzrok wszystkich kuzynów. Wszak w każdej chwili któremuś ze służących, mieszkających właśnie w tym korytarzu, mogło się nagle zachcieć wyjść z pokoju. A służący lubili dużo mówić.

Rozpuściliby języki, gdyby tylko któryś z nich dojrzał łzy w oczach Vanyela. Wówczas w mgnieniu oka sensacyjna wieść rozniosłaby się po całym zamku.

Odpalił świecę od jednej z latarni i spokojnie wrócił do pokoju. Ledwie jednak zamknął zasuwę, znów stracił nad sobą panowanie, które tak dobrze udawało mu się utrzymywać za drzwiami. Jego gwałtowne drgawki sprawiły, że jakiś szalony taniec porwał płomyk świecy trzymanej w drżącej ręce i Vanyel poczuł na dłoni krople gorącego wosku.

Najszybciej, jak tylko mógł, zapalił pozostałe świece w kinkietach przy drzwiach i nad łóżkiem, a w lichtarzu na stole umieścił tę, którą trzymał w dłoni.

Usiadł ciężko na rozrzuconej pościeli, ssąc kciuk oparzony woskiem, i ogarniając spojrzeniem wszystkie swe rzeczy zastanawiał się, które z nich ojciec pozwoli mu zabrać ze sobą.

Swych instrumentów nie brał nawet pod uwagę. Tutaj były o wiele bardziej bezpieczne. Może pewnego dnia — jeśli uda mu się to wszystko przetrwać — będzie mógł powrócić i zabrać je stąd. Nie było jednak żadnych, absolutnie żadnych szans, aby wywieźć je teraz, ukrywając wśród innych rzeczy. A gdyby ojciec zobaczył je spakowane...

Roztrzaskałby je. Roztrzaskałby je i śmiejąc się, czekałby na moją reakcję.

Wreszcie Vanyel podniósł się i uklęknął obok skrzyni, w której były jego ubrania. Dźwignął ciężkie, rzeźbione wieko i przez dłuższą chwilę patrzył na wierzchnią warstwę odzieży.

Tuniki, koszule, spodnie, pończochy — wszystkie w głębokich barwach kamieni szlachetnych: szafiru, akwamarynu czy szmaragdu, w którym tak bardzo było mu do twarzy; niektóre w jego ulubionych kolorach: czarnym, srebrzystym czy popielato-szarym. Wszystkie te rzeczy nosił dlatego tylko, że był to jedyny sposób, w jaki mógł przeciwstawić się ojcu, który przez cały rok potrafił ubierać się w te same trzy, nie różniące się niczym stroje, i nawet tego nie zauważyć. Robił to, ponieważ jego ojciec nie zwracał uwagi na stroje swoje czy innych i złościło go, że Vanyel przywiązywał do tego dużą wagę.

Vanyel zadumał się nad swymi ubraniami i — nie zdając sobie z tego sprawy — gładził delikatnie miękką tkaninę swej koszuli.

Nie ośmieli się zabronić mi zabrania tych rzeczy, choć założyłbym się, że chciałby to zrobić. Wszak muszę się dobrze prezentować, kiedy tam zajadę, inaczej przyniosłbym mu wstyd; a te łachy, które nosi Mekeal i cała reszta, nie są zbyt okazałe.

Zaczął ostrożnie składać ubrania i pakować je do tłumoków podróжных trzymanych na spodzie skrzyni. Choć nie miał odwagi wziąć instrumentów, między kartkami pakowanych książek ukrył kilka arkuszy z nutami swych ulubionych melodii. Bardom w Przystani powodzi się bardzo dobrze — myślał ze ściśniętym gardłem. Może za broszę do płaszcza albo coś w tym rodzaju uda mi się kupić od któregoś z nich jakąś starą cytrę. Nie będzie to mój śliczny Skowroneczek, ale lepsze to niż nic. Pod warunkiem, że zdołam powstrzymać jej ponurość, ciocię, od odebrania mi jej.

Wszystko robił zbyt szybko. Nagle zorientował się, że siedzi na podłodze obok spakowanych tłumoków i nie ma nic więcej do roboty. Rozejrzał się po pokoju. Nie było nic więcej do zabrania, nic, za czym by tęsknił — z wyjątkiem może kilku rzeczy, które chciałby, ale nie śmie, zabrać.

Nieźle życie wiodłem tutaj, jeśli wszystko, co mam, mieści się w czterech tłumokach.

Wstał powoli, wyczerpany, ale zbyt zmęczony, by zasnąć. Zdmuchnął wszystkie świece, z wyjątkiem tej przy łóżku, zrzucił szlafrok, upchnął go w ostatnim tłumoku i wdrapał się na łóżko.

Nie miał jednak odwagi zgasić ostatniej świcy. Dopóki w pokoju było jasno, udawało mu się powstrzymać łzy, ale ciemność uwolniłaby je.

Leżał nieruchomo, tak długo wpatrując się w światło świcy migoczące na ukośnym suficie, aż oczy znów zaczęły go piec.

Wszyscy bracia i wychowankowie dzielili ze sobą pokoje. Mekeal mieszkał w jednym pokoju z Vanyelem do czasu, kiedy jego starszy brat złamał rękę. Wtedy to Mekeal został przeniesiony na dół, a fakt, że po powrocie do zdrowia, Vanyel wciąż mieszkał w ich dawnym pokoju, nie sprawił mu bynajmniej przykrości.

Tymczasem więc Mekeal miał cały nowy pokój dla siebie, co pozwoliło mu dojść do wniosku, że wcale nie lubi mieszkać sam. Lubił towarzystwo. Teraz jednakże — co najmniej od późnej wiosny — dzielił swój pokój z Joserlinem.

Był z tego zadowolony. Jos to już niemal dorosły. Mekeal powitał jego przeprowadzkę z wielkim podnieceniem, cieszył się jego towarzystwem i był bardzo dumny z tego, że Jos traktuje go jak równego sobie. Jos rozmawiał z nim i choć mówił niewiele, kiedy się odzywał, warto było go posłuchać. Dziś wieczorem jednak Joserlin powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia — tak przynajmniej myślał Mekeal.

Dlatego poczuł się troszkę zaskoczony, gdy zaraz po zgaszeniu świec, usłyszał

macający ciszę głos Josa.

— Mekealu, dlaczego wy, młodzi, jesteście tacy niedobrzy dla swojego brata?

Mekeal nie musiał pytać, o którego brata chodzi, było to dość jasne. Ale... „niedobrzy dla niego”? Jak można było być dobrym dla kogoś, kto myśli tylko o sobie?

— Bo to jest... wstrętny typ — odparł Mekeal oburzony. — To mięczak, dzieciak, tchórz, a jedyną rzeczą, która go obchodzi, jest jego własna osoba! Jest zupełnie taki sam jak matka. To ona zrobiła z niego swojego pupilka i nieroba.

— Ach tak... naprawdę? A co sprawia, że jesteś tak pewny tego „nieroba”?

— Ojciec tak mówi, i Jervis... .

— Bo Vanyel nie pozwala się Jervisowi stłuc na kwaśne jabłko — parsknął z obrzydzeniem Joserlin. — Nie powiem, żebym go za to winił. Gdybym był zbudowany tak jak on i miał na karku takiego Jervisa, to sam na pewno znalazłbym jakąś kryjówkę. Uciekłbym do Przystani, nie dając Jervisowi okazji do przetrącenia mi gnatów.

Mekeal, wstrząśnięty, otworzył usta w zdumieniu i przewrócił się w łóżku, kierując twarz w stronę ciemnej, zwalistej sylwetki Joserlina. — Ale... ale... Jervis jest fechtmistrem!

— Jest pokracznym prostakiem — uciął kategorycznie Jos. — Zapominasz Mekealu, że wychowywał mnie lord Kedrik i ćwiczyłem pod okiem prawdziwego fechtmistrza, mistrza Orsera, a on jest bardzo dobry. Jervis byłby zwykłym wojem, gdyby nie to, że jest starym przyjacielem twojego ojca. Nie zasługuje na to, aby być fechtmistrem. O nieba, Mekealu, on się rzuca na najsłabszych z was, jak gdybyście byli w jego wieku, mieli jego posturę i jego doświadczenie! Nigdy nie zatrzymuje swych ciosów, nie kwapi się pokazać wam, jak je przyjmować, musicie sami do tego dochodzić. W dodatku zna tylko jeden styl — Świętą Księgę!

— Ale... .

— Mówię ci, żaden z niego wielki mistrz. Na mój rozum, on wcale nie jest mistrzem. Będąc na miejscu Vanyela, prędzej bym się otruł, niżli pozwolił temu łobuzowi znów się do mnie dobrać! Słyszałem, co się stało na wiosnę, jak zaatakował Vanyela, sześć razy powalił go z nóg i pogruchotał ramię.

— Ale on oszukiwał! — zaprotestował Mekeal.

— Nieprawda. Radevel mówił mi, co wydarzyło się w rzeczywistości, zanim jeszcze ten zabijaka zdołał was wszystkich przekonać, że nie widzieliście, jak masakrował Vanyela, bo ten go przechytrzył. Nie było to nic innego jak zwykłe znęcanie się nad słabszym. Gdyby mój poprzedni fechtmistrz potraktował w ten sposób któregoś ze swych uczniów, to lord Kedrik osobiście zrzuciłby go z samego szczytu wieży!

Mekeal nie dowierzał własnym uszom.

— Ależ... — protestował. — Ależ ojciec...

— Twój ojciec jest przeklętym tchórzem — uciął Joserlin. — I nie będę cię przeproszał za to, że tak powiedziałem. Jest kompletnym głupcem, trzymając Jervisa jako fechtmistrza i skończonym durniem, traktując małego Vanyela w ten sposób. Za każdym razem, kiedy na niego napada, sam prosi się o nauczkę. Nikt inny, tylko on sam jest winien zachowania Vanyela, bo ten robi wszystko, żeby mu dokuczyć. Zapamiętaj moje słowa. Widziałem już coś takiego, tyle że tam sytuacja była odwrotna. Działo się to w sąsiedztwie miejsca, gdzie mieszkałem będąc w twoim wieku, u starej lady Cedrys, w Zamku Dzikiej Róży. Stara lady Cedrys była uczona i nic innego nie sprawiało jej przyjemności, tylko widok jej najstarszego syna tkwiącego dzień i noc z nosem w książkach. Ale ten najstarszy syn był podobny do ciebie, zwariowany na punkcie Gwardii. Im bardziej Cedrys przymuszała go do ślęczenia nad książkami, tym częściej Liaven przychodził do naszego fechtmistrza, aż pewnego dnia uciekł i zaciągnął się do zwykłego oddziału najemników. Jego matka nie zobaczyła go już nigdy więcej.

— Ależ... Jos... widziałeś, jak Vanyel patrzy na nas z góry. Jak gdyby był Królem Bogów albo kimś w tym rodzaju. Ciągłe zadziera nosa.

— Aha — odparł Joserlin. — Nie przeczę. Ale częściowo jest to wina lady Tressy, która go tak rozpieściła. Vanyel jest małą arogancką glistą i z pewnością uważa się za najpiękniejszego chłopca w całym zaniku. Nie pozwala nikomu o tym zapominać. Nie mogę jednakże powstrzymać się od myśli o tym, jak dalece to całe zadzieranie nosa spowodowane jest waszymi wysiłkami, aby zmieszać go z błotem. Co ty na to?

Mekeal nie potrafił nic odpowiedzieć.

Mógłbym uciec — pomyślał Vanyel. Był już wręcz oszołomiony zmęczeniem, sen jednak wciąż nie przychodził. Sądzę, że mógłbym uciec...

Zagryzł wargi aż do krwi. Co mógłbym ze sobą zrobić, gdybym uciekł? Poszedłbym do świątyni? O bogowie, nie... to niemożliwe, żebym został księdzem! Nie umiem też pisać dość ładnie, aby zostać skrybą, a poza tym żaden właściciel ziemski nie zatrudni mnie, dowiedziawszy się, kim jestem. Ojciec dopilnowałby tego, na pewno. Och, bogowie, dlaczego nie uczyniliście mnie bardem?

Zwilżył kąciki ust, uderzony pewną myślą. Mógłbym przecież spróbować szczęścia jako minstrel. Nie śmiałybym pokazywać się w dużych zanikach, ale gdzie indziej też można zarobić śpiewem parę groszy. Przez moment wydawało się, że jest to jakieś wyjście z sytuacji. Musi tylko prześlizgnąć się do swej kryjówki, aby zabrać instrumenty, i wymknąć się przed świtem. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że uciekł, może być już daleko od zamku.

Jednak... nie.

Moja ręka... moja ręka. Zanim nie odzyska pełnej sprawności, nie mogę grać nic oprócz najprostszych melodii. Jeśli nie będę mógł dobrze grać, nie ma mowy

o szukaniu gościny w jakimkolwiek domu. A bez godnego patronatu, na jaki w tej chwili nie mogę liczyć, ledwie zdołam zarobić na kawałek chleba. Nie mogę tak żyć, po prostu nie mogę! Nie mogę śpiewać dla chłopów w gospodach i ludu na jarmarkach, nie mogę żebrać, nie wśród wieśniaków. Nie, chyba że okaże się, że Savil ma zamiar mnie otruć, a nie myślę, aby było to prawdopodobne. Ona jest heroldem, a heroldowie nie posuwają się do takich rzeczy, nawet dla zrobienia przyjemności swoim braciom. Westchnął. Świeca zgasła. Nie, to by się nie udało. Nie ma żadnej ucieczki.

Czując, że gardło zaciska mu się coraz bardziej, tracił panowanie nad sobą. Znów cisnęły mu się do oczu łzy, które rozbudzą go jeszcze bardziej i uczynią jeszcze bardziej bezradnym.

Ciemność zaciskała się wokół niego niczym żelazna pięść. Tak bardzo skoncentrował się na walce z płaczem, że nie poczuł nawet, kiedy ze stanu oszołomienia przeszedł w niespokojny, pełen koszmarów sen.

Był sam, zupełnie sam. Po raz pierwszy w życiu nie było nikogo, kto by go dręczył, nikogo, kto by z niego drwił. Ponad nim rozciągało się tylko ponure, szare niebo, dookoła niego, aż po horyzont rozciągała się połyskująca śniegiem i lodem wielka równina.

Gdziekolwiek spojrzat — nic, tylko ta jałowa, biała przestrzeń. Zupełnie pusta, zupełnie bezkształtna. Było tak zimno, że poczuł, jak całe jego ciało ogarnia odrętwienie.

Był skostniały. Nie obolały wewnątrz. Nie bliski płaczu na każde słowo. Po prostu zmarznięty.

Nie czuł już żadnego bólu. Nic. Stał nieruchomo, przez kilka dobrych chwil delektując się brakiem czucia, brakiem bólu. Był bezpieczny. Tutaj był bezpieczny. Nikt nie mógł go tknąć. Dopóki trwał w tej izolacji, w tym odrętwieniu, nikt nie mógł go tknąć.

We śnie otworzył szeroko oczy i wyszeptał: „Jeśli nikt mnie nie dotknie — nikt mnie nie zrani. Tylko nigdy nie mogę się niczym przejmować”.

To było jak objawienie, jak dar zesłany przez — jak dotąd — obojętnych bogów. To miejsce, ta dzika lodowa kraina... gdyby tylko mógł zachować ją w sobie... gdyby tylko potrafił wystarczająco „nie przejmować się”... mógłby pozostać bezpieczny. Bez względu na to, co się stanie i kto będzie go nienawidził, nikt już go nie skrzywdzi.

Nigdy więcej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz rano Vanyel musiał skupić myśli tylko na jednym — na swym śnie. Gdy powracał do lodowej krainy, ból samotności w jego sercu zastępował lodowaty chłód obojętności. Kiedy tylko zechciał, mógł uciec i wyizolować się z otaczającej go rzeczywistości, stając się niczym pustelnik na szczycie wielkiej góry.

Było to jak zażycie pigułki przeciwbólowej, antidotum na samotność.

Obojętność stała się teraz obroną, nie pozą.

Ale czy ten pancerz obojętności mógł służyć także jako broń? Warto było spróbować.

Właściwie i tak nie ma nic do stracenia — najgorsze już się stało.

Ubrał się szybko. Skórzany strój do jazdy konnej, który kiedyś był brązowy, kazał — bez wiedzy ojca — przefarbować na czarno. Był teraz z tego bardzo zadowolony. Czerń zawsze wysmuklała jego sylwetkę, przydawała mu dojrzałości, a nawet sprawiała, że wyglądał troszkę groźnie. Był to odpowiedni kolor dla konfrontacji, a także kolor śmierci. Vanyelowi zależało bardzo na przypomnieniu ojcu o dystansie, który ich dzieli.

Po chwili namysłu zmienił decyzję co do swych instrumentów. Postanowił zabrać ze sobą przynajmniej lutnię, na posiadanie której i tak miał pozwolenie. Nie będzie jej pakował, ale pozostawi na wierzchu na wypadek, gdyby lord Withen zastanawiał się, gdzie ona jest.

Poza tym, jeśli uda mu się stanąć twarzą w twarz z Withenem, a lutnia będzie leżała gdzieś na widoku, Vanyel będzie mógł przypieczętować ich wzajemną konfrontację przez demonstracyjne spakowanie lutni na oczach ojca. . .

Może coś na tym zyska. Czym prędzej więc, nim wzeszło słońce, wymknął się do swej kryjówki, a gdy Withen stanął pod drzwiami jego pokoju, wałąc w nie pięścią, Vanyel siedział już skulony przy oknie i wygrywał wolną, lecz zmyślną melodię, taką, która mogła być grana niemal wyłącznie prawą ręką. Odegrał całą scenę z wielkim rozmysłem, starając się zrobić wrażenie, że trwa w tej pozycji już od wielu godzin.

Lord Withen z pewnością spodziewał się zastać swego najstarszego syna w łóżku, spodziewał się w ten szary poranek zbudzić zmieszanego i nieszczęśliwego chłopca. Niewątpliwie oczekiwał, że ujrzy Vanyela tak samo bezbronnym

jak poprzedniego wieczoru.

Sprawiłoby ci to przyjemność, prawda? Ojczy... tak świetnie potwierdziłaby się moja marność — pomyślał.

Tymczasem Withen, zapukawszy tylko raz, otworzył drzwi i ku własnemu zdziwieniu zobaczył, że Vanyel od dawna nie śpi, jest już spakowany, a teraz ubrany w strój podróżny siedzi bez ruchu z lutnią w dłoni.

Vanyel podniósł wzrok i obrzucił ojca chłodnym, aroganckim spojrzeniem, dokładnie takim, jakim obdarza się kogoś zupełnie obcego, kto nagle, bez zaproszenia, narzuca nam się swą obecnością.

Zaskoczenie i lekki wyraz zakłopotania w oczach ojca Vanyelowi uczucie satysfakcji, jakiej nie smakował już od dawna.

Położył lutnię obok siebie, na łóżku, potem podniósł się z wolna i stanął przed ojcem wyprężony jak struna.

— Jak widzisz, ojczy — wskazał ruchem głowy cztery spakowane tłumoki — jestem już gotowy.

Ton jego głosu i coś jakby roztargnienie w sposobie mówienia jeszcze bardziej zaskoczyły lorda Withena. Zakasłał, a Vanyela zdjęło nagle uczucie mściwej satysfakcji, że choć raz w konfrontacji z ojcem on ma przewagę.

Withen zaczerwienił się, widząc, jak Vanyel pochyliwszy się, chwyta szyjkę lutni, stroi ją szybkimi, wprawnymi palcami i pośpiesznie wkłada do swej torby podróżnej.

Było to wyzwanie, które nawet Withen zdołał zauważyć. Popatrzył groźnie na syna i wykonał ruch, jak gdyby chciał mu zabrać instrument.

Vanyel naprężył się. Nie powiedział nic. Obrzucił tylko ojca spojrzeniem, które mówiło: Dokuczaj mi. No, dalej. Widzisz, co się dzieje, kiedy to robisz. Nie mam absolutnie nic do stracenia i nie dbam o to, co się ze mną stanie.

Widząc to Withen aż się cofnął.

— Możesz zabrać swoją zabawkę, ale nie myśl sobie, że będziesz mógł spędzać czas leniuchując z tymi nierobami, bardami. — Wygrażał, próbując odzyskać pewność siebie, którą stracił z momentem otwarcia drzwi. — Jedziesz do Savil, żeby nauczyć się czegoś więcej niż... .

— Nigdy nie wyobrażałem sobie, że będzie inaczej... mój panie — przerwał mu Vanyel, uśmiechając się gorzko. — Nie wątpię — ciągnął, starannie dozując jad — że wydałeś ciotce co do tego bardzo szczegółowe instrukcje, jak również na temat mojego wykształcenia, panie.

Twarz Withena spurpurowiała. Vanyel ponownie poczuł przyływ jadowitej przyjemności.

Ty wiesz i ja wiem, o co tu naprawdę chodzi, nieprawdaż, ojczy? Ale chcesz, abym udawał, że to coś innego, przynajmniej przy innych. To bardzo źle. Wcale nie mam zamiaru ci nic ułatwiać ani okazywać wdzięczności. Mam pewność siebie, ojczy. Nic mnie już nie obchodzi, a to daje mi broń, której tobie brakuje.

Withen wykonał gwałtowny gest dłonią i do pokoju Vanyela weszło z korytarza dwóch służących. Każdy z nich podniósł dwa tłumoki i czym prędzej wybiegł z pokoju. Vanyel zaś, przerzuciwszy sobie przez głowę pasek od lutni, zawiesił ją na plecach, dając tym samym jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby brał ją kto inny.

— Nie musisz mnie odprowadzać, panie — powiedział, gdy Withen nie ruszył się, aby towarzyszyć wychodzącym z bagażami służącym. — Jestem pewny, że są ważniejsze sprawy, którymi musisz się zająć.

Withen wyraźnie się skrzywił. Vanyel spokojnie przeszedł obok niego, po czym odwrócił się, aby zadać ostatni cios, dokładnie obliczony na sprawienie jak największego bólu, jak prawda, która i tak nie mogła zostać wypowiedziana.

— Ostatecznie, panie — rzucił spokojnie przez ramię — ja się przecież nie liczę. Masz czterech innych, silnych, dużo bardziej wartościowych... spadkobierców. Przykro mi, że nie uznałeś za stosowne, by poinformować matkę o porze mojego odjazdu. Byłoby przyjemnie pożegnać się z kimś, kto będzie tęsknił za moją obecnością.

Withen aż drgnął.

Vanyel uniósł brwi.

— Nie fatyguj się życzyć mi wszystkiego dobrego, panie. Wiem, co ojciec Leren głosi na temat znaczenia prawdy, a nie chciałbym uczynić cię wiarołomcą.

Wyraz twarzy urażonego Withena rozniecił w zlodowaciałym sercu syna płomień gorzkiego zadowolenia. Vanyel odwrócił się na pięcie i pewnym krokiem odszedł korytarzem w ślad za służącymi, nie dając ojcu szansy ani na udzielenie odpowiedzi, ani na wydanie rozkazów służbie. W mrocznym, szarym korytarzu minął obu służących z tłumokami i stanowczym gestem dał im znak, aby szli za nim. Jeszcze raz ogarnęło go uczucie pełnej goryczy satysfakcji. Lord Withen chciał pewnie, aby Vanyel podążał w tyle, goniąc służących, i niespodziewana zmiana ról wprawiła Withena w zakłopotanie, a służących pozostawiła bez jasnych instrukcji. Vanyel pochwycił tę nadarzającą się przypadkiem okoliczność i trzymał się jej z całych sił. Raz, ten jedyny raz, zyskał przewagę i nie miał zamiaru zaprzepaścić tej okazji, chyba że zmuszono by go do tego siłą.

Poprowadził ich w dół słabo oświetloną klatką schodową, a słysząc, jak potykają się w ciemności, dziękował bogom, że sam niesie swą lutnię. W tłumokach nie było na szczęście nic, co mogłoby się zbić. Klatka schodowa zaprowadziła ich do tej części zamku, gdzie znajdowała się kuchnia, a Vanyel zdecydował się iść za ciosem i wydostać na zewnątrz przez drzwi dla służby, a stamtąd skierować się prosto do stajni. Była to najkrótsza droga, lecz nie dlatego ją wybrał. Zrobił to, aby zaznaczyć, że zna myśli ojca.

Dwaj służący obciążeni ciężkimi tłumokami musieli się bardzo spieszyć, aby dotrzymać mu kroku i już dyszeli z wysiłku. Gdy buty Vanyela chrzęściły na zwirowej ścieżce na dziedzińcu pomiędzy zamkiem a stajniami, sapanie służących

słyszeć było daleko w tyle.

Słońce ledwie wzniosło się nad horyzont, a z łąk, gdzie w czasie dnia puszczano luzem konie, podnosiła się mgła. Prawdopodobnie dzień będzie dziś gorący, jeden z pierwszych dni prawdziwego lata. Gdy Vanyel zbliżył się do stajni, zobaczył, że drzwi są już otwarte, a wewnątrz krząta się kilkoro ludzi.

Nie mogłeś się doczekać pozbycia się mnie, prawda, drogi ojcze? — pomyślał. Chciałeś wypchnąć mnie najszybciej, jak tylko można było to zrobić. Tym razem będę ci posłuszny. To powinno cię wprawić w wystarczające zakłopotanie.

Teraz, kiedy mógł schronić się za barierą obojętności, po raz pierwszy od ponad roku potrafił myśleć jasno i spokojnie. Mógł snuć plany na przyszłość, nie grzęznąć w emocjonalnym bagnie, i mógł unieść je ze sobą, nie tracąc głowy z powodu frustracji. Bogowie, to było takie proste — niczym się nie przejmować. Nie dbaj o to, co robią z tobą inni, a wtedy nikt nie będzie mógł cię skrzywdzić.

Gdybym nie wyjeżdżał, nigdy nie odważyłbym się powiedzieć tych wszystkich rzeczy. Ale wyjeżdżam i zanim ojciec pomyśli, jak powinien zareagować, ja będę już daleko, poza zasięgiem jego kary. Nawet jeśli doniesie o tym wszystkim ciotce Niesmacznej, zabrzmi to kompletnie głupio i, co więcej, on sam wyjdzie na durnia.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach i stanął w lekkim rozkroku z dłońmi na biodrach. Po upływie kilku chwil, gdy ludzie znajdujący się w środku zauważyli go, szmer rozmów ucichł, a wszyscy obecni wlepili w niego osłupiały ze zdumienia wzrok.

— Dlaczego moja klacz nie jest osiodłana? — cicho zapytał chłodnym tonem. Jedynymi osiodłanymi końmi były dwa nieokrzesane wałachy, najwyraźniej przeznaczone dla krzątających się wokół nich wojów, którzy właśnie sprawdzali popręgi, a na jego widok wyprostowali się, by wysłuchać, co też ma im do powiedzenia. Vanyel dostrzegł w stajni jeszcze jedno osiodłane zwierzę. Nie był to jednak koń, ale stary, gruby kuc, na którym jeździli kiedyś wszyscy Chłopczy z zaniku, a którego potem przekazano pod wierzch najstarszej damie Tressy.

— Wybacz, mój panie — odezwał się z wahaniem jeden z parobków — ale twój ojciec...

— Nic mnie nie obchodzi, co zarządził mój ojciec — przerwał mu Vanyel ze złością. — To nie jego czeka podróż na koniec świata na tym koniu na biegunach. To ja jestem wygnańcem i nie mam zamiaru jechać na czymś takim. Nie wjadę do stolicy na zwierzęciu, na którym będę wyglądał jak klaun. Poza tym Gwiazda jest moja, nie jego. Lady Tressa mi ją podarowała, a ja mam zamiar ją ze sobą zabrać. Osiodłać ją.

Parobek wciąż się wahał.

— Jeżeli ty tego nie zrobisz — powiedział Vanyel lodowatym głosem, mrużąc oczy — ja to zrobię. Tak czy owak napytasz sobie biedy. A jeśli ja będę musiał to zrobić i moja matka dowie się o tym, spotkają cię nieprzyjemności zarówno z jej

strony, jak i ze strony mojego ojca.

Parobek wzruszył ramionami i zajął się Gwiazdą i jej uprzężą, pozostawiając innemu stajennemu rozsiadanie kucyka i odprowadzenie go na pastwisko.

Pięknie — pomyślał Vanyel. Chciałeś mnie wsadzić na kuca dobrego dla nowicjusza i zrobić ze mnie tchórza, który nie umie sobie poradzić z prawdziwym koniem. Chciałeś, abym wyszedł na durnia, wjeżdżając do Przystani na kucyku, a ponad wszystko pragnąłeś pozbawić mnie tego, co jest naprawdę drogie memu sercu. Nie tym razem, ojczu.

Zanim lord Withen zdążył pojawić się w stajni, Vanyel siedział już pewnie w siodle na swej Gwieździe. Parobcy mocowali ostatni tłumok u boku jednego z trzech mułów, a wojowie czekali, również w siodłach, na dziedzińcu.

Vanyel poklepał dumnie naprężoną szyję Gwiazdy, czarnej klaczy delikatnej budowy, z widniejącą na czole idealną białą gwiazdą, której jedno ramię sięgało w dół, aż ku nozdrzom. Przez dłuższą chwilę Vanyel ignorował ojca, dając mu czas na przypatrzenie się synowi siedzącemu na pełnej temperamencie drobnej klaczy czystej krwi, zamiast na pospolitym starym kucu. Po chwili podjechał w stronę skraju dziedzińca, gdzie stał lord Withen, którego wyraz twarzy wskazywał, że znów nie może oprzeć się zdumieniu. Gwiazda zgrabnie, bezgłośnie prawie, kroczyła przez wysypane żwirem podwórko, niczym nocny cień umykający przed pierwszym światłem brzasku. Vanyel kazał całą jej uprzęż przefarbować na czarno, podobnie jak swój strój do jazdy konnej, a teraz świetnie zdawał sobie sprawę, że ich widok robi uderzające wrażenie.

Ona też doskonale o tym wiedziała. Gdy Vanyel skierował ją ku ojcu, wygięła szyję, a ogon uniosła jak sztandar.

W miarę jak Vanyel i Gwiazda zbliżali się coraz bardziej, na twarzy lorda Withena odbijały się nawiedzające go po kolei emocje: najpierw sprawiał wrażenie zbitego z tropu, później zrezygnowanego. Wyraz twarzy Vanyela zaś nie zmienił się przez cały poranek. Gdy siedział tak z podniesioną głową, wbijając wzrok w jeden punkt nieco ponad głową ojca, sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

Z tyłu dobiegały go głosy parobków, którzy wyprowadziwszy muły ze stajni, mocowali właśnie ich cugle do tylnego łęku siodła jednego z wojów. W tym momencie zatrzymał Gwiazdę kilka kroków od skraju wybiegu. Bez drgnienia na twarzy, spojrzał z góry na ojca.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Vanyel dostrzegł, że ojciec szuka odpowiednich słów, a za każdym razem, kiedy zaczyna mówić, słowa zamierają mu na ustach pod ciężarem chłodnego, beznamietnego spojrzenia Vanyela.

Nie mam zamiaru ci tego ułatwiać, ojczu — pomyślał. Nie po tym, co mi zrobiłeś. Nie po tym, co próbowałeś zrobić przed chwilą. Mam zamiar postępować dokładnie tak jak ty. Będę tak samo paskudny jak ty, ale za to z klasą.

Cisza przedłużała się, stawała się wręcz nieznośna, napięcie udzielało się nawet wojom, którzy zaczęli wiercić się niecierpliwie w swych siodłach. Ich konie

przestępowały z nogi na nogę i parskały niespokojnie. Vanyel i Gwiazda natomiast zastygli w bezruchu niczym posąg z onyksu i srebra.

W końcu Vanyel doszedł do wniosku, że wystarczająco przedłużył już tę torturę. Raz tylko niedostrzegalnie skinął głową, po czym skierował Gwiazdę i delikatnie spiał ją piętami. Klacz zadarła łeb i ruszyła kłusem w kierunku drogi do wsi, pozostawiając w tyle usiłujących dogonić ją wojów, przeklinających i popychających swe zwierzęta.

Gdy tylko minęli wieś Forst Reach, Vanyel ściągnął cugle, nie chcąc, aby Gwiazda zbyt szybko się zmęczyła. Zrobił to także, aby uniknąć dostarczenia wojom powodu do nakazania mu jazdy między nimi.

Ojciec na pewno polecił im dobrze pilnować, abym nie uciekł — pomyślał cynicznie, widząc jak Gwiazda przez moment sprzeciwia się lejcom, aby po chwili ustąpić i przejść w dość spokojnego stępa. Istotnie przypuszczenia Vanyela szybko znalazły potwierdzenie. Gdy tylko zwolnił, zobaczył, że jego strażnicy wymieniają ukradkowe spojrzenia i niezbyt dobrze skrywane westchnienia ulgi. Aha, niewiele wiedzą — pomyślał.

Gdy wyjechali poza tereny uprawne Forst Reach, znaleźli się w kompletnie dzikich ostępach leśnych leżących między Forst Reach i najbliższą posiadłością w kierunku wschodnim, Brodem Pryther. Ten kawałek ziemi umyślnie pozostawiono nie zagospodarowany. W żadnym z sąsiadujących majątków nie było wystarczającej liczby ludzi, aby go uprawiać, a las dostarczał drewna i ponad połowy mięsa zjadanego co roku w obu posiadłościach.

Tylko wytrawni znawcy dzikich ostępów mogli tak spokojnie podróżować przez ów gęsty bór. Vanyel zaś nie miał zielonego pojęcia, jak przetrwać w lesie.

Sama droga była pełną kolein, ubitą, zakurzoną ścieżką, wijącą się w tunelu z konarów drzew. Gałęzie nad głowami były tak grube, że tworzyły coś na kształt zielonego półcienia. Choć słońce rozpędzało już mgłę poza lasem, tutaj wciąż smużki mgiełki snuły się między drzewami i kładły na drodze. Tylko pojedyncze promyki słońca przezierały przez baldachim z liści, aby dotknąć ziemi. Z obydwu stron ścieżkę obrastały gęste krzaki. Przebłyskująca tu i ówdzie czerwień zdradzała, że są to zapewne krzewy czarnej porzeczeki posadzone, aby utrzymać niedźwiedzie i inne drapieżniki z dala od drogi. Nawet gdyby Vanyel myślał o ucieczce, nie byłby aż tak nierozważny, aby rzucać się w nieprzyjazne objęcia tej gęstwiny, a tym bardziej nie chciałby narażać delikatnej skóry Gwiazdy na bolesne ukłucia kolców.

Za krzakami, jak daleko Vanyel sięgał wzrokiem, podszycie lasu było płatanią nieznanymi roślin, wśród których przepadłby z kretelem.

Nie, nic nie kusiło go do ucieczki, a poza logicznymi, były też inne argumenty

przemawiające przeciwko niej.

Pod osłoną zarośli zdawały się czaić jakieś dziwne stwory — jakieś poruszające się bezgłośnie widma.

Nie podobały się Vanyelowi te cienie skradające się za krzakami i snujące się między smugami mgły. Nie zwracał już nawet uwagi na drogę, która ciągnęła się przed i za nimi setkami metrów, nim wtopiła się w głęboki las. Tajemnicze cienie przywodziły na myśl zbyt wiele opowieści i baśni, a do Pogranicza z jego niesamowitymi stworami nie było aż tak daleko.

Las robił na Vanyelu wrażenie podejrzanego spokojnego. Tylko czasami ptak odezwał się gdzieś w górze, ponad głuchymi dźwiękami podków końskich na drodze, ale i tak jego głos zdawał się zawsze dobiegać z oddali. Żaden powiew wiatru nie poruszał liści nad głowami i nie było wiewiórek przebiegających wśród gałęzi, by skarcić nieproszonych gości. Oczywiście wydawało się dość prawdopodobne, że swą obecnością płoszyli wszelką zwierzynę, która znała ludzi i obawiała się ich, gdyż w lasach tych odbywały się regularne polowania. Byłoby to dość logiczne wytłumaczenie ciszy panującej wśród drzew.

Wyobraźnia Vanyela jednakże malowała inny, bardziej ponury obraz tego, co mogło się czaić za każdą niemal rośliną.

Chociaż zrobiło się dość ciepło i należało się spodziewać postoju, tak naprawdę Vanyel cały czas miał nadzieję, że wcale się nie zatrzymają. Jak dotąd jego pancerz obojętności chronił go przed presją z zewnątrz, lecz teraz, pod wpływem wewnętrznego napięcia podsycanego bujną wyobraźnią pojawiło się na nim pęknięcie. Czuł się wręcz nieswojo, gdy w południe zatrzymali się na popas, i dopiero w momencie kiedy znowu usadowili się w siodłach i wyruszyli w dalszą drogę, odetchnął z ulgą. Jedynym sposobem, jaki pomógł mu utrzymać nerwy na wodzy, było skoncentrowanie się na myśli o tym, jak dobrze poradził sobie z lordem Withenem. Wspomnienie wyglupionej twarzy ojca dawało mu wielką satysfakcję. Withen ujrzał wszakże nie Vanyela chłopca — ujrzał mężczyznę na swój sposób panującego nad sytuacją, w której się znalazł, a to wyraźnie nie było dla niego przeżyciem przyjemnym.

Gdy tylko wraz z zachodem słońca, w lesie zaczęło się ściemniać, Vanyel z ulgą dostrzegł, że drzewa się przerzedzają, a przed nimi otwiera się ogromna polana. Bardzo się ucieszył, widząc stojący na niej zajazd, jak również i to, że jego strażnicy wyraźnie mieli zamiar zatrzymać się tam na noc.

Pozostając wciąż na kamienistej, zakurzonej drodze, zbliżyli się do zajazdu od strony głównego wejścia i przez bramę wjechali na podwórko. Tam opiekunowie Vanyela wstrzymali konie i poczęli rozglądać się za stajennym. Vanyel też zsiadł z konia i dopiero wówczas uświadomił sobie, jak bardzo zeszywniałe i obolałe stało się całe jego ciało.

Gdy pojawił się parobek, aby zaopiekować się Gwiazdą, Vanyel bez słowa oddał mu cugle, a potem zaczął przechadzać się w poprzek podwórka przed stajnią, próbując odzyskać czucie w nogach. Tymczasem jeden z wojów zniknął w drzwiach zajazdu, drugi zaś zdjął z mułów tłumoki i przekazał je w ręce innych parobków.

Dopiero w tym momencie Vanyel zdał sobie sprawę, że nie zna nawet imion swych strażników.

Niepokoilo go to. Miał przecież spędzić z nimi dużo czasu, a oni, mimo że towarzyszyli mu już cały dzień, nie raczyli się nawet przedstawić. Vanyel był zmieszany i czuł się nieswój. Chociaż...

Im mniej będę się czymkolwiek przejmował, tym lepiej mi będzie — pomyślał.

Zamknął powieki i przywołał obraz swego śnieżnego pola. Ledwie lodowa kraina pojawiła się znów przed jego oczami, natychmiast poczuł spływający nań chłodny spokój i odrętwienie.

Ignorując drugiego strażnika, zaczął rozglądać się dookoła i z lekkim zaskoczeniem spostrzegł, że zajazd był wielki, dużo większy, niż wydawał się wtedy, gdy patrzyło się na niego od strony drogi. Gdy podjeżdżali, Vanyel widział tylko front budynku, a teraz mógł zobaczyć cały piętrowy kompleks przynajmniej pięć razy większy od małej karczmy wiejskiej w Forst Reach. Ściany, aż do wysokości piętra, zbudowane były z kamienia, wyżej z drewna, a dach pokrywała gruba strzecha. W niej właśnie ptaki, których tak brakowało Vanyelowi w lesie, zdawały się znaleźć sobie szczęśliwą siedzibę. Teraz, przygotowując się do nocy, wszczynały swymi trelami istny jazgot. Wraz ze stajniami zajazd formował trzy boki kwadratu wokół podwórka, które z czwartego boku otwarte było na porośnięte trawą pole, najwyraźniej przygotowane dla handlarzy i ich wozów. Stajnie, także dość obszerne, dorównywały rozmiarom stajniom lorda Withena, który był przecież liczącym się hodowcą koni.

Choć nie zaczęło się jeszcze ściemniać, od strony lasu skradały się już błękitne cienie. Robiło się też coraz chłodniej, co po dość upalnym dniu było raczej nieprzyjemną niespodzianką. Tym bardziej więc widok zbliżającego się drugiego woja w towarzystwie dwóch służących z zajazdu szczerze uradował Vanyela.

Udając zatopionego w kontemplacji chylącego się ku zachodowi słońca, Vanyel wyteżył słuch, aby dowiedzieć się, co mają sobie do powiedzenia jego strażnicy.

— Jakieś kłopoty, Garth? — zapytał ten, który pozostał Vanyelem na zewnątrz. Drugi schylił się właśnie, aby podnieść jeden z tłumoków i skinął na służących, by zabrali pozostałe.

— Nie — zachichotał. — O tej porze lata z przyjemnością przyjmą dobrą zapłatę. Od tych domokrażców, którzy się tu zwykle zatrzymują, dostają przecież marne grosze. Tak jak kazał nasz pan, dali nam pokój na piętrze, obok Jego Wysokości. Nasz jest od strony korytarza i chłopak będzie musiał przejść przez

niego, żeby dostać się do swojej izby. Nie ma mowy, żebyśmy nie zauważyli, jeśli będzie chciał się wymknąć. Poza tym pokoje są na piętrze, więc wystarczy tylko przysunąć łóżko do drzwi, a nasz panicz w ogóle nie będzie mógł wyjść ze swej sypialni.

Vanyel zamarł. Zasłyszane słowa rozwiały nikły cień nadziei, że może uda mu się z tych dwóch uczynić swych sprzymierzeńców. To dlatego trzymają się na dystans. Wyprostował się i przybrał znów tę samą chłodną maskę obojętności, która tak dobrze służyła mu rano w konfrontacji z ojcem. Przecież można się było tego spodziewać. Byłem głupcem myśląc, że zdołam zjednać sobie ich sympatię.

Vanyel odwrócił się twarzą do swych opiekunów.

— Ufam, że wszystko w porządku — powiedział, nie okazując cienia jakichkolwiek uczuć, poza znużeniem. — A zatem wejdziemy? — Skinął lekko w stronę drzwi prowadzących do zajazdu, gdzie jaśniało zachęcające, złote światło.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył stanowczym krokiem w tamtym kierunku, zostawiając ich w tyle.

Posępny wzrokiem wpatrywał się w świecę przy swym łóżku. Nie było tam nic więcej, na czym można by zawiesić oko. Pokój nie miał nawet okien. Poza tym nie różnił się wiele od jego izdebki w Forst Reach. Był co prawda dość surowy i nie wywietrzony, lecz ogólnie robił dość dobre wrażenie. Bez okien jednak stawał się więzieniem.

Umeblowanie było dość oszczędne: łóżko, krzesło, stół. Brakowało kominka, lecz w tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Było przecież lato, a poza tym w całym budynku panował wręcz zaduch. Wszystkie cztery torby Vanyela piętrzyły się w rogu pokoju, a lutnia, wciąż w pokrowcu, stała o nie oparta.

Zapytał o kąpiel i okazało się, że jego opiekunowie woleli potrudzić się trochę, przynosząc mu balię i wodę do pokoju, zamiast pozwolić, aby sam zszedł na dół do łaźni. Woda była wprawdzie letnia, a balia niewielka, lecz Vanyel postanowił nie narzekać i zachowywał się zupełnie tak, jak gdyby dokładnie takiej balii i wody sobie życzył. Dzięki temu zyskał przynajmniej tyle, że strażnicy nie nalegali, aby pozostać w pokoju i przyglądać mu się w czasie kąpieli.

Mimo to jeden z nich eskortował go do wygodki i z powrotem. Wystarczyło, aby Vanyel zrobił kilka kroków w kierunku wychodka, a mężczyzna o imieniu Garth natychmiast rzucał wszystko i podążał w ślad za nim, trzymając się jakiegoś sześć kroków w tyle. Było to tak upokarzające, że Vanyel nie odezwał się do niego ani słowem i zwyczajnie zignorował jego obecność.

Wojowie nie zapytali go nawet, co życzy sobie zjeść na kolację. Po prostu przynieśli ją na tacy, podczas gdy on brał kąpiel.

Nie był szczególnie głodny. Zjadł trochę chleba z masłem i serem, i świeże owoce. Chleb był dużo lepszy od tego, który dostawał w domu, ale na resztę

— gotowanego kurczaka, gęsty sos i knedle szybko stygnące i zamieniające się w tłustą, zakrzepłą masę — nie miał ochoty. Już pierwszy kęs jedzenia urósł mu w ustach, szybko więc zrezygnował z przymuszania się do przełknięcia czegokolwiek więcej.

Nie chciał też siedzieć i patrzeć na bałagan na talerzu.

Dlatego wziął tacę, otworzył drzwi, wszedł do drugiego pokoju i postawił wszystko na stole zawalonym drobiazgami z ekwipunku podróżnego i różnymi przyborami przygotowanymi do mycia.

Obydwaj mężczyźni podnieśli wzrok na wchodzącego. W świetle świec widać było ich szeroko otwarte, przestraszone oczy. Jedynymi dźwiękami mącącymi ciszę był dochodzący od strony okna równomierny łopot zasłon falujących pod wpływem lekkich podmuchów wiatru i bzykanie muchy latającej nad jedną ze świec.

Vanyel wyprężył się, zwilżył wargi i wbił wzrok w punkt na przeciwległej ścianie, pomiędzy i ponad ich głowami.

— Każdy korytarz w tym budynku prowadzi do izby rekreacyjnej, a więc raczej nie mogę wam uciec — powiedział tonem zabarwionym taką dozą znudzenia i obojętności, na jaką tylko potrafił się zdobyć. — Poza tym w stajni śpią parobcy, a wy niewątpliwie rozmawialiście już z nimi. Mało prawdopodobne, abym wyszedł przez okno i uciekał piechotą. Możecie śmiało iść się zabawić w izbie rekreacyjnej. Możecie być strażnikami mojego więzienia, ale nie oznacza to, że musicie też więzić w nim siebie.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się gwałtownie i zamknął za sobą drzwi sypialni.

Wstrzymał oddech i przyłożył ucho do drzwi, usiłując podsłuchać, co też powiedzą teraz ci w pokoju obok.

— Ha — zaczął ten o imieniu Garth po chwili milczenia najwyraźniej spowodowanego szokiem. — Co o tym myślisz?

— Zdaje się, że to nie taki postrzeleniec, jak nasz pan myśli — odparł drugi z rozważą. — On dobrze wie, co się dzieje. Nie powiem, żeby zadzierał nosa mniej niż zwykle, ale na pewno nie jest głupkiem. Ani trochę.

— Nigdy nie widziałem naszego pana tak rozgniewanego — powoli rzekł Garth. — Nigdy nie widziałem, żeby jakiś lord go tak zaskoczył, a co dopiero taki żółtodziób. I nigdy nie widziałem, żeby ten chłopak tak się stawał. Chłopak zrobił się ostry i porywczy. Może nawet za ostry?

— Hm. Nie... — mówił drugi. — Nie, myślę, że tym razem miał rację. — Chwila ciszy i śmiech. — Wiesz co, coś mi się zdaje, że Jego Wysokość nie życzy sobie wysłuchiwać naszego gadania. Może go nudzimy, co? Do diabła, jeszcze jeden kufelek piwa chyba by mi nie zaszkodził. Co ty na to?

— No, jeśli ty stawiasz, Eryku...

Vanyel usłyszał, że drzwi na korytarz otworzyły się, potem zamknęły i głosy obu mężczyzn zamilkły.

Wypuścił zatrzymane w płucach powietrze, przeszedł dwa kroki dzielące go od stołu i opadł na twarde drewniane krzesło.

Jestem zmęczony, bogowie, taki zmęczony. Ta farsa kosztuje mnie więcej, niż przypuszczałem.

Wbił otepiały wzrok w płomień świecy, a potem zwrócił oczy ku jasnym, migotliwym refleksom tańczącym na brązowej, glinianej butelce stojącej obok.

To ohydne wino, ale wino. Chyba mógłbym się upić. Nie ma przecież nic innego do roboty. Przynajmniej nic takiego, co tamci pozwoliliby mi robić. Bogowie, oni myślą, że jestem jakimś ograniczonym zarozumialcem. „Jego Wysokość”, rzeczywiście.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego miałbym się przejmować tym, co sądzą o mnie jacyś dwaj wojowie? Dlaczego w ogóle miałyby mi zależeć na ich przychylności? Właściwie kim oni są? Niby jakimi ważnymi osobistościami mieliby być? Zajmują pozycję zaledwie o szczebel wyższą niż grzebiący się w piachu chłopi! Dlaczego miałyby mnie obchodzić, co oni myślą? Poza tym oni i tak nie mają żadnego wpływu na to, co się ze mną stanie.

Znów westchnął i spróbował skupić w sobie jeszcze więcej tej znieczulającej obojętności, która z takim powodzeniem pomogła mu przetrwać cały ów paskudny dzień.

Na początku nie udawało się. Ciągłe coś stawało mu na przeszkodzie. . .

Nic się nie liczy — powtarzał sobie z surowością. — A już najmniej to, co oni sobie o mnie myślą.

Znów zamknął oczy i tym razem udało mu się wezwać powiew chłodu tamtego sanktuarium ze snu. To mu przyniosło ulgę.

Po chwili podniósł się ze skrzypiącego krzesła i zaczął się zastanawiać, czym mógłby się zająć. Może ujarzmić myśli płynące przez głowę w strofy kilku pieśni? Wnet jednak porzucił ten zamiar, gdyż w tym właśnie momencie uświadomił sobie, że słyszy przytłumione, niewyraźne i rozproszone dźwięki dobiegające z izby rekreacyjnej, która musiała znajdować się piętro niżej, w odległości kilkudziesięciu metrów.

Zwłaszcza śmiech dał się słyszeć bardzo wyraźnie. Vanyel przygryzł wargi, zastanawiając się, kiedy ostatnio sam się śmiał, i szybko doszedł do wniosku, że nawet nie pamięta.

A niech to, jestem lepszy od nich, nie potrzebuję ich, nie potrzebuję ich głupiej akceptacji!

Sięgnął pośpiesznie po butelkę, napenił gliniany kubek bladą, kwaśną cieczą i wychylił go. Nalał drugi, ale zostawił go na stole. Wstał i podniósł stojącą w kącie lutnię. Zdjął z niej połatany pokrowiec i — nim wino zdążyło uderzyć mu do głowy — zaczął ją stroić.

Istniała przynajmniej muzyka. Muzyka była zawsze. Nigdy też nie ustawała chęć do podjęcia próby odzyskania tego, co utracił.

W kilka chwil instrument był już ładnie nastrojony. Była to jedyna rzecz, jaką minstrel — „Jak on miał na imię? Chyba Szansę” — szczerze wychwalał. Mówił, że Vanyel ma słuch absolutny. Podczas swego pobytu w Forst Reach, Szansę powierzył mu nawet obowiązek strojenia swych instrumentów.

Położywszy lutnię delikatnie na narzucie okrywającej pościel, Vanyel przysunął stół do łóżka. Oparł się o jego wezgielce, zwinął się w kłębek i z butelką i kubkiem w zasięgu ręki rozpoczął ćwiczenie palców.

Może było to zasługą wina, ale tym razem ręka nie bolała go już tak bardzo.

Butelka była już do połowy opróżniona, a wino dawno zaczęło szumieć Vanyelowi w głowie, gdy nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Przerwał w środku frazy i zmarszczył czoło. Był przekonany, że przypadkiem usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z sąsiedniego pokoju. Pukanie jednak powtórzyło się, delikatne, lecz stanowcze, i nie było już wątpliwości, że dobiega od strony drzwi.

W nadziei, że rozjaśni mu to umysł, potrząsnął lekko głową i położył lutnię w rogu łóżka. Wziął głęboki oddech dla uspokojenia myśli, wyprostował nogi, wstał i lekko chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

Uchylił je, spodziewając się, że zobaczy jednego ze swych strażników, który będzie mu kazał uciszyć się i pozwolić spać innym.

— Och! — westchnęła stojąca w progu młoda dziewczyna, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Miała na sobie liberię służących z zajazdu. Vanyel przyłapał ją właśnie, gdy uniosła rękę przygotowaną do zapukania po raz trzeci. Pokój wojów znajdujący się za jej plecami był pusty i pogrążony w niemal całkowitej ciemności.

— Tak? — powiedział mrugając oczami, które na moment przysłoniła mgła. Kiedy wstał, wino jeszcze bardziej uderzyło mu do głowy.

— Och... ja tylko... — Dziewczyna nie była aż tak młoda, jak wydawało mu się początkowo, ale dosyć ładna. Miała ciepłe brązowe oczy i kręcone ciemne włosy. Wyglądała trochę jak marna kopia Melenny. — Tylko... nie byłeś na dole z innymi, mój panie, i zastanawiałam się, czy czego nie potrzebujesz.

— Nie, dziękuję — odparł Vanyel, wciąż nie mogąc pojąć, dlaczego ona tam stoi. Ze wszystkich sił próbował wyłowić jakąś sensowną myśl z zamętu, jaki zapanował w jego głowie pod wpływem wina. A może... ten wojak, Garth, przysłał ją, żeby sprawdziła, czy Vanyel jest wciąż tam, gdzie być powinien?

Sznurówki miękkiej, żółtej bluzki, którą miała na sobie, rozluźniły się i bluzka ześlizgiwała jej się z jednego ramienia, odsłaniając je wraz ze sporą partią kształtnej piersi. Dziewczyna zwilżyła wargi i przybliżyła się do niego jeszcze bardziej, prawie stykając się z nim nosem.

— Jesteś pewny, mój panie? — szepnęła. — Jesteś pewny, że nic ci nie przychodzi do głowy?

Wielkie nieba — zorientował się nagle — ona próbuje mnie uwieść!

Użył więc sposobu, który zazwyczaj dawał dobry rezultat w przypadku dam jego matki. Przybrał lodowaty wyraz twarzy.

— Zupełnie pewny, dziękuję, panienko.

Dziewczyna była albo bardziej od niego odporna na tak szorstkie traktowanie, albo drobne niuanse reakcji jej rozmówcy w ogóle nie docierały do jej świadomości.

Była też trzecia możliwość: doszła do wniosku, że Vanyel ze swą sakiewką jest zbyt atrakcyjny, aby wypuścić go z rąk bez walki.

— Mogę przygotować ci łóżko, mój panie — nalegała i wsunawszy rękę przez drzwi, przesunęła dłoń po jego pośladkach i nodze. Był ubrany tylko w koszulę i pończochy i tę niezbyt subtelną pieściznę przyjął z lękiem; nieomalże wpadł w panikę.

— Nie, proszę! — jęknął zaskoczony. Wysoki, zduszony okrzyk przestraszył ją wystarczająco, by cofnęła ramię. Zatrzasnął drzwi przed samym jej nosem i przekręcił klucz w zamku.

Z uchem przyciśniętym do szpary w drzwiach czekał na jakiś wybuch. Ale nic takiego nie nastąpiło. Dziewczyna mruczała tylko coś do siebie i Vanyel odniósł wrażenie, że jest nawet dość zakłopotana. Po chwili jednak usłyszał jej oddalające się kroki, a potem dźwięk otwierających się i zamykających drzwi na korytarz.

Zatoczył się i ciężko opadł na łóżko. Sięgnął po lutnię, rozstroił ją i włożył z powrotem do pokrowca podróżnego.

W końcu chwycił butelkę i wypił wino, wlewając je do gardła tak szybko, jak tylko mógł.

O panie... o bogowie. Co za głupiec ze mnie. Po tym wszystkim, co wydarzyło się dziś rano, po tym, jak zacząłem wreszcie odczuwać, że udaje mi się zapanować nad pewnymi sprawami, zachowuję się jak głupiec. Jak dzieciak. Jak dziecko, które nigdy nie widziało ladacznicy.

Palił go wstyd na samą myśl o tym, że dziewczyna pójdzie na dół i opowie strażnikom, co zaszło. Pił jeszcze szybciej.

Zanim stracił świadomość, przypomniał sobie, aby odkluczyć drzwi i zgasić świecę. Jeśli jego opiekunom, „Słońcu” i „Cieniowi”, przyjdzie do głowy sprawdzić, czy jest grzeczny, wolał, aby nie wyłamywali drzwi. Byłoby to jeszcze bardziej upokarzające niż odprowadzanie do wygodki czy naśmiewanie się z powodu dziewczyny.

Nigdy nie byłem tak pijany — pomyślał w zamroczeniu opadając z powrotem na łóżko. Rano na pewno będę miał potworny ból głowy... Parsknął bez entuzjazmu. Jeśli będzie po mnie znać, że się upiłem, uszczęśliwie przynajmniej „Lojalnego” i „Wiernego”. Jeżeli nie będą mogli donieść ojcu, że próbowałem uciec, to

przynajmniej powiedzą mu, że przy pierwszej lepszej okazji spałem się jak bela. Może powinienem był wpuścić dziewczynę do środka. Nie pierwszy raz spałbym z kimś, na kim mi w ogóle nie zależy. Dostarczyłbym moim wojom jeszcze jednego wątku do opowieści, jakie będą snuli na mój temat. O bogowie, co się ze mną dzieje? Mekeal wciągnąłby ją do łóżka, nim zdążyłaby mrugnąć! Co mi jest?

Przewrócił się na bok i zastygł w bezruchu, ale nawet wtedy zawroty głowy nie ustały. Wciąż zdawało mu się, że cały pokój wiruje wokół niego.

A... z drugiej strony... o nie, lepiej nie ryzykować. Nawet tutejsze wino jest wstrętne. Niedobrze mi się robi na samą myśl, skąd się biorą te wszystkie dziewczyny, albo co robiły przedtem.

Ale dlaczego nie reaguję tak jak wszyscy? Dlaczego jestem inny?

Nazajutrz rzeczywiście pojawił się ból głowy, choć na szczęście niezbyt uporczywy. Żołądek wprawdzie też nie sprawował się najlepiej, ale nie zanosilo się na nudności. Słowem — skutki przesadnego raczenia się winem poprzedniego wieczoru dawały się Vanyelowi we znaki, lecz nie były tak dokuczliwe, jak się tego spodziewał. Ponadto czuł się dziwnie na wszystko zobojętniały, bardziej nawet niż przedtem. Może to zamroczenie alkoholowe oczyściło go z czegoś ostatniej nocy, z jakiejś straconej nadziei, z chęci podjęcia ostatniej próby uchwycenia życia, którego i tak nikt nie pozwoliłby mu zatrzymać.

Włożył skórzany strój do jazdy konnej i ogarnął się najstaranniej, jak potrafił, nie mając w pokoju lustra. Nie założył tylko tuniki, ponieważ zanim jeszcze dosiędzie Gwiazdę, zamierzał zmoczyć sobie głowę w zimnej wodzie pod pompą na podwórku. Wyszedł ze swej sypialni wprost w światło poranka, wpadające z zewnętrznego pokoju. Żałosne szczątki tych, którzy jeszcze ostatniej nocy byli jego żwawymi i czujnymi opiekunami, omiótł nie widzącym spojrzeniem, które — miał nadzieję — nie wyrażało nic ponad chłodną beznamiętność.

Przez moment łudził się, że dziewczyna nic im nie powiedziała.

Opiekunowie okazali się być w stanie o wiele gorszym niż on sam — wyraźnie zafundowali sobie noc pełną rozrywek. Sądząc po ich zamglonych oczach, cierpkim, lecz zaspokojonym wyrazie twarzy i wymiętoszonych pośłaniach, Vanyel doszedł do wniosku, że nie oszczędzili sobie uciech. Sam nie był aż tak niewinny, aby nie rozpoznać pewnych... zapachów... unoszących się w powietrzu, zanim Garth zdążył otworzyć okno. Vanyel był ostatniej nocy tak zadowolony z tego, że się upił, iż nie zauważył nawet, kiedy udało im się sprowadzić swe przygodne znajome. Może ta pokojówka, odrzucona przez Vanyela, w towarzystwie Gartha i Eryka odnalazła to, czego szukała.

Vanyel nabierał pewności, że szelmowskie spojrzenia, jakimi obrzucili go obaj wojowie, gdy wszedł do ich pokoju, wskazują raczej na to, że dziewczyna nie zrelacjonowała im, w jaką wpadł w panikę na jej widok.

Może była zbyt zajęta — pomyślał. Jeśli tak jest w istocie, dzięki wam, bogowie.

Ze swymi dolegliwościami poradził sobie Vanyel w dość skuteczny sposób. Na jego prośbę przyniesiono mu z kuchni gorącego naparu z wierzby, a spacer do wygodki, oczywiście pod starannym dozorem Gartha, udało mu się przeciągnąć na tyle, aby zmoczyć sobie głowę pod pompą koło stajni i uspokoić w ten sposób pulsujący ból w skroniach. Woda była bardzo zimna i Vanyel wkładając głowę pod lodowaty strumień zobaczył, że Garth aż się skrzywił na ten widok.

Tak Vanyel poradził sobie z bólem głowy. Z żołądkiem poszło mu jeszcze łatwiej. Pił tylko herbatę i jadł wyłącznie chleb, delikatny ser oraz owoce.

W ten sposób szybko odzyskał jakieś takie samopoczucie i był przygotowany do dalszej drogi. Jego strażnicy jednak nie mieli tyle szczęścia, albo raczej rozsądku. Ich lekarstwa bowiem składały się z dość odpychającej mikstury z surowych jaj oraz ciężkiej dawki piwa, które przecież było powodem ich marnego stanu.

W następstwie tej niezbyt skutecznej kuracji, ich wyjazd opóźnił się aż do późnego przedpołudnia. Vanyel nie miał nic przeciwko temu. Zanim się ściemni, wyjadą z lasu. Przynajmniej tak powiedział Garthowi właściciel zajazdu, a Vanyelowi nie zależało teraz na niczym więcej.

Dosiadając koni, Garth i Eryk wciąż zdawali się trochę zielonkawi na twarzach i żaden z nich nie wyglądał na skorego do rozmowy. Było to dość wygodne dla Vanyela. Dzięki temu będzie mógł bardziej skoncentrować się na utrzymywaniu dystansu między sobą samym a światem. Pozwoli mu to też pomyśleć trochę w spokoju.

Na wschód od zajazdu las nie wydawał się już tak groźny. Może dlatego, że właśnie po tej jego stronie polowano częściej. Podszycie lasu z pewnością nie było tutaj tak bujne, a gałęzie drzew nie tak gęste. Vanyel odczuwał satysfakcję widząc, jak Eryk i Garth unikają promieni słońca, które tutaj przenikały przez korony drzew o wiele częściej niż w zachodniej części lasu.

Było cieplej niż wczoraj i Vanyel zdjąwszy skórzaną tunikę, schował ją do jednego z tłumoków.

Nie dostrzegając pod drzewami żadnych skradających się cieni, poczuł się nieco swobodniej, dzięki czemu mógł skierować myśli ku własnemu wnętrzu i zastanowić się, do czego właściwie dąży i co pragnie osiągnąć swym postępowaniem.

Nietrudno się domyślić, co ojciec powiedział tej starej jędzy. To dość oczywiste. Pytanie brzmi: co ona ma zamiar zrobić?

Usiłował wyłowić z pamięci wszystko, co kiedykolwiek słyszał o swej ciotce i o heroldach w ogóle.

Na pewno jej powiedział, że mam się uczyć władania bronią. A jak — to zależy od niej. Teraz, kiedy myślę o tym... a niech to, gdyby to nie herold napisał tę książkę, przez którą wpadłem w tarapaty! Może... może właśnie tam powiedzie mi się lepiej! Ha, kiedy teraz o tym myślę, nie wyobrażam sobie, żebym mógł

znaleźć się w gorszym położeniu.

Gdzieś nad jego głową zaśpiewał ptak i Vanyel lekki przyływ nadziei. Nie ważne, kto będzie moim nauczycielem, nikt nie może być gorszy od Jervisa, ponieważ — ktokolwiek to będzie — nie będzie miał do mnie urazy. Najgorsze, co może mi się przytrafić, to ktoś w rodzaju Jervisa, ale bez uprzedzeń wobec mnie. Nawet w takim układzie będę miał szansę na przetrwanie, jeśli tylko uda mi się przekonać mojego nowego fechtmistrza, że jestem kompletnym głupcem i niezdarą, i jeśli nie będę się wychylał. Głupcy i niezdary są niezdolne do nauczenia się czegokolwiek, nawet Jervis to wiedział.

I znów zaśpiewał gdzieś ptak, przypominając mu, że istnieje jeszcze problem muzyki. Ojciec na pewno wydał rozkazy, aby nie dopuszczano mnie do bardów, chyba że pod okiem Savil. Ale jeśli ona jest równie niewrażliwa na muzykę jak jej brat, może to oznaczać, że nigdy nie uczestniczy w dworskich zabawach, poza wypadkami, kiedy zmusza ją do tego jakaś szczególna sytuacja. Westchnął. No cóż, i tak nigdzie nie może być gorzej niż w domu, gdzie prawdziwego barda widziałem tylko raz w życiu. Tam przynajmniej będą na miejscu. Może, gdy uda mi się odzyskać sprawność w palcach, będę mógł grać i któryś z nich mnie usłyszy. . .

Prędko jednak porzucił tę ostatnią myśl. Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Nie mogę sobie pozwolić na łudzenie się nadzieją.

Gwiazda szarpnęła niespokojnie. Domagała się swej codziennej porannej porcji galopu. Ściągnął cugle, uspokoił ją i powrócił do swych rozmyślań.

Jedno jest pewne — ojciec najprawdopodobniej powiedział Savil, że jestem bardzo zepsuty. A więc ciotka na pewno będzie czyhała na każdy mój fałszywy krok i założę się, że namówi też swych protegowanych i przyjaciół, aby mnie obserwowali. To będzie piekło. Piekło bez azylu i bez Liss.

Pograżony w zadumie, spoglądał na Gwiazdę, która strzygąc uszami reagowała na każde jego westchnienie.

Wszyscy mnie znienawidzą, a ty wciąż będziesz mnie kochała. Poklepał szyję klaczy, na co ona odpowiedziała lekko zadzierając łeb.

Do wszystkich diabłów z nimi wszystkimi. Nie potrzebuję ich. Nie potrzebuję nikogo, nawet Liss. Sam sobie poradzę.

Pozostawała jednak jeszcze jedna zagadka. Przypomniał sobie o niej dopiero później, gdy mijali jakieś gospodarstwo. Vanyel zobaczył chłopca w polu, rozmawiającego z jakimś człowiekiem na koniu, prawdopodobnie swym zwierzchnikiem.

Ha — pomyślał — nie wyobrażam sobie, jak ojciec może oczekiwać, że w Przystani Savil zdoła mnie nauczyć zarządzania gospodarstwem. . .

Po plecach przebiegł mu dreszcz.

Chyba że nie oczekuje, abym kiedykolwiek wrócił do domu. Bogowie. . . mógł próbować poradzić sobie ze mną w inny sposób, wysyłając mnie do świątyni. Mógł to zrobić. . . i wówczas to, czy ojciec Leren zdołałby znaleźć mu księdza,

którego przepukstwem można nakłonić do przyjęcia niechętnego akolity, nie miałyby żadnego znaczenia. Zabieg taki mógłby się rzeczywiście powieść. Szczególnie, gdybym trafił do zgromadzenia mieszkającego w klasztorze. Natomiast oddając mnie w ręce Savil, ojciec zyskuje mnóstwo czasu na znalezienie księdza chętnego do spełnienia jego zamierzeń. Niekoniecznie musi informować o wszystkim Savil, po prostu, jak tylko wszystko będzie załatwione, wyśle rozkaz, aby odesłała mnie z powrotem do domu. Potem uprowadzi mnie potajemnie i ogłosi, że odkryłem w sobie powołanie. Ja zaś spędzę resztę życia w jakiejś skalnej grocie. . .

Przełknął ślinę i spróbował poszukać jakichś powodów, dla których można by odrzucić ten wariant i uznać go za paranoidalną fantazję. Jednak każda myśl, która przychodziła mu do głowy, była kolejnym argumentem potwierdzającym, że takie posunięcie ze strony Withena byłoby zupełnie logiczne.

Vanyel starał się przewyciężyć strach, wmawiając sobie, że nim cokolwiek się wydarzy, nie ma powodu, aby przejmować się czymś, co może być tylko urojeniem. Straszna myśl jednak nie chciała go opuścić. Od tamtego dnia powracała często. Stała się wręcz obsesją, niestety nazbyt prawdopodobną.

To wystarczyło, aby przez wszystkie pozostałe dni podróży Vanyel pozostawał zatopiony w swych przepelnionych lękiem rozmyślaniach, a nocami przez długie godziny walczył z bezsennością. Nawet sny, w których przywoływał swą samotną śniegową krainę, nie pomagały mu odpędzić złych myśli.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W porządku, Tylendelu, mogę to uznać, ale nie powiem, żebyś uniknął pewnych błędów — upominała swego protegowanego mag heroldów Savil, wsuwając nogi pod drewniany stołek i gładząc bezwiednie fałdy swej białej tuniki. — Pamiętaj, energia ma przepływać od ciebie na osłonę i z powrotem. Płynnie, nie zrywami. A teraz powiedz mi, dlaczego właśnie tak musi być.

Tylendel, wysoki, uderzająco przystojny szesnastoletni chłopiec o ciemnych blond włosach, kandydat na herolda, zmarszczył brwi, koncentrując się na pytaniu Savil. Ona zaś przyglądała się barierze energetycznej, jaką stworzył wokół siebie, za pomocą jej Magicznego Wzroku. Spostrzegła, że gdy tylko chłopiec skoncentrował uwagę na jej pytaniu, utracił kontrolę nad osłoną i blada, fioletowa kopuła zachwiała się, a jej drżenie wprowadziło w wibrację całe pomieszczenie. Pokój zaczął pulsować w rytm uderzeń jego serca. Savil wiedziała, że jeśli tego nie przerwie, osłona załamie się.

— Tylendelu, tracisz ją — ostrzegła go. Chłopiec skinął głową i spojrzał na Savil, a jego twarz wykrzywił grymas. Nic jednak nie powiedział — jego reakcja wystarczyła za odpowiedź. Pole energetyczne tworzące kopułę przestało falować, wzmocniło się, a jego barwa nabrała intensywności.

— Czy możesz już odpowiedzieć na moje pytanie?

— Myślę, że tak — odparł. — Jeżeli energia nie będzie wędrowała płynnie, to w momentach jej osłabienia odsłonię się na ingerencję z zewnątrz?

— Właśnie — odparła Savil, skinąwszy głową. — Nie myśl jednak o „ingerencji” z zewnątrz, chłopcze. Myśl o „ataku”. Tak jak teraz.

Bez dalszego ostrzeżenia, rzuciła piorun na jego osłonę i z satysfakcją spostrzegła, że wprawdzie sama osłona znacznie się wygięła ku górze i została wchłonięta przez barierę chroniącą całą salę ćwiczeń, jednakże chłopiec, nie mając ani chwili na przygotowanie się do obrony, zdołał odeprzeć atak.

— Teraz było dobrze, mój chłopcze — pochwaliła go, a brązowe oczy Tylendela zaiskrzyły się w odpowiedzi na komplement.

— A więc...

Wtem w sali rozległo się pukanie do drzwi, a Savil, zamiast dokończyć to, co chciała właśnie powiedzieć, z cicha zakłęta ze złością.

— Co tam? — huknęła, odsuwając swój wysoki taboret, po czym obeszła dokoła magiczną barierę Tylendela, by otworzyć drzwi.

Sala ćwiczeń była okrągłym pomieszczeniem osłoniętym stałą barierą energetyczną. Znajdowała się w obrębie części pałacu oddanej do całkowitej dyspozycji magów heroldów. Tutaj właśnie ich protegowani pracowali nad doskonaleniem swych magicznych umiejętności posiadanych dzięki darowi. Osłona sali była niesłychanie stara i posiadała wielką moc. Jej pole energetyczne tłumilo fale dźwiękowe i nawet odgłos Dzwonu Śmierci nie był dość silny, aby się przez nią przebić. Obowiązkiem każdego maga heroldów będącego członkiem Kręgu było zasilać tutejszą osłonę, kiedy tylko mógł poświęcić trochę wolnego czasu i energii. Bariera zawsze musiała zachowywać stałą moc. Musiała być wystarczająco silna, aby tłumić skutki drobnych „wypadków” przy posługiwaniu się magią. Czasami bowiem, nawet przy najdrobniejszych potknięciach młodych adeptów sztuki magicznej, wyzwalala się tutaj energia, która znajdujące się w sali nieliczne sprzęty mogłaby obrócić w drzazgi. Właśnie ze względu na owe „wypadki” ściany sali zbudowane były z kamienia, a umeblowanie ograniczone do kilku zwykłych taboretów i równie zwykłego stołu. Dlatego też każdy mag heroldów już w progu sali nakładał na siebie i swych uczniów osobistą barierę ochronną.

Każde niespodziewane zachwianie równowagi ćwiczącego ucznia mogło się wiązać z niebezpieczeństwem, toteż każdy, kto ważył się przerywać ćwiczenia w tej sali, musiał mieć ku temu bardzo ważny powód.

Savil otworzyła drzwi i rzuciła piorunujące spojrzenie na odzianego w niebieski uniform strażnika pałacowego. Ten stał jak należy — wyprostowany, na baczność.

— O co chodzi? — spytała, pozwalając by jej głos zabrzmiał chłodno.

— Wybacz, magu heroldów — odpowiedział. Jego twarz, podobnie jak całe ciało, nawet nie drgnęła. — Rozkazałaś, aby powiadomiono cię, gdy tylko przybędzie twój bratanek. — Wręczył jej złożony i zalakowany list. — Jego eskorta życzy sobie, abyś to wzięła.

Wzięła list i — nie rzuciwszy nawet nań okiem — wepchnęła go do kieszeni swych bryczesów.

— No dobrze — huknęła. — A więc już go wzięłam.

Westchnęła, a potem rzekła już nieco bardziej uprzejmie:

— Dziękuję, strażniku. Zaprowadź go razem z jego przekłętą eskortą do moich pokoi. Przyjdę do nich, gdy tylko będę mogła.

Strażnik zaszalutował i pospiesznie odwrócił się pięcie. Nim jednak to zrobił, Savil zatrzasnęła drzwi i zwróciła się ku swemu uczniowi.

— W porządku, chłopcze. Jak długo nam to zajęło?

Tylendel położył rękę na swej kędzierzawej czuprynie, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Wystarczająco długo, aby zaczęło mi burczeć w brzuchu. Przykro mi Savil, ale jestem głodny. Pewnie dlatego nie potrafię się porządnie skoncentrować.

Zagroziła mu palcem.

— Ach, ta młodzież i ich żołądki! A co zrobisz, jeśli zgłodniejesz w środku tajemnego pojedynku, co?

— Przekąszę coś — uciał figlarnie Tylendel. Savil w odruchu udanej rozpaczyny wyrzuciła w górę ręce.

— No, dobrze, idź już sobie — rzekła z sympatią, ale widząc, że chłopiec przygotowuje się do rozproszenia osłony przez zatopienie energii w podłożu, znów zagroziła mu palcem. Był to wprawdzie sposób bardzo skuteczny, jednak zupełnie niewłaściwy.

— Zrób to jak należy, mój chłopcze. . .

Tylendel uklonił się z największą dworską galanterią, wywołując jej śmiech.

— Jeśli rzeczywiście ci tak spieszo, aby napchać sobie żołądek, to się nie ociągaj.

Tylendel zabrał się więc jeszcze raz do zdjęcia osłony, tym razem stosując się do wszelkich zaleceń Savil i odnosząc się z wielką uwagą do każdego szczegółu, jak uwolnienie energii bariery i wpuszczenie jej dokładnie w ten sam strumień, z którego ją zaczerpnął. Savil obserwowała jego zabiegi w skupieniu, a potem, gdy opuściwszy miejsce, gdzie znajdowała się przedtem bariera, Tylendel wskazał, że zdjął już wszystkie osłony, skinęła aprobująco.

— Robisz postępy, Tylendelu — powiedziała i przyłożywszy palec wskazujący do czoła chłopca, uwolniła go od energii osłony, pochłaniając ją w siebie. Neutralizując nadmiar energii, przez chwilę poczuła lekkie swędzenie skóry. — Idziesz do przodu szybciej niż się spodziewałam. Jeszcze rok — nie. . . nawet nie rok — i będziesz gotów, aby spróbować swych sił, towarzysząc mi podczas jakiejś misji specjalnej na Pograniczu. Wkrótce potem przywdziejesz Biel.

— Oto cała moja nauczycielka — odparł żartobliwie chłopiec, ujmując jej dłoń i składając na niej pocałunek. Jego długie włosy opadające na jej nadgarstek łaskotały ją. — Jakże mógłbym się oprzeć tak atrakcyjnej kompanii.

Savil wyrwała rękę i delikatnie pociągnęła chłopca za ucho.

— Zabieraj się stąd! Jestem w takim wieku, że mogłabym być twoją babcią, a poza tym oboje wiemy, że moja płęć nie wydaje ci się dość pociągająca!

Tylendel zareagował szerokim uśmiechem i nim Savil zdążyła dać mu delikatnego klapsa, odchylił się i otworzył przed nią drzwi.

— Och, Savil, czyż nie wiesz, że moje serce oddałem swej nauczycielce, lecz wiedząc, że nie mam u niej żadnych szans, nie mogłem zadowolić się kobietą gorszą od. . .

— Wyjdź! — wykrztusiła, dusząc się ze śmiechu. — Kłamco! Wyjdź, zanim zrobię ci krzywdę!

Tylendel puścił się pędem przez wyłożony boazerią korytarz, unosząc ze sobą brzmiały echem śmiech.

Savil zamknęła drzwi sali ćwiczeń, oparła się o ścianę, tłumiąc śmiechem niepokój czający się w jej sercu. A to ci dopiero figlarny diabeł. Ma więcej uroku niż pięciu młodych chłopców, a psoci jak mały kotek! Od lat tak się nie śmiałam, nie tak, jak śmieję się od czasu, kiedy przyjęłam Tylendela na swego protegowanego. Ten chłopiec to skarb. Jeśli tylko uda mi się odciągnąć go od tej bezsensownej waszni, w którą zaangażowana jest jego rodzina, będzie z niego dobry mag heroldów. Pod warunkiem, że go prędzej nie zabiję!

Wciągnęła kilka głębokich haustów powietrza i uspokoiła się. Tymczasem muszę się zająć tym zepsutym dzieciuchem, moim bratankiem — powiedziała do siebie ostro, korzystając z tej myśli, by przywołać się do porządku. Ale nie mam zielonego pojęcia, co z nim począć. No, może z wyjątkiem tego, że chętnie bym go udusiła, ale... to nie jest dobry pomysł. Takie rozwiązanie za bardzo ucieszyłoby Withena. O dobrzy bogowie, ten człowiek stał się w ostatnich latach takim nadętym osłem! Ledwie go poznałam. Ten absurdalny list sprzed tygodnia mógłby równie dobrze napisać nasz ojciec.

Upewniając się, że jej koczek z tyłu głowy nie poluźnił się, przyglądała ręką włosy, obciągnęła tunikę i sprawdziła, czy działa już magiczne zaklęcie zamykające drzwi sali. Zaraz potem, stukając energicznie obcasami o kamienną posadzkę korytarza, skierowała kroki ku swym pokojom, po drodze odwzajemniając skinieniami głowy pozdrowienia mijających ją dworzan i innych heroldów.

Gdyby chociaż Tressa nie zepsuła go w tak skandaliczny sposób, może nawet znalazłoby się w nim coś godnego ocalenia. Ale z tego, co widziałam... Na pewno nie mam czasu sama się nim zajmować. Ha, zastanawiam się... może pośle go na lekcje razem z innymi kandydatami na magów heroldów, a resztę czasu pozostawię do jego dyspozycji. W ten sposób może uda mi się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Jeśli nie odda się hazardowi, polowaniom i dzikim ucztom... Jeśli znudzą go dworskie lekkoduchy...

Otworzyła jedno skrzydło drzwi prowadzących do nowych kwater heroldów i poszła dalej. Jej apartamenty znajdowały się na samym końcu, po lewej stronie korytarza.

Zmiany, zmiany — pomyślała. Pięć lat temu tłoczyliśmy się po cztery osoby w jednym pokoju i nie było nawet miejsca na porządną awanturę. Teraz rozbijamy się w tym nowiutkim budynku, jak garść grochu w wiaderku. A ja rozpieram się w moim apartamencie i ani Jays, ani Tantras nie rzucają mi zasępionych spojrzeń tylko dlatego, że jeden z pokoi stoi pusty. Nie wyobrażam sobie, kiedy będziemy mieli dość ludzi, aby wypełnić te wszystkie komnaty...

Drzwi były lekko uchylone. Pchnęła je i weszła do środka. Zatrzymała się kilka kroków za progiem pokoju i założywszy ręce na piersi, przyglądała się trójce siedzącej na kanapie w głębi pokoju, pod jej kolekcją masek Sokolich Braci.

Właściwie tylko jeden z nich, Vanyel, siedział. Obok niego stali wojowie Withena, w tej chwili nazbyt sugestywnie odgrywający rolę nadzorców chłopca. Niższy, krępy mężczyzna po jego prawej stronie wyglądał, według Savil, na człowieka sprawnie władającego toporem. Ten po lewej stronie zaś, wyższy od tamtego o głowę, smagły na twarzy, robił wrażenie zwykłego woja posługującego się w walce mieczem. Vanyel przysiadł sztywno na brzeжку kanapy między nimi.

Savil westchnęła ciężko, lecz tak, aby nie usłyszeli tego obecni w pokoju goście. Chłopce, przez ten rok nic się nie zmieniłeś na lepsze, chyba że z wyglądu, a z tego nie ma żadnego pożytku. Jesteś zbyt przystojny i dobrze o tym wiesz.

Od czasu kiedy widziała go po raz ostatni, sylwetka Vanyela wyraźnie nabrała szlachetnych kształtów. Jego twarz mogłaby złamać — i prawdopodobnie już złamała — niejedno serce. Szerokie, czarne brwi, wystające kości policzkowe, spiczasty podbródek, zmysłowe usta i nieprawdopodobnie srebrzyste oczy miały w sobie nieodparty urok. Na dodatek cała twarz chłopca otoczona była burzą gęstych, prostych, kruczoczarnych włosów o niebieskim połysku, za jakie większość kobiet dałaby się zabić. Mimo że nie był zbyt wysoki, miał ciało akrobata, harmonijnie umięśnione, wprost idealne.

Teraz jednak przyjął postawę wręcz zuchwałą. Z ustami zasnurowanymi milczeniem, z nadąsaną miną patrzył na Savil wzrokiem, który jednocześnie rzucał jej wyzwanie.

O wielkie nieba. Czy istotnie mam dać wiarę temu, co mówi mój brat, czy ryzykować stwierdzenie, że sporą część wad tego chłopca zawdzięczać można samemu Withenowi, który na siłę próbował zrobić z syna kogoś takiego jak on sam?

Zastanawiając się wciąż, jaką podjąć decyzję, skinęła w kierunku dwóch wojów.

— Dziękuję wam, mili panowie — powiedziała szorstko. — Wspaniale wypełniliście swe zadanie. Możecie odejść.

Wyższy zakasłał niespokojnie i spojrzał na nią z zaniepokojeniem.

— O co chodzi? — spytała wyczuwając, że zanoszą się na coś, co na pewno nie przypadnie jej do gustu. Z pewnością będzie chodziło o jakiś drobiazg wymyślony przez człowieka małostkowego.

— Koń chłopca...

— Zostaje, oczywiście — przerwała, widząc cień bólu w oczach Vanyela i reagując momentalnie, nie tracąc czasu na zastanawianie się, w którą stronę udeżyć.

— Ależ heroldzie, to bardzo cenne zwierzę! — zaprotestował wojak, w niezadowoleniu zaciskając usta. — Lord Withen... mój pan... z pewnością tu jest dość zwierząt...

— Co to ma znaczyć? — warknęła Savil, zwracając się ku niemu z nie ukrywanym gniewem. O bogowie, jeżeli tak wyglądała cała podróż chłopca tutaj, to

nic dziwnego, że jest taki ponury.

Zabrałbyś ze sobą konia chłopca, tak? Ty wstrętny, mały... — Opanowała się i przedstawiła im swe niepodważalne argumenty, które z kolei oni mieli przekazać swemu panu. W końcu wypełniali tylko rozkazy.

— Myślicie, że prowadzimy tutaj hodowlę? Nie mamy wolnych koni. Chłopiec będzie brał lekcje jazdy konnej, a pieszo nie jest w stanie skakać przez przeszkody!

— Ależ... — wybełkotał wojak, nie przygotowany na rezygnację. — Z pewnością Towarzysze...

— Towarzyszy dosiadają tylko Wybrani, nikt inny. — Wzięła głęboki oddech i za wszelką cenę próbowała się uspokoić. Była strasznie rozżłoszczona uporem człowieka, który zaczął doprowadzać ją wręcz do wściekłości. Pomyślała, że jeżeli postępowanie woja było próbką tego, co Vanyel znosił przez ostatnie lata, to może rzeczywiście nie powinno się go obwiniać za jego obecne zachowanie.

— Powiedziałam — rzekła, ciskając na mężczyźnę piorunujące spojrzenie — możecie odejść.

— Ale... ja otrzymałem określone rozkazy... mam ci powiedzieć o paru sprawach...

— Odwołuję te rozkazy — ucięła, przywołując cały swój autorytet, nie tylko jako herolda, ale także jako jednej z najpotężniejszych w Kręgu maga heroldów, ustępującej jedynie heroldom samej Królowej, Kasztelana i lorda Marszałka. — Tutaj ja rządę. Możecie powiedzieć mojemu bratu, Withenowi, że to ja zadecyduję o tym, co się będzie dalej działo z chłopcem. Jeżeli pragnie powierzyć młodego Vanyela mojej opiece, musi pogodzić się z moimi postanowieniami. Możecie mu przekazać, że tak właśnie powiedziałam. Żegnam panów. — Uśmiechnęła się jadownicę. — Czy poprosić służbę, aby was odprowadziła?

Nie mieli wyboru, musieli odejść, choć zrobili to z wyjątkową niechęcią. Nim Savil wyjęła z kieszeni przyniesiony przez nich list, odczekała, aż sobie pójda i znajdą się poza zasięgiem głosu. Uniosła zwitek tak, aby Vanyel mógł zobaczyć, że pieczęć nie jest jeszcze złamana, po czym wolno, z namysłem, podarła go na cztery części i rzuciła na podłogę.

Margret obdrze mnie ze skóry — pomyślała kpiąco. W kółko mi powtarza, żebym nie rzucała niczego na podłogę...

— Nie wiem, co Withen miał mi do powiedzenia w tym liście — zagadnęła do obcego, milczącego chłopca. Zastanawiała się, czy na jego ustach maluje się przynębnienie, czy raczej strach. Czy uczucie, które czai się w głębi oczu, to podejrzliwość czy arogancja? — Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Mogę ci jedynie powiedzieć, młody człowieku, że tylko od twojego postępowania zależy, czy utrzymasz się tutaj na powierzchni, czy utoniesz. Powiem ci też, że mam za złe Withenowi to, co zrobił. Zajmuję się już trzema protegowanymi, których ucę, i nie mam czasu na pieszczonienie się z marzycielem. — Mogłam mu od

razu powiedzieć, co myślę naprawdę. I tak prędzej czy później dowie się wszystkiego z plotek. Nie mogę dopuścić, aby łudził się nadzieją, że otoczę go opieką i rozwiążę jego problemy. — Moją intencją nie jest przekształcenie cię w kogoś, kim nie jesteś. Jednakże nie mam też zamiaru pozwolić ci na robienie ze mnie idiotki czy przysparzanie mi jakichkolwiek kłopotów.

Od strony drzwi dobiegł ją jakiś cichy dźwięk.

Nie odwracając się, Savil wyczuła za swymi plecami muśnięcia pełnej zakłopotania myślomowy i zorientowała się, że stoją za nią Tylendel i dwoje innych protegowanych, Mardik i Donni. Jej podopieczni nie spodziewali się znaleźć w pokoju nikogo prócz Savil, dlatego zaskoczeni widokiem swej mentorki rugającej nieznanomego chłopca i zażenowani faktem, że przybyli w tak drażliwym momencie, zatrzymali się w progu.

Oczywiście wycofanie się i udawanie, że nic się nie stało, byłoby jeszcze bardziej nieprzyjemne. Na to było już za późno.

— Gdy tylko uda mi się wszystko zorganizować, zaczniesz pobierać nauki wraz innymi kandydatami na heroldów i kilkoma spośród młodych dworzan — ciągnęła spokojnie Savil, dając jednocześnie ręką znak swojej trójce „dzieci”, by podeszły bliżej. — Vanyelu, to jest Donni, to Mardik, a to Tylendel. Jako uczniowie herolda mają oni większe prawa od ciebie. Chcę, aby było to od początku jasne.

— Tak, ciociu — odrzekł Vanyel, ani odrobinę nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Co te „większe prawa” oznaczają w rzeczywistości, sama nie wiem dokładnie. Chcę tylko, abyś okazywał im grzeczność.

— Tak, ciociu.

— Opiekuje się nami moja służąca Margret. Śniadania i obiady, podawane na zimno, zostawia na tym stole. Kolację będziesz jadał razem z całym Dworem, wkrótce po tym, kiedy cię przedstawię. Jeżeli opuścisz kolację, zadrzesz z nami. Co do lekcji, hmm... Na razie... och... Donni, chciałabym, abyś zabrała go jutro ze sobą i przekazała Kayli. Withen nalegał bardzo, aby ćwiczył władanie bronią i w tym akurat zupełnie się z nim zgadzam.

— Dobrze, Savil — odpowiedziała spokojnie niewysoka uczennica o zmierzwionej czuprynie. Savil z radością w sercu pomyślała o kojącym istnieniu Donni i pobłogosławiła więź życia, która łączyła ją z Mardikiem. Poza śmiercią jednej ze stron, nic nie mogło zagrozić takiej więzi. Dlatego też Savil była spokojna, że piękna twarz Vanyela nie zawróci dziewczynce w głowie.

Mimo wszystko jednak Savil mocno obawiała się wpływu, jaki wywrze pojawienie się jego osoby na młodzież Dworu.

— Mardiku?

Powściągliwy syn chłopca bez słowa skinął głową.

— Po południu zaprowadź go do Kolegium Bardów i powiedz tam, aby przyjęli go na lekcje historii, literatury i... — Zmarszczyła brwi, namyślając się. Tym-

czasem jej trzej protegowani otoczyli ją kołem.

— A może religii? — zaproponował Tylendel. Uniósł jedną ze swych ciemno-złotych brwi i zwięzając z lekka usta, przemówił do swej nauczycielki używając myśłomowy:

— *On jest śliczny, Savil. W głębi duszy musi być albo małym aroganckim draniem, albo bezbronnym chłopcem, któremu zadawano cierpienie przez okropnie długi czas. Szczerze mówiąc, nie potrafię powiedzieć, która z tych możliwości jest prawdziwa. Czy będzie nam aż takim ciężarem, jak przeczuwam?*

— *Nie wiem, chłopcze* — odparła trzeźwo Savil. — *Ale nie trać dla niego głowy, przynajmniej do czasu gdy poznamy prawdę o nim. Nie zakochuj się w nim. Nie mam pojęcia, którą płec woli, lecz nawet Withen nie wspomniał, aby chłopiec był shay'a'chern. Nie chcę znów sklejać twego złamanego serduszka.*

— *Nie ma obawy, nauczycielko.* — Tylendel posłał jej szeroki myślouśmiech. — *Dostałem już za swoje.*

— *Ha, mam nadzieję. Och, Panie Światła... Gdy mieszkaliśmy w starym pokoju Dominika, okazywałam wam chyba dosyć czułości, prawda? Nie zamierzam zaczynać od zranionych uczuć...*

— *O tak, byłaś bardzo czuła i żadne z nas nie chciało się przeprowadzać* — zachichotał Tylendel. — *Może to i pięknie, że w moim nowym pokoju są drzwi do ogrodu, ale są tam też przeciagi jak w Jaskini Wiatrów. Gdybym choć miał kogoś, kto chciałby mnie ogrzać...*

— *Mogę ci podarować psa* — zaproponowała Savil, a jego usta wykrzywiły się, gdy usiłował powstrzymać uśmiech. — *W ten sposób jeden kłopot mamy z głowy.* — Wreszcie powiedziała głośno:

— A zatem, Vanyelu, przed południem będziesz pobierał lekcje historii, literatury, religii oraz władania orężem z Kaylą. Ona uczy młodzież szlachecką i jest bardzo dobra. Jeśli się dowiem, że opuszczasz lekcje, złoję ci skórę.

Słowa te wywołały rumieniec na twarzy Vanyela, lecz nie odezwał się ani słowem.

— Donni, Mardiku, Tylendelu, pomóżcie Vanyelowi przenieść jego rzeczy. Ulokujemy go w izbie z wyjściem na ogród. Dziś rano poprosiłam Margret o jej przygotowanie.

Podczas gdy trzej uczniowie pochyliłi się, aby wziąć każdy po jednym tłumoku, a Vanyel powoli sięgał po czwarty, Savil dorzuciła ostatnią uwagę:

— Vanyelu, jak będziesz spędzał swój czas wolny, to jest wyłącznie twoja sprawa — powiedziała trochę bardziej szorstko niż zamierzała. — Lecz jeśli ściągniesz na siebie jakieś kłopoty, a o to tutaj nietrudno, nie spodziewaj się, że będę cię z nich wyciągać. Nie mogę i nie chcę tego robić. Zmuszono mnie do przyjęcia

ciebie. Twój interes leży w tym, aby nikomu nie zawadzać.

Gdy uczniowie złożyli tłumoki w pokoju, pod drzwiami, Vanyel podziękował im za pomoc, ale jego głos, nawet w jego uszach, zabrzmiał głucho i bezsilnie.

Chłopiec o blond włosach zawahał się przez moment i nim wyslizgnął się z pokoju, posłał Vanyelowi coś na kształt szczerego uśmiechu.

Jednak Vanyel był zadowolony, że nie zwlekali z odejściem. Zamknął za nimi drzwi i oparł się o nie z zamkniętymi oczami. Ten dzień, tak wyczerpujący i pełen zamętu, zdawał się teraz jakimś uczuciowym torem przeszkód, który szczęśliwie udało mu się pokonać.

Najtrudniejsze były ostatnie godziny. Najpierw odesłanie do apartamentów Savil, wraz z Erykiem i Garthem, którzy nagle postanowili zachowywać się jak nadzorcy, później nie kończące się oczekiwanie, w końcu spotkanie.

Jej słowa zaboląły go, choć bardzo chciał, aby tak nie było. Starał się nie brać sobie ich do serca.

Stanął na środku swego nowego pokoju, rozejrzał się i aż zamrugnął powiekami ze zdziwienia.

Pokój był wspaniały. Ciepły i przyjemny, wyłożony drewnianą boazerią i wyposażony w meble ze złocistego dębu był urządzony równie starannie, jak osobista komnata jego matki. Zupełnie nie przypominał jego pokoju w Forst Reach. Przy ścianie stało ogromne łóżko, tak wielkie, że pomieściłoby trzy osoby, przykryte miękką, grubą, czerwoną narzutą. W rogu stała solidna szafa na ubrania, a nie pospolita skrzynia, w której trzymał swe rzeczy w domu. Obok szafy biurko z wyściełanym krzesłem i... o nieba, stojak na instrumenty tuż obok stelaża na zbroję! Przy oknie drugie, jeszcze grubiej wyściełane krzesło, a obydwa obite czerwonym materiałem harmonizującym z narzutą. Własny kominek. Stoliczek przy łóżku i biblioteczka. Ale nie to zdumiało Vanyela najbardziej...

Jego pokój miał własne, oddzielne wejście, coś na kształt małych przeszklo-nych drzwi czy też ogromnego okna wychodzącego na ogród.

Nie mogę w to uwierzyć — pomyślał, wpatrując się z oszołomieniem w przy-strzyżone krzewy i odbicie zachodzącego słońca na rzece za ogrodem. Po prostu nie wierzę. Myślałem, że znajdę się w następnym więzieniu, a tymczasem...

Spróbował otworzyć owe „drzwi-okno”. Nie były zamknięte i rozchyliły się pod dotknięciem jego ręki.

... tymczasem ofiarowano mi absolutną wolność. To nie do wiary! Poczuł, jak kolana uginają się pod nim i zmuszają go, by przysiadł na brzegu łóżka, nim się przewróci. Lekki powiew wiatru, który wpuścił do pokoju otworzywszy okno, wprowadził delikatną tkaninę spełniającą rolę zasłon w leniwy łopot.

O bogowie — pomyślał w oszołomieniu. Nie pojmuję, co mam o tym myśleć. Ciotka najpierw zatrzymuje Gwiazdę, potem upokarza mnie na oczach swych

uczniów, a w końcu daje mi ten pokój, oświadczając mi, że nic dla niej nie znaczę i grozi, że spuści mi lanie. Czemu tutaj dać wiarę?

Za drzwiami, tymi, które zamknął za sobą wysoki blondyn, dało się słyszeć szmery głosów. Brzmią tak swobodnie, tak bezpośrednio — zadumał się. Tamci troje byli do siebie zupełnie niepodobni. Dziewczyna, Donni, mogłaby być siostrą bliźniaczką Eryka, wyglądali na ulepionych z tej samej gliny — mieli czarne kręcone włosy i oboje byli tak samo flegmatyczni. Niższy chłopiec, Mardik, dość ordynarny, barczysty szatyn miał aparycję jednego z chłopów małorolnych Withena. Ale ten trzeci. . .

Na myśl o roślum, pełnym wdzięku blondynie imieniem Tylendel ogarnęło Vanyela nieznane, rozedrgane uczucie. Nie wiedział, dlaczego.

Nawet minstrel Szansę nie wywołał u niego tak głęboko. . . poruszającej emocji.

Za drzwiami rozległ się wybuch śmiechu. Wydaje się, że są tak szczęśliwi — pomyślał Vanyel z nutą smutku, zanim jego serce znów okrył mrok. Prawdopodobnie śmieją się ze mnie.

Do diaska! Zacisnął zęby. Nic mnie to nie obchodzi, nie będę się tym przejmował. Nie potrzebuję ich aprobaty.

Zacisnął jeszcze ciaśniej swój pancerz obojętności, jakże skutecznie izolujący go od świata, i oddał się prozaicznej czynności urządzania się w nowym mieszkaniu. Ze wszystkich sił próbując zwalczyć ogarniające go uczucie osamotnienia, powtarzał sobie bez ustanku, że nic nie ma znaczenia.

Wysmukła dziewczyna, nazywana przez ciotkę Vanyela Donni, popatrzyła spod oka na ochraniacze i zbroje, które Vanyel zdjął właśnie ze stelaża na broń.

— Naprawdę zabierasz to wszystko? — zapytała, rozszerzając ze zdziwienia swe piwne oczy.

Vanyel skinął potakująco.

Donni z niedowierzaniem potrząsnęła głową, a jej grube czarne loki nawet nie drgnęły.

— Nie rozumiem, po co ci to wszystko, ale zdaje się, że to nie moja sprawa. Chodźmy.

Gdy Vanyel się obudził, w apartamencie nie było nikogo, ale na kredensie w dużym pokoju czekał na niego jabłecznik, chleb z masłem, ser i owoce. Widząc, że ktoś — a raczej kilkoro „ktoś” — posiał już znaczne spustoszenie wśród przygotowanego jedzenia, domyślił się, że to śniadanie. Posilił się więc, a następnie odnalazłszy służącego, który wskazał mu drogę do łaźni i wygódek, poszedł się umyć.

Ubrał jedno z najgorszych i najbardziej wytartych rzeczy, domyślając się, że podczas nadchodzącej lekcji fechtunku bardzo się ubrudzi. Gdy wreszcie wytro-

piła go Donni, był już z powrotem w swym pokoju i pogrążony w przygnębieniu, siedział na podłodze, zakładając nowe rzemyki do swej zbroi.

Zebrał swój ekwipunek i podążył za dziewczyną, pozostając o krok w tyle. Wyszli przez szklane drzwi do zalanego słońcem, pełnego zapachów ogrodu, a Vanyel cały czas starał się nie dopuścić do tego, aby jakiegokolwiek miłe spostrzeżenia zdołały przekraść się przez jego skorupę. Donni prowadziła go krętą ścieżką, która zaczynając się przy drzwiach pokoju Vanyela, wiodła wzdłuż kilku grot i stawów rybnych, aby spotkać się z wysypaną żwirem drogą biegnącą wzdłuż rzeki.

Minęli pawilon, który — gdyby jego przegrody zaopatrzyć w drzwi — wyglądałby na stajnię, a potem mniejszy budynek z nim sąsiadujący. Zaraz potem ścieżka gwałtownie skręciła w prawo, kończąc się na bramie umieszczonej w wysokim, drewnianym ogrodzeniu. Do tego czasu Vanyel zdążył już odczuć, że jego ramiona są już znacznie nadwężone; było mu gorąco i spływał po nim pot. Całą nadzieję pokładał w tym, że są już blisko celu.

Było jednak inaczej. Uczennica sprawiająca jak dotąd wrażenie osoby o pogodnym usposobieniu posłała mu uśmiech, który z trudem można było odczytać jako życzliwy, i otworzywszy bramę, zachęcającym gestem skinęła na Vanyela, aby wszedł do środka.

— To tam — powiedziała, wskazując na drugi koniec starannie pielęgnowanego trawnika, rozmiarami przypominającego owiane legendą Równiny Dorisza. Na przeciwległym skraju łąki stał prosty, dość nowy drewniany gmach o wysokich oknach. — Oto sala — wyjaśniała Donni, — Tam właśnie idziemy. Zbudowano ją w zeszłym roku, abyśmy mogli trenować przez cały rok. — Zachichotała. — Myślę, że zmęczyły ich bitwy, które w razie deszczu czy śniegu toczyliśmy wprost na korytarzach pałacu!

Vanyel skinął tylko potakująco głową, zdecydowanie ukrywając wszelkie objawy zmęczenia. Donni zaś ruszyła przez trawnik z takim zapałem, że musiał spiąć wszystkie siły, aby dotrzymać jej kroku. Do momentu kiedy dotarli na miejsce, Vanyel z trudem ukrywał urywający się oddech, a gdy dziewczyna zwolniła, by otworzyć przed nim drzwi, był bliski kompletnego wyczerpania.

Znalazłszy się wewnątrz odkrył, że budowla tworzy tylko jedną, za to ogromną salę zjedną lustrzaną ścianą i drewnianą podłogą, starannie wysypaną piaskiem. W sali znajdowało się już kilkoro młodych ludzi w różnym wieku: od jedenastu, dwunastu lat aż po dwudziestolatek. Większość z nich prowadziła między sobą walki treningowe...

Vanyel był nazbyt zmęczony, aby dokładnie przyjrzeć się ćwiczącym, lecz serce mu zamarło, gdy zauważył, że para znajdująca się najbliżej niego walczy stylem niemal takim samym, jakim posługiwał się Jervis.

— To on?

Za ich plecami rozległ się miękki, melodyjny kontralt. Vanyel odwrócił się gwałtownie, upuszczając część zbroi, którą właśnie miał założyć.

— Tak, pani — odpowiedziała Donni i nim Vanyel zdążył się zarumienić, dziewczyna podniosła z ziemi jego ochraniacz. — Vanyelu, oto fechtmistrzyni Kayla. Kaylo, cały ten ekwipunek należy do niego. Domyślam się, że przywiózł to z domu. Muszę już iść, inaczej nie zdążę na moją lekcję w sali ćwiczeń.

— Niechaj cię bogowie od tego uchronią — rzekła szorstko Kayla. — Gdybyś nie przyszła na czas, Savil zjadłaby mnie na obiad. Nie zapomnij o popołudniowej lekcji władania sztyletem.

Donni skinęła potakująco i zniknęła za drzwiami, zostawiając Vanyela w towarzystwie srogiej fechtmistrzyni.

Kayla bowiem prezentowała się rzeczywiście groźnie. Z jej umięśnionej sylwetki biła wielka siła. Jej czarne włosy splecione w warkocze starannie upięte wokół głowy nie nosiły śladu siwizny, tylko subtelna siateczka zmarszczek w okolicach oczu i ust zdradzała, że jest kobietą niemłodą. Patrząc w jej szaroniebieskie oczy, odnosiło się wrażenie, że niejedno już w życiu widziały.

Jeśli idzie zaś o resztę, barki Kayli były o dłoń szersze od jego, a jej nadgarstki dorównywały grubością jego kostkom. Vanyel nie wątpił, że bez trudu mogłaby, władać którymkolwiek z oręży znajdujących się na stojakach wzdłuż ściany, nawet tymi z ostrzami równającymi się czy zgoła przewyższającymi długością jej wzrost. Zdecydowanie nie pałał szczególną chęcią do stawienia jej czoła w jakiegokolwiek sytuacji bojowej. Zdawało się, że dość zręcznie potrafiłaby zaatakować Jervisa i wytrzeć podłogę jego odrażającą gębą.

Na zewnątrz Vanyel pozostawał niewzruszony, tymczasem gdy tylko spostrzegł, że i ona mu się przygląda, ogarnęło go jakieś wewnętrzne drżenie.

— No cóż, młody człowieku — zagadnęła spokojnie Kayla po zbyt długiej, jak się zdawało Vanyelowi, chwili milczenia. — Możesz zostawić to wszystko tam, w kącie. . . — Wskazała na stertę porzuconego ekwipunku w odległym końcu sali. — Zobaczymy, co z tego nadaje się jeszcze do użytku. Tutaj jednak z pewnością nie będzie ci to potrzebne.

Vanyel popatrzył na nią przymrużonymi oczami, zastanawiając się, czy może coś uszło jego uwadze.

— Dlaczego nie? — zapytał z cicha.

— Dobrzy bogowie, chłopcze, ta zbroja pasuje ci równie dobrze jak buty kotu! — odparła rozbawiona. — Ktokolwiek był twym poprzednim fechtmistrem, postąpił jak głupiec ubierając cię w tę zbroję. Nie, młodzieńcze. Widzisz Redela i Odena, o tam?

Wskazała głową parę smukłych sylwetek o trudnej do zidentyfikowania płci pochłoniętych finezyjnym, lecz może śmiertelnym, tańcem z lekkimi, cienkimi mieczami.

— Uczynię księcia Oldena twym instruktorem. Z radością przyjmie jeszcze jednego ucznia, poza lordem Ledelem. Posługuje się stosownym dla ciebie stylem walki, a zatem z nim właśnie będziesz trenował — oznajmiła.

Dusza Vanyela powróciła teraz na swe właściwe miejsce, po tym, jak chwilę wcześniej czmychnęła z przerażenia gdzieś w okolice pięt.

Kayla zaszczyciła go zdawkowym uśmiechem.

— Zważ chłopcze, że Olden nie jest pobłażliwym trenerem. Przekonasz się, że zdrowo się napocisz i zbierzesz nie mniej siniaków niżli każdy wywijający bez opamiętania mieczem zabijaka. — A teraz przygotujmy cię należycie do treningu, co ty na to?

Podczas gdy przedpołudnie upłynęło nadspodziewanie przyjemnie — po raz pierwszy Vanyel usłyszał szczerą pochwałę za swe umiejętności władania bronią i bardzo się tym pysznił — popołudnie okazało się istną katastrofą.

Wszystko zaczęło się, gdy tylko powrócił do swego pokoju z ekwipunkiem ważącym trzecią część tego co zbroja, którą zabrał ze sobą rano. Ze starannością, jakiej nie okazywał nigdy przedtem w obchodzeniu się z bronią, ułożył wszystko na stojakach i podążył do centralnego pokoju apartamentu.

Ktoś — zapewne dotychczas niewidzialna Margret — zabrał pozostawione rano na kredensie jedzenie, zastępując je pasztecikami, świeżymi owocami i serem, dodając nawet butelkę lekkiego wina.

Tylendel leżał rozciągnięty na kanapie, trzymając w jednej ręce pasztecik, w drugiej książkę. Na jego twarzy malowało się skupienie. Gdy Vanyel niepewnym krokiem wsunął się do wspólnej izby, Tylendel nie podniósł nawet na niego wzroku.

Vanyel uświadomił sobie, że znów przepełnia go owo podniecające, na wpół lękliwe uczucie, którego doświadczył już wcześniej. Chrząknął. Tylendel poderwał się, upuścił książkę i uniósł na Vanyela szeroko rozwarte oczy przysłonięte kosmykiem włosów.

— O bogowie, Vanyelu, następnym razem nie wchodź tak bezszelestnie! — powiedział pochyliwszy się, by podnieść z podłogi swą książkę. — Nie miałem pojęcia, że poza mną ktoś tu jest! Tam jest obiad. . .

Wskazał ręką z nadgryzioną bułeczką.

— Savil powiedziała, że masz się najeść i umyć. Zamierza zaprezentować cię Królowej podczas południowego zgromadzenia. To da ci prawo do zasiadania do kolacji razem z całym dworem. Pozostali z nas także biorą w nich udział, kiedy tylko pozwala nam na to nasz rozkład zajęć. Savil wróci tu za pięć minut, więc lepiej się pospiesz. — Przechylił nieznacznie głowę i zaproponował: — Jeżeli mógłbym ci w czymś pomóc. . .

Vanyel zamarł. Propozycja wcale nie zabrzmiała nieprzyjaźnie, lecz może Tylendel szukał tylko sposobu, aby wkraść się w jego łaski i zacząć szpiegować. Savil niekoniecznie musiała być szczerą.

... gdyby tylko...

— Nie — odciął się szorstko. — Nie potrzebuję pomocy — przerwał, po czym dodał gwoli uprzejmości: — Dziękuję.

Tylendel obrzucił go dwuznacznym spojrzeniem, wzruszył ramionami i na nowo zagłębił się w swej lekturze.

Savil pojawiła się w mgnieniu oka. Vanyel z ledwością zdołał doprowadzić się do stanu, w jakim mógł się pokazać ludziom, a ciotka już prowadziła go do Sali Tronowej.

Okazało się, że Sala Tronowa jest znacznie mniejsza niż Vanyel się spodziewał. Była długa, wąska i dość mroczna. Co gorsza, panował w niej straszny zaduch, a liczba sfłoczonych tam ludzi znacznie przewyższała pojemność komnaty. Sam tron znajdował się w odległym końcu sali, poniżej zajmującego całą ścianę ogromnego błękitno-srebrzystego gobelinu przedstawiającego nieokiełzanego, uskrzydłonego rumaka z wiszącymi u szyi i nóg zerwanymi łańcuchami. Vanyel widział wprawdzie dobrze gobelin, lecz nic poza tym. Wszyscy zgromadzeni w sali zdawali się być najmniej o dłoń wyżsi od niego i chłopiec nie był w stanie zobaczyć nic, poza ich głowami.

Sama prezentacja przyniosła przykre rozczarowanie. Vanyel i towarzysząca mu Savil musieli czekać niemal godzinę, nim załagodzono jakąś awanturę pomiędzy parą dworzan. Wreszcie wyczytano imię Savil i wówczas oboje — Vanyel posuwając się w ślad za bijącą potęgą sylwetką ciotki — zbliżyli się do tronu i zostali zaanonsowani przez herolda w średnim wieku, odzianego w dworską Biel. Następnie ten sam herold podprowadził Vanyela do stóp tronu, gdzie królowa Elspeth — szczupła, ciemnowłosa kobieta o wyglądzie osoby dość zmęczonej i zajętej — skinęła do niego przyjaźnie i wypowiedziała kilka słów powitania. Vanyel uklonił się i został odprowadzony z powrotem do miejsca, gdzie czekała na niego Savil. Na tym prezentacja zakończyła się.

Savil przynagliła go, by czym prędzej przebrał się z ubioru dworskiego w zwykły strój dzienny i przygotował się do zajęć popołudniowych. Ledwie zdążył to zrobić, do jego pokoju wpadł Mardik i zabrał go ze sobą. Przeszli długim, mrocznym korytarzem prowadzącym z apartamentu Savil, przez podwójne drzwi, do starszej części pałacu. Stamtąd bocznymi drzwiami wyszli do ogrodów — tym razem pełnych ziół i warzyw.

Mardik nie wyglądał wprawdzie na osobę rozmowną, nie ulegało jednak wątpliwości, że potrafi się poruszać. Jego szybki krok nadawał ich marszowi takiego tempa, że gdy mijali granitowy budynek w kształcie litery *L*, Vanyel nie zdążył nawet zapytać, co się w nim mieści. Już bowiem szli dalej, w górę, w kierunku gmachu wzniesionego z kamieni polnych.

— To Kolegium Bardów — oświadczył krótko Mardik, zatrzymawszy się na moment, by przepuścić parę młodzików, po czym otworzył przed Vanyelem czarne drewniane drzwi.

Potem nie odezwał się już ani słowem. Po prostu zostawił Vanyela przed wej-

ściem do sali, gdzie miała odbyć się jego pierwsza lekcja, i zniknął w głębi budynku.

Vanyel nie mógł wprost uwierzyć, że Savil lekceważyła wolę Withena tak dalece, aby umieścić jego syna w Kolegium Bardów. Niemniej jednak tutaj właśnie znajdował się w tej chwili.

Był wewnątrz Kolegium Bardów. Był naprawdę w środku. Siedział wraz z trzema innymi chłopcami w małej, słonecznej izbie na parterze, na jednym z ustawionych w rzędzie krzesel.

Ale to nie wszystko. Vanyel miał teraz przed sobą prawdziwego, żywego barda odzianego w Szkarłat. Postawny, silny mężczyzna, który prawdopodobnie włada pałaszem równie wspaniale, jak gra na lutni, przechadzał się po salce, opowiadając coś i zadając pytania swym uczniom.

W domu podczas lekcji scholastyki Vanyel znacznie się wybijał spośród braci i kuzynów, a zatem i tutaj spodziewał się godziny nudy. Historia była dla niego jak przysłowiowa otwarta księga, z której czyta się bez zająknięcia — przynajmniej tak zawsze myślał. Jeszcze na początku lekcji ogarnęło go pełne chętności przekonanie, że jego wiedza wprawi nowych kolegów w oszołomienie.

Odkąd wszedł do sali i usiadł obok nich, wszyscy trzej chłopcy popatrywali na niego z zaciekawieniem, ale mimo to żaden nie odezwał się ani słowem. Jeden, myszowaty blondyn, drugi o włosach koloru kasztanów, trzeci, szatyn — wszyscy trzej ubrani byli podobnie jak Vanyel, w zwykły codzienny strój, składający się z uszytych z białej tkaniny koszuli i tuniki oraz bryczesów z miękkiego popielatego lub brązowego materiału. Vanyel nie potrafił odróżnić, czy byli oni kandydatami na heroldów, czy też bardów, gdyż — w przeciwieństwie do starszej młodzieży — nie nosili oni jeszcze uniformów. Oczywiście i tak nie miało to większego znaczenia, wyjąwszy fakt, że gdyby okazali się uczniami bardów, zaimponowanie im swą wiedzą, sprawiłoby Vanyelowi wielką satysfakcję.

Pokój, w którym odbywała się lekcja, był niewiele większy od sypialni Vanyela w apartamencie Savil, lecz w przeciwieństwie do mieszkań heroldów, tutejszy budynek był już stary, zniszczony, a nawet troszkę zaniedbany. Nim stojący przy oknie bard, przypominający swą potężną sylwetką lwa, rozpoczął lekcję, Vanyel miał dość czasu, by z rozczarowaniem zauważyć wytartą podłogę, zakurzone sprzęty i wyblakłą farbę na ścianach.

Wszystko to wywołało w nim szok, nie tak bowiem wyobrażał sobie Kolegium Bardów.

— Wczoraj omawialiśmy aneksję Arvalu. Dzisiaj zajmiemy się negocjacjami z Rethwellan, do których przystąpiono zaraz po aneksji. — Tymi słowami bard Chadran rozpoczął wykład na temat bardzo ważnych negocjacji między Arvałem a Zalmonem za panowania króla Tavista. Wszystko to byłoby bardzo fascynujące,

gdyby nie jeden drobny problem.

Vanyel nigdy nawet nie słyszał o negocjacjach pomiędzy Arvalem a Zalmonem, a cała jego wiedza o królu Taviście ograniczała się do tego, że był on synem królowej Terile oraz ojcem królowej Leszji. Ponadto pamiętał tylko, że czas jego panowania upłynął dość spokojnie, a wszystkie ówczesne wydarzenia więcej miały wspólnego z czystą dyplomacją niżli czynami opiewanymi w balladach. Dlatego też, w momencie gdy bard zachęcił chłopców do dyskusji, Vanyelowi nie pozostawało nic innego, jak tylko siedzieć i udawać, że wszystko rozumie.

Oczywiście zrobił mnóstwo notatek, ale nawet z nich nie wyłaniał się żaden spójny obraz wydarzeń. Wciąż nie wiedział, dlaczego owe negocjacje miały tak duże znaczenie, a tym bardziej czego dotyczyły.

Po lekcji wymknął się z klasy z uczuciem, jak gdyby właśnie udało mu się uniknąć zostania obdartym ze skóry i żywcem pozartym.

Podczas lekcji o religiach Vanyel czuł się nieco lepiej, ale wciąż był trochę zgubiony. Początkowo myślał, że będzie się tam mówić o ich własnym wyznaniu, ale znów okazało się, że był w błędzie. W rzeczywistości na zajęciach tych dyskutowało się o różnych religiach, które można było spotkać na terenie całego królestwa. Ludność Valdemaru była zbieraniną składającą się z tuzina odrębnych ludów, które z powodu różnych nieszczęść poszukały sobie tutaj schronienia. Zaś fakt, że każdy z tych ludów wyznawał swą własną religię, nikogo nie dziwił. W trakcie lekcji nauczyciel w kółko powtarzał, że prawo Valdemaru zajmuje w kwestii religii stanowisko, iż „nie istnieje jedyna słuszna droga”. Wskutek tej różnorodności „dróg” bard czy herold przebywający pośród obcych mu ludów, mógłby z łatwością narazić się na popełnienie jakiegoś nietaktu. Dlatego też dzisiejsza lekcja poświęcona była „Ludowi Jedności”, który obrał za swą siedzibę wybrzeże Rosnącego Jeziora.

Vanyel był wręcz wstrząśnięty widząc, że to, co jego ksiądz nazwałby bezwstydną herezją, było tutaj prezentowane jako jeszcze jedno oblicze prawdy. Przez pierwszą połowę lekcji czuł się kompletnie zdezorientowany, a podczas drugiej skupił się na wysiłkach, aby to jak najskuteczniej ukryć.

Jednakże dopiero lekcja literatury — a raczej pewne wydarzenie tuż przed nią — sprawiły, że balonik pychy, na którym dotąd unosił się Vanyel, pękł, a jego właściciel poczuł się niczym strącony z piedestału przywódca.

Przed rozpoczęciem popołudniowych zajęć, pomysł zwrócenia się do jednego z bardów z prośbą o przyjęcie do Bardicum, zdawał się Vanyelowi igraszką. Teraz jednak chłopiec miał poważne wątpliwości, czy zdoła przebrnąć przez wszystkie lekcje.

Bogowie, ja... ja... na tle tutejszych uczniów jestem takim samym nieukiem jak moi kuzynowie w porównaniu ze mną — pomyślał ponuro, opadając na krzesło stojące najbliżej drzwi. Wraz z dwoma innymi uczniami oczekiwał teraz pojawienia się nauczycielki literatury. Ale... może tym razem... Pan Światła wie, że

wyuczyłem się na pamięć każdej ballady, jaka kiedykolwiek wpadła mi w ręce.

W tym momencie do jego uszu dobiegł głos barda Chadrana, rozmawiającego w korytarzu z innym bardem, najprawdopodobniej nauczycielką literatury. Gdy usłyszał swe imię i uzmysłowił sobie, że mówią właśnie o nim, bez cienia wstydu czy wahania, badawczo nadstawił ucha. Nie chciał uronić ani słowa.

— ...dlatego Savil chce, abyśmy się nim zajęli, jeśli tylko ma jakieś zadatki — mówił Chadran.

— A zatem, ma? — zapytał tajemniczy, zmysłowy kobiecy głos.

— Szansę słyszał jego śpiew. Powiada, że chłopiec ma głos i sprawne dłonie, a ja mu ufam — odparł z wahaniem Chadran.

— Lecz nie ma daru? — nalegał drugi głos.

Chadran chrząknął.

— Nie... nie dostrzegłem żadnej oznaki tego podczas lekcji. A jest dość pewne, że nie komponuje, inaczej wiedzielibyśmy o tym. Szansę powiedziałby nam albo napisałby o tym w raporcie, a nie zrobił tego.

— Chłopiec musi posiadać przynajmniej dwa z trzech zadatków: dar, talent albo kreatywność. Wiesz o tym Chadranie — odpowiedziała kobieta. — Szansę nie zauważył żadnych oznak daru, prawda?

Chadran westchnął.

— Nie, Bredo. Gdy Savil zapytała mnie o chłopca, przejrzałem raport Szansę o regionie, z którego pochodzi Vanyel. Co prawda wspomina o nim i pochwały na temat jego muzykalności wystarczyłyby, aby przyjąć chłopca jako ucznia na minstrela, gdyby tylko...

— Gdyby tylko...

— Gdyby tylko nie był spadkobiercą swego ojca. Niemniej jednak Szansę twierdzi, że chłopiec ma doskonały słuch, umiejętność grania ze słuchu i wielki talent. Brak mu jednakże kreatywności, no i daru, a to, co ma, nie wystarcza, by uczynić z dziedziczącego syna minstrela. Mimo to, Bredo droga, szukaj daru. Robisz to o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Naprawdę chciałbym oddać Savil przysługę. Ona twierdzi, że chłopiec tak kocha muzykę, że byłby nawet gotów przeciwstawić się dla niej swemu groźnemu ojcu, my zaś jesteśmy jej coś winni.

— Wypróbuję go — odparła kobieta. — Nie porzucaj nadziei. Może i Szansę sam nie posiada daru, lecz z pewnością potrafi go rozpoznać, gdy go słyszy.

Vanyel miał ledwie chwilę na zastanowienie się, co też mogli mieć na myśli mówiąc o „darze”, zanim kobieta, której głos przed chwilą słyszał, weszła do sali. Wysoka jak mężczyzna, szczupła, niezbyt ładna, mimo wszystko miała prezencję, co zmuszało Vanyela do pilnego słuchania wszystkiego, co miała do powiedzenia i baczne obserwowanie każdego jej gestu.

— Dziś rozpoczniemy cykl wykładów o Jeźdźcu Wichrów — zapowiedziała, biorąc w dłonie cytrę wiszącą dotąd na jej plecach. — Zacznę od pierwszej znanej ballady o Jeźdźcu Wichrów i zaprezentuję ją w sposób, w jaki powinno się to

robić. Trzeba jej słuchać, nie czytać. Ballada ta w ogóle nie była przeznaczona do czytania i, prawdę mówiąc, wszelkie obecne w niej niedociągnięcia znikają, gdy tylko się ją śpiewa.

Brdąknęła kilka akordów i zaraz potem przeszła do wstępu pieśni zatytułowanej „Jeździec Wichrów uwolniony”, i już pierwsze takty muzyki i słowa płynące z jej ust rozwiały wątpliwości Vanyela, czym może być „dar”.

Breda bowiem nie śpiewała — nie tak, jak zaśpiewałby Vanyel czy nawet minstrel Szansę, który teraz był pewnie już bardem. Nie, ona sprawiała, że słuchacze wręcz doświadczali każdego słowa utworu, wprost doznawali każdej kryjącej się w nim emocji. Gdy skończyła, Vanyel wiedział, że nigdy nie zapomni słów tej pieśni.

I całą swoją duszą czuł, że jemu nigdy nie uda się zaśpiewać tak jak ona.

Mimo to, gdy Breda zachęciła go, by zaśpiewał następną balladę o Jeźdźcu Wichrów, dał z siebie wszystko. Jednakże z oczu swych kolegów — zaciekawionych, lecz z pewnością nie urzeczonych i nie zafascynowanych — mógł wyczytać, że jego wykonanie nie przyniosło nawet kiepskiej imitacji jej śpiewu.

Breda wyznaczyła innego ucznia, aby zaprezentował następną pieśń, a Vanyel, zajmwszy na powrót swe miejsce, ujrzał żal w jej oczach, gdy z lekka potrząsnęła głową. Wiedział, że poznała, iż usłyszał rozmowę w korytarzu. Wiedział, że w ten delikatny, nie bezpośredni sposób daje mu do zrozumienia, że jego marzenie może się nie ziścić.

Ale gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że jego zdolności są niewystarczające, aby uczynić go bardem, właśnie ów żal w jej spojrzeniu ranił go najbardziej. Zadawał mu ból okrutny i przenikliwy, jak cios sztyletu. Cała praca, trudy związane z doprowadzeniem do sprawności chorej ręki, wszystko to na nic. Nie było już żadnej nadziei.

Vanyel rzucił się na łóżko. Ból rozdzierał mu pierś, w głowie huczało. . .

Myślałem, że nigdzie nie może mi być gorzej niż w domu, ale tam przynajmniej miałem swe marzenia. Teraz nie pozostało mi już nawet to.

Kulminacją tego nieszczęsnego dnia było zachowanie ciotki — jego nieoczonej, bystrej, bezinteresownej ciotki. Niech ją piekło pochłonie.

Przewrócił się na brzuch, usiłując zwalczyć kłujący ból w oczach.

Zaraz po kolacji ciotka odciągnęła go na bok.

— Zwróciłam się z prośbą do bardów, aby sprawdzili, czy mogą cię, do siebie przyjąć — powiedziała. — Przykro mi, Vanyelu, lecz powiedziano mi, iż jesteś wprawdzie utalentowanym muzykiem, ale nie będziesz nigdy nikim więcej. Jeśli jest się spadkobiercą posiadłości, to nawet takie umiejętności jak twoje nie wystarczają, aby zostać przyjętym do Bardicum.

— Ależ. . . — zaczął Vanyel, ale szybko zacisnął usta.

Savil obrzuciła go surowym spojrzeniem.

— Wiem, co czujesz, Vanyelu, lecz twój obowiązek, jako spadkobiercy, ma pierwszeństwo. Dlatego więc będzie lepiej, jeśli pogodzisz się z sytuacją, zamiast zmagać się z nią.

Podczas gdy on usiłował zachować pozory spokoju, Savil przyglądała mu się w zadumie.

— Bogowie wiedzą — przemówiła w końcu — że kiedyś sama znalazłam się w podobnej sytuacji. Pragnęłam posiadłości, lecz nie byłam pierworodnym synem. Jednakże dzięki późniejszemu obrotowi spraw, teraz cieszę się, że nie odziedziczyłam majątku. Jeżeli wykorzystasz wszystkie atuty swego obecnego położenia, pewnego dnia dojdiesz do wniosku, że twoje życie nie ułożyłoby się lepiej, gdyby to do ciebie należał wybór.

Skąd ona może to wiedzieć? — złościł się Vanyel. Nienawidzę jej. Tak ma wyglądać jej pomoc? Nienawidzę jej. Wszystko, co robi, jest takie okrutnie akuratne! Nigdy nic nie mówi, ale przecież ona nie musi się odzywać. Wystarczy, że tak na mnie patrzy. Chyba oszaleję, jeżeli jeszcze raz przyjdzie mi usłyszeć o tym, jak bardzo powinna mi się podobać pułapka, w której tkwię!

Przewrócił się na plecy i pogrążył w rozmyślaniach. Słońce nie skłaniało się jeszcze nawet ku zachodowi, a on tkwił w swym pokoju wraz z lutnią patrzącą na niego ze ściany, wraz ze wszystkimi przekreślonymi marzeniami, które ta lutnia symbolizowała.

Nie było nic, co mogłoby rozproszyć smutek ciężący mu na sercu. Chociaż...

Kolacja dobiegła już końca, lecz w Wielkim Refektarzu przez całą noc mieli gromadzić się ludzie. Było tam mnóstwo rówieśników Vanyela — młodzieży nie będącej ani uczniami Bardicum, ani też protegowanymi heroldów. Byli to po prostu zwykli młodzi ludzie.

Vanyel zapomniał o wszelkich obawach, że przezwą go wiejskim gamoniem. Myślał tylko o podziwie, jaki wzbudzały jego dowcip i uroda przy niezbyt częstych okazjach, kiedy w jego zamku gromadziła się młodzież z kilku posiadłości. Potrzebował teraz dawki owego podziwu, potrzebował jego słodczy, by zabić cierpki smak porażki.

Poderwał się z łóżka i przetrząsnął szafę w poszukiwaniu najbardziej okazałego stroju. Wybrał popielaty aksamit, jako odpowiadający jego nastrojowi i skłonności do dramatyzmu.

Swe wejście do Wielkiego Refektarza zaplanował starannie. Odczekał, aż nadejdzie moment, jaki zdarza się podczas każdej biesiady, kiedy nagle wydaje się, że wszyscy milkną w tej samej chwili. Gdy w końcu moment ten nadszedł, Vanyel natychmiast go wykorzystał, wkraczając do sali pośród ciszy, jak gdyby zaległa ona specjalnie po to, by on sam mógł się zaprezentować.

— Wszystko ułożyło się doskonale. Nim upłynęło parę chwil, otaczało go już kółeczko dworzan, chętnych do zademonstrowania mu swej przyjaźni. Bli-

sko godzinę Vanyel rozkoszował się ich uprzejmościami, aż w końcu poczuł się znudzony. Kościsty młodzian o imieniu Lers ze wzrastającym zaangażowaniem rozwodził się na temat tego, w jaki sposób jego starszy brat poradził sobie z jakimiś zbrojami. Vanyel powstrzymywał ziewanie. Wszystko, co działo się dokoła nie różniło się wcale od podobnych wieczorów w Forst Reach! Wtedy ruszył prosto na nich...

— Co według mnie było piekielnie głupim posunięciem — wtrącił Vanyel, marszcząc brwi.

— Ale tylko bardzo dzielny mąż odważyłby się to zrobić... — skromnie zaprotestował młodzieniec.

— Powtarzam, że było to okrutnie głupie posunięcie — upierał się Vanyel. — Oni zdecydowanie przewyższali go liczebnością, a on nie miał pojęcia, czy jego towarzysze znajdujący się w tyle zdążą przyjść mu z pomocą. O dobrzy bogowie, najwłaściwszą rzeczą byłoby podwinąć ogon i uciec gdzie pieprz rośnie! Jeżeli zrobiłby to dość przekonująco, rzuciłby ich prosto w ramiona swych własnych żołnierzy! Szarżując, mógł co najwyżej dać się zabić!

— Ale to właśnie dało efekt. — Lers sępnął.

— O tak, z pewnością dało efekt, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie porwałby się na coś podobnego!

— A jednak był to bardzo odważny czyn — odparł Lers z dumą zadzierając nos.

Vanyel ustąpił. Lękał się, aby nie zrazić do siebie swych nowych kolegów. Byli wszystkim, co mu pozostało...

— Masz rację, Lers — przyznał, choć nie znosił kłamstwa. — Był to odważny czyn.

Podczas gdy Vanyel poczynił jeszcze kilka niemądrych uwag, aby uspokoić chłopca, Lers uśmiechał się z głupawą satysfakcją. Wreszcie Vanyel opuścił grupkę dworskich próżniaków i ruszył na poszukiwanie czegoś bardziej zajmującego.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nowi koledzy są równie niemądrzy jak jego brat. Nie był w stanie wbić im do głów, że nie ma nic „romantycznego” w tym, aby dać się posiekać na kawałki w imię Valdemaru lub jakiejś damy, że nie ma nic uwznioślającego w utracie ramienia czy też oka, że wojna nie ma w sobie nic „wspaniałego”.

Ledwie uwolnił się od męskiego towarzystwa, obsiadło go szczebiotliwe stadko dziewcząt, flirtujących, kokietujących, i ze wszelkich miar starających się przyciągnąć uwagę Vanyela. Ich zaloty wyglądały dokładnie tak samo, jak gierki toczone bez końca w buduarze jego matki. Tutaj tylko grono uczestniczek zabawy było nieco szersze, inne twarze, często ładniejsze, lecz scenariusz ten sam.

Vanyel był znudzony.

Wszystko to było jednak choć odrobinę przyjemniejsze niżli wysłuchiwanie

kazań Savil lub poddawanie się tęsknym myślom o bardach i „darze”, który i tak nigdy nie stanie się jego udziałem.

— ... Tylendel — westchnęła zgrabna mała brunetka, stojąca tuż obok niego.

— Co „Tylendel”? — zapytał Vanyel, usłyszawszy wreszcie coś, co pobudziło jego ciekawość.

— Och, Taszi jest zakochana w tych ogromnych brązowych oczach Tylendela — zaśmiała się inna dziewczyna, wysoka panna o białych licach i rudych włosach.

— Nie masz szans, Taszi — odezwała się Rewa, której policzki oblał rumieniec wywołany nadmiarem wina. Zachichotała. — Nie masz szans. On jest... jak to określa Savil?

— *Shay'a'chern*. . . — dokończył Kress. — To jakieś obcojęzyczne określenie.

— Co ono oznacza? — spytał Vanyel.

Rewa zachichotała i wyszeptwała:

— To znaczy, że on nie lubi dziewcząt. On lubi chłopców. Mają szczęście te chłopaki!

— Dla Tylendela zamieniłabym się w chłopca! — westchnęła Taszi i uśmiechnęła się do przyjaciółki. — Och, co za strata! Czy jesteś tego pewna?

— To pewne jak gwiazdy na niebie — odrzekła Rewa. — Dopiero co, w zeszłym roku, ten drań Nevis złamał mu serce.

Vanyel stłumił, naturalne w tej sytuacji, zdumienie. Tylendel nie lubi dziewcząt. Dowiedział się przynajmniej, że młodzi dworzanie używają słowa „lubić” w znaczeniu „sypiać z kimś”. Lecz nie „lubił” dziewcząt? „Lubił” chłopców?

Zdawał sobie sprawę z tego, że dotąd izolowano go od pewnych spraw, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że może istnieć coś takiego.

Czy to z tego powodu Withen. . .

— Nevis. . . czyż to nie ten, który nie potrafił się zdecydować, twierdząc, że zostaje uwiedziony za każdym razem, gdy znajdzie się w czyimś łóżku? — zapytała Taszi z gwałtownym zainteresowaniem.

— Ten sam — odparła Rewa. — Tak się cieszę, że rodzice wezwali go do domu!

Dziewczęta pochłonęło teraz drobiazgowe roztrząsanie postępków perfidnego Nevisa, a to już nie interesowało Vanyela. Przeszedł się po Wielkim Refektarzu, nie znajdując jednak nic zajmującego i nikogo, z kim chciałby spędzić czas. Wypił troszkę więcej wina, niż zamierzał, lecz i to nie pomogło ożywić, choć odrobinę, tego wieczora. Wreszcie zrezygnował i powędrował do łóżka.

Długo leżał nie mogąc zasnąć, opędzając się od myśli, które zaprzętały mu głowę już wcześniej. Sądząc po śmiechu, jaki wzbudzało to u dziewcząt, upodobania Tylendela zdecydowanie nie przysparzały mu szacunku. A Withen. . .

O, Vanyel wiedział, jak zareagowałby Withen, gdyby usłyszał, że jego syn dzieli nawet z Tylendelem to samo mieszkanie.

Kiedy byłem malutki — wspominał — rugał mnie za każdym razem, gdy ścisnąłem i całowałem Mekeala. Dlatego ciągle coś knuł razem z ojcem Lerenem i wygłaszał te kazania o „właściwym zachowaniu mężczyzny”. Stąd ten atak szału, gdy zobaczył, jak Liss przebrała mnie w swoje stare suknie; wyglądałem wtedy jak wyrośnięta lalka. O bogowie.

Nagle przyczyny wielu, inaczej niemożliwych do uzasadnienia zachowań Witherena, stały się jasne: Dlatego napuszczał na mnie te wszystkie dziewczyny, dlatego kupił dla mnie tę... profesjonalistkę. Dlatego spraszał przyjaciółki matki; te, które miały uległe córki. Dlatego tak nie znosił mojego widoku, kiedy ubierałem się w wykwintne szaty. Dlatego niektórzy wojacy milkli, gdy przechodziłem obok nich, i urywały się nie dopowiedziane dowcipy. Ojciec pragnął, aby nie dotarła do mnie najmniejsza wskazówka, mówiąca o istnieniu czegoś takiego.

Vanyel czuł w sercu ból, tylko ból.

Straciłem muzykę... — pomyślał. Nawet jeśli Tylendelowi można zaufać, nie mogę ryzykować. Nawet na tyle, aby zostać jego przyjacielem. Nawet, jeżeli miałyby się okazać, że nie zdoła rozbudzić we mnie pożądania. Coś mi się jednak wydaje, że udałoby mu się to uczynić.

Ostatnią rzeczą, jaka mu jeszcze pozostała, był ów sen — senne marzenie o lodowej krainie. Jedyne marzenie, jakie nie mogło sprawić mu bólu.

Przepaść nie była aż tak szeroka, aby nie potrafił jej przeskoczyć — była jednak głęboka, a na jej dnie znajdowało się coś... strasznego. Nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, lecz był pewny, że tak właśnie jest. Za plecami miał tylko pustą, zimową równinę lodową. Ale po drugiej stronie przepaści kwitła wiosna. Vanyel pragnął się znaleźć w jej ciepłe i słuchać śpiewu ptaków wśród drzew, ale bał się skoczyć. Zdawało mu się nawet, że gdy patrzy na przepaść, ona poszerza się.

— Vanyelu?

Ostłupiały podniósł wzrok.

Po drugiej stronie stał Tylendel. Jego włosy rozwiewał wiatr, na twarzy promieniał szeroki uśmiech, ciepły i przyjazny niczym wiosenne słońce.

— *Czy chcesz tutaj przyjść? — zapytał cicho chłopiec i wyciągnął rękę. — Pomogę ci.*

Vanyel cofnął się o krok. Z całych sił przyciskał ramiona do piersi, powstrzymując się od mimowolnego uchwycenia tej wyciągniętej dłoni.

— *Vanyelu? — Oczy starszego chłopca patrzyły na niego łagodnie, pieszczotliwie. — Vanyelu, chcę być twoim przyjacielem — powiedział jeszcze bardziej przyciszonym głosem, niemal szeptem, i skinął zachęcająco. — Chciałbym — ciągnął — być nawet więcej niż twym przyjacielem.*

— *Nie! — krzyknął Vanyel i odwróciwszy się gwałtownie, puścił się biegiem*

w głąb pustej białej krainy.

Gdy się wreszcie zatrzymał, był sam. Zupełnie sam, przemarznięty do szpiku kości. Z początku boi przejmował całe jego ciało, lecz wkrótce zimno zapanowało nad nim tak, że zupełnie stracił czucie. Nie było już śladu przeпаści i Tylandela. Poczucie osamotnienia przeszło go bólem gorszym nawet niż mróz.

I wtedy udręka samotności zaczęła stopniowo ustępować straszemu chładowi, który wprowadzał go w odrętwienie.

Vanyel ruszył przed siebie, wybierając kierunek na chybił trafił. Naraz śniegowe pole przestało być monotonnym bezkresem, pozbawionym jakichkolwiek nierówności. Na płaskiej, gładkiej równinie pokrytej skrzypiącym pod jego stopami śniegiem pokazały się wzniesienia. Wkrótce Vanyel zaczął obchodzić dookoła ogromne kły lodowe, wybijające się przez grubą warstwę śniegu. Po chwili, nie mogąc już ich omijać, a chcąc wciąż posuwać się do przodu, musiał wspinać się na nie.

Ich bryły miały krawędzie ostre jak rozbite szkło. W pewnym momencie Vanyel zranił się w rękę i zaskoczony stanął, przyglądając się śladom swej krwi na śniegu. Najbardziej dziwił go brak bólu, nic go nie bolało... Czuł tylko chłód.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tylendel, czytając, rozciągnął się swobodnie na trawie w ogrodzie. Vanyel przyglądał mu się ukradkiem zza zasłon w oknach swego pokoju. Targające nim uczucia doprowadzały go już do wyczerpania. Wiatr tańczył w zmierzwionych włosach Tylendela niemal tak samo, jak we śnie Vanyela.

Vanyel zadrżał i zamknął oczy. O bogowie, bogowie, dlaczego akurat ja? Dlaczego teraz? Dlaczego, och, dlaczego akurat on? Ulubieniec Savil...

Uchwycił się kurczowo kotary, jakby była ona jakimś kołem ratunkowym. Potem otworzył oczy. Tylendel, zmieniwszy nieco pozycję, leżał teraz z głową opartą na ręce. Na jego czole malowało się skupienie. Vanyel poczuł, że serce bije mu jak rozkołysany dzwon. Drgnął i zagryzł wargi. Żadna dziewczyna nie przyprawiła go dotąd o taki łomot serca...

Własne myśli Vanyela przywoływały rumieniec na jego policzki, w żołądku czuł skurcz. Bogowie, kim jestem? Czy jestem taki jak on? Pewnie tak. Ojciec... och, bogowie. Ojciec mnie zabije, zamknie mnie, powie wszystkim, że popadłem w obłęd. A może rzeczywiście oszalałem?

Tylendel nagle uśmiechnął się. Rozweseliło go coś, co przeczytał. Serce Vanyela zamarło. Chciał krzyknąć. Jeśli uśmiechnie się tak do mnie... och, bogowie, nie mogę, nie mogę mu ufać, rozbudzi moje pożądanie. Będzie ze mną to samo, co ze wszystkimi innymi.

Ze wszystkimi innymi.

Odwrócił się od okna, z ciężkim sercem chroniąc się w swym pancerzu obojętności.

Gdybym tylko miał dość odwagi. Gdybym tylko się ośmielił.

Drżącymi palcami Savil przekreśliła klucz w zamku okutych mosiądzem drzwi swej osobistej sali ćwiczeń i odwróciła się twarzą ku swemu ulubieńcowi, Tylendelowi.

O bogowie. To nie będzie łatwe.

Zbierała siły, przygotowując się do groźnej konfrontacji, groźnej zarówno dla niej, jak i dla Tylendela. Nie spodziewała się, aby chłopiec próbował od razu skakać jej do gardła, lecz... no cóż, tym razem miała zamiar popchnąć go nieco

dalej niż kiedykolwiek wcześniej, a zawsze istniało ryzyko, że może posunąć się za daleko.

Tylendel stał mniej więcej pośrodku sali, z rękoma założonymi na piersi okrytej brązową tuniką; jego twarz przybrała dość dla niego nietypowy, surowy wyraz. Było jasne, że domyślił się już, iż nie czeka go lekcja, czy też zwyczajna rozmowa.

Pokój, w którym się znajdowali, był zupełnie pusty. W przeciwieństwie do sali ćwiczeń dostępnej dla wszystkich, ta miała kształt nie okrągły, a kwadratowy. Ściany jednak — podobnie jak tam, i z tych samych przyczyn — wzniesiono tutaj z kamienia, a na samym środku, w drewnianej posadzce, ułożono dodatkowo idealny okrąg z jaśniejszego drewna. Ściany tego pomieszczenia miały w sobie coś niezwykłego, czuło się wręcz ich obecność, jak gdyby żyły. Właściwie było to częściowo prawdą. Wszakże w pewnym sensie stanowiły one część Savil, która poświęciła na stworzenie stabilnych osłon wokół salki sporo własnej energii. Dzięki temu, w razie niebezpieczeństwa, tutaj mogła znaleźć najbezpieczniejsze schronienie.

— Nie przyprowadziłaś mnie tutaj, aby ze mną ćwiczyć — zagadnął szorstko Tylendel.

Savil przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

— Nie, nie dlatego. Masz rację. Pragnę z tobą porozmawiać. Mam dwie sprawy i chciałam uniknąć ryzyka, że ktoś mógłby nas podsłuchać.

— Jaka jest ta pierwsza sprawa? — zapytał Tylendel. — Właściwie myślę, że wiem. Znowu chodzi o moją rodzinę. — Wyraz jego twarzy nie zmienił się wyraźnie, lecz po zaciśniętej szczęce chłopca Savil rozpoznała, że jest rozgniewany.

— Tak, znowu chodzi o twą rodzinę — zgodziła się. — Tylendelu, jesteś heroldem, no, prawie. Herold w żadnych sporach nie opowiada się po niczyjej stronie. Nawet wtedy, gdy ma to związek z jego rodziną. Twój krewni naciskali, abyś działał. Teraz wiem, że się w to nie wmieszałeś, lecz wiadomo mi także, że chciałbyś to zrobić i boję się, że możesz ulec tej pokusie.

Zacisnąwszy usta, Tylendel odwrócił od niej wzrok.

— A więc Evan Leszara może wlewać swój jad do uszu każdego człowieka na dworze, który zechce go słuchać, a mnie nie wolno na to reagować, czyż nie tak? Nie wolno mi nawet nazwać go przeklętym kłamcą, za to wszystko, co naopowiadał o Stavenie. — Zwrócił oczy na Savil i popatrzył na nią z takim gniewem, jakby to ona ponosiła odpowiedzialność za postępowanie jego wroga. — On jest dla mnie kimś więcej niż bratem, jest moim bratem bliźniakiem. Wobec wszystkiego, w co wierzy i co uważa za słuszne, mam pewne obowiązki. W dodatku Staven — mimo swego młodego wieku — jest teraz lordem posiadaczem. To on decyduje. Pozostali z nas, Frelenów, muszą i będą go wspierać. Poza tym, do stu diabłów, racja stoi po jego stronie!

— Bez względu na to, że jest lordem posiadaczem, młodym czy starym, ma

rację czy nie, pozostaje piekielnie porywczym głupcem — wybuchnęła Savil, wyrzucając przed siebie ramiona w geście kompletnej rezygnacji. — Cóż to za obowiązki? Aby dać się powiesić. To przede wszystkim z takiego właśnie niemądrego rozumowania zrodziła się ta idiotyczna waśń między rodem twoim i Leszarów! Przelewając krew, nie wskrzesisz umarłych!

— Do diabła, chodzi o honor! — Tylendel zacisnął dłonie w pięści. — Czyż nie możesz choć spróbować tego zrozumieć?

— To nie ma nic wspólnego z prawdziwym honorem — odparła Savil z pogardą. — To tylko pusta duma pełna zacierzewienia. Tylendelu, nie możesz się w to mieszać.

Zrobił krok w jej stronę. Savil zamarła z sercem w gardle.

Tylendel spostrzegł jej reakcję i zatrzymał się.

Brnęła dalej, ufając w słuszność rady, jaką sama kiedyś otrzymała. *Proszę, Jaysenie, obyś miał i tym razem rację.*

— Ta cała waśń to szaleństwo! Tylendelu, posłuchaj mnie. Trzeba z tym natychmiast skończyć. Jeśli sami do tego nie doprowadzicie, będą musieli zrobić to heroldowie. Tobie zaś nie wolno opowiadać się po żadnej ze stron!

Jak dotąd, wszystko było w porządku. Savil nie powiedziała nic nowego. Ale Tylendel nie wiedział, że jego mentorka przygotowała jeszcze inne, nowe argumenty.

— Tylendelu, wiem, że nigdy nie udało ci się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ty i Staven nie zostaliście Wybrani przez Towarzyszy. Wiedz zatem, że właśnie owa waśń była powodem tego, że twój ukochany brat bliźniak nie został Wybrany, a ty tak. Ty przynajmniej potrafisz dostrzec błahość tego sporu, pod warunkiem, że nie pochłania cię akurat obrona brata. On natomiast jest zbyt zarozumiały i uparty, aby poszukać rozwiązania innego, niżli starcie rodu Leszarów z powierzchni ziemi! Twój brat jest idiotą, Tylendelu! Jest takim samym idiotą jak Wester Leszara, ale to nie zmienia faktu, że ze zwykłej głupoty doprowadzi do śmierci wielu ludzi! Nie pozwolę, aby to się dłużej ciągnęło. Jeżeli będę musiała zadenuncjować Stavena, aby uciąć twój związek z tą sprawą, zrobię to. Nie miej co do tego wątpliwości. Masz o wiele ważniejsze rzeczy do zrobienia w życiu, niż branie w obronę głupca.

Pięści Tylendela znów się zacisnęły. Cały zesztyniał ze złości, a pod wpływem emocji jego oczy pociemniały, stając się niemal czarne. Krew odpłynęła mu z twarzy i przez moment Savil zastanawiała się, czy tym razem chłopiec jej nie uderzy, a właściwie uderzy na nią. Jeśli bowiem miałoby do tego dojść, Savil nie zamierzała być tam, gdzie chłopiec wyceluje swój lewy sierpowy.

Proszę, o Panie i Pani, nie pozwólcie, aby tym razem stracił panowanie nad sobą. Nigdy nie posunęłam się aż tak daleko. Nie pozwólcie mu wykorzystać magii. Jeśli uderzy we mnie, nie będę w stanie uchronić go od tego, co zrobią z nim moje osłony.

Modliła się i uparcie, ze współczuciem, patrzyła prosto w jego pałające gniewem oczy. Czuła, że chłopiec sam szamoce się w potrzasku między potrzebą zadania ciosu temu, kto zaatakował jego ukochanego brata, a własnym sumieniem i zdrowym rozsądkiem.

Savil trwała na swej pozycji, nie godząc się na kapitulację. Napięcie w salce osiągnęło taki poziom, że naładowane energią ściany przechwyciły jego część, odbijając wściekłość Tylendela. Ze ścian zaś cały nadmiar energii spływał na Savil, ciężąc jej bardzo. Ona jednak nie powstrzymywała tej fali. Nie mogła zrobić nic więcej, aby utrzymać panowanie nad wszystkim i zachować przynajmniej spokojny wyraz twarzy.

Wtem Tylendel odwrócił się i na oślep rzucił się w kąt sali. Przycisnąwszy czoło do chłodnej kamiennej ściany, jedną ręką zasłonił głowę, a pięścią drugiej jął walić w szare kamienie, przeklinając cicho pod nosem.

Nie wypowiedziawszy ani słowa więcej, Savil pozostawiła go samemu sobie.

Gdy doprowadzisz go do wściekłości, pozwól mu poradzić sobie ze złością i wewnętrznym wrzieniem na swój własny sposób — radził Jaysen. Pozostaw go w samotności do czasu, kiedy sam osiągnie spokój.

Kuląc się w kącie, Tylendel odwrócił się do niej plecami. Przymknął oczy; oddychał ciężko, jakby miał za sobą długi bieg.

— Wiesz, że nigdy nie zdołasz odwieść mnie od popierania Stavena — powiedział zupełnie spokojnie. — Nie będę się wtrącał do pracy heroldów, nie będę się mieszał do waśni i nie będę nazywał Evana Leszarę przeklętym kłamcą, ale zawsze będę bronił Stavena i jego poglądów, nawet przed tobą. Kocham go i nie wyprę się tego.

Po jego wścieklej — wręcz zabójczej — pasji sprzed kilku chwil, nie pozostał już nawet ślad.

— Wiem — odparła Savil z takim samym spokojem, nie zdradzając, że wewnątrz wciąż jeszcze jest roztrzęsiona. — Nie proszę cię, abys przestał kochać Stavena. Pragnę tylko, abys zastanowił się nad tym wszystkim, a nie poddawał się emocjom. Byłoby wystarczająco źle, gdyby w waśni uczestniczyły tylko wasze dwa rody, lecz wy wciągacie weń cały region. Doskonale wiemy o tym, że — zarówno wy jak i oni — poszukiwaliście magów, którzy pomogliby wam rozjrzeć ten spór jeszcze bardziej, ale, Tylendelu, nie chcę słyszeć ani słowa o tym, kto go wszczął. Liczy się tylko to, że to się stało. Istotne jest to, że jeśli któraś ze stron posłuży się magią, heroldowie będą musieli się tym zająć. Nie możemy pozwolić, aby magia szerzyła się bez kontroli i siała spustoszenie wśród niewinnych ludzi. Jesteś heroldem, prawie heroldem. Musisz pamiętać, iż nie wolno ci przyznawać racji żadnej ze stron. Musisz pozostać bezstronny. Bez względu na to, co Evan Leszara czyni czy mówi.

Tylendel wzruszył ramionami, ale nie z obojętnością. Jego cierpienie było bardzo realne i nazbyt widoczne dla jego mentorki. Savil cierpiała razem z nim. By-

ła to jednak jedna z najważniejszych spraw, o jakich powinien pamiętać każdy herold, który zawsze musi zachowywać bezstronność, bez względu na ważkość sprawy i bez względu na koszt, jaki będzie musiał ponieść on sam czy też ci, których kocha.

— Zgoda — powiedział Tylendel matowym głosem. — Będę się trzymał od tego z dala. A teraz, skoro udało ci się dopiąć swego, powiedz, o czym jeszcze chcesz ze mną porozmawiać.

— O Vanyelu — rzekła Savil, rozluźniwszy się. Jej głos przytłumiło zmęczenie. — Jest tutaj już przeszło miesiąc. Chciałabym, abyś mi powiedział, co o nim myślisz.

— Bogowie. — Tylendel znów wsparł się o ścianę i szeroko otworzył oczy, które odzyskały już swój normalny, brązowy kolor. — Wiedziałem, że wspomnisz o Jego Wysokości.

— O co chodzi? — zapytała surowo Savil, przyglądając się chłopcu z uwagą. Na jego twarzy widniał dość szczególnie uśmiech. Poczowała, że to coś zwiastuje.

— Tylendelu, nie powiesz mi chyba, że zadurzyłeś się w tym chłopcu!

Tylendel parsknął.

— Nie, lecz, za twym pozwoleniem, muszę przyznać, iż ten młodzieniec nadmiernie nadweręża moją zdolność samokontroli! Jeżeli nie czuję właśnie chęci, aby zetrzeć z jego buzi ten władczy uśmieszek, to opanowuje mnie pragnienie, by go przytulić i rozproszyć wszelkie jego smutki. Nie mam pojęcia, która z tych rzeczy jest gorsza.

— Nie wątpię — odparła sucho Savil i przybliżywszy się do Tylendela, oparła się o ścianę naprzeciwko niego. — A więc dobrze, najwyraźniej miałeś go na oku. Powiedz mi, co udało ci się zauważyć do tej pory. Zadowolę się nawet domysłami.

— Połowę czasu spędzam, będąc przekonanym, że powinnaś go utopić — oparł ucheń, potrząsając z obrzydzeniem głową. — Ten miniaturowy orszak, jaki zgromadził wokół siebie, przyprawia mnie o mdłości. Te pozy, to wdzięczenie się...

Savil skrzywiła się z niesmakiem.

— Nie musisz mi tego mówić. Lecz co z drugą połową twych myśli?

— W chwilach gdy do głosu dochodzi współczucie, nabieram pewności, że on cierpi, a cała ta gra jest właśnie tylko tym — grą, reakcją obronną. Ta świta Vanyela istnieje tylko po to, aby podtrzymywać jego poczucie własnej wartości. Próbowałem się do niego zbliżyć, ale on na mój widok zamienia się w sopol lodu. Nie atakuje, ale po prostu staje się niedostępny.

— Cóż... — Savil z namysłem przypatrywała się swemu protegowanemu. — Akurat ten wariant wydawał mi się niezbyt przekonujący. Miałam wrażenie, że teraz, kiedy pozostawiono go samemu sobie, zaczął odsłaniać swe prawdziwe oblicze. Byłam niemal zdecydowana dać sobie z nim spokój. Chciałam oddać

go pod opiekę Odena albo kogoś innego, kogoś o większej cierpliwości, mniej zajętego i z lepszymi ode mnie stosunkami na dworze.

— Nie rób tego — uciał Tylendel, a na jego twarzy błysnęła czujność. — Właśnie coś przyszło mi do głowy. Czy nie wspominałaś, że jedną z rzeczy, których najbardziej nienawidzi jego ojciec, jest zabawianie się muzyką?

— W istocie — odparła Savil, udając, że zajmuje ją właśnie analiza knykci prawej dłoni, jak gdyby rzeczywiście godne były uwagi. W rzeczywistości jednak w skupieniu chłonęła każde słowo Tylendela. Jego dar empatii nie był zbyt silny, gdy nie myślał o nim. Savil nie chciała przypominać mu o tym w tej chwili, kiedy potrzebowała informacji, jakie mogła od niego uzyskać.

— W istocie — powtórzyła. — W rzeczy samej, powiedział mi, abym trzymała chłopca z dala od bardów.

— Powiedziałaś mi też, iż Breda delikatnie rozwiła jego marzenia, przynajmniej najdelikatniej, jak potrafiła. Jak często Vanyel grywa od tego momentu?

Teraz Savil sama obrzuciła chłopca badawczym spojrzeniem.

— W ogóle nie gra — powiedziała powoli. — Ani jednej nuty, od tamtej pory. Margret mówi, że na jego lutni gromadzi się kurz.

— O Panie i Pani! — Tylendel, zagryzłszy wargi, odwrócił wzrok, skupiając w sobie wszystkie myśli. — Nie wiedziałem, że jest aż tak źle. Myślałem, że gra przynajmniej dla tego towarzystwa wzajemnej adoracji, jakie zebrał wokół siebie.

— Ani jednej nuty — ze stanowczością powtórzyła Savil. — Czy to źle?

— Dla młodzieńca, który z pewnością jest dość dobry, aby zasługiwać na zachwyty tych pochlebców? Dla chłopca, który wszystkie swe ambicje wiązał z muzyką? To bardzo źle. To gorzej niż źle. Rozwialiśmy jego marzenia. Savil, cofam pierwszą połowę tego, co powiedziałem. — Tylendel potarł kark, zdradzając wzrastające uczucie zażenowania. Popatrzył na sufit, potem znów na Savil. Jego oczy wyrażały teraz szczerą i niepokój. — Mamy problem. Poważny problem. Serce tego chłopca krwawi. Jeżeli nie uda nam się nakłonić go, aby się otworzył, może wykrwawić się śmierć.

— Jak się do niego zbliżymy? — zapytała Savil, ufna słowom Tylendela. Jej słabość leżała w braku umiejętności nawiązywania bliższych kontaktów z ludźmi. To też czyniło ją złym heroldem polnym i często sprawiało trudności w stosunkach z jej protegowanymi. Nie potrafiła ich dobrze rozumieć i zupełnie nie wiedziała, jak radzić sobie z nimi w sytuacjach kryzysowych. Sprawa Tylendela, jego brata bliźniaka oraz owej waśni była tego przykładem.

Nigdy nie pomyślałabym o takim rozwiązaniu. Nie przyszłoby mi do głowy, że mogę znieczulić go poprzez doprowadzenie do granicy wytrzymałości, nie dopuszczając jednocześnie, aby ją przekroczył, i w ten sposób skłonić, aby pomyślał o wszystkim logicznie. Niech bogowie błogosławią Jaysena. I niech go potępią. O niebiosy, za każdym razem, kiedy prowadzimy tę grę, wyczerpuje mnie ona tak samo jak biednego Tylendela. Wciąż jeszcze drzę jak struna.

Nim Tylendel odpowiedział na pytanie Savil, długo ważył je w myśli. Na jego twarzy malował się absolutny spokój, oczy zwrócił jakby w głąb swej duszy.

— Po prostu nie wiem, Savil. Tak długo, jak będzie odtrącał każdy gest wskazujący na chęć nawiązania kontaktu, nie będę wiedział. Myślę, że aby coś dziać, potrzebujemy trochę czasu, a także jakiegoś wydarzenia, które choć na chwilę rozwarłoby tę skorupę, w której chowa się Vanyel. Dopóty, dopóki coś takiego się nie wydarzy, nie będziemy w stanie do niego dotrzeć, a on pozostanie bezczelnym zuchwalcem, aż w końcu pęknie jak balon.

Savil poczuła, jak od wewnątrz przejmuje ją chłód.

— Samobójstwo?

Tylendel potrząsnął głową, przynosząc jej ulgę.

— Nie przypuszczam, on nie należy do tego rodzaju ludzi. To nie przyszłoby mu do głowy. Co do mnie... nie ważne. Nie, on w taki czy inny sposób po prostu straci panowanie nad sobą i stanie się to już wkrótce. Potem popadnie w załamanie nerwowe lub też powoli będzie poddawał się deprawacji, aż do momentu, kiedy będzie miał tyle samo rozumu co kupa siana.

— Wspaniale. — Savil prawą dłonią dotknęła czoła, pocierając palcami brwi.
— To właśnie chciałam usłyszeć.

Tylendel wzruszył znacząco ramionami.

— Sama pytałaś.

— Tak, pytałam — odparła niechętnie. — Bogowie, dlaczego to akurat na mnie padło?

— Jeśli będzie to dla ciebie jakieś pocieszenie, mogę ci powiedzieć, że nic nie wydarzy się natychmiast.

— Lepiej, abyś miał rację. Mam dziś wieczór nadzwyczajne zebranie Rady.
— Westchnęła i zatarła ręce. — To będzie pewnie trwało przez pół nocy, a więc nie czekaj na mnie.

— Czy to ma znaczyć, że to już koniec naszej rozmowy? — zapytał unosząc kącik ust.

— Tak. Dziś wieczorem masz cały apartament do swojej dyspozycji. Nie zostawiaj tylko okruszków na podłodze i nie zatłuć poduszek. Mnie by to nie przeszkadzało, ale Margret obdarłaby cię ze skóry. I nie szukaj papużek — są na dwutygodniowej Polnej Próbie z Szallan i jej stadkiem. Tak więc będziesz dziś wieczór zupełnie sarn.

— O bogowie, zupełnie sam z pięknym Vanyelem. Chcesz sprawdzić moją zdolność panowania nad sobą, prawda? — zaśmiał się, a potem spoważniał i odsunawszy się od ściany, wyprostował się. — Z drugiej jednak strony, może dzięki temu nadarzy się sposobność, o jakiej mówiłem. Jeżeli zastanę go samego, może uda mi się nakłonić go, aby otworzył się choć trochę.

Savil westchnęła i sama odsunęła się od ściany.

— Radzisz sobie z ludźmi lepiej niż ja, chłopcze. Dlatego poprosiłam cię o radę. Jeśli zauważysz okazję, wykorzystaj ją. Tymczasem muszę spieścić na konsultację do Osobistego Królowej.

— A stamtąd prosto na posiedzenie? Bez żadnej przerwy? — współczująco zapytał Tylendel. Savil skinęła potakująco.

Chłopiec wziął ją w ramiona i mocno uściskał.

— Dopilnuj, abyś coś zjadła — szepnął, przytulając głowę do jej włosów. — Chcę, żebyś pożyła jeszcze trochę. Nie doprowadzaj się do następnego nawrotu zapalenia płuc. Mogłoby cię to zabić. Choć cię nie znoszę, stara jędzo, wiesz, że cię kocham.

Jeszcze raz przełknęła ślinę i odwzajemniła uścisk, czując w oczach ostre pieczenie.

— Wiem, mój drogi. Nie myśl, że nie liczę na to. — Znow przełknęła ślinę, zamknęła oczy i przycisnęła go z całych sił. Był to krótki moment, gdy czuła równowagę w świecie, który zbyt często pozostawał daleki od stabilności. — Ja też cię kocham. I nigdy o tym nie zapominaj.

Pustka panująca w apartamencie przytłaczała Tylendela. Nie było papużek. Nie było Savil, którą — jako rzecznika heroldów kształcących swych protegowanych — odwołano na konferencję, mającą przeciągnąć się aż do rana. Tak przynajmniej głosiła plotka powtarzana przez obecnych w kuchni w porze obiadu. Nie było też Vanyela, który najprawdopodobniej zabawiał właśnie swe kółko wielbicieli. Nie było nic, co mogłoby przerwać tę grobową ciszę oblekającą Tylendela ze wszystkich stron niczym całun, pozwalając mu tylko słyszeć bicie własnego serca. Za oknami panowała piekielna ciemność; niebo było tak zachmurzone, że księżyc stał się zupełnie niewidoczny. Tylendel miał wilgotne włosy, głowa go paliła. Pot spływał mu po karku, wsiąkając w kołnierz, ale teraz chłopiec nawet tego nie czuł. Czas owego wieczoru nie płynął, lecz pełził.

Tylendel porzucił lekturę rozprawy traktującej o wykorzystaniu magii do kontrolowania pogody, którą Savil poleciła mu przeczytać, i zamiast tego wybrał książkę historyczną. Manuskrypt eseju na temat czarowania pogody nie był tym, co miał ochotę czytać w tej chwili. W każdym razie nie teraz, gdy zbliżała się burza. Nie zawsze potrafił dobrze kontrolować swą energię, a nie chciałby nieumyślnie przyczynić się do nasilenia tego, co właśnie nadchodziło. Teraz o wiele sprawniej panował nad swą podświadomością niż kiedyś, lecz podejmowanie jakiegokolwiek ryzyka nie miało sensu, gdy w pobliżu nie było Savil.

Chyba przez zbliżającą się burzę w pokoju zdawało się bardzo duszno. Tylendel wyciągnął się wygodnie na kanapie wspólnej izby i mimo że z miejsca, gdzie się teraz znajdował, nie mógł nic dostrzec, wyczuł gromadzące się na zachodzie chmury burzowe. Ten właśnie dar uczynił go kandydatem na maga heroldów,

a nie na zwykłego herolda. Była to umiejętność widzenia (czy też postrzegania) oraz sterowania polami energetycznymi, zarówno naturalnymi, jak i nadprzyrodzonymi. Owe dary ujawniły się u niego bardzo wcześnie, na długo zanim został Wybrany. Przez niemal połowę jego krótkiego życia owe umiejętności przysparzały mu kłopotów i tylko wsparcie jego brata bliźniaka pomogło mu uchronić się od obłędu w trudnym okresie między ujawnieniem się darów a pojawieniem się jego Towarzysza, Gali.

— *Czy jesteś bezpieczna, moja najdroższa?* — przemówił do niej, korzystając z myśłomowy. — *Piorun, który się zbliża, będzie potężny.*

Senne potwierdzenie, jakie dotarło do jego umysłu, powiedziało mu, że Gala śpi. To upał tak ją zmorzył.

Jego samego jednak upał najczęściej wprowadzał w stan irytacji. Nie robiąc sobie nic z robactwa, otworzył na oścież wszystkie drzwi i okna. Ale na zewnątrz panowała taka cisza, że nie dało się słyszeć nawet szeptu lekkiego podmuchu wiatru, który mógłby wprawić powietrze w ruch. Nawet płomienie świec stały nieruchomo, a zapach wosku pszczelego, unoszący się we wspólnej izbie, swą słodczą przyprawiał go o duszności.

Odrzucił do tyłu wilgotne włosy, przetaił oczy i spróbował skupić uwagę na lekturze, lecz część jego myśli wciąż błędziła wokół nadziei na błysk za oknem czy orzeźwiający deszcz. Gdzieś w głębi duszy coś mówiło mu, że wystarczy, aby tylko lekko trącił chmurę, a deszcz spadnie. Powtarzał sobie wtedy, by kusielskie myśli oddaliły się lepiej na długi spacer, i niecierpliwie wyczekiwał, aż deszcz sam spadnie.

Nic się nie działo. Narastało tylko nieprzyjemne napięcie.

Tylendel porzucił próby skoncentrowania się na lekturze, wstał i podszedł do kredensu, aby nalać sobie kieliszek wina. Musiał się uspokoić, pozbierać myśli i pozbyć nadwrażliwości, a sam nie był w stanie tego zrobić. Zostało tylko białe wino, troszkę nazbyt wytrawne jak dla Tylendela, lecz dzięki niemu udało mu się osiągnąć spokój. Rozluźnił się i powrócił do swej przeklętej książki.

Pochłoneła go ona tak bardzo, że gdy równocześnie pojawił się pierwszy podmuch wiatru i grzmot piorunu, zerwał się niemal z kanapy.

Połowa świec — tych nie osłoniętych szklanymi kloszami — zgasła. Wiatr dmuchnął przez pokój, wprawiając w łopot zasłony i przynosząc z dworu przyjemny chłód i woń deszczu. Okiennice w pokojach Mardika i Donni uderzały miarowo, wprawdzie nie tak mocno, by rozbić szyby, ale lada moment wiatr mógł się nasilić. Tylendel upuścił książkę i wstał, zwracając się twarzą ku drzwiom dokładnie w chwili, gdy Vanyel wchodził właśnie z korytarza wprost do izby zalanej jasnością błyskawicy.

Mrużąc oczy porażone błyskiem, chłopiec stanął skamieniały niczym posąg. Tylendel poczuł skurcz w żołądku. Vanyel wyglądał jak śmierć.

Cerę miał jasną z natury, ale dziś wieczór ubrany był w czerń, co jeszcze bar-

dziej uwydatniało jego bladość. Teraz jego twarz nie miała żadnej barwy, była biała, niemal przezroczysta. Zapadnięte oczy i wyraz twarzy wskazywały na kogoś, kto wprawdzie widział już niebiosą, lecz ich wrota pozostawały dla niego zamknięte.

— Vanyelu — powiedział, a właściwie wyszeptał Tylendel głosem ledwie słyszalnym pośród hałasu uderzających okiennic i odgłosów burzy. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz: — Vanyelu, nie spodziewałem się ciebie tak... tak wcześnie. Czy coś się stało?

Przez krótką chwilę — przez jedną bezcenną chwilę — Tylendelowi zdawało się, że już go dostał. Był pewny, że chłopiec otworzy się przed nim. Jego oczy błagały o litość, jego twarz, tak wygłodniała uczuć i zastraszona, poruszyła Tylendela. Zrobił w kierunku chłopca niepewny krok...

I popełnił błąd. Twarz Vanyela stężała i przybrała swój zwyczajny wyraz bezczelnej arogancji.

— Czy coś się stało? — odrzekł z udaną wesołością.

— O Jasna Pani, nie, oczywiście, że nic się nie stało! Kilkoro bardów przyszło właśnie z Kolegium i zorganizowało zaimprovizowany turniej. W tym wielkim tłumie zgromadzonym w Wielkim Refektarzu zrobiło mi się tak gorąco, że zrezygnowałem...

Właśnie w tym momencie okiennice w pokoju Mardika i Donni oraz w pokoju Savil uderzyły o okna z takim hukiem, że tylko cud sprawił, że szyby nie rozsypały się w drobny mak.

— O niebiosą! — jęknął Vanyel. — Ona nas zabije! — I rzucił się w stronę pokoju Savil. Tylendel pospieszył do drugiej izby, ganiać w myślach swą niezręczność i przeklinając się za to, że reakcją na widok chłopca zaprzepaścił swą szansę na poznanie prawdziwego „ja” Vanyela.

Nim zabezpieczył wszystko i powrócił do wspólnej izby, Vanyel wycofał się do swego pokoju, którego drzwi były teraz szczelnie i nieodwołalnie zamknięte.

— Vanyelu — powiedział łagodnie chłopiec. Jego oczy pałały współczuciem i zrozumieniem. — Czy coś się stało?

— Ja... — zaczął Vanyel, po czym zamknął oczy, czując ogarniające go drżenie. — Ja... muzyka... ja...

Nagle Tylendel znalazł się obok niego, przytrzymując go, łagodząc drżenie.

— Już dobrze — szepnął do ucha Vanyela, który poczuł jego ciepły oddech we włosach jak pieszczotą. — Wszystko w porządku, rozumiem.

Vanyel stał skamieniały jak posąg, ledwie ważąc się oddychać, lękając się otworzyć oczy. Tylendel gładził jego włosy i kark; jego dłonie były ciepłe i delikatne. Vanyel miał wrażenie, że jego serce walące jak młot, rozpadnie się na kawałki.

— Rozumiem — powtórzył Tylendel. — Wiem, jak to jest, kiedy się pragnie

czegoś, i ma się świadomość, że nigdy się tego nie osiągnie.

— Naprawdę? — zapytał Vanyel drżącym głosem. Tylendel zaśmiał się z cicha. Był to śmiech pełen ciepła i uczucia.

Jego palce powędrowały wzdłuż kręgosłupa Vanyela, powoli, zmysłowo. W ramionach Tylendela Vanyel zaczął się rozluźniać, a gdy jego dłonie na piersi Tylendela wyczuły nie materiał, lecz nagie ciało, otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Chłopiec był zupełnie nagi.

— Ale może — wyszeptał Tylendel, zaglądając głęboko w oczy Vanyela. — Może choć mnie uda się to osiągnąć.

Z gardła Vanyela wyrwał się zduszony krzyk. Wyswobodził się z objęć Tylendela i pognął w ciemność, w chłód. . .

Pognął do swego dawnego snu.

Najpierw ukazała się przed nim pokryta śniegiem równina, a gdy ją przemierzył, przez grudkowaty śnieg zaczęły wybijać się lodowe zęby. W miarę jak posuwał się dalej, zęby wyrastały coraz wyżej. Rosły przed nim i za jego plecami. Wreszcie zorientował się, że tkwi w potrzasku z utworzonego przez nie pierścienia. Był uwięziony pośród lodowych ścian, gładszych niż najgładsze szkło, zimniejszych niż najmroźniejsza zima. Nie mógł się wydostać z tej pułapki. Bił pięściami w lodowe ściany tak długo, aż jego dłonie stały się ciężkie jak ołów. Bez rezultatu. Gdziekolwiek spojrział, był tylko lód, śnieg, ani śladu życia, nic poza bielą i bladym srebrzystym błękitem. Nawet niebo było białe. Został zupełnie sam, przeraźliwie sam.

Dookoła nie było nic przyjemnego, nic, co mogłoby przynieść pociechę. Nic przyjaznego. Tylko lód, tylko nieustępliwy, nieruchomy lód i biały, grudkowaty śnieg.

Było mu zimno, tak przeraźliwie zimno, że całe jego ciało przejął ból.

Koniecznien musi się stąd wydostać.

Wiedziony nadzieją że zdoła wspiąć się na ścianę, wyciągnął ręce ku szczytowi jednego z lodowych kłków, lecz uczucie bólu przeszywającego dłonie, zmusiło go do cofnięcia się. Oglupiały, wlepił w nie wzrok. Na wewnętrznej stronie dłoni ujrzał nacięcia sięgające niemal do kości; z ran sphywała krew, tworząc kałużę u jego stop.

Na śniegu widniała krew, czerwona krew. Ale podczas gdy Vanyel przyglądał jej się w oszołomieniu, plama przybrała barwę niebieską.

W tej samej chwili, mimo ostrego bólu, poczuł w dłoniach pieczenie mrozu. Stracił oddech i tży zamglily mu oczy. Chciał krzyczeć, lecz nie mógł wydobyć z siebie nawet jęku. O bogowie, jakiz to był ból! Oddałby wszystko, aby go uśmieńczyć!

Nagle ból ustąpił, ręce mu zdrętwiały. Gdy jego oczy odzyskały ostrość widzenia, jeszcze raz spojrział na swe okaleczone dłonie i wtedy, ku swemu przerażeniu, ujrzał, że nacięcia zamarzyły i całe dłonie, niebieskie, lśniące, bez czucia, zamie-

niają się w lód. Nawet wówczas gdy patrzył na nie, lód posuwał się coraz dalej, ku nadgarstkom, pełził wzdłuż przedramion... z jego gardła wyrwał się wrzask...

Wtem okazało się, że jest już gdzie indziej.

Wokół panował mrok, lecz mimo to dzięki błyskawicy — dzięki dziwnej, błękitnej jasności — widział. Błyskawica zamigotała nad jego głową i zdawała się pozostawać pod kontrolą jego czynów i myśli. Stał na kopcu ze śniegu, pośrodku wąziutkiej doliny. Po obu stronach wznosiły się lodowe ściany, górujące nad nim, sięgające z idealną perfekcją aż ku niebu. Za nim nie było nic. Coś dawało mu pewność tego. Lecz przed nim...

— Vanyelu!

Przed nim stała armia, armia bezmózgich potworów — stworzeń, które miały tylko jeden cel: zdeptać go. Już był ranny, Okręcił się, by skierować błyskawicę w ich szeregi, i w prawym boku poczuł najpierw przeszywający ból, a potem krew spływającą po nodze i zamarzającą w bucie. Było ich zbyt wielu. Był skazany na śmierć. Oddychał ciężko i szlochał, czując w boku przeraźliwy ból. Wiedział, że umiera. Umiera w samotności, tak okrutnej samotności...

— Vanyelu!

Wydostał się z lodowego kanionu i z głębi snu. Z koszmaru wyrwały go gorące, niemal palące ręce, które poczuł na swych ramionach i rozkazujący ton głosu dźwięczący w uszach.

Zamrugnął powiekami. Miał różne odczucia, lecz nie potrafił ich nijak powiązać. Oczy paliły go. Płakał. Włosy i poduszka przemoczone były od łez i wciąż czuł chłód, zbyt silny nawet, by przyprawić go o dreszcz. To dlatego dłonie Tylendela na jego nagich ramionach sprawiały wrażenie tak rozgrzanych.

— Vanyelu... — Oczy Tylendela w świetle nikłego płomienia świecy przy łóżku Vanyela przybrały łagodny, czarny odcień. Wyglądały jak ciemne okna nocą, okna, które w jakiś sposób odbijały troskę. Vanyel czuł jego dłonie na swych ramionach jak żelazo do wypalania piętna. — Bogowie, Vanyelu, jesteś zimny jak lód!

Próbując usiąść, Vanyel uzmysłowił sobie, że wciąż roni łzy.

Ledwie się poruszył, opanowały go drgawki tak silne, że nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

— Ja... — zaczął, ale nie zdołał wykrztusić już nic więcej.

Tylendel, nie rozglądając się nawet po pokoju, podniósł z podłogi szlafrok leżący u stóp łóżka i okrył nim nagie ramiona Vanyela. To jednak nie wystarczyło. Vanyelem wstrząsały drgawki, których nie potrafił powstrzymać, a szlafrok wcale nie dawał ciepła.

— Vanyelu — powiedział Tylendel, a potem objął go i przytrzymał w ramionach.

Vanyel wzbraniał się, próbował się wyrwać.

Przymrużył oczy.

Dookoła niego rozpościerała się pokryta śniegiem równina. Była opustoszała, lecz nie wzywała go do niczego. Była mroźna, lecz nie sroga. Przepętniała ją samotność, samotność... o bogowie, jakże była pusta...

Ale niczego się nie domagała, nie przynosiła cierpienia...

Znów zamrugnął powiekami, a Tylendel wciąż tam był, wciąż patrzył w jego oczy ze szczerością i troską, w które nie sposób było wątpić.

— Odejdź! — wykrztusił Vanyel, w obawie przed cierpieniem, spodziewając się, że zostanie wyśmiany.

— Dlaczego? — zapytał cicho Tylendel. — Chcę ci pomóc.

Zamieniał się w lód. Wkrótce nie będzie już nic czuć, nie pozostaną żadne uczucia... i znajdzie się w potrzasku.

Korzystając z chwilowego rozproszenia uwagi Vanyela, Tylendel oplótł go swymi ramionami.

— Vanyelu, nie skrzywdziłbym cię. Nie mógłbym cię skrzywdzić.

Vanyel przymknął oczy, próbując złapać oddech. W piersi czuł skurcz i ból. ... O bogowie... chcę tego...

— Próbuję tylko cię rozgrzać — ciągnął Tylendel z nutą zniecierpliwienia w głosie. — To wszystko. Rozluźnij się, dobrze?

Rzeczywiście rozluźnił się, nie potrafił pozostać obojętny, i — ku swemu zawstydzeniu — znów zaczął płakać, nie mogąc powstrzymać łez tak samo, jak nie potrafił przerwać drgawek.

Lecz Tylendel nie tylko nie miał przeciwko temu...

— Chodź do mnie, Vanyelu — uspokajał go, nakłaniając, aby oparł się wygodnie na jego ramieniu, i podtrzymywał go jak małego chłopca. — Już dobrze, mówiłem, że cię nie skrzywdzę. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Wypłacz się. Jesteśmy tutaj tylko ty i ja, nic nikomu nie powiem. Na mój honor. Przysięgam na mój honor.

Dla Vanyela i tak było już za późno, by mógł ocalić swą pogruchotaną dumę... zaprzepścił swój wizerunek, poczucie własnej godności, wszystko. Wsparł się na ramieniu Tylendela, chowając twarz w miękkiej materii jego znoszonej, błękitnej szaty. Uwalniając łzy więzione dotąd za barierą obojętności i arogancji, pozwolił, by uleciały resztki jego pychy. Po chwili płakał już tak głośno, że nie potrafił nawet myśleć, mógł tylko przywrzeć mocno do ramion Tylendela i szlochać. Właściwie nie słyszał nawet, co mówił Tylendel. Zapamiętał tylko ton jego głosu, pocieszający, współczujący, pełen troski.

Wreszcie oczy zaczęły go palić, były już zupełnie suche. Płakał tak długo, że jego nos napuchł do rozmiarów jabłka. Cały czas wstrząsały nim dreszcze i wydawało mu się, że przenikające go zimno stopiło się w jedno z jego kośćmi. Trząsał się tak, że całe łóżko dygotało razem z nim.

W końcu nie pozostała mu już ani jedna łza, dreszcze ustały, było mu ciepło, a nawet więcej — czuł, że otoczono go opieką. Był zupełnie wyczerpany. Tylen del podtrzymywał go tak delikatnie, jak gdyby Vanyel był szklaną figurką, mogącą roztrzaskać się pod wpływem tchnienia.

Ale nie musiał robić nic więcej. Dla Vanyela to i tak było dużo. Było to więcej, niż kiedykolwiek mu ofiarowano. Pragnął, aby pozostało tak na zawsze.

... Niech bogowie mi pomogą. Zawsze tego chciałem. . .

— Już? — zapytał cicho Tylen del, odczekawszy dłuższą chwilę po tym, jak ostatni szloch i drgawki przestały wstrząsać ciałem chłopca.

Vanyel skinął z niechęcią i poczuł, że uścisk obejmujących go ramion rozluźnia się. Usiadł, a Tylen del, ująwszy jego twarz w dłonie, skierował ją ku światłu. Vanyel odwrócił się, zdając sobie sprawę z tego, jak musi wyglądać. Na to Tylen del zaśmiał się, ale był to śmiech przyjazny, nie szyderczy.

— Doprowadziłeś się do ruiny, pięknisiu — powiedział, układając słowa w żart, który mógłby rozweselić ich oboje. Vanyel uśmiechnął się niepewnie, a Tylen del przetarł mu oczy rogiem prześcieradła.

— Czy posiadasz coś tak pospolitego jak chusteczka do nosa? — zapytał swobodnie. Vanyel skinął i jął niezdarne sięgać dłonią do szuflady stolika nocnego. Tylen del odsunął jego dłoń i sam wyciągnął lnianą chusteczkę.

— Proszę. — Podał ją Vanyelowi i usiadł w nieco wygodniejszej pozycji. — Nie mogłem zasnąć, wstałem, aby nalać sobie trochę wina i usłyszałem cię. Często ci się to zdarza?

Vanyel wydmuchał nos i na wpół zapuchniętymi oczami spojrzał na starszego chłopca.

— Wystarczająco często — wyznał.

— Jakiś koszmarny sen?

Pokiwał głową i spojrzał na swe ręce.

— Wiesz dlaczego?

— Nie — wyszeptał. Ale wiedział, doskonale wiedział, dlaczego. To słuchanie śpiewu bardów, słuchanie tego, co nigdy nie stanie się jego udziałem, a potem spotkanie z Tylen delem i świadomość. . .

Bogowie.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Odważył się jeszcze raz spojrzeć na Tylen dela. Choć niełatwo było wyczytać cokolwiek ze spokojnej twarzy chłopca, Vanyel wyraźnie widział, że nie ma w niej nic nieszczerego.

Ale. . .

— Będziesz się ze mnie śmiał — odparł, gotów ponownie się wycofać.

— Nie. Na mój honor. Van, ja nie kłamię. Nie będę się z ciebie śmiał i nic z tego, co mi powiesz nie wyjdzie poza ten pokój, chyba że sam sobie tego zaży-czysz.

Vanyel znów zadrżał i słowa same zaczęły płynąć z jego ust

— To lód — powiedział, pociągając nosem i przyglądając się swym dłoniom ściskającym chusteczkę. — Jest wszędzie dookoła mnie. Jestem w pułapce. Nie mogę się wydostać. Jest mi strasznie zimno... bardzo zimno. Wtedy ranie sobie dłonie i zaczynam zamieniać się w lód. A później, czasami, tak jak dziś, jestem gdzie indziej, walczę z tymi stworami i wiem, że umrę. A najgorszy z tego wszystkiego jest ból i umieranie... to ta... ta... — zająknął się — jestem... zupełnie sam. Tak okrutnie samotny...

Wszystko to brzmiało tak banalnie, tak nieprawdopodobnie głupio, kiedy próbowało się to ująć w słowa. Szczególnie dlatego, że nie opowiedział, nie mógł opowiedzieć, Tylendelowi drugiej części snu, tej o nim. Podniósł oczy na Tylendela, spodziewając się zobaczyć na jego twarzy szyderczy uśmiech... i nie spostrzegłszy nic podobnego do niego, osłupiał.

— Van, chyba wiem, co masz na myśli — powiedział wolno Tylendel. — Czasem bywa tak, że samotność przynosi ból większy niż umieranie; kiedy łatwiej byłoby umrzeć, niż pozostać w samotności. Czyż nie mam racji?

Vanyel zamrugał powiekami, zabrakło mu słów.

Głos Tylendela brzmiał tak łagodnie, jak gdyby chłopiec mówił do siebie.

— Czasem lepiej jest stracić kogoś bliskiego, niż nigdy nie zaznać przyjaźni...

Na moment oczy Tylendela skupiły się na Vanyelu. I serce Vanyela zadrżało na widok błysku uczucia, które w nich ujrział. Była to tęsknota, jakiej nigdy nie spodziewał się tam odnaleźć. Tęsknota za nim.

... O bogowie... nigdy... nie przypuszczałem... on nie może...

Ależ tak. On naprawdę... ojciec mnie...

Nie dbam o to!

Postanowił pochwycić to, co mu zaofiarowano, nim ktokolwiek zdoła mu to odebrać.

— Vanyelu — zaczął Tylendel.

— Lendelu... — przerwał mu Vanyel z naciskiem. Odważył się nazwać Tylendela zdrobnieniem, jakiego używała jego ciotka. — Zostań ze mną... proszę. Proszę. — Słowa zbijały się w jedno, gdy Vanyel próbował wypowiadać je jak najszybciej, zanim Tylendel mu przerwie. Kurczowo ścisnął nadgarstek ręki starszego chłopca. — Ten lód wciąż tam jest. Wiem, że tam jest, jest we mnie i zamara od wewnątrz... zabija moje... uczucia. Czuję, że mnie zabija. Proszę, proszę, nie zostawiaj mnie samego z tym...

— Nie wiesz, o co mnie prosisz — odparł Tylendel niemal ze złością, zsuwając dłoń z dłoni Vanyela. Z jego oczu nie dało się już nic wyczytać. — Nie możesz wiedzieć. Nie wiesz kim jestem.

— Ależ wiem — rozpaczliwie zaprotestował Vanyel. — Wiem. Dziewczyny opowiadały mi różne rzeczy, aby przyciągnąć moją uwagę... Powiedziały, że

jesteś... ach... *shay'a'chern*. Mówiły, że nie sypiasz z dziewczętami, że... — Poczuł, że rumieniec oblewa jego nabrzmiąte od płaczu policzki; gwałtownie napływająca krew przyprawiała go niemal o ból.

— Do diabła, Vanyelu, z czego, myślisz, jestem? — wrzasnął ostro Tylendel. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie, w oczach odbijało się cierpienie. — Myślisz, że kim jestem? Myślisz, że jestem z kamienia? Jesteś piękny, jesteś bystry, jesteś wszystkim, o czym mógłbym zamarzyć. Wydaje ci się, że jestem tutaj i nie pragnę cię? Wielcy bogowie, nie wykorzystałbym niewinnego chłopca, lecz to, o co ty mnie prosisz, wystawiłoby na próbę opanowanie świętego!

— Nic nie rozumiesz. Wiem, o co proszę — odparł Vanyel, ponownie ściskając nadgarstek Tylendela, nim ten wstanie i odejdzie w ciemność. — Naprawdę wiem.

Tylendel gwałtownie potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

— Lendelu, spójrz na mnie — błagał Vanyel, otwierając swe serce w wyznaniach, jakich nigdy wcześniej nie odważyłby się uczynić. — Posłuchaj, ja też nie lubię dziewcząt. Nie jestem niewiniątkiem. Wiem, czego chcę, Lendelu, proszę, wysłuchaj mnie. Byłem... spałem z wystarczającą liczbą dziewcząt, aby się przekonać, że wcale na mnie nie działają. To jest... niemal tak samo mechaniczne jak taniec czy jedzenie. One po prostu nic dla mnie nie znaczą.

Tylendel przestał się wrywać i spojrzał na Vanyela. Na jego twarzy odbiło się takie zdumienie, że Vanyel z trudem zdołał powstrzymać śmiech.

— A czyjaś dla ciebie znaczą? Czy... — zaczął Tylendel, ale zaraz spęsniał. — Nie igraj ze mną, Vanyelu. Nie zabawiaj się moim kosztem. Już raz ktoś mnie tak potraktował i nie chcę słyszeć, jak rano będziesz się skarżył Savil, że cię uwiodłem.

Vanyel zagryził wargi i błagalnie popatrzył w oczy Tylendela.

— Nie zabawiam się z tobą, Lendelu. Proszę. — Znów poczuł w oczach piekący ból, ale tym razem nie próbował ukryć łez, które zaraz spłynęły po jego rozpalonych policzkach. — Myślałem o tym od dawna. Niemał od chwili kiedy się tu znalazłem i one... opowiedziały mi o tobie. Nigdy mnie nie wyśmiałeś. Byłeś dla mnie miły nawet wtedy, gdy ja odnosiłem się do ciebie niegrzecznie. To znaczyło dla mnie bardzo wiele i nie wiedziałem, jak ci się odwdzińczyć. Zacząłem... odczuwać... coś dziwnego, kiedy tylko byłeś w pobliżu. Bałem się. Nie ważyłem się dać ci tego po sobie poznać. Nie chciałem się przyznać, czego pragnę. A teraz ci o tym mówię.

Starszy chłopiec popatrzył na niego spod oka.

— To znaczy?

Vanyel poczuł ściśnięcie w gardle.

— Pragnę być z tobą, Lendelu. A jeżeli odejdiesz, pozostanie mi tylko tamten lód...

Tylendel znów ujął twarz Vanyela w swe silne dłonie i delikatnie, drżącymi

palcami startł łyż z jego policzków. Tak długo trwał bez ruchu, patrząc badawczym wzrokiem głęboko w oczy Vanyela, że ten miał wrażenie, jak gdyby chłopiec sięgał myślą aż do dna jego duszy. Wytrzymał to spojrzenie i skoncentrował się na swych uczuciach, aby Tylendel mógł odnaleźć w jego oczach potwierdzenie każdego wypowiedzianego słowa. Wreszcie Tylendel z wolna skinął głową,

Potem dość zdecydowanym ruchem pochylił się i nim wziął Vanyela w ramiona, zdmuchnął świecę.

Dookoła panowała głęboka ciemność; na zewnątrz nie było żadnego światła, żadnego dźwięku, prócz odgłosów deszczu. Po chwili Tylendel, jakby zaskoczony, wybuchnął zduszonym śmiechem i szepnął łagodnie do ucha Vanyela:

— Zaczynam się zastanawiać, kto kogo tutaj wykorzystuje?

Później, po dłuższej chwili, znów dało się słyszeć śmiech Tylendela. Miał to być znak dla Vanyela, że tylko żartuje.

— Posuń się, mały, samolubny piękniśiu. Zaraz zamarznę na śmierć.

A potem zapadła cisza.

Wreszcie słowa stały się zupełnie zbędne.

Korytarze były zupełnie opustoszałe, chłodne, oświetlone Wygasającymi stopniowo lampkami, w których dopalały się już resztki oleju. Powolne, ociężałe ze zmęczenia kroki Savil brzmiały echem przed i za nią, nie burząc spokoju nawet pajaków. W pewnym momencie, podczas długiej drogi powrotnej z Sali Rady, Savil zwątpiła, czy wystarczy jej siła, aby dotrzeć do apartamentu. Ogarnęło ją takie wyczerpanie, że gotowa była położyć się pośrodku zimnego korytarza.

Jestem na to za stara — mówiła do siebie. — Po tych, których mam pod opieką teraz, nie chcę już żadnych uczniów. Nie mogę już znieść tych emocjonalnych wzlotów i upadków. A narady ze stadem tych starych, twardogłowych osłów są już naprawdę ponad moje siły.

Uśmiechnęła się do siebie ironicznie.

Sama należę do najbardziej upartych spośród nich. Ale, bogowie... to jest pora raczej dla młodych. Wszystko mnie boli. Coś mi się wydaje, że będę musiała odwołać dzisiejszą lekcję magii pogodowej Tylendela, inaczej ból nasili się nie do wytrzymania. Niech bogowie błogosławią, nareszcie drzwi.

Weszła do swego apartamentu. Tylendel wprawdzie pozostawił dla niej zapaloną świecę, lecz i ona już się dopalała. Nie miało to jednak znaczenia, bo przez okna pokoi, jej, Mardika i Donni oraz Tylendela... wkradało się srebrzystoszare światło zachmurzonego świtu.

Oślupiała. Łóżko Tylendela stało puste. Zobaczyła to przez otwarte drzwi.

Nie wpadaj w panikę, staruszeko — zganiła się. Spróbuj troszkę pomyśleć. Po pierwsze, łączy was wspólna magia, możesz mieć dostęp do jego umysłu. Sprawdź, dokąd prowadzi ta droga.

Odnalazła cieniutką nitkę połączenia ich energii mówiącą „Tylendel” i podążyła za nią do miejsca, gdzie znajdował się sam chłopiec. Nie było to zbyt daleko, właściwie nawet w tym samym apartamencie. W pokoju Vanyela.

W pokoju Vanyela?

W pierwszej chwili chciała rzucić się do drzwi, otworzyć je i zażądać wyjaśnień. Ale już po chwili zaśmiała się z cicha, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam?

Lecz... Vanyel? Bogowie, zlitujcie się. Nic nie wskazywało, że jest *shay'a'chern*...

Ale biorąc pod uwagę uprzedzenia Withena, można by przypuszczać, że już od dawna dręczyły go obawy, iż chłopiec różni się od większości swoich rówieśników. A reakcją Withena na te obawy byłoby...

Dokładnie to, co zrobił. Zatrzymał chłopca w domu, izolując go od prawdziwego życia, zamiast powierzyć jego wychowanie komuś z zewnątrz, i próbował narzucić mu zainteresowania, które sam uważał za właściwe. Usiłował ukształtować chłopca na sposób zupełnie niezgodny z jego naturą. Prawdopodobnie postarał się nawet, aby Vanyel nie dowiedział się, iż współżycie dwóch osób tej samej płci jest możliwe. W konsekwencji tego, aż do momentu gdy dowiedział się o Tylendelu, Vanyel sam nie uzmysławiał sobie swych własnych skłonności.

Wszystko to stanowiło odpowiedź na szereg pytań. Teraz jednak należało się zastanowić, jak doszło do tego, co wydarzyło się dziś, i jaki będzie to miało wpływ na przyszłość?

Wciągnęła głęboko haust zimnego, wilgotnego powietrza i po omacku odnalazła drogę do swego pokoju. Nie trzeba się śpieszyć. Można porozumieć się z Tylendelem leżąc w łóżku. Zważywszy na jej obecny stan, będzie to nawet łatwiejsze.

Rozebrała się do naga, obiecując swemu umęczonemu ciału późniejszą kąpiel i — nim wślizgnęła się pod kołdrę — naciągnęła koszulę nocną. Czując ciepło pościeli, pobłogosławiła wspaniałomyślność Tylendela, który przed pójściem spać pozostawił na jej łożu rozgrzewające zakłęcie.

Usadowiła się wygodnie i uchwyciła cieniutką wstążkę myśloczucia. Jeśli ten diabełek nie śpi...

— *Savil?* — Odebrała przytłumioną snem, lecz przesyconą, uczuciem spełnienia myśl. — *Miałem wrażenie, że słyszałem, jak weszłaś. Odnalazłaś mnie, co?*

— *No tak. I mam do ciebie mnóstwo pytań.* — Uniosła się nieco na posłaniu i poczuła, że ból w ramieniu stał się mniej dokuczliwy. — *Jedynie naprawdę istotne brzmi: Jak udało ci się go do tego namówić?*

— *Nie musiałem tego robić. To on tego chciał.*

Zdumienie niemal wytrąciło Savil ze stanu myśłomowy, co sprawiło, że musiała na nowo odszukać płynącą ku niej wiązkę myśli Tylendela.

— Wygląda na to, że o czymś jeszcze nie wiem! Wielkie nieba, cóż to się wydarzyło ostatniej nocy?

— Zbyt wiele, aby o tym teraz mówić. — W tonie jego myśli pobrzmiwało fizyczne i psychiczne wyczerpanie. — Nic mu nie będzie, Savil. Doszło między nami nie tylko do fizycznego zbliżenia. Mam wrażenie, że przedtem i potem rozmawialiśmy godzinami. Podarował mi klucz do swego serca i sam chciał, abym go zatrzymał.

Savil sardonicznie uniosła brwi.

— Lendelu, nie chciałabym burzyć twego szczęścia, ale czy mogę ci przypomnieć, co się wydarzyło poprzednio, gdy poranek zastał cię w cudzym łóżku?

— Wszystko w porządku, Savil. Naprawdę, tym razem wszystko jest w najlepszym porządku. — Poczul się nawet lekko zaskoczony tą pewnością. — Zawsze z przymrużeniem oka traktowałaś moje miłostki... ale... wiem, że tym razem to co innego.

Savil parsknęła.

— Prawda. Za każdym razem tak jest i lepiej nie pozwalaj starej, cynicznej kobiecie zakłócać tej idylli.

— Nauczycielko... myślę, że to będzie coś więcej. Myślę, że on mnie potrzebuje.

— O nieba. Zgoda, jeśli twoim zdaniem to wszystko zmierza w tym kierunku... Daj mi znać rano, jeżeli zechcesz przeprowadzić się do niego, albo on do ciebie. Chociaż... jego pokój jest ładniejszy. Wolny moglibyśmy przeznaczyć dla gości.

Dobiegł ją ton dźwięcznego śmiechu Tylendela. — Chciałabyś odzyskać mój pokój.

— Jeżeli z niego nie korzystasz... a mówiąc poważnie, Tylendelu, gdy tylko wstanę, chcę uciąć sobie z nim długą pogawędkę i pragnę, abys i ty był przy niej obecny. On naprawdę powinien się dowiedzieć, co go czeka jako shay'a'chern. Nie sądzę, abyśmy mogli sobie pozwolić na zaniedbanie uświadomienia mu tego. W tej sprawie jeszcze są z tobą porozumiem. Hm... odwalaj wszystkie swoje przedpołudniowe zajęcia. Jestem zbyt zmęczona i odnoszę wrażenie, że i ty nie zasnąłeś dziś zbyt wcześnie.

Ponownie Savil poczuła łagodny śmiech Tylendela i ich myśli zatraciły kontakt. Savil poddała się zupełnie swemu wyczerpaniu i zapadła w sen, na który tak naprawdę straciła już ochotę.

Ale nim zasnęła, przez głowę przemknęła jej ostatnia myśl.

Co ja powiem Withenowi?

Uniółszy głowę, Tylendel oparł ją na łokciu i popatrzył na drzemiącego u jego boku chłopca. Odpoczynek załagodził już ślady wielu godzin rozdzierającego

serce płaczu. Zrelaksowany, uwolniony od swej maski, Vanyel wyglądał teraz niczym niewinne, śpiące dziecko...

...którym zresztą wcale nie był, o czym Tylendel miał okazję przekonać się w dość intymnych okolicznościach. Nie był nim w najmniejszym stopniu, pomijając może jego bezbronność.

— Van — szepnął, kładąc rękę na ramieniu chłopca. Mimo zapewnień przekazanych swej mentorce, Tylendel czuł lekki dreszcz niepewności. — Czy mógłbyś się przebudzić?

Vanyel poruszył się, zmarszczył nos i lekko uchylił powieki, a kiedy zobaczył, kto leży obok niego, jego twarz rozpromienił serdeczny uśmiech. Pozbawiony swej pozy obojętności, stał się równie czarujący jak piękny.

— Hm? — odezwał się mrużąc oczy, a Tylendel poczuł w sobie wzbierającą falę wdzięczności i ulgę, że jednak nie powtórzy się to, co zakończyło jego niesławny romans z Nevisem.

— Chciałbyś mieć sublokatora?

— Ciebie... dlaczego to?

Uśmiechnął się. Wiedział już, że trzeba Vanyelowi dawać do zrozumienia, jeśli coś jest tylko żartem, bo inaczej brał wszystko zbyt poważnie.

— Wygląda na to, że Savil chciałaby odzyskać swój pokój. Mówi, że dla gości. Poza tym lubię twoje towarzystwo.

Odpowiedź Vanyela, choć nie wyrażona słowami, była stanowcza i bezsprzecznie oznaczała zgodę.

— Mamy — rzekła surowo Savil — kilka problemów.

Podczas porannej toalety odbyła już w myśli zapowiedzianą naradę z Tylendelem. Myślomowa to przyjemna rzecz, pozwala zająć się kilkoma sprawami naraz. Gruntownie rozważywszy całą sprawę zdecydowała, że jej rozmowa z Vanyelem powinna mieć miejsce w jego pokoju. Przy odrobinie szczęścia, może tam będzie się czuł bardziej pewnie.

Savil wybrała sobie najwygodniejsze krzesło w całej izbie. To przywilej wieku — tłumaczyła sobie, czekając, aż obydwaj młodzieńcy sami zajmą miejsca. Nie pytając o pozwolenie Vanyela, Tylendel przysiadł na brzegu łóżka, a Vanyel usadowił się na podłodze, usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami.

Ach, ta łatwość przystosowywania się ludzi młodych! Gdybym i ja wciąż mogła taka być! — pomyślała Savil. Sposób, w jaki chłopcy usiedli, podniósł ją na duchu. Vanyel usadowił się u stóp Tylendela, poniżej niej i swego kochanka. Mogło to wskazywać, że porzucił pozę aroganckiej wyższości. Bardzo ją to ciekawiło.

Czy posiadanie stałego partnera — zastanawiała się — mogłoby skłonić Lendela, aby zaczął myśleć o czymś innym niż jego brat bliźniak i ta przekłeta waśń.

Z drugiej jednak strony ten chłopiec jest tak zgłodniały uczuć, że to wszystko może go wpędzić w inne tarapaty.

— Tak, istotnie mamy tutaj kilka problemów do rozwiązania — powtórzyła.

Tylendel przyjął te słowa potakującym skinieniem głowy. Vanyel zaś zrazu wydawał się zakłopotany, potem zamyślił się.

— Pierwszy problem to twój ojciec, Vanyelu. — Przerwała. Vanyel zagryzł wargi. — Jestem pewna, że zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli twój ojciec się o tym wszystkim dowie, z pewnością nie będzie uradowany.

Vanyel chrząknął i pochylił głowę, na moment ukrywając twarz. Kiedy ponownie ją uniósł, malował się na niej znużony, ironiczny półuśmiech, który wyrażał tyle samo bólu, co rozbawienia. Był to zdecydowanie najszczerzy wyraz twarzy, jaki Savil do tej pory u niego widziała.

— „Nie będzie uradowany” to mało powiedziane, ciociu — odparł pocierając palcem skroń. — Ojciec... bogowie, nie potrafię przewidzieć, co zrobi, ale wpadnie we wściekłość, to jest pewne.

— Wezwie cię do domu, Van — odezwał się Tylendel matowym głosem. — Może to zrobić, ponieważ nie jesteś pełnoletni, nie zostałeś Wybrany i nie należysz do Bardicum.

— A ja nie mogę cię przed nim obronić — westchnęła Savil, szczerze żałując, że nie jest w stanie tego zrobić. — Przez jakiś czas, dzięki temu, że ojciec oficjalnie powierzył cię mej opiece, mogę go trzymać na dystans; ale tylko przez kilka miesięcy. Wówczas, cóż, znam twego ojca i mogę ci powiedzieć, co zrobi. Myślę, że zamknie cię w areszcie domowym na okres wystarczająco długi, aby wszyscy o tobie zapomnieli, aż wreszcie znajdzie jakiegoś uległego księdza i wyśle cię do świątyni, najprawdopodobniej bardzo odległej, o szalenie ścisłej regule kontaktów ze światem zewnętrznym. Istnieje, przykro mi to mówić, kilka sekt, które utrzymują, że *shay'a'chern* są plugawymi wykolejeńcami. Członkowie takiej sekty będą bardzo szczęśliwi, mogąc cię „oczyścić” dla Withena i jego złota. A według praw tego królestwa, żadne z nas nie będzie władne im w tym przeszkodzić.

Vanyel skinął potakująco głową. Patrząc w jego zatrwożone oczy, Savil wnioskuje, że Vanyel sam snuł już takie domysły, z innych powodów jednakże.

— Czy mógłbym w takim razie coś zrobić? — zapytał z cicha.

— Oczywiście — odparła Savil. — Inaczej nie rozmawiałabym teraz z tobą. Rozwiązanie to jednak nie przypadnie ci do gustu. Jest ono proste, acz niesłychanie przykre. Za progiem tego pokoju, Vanyelu, nic nie może się zmienić.

— Ależ... — Vanyel odwrócił się, aby zobaczyć, co Tylendel o tym myśli. Ten zaś pokiwał głową, absolutnie zgadzając się z Savil.

— Savil ma rację — rzekł ze smutkiem.

— Ależ... — zaprotestował Vanyel, błagalnie wyciągając ku niemu dłoń. Widząc jednak, że Tylendel potrząsa tylko głową, zwrócił swe bolejące spojrzenie

ku Savil.

— Mardik i Donni są dyskretni i sędzę, że można zaufać też Margret. Będzie trzymała język za zębami, nawet pod groźbą tortur. Jeżeli chcesz tu pozostać, Vanyelu, nie wolno ci powiedzieć ani uczynić niczego, co zdradziłoby twój związek z Lendelem. Jeśli ludzie wezmą was na języki, natychmiast porozumiem się z twym ojcem.

— Najprostszy sposób, aby dać powód do plotek, kochanie, to zmienić się i być dla mnie miłszym niż dotychczas. Mówiłeś mi, że dziewczęta powiedziały ci, iż jestem zbrodnicem. — Oczy Vanyela rozszerzyły się w reakcji na bezpośredniość Tylendela. — Z pewnością nie umknęło twej uwadze rozbawienie, jakie to w nich wzbudza, a w porównaniu do innych one i tak wydają się dość grzeczne. Moje skłonności nie są ogólnie akceptowane przez społeczeństwo. To, że nie spotykają mnie nieprzyjemności, zawdzięczam dwóm sprawom. Po pierwsze, jestem kandydatem na herolda, a heroldom wolno troszkę więcej niż zwykłym śmiertelnikom. Poza tym moją patronką jest Savil i tak się składa, że ma ona najwyższy status spośród wszystkich heroldów, wyłączając oczywiście Osobistego Królowej.

— A drugi powód? — zapytał Vanyel przyciszonym głosem.

Usta Tylendela wykrzywiło coś na kształt uśmiechu.

— Fakt, że dwóch najbardziej uciążliwych spośród moich dręczycieli dostało ode mnie taką nauczkę, że nie mogli się podnieść z ziemi.

— Och.

Tylendel ujął dłoń Vanyela w swoje dłonie.

— Zdaję sobie sprawę, że chciałbyś, aby wszyscy o tym wiedzieli. Trudno mi wyrazić, ile to dla mnie znaczy. Lecz jeszcze cenniejszą będzie dla mnie świadomość, że możesz ze mną zostać.

— Nie sprzeciwiaj się, chłopcze — powiedziała Savil, zakłócając pełną napiętości interakcję, jaka się między nimi nawiązała. — Musisz dać przedstawienie, z którym nawet sztuka Mistrza Aktorów nie będzie mogła się równać. Tylendel i ja rozmawialiśmy o tobie dziś po południu.

Widząc głębokie zdziwienie bijące z twarzy chłopca, Savil odgadła, iż Vanyel nie domyślił się, że odbyła z Tylendelem naradę w myślomowie. Jeśli tak, to może on nawet nie wie, iż oboje posiadają ten dar.

— Oboje mamy dar myślowy, chłopcze, który jest niezwykle przydatny w wypadkach takich jak ten. Tylendel wyjawiał mi co nieco z tego, co sam mi opowiedział, i skłoniło mnie to do zmiany mojej opinii o tobie. Nie będę cię jednak okłamywać. Pomogę ci, ponieważ Tylendel tego chce, ponieważ chce, abyś tutaj został. A teraz, rozkazuję ci: za progiem tego apartamentu masz pozostać tym samym małym draniem, który tu przyjechał. A jeśli uda ci się być choć trochę nieprzyjemnym w stosunku do Tylendela, to jeszcze lepiej. W nagrodę przemienię zaraz to mieszkanie w mały raj dla was obojga. Czy to dobry interes?

Vanyel pobladł, przelknął ślinę i skinął potakująco.

Twarz Savil, po raz pierwszy od początku tej rozmowy, rozjaśnił uśmiech.

— To dobrze, chłopcze. Jeżeli choć połowa z tego, co mówi o tobie Tylendel, jest prawdą, chyba cię bardzo polubię. Współczuję ci z powodu tego, co musiałeś znieść od swego ojca. Powiem ci szczerze, że on nie jest już tym samym człowiekiem, którym był, gdy zostałam Wybrana. Zrobił się zawzięty i uparty, a do tego ograniczony. Może to upływający czas go tak zmienił, a może fakt, iż wielu jego starych przyjaciół odeszło już na Długi Spacer i on sam czuje skradającą się po niego śmierć. A może to ten księżulo, z którym się związał. Nie wiem. — Zakaśłała. — Cóż, to nie jest w tej chwili istotne. Istotne jest to, że to udawanie potrwa tylko do momentu, gdy ukończysz osiemnaście lat. Będiesz wtedy panem własnego losu, mogącym robić, co mu się żywnie podoba. Ja ze swej strony postaram się, aby Tylendel zaczął mieć kłopoty z lekcjami magii. — Tylendel zaśmiał się głośno. — Sądzę, że można go trzymać z dala od Bieli, aż do chwili gdy osiągniesz pełnoletność. Później — jeśli ten romans przetrwa tak długo — będziecie musieli sami decydować. Czy wszystko jasne?

— W zupełności, ciociu Savil. — Vanyel sprawiał wrażenie opanowanego i wyglądał zupełnie inaczej niż chłopiec, który stanął przed nią miesiąc wcześniej. Nie potrafiła wskazać przyczyny tej przemiany.

— *Lendelu, co się z nim stało?*

— *Żadnych masek* — nadeszła natychmiastowa odpowiedź. — *To jest właśnie prawdziwy Vanyel o złotym sercu. Taki, jakiego, poza mną i może jego siostrą, nikt nie poznał. Teraz rozumiesz, dlaczego go kocham?*

Ostatnie jego słowa zmroziły Savil.

— *Czy jesteś tego pewny, mój mały? Czy naprawdę jesteś tego pewny?*

Ich oczy spotkały się ponad głową Vanyela i Tylendel zatrzymał jej wzrok.

— *Jestem pewny.*

— *A on?*

— *Nie wiem, lecz dla mnie był gotów przeciwstawić się ojcu. Myślę, że to o czymś świadczy.*

Zamknęła oczy, uciekając przed jego palącym, namiętym spojrzeniem.

— *Jeśli tak, niech bogowie wam pomogą i mają w swej opiece.*

Savil szybko przeniosła swą uwagę z powrotem na Vanyela, który wciąż — z tym samym lękiem i poczuciem bezbronności, rozdzierającym jej serce — patrzył w stronę Tylendela.

— Pomogę ci, jak tylko będę mogła, synu — powiedziała cicho. — Pomogę ci, jak tylko będę mogła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie odchodź jeszcze — odezwał się niespodziewanie Tylendel, gdy Vanyel podniósł się z podłogi. Ten popatrzył na niego z niepewnością. Nie przyzwyczał się jeszcze do nowej sytuacji, do szczerości. Ciągle czekał na nagły zwrot, jakiś wstrząs, który jednak wcale nie nadchodził.

Tylendel zdawał się doskonale o tym wiedzieć.

— Wszystko w porządku, Van — rzekł łagodnie. — Naprawdę wszystko w porządku, mam ważny powód.

— Mam lekcję — zaprotestował Vanyel. — Historię. W dodatku wciąż jestem daleko w tyle za pozostałą trójką.

Twarz Tylendela wykrzywił grymas.

— Jesteś sobie sam panem, pamiętasz? Przynajmniej tak właśnie powinieneś się zachowywać. Opuściłeś lekcje dziś rano, opuść resztę zajęć po południu. Powiesz im, że byłeś chory. Powiesz, że burza przyprawiła cię o ból głowy.

— Ależ...

— To ważne — głos Tylendela przybrał pieszczotliwy ton. — Naprawdę. To jest ważniejsze niż lekcja historii. Jeżeli masz zaległości, pomogę ci je nadrobić. Proszę.

Nie musiał długo zachęcać Vanyela do tego, co ten i tak zamierzał zrobić. Lekcje nie były nawet w najmniejszym stopniu tak atrakcyjne jak towarzystwo Tylendela. Tutaj nikt go nie skrzywdzi. Tutaj komuś na nim zależy. Był tym tak oszołomiony, że czuł się, jak gdyby wypił zbyt dużo wina. Tylko że teraz nie dokuczał mu ból głowy.

Zamknął drzwi i odwrócił się ku swemu kochankowi. Na jego twarzy odbijało się napięcie oczekiwania. Z ręką wciąż na klamce, zastygł w bezruchu.

Tylendel przeciągnął się leniwie, przechylając głowę do tyłu, jak gdyby chciał dosięgnąć sufitu. Wreszcie opuścił ręce, wstał z łóżka i zbliżywszy się do Vanyela, położył mu dłoń na ramieniu.

— Jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić — powiedział, delikatnie kierując przyjaciela w stronę drzwi wyjściowych.

— Ależ... — z cicha zaprotestował Vanyel. — Myślałem...

— Jesteś okrutnie przywiązany do słowa „ależ”, kochanie — zachichotał Ty-

lendel. — Jak cię nakłonić, abyś powiedział coś innego?

Otworzył drzwi, w dalszym ciągu nie wyjaśniając, z jakich to powodów ma zamiar przedstawiać kogoś Vanyelowi. . .

Sam przyznał przecież rację Savil, która przykazała im, aby utrzymywali swój związek w tajemnicy.

Vanyel znów zaprotestował, lecz uzmysłowiwszy sobie, że jedyne słowo, jakie przychodzi mu na myśl, to „ależ”, zaraz zamilkł. Tymczasem Tylendel wyprowadził go już na zewnątrz, do ogrodów.

— Widzisz ten most? — Tylendel wskazał na północ, ku pierwszemu z dwóch na terenie pałacu mostów na rzece Teril. — A ten las sosnowy po drugiej stronie?

Vanyel skinął potakująco. Był to dość spory las; drzewa wrastały nawet daleko w łąkę. Były wysokie, bardzo grube, o barwie ciemnozielonej, niemal czarnej, i ogromnych konarach, które ugiwały się pod własnym ciężarem, dotykając ziemi.

— W momencie gdy mnie tam zobaczysz, zacznij liczyć do pięćdziesięciu, a później rusz za mną — rozkazał Tylendel. — W razie gdyby ktoś nadszedł czy wyglądał przez okno, radzę ci popробować swych umiejętności, odgrywając rolę małego zarozumialca.

Vanyel jeszcze raz pokiwał głową, kompletnie ogłupiony, lecz gotowy zastosować się do wszelkich poleceń Tylendela. Podczas gdy ten oddalał się, Vanyel z rozmysłem przyjął odpowiednią pozę: z rękoma założonymi na piersi oparł się o małą bramę, dokładając wszelkich starań, aby sprawiać wrażenie, że wyszedł tylko na przechadzkę do ogrodu.

To będzie trudniejsze niż gra, którą prowadziłem przedtem — pomyślał pośpiesznie, usiłując rozglądać się dookoła, lecz nie patrząc w kierunku, w którym udał się Tylendel. Wtedy nie miałem nic do stracenia. Teraz, jeśli podwinie mi się noga, mogę stracić wszystko. Przymknął oczy i zwrócił twarz ku słońcu, udając, że rozkoszuje się jego ciepłem. Jeśli nie podwinie mi się noga. . . och, bogowie. . . potrafiłbym oddać wszystko, aby tak się stało. . . wszystko. Przysięgam, mogę zrobić wszystko, czego ode mnie zażadasz!

Zaryzykował spojrzanie z ukosa na drugi brzeg rzeki. Tylendel zbliżał się właśnie do lasu sosnowego. Vanyel rozejrzał się, podszedł do kępki liliowców, przez chwilę przyglądał im się z zachwytem i znów rzucił okiem na drugi brzeg. Jasne włosy Tylendela migotały między ciemnymi drzewami jak zaplątany pośród gałęzi kłębek włóczki uprzedzonej z promieni słonecznych.

Vanyel przeniósł swój zachwyty na różowe winogrona, w rozmarzeniu pochylając się, aby uraczyć się ich wonią. Cały czas jednak nie przerywał odliczania do pięćdziesięciu. Ledwie jednak dobrnął do wymaganej liczby, zza żywopłotu wyłoniło się chichoczące stadko jego wielbicielek, które spostrzegłszy go, postanowiły zmienić trasę swej przechadzki, aby się z nim spotkać.

O, nie! — pomyślał przerażony i ukradkiem ogarnął wzrokiem okolicę, szu-

kając możliwości ucieczki. Nie znalazł jednak żadnego sposobu na uniknięcie spotkania z nimi. Wzdychając z rezygnacją, pogodził się z tym i czekał, aż się zbliżą.

— Vanyelu, co tutaj robisz? — zapytała łopocząc płowymi rzęsami smukła, dziecinna jeszcze Jillian, — Czyż nie powinieneś być na zajęciach?

Vanyel zamaskował grymas. Pomyślał, że tylko Jillian mogła się tak zachowywać: To cała ona — ani krzty zdrowego rozsądku i moralność charta w rui. Wlecze się za mną z determinacją sokoła, który wypatrzył właśnie gołębia. Panie, cała nadzieja w tym, że ojciec szybko wyda ją za męża. Inaczej przewinie się przez wszystkie łóżka dworu.

Mimo to uśmiechnął się do niej, załączając do uśmiechu skrzętnie wykalkulowany grymas bólu.

— Mam okrutny ból głowy. Zaczął się w nocy, wraz z burzą, i nie mogę się go pozbyć. Próbowałem zasnąć, ale... — Wzruszył ramionami. — Ciocia proponowała, abym poszedł na długi spacer.

Cała grupka dusiła od chichotu.

— Założę się, że zaproponowała kijem — parsknęła ironicznie ciemnowłosa Kerti, odwracając się do słońca. — Zgorzkniała Savil. Cóż, pospacerujemy z tobą i obronimy cię przed nudą.

Vanyel w złości zagryzł wargi, ale w głowie zaświtała mu pewna myśl.

— Ciotka zasugerowała mi też trasę spaceru. — Zatrzymał ich, wykrzywiając twarz z niezadowolenia. — Powiedziała, żebym się przeszedł na drugą stronę Łąki Towarzyszy i z powrotem. Jestem pewien, że przez cały czas obserwuje mnie przez okno.

Popatrzył na nich z kwaśną miną.

— Choć wielce byłbym rad z waszego towarzystwa, mam jednak wątpliwości, czy wasze buciki mogłyby znieść niedogodności spaceru przez łąkę pełną... .

— Końskiego łajna — dokończyła niezbyt wykwintnie Jesalis, marszcząc nos i zarzucając do tyłu swe blond loki. — Szkoda. Masz rację — ciągnęła i wysuwając nieco przed siebie stopę, z żalem popatrzyła na zdobiony bucik z różowej satyny. — Właśnie ukończyłam dekorowanie pantofelków i odebrałam je od szewca. Nie chciałam ich zniszczyć, a byłyby do niczego, zanim przeszlibyśmy połowę drogi. — Na innych twarzach pojawiły się podobne grymasy. — Nigdy nie wybaczymy ci, że nas opuszczasz.

— Nie, to niesprawiedliwe — wykrzyknął Vanyel, przybierając zboląły wyraz twarzy. — Obwinać mnie za rozkazy mojej kapryśnej ciotki! — Z żłością wywracał oczami.

Jesalis zachichotała.

— Wybaczymy ci pod warunkiem, że nadrobisz to dziś wieczór, po kolacji.

— Dziś wieczór? — zapytał. Perspektywa spędzenia wieczoru z nimi, a nie z Tylendelem, jak to zaplanowali wspólnie dziś rano, zasmuciła go.

Jego mina została odczytana jako grymas wywołany bólem głowy.

— Cóż, niekoniecznie, jeżeli w dalszym ciągu nie czujesz się najlepiej — poprawiła się Jesalis.

— Po wędrowce przez łąkę, na której roi się od niebezpiecznych przeszkód — zamaszystym gestem wskazał w kierunku łąki po drugiej stronie rzeki — jestem prawie pewny, że nie poczuję się lepiej.

— Cóż...

— Zróbmy interes. Jeżeli mi wybaczycie, przyjdę wam zagrać, kiedy będziecie wykonywać swe robótki ręczne jutro rano — rzekł zdesperowany, przypomniawszy sobie, że zawsze nalegali, aby dla nich zagrał. Teraz był gotów przyrzec im niemal wszystko, aby tylko uniknąć utraty dzisiejszego wieczoru. Przedtem nie mógł spełnić ich prośby. Zbyt wiele cierpienia by go to kosztowało. Teraz jednak to, czy będzie, czy nie będzie bardem, nie wydawało się już tak istotne. W związku z tym myśl o muzyce nie sprawiała mu już bólu, przynajmniej nie tak wielkiego jak dawniej. I tak nie przyszło mu zapłacić zbyt wygórowanej ceny za ten wolny wieczór.

— Zagrasz? — zapiszczała Wendi, której starsza siostra była wychowanicą matki Vanyela. — Naprawdę? Rata mówiła mi, że grasz równie pięknie jak bard!

— Cóż. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z afektacją. — Nie mogę powiedzieć, abym nie umiał grać na lutni. Znam też jedną czy dwie ballady i jakieś tańce.

— Załatwione — potwierdziła Jesalis. — Umowa stoi.

— Niech cię bogowie błogosławią, moja droga — dodał ze szczerą wdzięcznością. — A teraz, jeżeli możecie mi wybaczyć, im wcześniej uporam się z tą absurdalną przechadzką, tym szybciej będę mógł wrócić do łóżka.

Gromadka zatrzęsa się od chichotu i wszyscy zawrócili, wybierając tę samą drogę, którą przyszli. Podczas gdy Vanyel odprowadzał ich wzrokiem, zniknęli za żywopłotem, kierując się w stronę labiryntu.

Gdy tylko stracił ich z oczu, ruszył z miejsca ciężkim krokiem i — udając wielkie zniechęcenie — przeszedł przez most. Pokonał niewielkie wzniesienie i zaczął posuwać się, choć nie bezpośrednio, w stronę sosnowego zagajnika.

Minął go, brodząc w miękkich trawach, z których najwyższe sięgały aż do kolan. Pomimo tego, co powiedział dziewczętom, pośród traw nie kryły się „pułapki” czyhające na nieostrożnych. Troszkę go to zaskoczyło, bo przecież przechadzki po pastwiskach i wiążące się z tym niespodzianki nie były mu obce.

Co, u diabła, robią te Towarzysze? Zostawiają wszystko w jednym miejscu? Chyba tak. Powiadają, że one są równie inteligentne jak ludzie. Przypuszczam, że to możliwe. Naprawdę prawdopodobne. Choć, tak samo jak konie, jedzą trawę, a któż chciałby spożywać posiłek w wychodku?

Upewniwszy się, że nikt go nie zobaczy, Vanyel zawrócił do sosnowego zagajnika i rozchylił ciężkie, szorstkie gałęzie. Musiał niemal siłą torować sobie

drogę między nimi. Igły wplątywały mu się we włosy i ubranie, konary tworzące sklepienie nad jego głową odcinały niemal zupełnie dopływ promieni słonecznych. Bezpośrednie światło docierało nie dalej niż metr w głąb lasu. Vanyel szedł pośród pachnącego żywicą mroku, gałęzie splatały się nad jego głową w leśną koronkę, a usłana grubą warstwą suchych igieł ziemia pod jego stopami była niczym miękki kobierzec. Dało się wprawdzie słyszeć łamane z cichutkim chrzęstem igły, wydzielające dodatkową porcję zapachu, ale mimo to Vanyel posuwał się niemal bezgłośnie. Gdzieś ozwały się głosy ptaków, lecz ich śpiew zdawał się dobiegać z wielkiej dali. Teraz, gdy Vanyel znalazł się już między drzewami, zagajnik robił wrażenie ogromnego lasu. Był o wiele większy niż wtedy, gdy patrzyło się na niego z zewnątrz. Panowała w nim magiczna, niemal mistyczna atmosfera. Jakże się różnił od zalanej słońcem, zielonej łąki leżącej zaledwie kilka metrów stąd.

Nie był to lasek, o którym słyszał. Ten znajdował się dużo dalej, w głębi łąki. Jednakże stary las sosnowy przyprawiał Vanyela o przyjemne drżenie serca, ożywiał go i jakby wzbogacał świadomość.

— Lendelu? — zawołał łagodnie w głąb błękitno-zielonej ciszy zalegającej pod konarami drzew. Jego głos zabrzmiał głucho, przytłumiony drzewami, których gęste szpalery otaczały go ze wszystkich stron. Ich pnie zdawały się wznosić niczym zszarżałe hebanowe kolumny. Odwrócił się powoli i wyteżył wzrok, by spomiędzy cieni błakających się pośród rozczapierzonych gałęzi wyłowić jakiś kształt.

— Tutaj. — Usłyszał blisko za sobą. Wtem po prawej stronie mignęła, niczym duch, biała sylwetka, która nagle okazała się być...

Towarzyszem. Pierwszym, jakiego Vanyel zobaczył z bliska. Obok, dotykając ręką śnieżnobiałej, pochylonej szyi zwierzęcia, stał Tylendel.

— Oto ten, kogo chciałem ci przedstawić. Van, to jest Gala. Ona już o tobie wie, Vanyelu, wiedziała już w nocy. Nasze umysły łączy specjalna więź. Powiedziałem jej wszystko, a ona zapragnęła cię natychmiast poznać.

Vanyel poczuł się dziwnie niezręcznie. Szafirowe oczy Gali błyszczały ogromną, zatrważającą wręcz inteligencją, mimo że ciało nie odróżniało jej od zwykłego konia. Jak, do diaska, przedstawić się koniowi?

Zaległo milczenie. Vanyel wpatrywał się w oczy Gali. Wreszcie przełknął ślinę i odważył się spróbować ją zagadnąć.

— Witam — powiedział niepewnie, patrząc prosto w jej oczy, licząc na to, że przemawia wprost do inteligencji zwierzęcia. Próbował zapomnieć o swym uczuciu onieśmielenia i dezorientacji. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

Gala parsknęła, a Tylendelem wstrząsnął zduszony śmiech.

— Ona mówi, że od dawna żywiła nadzieję, że znajdę miłego partnera i dam jej spokój. Twierdzi, że ogarnął ją lekki niepokój, kiedy pewnego razu, poddając się pieściztom jakiegoś dorodnego ogiera, nagle poczuła, że przerywam jej idyllę swymi nagabywaniami o bajkę na dobranoc!

Takiej odpowiedzi Vanyel nigdy by się nie spodziewał. Stłumił śmiech.

— Lendelu, chyba nie zrobiłeś tego!

Tylendel skinął potakująco głową.

— Oczywiście, że to zrobiłem, ale tylko raz. To było bezpośrednio po tej historii z Nevisem i czułem się troszkę — zająknął się i odwrócił wzrok — samotny.

Vanyel położył rękę na jego dłoni spoczywającej na szyi Gali.

— Mam nadzieję, że po raz pierwszy i ostatni.

Tylendel przeniósł wzrok z dłoni Vanyela na jego twarz, w jego oczach zabłyśnięcie uśmiechu.

— Tak — powtórzył cicho. — Po raz pierwszy i ostatni.

Cisza i spokój panujące w lesie sprawiły, że wszystko, prócz nich samych, przestało się liczyć. Zakłęci czarem miejsca i sytuacji, zapomnieli o przemijającym czasie. . .

Vanyel poczuł silne pchnięcie w plecy, zachwiał się i zrobił krok do przodu. Tylendel podtrzymał go i uchronił przed upadkiem. Obydwaj byli za bardzo przestraszeni, aby wydobyć z siebie coś ponad jęk zdumienia.

Gala uskoczyła kilka kroków do tyłu, wydając dziwne odgłosy. Vanyel gotów był dać głowę, że usłyszał jej śmiech. Nie ulegało wątpliwości, że to ona pchnęła go łbem prosto w ramiona Tylendela.

Tylendel wybuchnął śmiechem, złapał się za brzuch i zakołysał się, nie mogąc złapać tchu. Gala parsknęła, pokiwała głową, a Tylendel znów zaniósł się od śmiechu.

Rozmawiają. — Zrozumiał wreszcie Vanyel, patrząc na krztuszącego się Tylendela. Albo. . . może ona droczy się z nim. O bogowie w niebie i piekle, wszystkie historie, jakie opowiadają o Towarzyszach są prawdziwe! Szkoda, że nie słyszę, o czym oni mówią.

Poczuł niemily skurcz w żołądku i jakiś cierpki posmak. Tak smakowała tylko zazdrość. Tylendela i Galę łączyło coś, co nigdy nie będzie jego udziałem — coś, co nawiązało się między nimi na długo przed pojawieniem się Vanyela. Ze względu na to, on zawsze pozostanie kimś z zewnątrz. Uświadomiwszy sobie ten fakt, poczuł ostre ściśnięcie w gardle, a do gorzkiego uczucia zazdrości dołączył nagły dreszcz osamotnienia i cień wątpliwości.

Właściwie Tylendel mógłby przecież mieć, kogo by tylko zechciał, prawda? — pomyślał. A więc dlaczego miałby zwracać sobie głowę akurat mną? Skąd mam wiedzieć, że jest wobec mnie szczery?

Nie zdążył jednak pogрузić się w otchłani czarnych myśli, bo naraz zdał sobie sprawę, że ma zajęte ręce. Podtrzymywał właśnie Tylendela, który zanosząc się od śmiechu, nie mógł złapać tchu i charczał jak wyciągnięta z wody ryba.

— Nie zrobiłabyś tego! — wykrztusił Tylendel. Po policzkach sływały mu łzy. Wysunął się z objęć Vanyela, by podejść do Towarzysza i zagrozić jej z udanym gniewem. Niestety zamiar nie powiódł się, bo nim Tylendel zdołał się do

niej zbliżyć, odpowiedź Gali przyprawiła go o kolejny wybuch i chcąc zachować równowagę, musiał znów szukać oparcia, tym razem w pniu jednego z drzew. — Nie waż się! Galo, nie zrobiłbym czegoś takiego! Ty wstrętna szkapo!

Gala zatańczyła w miejscu, bezgłośnie stąpając kopytami po grubym dywanie z igieł. Jej oczy połyskiwały szelmowsko i przez krótką chwilę Vanyel odniósł niepokojące wrażenie, jakoby miał przed sobą wierzgającego Towarzysza i jednocześnie psotną młodą kobietę, mniej więcej rówieśnicę Tylendela, niemo żartującą ze swego Wybranego.

To było jeszcze gorsze. Vanyel poczuł się całkowicie osamotniony i zepchnięty na margines.

Tylendel zaś, nie zauważając wcale rozpaczę przyjaciela, zdołał właśnie opanovać śmiech i wyprostowawszy się, wycierał wierzchnią częścią dłoni zamglone łzami wesołości oczy.

Jego twarz przybrała srogi wyraz.

— Widzisz, paskudna panno! — odezwał się, udobruchany jej radosnym rzeniem i pieśczętą chrap muskających jego policzek.

Pochylił się, a Vanyel ujrzał, że jego oczy łagodnieją.

— No, już dobrze, wybaczam ci — westchnął Tylendel poddając się i objąwszy szyję Gali, przyłożył policzek do jej pyska. — Ale, do diabła, lepiej nie próbuj...

Czym było to, czego Gala miała „nie próbować”, Tylendel nie powiedział głośno, a Vanyel nie był zupełnie pewny, czy chciałby się dowiedzieć. Coś podpowiadało mu, że byłoby to zbyt krępujące.

Wreszcie Gala wyswobodziła się z uścisku Tylendela i — znacznie łagodniej niż poprzednio — popchnęła go w kierunku przyjaciela. Zbliżyła się jeszcze tylko do Vanyela i leciutko — jak gdyby prosiła o wybaczenie — pogłaskała go nozdrzami po twarzy; było to niczym delikatny pocałunek. Potem puściła się kłusem w głąb błękitnego mroku i zniknęła między drzewami.

Po jej odejściu w lesie zaległa cisza.

— Cóż — odezwał się w końcu Tylendel. — To właśnie była Gala.

Vanyel odpowiedział pierwszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy.

— Bardzo ją kochasz, prawda?

— Bardziej niż cokolwiek czy kogokolwiek, wyłączając ciebie i Stavena — odparł niemal przeproszającym głosem. — Nie jestem pewny, czy umiałbym to wyjaśnić... — urwał, spostrzegłszy na twarzy Vanyela coś, co pozwoliło mu uzmysłwić sobie, jak przykre dla przyjaciela było to spotkanie.

— Van. — Wyciągnął niepewnie rękę, chcąc położyć ją na ramieniu Vanyela. Zaraz jednak zrezygnował i cofnął dłoń, jakby w niepewności, czy w ogóle powinien go dotykać. — Nie przyprowadziłem cię tutaj, aby cię zranić.

Szczery żal w głosie przyjaciela zmusił Vanyela do zebrania się w sobie i przeanalizowania kotłujących się w jego sercu uczuć, nie tylko poddawania się im.

A odczucia owe były — delikatnie mówiąc — mieszane.

— Chyba jestem zazdrosny — powiedział po długiej chwili ciszy. — Wiem, że to niemądre, bo przecież ona nie może cię mieć w taki sposób jak ja... ale w przeciwieństwie do niej nigdy nie będę miał udziału w twych myślach.

— Och, nawet byś tego nie chciał... — zaczął Tylendel.

— Nie w tym rzecz — przerwał mu Vanyel, cofając się kilka kroków. — Skąd mogę to wiedzieć? Możesz mi powiedzieć, ale sam nigdy się o tym nie przekonam, prawda? — Nie miał pewności, co jeszcze powiedzieć czy zrobić. Zamilkł więc i odwróciwszy się z wolna, patrzył gdzieś w bok, w mrok cieni, które wchłonęły sylwetkę Towarzysza.

— Van. — Poczul na swym ramieniu lekki dotyk dłoni Tylendela. Zająrzął w jego oczy. — Chciałbyś o tym porozmawiać? Czy chciałbyś usłyszeć, co to dla nas oznacza, jak to się zwykle zaczyna? Myślisz, że pomogłoby ci to więcej zrozumieć?

Nie ufając swemu głosowi, Vanyel skinął głową.

— To nam zabierze chwilę. Wybierz sobie jakieś wygodne miejsce, gdzie będziesz mógł usiąść. A może chcesz wrócić do pokoju? — Tylendel uniósł brwi, podkreślając zapytanie.

— Nie, podoba mi się tutaj. Tutaj panuje jakby bardziej intymna atmosfera. — Vanyel zająknął się, lecz szybko skrył wahanie, rozglądając się w poszukiwaniu dogodnego miejsca. Wreszcie je znalazł, u stóp jednego z największych drzew w zasięgu wzroku, pomiędzy dwoma jego korzeniami, z których każdy był tak gruby jak jego jedno udo. Oparł się o drzewo i ześlizgnął po nim, aby usadowić się w miejscu, gdzie korzenie odchodziły od pnia.

Tylendel zamyślił się na chwilę nad własnym wyborem.

— Cóż, widzę tylko dwa sposoby na to, abym rozmawiając z tobą mógł jednocześnie na ciebie patrzeć, a ponieważ nie chciałbym krzyczeć przez całą polanę...

I nim Vanyel zdążył zareagować, Tylendel wyciągnął się, na ziemi, kładąc mu głowę na kolanach.

— ... tak jest lepiej — westchnął.

Vanyel osłupiał.

— Van — powiedział cicho Tylendel, zamykając oczy.

— Nie skrzywdzę cię. Nic mnie do tego nie zmusi. Lubię przebywać w twojej bliskości, z tobą. Potrzebuję kontaktu z ludźmi i nigdy nie wyrządę ci krzywdy.

Vanyel uspokoił się trochę.

— Mnie się też podoba ten las, choć wygląda na to, że mało kto go lubi. Zdawać by się mogło, że czas przystanął tu w miejscu.

Tylendel miał wciąż zamknięte oczy, a Vanyel dostrzegł między jego brwiami małą zmarszczkę wywołaną bólem.

Często nawiedzają go bóle głowy. Mówił mi o tym ostatniej nocy. A może...

może nie miałby nic przeciwko temu, gdybym spróbował mu ulżyć... — pomyślał.

Zawahał się przez moment, ale w końcu delikatnie, koniuszkami palców, zaczął masować skronie Tylendela.

Ten zaśmiał się i Vanyel poczuł, że jego ramiona rozluźniają się.

— Chyba będziesz musiał to robić przez jakieś sto lat. Zdaje się, że to mnie dostał się ból głowy, który ty dziś sobie przypisywałeś.

— Miałeś mi opowiedzieć o Gali i tym, jak zostałeś Wybrany — zachęcił go Vanyel, mimo że myśl o tych sprawach wciąż przyprawiała go o dziwaczne uczucie. — Choć praktycznie rzecz biorąc, opowiedziałeś mi wczoraj całą historię swego życia, właściwie w dalszym ciągu nic o tobie nie wiem.

— Zaczynając od początku, mam brata bliźniaka, który ma na imię Staven. Jest ode mnie starszy o około godzinę. Przy okazji, on wcale nie jest do mnie podobny. Jest smuklejszy, ma ciemniejsze włosy i jest o wiele bardziej przystojny. To on jest przywódcą, a ja jego poddanym. Już od chwili gdy przyszedliśmy na świat, nasze umysły łączyła więź, wtedy dość nieskomplikowana. Przez cały czas coś się między nami działo. Dochodziło do najróżniejszych sytuacji. Na przykład wtedy gdy on wpadł do studni, ja straciłem przytomność. Kiedy ja złamałem nogę, on zachowywał się tak, jak gdyby jemu się to przytrafiło. Zawsze wiedzieliśmy, co się dzieje z drugim z nas. — Tylendel wziął głęboki oddech. — Ludzie znali takie przypadki, ale ja posiadałem także inne dary, z których mogłem korzystać. Oprócz tej więzi ze Stavenem, od czasu gdy miałem jakieś dziewięć lat, mogłem odbierać myśli innych. To dar myśloczucia. Poza tym umiałem sprawiać, żeby różne wypadki przytrafiały się ludziom, których nie lubiłem.

— Nie przysporzyło ci to żadnych kłopotów? — zapytał Vanyel. — To znaczy problemów z innymi ludźmi. Domyślam się, że ta twoja umiejętność niezbyt przypadła im do gustu.

Tylendel nieznacznie potrząsnął głową.

— Nie zdarzało się to aż tak systematycznie, aby ludzie mogli się zorientować, a jeśli coś zauważyli, to i tak bali się mojego ojca wystarczająco, żeby nie pisać ani słowa. Nie robiłem tego często, to znaczy niezbyt często sprowadzałem na innych wypadki. Zawsze potem miałem wyrzuty sumienia. Czasem Staven podjudzał mnie do psot, ale w tym akurat nie byłem mu posłuszny. — Tylendel przerwał i zagryzł wargi. Na moment jego twarz okrył cień zadumy, ale już po chwili chłopiec ponownie się rozchmurzył. — Najsilniejszym i najłatwiejszym do opanowania darem była więź ze Stavenem. Była ona wprawdzie ograniczona do odczuć fizycznych, lecz z czasem, kiedy nauczyliśmy się, jak z niej korzystać...

Vanyel zachichotał.

— Idę o zakład, że byliście postrachem dla innych.

Tylendel odpowiedział zduszonym śmiechem i puścił do niego oko.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby i nas obu łączyła taka więź.

Vanyel zarumienił się, ale powiedział dokładnie to, co myślał.

— Ja też nie miałbym nic przeciwko temu.

Tylendel spoważniał.

— A teraz o dziwnych rzeczach, które wydarzyły się dalej. Staven dorósł dość wcześnie. W wieku trzynastu lat był niemal tak wysoki jak ja w wieku lat piętnastu, i dziewczyny zaczęły z nim flirtować. Zresztą nie tylko dziewczyny — dorosłe kobiety także. Prawdę mówiąc, myślę, że dostała mu się nie tylko jego, ale także i moja część zainteresowania kobietami. Tego lata organizowaliśmy w naszym zamku turniej i wszystkie przedstawicielki płci żeńskiej, od gęsiarek po goszczące u nas arystokratki, zabiegały o jego względy. On zaś zachowywał się jak młody chutliwy kogut w korniku. Napięcie sięgnęło zenitu, gdy jedna z dam przebywających z wizytą u mojej matki przesłała Stavenowi liścik, w którym niedwuznacznie wyznała, iż byłaby wielce rada zastać go wieczorem w swym łożu. Cóż. . .

Tylendel przymknął na chwilę powieki, a po chwili spojrzął z ironią na Vanyela.

— Zrozum, tak jak każdy dwunastoletni chłopiec byłem po prostu ciekawy, jak to się robi. Przynależem mu, że go nie zdradzę, pod warunkiem, że pozwoli mi. . . och. . . podsłuchiwać.

— Coś każe mi przypuszczać, że nie wszystko potoczyło się zgodnie z planem — odgadł Vanyel.

— Zupełna klęska — odparł z powagą Tylendel. — Byłem „z nim” aż do chwili, gdy naprawdę zaczęło się coś dziać. Od początku czułem się nieswojo, lecz starałem się nie zwracać na to uwagi i skoncentrować się na kontakcie ze Stavenem. Wtedy stało się coś. . . nie wiem, jak to opisać. W każdym razie zacząłem zatracać poczucie własnego ciała, zlewając się jakby ze Stavenem. Im bardziej się koncentrowałem, tym dziwniej się czułem. Przypominało to trochę wrażenie, jakie odnosiłem w czasie ściągania na ludzi tych małych katastrof. Obraz pokoju raz zamazywał się, to znów stawał się wyrazisty, opanowała mnie jakaś chorobliwa gorączka, serce waliło jak młotem i straciłem rozeznanie co do tego, gdzie byłem ja, a gdzie Staven. Myślę, że w innych okolicznościach przerwałbym wszystko, lecz byłem zanadto uparty, a poza tym lękałem się, że jeśli stchórzę, Staven wyśmieje mnie. Trzymałem się więc kurczowo naszego kontaktu, łudząc się, że jeśli tylko uda mi się przetrzymać najgorsze, znów zacznie się dziać coś zabawnego. Nagle. . . — Potrzęsnał z lekka głową, jego usta wykrzywił grymas. — Dokładnie w chwili gdy Staven sięgał szczytu, coś. . . we mnie pękło. Ledwie mogę sobie przypomnieć, jak to się zaczęło. To było tak, jak gdyby ni stąd, ni zowąd wrzucono mnie prosto w ogień. To był nieprawdopodobny ból. Czułem się, jakby pchnięto mnie w sam środek burzy z piorunami, a sądząc po tym, jak zdemolowałem cały pokój, chyba właśnie do tego doprowadziłem. Coś z tamtych wydarzeń, coś, co miało związek z moją więzią ze Stavenem, wyzwoliło wszystkie moje dary, które eksplodowały nagle z niesamowitą mocą. Straciłem przytomność na niemal dobę,

a kiedy się obudziłem...

Wzdrygnął się.

— ...nagle wszystko się zmieniło.

Przymknął oczy. Vanyel pogładził jego czoło. W kąciakach zaciśniętych ust pojawił się cień smutku. Gdzieś w dali Vanyel usłyszał śpiew jerzyków, lamentujących jak zagubione duszyczki dzieci.

— Nagle stałem się innym człowiekiem — ciągnął Tylendel cienkim, urywanym głosem. — Nagle okazało się, że posiadam dar magii, myśloczucia, przenoszenia i nieco daru empatii, a działania żadnego z nich nie dało się przewidzieć, żaden z nich nie podlegał mojej kontroli i każdy mógł dać o sobie znać, wybuchając w dowolnej chwili. — Spojrzawszy na twarz Vanyela, odczytał na niej zakłopotanie. — O bogowie, wciąż zapominam, że nie jesteś adeptem. Przenoszenie oznacza, że mogę przenosić różne przedmioty, nie dotykając ich. Empatia to umiejętność odczuwania tego, co czuje ktoś inny. Dzięki temu ostatniej nocy wiedziałem, że dręczy cię koszmar. Myśloczucie to zdolność czytania w myślach innej osoby, pod warunkiem, że osoba ta nie osłania się. Istotę daru magii trudniej wyjaśnić, ale jest to właśnie coś, co daje magowi heroldów umiejętność posługiwania się magią.

— Możesz czytać w moich myślach? — rzekł Vanyel z powątpiewaniem. Chciałby umieć dzielić myśli Tylendela, w taki sam sposób jak Gala, lecz nie był zupełnie przekonany, czy tego rodzaju jednostronna bliskość będzie dobra dla ich związku.

— Mogę, lecz nie będę tego robił. — Tylendel powiedział to z taką stanowczością, że Vanyel nie odważyłby się wątpić w jego słowa. — Byłoby to nie tylko niesprawiedliwe wobec ciebie, lecz przede wszystkim sprzeciwiałoby się to zasadom etyki herolda. Najczęściej używam tego daru w kontaktach z Galą i Savil.

Vanyel, uspokojony, pokiwał głową.

— A więc wszystkie te dary jakby spadły na ciebie, a ty nie potrafiłeś ich ujarzmić.

— W rzeczy samej — odparł spokojnie Tylendel. — Wszystko to wydarzyło się o północy, dwa lata przed tym, jak Gala przybyła po mnie. Gdyby nie Staven, oszalałbym.

— Dlaczego? — wyszeptał Vanyel. — Co się działo?

— Zapytaj raczej, co się nie działo. Miałem napady — nagle budziłem się pośród spustoszeń, które sam posiałem w promieniu kilkunastu metrów. Działo się tak na skutek współdziałania daru magii i przenoszenia w sposób, jakiego nigdy z Savil nie udało nam się odtworzyć. Po prostu wpadałem w szal.

Zmarszczył brwi i potarł czoło.

— Tylko Staven mógł się do mnie zbliżyć, tylko on chciał się do mnie zbliżyć, niezależnie od tego, czy miałem właśnie atak, czy nie. Mówili, że zapanował nade mną demon. Mówili, że to przez to, co Staven i ja chcieliśmy przeżyć wspól-

nie, zostałem opętany. Kiedy zaczęło wychodzić na jaw, że jestem *shay'a'chern*, doszli do wniosku, że jestem potępieńcem.

— To... to idiotyczne! — z oburzeniem krzyknął Vanyel.

— Mimo to tak właśnie wszyscy twierdzili. Gdyby mieli odwagę, wygnaliby mnie. Lecz nie zrobili tego. Staven poprzysiągł, że jeśli mnie wypędzą, pójdzie ze mną, a on był spadkobiercą, jedynym spadkobiercą, zważywszy na moje zachowanie. Matka nie mogła mieć już więcej dzieci. Ojciec nie ożeniłby się z inną, a dochowywał wierności matce, więc nie miał żadnych nieślubnych potomków. Nie było wyboru. Musieli pozwolić mi zostać, ale nie nakładało to na nich obowiązku ułatwiania mi życia.

Vanyel pomyślał z trwogą, że Tylendel znajdował się w znacznie gorszym położeniu niż on sam.

— Izolowali mnie. Omijali nawet wtedy, gdy czułem się zupełnie dobrze. Lecz kiedy podczas jednego z moich ataków wszyscy mnie opuścili, on został i zaopiekował się mną z całkowitą i niezachwianą wiarą, że nie wyrządę mu krzywdy. Mimo plotek był absolutnie przekonany, że nie jestem opętany, że temu, co dzieje się ze mną, z pewnością można zaradzić.

Tylendem znów wstrząsnął dreszcz; jego wylękłe oczy zdawały się patrzeć w inny czas, inne miejsca. Vanyel, odczuwając przejmujący przyjaciela ból, złożył obydwie ręce na jego ramionach, próbując wesprzeć go swą obecnością, nie przeszkadzając mu jednocześnie. Tylendel podniósł nań oczy, poklepał jego dłoń i uśmiechnął się nieznacznie.

— Widzisz? Myślę, że to dzięki temu tak dobrze się rozumiemy. No cóż, w końcu pojawiła się Gala. Och, bogowie, nie potrafię nawet opisać, co czułem po raz pierwszy patrząc w jej oczy. To było jak spotkanie naszych dusz. W dodatku ulga, uświadomienie sobie, że nie jestem opętany... w mgnieniu oka przebyłem całą drogę z piekła do niebios.

Westchnął i na długą chwilę zatopił się w swych wspomnieniach.

— Co ona zrobiła?

— Przed wszystkim otoczyła mnie osłoną i zapewniała panowanie nad moimi zmysłami przez cały czas potrzebny na dotarcie tutaj, zanim Savil przygarnęła mnie pod swoje skrzydła. To wystarczający powód, aby ją kochać, bez względu na łączącą nas więź. Jest moim najlepszym przyjacielem i siostrzaną duszą.

Chłodną, prawie zimną ręką dotknął policzka Vanyela.

— Ale ona nigdy nie będzie dla mnie tym, czym jesteś ty. Czy pojmujesz, co mówię, kochany? Zawdzięczam jej to, że jestem przy zdrowych zmysłach, lecz pod wieloma względami ona nade mną góruje. Kocham ją taką samą miłością, jaką kocham Savil czy swoją matkę, jak podwładny miłuje władcę. To nie jest uczucie, jakim brat darzy siostrę czy kochanek kochanka. To nie jest miłość istot równorzędnych.

Przyłożywszy dłoń do dłoni przyjaciela, spoczywającej na jego policzku, Vanyel ogrzewał ją swym ciepłem.

— Kim więc jestem dla ciebie?

— Jesteś moim partnerem, moim przyjacielem... i moją miłością. Vanyelu, nie powiedziałem ci tego pośród tylu wyznań ostatniej nocy, ale wiedz, że naprawdę cię kocham.

Słowa te padły nieoczekiwanie. Z pewnością Vanyel nie spodziewał się, że ich zażyłość przybrała już takie natężenie.

— Ależ... — wyjąkał, niezupełnie pewny, czy narastające w nim uczucie to radość czy strach.

— Van, wiem, że nie znamy się zbyt długo, ale naprawdę cię kocham. — powiedział Tylendel, ignorując „ależ” Vanyela. Zwrócił ku niemu oczy i ich spojrzenia się zbiegły. — Kocham cię, ponieważ cię kocham, nie dlatego, że coś ci zawdzięczam, albo dlatego, że jakiś bóg gdzieś tam zdecydował, iż mam być heroldem, czy też dlatego, że jesteś moim ukochanym nauczycielem. Kocham cię, bo jesteś Vanyelem i należymy do siebie i razem, ramię w ramię, możemy stawić czoło wszystkiemu.

Z zakłopotaniem Vanyel poczuł pieczenie w oczach.

— Nie wiem... naprawdę nie wiem, co powiedzieć — wyjąkał onieśmielony, mrugając powiekami. — Chociaż... Lendelu, po ostatniej nocy... nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek był tak szczęśliwy. Nigdy nikogo nie kochałem i nie wiem, co się wtedy czuje, ale jeżeli... — próbował ująć w słowa swe odczucia — jeżeli gotowość oddania za ciebie życia to miłość...

Potań dłońią piekące oczy i ze wszystkich sił skupił się, by znaleźć słowa dla zwięzłego opisanego swych uczuć. Starał się pozbierać nie uporządkowane, wypływające z głębi serca myśli, lecz wciąż z trudem przychodziło mu wyartykułowanie tych wszystkich oszałamiających emocji. Jeszcze nigdy przed nikim nie otwierał swego serca tak, jak robi to dziś, i jeszcze nigdy nie czuł się tak bezsilny.

— Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Zniósłbym szyderstwa, wytykanie palcami... nie zwracałbym na to uwagi, jeśli tylko mógłbym być z tobą. Gdybym mógł, oddałbym ci wszystko. Uczyniłbym wszystko, aby tylko cię uszczęśliwić. I z przyjemnością podzielę się tobą z Galą.

— Wielkie nieba, nie mów tak. — Tylendel zachichotał, choć jego głos zabrzmiał dziwnie nisko, a oczy błyszczały pośród cieni. — Wiesz, że ona chciała podsłuchiwać? Ta lubieżna szkapa na pewno z radością przyjęłaby twą ofertę.

Policzki Vanyela oblał gorący rumieniec. Zaśmiał się, wykorzystując chwilowe zakłopotanie do przetrwania chwili, kiedy poczuł się kompletnie bezbronny.

— Wiedziałem, że Gala mówiła o czymś, od czego zrobię się czerwony jak burak. Wiedziałem!

— No cóż, nie uda jej się zaspokoić swej pożyteczności — obiecuję ci — rzekł stanowczo Tylendel. — Nie mam zamiaru się tobą dzielić i basta.

Vanyel wszedł do pokoju przez drzwi ogrodowe i na moment zmrużył oczy potrzebujące paru chwil, aby po jasności panującej w zalanym południowym słońcem ogrodzie przystosować się do półmroku izby. W prawej ręce niósł swą lutnię, lewą dłoń, owiniętą w chusteczkę, przyciskał do piersi.

O bogowie, powinienem był uważać — pomyślał posepnie, czując pulsujący ból w lewej ręce. Jestem beznadziejnym głupcem.

— Lendelu? — zawołał w kierunku sąsiedniego pokoju, jedną ręką starannie układając lutnię na stojaku. — Jesteś tam?

— Oczywiście, że jestem. — Tylendel powoli wszedł do pokoju z nadgryzioną kanapką z serem w dłoni. — To pora obiadu, przecież wiesz, że zawsze można mnie znaleźć tam, gdzie jest coś do jedzenia!

Vanyel z wolna zaczął odwijać chusteczkę na swej dłoni. . .

Tylendel przestał przeżuwać i rzucił kanapkę na stół.

— O bogowie, Vanyelu, coś ty narobił? Usiądź!

Widać było, że koniuszki palców Vanyela wcześniej pokryły bąble, które teraz popękały. Sączyła się z nich krew, a skurcz tak zacisnął mięśnie całej dłoni, że chłopiec za nic w świecie nie mógł jej rozewrzeć. Spoglądał tylko na okaleczenia z bolesnym niedowierzaniem. Tylendel położył go na łóżku i ujął w dłonie okaleczoną rękę.

— Co narobiłem? Zrobiłem z siebie głupca i tyle — z żalostí odparł Vanyel. — Obiecałem wczoraj dziewczętom, że jeśli zostawią mnie w spokoju, przyjdę dziś rano zagrać dla nich. Nie pomyślałem o tym, że nie grałem przecież od dawna. . . i cóż, szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałem, że kiedy złamałem rękę, straciłem częściowo czucie w niektórych palcach. Nie zdawałem sobie sprawy, co się z nimi dzieje, aż do chwili, gdy poczułem, że mięśnie dłoni ściągają mi skurcz.

— Zostań tu. — Tylendel podszedł do małej szafki w nogach łóżka, która przywędrowała do tego pokoju w trakcie przeprowadzki wraz z innymi jego rzeczami. Pochylił się nad nią na moment i wrócił do Vanyela z bandażem i miseczką, do której nałożył jakiś balsam.

— Nie jestem uzdrowicielem — rzekł i usiadłszy obok Vanyela, wziął jego chorą dłoń w swoje ręce — ale sam zraniłem się raz czy dwa, a ten balsam naprawdę pomaga.

Nabrał trochę maści na opuszki palców i rozmasował ją na wewnętrznej stronie dłoni Vanyela. W pokoju uniósł się przyjemny, roślinny, ostry zapach, a palce Vanyela, pod wpływem rozgrzewającej maści i masażu zaczęły się rozluźniać.

— Co to jest? — zapytał Vanyel, badawczo wdychając nieznaną woń. — Będę pachniał jak makaron. Tylendel zaśmiał się.

— Nie kuś mnie o tak wczesnej porze, Vanyelu — *ashke*. To cynamon i nagietek. Dobre na skurcz mięśni i biedne, zmaltretowane palce.

Rozmasował dłoń Vanyela aż po koniuszki palców. Skurcz ustąpił niemal całkowicie, a balsam, zamiast szczypać — jak się tego spodziewał Vanyel — uśmie-

rzał ból wszędzie tam, gdzie wcierał go Tylendel.

— A teraz zabandażujemy.

— Jak ty przed chwilą mnie nazwałeś?

— *Ashke*? To *Tayledras*, język Sokolich Braci. Wszystkie te maski z piór na ścianie Savil we wspólnej izbie pochodzą z *Tayledras*. Savil odbywała naukę wspólnie z jednym z ich Biegłych, Gwiezdnym Wichrem k'Trevą, a oni uczynili ją Skrzydlatą Siostrą. To dla nich coś jak brat krwi.

Tylendel, nie spiesząc się, z troskliwością owijał każdy palec przyjaciela. Vanyel nie miał nic przeciwko temu powolnemu tempu, bo teraz, gdy ból ustąpił, zabiegi owe niosły z sobą coś zmysłowego.

— Kiedy tylko w naszym języku zabraknie właściwego słowa na określenie czegoś, Savil ucieka się do mowy Sokolich Braci i używa ich wyrażeń. Na przykład *shay'a'chern*... oznacza... och... „ktoś, czyj kochanek jest jak on sam”, tej samej płci, nie „taki sam” w sensie kazirodczym (nie jest to brat lub siostra) czy też ze względu na podobne zainteresowania. To bardzo skomplikowany język. Tyndel podniósł wzrok i Vanyel spostrzegł iskry rozbawienia na dnie jego oczu.

— Smakowicie pachniesz. Jesteś pewny, że chcesz pójść na zajęcia dzisiejszego popołudnia?

— Przyrzekliśmy Savil, że dziś będziemy cnotliwi — przypomniał Vanyel, mimo wzbierającego w nim pożądania.

Tylendel westchnął ciężko.

— Niestety, to prawda. Cóż, „*ashke*” oznacza po prostu „ukochany”. I tak jest to już częścią twego nazwiska — *ashke*, *Ashkevron*. Widzisz?

Zamaszystym ruchem wykończył opatrunek na ręce przyjaciela, zawiązując końce bandaża w ozdobną kokardę. — *Ashke* — zadumał się Vanyel. — Podoba mi się to. — Pasuje do ciebie, *ashke*. Savil mówi, że Sokoli Bracia rzadko posługują się imionami nadanymi im przy narodzinach. Gdy zostają magami, wybierają sobie przydomki. Może właśnie takie imię zawsze było tobie przypisane. A teraz, zanim postanowię złamać dane Savil słowo, chodźmy zjeść obiad i zachowajmy wstrzemięźliwość!

Savil podniosła wzrok sponad książki i przetarła zmęczone, zachodzące już mgłą oczy. Tyndel i Vanyel, pochłonięci nauką, zajmowali kanapę naprzeciwko niej. Światło świecy otaczało aureolą złote loki Tyndela i rozświetlało swym ciepłym blaskiem jego złoto-brązową tunikę. Siedzący obok Vanyel, odziany w głęboki błękit, zdawał się stanowić przedłużenie jego cienia. Wspólnie czytali podręcznik historii Vanyela. Każdy z nich przytrzymał z jednej strony rozłożoną na kolanach książkę. Tyndel objął Vanyela ramieniem, a ich głowy stykały się we wspólnym skupieniu. Od czasu do czasu Savil dobiegał cichy pomruk pytań zadawanych przez bratanka, po których następował o kilka tonów wyższy szelest odpowiedzi Tyndela.

To dziwne, że starszy, Tyndel, mówi tenorem, a młodszy, Vanyel, ma głos

niższy, głębszy od niego. — Zadumała się, mrużąc ze znużenia powieki. Ale i tak dobrali się w niezwykły sposób. Nigdy nie przypuszczałabym, że Vanyel, syn Withena, jest *shay'a'chern*,

Ziewnęła niemo i przymknęła oczy. Sylwetki obydwu chłopców po drugiej stronie pokoju zlały się w złoto-granatową plamę.

Vanyel musi sprawić, żeby Lendel przynajmniej czasami przestał myśleć o tej przeklętej waśni. Chętnie bym go do tego zachęciła. Nawet jeśli czasami mam ochotę ukreślić mu głowę za to zadzieranie nosa, wydaje mi się, że pod wpływem Lendela Vanyel zaczyna postępować troszkę bardziej rozważnie, a nawet staje się grzeczniejszy. Na szczęście Mardik i Donni biorą poprawkę na wszystko, co mówi, inaczej sami zbiliby go na kwaśne jabłko. Niech ich bogowie błogosławią! On czasem nawet niechcący potrafi zachować się tak niegrzecznie!

Koniuszkiem kciuka przesuwawała skórki przy paznokciach.

Chłopiec żył w kompletnej izolacji, więc przypuszczam, iż nie powinnam być zaskoczona jego zachowaniem. Dzięki pomocy bogów, Lendel zdaje się nieco go cywilizować. Już można zauważyć, że jest bardziej cierpliwy i chyba dużo miłszy, a z pewnością mniej arogancki. Moje relacje powinny być wystarczająco zadowalające dla Withena, aby pozwolił chłopcu tu zostać.

Widząc, jak Vanyel w skupieniu pochyla się nad książką, powstrzymała grymas wykrzywający właśnie kąciki jej ust.

Wygląda na to, że dobrze się bawi. Nie powiem, że bym miała coś przeciwko temu, aby mój Lendel pomagał mu w nauce! Biedaczysko, zawsze wtedy gdy angażuje się w coś emocjonalnie, nie jest w stanie wykonać nawet połowy tego, co zaplanował. Wciąż jednak nie mam pewności, czy podoba mi się sposób, w jaki Vanyel uzależnia się od Lendela. To nie wróży nic dobrego dla żadnego z nich. W przyszłości może im to przysporzyć nawet kłopotów.

Nagle, mimo że wzrok Tylendela wciąż spoczywał na książce, dotknęła ją cieniutka nitka myśli płynących z drugiego końca pokoju.

— *Wiem, że taki widok przynosi ci ulgę, moja nauczycielko.*

— *Och, jakże ślicznie wyglądacie razem, mój mały diabełku* — odpowiedziała tym samym tonem. — *I jakże jestem wdzięczna za waszą dyskrecję.*

— *To dyscyplina, tylko dyscyplina* — odrzekł wesoło Tylandel. — *Naprawdę nie dotarły do ciebie żadne plotki?*

— *Doszły mnie tylko słuchy, że pewnego dnia rzucicie się na siebie z nożami.*

Oboje byli w świetnym nastroju.

— *W takim razie, skoro wszystko idzie dobrze, jestem Vanyelowi coś winien.*

Savil, zaskoczona tymi słowami, uniosła brwi i otworzywszy oczy, napotkała wzrok Tylendela, patrzącego na nią z przyczajonym w kąciakach ust szelmowskim uśmiechem.

— *Jak to, ty mały nicponiu?*

— Vanyel oczerniał mnie za moimi plecami. Wiesz, to było takie zwykłe gadanie lalusia, przede wszystkim na temat moich skłonności. Tak więc, jeśli coś z tego dotrze do Withena... Zdecydowaliśmy, że powinienem się „dowiedzieć” o tych obmowach i jak tylko ludzie zaczną o tym mówić, złoić Vanyelowi skórę.

— Wielkie nieba! — Savil przygryzła wargi, powstrzymując się od śmiechu. — Przyganiał kociot garkowi. Och, gdzież przepadają moje nadzieje na żywot w niebie! Co chcecie zrobić? Masz zamiar wyzwać go na pojedynek? Wolalabym, abyście nie rzucali się na siebie z niczym ostrym.

— Cóż, moja kochana nauczycielko, prawdopodobnie doprowadzę do poważnej konfrontacji z udziałem jak największej liczby świadków, ale bez broni. Vanyel za dobrze nią włada, a doszliśmy do wniosku, że powinien przegrać, aby wzbudzić współczucie swych wielbicieli. Naszym zdaniem najstosowniejsza będzie walka wręcz, zapasy. Postaramy się też nie machać za dużo pięściami. Przyszło nam nawet do głowy, żeby spróbować zorganizować ten „pojedynek” przy okazji następnego deszczu, w błocie. Będzie świetna zabawa.

Savil, nie mogąc opanować śmiechu, musiała przerwać na chwilę kontakt z Tylendelem. Świetna zabawa, rzeczywiście. O dobrzy bogowie, już sobie wyobrażam ich obu, gdy szamoczą się na oczach wszystkich, kpiąc sobie z tego, że nikt nie ma pojęcia, jaką przyjemność im to sprawia.

— Ty nicponiu, jak tylko przywdziejesz Biel, wyślę cię na koniec świata jako posta. Masz zbyt szalone pomysły!

— Cóż, w ten sposób unikniemy ryzyka i nie okaleczymy się za bardzo. Ale ja nie mam zwyczaju oszczędzać swych przeciwników i biedny Vanyel jest zmuszony zadecydować, który z jego strojów będę mógł zniszczyć. Dla zachowania pozorów, będę musiał rozszarpać jego ubranie na strzępy.

Savilomal się nie udusiła, dławiąc śmiech wywołany wizjami i wyobrażeniami, jakie dotarły do niej wraz z tą ostatnią myślą.

— Dla zachowania pozorów! Po prostu chcesz...

— Niby dlaczego, Savil? — Patrzył na nią z udaną niewinnością w oczach. — Jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy?

— Tak po prostu — odparła tonem tak chłodnym, że jej myśl ukuła go jak igła. — Biorąc pod uwagę, kim jest dla ciebie w rzeczywistości mój protegowany.

— Cóż...

— No tak. Lendelu, jeszcze tylko słówko ostrzeżenia. Może i nie jest po twojej myśli, że się do tego wtrącam, ale nie podoba mi się sposób, w jaki Van uzależnia się od ciebie. To nie przyniesie nic dobrego żadnemu z was. On musi się zacząć uczyć, jak radzić sobie samodzielnie.

— Och, Savil.

— Mówię poważnie.

— To tylko taki okres. On jest młody i tak bardzo mnie potrzebuje. Wielkie nieba, wyłączając jego siostrę, nikt nigdy nie chciał go pokochać. Jeśli tylko będę

przy nim przez pewien czas, a on będzie wiedział, że go nie zawiodę, wyrośnie z tego.

— *Lendelu, nie znam się tak dobrze na naturze ludzkiej jak Lansir, ale z mojego doświadczenia wynika, że ludzie nie wyrastają z nawyku uzależniania się od innych.* — Rzuciła okiem na świecę wskazującą upływ czasu. — *Och, zostawmy już tę sprawę, dobrze? Miej jednak na uwadze, co ci powiedziałam. Dosyć już nauki jak na jeden wieczór. Idźcie do łóżka.*

Znów razem z myślą Tylendela dobiegł ją jego śmiech.

— *Dlaczegoż to, Savil?*

— *Do licha, żeby położyć się spać!*

Tylendel trącił łokciem Vanyela i zamknął książkę, po czym jeszcze raz obdarzył Savil swym ironicznym spojrzeniem, które znała tak dobrze.

— *Skończmy już na dziś, Van* — powiedział cicho i . .

— *Oczywiście, nauczycielko, aby położyć się spać* — przesłał jeszcze jedną myśl swej opiekunce. A potem, gdy zniknęli już w swym pokoju. . .

— *W rzeczy samej, później położyć się spać. . .*

Do czasu nadejścia następnej porządnej ulewy, blisko dwa tygodnie później, Savil zupełnie zapomniała o planowanym pojedynku. Tego popołudnia zarezerwowała salę ćwiczeń dla Mardika i Donni. Mimo że oboje jej podopiecznych łączyła więź życia, współpraca przy wykonywaniu jakichkolwiek zadań magicznych przychodziła im z wielkim trudem. Donni zwykle rzucała się do wykonania każdej czynności z pełnym rozmachem, Mardik natomiast, zupełne jej przeciwieństwo, zatrzymując rezerwy sił do ostatniej chwili, wiecznie obawiał się pełnego zaangażowania. Ich aury nigdy nie mogły zlać się w harmonijną całość, a ciągłe ich pulsowanie z kolei powodowało pojawianie się słabszych punktów w ich osłonach, które nigdy w pełni się nie zazębiały. Savil przygotowała dla nich ćwiczenia, które miały zmusić niesformą parę do wzajemnej synchronizacji poziomu emitowanej przez nich energii i podjęcia pracy jako jedna całość, a nie niezrównoważony zespół. Wtem rozległo się nerwowe pukanie do drzwi.

Zjednoczone pola energetyczne rozproszyły się już przy pierwszym dźwięku i z cichym *plum* rozpięchły się, tworząc mżawkę dostrzegalnych gołym okiem iskierek, by w końcu rozdzielić się na osobiste aury — zieloną Donni i żółtą Mardika — otaczające teraz sylwetki obojga uczniów. Savil obrzuciła parę piorunującym spojrzeniem i przyrzekła sobie, że pośle im jeszcze jedno takie, ale już ostrzejsze.

A niech to, ich koncentracja zupełnie się rozproszyła. Jak te aury pulsują! Jeśli to nic ważnego, uduszę tego, kto się tam dobija!

Gwałtownym ruchem zdjęła otaczającą parę uczniów liliową osłonę i zbliżywszy się do drzwi, otworzyła je szarpnięciem. Na stojącego za progiem strażnika padło gniewne spojrzenie.

— *Tak?* — rzekła głosem ostrym jak brzytwa.

— Heroldzie Savil, między waszym bratankiem a protegowanym Tylendem... wywiązała się bójka... — wyjąkał strażnik, mimo woli cofając się pod ostrzem jej wściekłych oczu. — Tylendel wzniosł wokół ich obu osłonę, przez którą nie możemy się przedrzeć. Położył waszego bratanka na łopatki i obawiamy się, że może zrobić mu krzywdę...

— Psiakrew! — wyrwało jej się, gdy przez krótką chwilę myślała, że rzeczywiście coś mogło się stać i naprawdę doszło do bijatyki.

Wtedy dopiero przypomniała sobie o spisku chłopców i roześmiała się głośno prosto w twarz strażnika.

Natychmiast jednak przybrała surowy, wystudiowany wyraz twarzy, jaki z pewnością pojawiłby się na jej obliczu, gdyby bójka była autentyczna. Zaciśnęła usta i zwiężyła oczy, udając gniew.

— Prowadź — warknęła. — Zaraz ukroczę te brewerie!

Strażnik puścił się przodem wzdłuż korytarza. Savil podążała krok w krok za nim, z każdym niemal stąpnięciem zmagając się z przyniesionym przez deszczową pogodę bólem w stawach.

Idę o zakład, że Lendel otoczył się magiczną osłoną tylko po to, aby ludzie nie byli w stanie dostrzec, że on i Vanyel tak naprawdę wcale się nie biją — myślała, przyspieszając nieco kroku, gdy strażnik wysunął się do przodu. I oczywiście po to, aby zbyt wcześnie nie przerwano ich walki. Lepiej będzie, jeśli urządzi porządną scenę, bo inaczej Lendel mi nigdy nie wybaczy przepuszczenia takiej okazji.

Nietrudno było odgadnąć, gdzie odbywa się walka. Kandydaci na heroldów, młodzi dworzanie, uczniowie Bardicum i cała zbieranina innych młodych ludzi tłoczyła się wokół bramy prowadzącej do ogrodów od południowo-wschodniej strony pałacu. Tłumek pochłonięty bezmyślną paplaniną wrzał. Strażnik, nie zważając na tytuły czy stanowiska uczestników zbiegowiska, przepychał się między ludźmi, a Savil, posuwając się za nim, wyglądała na zewnątrz przez ścianę deszczu.

Walczący znajdowali się około pięćdziesięciu kroków od drzwi, tuż obok wybrukowanej ścieżki, w miejscu, gdzie trawa została już całkowicie wytarta. Placyk, na którym toczył się pojedynek, przypominał wybieg dla świń, ale rzeczywiście otaczała go magiczna bariera. Mgiełka osłony oraz deszcz zamazywały obraz w takim stopniu, że naprawdę trudno było dojrzeć, co się właściwie dzieje. Vanyel leżał na plecach. Tak przynajmniej wydawało się Savil, ponieważ przyciśnięty do ziemi pokonany był nieco drobniejszy od swego przeciwnika, a jego ubłocone włosy zdawały się mieć ciemniejszy kolor. Tylendel siedział mu na piersi i gdyby Savil nie wiedziała, co się dzieje naprawdę, przysięgłaby, że chłopiec dusi właśnie swego przeciwnika.

— Cofnij to, ty mały szczurze! — ryczał Tylendel. — Cofnij to, jeśli nie chcesz, żebym ci wetknął do gardła następną kilogram błota!

Savil naprężyła się i wydała z siebie okrzyk ubrany w najsroższy z jej repertuaru ton:

— DOŚĆ!

Obydwaj walczący natychmiast znieruchomieli.

Powoli, spokojnie Savil wyszła na deszcz. Zamiast miarowego dudnienia, spod jej stóp dobywał się chłopot, który z miejsca naruszył powagę jej kroków. Deszcz w mgnieniu oka przykleił jej włosy do czaszki, opuszczając kilka ociekających wodą pasemek na twarz i przysłaniając oczy i usta.

Mimo to oceniła, że wygląda wystarczająco groźnie, gdyż ledwie zbliżyła się do krawędzi magicznej bariery Tylendela i zatrzymała się, szemrania za jej plecami ustały.

— Zdejmij ją, uczniu — rozkazała. Jej głos był tak lodowaty, że mógłby zamienić lejący się z nieba deszcz w śnieg.

Tylendel wstał i zdjął osłonę. Teraz, gdy było go widać wyraźnie, rzeczywiście sprawiał wrażenie, jak gdyby powrócił właśnie z wielkiej bitwy. Jego posklejane błotem włosy rozsypały się na twarzy jak oblepione brudem kędziorki, jedno oko zaczęło zachodzić siniakiem i puchnąć, a rozcięta dolna warga krwawiła. Tunika, podobnie zresztą jak i bryczesy, była poszarpana i umazana błotem, a jeden butów zsunął mu się ze stopy i przekreślił na kostce. Jego ponura twarz pałała, nietypową zupełnie dla Tylendela, dziką wściekłością.

Vanyel jeszcze przez kilka chwil leżał plackiem i w konwulsjach próbował złapać oddech. Trwało to tak długo, że Savil przestraszyła się, że może chłopcu rzeczywiście coś się stało. Gdy podniósłszy się z błota, stanął o własnych siłach, odetchnęła z ulgą.

Był w gorszym stanie niż Tylendel. Z jego podartej tuniki pozostało niewiele, a to co ocalało wisiało strzępami, przytrzymywane paskiem i mankietami. Na ramionach i klatce piersiowej Vanyel miał kilka groźnie wyglądających zadrapań i podobnie jak Tylendel, rozplataną wargę. Po chwili jednak okazało się, że najpoważniej ucierpiała jego prawa stopa. Ledwie stanął na niej całym ciężarem ciała, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

Po tej jedynej próbie nie ruszał się już, stał tylko z założonymi rękami, z wyrazem twarzy tak podobnym do Tylendela, że wzbudził tym prawdziwe obawy Savil.

— *Lendelu?* — Savil przemówiła myślą do swego ucznia, wkładając w to jedno słowo cały swój niepokój i zdenerwowanie.

Twarz Tylendela nie drgnęła nawet, lecz ton płynących ku niej myśli chłopca był równie radosny i rozbawiony, jak jego oblicze ponure i gniewne.

— *Nie bój się, moja droga nauczycielko. Wszystko toczy się prawie zgodnie z planem.*

Westchnęła z ulgą.

— *Prawie?*

— *W trakcie naszych treningów nie mogliśmy posunąć się aż tak daleko, a więc nie wszystko udało nam się przewidzieć. Van ugodził mnie łokciem w oko, obydwu nam udało się utapiać nawzajem w błocie, ale wydaje mi się, że Vanyel skręcił sobie nogę, kiedy go przewróciłem. Pospiesz się ze swoim kazaniem, bo z trudem utrzymuję powagę na twarzy!*

Savil wyprostowała się i spojrzała na chłopców z wysokości nasady swego długiego nosa, nie zważając na spływające po nim strużki wody.

— Ładne rzeczy — syknęła jadownicie. — Jak mam ufać swym podopiecznym, którzy podczas mojej nieobecności nie potrafią się zachować jak cywilizowani ludzie! Co mam z wami zrobić? Znaleźć wam specjalnych opiekunów?

Tylendel otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz pod naporem lodowatego spojrzenia Savil, szybko zrezygnował z tego zamiaru. Deszcz powoli wypłukiwał błoto z jego włosów.

— Uczniu Tylendelu, powinienes wiedzieć, jak się zachowywać! Jesteś kandydatem na herolda. Oczekuję od ciebie postępowania, które licuje z godnością i honorem należnym naszej pozycji. Nie życzę sobie widzieć cię tarzającego się w błocie jak sześciolatek pozbawiony manier i rozumu! Bez względu na to, czy Vanyel cię prowokował, czy nie, powinienes był przyjść najpierw do mnie, a nie próbować samodzielnie radzić sobie z problemem!

Tylendel zwiesił głowę i mamrotał coś w kierunku kałuży u swych stóp.

— Głośniej, uczniu! — rzuciła. — Nie słyszę, co mówisz.

— Tak, heroldzie Savil — powtórzył szorstkim głosem, pobrzmiwającym stłamszonymi uczuciami. — Nie miałem racji.

— Idź do swego pokoju. W tej chwili. Ogarnij się. Zajmę się tobą, gdy tylko skończę z Vanyelem.

Tylendel lekko skłonił głowę, a potem bez słowa przeszedł obok niej i przecisnął się przez tłum w drzwiach. Savil nie odwróciła się, aby odprowadzić go wzrokiem, ale spośród równomiernego szumu deszczu wyłowiła szmer rozstępującego się przed Vanyelem tłumy. Jedna czy dwie osoby parsknęły zduszonym śmiechem, ale nie stało się nic więcej.

Zwróciła teraz swe świdrujące spojrzenie na Vanyela, który rzucał na nią gromy spod kosmyka czarnych włosów, zakrywających jedno oko.

— Co do ciebie... Bardzo ładnie. — Postąpiła kilka kroków naprzód i stojąc z założonymi na piersiach rękami walczyła z targającym nią drzeniem, było jej bardzo zimno.

— Słyszałam o twoich wstrętnych obelgach, obmowach i tym podobnych sprawkach. Dokuczałeś Lendelowi od momentu, kiedy się tutaj znalazłeś, młodzieńcze. Nie mam zamiaru tego dłużej tolerować!

Vanyel uniósł na nią wzrok, odpowiadając spojrzeniem, W którym zawarł całą swą wrogość.

— On jest zwykłym...

— On zajmuje tutaj pozycję nieco wyższą niż ty, chłopcze, i lepiej to sobie zapamiętaj! — wrzasnęła. — Zabraniam ci opuszczać własny pokój, do odwołania! Jak tylko się dowiem, że wytknąłeś nos z apartamentu, oczywiście wyłączając pory zajęć obowiązkowych, odeślę cię do ojca tak szybko, że nie zdążysz nawet się obejrzeć! A teraz, marsz!

Vanyel zacisnął zęby, odwrócił się na pięcie i obrawszy kierunek przeciwny do Tylendela, ruszył do komnat Savil przez zalany deszczem ogród. Vanyel wyraźnie utykał, a Savil, patrząc na to ze współczuciem, przejęła się tak mocno, że sama poczuła ból w kostce. Nie drgnęła jednak i nie zrobiła nic, aby mu pomóc. Poszła tylko za nim, jak gdyby chciała się upewnić, że chłopiec dotrze na miejsce.

Ledwie jednak zniknęli za załamaniem muru i tłumek zgromadzony przy drzwiach stracił ich z oczu, porzuciła swą dumną pozę i pobiegła przez śliski trawnik, aby dogonić Vanyela.

— Oprzyj się na mnie, chłopcze — powiedziała, zbliżywszy się do niego i założyła jego rękę na swe ramiona.

— Już od dawna nazywano mnie starą babą sztywną jak kij od szczotki, a teraz wreszcie mogę ci posłużyć za podpore.

— Ciociu... dzięki bogom... — wybąkał Vanyel. — Myślałem, że nigdy nie znikniemy z ich pola widzenia. — Potknął się i prawie upadł, ale całym ciężarem ciała oparł się o Savil, aż i ona zachwiała się na nogach. — Proszę, muszę chwilę odpocząć. O bogowie w niebiosach, co za ból...

— Czy jest aż tak źle? — zapytała ciotka, czując drżenie chłopca przemarniętego na zimnym deszczu.

— Nie wiem, jak źle. — Z trudem przywołał na usta blady uśmiech. — Boli bardziej, niż wtedy, gdy wbiłem sobie cierń w palec, ale mniej niż złamane ramię. Czy to daje ci jakieś pojęcie?

— Raczej nie — odparła. — Chodźmy, im wcześniej wejdziemy do środka, tym będę szczęśliwsza. Mam tylko nadzieję, że mój protegowany ma dość zdrowego rozsądku, aby nie wybiegać nam naprzeciw.

Widać już było okna apartamentu Savil. Jej serce zamarło na moment, gdy ujrzała kogoś spieszącego ku nim w deszczu. Wtedy zobaczyła jeszcze jedną sylwetkę i uświadomiła sobie, że to nie Tylendel biegnie im na pomoc, lecz Mardik i Donni.

Oboje przejęli zadanie podtrzymywania Vanyela, dzięki czemu Savil mogła swobodnie ich wyprzedzić, a była im za to wielce wdzięczna. Przemarła już do szpiku kości i całe jej ciało poczęło ogarniać uporczywy ból.

Weszła do pokoju Vanyela przez drzwi ogrodowe i nim zdążyła przestąpić próg, już ktoś owinał ją w ciepły pled i niósł do wspólnej izby. Osobą tą okazał się oczywiście Tylendel. Został przy niej, aż usadowiła się w swym ulubionym fotelu, a następnie podał jej kubek grzanego wina z korzeniami. Zaraz potem zniknął.

Po chwili był znów z powrotem, prowadząc wspartego na swym ramieniu, kuśtykającego niezgrabnie Vanyela.

Na kanapie czekał już pled. Tylendel omotał nim przyjaciela i wcisnął mu do ręki kubek grzanego wina z korzeniami.

Mardik i Donni zjawili się zaraz po nich i z chichotem strząsając z włosów krople deszczu, rzucili się wprost ku garnkowi z winem na piecu.

Vanyel natomiast znacznie bardziej interesował się opuchniętym okiem i rozciętą wargą kochanka niżli swym własnym kubkiem wina.

— O bogowie... Lendelu, nie chciałem tego zrobić... — uzał się, nieśmiało wyciągając dłoń, aby dotknąć sińca. — O Panie i Pani, dlaczegoż muszę być taką niezdara?

— Och, rzeczywiście bijesz się jak dziewczyna — przekomarzał się Tylendel. — Wymachujesz tylko rękami i nogami. Przecież sam jestem sobie winien, że podetknąłem twarz pod twój łokieć. To o twoją kostkę się martwię. — Zabrał się do rozsznurowywania buta Vanyela, mocując się z mokrymi sznurówkami i przeklinając pod nosem, gdy nie chciały ustępować.

— To... auć! Tylendel zamarł.

— Czy coś zrobiłem?

— Nie — jęknął Vanyel przez zaciśnięte zęby. — Zdejmij tylko ten but, zanim będziesz musiał go rozciąć.

Tylendel jednak tak długo mozolił się z butem, że w końcu zniecierpliwiony Mardik odsunął go na bok i sam zabrał się do tego trudnego zadania. Szarpnął z całej siły, but zszedł z nogi, ale w tym samym momencie twarz Vanyela zrobiła się woskowo-biała, a jego palce wpiły się w dłoń Tylendela. Tymczasem Mardik przyglądał się chorej kostce, po czym zawyrokował, że prawdopodobnie nie jest złamana i uniósł stopę ku górze.

— O nieba, nauczycielko — śmiał się Mardik. Odebrał od Donni swój kubek z winem i powrócił na swe miejsce u jej stóp, naprzeciw Savil. — Czy i my byliśmy tak zwariowani? Bogowie, czuję się, jakby mnie ktoś oblewał słodkim syropem!

— Przez jakieś pięć czy sześć pierwszych miesięcy tak — odparła z powagą Savil, upiwszy łyk wina. — Równie zwariowani i równie przesłodzeni, a nawet bardziej sentymentalni. Wy dwaj moglibyście mi podziękować.

— Oczywiście, Savil — odezwał się Tylendel, przekręcając głowę. — Jeśli tylko nam powiesz, za co mamy ci dziękować w tej chwili.

— O bogowie, Vanyelu, czy ty nigdy nie słuchasz, o czym się mówi?

— Wybacz mi, ciociu — stęknął zakłopotany. Włosy wciąż zakrywały mu jedno oko. — Moja stopa boli tak mocno, że nie zwracałem uwagi na to, co mówiliście. A poza tym, muszę ci powiedzieć, że to nie było porządne kazanie.

Savil wzniosła oczy ku niebu.

— Bogowie, dodajcie mi sił. Właśnie zakazałam ci opuszczać te pokoje do czasu, kiedy uznam za słuszne odwołać mą decyzję, ty mały głuptasie. Właśnie uwolniłam cię od tych chichoczących panienek i wydałam ci rozkaz pozostawania tutaj przez czas nieokreślony. Z wyjątkiem lekcji, całe dni będziesz spędzał tutaj. Rozkaz obejmuje też spożywanie tutaj posiłków.

— Naprawdę? — zapytał Vanyel zdziwiony. — Naprawdę? To znaczy, że mogę tu zostać?

— Razem z Tylendelem macie tu zostać i nie wzbudzać żadnych podejrzeń — dodała. — Właśnie to miałam na myśli. Twój ograniczony ojciec najprawdopodobniej ucieszy się, gdy usłyszysz, że...

Urwała, widząc, że żaden z nich już nie zwraca na nią uwagi. Z drugiego końca pokoju dobiegł ją chichot Mardika.

Posłała mu ironiczne spojrzenie.

— Nie bądź taki zadowolony z siebie — rzuciła w jego stronę. — Bo opowiem parę historyjek o was.

— Dobrze, Savil — odparł Mardik, bez cienia skruchy.

— Co tylko sobie życzysz. Czy chciałabyś troszkę miodu do wina?

Savil popatrzyła na parę na kanapie. Tylen del bandażował właśnie kostkę Vanyela, podchodząc do tego z taką delikatnością, jak gdyby było to skrzydło owada. Savil skrzywiła się.

— Nie, dziękuję — opowiedziała. — Jak na jeden wieczór, mamy tutaj aż nadto słodczy. Tylen del podniósł na nią oczy i pokazał jej język. Vanyel oblał się rumieńcem.

Savil zareagowała uśmiechem i zadowolona ze swej uwagi, zanurzyła się głębiej w fotel. Oby tylko zrelaksować się przynajmniej przez chwilę — pomyślała, popijając wino — to wszystko, na co może mieć nadzieję herold. O jutro będę się martwić, gdy nadejdzie jutro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tylendel rozparł się w swym ulubionym fotelu i spoglądał na Vanyela, który siedząc na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, pochłonięty był zakładaniem nowych strun do swej lutni. Blask świecy podkreślał miodowe żłobienie wzdłuż okrągłego pudła instrumentu.

Czy to już czas? — zastanawiał się. Gra wprawdzie dla dziewcząt, ale to nie ma większego znaczenia. Wtedy nie dba o to, czy gra dobrze czy źle. Ale czy zagra dla kogoś, kogo kocha, dla kogoś, kto się liczy? Czy potrafi? Czy czuje się już na tyle dobrze?

Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

— *Ashke* — podjął z cicha, wykorzystując, jak tylko mógł, swój dar empatii. Vanyel uniósł oczy znad lutni. Ze strunami zwisającymi mu z ust niczym wąsy suma, przedstawiał dość komiczny widok.

— Hm? — odparł

— Zagrasz dla mnie, gdy już nastroisz swego Skowroneczka?

Vanyel osłupiał. Tylendel dzięki swemu darowi wyczuł wstrząs i... ból wywołany pytaniem. Natychmiast zareagował.

— Proszę? Tak bardzo bym tego chciał. Vanyel wyjął struny z ust i Tylendel zrozumiał, że jego przyjaciel znów chowa się w swej skorupie.

— Dlaczego? — zapytał gorzko. Jego wilgotne oczy błyszczały. — Tu na miejscu, w Bardicum, są dziesiątki lepszych ode mnie. Po co słuchać okaleczonego amatora? Tylendel powstrzymał naturalny odruch — nie podszedł do niego, nie przytulił, aby w ten sposób ulżyć mu w bólu. Z pewnością załagodziłoby to cierpienie, ale nie mogłoby zaleczyć ran.

— Ponieważ jesteś już zdrowy — odparł. — Ponieważ nie jesteś amatorem. Jesteś dobry. Wszyscy bardowie tak mówią.

— Ale nie dość dobry, aby stać się jednym z nich. — Zanim Vanyel zdążył odwrócić głowę, Tylendel ujrzał łzy w jego oczach.

— To nieprawda — łagodnie zaprotełował. — Posłuchaj, Van, nie idzie o to, że nie jesteś dość dobry. Rzecz w tym, że brak ci daru. Czy ślepiec może być malarzem?

Vanyel potrząsnął głową, a Tylendel poczuł, że Vanyel coraz bardziej ucieka

od tej rozmowy.

— To nie to samo — rzekł matowym głosem. — Ślepiec nie widzi obrazu, a ja mam zdrowe uszy.

Tylendel przez chwilę zastanawiał się, jak dotrzeć do tego najciemniejszego zakamarka zbolełej duszy swego ukochanego. W końcu wydało mu się, że znalazł pewną drogę.

— *Ashke*, z jakich powodów, twoim zdaniem, w Bardicum kształci się minstrela? Dlaczego ludzie z chęcią przyjmują minstrela, choć dookoła roi się od bardów? — Kiedyś zadał to samo pytanie Bredzie, która posiadała wszystkie trzy talenty barda: dar, umiejętność i kreatywność. Jej odpowiedź okazała się bardzo pouczająca.

Vanyel, wciąż nieprzystępny, potrząsnął głową.

— Bo za mało jest bardów, zupełnie tak samo, jak ciągle brakuje heroldów czy uzdrowicieli.

— Mylisz się — stanowczo zaprzeczył Tylendel — a wiem to od Bredy. Czasem dar przeszkadza muzyce.

— Co? — Vanyel ze zdumienia poderwał głowę, a Tylendel ujrzał spływające po jego twarzy łzy. — Jak to rozumiesz?

— Dokładnie tak, jak powiedziałem. — Teraz nadszedł odpowiedni moment, aby wstać i podejść do Vanyela, i Tylendel dokładnie to zrobił. — Posłuchaj i pomyśl, czym jest dar barda. To umiejętność przelewania uczuć w serca ludzi przy pomocy muzyki. Tylko że podczas gdy bard zajmuje cię owymi emocjami zawartymi w pieśni, nie zważasz na muzykę, prawda? W rzeczywistości nigdy nie doceniasz jej piękna, bo jesteś zbyt pochłonięty słowami płynącymi z ust barda. Nigdy nie słuchasz muzyki dla niej samej, a gdy zapamiętujesz pieśń barda, nie zapamiętujesz jej melodii, lecz uczucia, jakie w tobie wyzwoliła jej treść. Jest jeszcze jeden powód: gdy gra bard, nie wkładasz w słuchanie żadnego wysiłku. Natomiast gdy gra minstrel lub bard pozbawiony daru, dociera do ciebie dokładnie tyle muzyki, ile wysiłku kosztuje cię wsłuchanie się w nią. — Zaśmiał się i ujął w dłonie omdlałe ręce Vanyela. — Breda twierdzi, że to taka sama różnica, jak między miłością z opłaconą kurtyzaną a pieścizotami kochanka. Twój kochanek może nie być tak biegły w sztuce miłosnej, ale jego pieścizoty mają w sobie dużo więcej autentyzmu.

— Breda tak powiedziała? — wyjąkał Vanyel.

— Tak, kiedy była troszkę podchmielona. — Nie dodał, że było to w mieszkaniu Savil, tego samego wieczoru, kiedy sprawdzała umiejętności Vanyela i rozwiązywała jego marzenia. Pod jej kościstą pierś kryło się miękkie serce i nie sprawiło jej przyjemności to, co musiała powiedzieć Vanyelowi. — Mówią, że na dnie każdej butelki wina kryje się prawda. — Przerwał i spod oka spojrzął na swego kochanka. — Powiedziała też, że gdybyś nie był spadkobiercą swego ojca, awansowałiby cię tak szybko, że w tym pędzie zgubiłbyś buty.

— Naprawdę tak powiedziała? — Tylandel poczuł, że Vanyel znów uspokaja się i rozluźnia.

— Tak powiedziała. — Poniósł lutnię i włożył ją na powrót w dłonie Vanyela. — A teraz, przez wzgląd na to, że nie lubię kurtyzan, nawet bardzo doświadczonych, zagrasz dla mnie?

— Tylko... — Vanyel przełknął ślinę, jego oczy napotkały wreszcie wzrok Tylandela. Wciąż czało się w nich cierpienie, coraz jednak słabsze. — ... tylko ją nastroje.

Do Vanyela Ashkevron, od lorda Withena Ashkevron

Witaj. Otrzymałem od herold Savil pomyślne wieści o Tobie, wyłączając sprawę awantury z jednym z jej protegowanych. Choć nie mogę pogratulować Ci Twego postępu, rozumiem, że mieszkanie z tym młodzieńcem pod jednym dachem musi być irytujące. Trzeba Ci trzymać nerwy na wodzy i nie prowokować go więcej, gdyż wiadomo, że na jego opanowaniu nie można polegać. Doniesiono mi także, iż porzuciłeś swe pretensje do muzyki i nie zwracasz sobie już tym głowy. Koniec z zabawną igraszką. Jestem uradowany tym postępem. Odnoszę wrażenie, iż jest to oznaka Twojej dojrzałości i akceptacji Twojej właściwej pozycji życiowej. Załączam też mały dowód mej aprobaty.

Spisane ręką ojca Lerena Benevy, z mojej woli i moją pieczęcią opatrzone lord Withen Ashkevron

Do lorda Withena Ashkevron, od Vanyela Ashkevron

Witaj. Otrzymałem Twój list i upominek, za które dziękuję. Dokładam starań, aby stosować się do instrukcji Savil. Jest ona mądrą i świątłą nauczycielką i żywię nadzieję, że w przyszłości przyniosę jej jeszcze więcej zadowolenia.

Spisane moją ręką Vanyel Ashkevron

Najdroższy synu!

Z całego Serca Modłę się, aby mój list zastał cię w dobrym Zdrowiu. Mam też nadzieję, że ten Brutalny Chłopak nie naraził cię na Cierpienie. Od momentu kiedy Twój Ojciec powiadomił mnie o swych Planach wobec Ciebie, obawiałam się że stanie się Coś Takiego. Miałam Smutne i Ponure Sny, od chwili gdy Wyjechałeś. Najwyraźniej nie można polegać na Savil, która nie potrafi trzymać swych Stworzeń na uwięzi. Proszę Cię, nie Prowokuj więcej tego Barbarzyńcy. Ze wszystkich sił próbuję Przekonać Twego Ojca, aby sprowadził cię z powrotem do Domu, ale jak dotąd Wszystko na Nic. Jestem Zrozpaczona, a jak gdyby nie dość było Twojej nieobecności, nawiedziło mnie jeszcze

inne Nieszczęście. Moja pokojowa Melenna jest Brzezienna, i to za sprawą twego Brata, Mekeala! Nie tylko ona sama tak Utrzymuje, ale także i Twój Brat się do tego Przyznaje. W Ojcu wcale nie znajduje Oparcia w tej Trudnej Sprawie. On zdaje się Uważać to wszystko za Dobrą Zabawę. W rezultacie tracę już Cierpliwość i nie Wiem, Co Mam Robić! Lecz nawet u Kresu Sił, nie zapomniałam Cię, mój Ukochany Synu, ani też tego, że dziś przypadają Twe Urodziny. Załączam mały Upominek — to Wszystko, co udało mi się dla Ciebie Przygotować, choć nawet w Części nie jest tym, na co Zastługujesz. Błagam cię, jeśli znajdziesz się w potrzebie, Zaraz Mnie o tym Powiadom. Wtedy spróbuję Wydostać coś więcej od Twego Ojca, mimo iż ma tak Kamienne Serce.

*Twoja Kochająca Matka
lady Tressa Ileana Brendywhin-Ashkevron*

— Purpurowy atrament? — spytał Tylendel z niedowierzaniem, spoglądając przez ramię Vanyela na list. — Czy moje oczy naprawdę widzą purpurowy atrament? I różowy papier?

— Kosztuje majątek, a innego ona nie używa — odparł Vanyel, zastanawiając się w jakich słowach odpowiedzieć matce, aby znów jej nie urazić. Różowa kartka leżała na bibularzu, na biurku, a sama jej obecność była niczym matczyne oskarżenie, że nie napisał do niej, od chwili kiedy tu przyjechał. Obok listu leżały dwie kupki srebrnych monet — wszystkie tej samej wartości.

Jedna to nagroda za pobicie zbrojeńca, druga na pocieszenie po zostaniu obitym przez zbrojeńca — westchnął w duchu. — O bogowie, czasem chciałbym być sierotą.

— Czy mogę? — spytał Tylendel. Vanyel wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo. W końcu i tak na pewno kiedyś ją spotkasz. Powinieneś wiedzieć, jaka jest.

Tylendel przebiegł wzrokiem po pełnym ornamentów i zakrętasów arkusiku, po czym oddał go Vanyelowi z grymasem wymownym bardziej niż słowa.

— Ten jeszcze nie jest taki zły — powinieneś zobaczyć, co ona wypisuje do swych przyjaciółek lub, co gorsza, do ludzi, którzy, jej zdaniem, zrobili jej afront Trzy, cztery, a nawet pięć stron, purpurowy atrament rozmazany kroplami łez, a każde słowo od dużej litery. — Znów westchnął. — W dodatku okropne błędy gramatyczne. Kiedy wpada w histerię, uderza w oficjalny ton i nie potrafi nad tym zapanować.

Przez moment zadumał się nad listem.

— Najgorsze jest jednak to, że ona tak nawet mówi. Tylendel wybuchnął śmiechem, rzucił się na łóżko i powrócił do swej lektury.

Kochana Matko!

Zapewniam Cię, że czuję się dobrze. Proszę, nie martw się o mnie — powinnaś raczej zadbać o swe wiosnę samopoczucie. Jeżeli nie będziesz na siebie uważać, jeśli pozwolisz, aby Twe zmartwienia za- nadto nadwerężyły Twe zdrowie, wpędzisz się w chorobę. Savil jest dla mnie bardzo miła, a problemy, które miałem z Tylendelem, zostały już zażegnane. Każda plotka, jaka wychodzi z tego pałacu, jest nad wyraz przesadzona w najlepszym wypadku, a w najgorszym okazuje się kłamstwem. Dlatego też, nie zwracaj uwagi na to, o czym donoszą Ci Twoi przyjaciele. Przykro mi z powodu Melenny. Ta cała sprawa musi Ci strasznie ciążyć na sercu. Twój prezent sprawił mi wielką przyjemność, bardzo go doceniam, lecz znacznie przewyższa on moje potrzeby. Kocham Cię i często o Tobie myślę. Bądź zdrowa.

Vanyel

Kochany Vanyelu!

Cóż to się dzieje? Czy rzeczywiście jesteś zdrów? Jeśli naprawdę nie możesz już tego znieść, na miłość boską, daj mi znać, a przyjadę Ci na ratunek z siedmioma Paniami Miecza z Corey. One wprost umierają z niecierpliwości, aby móc odegrać rolę niosących zemstą anielic, choć znając ich delikatne fizjonomie, mogłyby wyrządzić tyle krzywdy, co rozżłoszczone aniołki. Całuję cię mocno.

Lissa

Vanyel wybuchnął głośnym śmiechem i podał list Tyndelowi. Tyndel uśmiechnął się szeroko i z powrotem wręczył mu kartkę.

— Ten mi się podoba. Kiedy będę miał okazję ją poznać?

— Niedługo — odparł Vanyel, przeciągając się. — Gdy tylko nasz sekret wyjdzie na jaw, ojciec wydziedziczy mnie, matka dostanie spazmów i wtedy, z mieczem w dłoni, pojawi się Lissa, by obronić mnie przed gniewem ojca. Stała się bardzo odważna, od czasu gdy oddano ją na wychowanie do Coreyów. Lord Trevor obiecał jej właśnie stanowisko w Gwardii.

— A miał prawo to zrobić, ponieważ to on jest odpowiedzialny za rekrutację członków Gwardii — dodał rzeczowo Tyndel. — Czy to ostatnia korespondencja, jaką wymieniliście?

— Nie, po tym jest jeszcze jeden mój list do niej. . .

Najdroższa Lissa!

Nie martw się, wszystko układa się dobrze. Czują się świetnie i jestem tutaj szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Mam Savil po swojej stronie, przeciwko ojcu, a awantura, o której doszły cię słuchy była zaaranżowana tylko po to, aby uspić jego czujność i sprawić mu przyjemność.

Uwierz mi, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Kocham cię i tęsknię.

Vanyel

Do Vanyela Ashkevron, od Evana Leszary

Witaj. Ufam, że nasze interesy zbiegają się i byłbym zaszczycony i uradowany, gdybyśmy mogli spotkać się, aby je omówić. Jestem do twojej dyspozycji każdego wieczoru.

Spisane moją ręką i opatrzone pieczęcią

Evan Leszara

— Lendelu... — rzekł powoli Vanyel, szczerze zdezorientowany treścią ostatniego listu, który został mu doręczony przez pazia tegoż popołudnia. — Kim jest Evan Leszara?

Tylendel przemierzał pokój jak niespokojny lew w klatce. Savil zdawało się, że obaj chłopcy tam są, ponieważ Tylendel nie powiedział jej, że Vanyel zdecydował złamać jej zakaz, aby pójść na spotkanie z Evanem Leszara, i przekonać się, czego też ten mógł od niego chcieć. Tylendel rzucił okiem w stronę świecy wskazującej czas, ale od momentu gdy ostatnio na nią spoglądał, wcale jej nie ubyło.

Nie powinienem był pozwolić mu iść — pomyślał. — Jeśli Leszara odkryje, że nasza bijatyka była tylko fortelem...

Chodził w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Jak na jesienną noc było wręcz gorąco. A może to świadomość zagrożenia sprawiała, że spływał po nim pot? Czuł, jak gdyby w głowę wbito mu dziesiątki cierni, pod jego prawym okiem zaczynał pulsować ból. Cienie rzucane przez płomień świecy do odmierzenia czasu tańczyły, migotały, to kurczyły się, to znów ogromniały.

... jeśli tylko przejrzy naszą grę, może zacząć szantażować Vanyela, aby zmusić go do współpracy, a mnie po to, abym stanął przeciwko Stavenowi. O bogowie. Nie powinienem był pozwolić mu iść. Powinienem był kazać mu zignorować zaproszenie Leszary. Powinienem był. Po...

Z zamyślenia wyrwało go nagłe skrzyknięcie drzwi od ogrodu i cały jego niepokój w jednej chwili rozwiął się. Vanyel wsunął się do pokoju i zamknął za sobą zasuwę na drzwiach.

— *Ashke* — odezwał się Tylendel, ale widząc zakłopotanie w oczach Vanyela, zawahał się na moment.

— Ten przekłety Leszara ma ogromny dar przekonywania — rzekł spokojnie Vanyel, siadając w fotelu przed kominkiem.

— Właśnie dlatego tu jest — odparł ponuro Tylendel. — To odpowiedź Leszarów na mój pobyt tutaj. Ponieważ nie mogą wkupić się w szeregi heroldów,

wysłali swego krewnego o najbardziej jadowitym języku, aby wyjednał im przychylność Królowej.

— Mówi, że już udało mu się to zrobić. W ogóle opowiadał różne rzeczy. Lendelu, wiele z tego, co mówił, brzmiało sensownie.

— Oczywiście! — przerwał mu Tylendel. — Jestem gotów pójść o zakład, że połowa z tego była prawdą. Liczy się tylko to, jak on to wszystko opowiedział, kontekst, w jakim to ukazał i oczywiście to, jakie wnioski chciał ci narzucić! Sam powinieneś już wiedzieć, choćby ze swoich listów do domu, że najlepsze kłamstwo to powiedzieć prawdę, ale nie całą prawdę!

— Ależ Lendelu. — Vanyel wciąż sprawiał wrażenie nie przekonanego. — Lendelu, on mówi, że jego rodzina od miesiący jest przygotowana do zawarcia ugody, którą uznałaby sama Królowa, a twoja rodzina odmawia przyjęcia jej. . .

— Nie powiedział ci jednakże, na czym ma polegać ta „ugoda”?

Vanyel potrząsnął głową.

— Na wydaniu za mąż mojej trzydziestoletniej kuzynki, która jest dziewicą i nigdy nie przestąpiła progu furty klasztornej, za pięćdziesięcioletniego rozpustnika. Na pozbawieniu Stavena prawa dziedziczenia i nadaniu owej kuzynce jego tytułu — ciągnął Tylendel z wściekłością — co w rezultacie prowadzi do objęcia przez Leszarę całego majątku, ponieważ niemożliwe jest, aby ona kiedykolwiek mu się przeciwstawiła. Ona raczej uschnie i wyzionie ducha, gdy tylko ten na nią spojrzy. Tak właśnie przedstawia się Leszarów wizja sprawiedliwego pojednania. — Obrzucił Vanyela gniewnym spojrzeniem, zraniony trochę tym, że Vanyel mógł w ogóle brać pod uwagę słuszność racji Leszary. — On próbuje wykorzystywać fakt, że Staven ma niespełna siedemnaście lat. Chce w ten sposób dowieść, że mój brat jest jeszcze zbyt młody, aby podejmować rozumne decyzje. W dodatku wiele wpływowych osób na dworze, takich samych rozpustników jak on, daje się na to nabrać. Okazuje się, że siedemnastolatek jest wystarczająco dojrzały tylko wtedy, gdy rozkazuje mu się iść na wojnę i umrzeć za coś. Jest natomiast zbyt młody, aby mieć prawo wypowiedzenia swego własnego zdania!

Oczy Vanyela przysłoniło okrutne strapienie. Wcisnął się najgłębiej, jak mógł, w miękki fotel.

— Lendelu — wyjąkał. — Nie chciałem. . . nie miałem wątpliwości, że ty. . .

Tylendel zganił się w duchu za zranienie przyjaciela.

— *Ashke*, nie chciałem na ciebie krzyknąć — powiedział i usiadłszy na podłodze, obok fotela Vanyela, położył dłoń na jego kolanie. — Przepraszam cię, ale jestem zupełnie zrozpaczony. On może sobie mówić, co mu tylko ślina na język przyniesie, a ja, tylko dlatego, że jestem kandydatem na herolda, nie mogę odeprzeć jego zarzutów. Czasem wyprowadza mnie to z równowagi.

Vanyel rozchmurzył się i położył dłoń na ręce Tylendela.

— Już dobrze. Wiem, co czujesz. To tak jak ze mną, ojcem i Jervisem.

— Coś w tym rodzaju.

— Lendelu — Vanyel zawahał się — opowiedziałbyś mi, jak to wygląda od twojej strony?

Tylendel wziął głęboki oddech.

— Jeśli to zrobię, złamię słowo dane Savil. Obiecałem jej, że nie będę cię w to angażował.

— Ale ja już jestem w to zaangażowany. Ja... dlaczego? Przecież chcę się tylko dowiedzieć, co powoduje, że ta waśń nie może się zakończyć?

— Tu chodzi o coś, co zrobił Wester Leszara — odparł Tylendel, tłamsząc w sobie nieprzepartą chęć, aby skoczyć na równe nogi, porwać konia, popędzić do Westera i udusić go gołymi rękami. Niełatwo mu było tłumić dziką wściekłość, jaka opadała go za każdym razem, kiedy odezwało się w nim to jedno wspomnienie. — Savil powtarza mi, że powinienem być absolutnie sprawiedliwy, a więc będę tak sprawiedliwy, że powiem ci, że jego najmłodszy syn zginął podczas naszej zemsty po ich najeździe na nasze ziemie. My, to znaczy moja rodzina, rozpuściliśmy ich bydło. Chłopiec spadł z konia i zginął pod racicami krów. Nie uważam jednak, aby usprawiedliwiało to postępek Westera.

— Jaki postępek?

— Gdy tylko zmarł mój ojciec, Wester za jakieś marne dwa miedziaki najął kuglarza, który miał przekonać moją matkę, że duch ojca chce z nią mówić. Matka nie odzyskała jeszcze wówczas równowagi po śmierci ojca, a Wester doskonale o tym wiedział. To doświadczenie zaś popchnęło ją w przepaść. Pozbyliśmy się szarlatana, ale było już za późno, gdyż jemu udało się wmówić mojej matce, że jeśli tylko znajdzie odpowiedni środek, będzie mogła porozumieć się z duchem ojca. Matka, chcąc ujrzeć ojca, zaczęła zażywać najróżniejsze mikstury. W końcu spotkała się z nim, po zjedzeniu grzybów Czarnego Anioła.

Tylendel nie dodał, że on sam, wraz ze Stavenem, ją odnalazł. Ale Vanyel i tak wyglądał już jak śmierć. Tylendel powściągnął gniew i zmienił temat.

— A czego właściwie chciał ten łajdak?

— Chce, abym dał mu znać, jeśli dowiem się czegoś o tobie albo twojej rodzinie, i abym nakłonił swego ojca do przejścia na jego stronę.

— A co mu odpowiedziałeś?

Twarz Vanyela wykrzywił grymas.

— Zdaje się, że zagrałem według tych samych reguł, co on, i nie mówiłem całej prawdy. Powiedziałem mu, że o twojej rodzinie dowiedziałem się więcej od ciebie niż od innych, a wyciągnięcie wniosków zostawiłem jemu samemu.

Tylendel rozluźnił się i zachichotał. Vanyel jeszcze bardziej poweselał.

— A co z twoim ojcem?

— Byłem szczery. Powiedziałem, że przysłano mnie tutaj w ramach kary, ponieważ w domu nie byłem posłuszny, a ojciec prędzej przyjmie radę od jakiegoś kompletnego durnia niż ode mnie. Poczuł się dość zawiedziony.

Tylendel zaśmiał się i objął go ramieniem.

— *Ashke, ashke*, nawet gdybym napisał ci na kartce, co masz mu powiedzieć, nie poradziłbyś sobie lepiej!

— A więc postąpiłem słusznie? — Vanyel był już wręcz purpurowy na twarzy.

— Lepiej nie można było.

Bogowie — pomyślał Tylendel, widząc podniecenie Vanyela — on blednie niczym porzucony kwiat, kiedy myśli, że gniewam się na niego... a teraz... Pomyślałby kto, że zaproponowałem mu wieniec laurowy barda. Czy moja opinia tak wiele dla niego znaczy? Czy ja sam naprawdę tyle dla niego znaczę?

Myśl ta otrzeźwiła go, pociągając za sobą następną: Być może Savil ma rację...

— Powiedział, że mimo wszystko chce pozostać ze mną w kontakcie, na wypadek gdybym dowiedział się czegoś. Zgodziłem się. Właściwie okazałem nawet spory entuzjazm. — Vanyel przekreślił z lekka głowę i zaproponował nieśmiało: — Pomyślałem, że moglibyśmy się postarać, aby dowiedział się tego, co będzie dla nas wygodne.

Ha. „My”, nie „ty”. Nie, Savil nie ma racji. On polega na mnie, a ja polegam na nim, a jeśli on jest ode mnie troszkę bardziej zależny, cóż, żadnemu z nas to nie zaszkodzi. Vanyel po prostu nie przywykł podejmować decyzji samodzielnie, to wszystko.

— Wspaniale — powiedział głośno, oparłszy się o fotel. — Absolutnie wspaniale. A teraz, skoro dla mnie stawileś czoło smokowi, czcigodny wojownik, jak mogę cię wynagrodzić? — Zatrzepotał powiekami w stronę Vanyela, a ten przyjął pozę, jak gdyby siedział na tronie. — Zrobię cokolwiek...

— Ach? — westchnął figlarnie Vanyel. — Cokolwiek?

— Savil powiedziała mi dziś coś zabawnego — szepnął Tylendel do ucha przyjaciela. Jego głos wyrwał Vanyela z półsnu, jaki spłynął na niego, gdy tylko rozsiedli się w swym ulubionym zakątku Łąki.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez któregokolwiek z nich od momentu, kiedy zagłębili się w gąszcz zagajnika.

Choć był to jesienny wieczór, wydawało im się, że mimo otartych na oścież okien w apartamencie jest zbyt duszno. W dodatku od czasu ich „bójki” Vanyel rzadko opuszczał pokój, wyjąwszy lekcje i obowiązkowe spotkania z Evanem Leszarą, którego wciąż karmił zmyślnymi informacjami. Nie dało się też unikać wizyt na dworze, potrzebnych, aby podtrzymywać uwielbienie jego miłośników oraz utwierdzać ich mylne przekonania co do jego osoby.

Noc była bezksiężycowa, co zupełnie wykluczało niebezpieczeństwo, że ktoś mógł zobaczyć ich zmierzających wspólnie ku Łące Towarzyszy. Dlatego też, gdy tylko Vanyel podniósł wzrok sponad swego podręcznika religii i z wahaniem zaproponował spacer, Tylendel z szelmowskim uśmiechem zamknął swą książkę

i skłoniwszy się zamaszystym gestem, otworzył przed Vanyelem drzwi prowadzące do ogrodu.

Utartym zwyczajem Gala dołączyła do nich, gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie rzeki. Po kilku wycieczkach, jakie udało im się bezpiecznie odbyć, Vanyel zaczął już traktować jej obecność jako coś oczywistego. Naturalnym zaś kierunkiem owych ukradkowych spacerów stał się sosnowy zagajnik, który przyciągał ich jak żadne inne miejsce w okolicy.

W tę bezksiężycową noc pod koronami drzew panował mrok czarniejszy niżli rozpacz Słonecznego Śpiewaka. Lecz gdy minęli pierwszą ścianę drzew i las osłonił ich przed oczami innych, Tyndel zapalił małe magiczne światełko. Potem długo wędrowali od jednego krańca zagajnika do drugiego, spacerując bez słowa i nie dotykając się nawet, bo ani rozmowa, ani gesty nie były im potrzebne.

Dopiero gdy odreagowali wreszcie wszelkie napięcia dnia, postanowili usiąść u stóp najstarszego drzewa lasu i zrelaksować się w ciszy. Gala chętnie posłużyła swym ciałem i obydwaj oparli się o jej ciepły, miękki grzbiet, a Vanyel złożył głowę na ramieniu Tyndela. Tyndel zagasił magiczne światełko i wszystko pogrążyło się w niemal absolutnej ciemności. W trawie grało jeszcze kilka świerszczy, którym udało się przetrwać pierwsze przymrozki. Teraz z różnych stron słychać było ich nawoływania. W pewnej chwili doszedł Vanyela nawet krzyk gęsi przelatującej gdzieś w górze. Gdyby nie te odgłosy, uzupełniane miarowym oddechem Gali, mogłoby się zdawać, że Vanyel i Tyndel to jedyne żywe istoty w nieskończenie pustym, pachnącym żywicą wszechświecie.

Tego właśnie Vanyel pragnął najbardziej. Gra, jaką toczyli bez ustanku, była jednocześnie trudniejsza i łatwiejsza, niż się tego spodziewał. Łatwiejsza, ponieważ związując się z Tyndelem, nie musiał już tamować swych uczuć i wmawiać sobie, że nie potrzebuje nikogo bliskiego. Łatwiejsza, ponieważ jego arogancka poza i udawane flirty zlały się w jedną nie kończącą się grę pozorów, która nie kosztowała go wiele wysiłku. Trudniejsza jednakże, ponieważ jeden fałszywy krok, jedna drobna plotka, która naprowadzi Withena na prawdę o jego pobycie tutaj, może doprowadzić do utraty wszystkiego, co sprawiło, że życie stało się dla niego czymś więcej niżli tylko udawką, którą trzeba jakoś znieść. Trudniejsza też z powodu podwójnej gry prowadzonej z Leszarą. Jedno potknięcie w tej rozgrywce i Leszarą dowie się, co dzieje się w rzeczywistości. Wówczas wykorzystanie tej wiedzy jako broni przeciwko Vanyelowi i Tyndelowi będzie tylko dziecinną igraszką.

Nie było sposobu na wysondowanie, jak wiele, lub też jak niewiele z informacji przekazywanych Leszarze przez Vanyela trafiało do jego przekonania. Nie orientując się dostatecznie w sprawach związanych z waśnią, Vanyel mógł tylko ufać, iż Tyndel wiedział dosyć, aby w każdym kłamstwie przemycić choć ziarno prawdy.

Całe to udawanie nadszarpięło dość poważnie wytrzymałość emocjonalną Va-

nyela i nieczęsto przychodził moment, gdy chłopiec czuł się bezpiecznie i potrafił cieszyć się radosną chwilą. Niepokój wywołany niepewną sytuacją był pierwszą rzeczą, jaka nawiedzała jego myśli, gdy się budził co rano, i ostatnią, gdy zasypiał wieczorem.

Na domiar złego, towarzyszyły mu też inne napięcia. Bardowie, heroldowie i wszyscy ich uczniowie nieustannie odsuwali się od niego, wykluczając go ze swego towarzystwa. Tylendel — ku własnemu zaskoczeniu — cieszył się wielkim poważaniem wśród „pracujących” mieszkańców Wielkiego Dworu królowej Elspeth. Oznaczało to, że za sprowokowanie bójki Vanyel skazany był na powszechną pogardę i nawet jego nauczyciele, nie przekraczając granic uprzejmości, odnosili się doń z nie ukrywaną niechęcią. Lekcje stały się uciążliwym obowiązkiem i tylko nalegania Tylendela, aby kontynuować grę tak długo, jak tylko będzie ona przynosiła skutek, dodawały Vanyelowi wytrwałości w stawianiu czoła nieprzyjaznej rzeczywistości. Jedynym nauczycielem, który zdawał się zachowywać obojętność był lord Odeń, i to najprawdopodobniej dlatego, że zastępca lorda Marszałka pozostawał zawsze obojętny na wszystko, co nie dotyczyło sztuki wojennej. Sytuacja Vanyela — w stosunku do tego, co działo się w Forst Reach — zakrawała na ironię losu i on sam miał wiele okazji, aby się o tym przekonać. Tam był ulubieńcem wszystkich nauczycieli, z wyjątkiem fechtmistrza, a pogardzali nim wszyscy rówieśnicy. Tutaj, jeśli pominąć uczniów, rówieśnicy płaszczyli się wręcz przed nim, a nauczyciele z kolei, z wyjątkiem fechtmistrza, dokładali wszelkich starań, aby go zniechęcić do swych zajęć. To, że traktowano go gorzej niż innych uczniów, nie było tylko wytworem jego imaginacji. Mardik chodził teraz razem z nim na lekcje religii i potwierdzał te podejrzenia.

— Cóż więc powiedziała Savil? — zapytał, zamykając znużone oczy. Uniósł się nieco, aby nie ciążył za bardzo na ramieniu przyjaciela, na co Tylendel zareagował jeszcze silniejszym uściskiem.

— Powiedziała, że nie może pojąć, jak to się dzieje, że jeszcze ani razu się nie pokłóciliśmy — odparł Tylendel, śmiejąc się z cicha. — Mówi, że mdli ją nasza ckliwość.

— Coś w tym jest — przyznał Vanyel ze śmiechem. — Rzeczywiście jesteście dość sentymentalni.

— Stwierdziła też, że nie rozumie, jak wciąż możemy być tak pełni poświęcenia dla siebie nawzajem. Mówi, że zachowujemy się jak para spanieli. Ty takiego psa kopniesz, a on po chwili wraca, błagając o następne kopnięcie. Z nami jest jeszcze gorzej, bo my nie wydzielamy sobie nawet kopniaków.

— Savil po prostu nie zdaje sobie sprawy — powiedział poważnie Vanyel po chwili refleksji — z tego, że ja, Lendelu, nie wyobrażam sobie, abym mógł się z tobą pokłócić, gdy w każdej chwili mój ojciec może dowiedzieć się o nas i wezwać mnie do domu. Nie zniósłbym tego, gdyby ostatnie słowa miały być wypowiedziane w złości. Każdy moment, który z tobą spędzam, muszę ocalić

jako piękne wspomnienie.

— Nie pozwól, aby cię to zadreślało — przerwał mu Tylendel. — Masz teraz szesnaście lat, ja mam siedemnaście. Już za dwa lata osiągniesz pełnoletność. Wszystko potoczy się gładko dopóty, dopóki będziesz sobie radził z lordem Evannem.

Vanyel westchnął.

— Bogowie, bogowie, dwa lata... to jak wieczność. Wydaje się, że już minęły lata całe. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić końca tego wszystkiego.

Tylendel pogładził go po włosach, a dotyk jego ręki wydał się Vanyelowi lekki niczym muśnięcie wiatru.

— Dasz radę, *ashke*. Jesteś silniejszy, niż myślisz. Czasem wydaje mi się nawet, że silniejszy ode mnie. Wątpię, czy zniósłbym to wszystko, co ty znosisz. I możesz w to wierzyć lub nie, ale wierzę, że polegam na tobie w takim samym stopniu, jak ty polegasz na mnie. Tak mówi Gala.

— Tak mówi? — Vanyel uniósł głos w zdumieniu. — Naprawdę?

— Powtarza to dosyć często. — Westchnął, ale Vanyel nie wiedział, co było powodem tego westchnienia. Czasami odnosił wrażenie, że między Galą a jej Wybranym dochodziło do różnicy zdań w sprawie silnego poparcia, jakiego Tylendel udzielał swemu bratu. Vanyel nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Według niego, nawet gdyby Tylendela i Stavena nie łączyła ich więź, nawet gdyby Wester Leszara nie przyłożył ręki do samobójstwa matki Lendela, to i tak wspieranie brata pozostałoby jego obowiązkiem. Mimo że Vanyela i jego brata, Mekeala, więcej dzieliło niż łączyło, to jednak w przypadku waśni z innym rodem Vanyel nie miałby wątpliwości, po której stanąć stronie. Wiedział też, że prawdopodobnie Mekeal myśli podobnie. Biorąc pod uwagę, ile Tylendel zawdzięcza swemu bratu, który wspierał go, gdy wszyscy się odwrócili... cóż, Vanyel nie wyobrażał sobie, jak inaczej, dochowując wierności uczciwości i honorowi, Tylendel mógłby postąpić.

Z drugiej strony jednak Vanyel nie rozumiał wielu spraw dotyczących życia heroldów. Na przykład...

— Lendelu, jeśli wytrwamy tak długo... aż do momentu gdy przywdziejesz Biel...

— Jeżeli? Nie myśl kategoriami przypuszczeń, kochanie — upomniał go łagodnie Tylendel. — To może nie być łatwe, ale uda nam się. O niebiosy, ja mówię o trudnościach, a tymczasem to na twoje barki spadła ich przytłaczająca większość. Ale pomogę ci, pomogę, jak tylko będę mógł i przebrniemy razem na drugi brzeg.

— A co się z nami stanie, gdy ty przywdziejesz Biel, a ja osiągnę pełnoletność... co wtedy?

Zapadło długie milczenie, dłoń Tylendela zatrzymała się na karku przyjaciela.

— To jest zupełnie proste. Po pierwsze, musisz podjąć decyzję co do lorda Withena. To znaczy, możesz mu otwarcie o nas opowiedzieć albo pozwolić, aby

sam odkrył prawdę. Zrobisz to, co uznasz za słuszne. Wówczas najgorszą rzeczą, jaka grozi ci z jego strony, będzie wydziedziczenie, A wiesz przecież, że wszystko, co należy do mnie, należy też do ciebie. Krąg nie wykluczy mnie ze swych szeregów. Będę miał dość pieniędzy, aby starczyło na utrzymanie dwóch osób.

— On pewnie mnie wydziedziczy — rzekł gorzko Vanyel. — Dlatego będę musiał zwrócić się do mojego Lendela.

— Więc? Jesteśmy partnerami, tak? To nie będzie dobroczynność. Po prostu będę się z tobą dzielił.

Vanyel chciał zauważyć, że i tak byłaby to dobroczynność, ale ugryzł się w język.

— Zgoda, Przypuśćmy, że powiedziałem już ojcu i mogę sam o sobie decydować. Co wtedy?

— Wtedy Savil przekaze swe papużki innemu heroldowi i zabierze mnie... nas... w teren, aby wypełnić jakąś misję. Nas, ponieważ oczywiście nie pojedę bez ciebie. Savil wie o tym, a więc to już załatwione. Wyprawa będzie trwała rok, mniej więcej rok. A potem... nie wiem. Będę magiem heroldów. W przeciwieństwie do zwykłych heroldów, którzy muszą nieustannie patrolować swe okręgi, nam zwykle przydziela się stałe placówki. Prawdopodobnie zatrzymają mnie tutaj, w Przystani, albo wyślą gdzieś na Pogranicze, gdzie potrzebna jest magia. Gdzieś w okolicy Przełęczy Białego Żrebięcia, nieopodal Pelagris...

— Dlaczego? Właśnie to mnie zastanawia. Dlaczego? — zapytał Vanyel. — Dlaczego masz robić to, co nakazuje ci ktoś inny? Dlaczego musisz jechać tam, gdzie oni chcą? A właściwie kim są ci „oni”?

— „Oni” to krąg heroldów. Należą do niego Osobisty Królowej, herold Kasztelana, herold lorda Marszałka, rzecznik heroldów i uczniów, czyli Savil, oraz rzecznik magów heroldów i rzecznik heroldów na placówkach. No i oczywiście sama Królowa oraz Następca. Oni wszyscy decydują o tym, gdzie i jak heroldowie mają odbywać służbę. Tak... tak już po prostu jest. Van, nie rozumiem, o co ci chodzi. — W głosie Tylendela pobrzmiwał ból. — Czyż nie chcesz ze mną jechać?

— O bogowie... — Vanyel pochwycił dłoń Tylendela i mocno ją ścisnął. — Lendelu, nie to miałem na myśli. Chętniej pozbyłbym się rąk i nóg, niż rozstałbym się z tobą. Pójdę gdziekolwiek pójdiesz ty i zrobię to z przyjemnością. Próbuje tylko zrozumieć to wszystko. Dlaczego to robisz, dlaczego jedziesz, gdzie ci każą i wykonujesz ich polecenia? Dlaczego te... te sprawy heroldów są dla ciebie takie ważne?

Vanyel niemal sam odczuwał, jak bardzo Tylendel stara się znaleźć właściwe słowa.

— To... nie wiem, to jakiś rodzaj wewnętrznej potrzeby. Nie jestem w stanie się jej sprzeciwić. Posiadam te umiejętności, te dary, i po prostu nie mogę nie robić z nich użytku. Nie mógłbym, na przykład, siedzieć tutaj beczynnym, ma-

jąc świadomość, że gdzieś są ludzie, którzy potrzebują pomocy dokładnie takiej, jakiej ja mogę im udzielić. Musiałbym pośpieszyć im na ratunek. Podobnie jest z moim poparciem dla Stavena. To coś, czego nie mógłbym mu nie dać. Nie potrafię tego wyjaśnić, Van, nie potrafię. Musiałbym... albo... albo nie byłbym już sobą.

Vanyel potrząsnął nieznacznie głową.

— W porządku, przyjmuję to, co powiedziałaś, choć wciąż nie mogę tego pojąć — wyznał. — Nie wiem, jak możesz porzucić wszystko tylko po to, aby zająć się nianczeniem ludzi, których nawet nie znasz. Czy w ogóle nie będziesz już miał swojego życia? Kim są ci anonimowi ludzie, dla których się poświęcasz?

— Ha — odparł Tylendel. — Mówisz zupełnie jak Sta... — Wtem zmartwiał. — Staven? — wyszeptał. — Stav...

Nagle, gdy wykrzyknął jeszcze raz imię Stavena, jego ciałem wstrząsnęła konwulsja, a spokój nocy w jednej sekundzie obrócił się we wszechogarniający zamęt.

Z gardła Tylendela wciąż dobywał się wrzask, napełniając bólem straty cały wszechświat. Napięcie dookoła nich wzrosło niewyobrażalnie. Nieruchome dotąd powietrze zakłócało i jego prądy, niczym pięści z burzącego się ukropu, jeły okładać obu chłopców.

Gala skoczyła na równe nogi. Vanyel z całych sił ścisnął ciało kochanka szarpniętymi niekontrolowanymi drgawkami. Na czole Tylendela, u podstawy nosa, pojawiła się głęboka bruzda. Przed oczami zawirowały mu gwiazdy, poczuł w ustach smak krwi, ale zacisnął zęby i wytrwale znosił ból.

Z dna zamętu wyłoniła się potężna trąba powietrzna. Szalejąc z wyciem, kręciła się ruchem spiralnym z taką prędkością, że nim minęła chłopców, zdarła niemal do szczytu odzienię z Vanyela. Tylendel jakby płonął. Wokół niego pulsowało wściekłe, czerwone światło. W jego blasku Vanyel ujrzał oszalałą twarz Tylendela, wciąż zacisniętą z bólu zęby; puste, dzikie oczy bez wyrazu.

Stojące najbliżej drzewa eksplodowały, rozbryzgując deszcz drzazg. Te znajdujące się nieco dalej, dotąd targane konwulsjami ciała Tylendela, teraz jeły rozdzierać się na strzępy.

Wiatr nabierał mocy, grube drzewa ugięły się pod jego naporem, a trąba powietrzna w swym szaleńczym biegu zataczała coraz szerszy okrąg. Światło wokół Tylendela — a teraz i Vanyela — pulsowało, gasnąc i rozbłyskując z każdym skurczem jego ciała. Coś przerażającego, jakby piorun, odłupywał po kawałku brzegi tej poświaty. W miejscu uderzenia momentalnie rodziło się coś na kształt naturalnej błyskawicy. Pnie drzew rozłupywały się, a wypalona ziemia rozstępowiała.

Wiatr zmiatał wszystko, strzelając pociskami z martwych igieł i kłód drewna. Nawet ziemia zadrżała w konwulsjach, wierzgając niczym koń, który za wszelką cenę próbuje zrzucić swego jeźdźca.

Vanyel starał się z całych sił przytrzymać ciało Tylendela, rozglądając się rozpaczliwie w poszukiwaniu Gali. Wreszcie ujrzał ją na krawędzi obłędnego ko-

ła zamętu wokół nich. Od niej także bił blask — niebieski. Obrzeże jej poświaty zdawało się zakrzywiać obraz rumowiska i błyskawicy, sama Gala jednak wyglądała na niezdolną do wykonania żadnego ruchu. Próbowwała wyrwać się ku nim, wyciągała szyję ku swemu Wybranemu, a jej błyszczące oczy pałały rozpaczą. Ale nie była w stanie zrobić nic, tylko ochraniać samą siebie. Nie mogła nawet zbliżyć się do nich.

— Galo! — zawołał Vanyel, przekrzykując wycie wiatru i przytrzymując Tylendela, którym szarpnął kolejny wstrząs. — Sprowadź pomoc! Przyrowadź Savil! — Nie potrafił już nawet myśleć, ale jeśli Gala nie mogła pomóc, Savil była ostatnia deską ratunku.

Gala potrząsnęła głową. Próbowwała przedostać się przez szalejącą wokół nich zawieruchę, ale jakaś siła, w której władaniu pozostawał piekielny wichur, spychała ją w tył. Spróbowała jeszcze raz i drugi, ale wichura spychała ją z powrotem. Krąg spustoszenia poszerzał się. Wreszcie Gala wierzgnęła, wrzasnęła niczym zatrwożony człowiek, odwróciła się i pognąła w ciemność.

Vanyel zamknął oczy i przycisnął Tylendela do piersi, usiłując osłonić go przed wiatrem, próbując obronić go przed krzywdą, jaką mogło zadać mu jego własne, wstrząsane konwulsjami ciało. Przekroczył już barierę strachu. Jego umysł popadł w odrętwienie, usta spierzchły, serce waliło jak młotem. Błagał o nadejście kresu tej udręki, modlił Się o pomoc. Nie mógł już myśleć, nie mógł się ruszać — mógł tylko trwać.

Lendelu, jestem tutaj — pomyślał, nateżając umysł z całych sił, jak gdyby w nadziei, że Tyndel go usłyszy. Lendelu, wróć do mnie. . .

Chłopcem szarpnął jeszcze jeden wstrząs, wyginając jego plecy w łuk. . . i nagle wszystko się skończyło. Poświata zniknęła, a z nią ucichł wiatr. Ziemia zamarła i wszystko utonęło w śmiertelnej ciszy i martwej ciemności. Vanyel uczył w ramionach ciężar znieruchomiałego ciała kochanka.

— Lendelu? — Potrząsnął nim i nie spostrzegłszy żadnej reakcji, rozpaczliwie jęknął. — O bogowie. . . — Tyndel oddychał jeszcze, lecz był to dziwny, płytki oddech. Jego skóra stała się wilgotna i niemal zupełnie zimna.

Już po kilku chwilach przybyli, galopując na swych Towarzyszach, Savil oraz dwaj inni heroldowie. Nad ich głowami jaśniały magiczne światelka i dopiero w ich blasku Vanyel zobaczył, że ciało Tylendela leży zupełnie bezwładnie, ze zwieszoną głową i martwymi oczami pod na wpół przymkniętymi powiekami. Chłopiec był nieprzytomny. Ale na widok Savil ześlizgującej się w pełnym pędzie z grzbietu Kellan i lądującej ciężko na ziemi obok nich, Vanyel zdławił narastający w nim strach. Gdy jej magiczne światło rozbłysnęło jaśniej, Vanyel spostrzegł, że z całego zdrowego sosnowego lasu dookoła nich nie pozostała nawet jedna gałązka.

— Nie. . . nie mam pojęcia co. . . co się stało — wyjąkał, gdy Savil, ukłękawszy przy nich, rozwarła powieki Tylendela, a potem sprawdzała jego puls. W błę-

kitnym blasku magicznego światelka jej twarz nabrała ponurej, szarej barwy. Pozostali dwaj heroldowie powoli zsiadli z koni i w osłupieniu wodzili wzrokiem po spustoszonej okolicy. — Czuł się dobrze i wtem, w jednej chwili... ciociu Savil, proszę, ja mu tego nie zrobiłem... prawda?

— Nie, chłopcze — odparła jakby nieobecna myślami. — Jaysenie, podejdź tutaj i potwierdź, dobrze?

Wyższy z dwóch heroldów uklęknął obok i przeprowadził takie samo badanie, jakie przed chwilą wykonała Savil.

— To wstrząs spowodowany sprzężeniem zwrotnym — zawyrokował. — Jest bardzo źle. Możemy tylko położyć go do łóżka i zostawić pod opieką kogoś, kogo darzy zaufaniem.

— Tak właśnie myślałam — odparła i podniósłszy się z ziemi, przywołała gestem drugiego herolda, aby pomógł Jaysenowi przenieść nieprzytomnego chłopca. — Nie, Vanyelu, nie masz z tym nic wspólnego. — Wreszcie przeniosła na niego wzrok. — Wiesz, że masz złamany nos?

— Złamany nos? — zdziwił się, wciąż pochłonięty obawami o życie Tylendela.

— Tak. Stój spokojnie. Dar uzdrawiania Jaysena nadaje się w sam raz, aby coś na to zaradzić...

Wysmukły, błądy herold zbliżył dłoń do twarzy Vanyela. Chłopiec poczuł dziwne szarpnięcie, a potem przeszywający ból, od którego na moment pociemniało mu w oczach; wreszcie przyszło odrętwienie.

Savil szybko oceniła jego stan.

— Już dobrze. Przez następne kilka dni będzie cię piekielnie bolało, ale zagoi się w mgnieniu oka. Później zmyjemy ci krew z twarzy. Jaysenie, Rolfie, przenieście Tylendela do moich pokoi. Uzdrowiciel tu nic nie pomoże. Sami się nim zaopiekujemy.

— Ciociu, proszę, powiedz mi, co się stało? — Chwiejąc się, stanął na równe nogi i ścisnął mocno dłoń nieprzytomnego, bezwładnego niczym zepsuta lalka, Tylendela, którego obaj mężczyźni podnosili właśnie z ziemi. Nie chciał ustąpić, póki nie dowie się, co zaszło.

Savil delikatnie rozluźniła uścisk jego palców.

— Jeśli wiadomość, jaką przekazała nam Gala, jest prawdziwa, to w momencie gdy rozpoczął się atak u Tylendela, ktoś zamordował jego brata — powiedziała gniewnie. — Wiesz o więzi łączącej go ze Stavenem.

Vanyel pokiwał głową, jego twarz drgnęła.

— Tylendel poczuł to wszystko, poczuł śmierć, wiedział, co się stało. Stracił panowanie nad swym ciałem, a na moment nawet świadomość. Przypominało to napady, które miewał wcześniej, ale teraz chyba było o wiele gorzej. Tym razem atak uczynił zeń rozwścieczone zwierzę, wyzuł go ze wszystkiego. Ciało nie wytrzymało wielkiej mocy energii, jaka przez nie przepłynęła, umysł jest w stanie

szoku po śmierci Stavena. To szok spowodowany sprzężeniem zwrotnym.

Vanyel, niezupełnie pewny, czy pojął to wszystko, pokiwał głową ze zrozumieniem.

Twarz Savil pociemniała z wściekłości.

— Niechaj wszyscy bogowie potępią tych głupców i ich spory! Śmierć za śmiercią, a oni wciąż nie są zaspokojeni! Van, naszym zadaniem jest dopilnować, aby Tylendel nie stracił życia.

— Stracił życia? — głos Vanyela załamał się i chłopiec powiódł dzikim wzrokiem za heroldami i ich nieprzytomnym podopiecznym.

— Och... nie... bogowie... ciociu, powiedz, co mam robić, nie mogę pozwolić mu... .

— Nie zamierzam pozwolić mu umrzeć — przerwała, popychając go, aby podążył za heroldami. — Koniec maskarady i do diabła z tym, czego się dowie twój ojciec. Sama się zajmę Withenem i zatrzymam cię tutaj, nawet jeśli będę musiała uzyskać na to rozkaz Królowej. Ty idź z nimi i zostań przy Tylendelu, bez względu na to, co się będzie działo. — Savil przygryzła wargi, a gdy sparaliżowany strachem Vanyel popatrzył na nią, jeszcze raz lekko go pchnęła. No idź. On cię potrzebuje, chłopcze... . tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie potrzebował. W tobie cała nadzieja na przywrócenie go do życia w pełni sił fizycznych i psychicznych.

Gdy dwaj heroldowie, nazywani przez Savil Jaysen i Rolf, rozbierali Tylendela i kładli go do łóżka, chłopiec nie zdradzał żadnych oznak powrotu do przytomności. Vanyel z zaciśniętymi w pięści dłońmi krążył po pokoju. Czuł pulsowanie twarzy i zdawało mu się, że jego policzki są tak białe jak policzki Tylendela. Gdy tylko heroldowie wyszli z pokoju, obrzuciwszy go przedtem badawczymi spojrzzeniami, Vanyel usadowił się w fotelu przy łóżku, ujął bezwładną, zimną rękę kochanka w swą dłoń i zastygł w bezruchu.

Trwał tak przez resztę nocy, niezdolny do snu, niezdolny do jasnego myślenia. Tylendel wyglądał upiornie — jego skóra stała się woskowo-biała, w jego dłoni nie drgnął nawet mięsień, a jedyną oznaką tego, że jeszcze tli się w nim życie, był ledwie dostrzegalny ruch klatki piersiowej.

Savil zajrzała w nocy raz czy dwa, ale nie odezwała się ani słowem. O wschodzie słońca pojawił się Mardik, próbując nakłonić Vanyela do odpoczynku, ale ten odmówił, uparcie potrząsając głową. Nie zaśnie, nie będzie mógł zasnąć dopóty, dopóki nie będzie wiadomo, że Tylendel czuje się lepiej.

Zaraz po wschodzie słońca, Savil udała się na zebranie Rady, zwołane najprawdopodobniej w sprawie waśni. Później Mardik i Dormi, dość niechętnie, ale poszli na swoje lekcje. Gdy Mardikowi nie udało się namówić Vanyela do drzemki, Donni usiłowała przekonać go do zjedzenia czegoś. I jej odmówił, podejrzewając, że — kierowana najlepszymi intencjami — dziewczynka mogła wmieszać

w jedzenie jakiś środek, który szybko sprowadziłby na niego sen.

— Lendelu, poszli już — powiedział, usłyszawszy dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Odezwał się tylko po to, aby usłyszeć w pokoju jakikolwiek dźwięk, poza odgłosem oddechu Tylendela. — Jesteśmy tutaj tylko ty i ja. Lendelu, musisz wrócić... proszę. Potrzebuję cię, Lendelu. — Bliski hysterii, zażartował: — Słuchaj, sam dobrze wiesz, że moje zaległości z historii są zbyt wielkie, aby Mardik mógł mi pomóc je nadrobić.

Nagle wydało mu się, że chyba... właśnie dostrzegł jakiś przebłysk reakcji na twarzy Tylendela. Serce podskoczyło mu do gardła, ale mówił dalej. Z pieszczotą w głosie recytował nawet fragmenty ulubionych wierszy Tylendela — robił wszystko, co mogłoby wyrwać chłopca z owego nienaturalnego snu. Mówił tak długo, że w ustach i gardle poczuł suchość, a jego głos zamienił się w jakieś kłamanie. Wyszedł na moment, aby przynieść sobie trochę wody i znów powrócił do swego monologu. Mniej więcej około trzeciej po południu stracił wątek. Przez cały czas miał świadomość, że ktoś ich obserwuje, ale nie chcąc przerywać potoku myśli, dotąd nie przejmował się tym. Tym bardziej, że nim nadeszło popołudnie, nie było wątpliwości, że w stanie Tylendela zachodzi zmiana, i to na lepsze. Nie miał pewności, że właśnie jego słowa sprowadzały tę poprawę, ale mimo to nie chciał ryzykować. Wciąż siedział, ściskając dłoń Tylendela i opowiadał mu, co tylko przyszło mu do głowy, nie zważając, czy były to rzeczy przemyślane, czy też kompletne brednie.

Nadszedł zachód słońca, obracając rzekę za oknem w płonącą wstęgę. Światło przybladło, w pokoju robiło się coraz ciemniej, a on wciąż siedział bez ruchu. Weszła Savil, zapaliła świece i szepnęła mu coś do ucha. Zdaje się, że pochwaliła jego postępowanie. Tak mu się przynajmniej zdawało, ale nie był pewny. Nie bardzo nawet dbał o to. Cały jego świat zwężył się do tej białej twarzy spoczywającej na poduszce i z wolna ogrzewającej się właśnie dłoni.

Jego oczy stawały się coraz cięższe, ciało ogarniał ból, a głos przycichł do szeptu, który stał się nieczytelny nawet dla niego samego. Wreszcie oparł głowę na ramieniu i postanowił zdrzemnąć się choć przez chwilę...

Nagle ocknął się, czując, że ktoś pieści jego włosy. Poderwał się. Gwałtownie unosząc głowę z koca, poczuł ostry, pulsujący ból.

Tylendel patrzył na niego opuchniętymi, okolonymi sińcami oczami przepętlionymi taką udręką, że Vanyel na ich widok omal nie zalał się łzami.

— Słyszałem cię — wyszeptał Tyndel. — Słyszałem, ale nie miałem siły, żeby odpowiedzieć. Van... Staven...

Jego twarz ściągnął grymas cierpienia. Vanyel ześlizgnąwszy się z fotela przysiadł na brzegu łóżka, wziął Tylendela w ramiona i przytulił go z całych sił, dając mu oparcie swym ciałem i starając się, aby jego obecność przyniosła ulgę kochankowi. Tyndel, wstrząsany szlochem, przyciskał się do Vanyela tak, jak gdyby ten pozostał jedynym na całym świecie źródłem pocieszenia, Vanyel płakał razem

z nim.

Wreszcie spłynął na nich sen, prawdziwy sen, niepodobny do snu Tylendela wywołanego wstrząsem. Vanyel, w pełnym odzieniu, wyciągnął się, siedząc jeszcze na fotelu, głowę złożył na brzegu łóżka, a Tyndel przylgnął do niego jak porzucone dziecko.

— Jedz — rozkazał Vanyel, stawiając tacę na okrytych kołdrą kolanach Tylendela.

Tylendel popatrzył na jedzenie z obrzydzeniem i potrząsnął głową.

— Nie mogę — wyszeptał zawzięcie.

— To znaczy, że nie zjesz — rzucił ostro Vanyel, próbując lekceważyć ból twarzy. — Już całą dobę nic nie jadłeś. Savil powiada, że jeżeli nie zjesz czegoś, znów wpadniesz w ten szok. Nie zmarnowałem tyle czasu tylko po to, żebyś ty znów tracił przytomność. A teraz jedz, do diabła! — Założył ręce na piersi i obrzucił Tylendela gniewnym spojrzeniem. Chłopiec uniósł się nieco na poduszkach i spróbował odsunąć tacę. Niestety, był tak słaby, że nie miał nawet siły, aby ją podnieść. Przesunął ją tylko o kilka centymetrów, a Vanyel natychmiast położył ją z powrotem.

Tylendel popatrzył na tacę takim wzrokiem, że mogłoby się wydawać, iż widzi na niej pomyje dla świń, a nie całkiem apetycznie wyglądającą zupę. Mimo to jednak wziął do ręki łyżkę. Przełykając pierwszy haust, sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się, że ledwie coś zje, zaraz to zwróci, ale kiedy zorientował się, że nic niepokojącego się nie dzieje, ożywił się i z ochotą przełknął drugą i trzecią łyżkę.

Vanyel przysiadł ostrożnie na brzegu łóżka, bacząc, by nie stracić leżącej obok tacy. Odkąd Tyndel zbudził się ze snu, zauważał w nim coś tajemniczego, a zarazem pełnego pasji. Wyczuwał to w każdym jego słowie, wypowiedzianym od tamtej pory. Przypuszczał, że wie, co to jest, ale domysły mu nie wystarczały. Chciał mieć pewność.

— Obawiają się, że oszaleję — wyszeptał spokojnie Tyndel, opróżniwszy miskę do połowy.

— Wiem — odparł Vanyel takim samym tonem, wyczuwając, że sekret wkrótce wyjdzie na jaw. — To dlatego chcieli, żebym był przy tobie. A ty? Też myślisz, że tak może się stać?

Tylendel podniósł wzrok znad zupy, a w jego oczach czało się to niepokojące, pałające „coś”, którego istnienia Vanyel domyślał się od jakiegoś czasu.

— Oni pewnie tak sądzą. Van, musisz mi pomóc.

— Nie potrzebujesz mnie o to prosić — rzekł Vanyel rzeczowo. — Powiedz tylko, czego ci trzeba, a ja zdobędę to dla ciebie.

— Zemsty. — Płomień na dnie jego oczu rozbłysnął na chwilę i znów zamie-

nił się w ledwie tłący się ogień, ukryty przed wzrokiem obcych.

Vanyel pokiwał głową. Spodziewał się tego. Jeśli Tylendel chce się zemścić...

— Powiedz tylko słowo. Jeśli potrafię, zrobię to.

Tylendel opadł na poduszki ułożone jedna na drugiej pod jego plecami, głowę zwiesił lekko w tył i przymknął oczy. Twarz rozjaśniło mu uczucie ulgi.

— Och, na bogów, Van... myślałem...

— Jedz — warknął Vanyel. — Powiedziałem ci już, że rozumiem wszystko, nawet jeśli Savil nie aprobeuje tego. Zadaję sobie tylko jedno pytanie: jak niedorośli, nie w pełni wyszkoleni chłopcy mają wziąć odwet na ludziach znajdujących się w miejscu oddalonym o dobre dwa tygodnie drogi? Domyślam się, że masz gotową odpowiedź na to pytanie.

Tylendel otworzył oczy i z powagą skinął głową. Vanyel zobaczył jednak, że łyżka wciąż tkwi w misce, a przecież w tej chwili koncentrował się na zadaniu pilniejszym niżli odegranie się na Leszarach, czyli na postawieniu chłopca na nogi. O plan zemsty będzie się martwił dopiero wtedy, gdy Tylendel osiągnie tak dobrą formę, że będzie w stanie sam wprowadzić go w życie, i ani chwili wcześniej.

— Do diabła, Lendelu, jeśli nie będziesz jadł, nie pomogę ci!

Tylendel drgnął, podniósł się powoli i dokończył posiłek.

Vanyel wziął kubek przyjaciela, aby łyknąć wina. Jego twarz przedstawiająca wciąż dość opłakany widok, cały czas bolała go bardzo, a kiedy spojrzął na swe odbicie w lustrze, szybko odwrócił oczy. Jego wielbiciel nie mieliby nad czym wzdychać. Wyglądał, jak gdyby buzię okryła mu sina maska z ziemniakiem zamiast nosa. Cierpiał. O bogowie, jakież cierpiał katusze. Zasnąć udało mu się tylko dzięki temu, że był już całkiem, całkiem wyczerpany.

— Czy to moje dzieło? — zapytał łagodnie Tylendel, spoglądając na jego twarz i nabierając ostatnią łyżkę zupy.

Nie widząc powodu, dla którego miałby zaprzeczyć, Vanyel skinął potakująco.

— Niezupełnie byłeś sobą — powiedział, pochylając się nad łóżkiem, aby odłożyć tacę na nocny stolik.

— O bogowie... Van, tak mi przykro... — Cień dzikiej pasji znikł na moment z jego oczu, a gdy wyciągnął dłoń, by dotknąć nosa Vanyela, na mgnienie zastąpiła go głęboka troska.

— Możesz mnie dotykać gdziekolwiek chcesz, ale nie tam. Piekielnie mnie boli, ale nie zrobiłeś tego z własnej winy, w porządku? — Widząc błysk bólu w oczach Tylendela, Vanyel przysunął się bliżej, wziął go w ramiona i mocno przytulił. Po chwili, ujawszy jego dłoń w swoje ręce, powiedział: — Chciałbyś porozmawiać? Chyba teraz moja kolej na wystąpienie w roli słuchacza.

Ogień w oczach Tylendela rozblysnął na nowo, kłócąc się z uczuciem udręki, wciąż odbijającej się na jego twarzy.

— Ta więź pomiędzy Stavenem i mną... to było coś innego, niż oni myślą. W większości przypadków odległość odgrywa ogromną rolę w działaniu takiej

więzi, osłabia ją. Naszej nigdy nie osłabiła. Ale Savil myśli, że było inaczej, a ja pozwolę jej trwać w tym przekonaniu. W przeciwnym razie, kazałaby mi przerwać więź. — Jego twarz stężała, zamknął oczy. Vanyel zacisnął palce na jego dłoni.

— Zawsze wystarczyło, że pomyślałem o nim, a on zjawiał się przy mnie. I odwrotnie: ja byłem przy nim, gdy on pomyślał o mnie. Tamci... Leszarowie... zastawili na niego pułapkę. Zabili jego eskortę. Zabili jego. Ale to nie było zwykłe morderstwo, Van. Posłużyli się magią.

Vanyel poczuł, że usta mimowolnie otwierają mu się ze zdumienia.

— Co zrobili? Jak? Jak herold mógł... .

— To nie był herold. Wynajęli maga z innego królestwa. Napuścili na posiadłość jakieś... . bestie. Jakieś magiczne potwory, może z Pelagris. Staven ścigał je ze swą strażą przyboczną, ale kiedy dotarł na miejsce, stwory zniknęły. Spędził chyba cały następny dzień, próbując wytropić je na nowo, wyczerpując siły swoje, żołnierzy i koni. Wtedy właśnie magia sprowadziła bestie z powrotem, a mój brat i jego ludzie wpadli w zasadzkę. — Oczy Tylendela pałały przeraźliwie, jakby patrzył w piekło. — Te stwory, nim zabiły, poszarpały go potwornie. Zrobiły to na rozkaz swego pana. Na rozkaz Leszary. Nie potrafię opisać... .

Wzdrygnął się ze wstrętem.

— Stav przywołał mnie... . przywołał mnie drogą naszej więzi... . Van, byłem z nim. Czułem, jak umierał!

Ścisnął rękę Vanyela tak mocno, że z obydwu ich dłoni odpłynęła krew. Jego głos zadrżał.

— Wiedział, że jestem przy nim. Wiedział od momentu, kiedy odpowiedziałem na jego wołanie. Dzięki wam, bogowie, za to. Wiedział, że nie jest sam. Ale ostatnią rzeczą, o jaką mnie prosił, o jaką mnie błagał, była zemsta. — Tylendel rozwarł szeroko oczy. Nie było już w nich owego malutkiego ognika. Teraz gorzały tam płomienie wściekłości i bólu. — Przyrzekłem mu to, Van. Przyrzekłem mu. Te kanalie zabiły Stavena, ale nie ujdzie im to na sucho.

Vanyel napotkał jego pałający wzrok i spuścił oczy.

— Powiedziałem już, Lendelu — odpowiedział cicho. — Wystarczy tylko słowo.

— Och, kochany... . — Jego głos przełamał się w szloch, a podniósłszy głowę, Vanyel zobaczył łzy spływające po policzkach Tylendela. — Nie powinienem cię w to mieszać... . bogowie, nie powinienem. To nie w porządku. Przecież to nie twoja sprawa.

— Sam powiedziałeś, że jesteśmy partnerami, że będziemy się wszystkim dzielić — odrzekł Vanyel tak stanowczo, jak tylko potrafił. — Według mnie oznacza to, że będziemy dzielić to, co dobre i to, co złe. — Teraz nadeszła jego kolej, aby sięgnąć po chusteczkę z szuflady stolika nocnego i podać ją przyjacielowi. — Powiedz mi, co mam robić.

Tylendel drżącą dłonią otarł łzy.

— Nie możemy dopuścić, aby Gala dowiedziała się, co przygotowujemy. Chciałaby mnie powstrzymać. Mogę temu zaradzić i odciąć ją od wiedzy o tym. Zrobiłem to już, nie dopuszczając, aby dowiedziała się o moim kontakcie ze Stavenem. Będę... będę udawał chorego...

— Przecież jesteś chory. Spójrz tylko, jak ci się trzęsą ręce.

Tylendel, dość zaskoczony, popatrzył na drżące dłonie.

— A więc, jeszcze bardziej chorego. Zbyt chorego, żeby robić cokolwiek, poza leżeniem tutaj. Chcę tylko, abyś wślizgnął się do pokoju Savil i przyniósł mi dwie książki. To księgi zakazane. Nikt, z wyjątkiem najwyższych rangą magów heroldów, nie powinien nawet wiedzieć o ich istnieniu, a Savil jest jedną z trzech osób w Przystani, które posiadają jej kopie.

Vanyela zaczęły ogarniać złe przeczucia.

— W takim razie, czy nie znajdują się one pod kluczem?

Kąciki ust Tylendela drgnęły.

— Och, oczywiście, że tak. Savil umieściła je pod specjalnymi osłonami. Ale te osłony nie działają przeciwko komuś nie posiadającemu daru magii.

— Co? — Szczeka Vanyela znów opadła.

— Margret musi przecież wycierać kurze nawet tam, a więc Savil nałożyła na nie tylko zaklęcie chroniące je przed rękoma kogoś, kto posiada dar. Dzięki temu Margret może ich dotykać i odkładać na miejsce, gdy Savil zostawi je na wierzchu. Savil wychodzi z założenia, że człowiek nie posiadający daru nie wiedziałby nawet, czego w nich szukać. Dzięki temu ty możesz bez przeszkód po nie sięgnąć, choć dla mnie pozostają niedostępne.

— Teraz? — zapytał niepewnie.

Tylendel potrząsnął głową.

— Nie, nie byłbym... teraz nie byłbym w stanie już nic zrobić. Później... — Zduśił w gardle płacz i wyszeptał: — Och, bogowie... Staven...

Potem jego oddech znów jakby się urwał, ale tym razem Tylendel nie zdołał opanować rozpacz i wybuchnął gwałtownym szlochem. Vanyel zaś od razu porzucił myśli o zemście i zaczął z całego serca pocieszać przyjaciela.

— Będziesz musiał przewracać kartki — rzekł Tylendel, spoglądając na niepozorną, oprawną w czarną skórę księgę, leżącą na łóżku pomiędzy nimi. — Wolę ich nie dotykać.

Vanyel wzruszył ramionami i wykonał polecenie, otwierając książkę na pierwszej stronie.

Podstęp świetnie się sprawdzał. Tylendel symulował, że jest o wiele słabszy, niż był w rzeczywistości, a Savil interesowało tylko to, aby odpoczywał jak najwięcej. Nie zdradzała żadnych oznak zaniepokojenia, że jego rekonwalescencja się przeciąga. Nie sprowadziła uzdrowiciela nawet wtedy, gdy Vanyel — wypró-

bowując tylko jej reakcję — zasugerował, że stan zdrowia Tylendela nie polepsza się w zadowalającym tempie.

— Taki wstrząs to okrutnie paskudna rzecz, chłopcze — odpowiedziała wzdychając. — Mijają tygodnie, nim człowiek się z niego wyrwie, czasem nawet miesiące. Nie spodziewałam się nawet, że uda mu się wyjść z tego tak szybko i w tak dobrej kondycji. Chyba tobie zawdzięczam to wszystko.

Vanyel zarumienił się i wymamrotał jakieś słowa sprzeciwu, ale Savil potargała pieszczotliwie jego włosy i odparła, aby lepiej wracał do swego podopiecznego i nie zachowywał się jak głuptas. Ten bezpośredni gest z jej strony sprawił, że Vanyel poczuł się w jakiś sposób winny. W tej jednej chwili uświadomił sobie, że wiedząc to, co wie, i knując z TylenDEM spisek, który z pewnością by się Savil nie spodobał, nie jest wobec niej do końca uczciwy.

Ale ona na pewno i tak by tego nie zrozumiała — powtarzał sobie Vanyel po raz setny. Nie rozumiałaby tego. Zerwała swe kontakty z rodziną dawno temu, a przecież i tak nigdy nie były one zbyt zażyłe.

Od czasu do czasu żądza zemsty Tylendela przerażała trochę i jego samego, ale wmawiał sobie wtedy, że Tyndel ma prawo wziąć odwet za śmierć swego brata. Jednakże gdy po raz pierwszy nawiedziła go obawa, iż zemsta stała się obsesją jego kochanka, uznał to wytłumaczenie za niegodne — niegodne Lendela i Stavena. To nie zemsta — to sprawiedliwość, pomyślał wtedy. Z pewnością heroldowie nie poczynili żadnych starań, aby poskromić Leszarów.

Tego popołudnia Savil zaplanowała lekcję z Mardikiem i Donni w sali ćwiczeń i zagroziła, że uśmierci każdego, kto odważy się zakłócić tok zajęć. Mając w ten sposób wolne pole działania, Vanyel zakradł się do jej pokoju.

Książki — jak wyjaśnił mu Tyndel — miały leżeć w małej szafce wbudowanej w ścianę tuż obok drzwi prowadzących do osobistej sali ćwiczeń Savil. W istocie były tam. Spostrzegłszy obydwu tomy na swoim miejscu, na najwyższej półce, Vanyel poczuł dreszcz lęku. Sięgnął po nie, spodziewając się, że lada moment może paść rażony piorunem.

Nic się nie stało.

Wrócił do sypialni, gdzie czekał na niego Tyndel, siedzący już w łóżku z papierem i piórem w dłoni. Vanyel ukradkiem wślizgnął się do środka i przyciskając książki do piersi, zamknął za sobą drzwi.

Błysk dzikiej satysfakcji w oczach Tylendela na widok książek leżących na łóżku sprawił, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Jednak reakcję przyjaciela usprawiedliwił podnieceniem wywołanym sukcesem.

— Czego szukasz? — spytał z zaciekawieniem, powoli przewracając strony na znak dawany mu przez Tyndela.

— Dwóch zaklęć. Nieczęsto używamy zaklęć, ale to nie znaczy, że one nie działają — odpowiedział Tyndel jakby nieobecny myślami. — Działają, i to nawet dobrze, jeśli posługuje się nimi ktoś o tak silnym darze magii, jak mój.

Savil twierdzi, że mógłbym czerpać energię nawet ze skał... ale cóż, większość z nas nie jest do tego zdolna i dlatego nie korzystamy z zaklęć nazbyt często. Jedno z tych, których szukam to zaklęcie o nazwie „Brama”. Pozwoli nam ono przebyć odległość stąd do posiadłości Leszary w niespełna godzinę.

— Chyba żartujesz — odparł Vanyel, nie dowierzając. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Magowie heroldów wolą raczej, aby ludzie nie dowiedzieli się, że potrafią... to znaczy, że najlepsi z nich potrafią robić takie rzeczy. Savil potrafi i powiedziała kiedyś, że i mnie powinno się to udać, a także Mardikowi i Donni, pod warunkiem, że nauczą się współpracować ze sobą. Większość tych, którzy mają takie możliwości nie wykorzystuje ich w pojedynkę. To dlatego, że do posłużenia się zaklęciem mag potrzebuje bardzo dużo energii. Zaklęcie wysysa z niego całą moc, a kiedy znajdzie się na miejscu, po drugiej stronie Bramy, jest już zupełnie wyczerpany.

— A jak ty zamierzasz sobie z tym poradzić?

— Pożyczę trochę energii od ciebie... jeśli... pozwolisz... — wyjąkał Tylendel, spoglądając na Vanyela błagalnym wzrokiem.

Vanyel przybrał poważną minę.

— Co masz na myśli mówiąc „jeśli”? Oczywiście, że mogę ci jej użyczyć. Na co jeszcze mogę się przydać?

— Na bogów... *ashke, ashke*, nie zasługuję na ciebie — rzekł łagodnie Tylendel, uśmiechając się. Drżenie w jego głosie powiedziało Vanyelowi, że przyjaciel znów jest bliski płaczu.

— Jest zupełnie odwrotnie, kochany — odparł krótko Vanyel. — A któż to powstrzymał mnie od powolnego umierania? Któż to pokazał mi, czym jest szczęście? Któż to kocha mnie jak nikt inny? No powiedz.

— A kto podbił ci oczy, złamał nos i niemal zmiażdżył stopę?

— No cóż, to chyba wystarczające powody, prawda? — odciął się żartobliwie Vanyel. — Mówią, że jeśli nie ranisz, nie kochasz.

Tylendel potrząsnął głową.

— Ja... bogowie, nie pozwólcie mi znów się rozkleić. Vanyelu *ashke*, bez ciebie nigdy nie mógłbym nawet marzyć o zrealizowaniu mojego planu. Nikt inny nie pomógłby mi przy wzniesieniu Bramy... ale Van, muszę cię ostrzec, że potem będziesz się czuł bardzo kiepsko. Podobnie jak podczas mojego ataku, który odbił się też na tobie.

— Naprawdę potrafisz pożyczać energię? — przerwał mu Vanyel z powątpiewaniem. — Ja przecież nie mam żadnego daru ani nic podobnego.

— Nie masz aktywnego daru, ale posiadasz potencjał, który na razie jest zablokowany. Sam nie wiedziałbym o tym, ale odnoszę wrażenie, że jest coś między nami, coś, dzięki czemu możemy się komunikować. To „coś” sprawia, że nasze „komunikowanie” odbywa się na dużo głębszym poziomie niż między mną a Sa-

vil... czy nawet Galą. To „coś” jest bliższe więzi, jaka łączyła mnie z moim bratem. Nasza więź wprawdzie nie istnieje na poziomie świadomości, ale mimo to dzieje się tak, że... wiem, że ty wiesz, kiedy jestem...

— ...nieszczęśliwy — dokończył Vanyel, pogrążony w myślach. — To się zdarza w różnych sytuacjach. Och, wydaje mi się, że masz rację. Dotychczas byłem przekonany, że to wypływa z mojej troski o ciebie, ale teraz muszę przyznać, że to wszystko istotnie sięga dużo głębiej. Weźmy, na przykład, ostatnią noc. Przebudziłem się, ledwie zaczął się twój koszmar.

Tylendel skinął głową.

— A więc coś nas łączy i myślę, że nawiązało się to między nami, mniej więcej pomiędzy początkiem mojego ataku a chwilą, kiedy odzyskałem przytomność. Wyczuwam... coś w tobie. Coś ogromnie głębokiego, o wielkiej mocy. Gdy pomyślałem o zakłęciu Bramy, przejrzałem cię Głębokim Spojrzeniem. Już wcześniej wyczuwałem tę więź, ale dopiero wówczas zobaczyłem, że masz w sobie pewną magiczną moc, którą będę mógł wykorzystać.

— Bogowie... Lendelu, nie mów mi tylko, że zostanę magiem heroldów — powiedział, zatrwożony taką możliwością.

— Jeżeli nim jeszcze nie jesteś, to prawdopodobieństwo, że się nim staniesz, jest niewielkie — odparł Tylendel, przynosząc swymi słowami ogromną ulgę Vanyelowi. — Savil twierdzi, że wielu ludzi posiada potencjał, ale nic nigdy go nie wyzwala. Ty po prostu jesteś jedną z takich osób.

— A więc i ty nie wyzwalaj we mnie tego potencjału — rzucił Vanyel i nagle, z niewiadomego powodu, przeszył go dreszcz. — Nie chcę być heroldem czy magiem heroldów, ani nikim w tym rodzaju.

Tylendel obrzucił go zagadkowym spojrzeniem, ale powiedział tylko:

— Wątpię, abym był zdolny do zrobienia tego, nawet gdybym chciał. Krążą legendy o szkołach dla magów, gdzie znają sposoby na wyzwolenie potencjału, ale nikt nigdy nie widział, jak to się robi. A zatem, nawet jeśli to jest rzeczywiście możliwe, ludzie zajmujący się tym utrzymują to w głębokiej tajemnicy.

— To dobrze — odetchnął Vanyel, wciąż zmagając się z niepokojącym dreszczem. — O to mi właśnie chodzi. Więc... użyjesz tego zaklęcia. Co dalej?

— Gdy przedostaniemy się na drugą stronę Bramy, będziemy już na ziemiach Leszarów, a dokładnie na szczycie ich twierdzy. Skorzystam wtedy z jeszcze jednego zaklęcia, którego w tej chwili szukam i będzie po wszystkim.

Nie mając pojęcia skąd się bierze to przekonanie, Vanyel poczuł nagle, że nie chce wiedzieć, jakie jest to drugie zaklęcie.

— Dobrze — zgodził się krótko, przewracając następną kartę. — Szukaj i powiedz mi, na której stronie mam się zatrzymać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Vanyel wpatrywał się nerwowo w swe odbicie w szybie, upiorne, blade, niewyraźne niczym duch z czarnymi dziurami zamiast oczu. Za oknem ciemność okryła już ogrody. Noc była bezksiężycowa, wietrzna i zachmurzona. Nawet najmniejsze światełko nie rozjaśniało nieba, nawet jedna gwiazda.

Była to Noc Sovan. Noc uroczystego zakończenia żniw, ale także noc poświęcona wspomnieniom o tych, którzy umarli w ostatnim roku. Była to noc, podczas której — jak utrzymywało wiele podań — ludzie zbliżają się do zaświatów bardziej niż kiedykolwiek indziej. Noc głębokiej ciemności, jak ta miesiąc wcześniej, gdy zamordowano Stavena.

Savil, wspólnie z innymi heroldami, opłakiwała śmierć zmarłych na przestrzeni ostatniego roku. Dormi i Mardik, nie mając nikogo, kogo mogliby dziś wspomnieć, wraz z innymi uczniami uczestniczyli w uroczystościach organizowanych w pałacu. Uroczystości te obejmowały najróżniejsze zabawy inspirowane przesadami związanymi ze Świętem Plonów, które — przynajmniej dla młodzieży — stanowiły nieodłączną część Nocy Sovan.

Lord Evan Leszara udał się do domu, do Twierdzy Westrel. Vanyel miał już całkowitą pewność, że to jego własne opowiadania dostarczyły lordowi Evanowi wszelkich informacji, które wskazały mu najlepszy sposób na wciągnięcie Stavena w śmiertelną pułpkę. Wspólnie z Tylendelem próbowali wykorzystać Leszara, a okazało się, że sami zostali wykorzystani.

Świadomość tego napętniała Vanyela goryczą.

Ale tej nocy pozostawiono ich samych w całym apartamencie. . .

— Jesteś gotów? — zapytał Tyndel, stojąc w progu, za jego plecami.

Vanyel skinął głową i powstrzymując drżenie wywołane własnym odbiciem w szybie, naciągnął na głowę kaptur swego granatowego płaszcza. Wyglądał teraz niczym wyobrażenie samej śmierci. Tyndel stanął obok niego i w szybie pojawiły się odbicia dwóch postaci: śmierci i jej cienia.

Vanyel potrząsnął głową, by pozbyć się złowieszczych myśli, a kiedy Tyndel otworzył drzwi, obydwaj stanęli pośród chłodnej, nieprzeniknionej nocy.

Dzisiejszego ranka Vanyel wymknął się do Przystani i od pierwszego lepszego handlarza kupił parę koni nieokreślonej maści, wydając na ten cel większość

pieniędzy uzbieranych wspólnie z Tylendelem w ciągu ostatnich trzech tygodni. Zaprowadził konie na zachodni skraj miasta i pozostawił pod opieką stajennego w zajeździe poza murami.

Wykonał w ten sposób zalecenia Tylendela, który powiedział mu, że nim użyje zaklęcia, które błyskawicznie przeniesie ich na teren twierdzy Leszarów, muszą znaleźć się poza zasięgiem zmysłów magów heroldów. Potrzebowali też jakiegoś środka transportu, przy czym kondycja wierzchowców nie odgrywała żadnej roli. Wystarczyło, aby miały dość sił, by odbyć godzinną przejażdżkę za bramy miasta. Co się z nimi stanie później, nie miało większego znaczenia.

Oczywiście zabranie Gali nie wchodziło w rachubę. Nie wzięli też Gwiazdy ani nie próbowali „pożyczyć” żadnego innego przyzwoitego wierzchowca ze stajni pałacowych.

Istniało niebezpieczeństwo, że zniknięcie koni zostanie zauważone, a Tylendel nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń, które mogłyby doprowadzić do udaremnienia ich planu. Dlatego też Vanyel bez zastrzeżeń zastosował się do jego poleceń. Jeśli nie mogą przeprowadzić swych koni przez Bramę — a Tylendel dał Vanyelowi do zrozumienia, że nie będą w stanie, bądź też nie będą próbować nawet tego robić — trzeba będzie puścić je wolno i zatroszczyć się o samych siebie. Vanyel zaś nie życzył sobie być odpowiedzialnym za zaginięcie czyjegokolwiek ulubionego wierzchowca tak samo, jak nie chciał utracić swojej Gwiazdy.

Lodowaty wiatr podrywał płaszcze, wciskając się pod nie wszelkimi otworami i przeszywając grubą wełnianą tkaninę. Nim jeszcze prześlizgnęli się obok straży przy bramie pałacu i pomknęli na ulice miasta, Vanyel już drżał na całym ciele. Przy bramie strażnik zajęty był ogrzewaniem się przy koszach z rozpalonym koksem, i zdawało się, że nie zauważył nawet, kiedy cienie obu chłopców przemknęły przez mrok bramy i podążyły ku wybrukowanej ulicy.

Teraz znajdowali się w najzamożniejszej dzielnicy miasta. Zdawało im się, że wysokie budynki po obu stronach ulicy ustawiono tylko po to, aby utworzonym przez nie korytarzem wiatr mógł dać prosto na nich. Tylendel, nie będąc jeszcze w pełni sił, uchwycił się ramienia Vanyela i wtulił się w niego. Vanyelem wciąż wstrząsał dreszcz, częściowo wywołany chłodem, lecz — sądząc z blasku oczu chłopca połyskujących w cieniu kaptura — częściowo także podnieceniem.

W większości rezydencji, należących do bogatych i wysoko urodzonych obywateli, światła były dziś wygaszone. Ich mieszkańcy uczestniczyli w obrzędach w świątyni bądź też w uroczystościach zorganizowanych w pałacu z okazji Święta Plonów. Vanyel nie otrzymał zaproszenia na jego obchody i choć daleki był od rozczarowania, nie bardzo wiedział, dlaczego tak się stało. Wyraźny zwrot w jego stosunkach z Tylendelem zdezorientował nie tylko jego własny krąg wielbicieli, lecz także pozostałych uczniów i heroldów. W dodatku nikomu nie spieszyło się, aby rozwiązać ich wątpliwości. Savil uważała bowiem, że utrzymując w nieświadomości plotkarzy, można zapobiec dotarciu prawdy do Withena i w ten sposób

zyskać na czasie.

Przy założeniu, że lord Evan — dla własnej przyjemności dokuczenia Tylen-delowi i jego kochankowi — już nie doniósł Withenowi o romansie jego syna, w istocie taki stan rzeczy wydawał się szalenie korzystny.

Vanyel pomyślał przez chwilę o zabawie, która właśnie, bez jego udziału, odbywa się w pałacu. Prawdopodobnie ludzie odpowiedzialni za uroczystości doszli do wniosku, że będzie wolał towarzyszyć Tylen-delowi, szczególnie w taką noc. Możliwe było też, że obwiniano go za stan zdrowia Tylen-dela i nie przysyłając mu zaproszenia, wymierzano mu karę za jakieś domniemane złe postęпки. Mardik opowiadał nawet o kilku historyjkach krążących na dworze, które potwierdzałyby takie przypuszczenie.

Bez względu jednak na powody, dla których stało się tak, a nie inaczej, trudno byłoby wymarzyć sobie dogodniejszą okazję do wymknięcia się z pałacu nie zauważonym.

Minęli róg ulicy i typ zabudowań się zmienił. Domy były mniejsze, bardziej stłoczone i nie odgrudzone od ulicy murami. Tu okna także pozostawały dziś ciemne, ale w niektórych z nich — zgodnie ze zwyczajem związanym z Nocą Sovan — zapalono świece. Tylko dzięki blaskowi tych świec chłopcy zdołali roz-znać się w ciemności i odnaleźć właściwą drogę, gdyż latarnie oświetlające zwykle ulice dawno już wygasły.

Od paru dni, a właściwie od dnia, kiedy Vanyel wykradł książki Savil, Tylen-del zaczął stopniowo zamykać się w sobie, a jego zachowanie stawało się coraz dziwniejsze. Czasem Vanyel budząc się w środku nocy, zastawał Tylen-dela siedzą-cego w fotelu i wpatrującego się rozgorączkowanym wzrokiem w spisana ręcznie kopię zaklęć. W dzień natomiast często można było zobaczyć, jak godzinami pa-trzy przed siebie nie widzącym wzrokiem albo wbija go w płomień świecy. Gdy się do niego mówiło, odpowiadał monosylabami. Jedynie w tych krótkich chwila-ch, gdy Vanyel wyrwał go w nocy z koszmaru, Tylen-del reagował normalnie, po staremu. Płakał przez chwilę na ramieniu Vanyela, a potem obydwaj rozmawiali tak długo, aż zmorzył ich sen. Wówczas mówił jak prawdziwy Tylen-del, bez obawy dzieląc smutki i niepokoje ze swym ukochanym. Lecz gdy nadchodził dzień, Tylen-del powracał do swej skorupy, której żadne słowa Vanyela i żadne jego uczynki nie zdołały skruszyć.

Vanyel stopniowo utwierdzał się w przekonaniu, że Tylen-del nie odzyska już swego dawnego „ja”, przynajmniej do momentu, gdy zostanie wymierzona ze-msta. Sprawilo to, że Vanyel zaczął oczekiwać nadejścia tej chwili z niecierpli-wością taką samą, z jaką gotował się do tego wydarzenia jego kochanek.

Przez całą drogę nie napotkali ani jednego człowieka. Dopiero gdy dotarli do dzielnicy sklepów i zajazdów, ujrzeli na ulicy dwie sylwetki ludzkie, a była to tylko nocna straż. Dwaj mężczyźni ledwie omietli ich obojętnymi spojrzeniami. Vanyel i Tylen-del nie byli oczywiście uzbrojeni, jeśli nie liczyć noży. Poza tym

nosili zbyt bogate stroje, aby strażnicy mogli ich wziąć za chuliganów, a byli za mało atletyczni jak na młodych arystokratów szukających sposobu, jak napytać sobie biedy. Obydwaj strażnicy skłonili się niemal równocześnie, krótko i z powagą, a gdy światło latarni strażnika idącego z prawej strony padło na nich, Vanyel i Tylendel odpowiedzieli skinieniem głowy. Usatysfakcjonowani tym, co zobaczyli, strażnicy poszli dalej, a chłopcy podążyli w swoją stronę, stukając obcasami na kocich łbach ulicy.

Dalej ciągnęły się już budynki jedno- i dwupiętrowe i nic nie przeszkadzało wiatrowi wyć i szaleć między nimi. Im bliżej było do zachodnich bram Przystani, tym bardziej jakość i stan budynków — w większości sklepików, karczem, domów czynszowych i warsztatów — pogarszały się.

Choć tej nocy straż przy wielkiej bramie miasta Przystani nie ustawiła się w miejscu widocznym, w ścianie znajdował się punkt widokowy i gdy przemysłali się przez bramę, Vanyelowi zdawało się, że czuje oczy strażnika na swych plecach. W rzeczywistości jednak straż nie zainteresowała się dwoma młodzieńcami, którzy spokojnie przeszli pod ścianą, bardziej niż nocni strażnicy w mieście.

Zajazd pod Czerwonym Nosem był jasno oświetlony i dobiegały z niego głosy co chwila wybuchających śmiechem hulaków. Nawet pośród wycia wiatru przebijają się ich niewprawne śpiewy i prostacki śmiech, które Vanyel posłyszał, gdy mijali drzwi prowadzące do wnętrza budynku. Dym i światło sączyły się przez drzwi, a kiedy chłopcy znaleźli się na ich wysokości, owiał ich dym, jakiś cuchnący swąd, od którego zakrztusili się kaszlem, a ich oczy zaszyły łzami. Trwało to na szczęście tylko moment, bo zaraz podmuch czystego powietrza zdjął nieprzyjemny odór z ich twarzy. Przeszli obojętnie obok uchylonych drzwi i skierowali się na podwórze, ku stajni.

Pełnił tam akurat służbę jeden na wpół pijany stajenny, rozwalony na snopkach siana przy wejściu do stajni, oświetlonym ledwie tłacą się latarnią. Chrapał z głową zwieszoną na piersi, wydając woń, która nawet przy silnym przecieź wietrze, była tak intensywna, jak gdyby śpiący wylał właśnie z beczki kiepskiego piwa. Tylendel czekał w mroku, poza zasięgiem światła padającego od latami zawieszanej od zawietrznej strony drzwi stajni, gdy tymczasem Vanyel zabrał się do budzenia stajennego. Tak długo potrząsał go za ramię, aż ten wreszcie otworzył oczy.

— Co tam? — zamruczał, bezskutecznie próbując z ocienionej kapturem twarzy Vanyela odczytać jakieś rysy. Jego oddech był równie obrzydliwy jak odzienie, oblicze plugawe i nie ogolone, a koło uszu wisiały cienkie, tłuste strąki włosów. — Czego chcesz? Gdzie twoje kobyły?

— Są już tutaj — odpowiedział Vanyel tonem tak dojrzałym, szorstkim i gburowatym, na jaki tylko potrafił się zdobyć. — Masz... — Podstawił stajennemu pod nos kwity i dwie srebrne monety. Mężczyzna przez moment gapił się na nie, mrugając ze zdumienia, jakby nie potrafił odróżnić kwitów od monet. W końcu,

doznawszy nagłego olśnienia, wyszczerzył na wpół zgniłe zęby i pokiwał głową.

— Mamy dość świętowania, co, panie? Proszę tu poczekać. — Wsunął kwity wraz z pieniędzmi do kieszeni z przodu poplamionego, zatłuszczonego skórzanego fartucha, dźwignął się ze swego barłogu na snopku siana i pokuśtykał do środka. Wrócił dużo wcześniej, niż Vanyel się tego spodziewał, prowadząc parę marnych, gniadych wałachów nieokreślonej rasy. Konie były już osiodłane, miały też założoną połatana i zużyta uprząż. Vanyel skrzywił się, ujrawszy je w przydymionym świetle i próbował rozpoznać, czy są to te same konie, które przyprowadził tu dzisiejszego ranka. Po chwili jednak uzmysłowił sobie, że i tak nie ma to większego znaczenia. Nie chodziło przecież o to, że konie, które kupił, były jakimiś okazami godnymi nagród. Właściwie jeżeli nawet teraz nie dostanie tych samych, to i tak jest mało prawdopodobne, aby jakieś inne zwierzęta z tej stajni mogły się okazać choć odrobinę lepsze!

Bez słowa przejął wodze od stajennego, odwrócił się i poprowadził konie przez zaśmiecone podwórze do miejsca, gdzie czekał na niego Tylendel, przytulony do ściany budynku, bezskutecznie usiłujący schronić się przed przeszywającym wiatrem. Gdy Vanyel obejrzał się przez ramię, zobaczył, że stajenny zdążył już położyć się na swym snopku siana i na powrót zapaść w drzemkę.

Vanyel podał Tylendelowi wodze lepszego z dwóch wierzchowców i wdrapał się na siodło swojego. Cętkowany wałach wierzgał, próbując uniknąć przyjęcia jeźdźca, i bryknął lekko, gdy tylko Vanyel zajął miejsce w siodle. Vanyel zacisnął dłoń w pięść i dał mu lekkiego kuksańca pomiędzy uszy. Koń wierzgnął, usiłując go zrzucić, ale po chwili się uspokoił.

Siodło miało pęknięcie na grzbiecie, a zwierzę pochylało się dziwnie do tyłu. Vanyel jeszcze nigdy nie spotkał konia o tak nierównym chodzie. Gdy Tylendel, wysunąwszy się do przodu, skierował się na zachód, w stronę Drogi Wygnańców, Vanyel pocieszał się nadzieją, że ich podróż nie będzie trwała zbyt długo.

Wiatr ucichł, przynajmniej chwilowo, gdy Tylendel w końcu ściągnął wodze. Było tak ciemno, że tylko nagłe ustanie tętentu kopyt na twardym trakcie powiedziało Vanyelowi, że Tylendel się zatrzymał. Wybrali właśnie tę drogę, Drogę Wygnańców, ponieważ była ona po obu stronach obsadzona żywopłotem, który gwarantował, że ich konie nie zboczą z traktu. Vanyel popędzał swego konia tak długo, jak tylko czuł obecność Tylendela i jego konia u swego boku.

Nagle błysnęło jakieś światło. Vanyel odwrócił oczy, porażony jego blaskiem. Kiedy był już gotów, aby znów na nie spojrzeć, zauważył, że Tylendel zsiadł z konia i prowadzi go za cugle, a nad jego głową unosi się kula magicznego światelka.

Teraz i Vanyel zsunął się ze swego wierzchowca, szczęśliwy, że może wyskoczyć z siodła, gdyż siedzenie w nim stawało się już nie do zniesienia. Przerzucił cugle przez głowę konia i przyspieszył, aby zrównać się z Tylendelem.

— Czy oddaliliśmy się już wystarczająco? — zapytał i z utęsknieniem wyczekiwał choć jednego słowa odpowiedzi, które przełamałoby narastające napięcie i ciszę. Twarz Tylendela wydłużyła się i ściągnęła, przypominała twarz szaleńca. Najwyraźniej jego myśli krążyły gdzie indziej. Cała jego postać pogrążona była w jakiejś przerażającej koncentracji, jakże typowej dla niego ostatnimi czasy.

— Prawie — odparł po długotrwałej, deprymującej ciszy. W jego głosie pobrzmiwała osobliwa nuta, jak gdyby za każdym razem, gdy koncentrował na czymś całą swą uwagę, wypowiedzenie każdego słowa kosztowało go wiele wysiłku. — Szukam... czegoś...

Vanyel zadrżał, bynajmniej nie z zimna.

— Czego?

— Miejsca, gdzie wzniosę Bramę. — Zbliżyli się do przerwy w żywopłocie. Nie... nie przerwy. Gdy Tylendel zatrzymał się i przeprowadził przez nią konia, Vanyel zauważył, że były to pozostałości furty umieszczonej w płocie, lecz dawno już zarośniętej. Poza tą przerwą w bladym świetle magicznej lampki widać było jakiś spory kształt. Tylendel skinął lekko.

— Wiedziałem, że zapamiętałem to miejsce — wymamrotał. Nie wydawało się, aby oczekiwał odpowiedzi, a więc Vanyel się nie odezwał.

To, że konie nie precisną się przez tak wąskie przejście, było rzeczą oczywistą. Tylendel zdjął uzdę swego konia, zawiesił ją na łuku siodła i wymierzył zwierzęciu potężnego klapsa w udo. Wałach zrazu zareagował zaskoczonym rzeniem, ale zaraz potem puścił się cwałem w głąb ciemności. Vanyel postąpił tak samo ze swoim koniem, puszczając go wolno bez żalu, i odwrócił się ku Tylendelowi, który, jak się okazało, przeszedł już na drugą stronę wyrwy w żywopłocie i zniknął z pola widzenia. Tylko czerwonawe błyski magicznego światełka pomiędzy bezlistnymi gałązkami krzewów pozwalały zorientować się, dokąd poszedł.

Vanyel precisnął się między konarami, przeklinając, gdy zaczepiły się o jego płaszcz i zadrapały mu twarz. Gdy wydostał się wreszcie z kłującego uścisku zawziętych krzaków, zorientował się, że stoi po kolana w zaroślach chwastów, na czymś, co było kiedyś podwórkiem małego budynku. Mógł to być sklepik albo dom mieszkalny, ale teraz chylił się ku upadkowi, a podwórko było tak zarośnięte jak sama furka. Budynek zdawał się nie mieć już dachu, a po oknach i drzwiach pozostały jedynie puste otwory. Tylendel z uwagą badał stan szczątek drzwi.

Wyrwa pozostała po drzwiach była dość duża, na tyle nawet, że z łatwością przeszedłby przez nią jeździec na koniu. Tylendel znowu pokiwał głową, lecz tym razem na jego twarz wypłynął wyraz srogiej satysfakcji.

— To wystarczy — powiedział spokojnie. — Van, myślisz, że jesteś gotów?

Vanyel wziął głęboki oddech i spróbował rozluźnić się choć trochę.

— Tak gotów, jak tylko to możliwe — odpowiedział.

Tylendel zwrócił się ku niemu, ujął obie jego dłonie w swe ręce i na długą chwilę wbił badawczy wzrok w jego oczy.

— Van, aby wszystko się powiodło, muszę uaktywnić całą moc łączącej nas więzi. Mogę cię skrzywdzić. Będę się starał nie zrobić tego, ale nie potrafię nic obiecać. Czy nadal chcesz mi pomóc?

Vanyel skinął, myśląc: Zabrnąłem tak daleko. Byłoby głupotą wycofać się na tym etapie. Poza tym... on potrzebuje mojej pomocy. Jakże mógłbym mu jej odmówić?

Tylendel zamknął oczy, jego twarz zastygła w masce takiej obojętności, jakiej nawet Vanyel nigdy nie zdołał przybrać. Vanyel, drżąc z lekka, czekał, aż coś się stanie.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wtem...

Nagle zawrzała w nim niepoohamowana wściekłość, obsesyjny gniew, który nie pozostawiał już wiele miejsca na inne uczucia. Liczyła się tylko jedna rzecz: Staven nie żyje. Przyświecał mu tylko jeden cel: zadać równie okrutną śmierć mordercom Stavena. Pozostał jednak jeden maleńki skrawek umysłu, który zachował zdolność samodzielnego myślenia, który w tej chwili zadrżał przed przytłaczającą potęgą furii Tylendela. Ale ten zakamarek umysłu Vanyela nie był teraz zdolny do podejmowania jakichkolwiek decyzji.

Przypomniało mu się banalne powiedzenie: „Ból podzielony na dwoje, to połowa bólu”. Ale ten ból dzielony między nich dwóch podwajał swą moc.

Bez jakiegokolwiek świadomej decyzji, odwrócił się twarzą ku starym drzwiom. Tylendel zrobił to w tej samej chwili. Wtedy Vanyel zobaczył, jak Tylendel, wyrzuciwszy ramiona w górę, rozsypuje na ziemi przed drzwiami dwie garści jakiegoś proszku, aby zaraz potem rozpocząć monotony śpiew w jakimś nieznanym języku. Wreszcie nieruchomieje z rozwartymi dłońmi skierowanymi w pustą wyrwę.

Vanyel poczuł, że coś umyka z niego, wycieka jak krew sącząca się z rany. Wiedział, że razem z tym odpływają wszystkie jego siły.

Ościeża rozpadającego się otworu drzwi poczęły płonąć blaskiem, tym samym ponurym, czerwonym blaskiem co magiczne światełko nad głową Tylendela, niczym bryła rozżarzonego węgla. Zdawało się, że krawędzie drzwi gorzeją. W miarę jak Vanyelowi ubywało sił i energii, rozpalone ościeża pały coraz to jaśniejszym blaskiem, aż gniewne jęczyczki szkarłatnych ogni jeły pełgać do resztek muru i sięgać w głąb zionącego pustką otworu. Powstawało ich wciąż więcej i więcej, wydawały się niczym wodne rośliny unoszone prądem. Wreszcie osiągnęły taką długość, że ich końce się połączyły.

Wezbrała w nim potężna fala odpływającej mocy, tak silna, że z trudem utrzymał się na nogach. W tej samej chwili cała wyrwa po drzwiach wypełniła się jednym wielkim, krwistym płomieniem...

Po sekundzie płomień zniknął... a ościeża nie okalały już czarnej pustki, lecz ogród — udekorowany ogród przygotowany do święta, wypełniony ludźmi, światłem i ruchem.

Ledwie zdążył ogarnąć wszystko wzrokiem, Tylendel chwycił go za ramię i, potykającego się, pociągnął za sobą, na drugą stronę przejścia. Na moment Vanyel zupełnie stracił rozeznanie w rzeczywistości, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg, a potem. . .

Głosi: śmiech, muzyka, okrzyki. Stał u boku Tylendela, zwrócony twarzą do ogrodu, który oglądał przed chwilą przez rozpadające się odrzwia. Za ogrodem wznosił się obcy zamek. Między konarami drzew odgradzających ich od zgromadzonych w ogrodzie ludzi, migotały wesołe ognie latarni. Nieco dalej, z boku, widać było stoły zastawione jadłem i lampkami. Bliżej drzew znajdowała się platforma, na której ustawili się odziani w błazeńskie stroje muzycy, swym zapałem do gry nadrabiający niedostatki umiejętności. Przed platformą, śmiejąc się i przyspiewując sobie do muzyki, tańczyła w kółku grupka ludzi.

Nogi Vanyela odmawiały mu posłuszeństwa. Ledwie Tylendel puścił jego ramię, kolana ugięły się pod nim i Vanyel natychmiast poczuł, że klęczy na ziemi. Kompletnie opadł z sił, ogarnęły go mdłości i świat zawirował mu przed oczami. Tylendel nie zwrócił na to uwagi. Całą uwagę koncentrował właśnie na tańczących.

— Świętują — wyszeptał Tylendel, a gniew, który wyraźnie i Vanyel teraz dzielił, wezbrał nagle niczym potężna fala.

Staven nie żyje, a oni świętują!

W malutkim, wolnym jeszcze od obsesji zakamarku umysłu Vanyela zaświtała myśl, że jest to przecież tylko -więto Plonów, nie różniące się od innych takich świąt, że Leszarowie nie urządzili wcale uczty z powodu śmierci Stavena. Ale ten głos rozsądku był zbyt słaby, aby przebić się przez grzmiącą piorunami wściekłość Tylendela. Nagle atak zawrotów głowy przysłonił mu oczy czerwoną mgiełką, a w uszach zabrzmiało walące jak młotem serce.

Gdy jego oczy odzyskały ostrość widzenia, zobaczył, że Tylendel odstąpiwszy od niego, stał teraz między nim a szpalerem drzew, z rękami uniesionymi wysoko ponad głowę. Jego dłonie ciskały takie same cynobrowe błyskawice, jakie miesiąc wcześniej smagały laszek sosnowy. Tym jednak razem błyski były dokładnie kontrolowane i skierowane na jeden cel. Przecinając ogród po przekątnej, w chwili krótszej niż mgnienie oka obróciły w pył kępkę drzew, razem ze zgromadzoną tam grupką krewnych Leszary.

Jak grzmot wybuchły przerażone wrzaski, muzyka urwała się ostatnim brzdękiem strun i skrzekiem trąbek. Tancerze zbili się w grupki po dwie lub trzy osoby i zamarli w bezruchu. Magiczne światełko Tylendela nad jego głowę płonęło jak kula słońca, jego twarz szaleńca pałała nienawiścią. Łzy spływały mu po policzkach, gdy wrzasnął załamującym się głosem:

— O, wy podłe kanalie, on nie żyje! On nie żyje, a wy się śmiejecie, śpiewacie! Niech was piekło pochłonie, nauczę was innej piosenki! Chcecie magii? Proszę, oto coś specjalnie dla was. . .

Vanyel nie był w stanie wykonać żadnego ruchu, zdawało mu się, że jest przywiązany do znajdującej się za jego plecami, wciąż rozpalonej jasnym blaskiem Bramy. Mógł tylko patrzeć w odrętwieniu na Tylendela, który ponownie wyrzucił w górę ramiona. Tym razem jednak nie błyskawice wystrzeliły z jego dłoni. Przy wtórze piorunu nad jego głową zawisła wirująca z wolna, świetlista, żółtawa kula wielkości, mniej więcej, melona. Z każdym obrotem kula rosła i oddalając się od Tylendela, przemieszczała się w kierunku ciasno zbitych członków rodu Leszarów. W miarę jak zmniejszała się odległość między nią a tłumkiem ludzi, kula obniżała się, aż wreszcie zbliżyła się do ziemi w samym środku wypalonego placu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stały drzewa.

Tam osiadła, wciąż nie przestając wirować i pęcznieć, aż w końcu osiągnęła wielkość dwa razy większą od człowieka.

Wtedy ni stąd, ni zowąd rozerwała się.

Po raz wtóry załała Vanyela fala oszołomienia. Mrugał powiekami, ale jego wzrok wciąż nie mógł nabrać ostrości. W miejscu, gdzie spoczywała wcześniej kula, unosiła się masa kłębiących się i splatających cieni, płynnych jak atrament, wijących się niczym węże kształtów, które zdawały się być równocześnie zwidą i rzeczywistym tworem.

Nagle poszczególne cienie poczęły się oddzielać, tworząc pięć wykręcających się na wszystkie strony sylwetek. Te nabierały konkretnych kształtów. . .

Gdyby jakiś szalony bóg skrzyżował żmiję i psa gończego, a powstałe w wyniku tej krzyżówki zwierzę wypaść do rozmiarów cielaka, owoc tych wszystkich starań miałby wygląd zbliżony do tych pięciu stworzeń, których gibkie ciała splatały się teraz i opływały w blasku magicznego światełka Tylendela. Ich czarna skóra sprawiała wrażenie pokrytej raczej haską niżli sierścią. Miały długie szyje i powstałe jakby z połączenia głowy węża i charta łby, niczym groty strzał, o żółtych, odrażających oczach, połyskujących takim samym różnobarwnym blaskiem jak ognista kula, która je zrodziła. Z ich pysków wystawały zaostrome jak igły, długie na palec kły. Całe ich ciała przypominały budowę charty, ale nogi i ogony tych stworów robiły wrażenie nienaturalnie napiętych i giętkich, jak gdyby pozbawione były kości.

Spoglądały na Tylendela nieruchomymi, pomarańczowymi oczami, zdając się oczekiwać czegoś.

Tylendel drżącym głosem, załamującym się przy ostatniej, najgłośniejszej sylabie, wypowiedział tylko jedno słowo, a cała sfera, z pyskami rozdziawionymi w piekielnej parodii głupkowatych pieskich min, w jednej sekundzie zwróciła się ku skulonym ze strachu krewnym Leszarów.

Ale nim bestie zdążyły postąpić choć krok ku swym ofiarom, za plecami Vanyela rozległo się przesywające, pełne protestu rżenie.

Przez Bramę przeskoczyła Gala. Minęła Vanyela, pognała w stronę Tylendela, lecz i jego ominęła, ignorując zupełnie jego obecność.

Z jej gardła wyrwał się wrzask, przepełniony wściekłością i walecznością, jakiej Vanyel nigdy nie spodziewał się odnaleźć w rzeniu konia. Wreszcie ryjąc kopytami ziemię, zatrzymała się pomiędzy Tylendelem a przywołanymi przez niego bestiami. Podobnie jak podczas ataku Tylendela, bił od niej blask, a jej czysta, białobłękitna poświata wabiła oko z równą siłą, jak żółte błyski oczu bestii odpychały. Gala zaś, odwróciwszy się do Tylendela zadem, nadal nie zwracała na niego uwagi. Wierzgnęła, unosząc się na tylnych nogach, wyprężyła się do pełnej wysokości i wymachując w powietrzu przednimi kopytami, rzuciła wyzwanie pięciu stojącym przed nią stworom.

Te w jednej chwili, nim kopyta Gali opadły na ziemię, obróciły się w miejscu, stając z nią oko w oko. Wokół słychać było tylko ich ciche, wściekłe warczenie. Gala, tupnąwszy o ziemię, wyszczerzyła ku nim zęby, zachęcając je do podjęcia walki.

— Galo! — wrzasnął z bólem Tylendel. Głos znów mu się załamał. — Galo! Nie rób tego!

Ona obróciła głowę, na tyle, aby móc zajrzeć mu głęboko w oczy, a Vanyel usłyszał jej odpowiedź, przesłaną myślą, która osiągnąwszy Tylendela, zagrzmiała w jego umyśle niczym piorun i rozplątała serce i duszę.

— *Nie znam cię* — rzekła chłodno jak do nieznanego. — *Nie jesteś moim Wybranym.*

Wraz z tymi słowami urwała się łącząca ich więź. Vanyel czuł teraz pustkę, jaką po sobie pozostawiła. Wciąż przecież dzielił wszystkie emocje rodzące się w sercu Tylendela.

Zajadła wściekłość Tylendela nagle rozpierzchnęła się.

A kiedy zniknęła więź, zastąpił ją tylko piekący żal.

Vanyel rozpaczwał w udreće, dzieląc tragedię Tylendela, jego mękę i boleść, gdy na wołanie za Galą nie odpowiadało mu nawet echo. Tam, gdzie kiedyś była czułość, miłość i wsparcie, teraz nie pozostało nic, nawet cień tych uczuć.

Teraz wszystko, co łączyło Vanyela z Tylendelem, zalała fala rozdzierającego żalu, a oczy Vanyela przysłoniła czarna mgła.

Vanyel usłyszał, że Tylendel wykrzykuje imię Gali. Chcąc widzieć, co się dzieje, zmusił swe oczy do odzyskania ostrości widzenia.

I zdjęła go trwoga. Gala, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, rzuciła się na pięć diabelskich bestii.

Te otoczyły ją ze wszystkich stron swymi czarnymi cielskami, podkreślając blask bijący od niej. Vanyel usłyszał znów jej krzyk, tym razem wywołany bólem. Na białą sierść Gali trysnął jaskrawy potok krwi.

Vanyel próbował zerwać się na równe nogi, ale wciąż brakowało mu sił. Nagle w uszach mu zahuczało i padł nieprzytomny.

Nie czuł już nawet, co się z nim dzieje, i tylko wrzask Tylendela, pełen żalu i rozpaczony, wyrwał go z letargu i zmusił do walki z niemocą.

Leżał wyciągnięty na lodowatej ziemi. Po chwili jednak, mimo zawrotów głowy, udało mu się usiąść i rozejrzeć za Galą. . .

Ale nie było już Towarzysza i nie toczyła się już żadna walka. Pozostało tylko okaleczone martwe ciało z rozplatanym gardłem, poszarpane i splugawione, Z szafirowych oczu Gali uszedł blask. U jej boku klęczał Tylendel, ze szlochom pieszcząc jej roztrzaskaną głowę.

Obok leżał jeden z pięciu potworów. Z jego głowy pozostała tylko bezkształtna miazga. Inne krążyły wokół ciała Towarzysza niczym sępy nad padliną. Zdawało się, że czekają, aż Gała ponownie powstanie. Wtedy znów mogłyby przypuścić atak. Dwa z nich kulały na trzech nogach, ale dwa jeszcze nie doznały żadnych ran. Zważywszy na to, co w ciągu paru chwil zdołały uczynić z Galą, nie było wątpliwości, że nadal są w stanie w mgnieniu oka rozszarpać wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci rodu Leszarów.

W końcu przestały krążyć nad Galą i zwróciły swe ohydne pyski ku przerażonym uczestnikom zabawy. Tylendel nie interesował ich już bardziej niż martwe ciało Gali.

Z tłumu wyskoczył jakiś człowiek. Vanyel z miejsca rozpoznał w nim lorda Evana. Z jego zachowania trudno było wywnioskować, czy miał zamiar rzucić się na bestie, czy tylko ratować się ucieczką. Właściwie i tak nie miało to większego znaczenia, bo jeden z dwóch nie ranionych jeszcze potworów skoczył przez pusty plac i porwał mężczyznę. Nim ten zdążył wydać choćby jęk, leżał martwy z rozprutym brzuchem.

Jakaś kobieta podniosła krzyk — był to ostateczny sygnał zachęcający do jatki. Nie zwlekając dłużej, dzikie bestie zbite w jedno ciało, zaczęły posuwać się ku swym ofiarom. . .

Tymczasem ni stąd, ni zowąd, za plecami Vanyela rozbłysła potężna błyskawica. Jej zygzak przeszył powietrze, sięgając przywódcę sfory i rozprysł się iskrami, wypalając ziemię przed samym jego pyskiem.

Zza Bramy dobiegł tętent koni. Vanyel, oślepiiony chwilowo światłem i następnym przypiływem słabości, znów osunął się na ziemię.

Gdy jego oczy odzyskały zdolność widzenia, trzech odziani w Biel heroldowie i ich Towarzysze otaczali kręgiem diabelskie bestie i miotając garście błyskawic z wyrzuconych w górę dłoni, usiłowali zagrozić stworom drogę ku ich ofiarom.

Nim rozgorzała walka, Vanyelowi z ledwością udało się rozpoznać dwóch spośród trzech heroldów. Byli to Savil i Jaysen.

Vanyel zorientował się, że po raz kolejny traci przytomność. Miał wrażenie, jakby coś wydzierało mu duszę. Próbował zatrzymać opuszczającą go świadomość, choć zdawało mu się, że nie ma już z czym walczyć. Wściekłość i rozpacz rozplynęły się, pozostawiając w sercu wyrwę, próżnię, która samą swą obecnością zadawała mu ból.

Nagle poczuł nikły przypiływ energii, słabiutki, lecz wystarczający, by zdjąć

z oczu czarną mgłą, powstrzymać zawroty głowy i odzyskać kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Ale może lepiej byłoby nie wiedzieć, co dzieje się wokół.

Najpierw jego wzrok padł na Tylendela, który wciąż klęczał, choć już dawno przestał szlochać. Błady jak śmierć, pustymi oczami wpatrywał się teraz w swe zbroczone krwią ręce, W miejscu, gdzie stało przedtem pięć bestii, teraz nie było nic, tylko poszarpane ciało Gali i wypalona, rozryta ziemia.

Savil zdejmowała właśnie rękę z jego ramienia. Jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz.

Savil odwróciła uwagę od Tylendela, który osunąwszy się na ziemię obok niej, popadł w jakiś rodzaj żalosego transu. Ponownie skierowała wzrok na Vanyela, przysłuchując się temu, co chłopiec opowiadał dwóm pozostałym heroldom.

— ...i wtedy powiedziała: „Nie znam cię, nie jesteś moim Wybranym” — szeptał chłopiec. W jego otępiałych oczach odbijało się wycieńczenie, głos stracił barwę. — I odwróciła się od niego, po prostu odwróciła się i rzuciła się na te bestie.

— Dając nam w ten sposób czas na przybycie tutaj — mruknął pod nosem Jaysen głosem, który zdradzał udrękę, do jakiej nigdy by się nie przyznał. — O bogowie, dzielne biedaczysko. Gdyby nie zatrzymała ich przez tych parę chwil, zastalibyśmy tutaj tylko stertę trupów.

— Wyparła się go — powiedział Lansir, Osobisty Królowej, takim tonem, jak gdyby wciąż temu nie dowierzał. — Wyparła się go, a potem...

— Popełniła samobójstwo — dokończyła matowym głosem Savil, choć jej serce dławiała rozpacz. Cierpiała za Tylendela, za utraconą Galę, za wszystko, co powinna była dostrzec już dawno, a przeoczyła.

— Bogowie, ona popełniła samobójstwo. Wiedziała, musiała wiedzieć, że żaden Towarzysz nie jest w stanie wyjść cało z walki z wyrsami.

Tylendel siedział nieruchomo, tak jak zostawili go przed chwilą. W milczeniu, nie widzącymi oczami, w których odbijało się całe piekło, patrzył w nicość. Samorodne magiczne światełka, zawieszane nad jego głową, bezlitośnie rzucały blask na wszystko dookoła.

Jaysen przez długą chwilę, bez słowa, potrząsając jedynie nieznacznie głową, przyglądał się uczniowi Savil. Potem obrzucił spojrzeniem Vanyela, a Savil doszła jego myśl:

— *Chłopak jest wciąż połączony z Bramą i słabnie z każdą chwilą. Jeśli chcesz, aby wyszedł z tego bez uszczerbku na umyśle...*

Zabrzmiała w jego słowach niewypowiedziana, lecz wyraźnie dostrzegalna myśl, że nie stałoby się nic złego, gdyby „przeoczywszy” Vanyela, pozostawić go samemu sobie aż do momentu, kiedy nie będzie już można uchronić go przed skutkami działania zaklęcia. Ta nuta w myśli Jaysena pozwoliła Savil zorientować

się, że właśnie Vanyela Jaysen obarcza całą winą za wszystko, co zaszło.

— *To nie była jego wina, Jaysenie* — odparła z bólem w sercu, bliska płaczu, lecz mimo to niezdolna do oszukiwania samej siebie. — *Cała jego wina ogranicza się tylko do spełnienia próśb Tylendela i nie informowania mnie o tym. To wszystko przez moją opieszałość.*

Jaysen odpowiedział jej krótkim, ale wyraźnie sceptycznym skinieniem.

— *W takim razie, musimy czym prędzej zamknąć Bramę, inaczej chłopiec rozchoruje się, albo jeszcze gorzej.*

Nie było potrzeby ustalać, co owo „gorzej” mogło oznaczać. Vanyel, zupełnie już wyczerpany, niemal przezroczysty, leżał z twarzą przy ziemi, a Brama wysysała z niego ostatnie siły życiowe. Savil nie potrafiła sobie wytłumaczyć, jak niewprawny jeszcze Tylendel i pozbawiony daru Vanyel zdołali wykorzystać zaklęcie. Jednakże dopóty, dopóki nie przejdą na drugą stronę Bramy, nie miała odwagi zrywać podtrzymującej działanie zaklęcia więzi łączącej chłopców.

— *Dobrze, ale co zrobimy z tym pobojuwiskiem?* — spytała, wskazując skinieniem głowy na tłum ludzi dreptających w miejscu, rozszarpane zwłoki jedynej ofiary wyrzów i żałosne ciało Towarzysza. — *Ktoś musi nad nimi zapanować, bo nie wiadomo, do czego są zdolni. Mogą zaraz się zebrać i wziąć odwet za to wszystko, wyrzynając do nogi rodzinę Tylendela, albo wymyślić jakąś historyjkę o heroldach wplątanych w tę...* — Nawet łzy przysłaniające mgłą oczy nie mogły przeszkodzić jej w logicznym rozumowaniu.

— *Zostanę tutaj* — zdeklarował się Lansir, — *Elsbeth poradzi sobie beze mnie przez miesiąc czy dwa. Zajmę się Leszarami i...* — zająknął się — *... Galą.*

— *A jak się dostaniesz do domu?* — z troską zapytał Jaysen. — *Zamkniemy przecież Bramę od drugiej strony, jak tylko się przez nią przedostaniemy, a ty sam nie masz ostatnio dość sił, aby wnieść nową.*

— *Jak każdy zwykły śmiertelnik* — odparł z powagą. — *Na nogach.*

— *A... co zrobimy z...* — Savil obrzuciła krótkim spojrzeniem Tylendela. Chłopiec wciąż trwał w bezruchu, patrząc przed siebie martwym wzrokiem. Jego pobladła twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, ale oczy pały taką udręką, że Savil nie odważyła się zajrzeć w nie głębiej. Bała się, że widok tego, co mogłaby w nich zobaczyć, nie pozwoliłby jej dłużej dławić wzbierającego w niej płaczu.

— *Nie wiem* — bezbarwnym głosem odparł Lansir. — *Po prostu nie wiem. Nigdy coś takiego się nie wydarzyło. Zabierz chłopca do domu. Pomyślisz o tym, kiedy będziesz miała na to czas. Zapytajcie o zdanie swych Towarzyszy. Przecież ten, który umarł, był jednym z nich. To wszystko, co przychodzi mi do głowy. A teraz lepiej zabieraj się stąd, jeśli chcesz, aby ten drugi został przy zdrowych zmysłach.*

— *Jays, zabierz Tylendela, dobrze?* — powiedziała Savil na głos, chwytając Vanyela za ramię i pomagając mu wstać. — Lansir...

— Niech was bogowie mają w swej opiece, moi drodzy — powiedział Osobisty Królowej, a jego swojska, pospolita twarz w jednej sekundzie przeobraziła się w oblicze świętego uwiecznionego w pięknej rzeźbionej figurce. — Będziecie potrzebowali pomocy. Traver?

Jego Towarzysz przysunął się doń bokiem i stanął nieruchomo, by Jaysen mógł mu pomóc go dosiąść. Podobnie jak Królowej czy Savil, tej jesieni wiek dawał się Lansirowi we znaki i potrzebował już pomocy Jaysena, aby wspiąć się na konia. Ledwie jednak znalazł się w siodle, zaraz odzyskiwał wigor i godność dużo młodszego Osobistego Królowej — mężczyzny, którym był dwadzieścia lat temu. Traver zadarł głowę i spokojnym krokiem ruszył ku ogarniętemu szokiem, zdezorientowanemu tłumowi Leszarów stojącemu wciąż po przeciwnej stronie ogrodu.

Jaysen szarpnął Tylendela za ramię. Chłopiec, wciąż pochłonięty własnymi myślami, wstał, lecz związany zaklęciem, nie mógł poruszać się swobodnie. Herold Kasztelana poprowadził go ku Bramie, trzymając rękę na jego ramieniu. Za nimi szedł jego Towarzysz.

Jaysen, obejrzawszy się za siebie, rzucił do Savil:

— Nie mam specjalnej ochoty na przejażdżkę, która nas czeka. Zbyt wiele może się wydarzyć. Znasz to zaklęcie lepiej ode mnie, a więc może orientujesz się, czy udałoby się przekształcić tę Bramę tak, aby przeprowadziła nas aż do pałacu?

Savil oderwała myśli od nierozwiązywalnego w tej chwili problemu chłopców i — nadal nie wiedząc, co z nimi począć — zajęła się szczegółową analizą struktury Bramy. Od tej strony portal miał formę ozdobnego balkonu, stojącego teraz pośrodku wypalonego ogrodu. W łuku przejścia natomiast widać było mroczne, zrujnowane podwórze wiejskiego domku.

— Nie ma ku temu żadnych przeszkód — odparła po namyśle. — Mogę nas przenieść do Leśnej Świątyni, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— To chyba dobry pomysł — powiedział Jaysen, rzucając okiem na iskrzące się błyskawicami niebo po drugiej stronie portalu. — Wielcy bogowie, co przywiodło taką pogodę? Nie zanosilo się na burzę.

— Nie dziw się tak, Jays — mruknęła Savil. Doszła chyba do wniosku, że roztargnienie Jaysena to dobry pretekst do wyładowania złości. — Powtarzam ci już chyba po raz dziesiąty, że zaklęcie Bramy wyczynia różne cuda z pogodą. Dlatego właśnie nie lubię z niego korzystać. Pogoda pogorszy się jeszcze bardziej, kiedy przekształcę Bramę, a gdy ją zamknę, rozpęta się istne piekło.

Jaysen ściągnął usta i zmarszczył czoło, ale nic nie odpowiedział. Savil puściła Vanyela, który osunął się z powrotem na kolana, zbyt słaby, aby utrzymać się na nogach bez jej pomocy. Uniosła wysoko w górę obydwie ręce i jęła wykonywać nimi bardzo skomplikowane, acz delikatne gesty. Z Bramy poczęły płynąć ku niej cieniutkie nitki bladego czerwonego światła, które w miarę falowania jej dłoni,

oplatały jej palce. Gdy trzymała je już dość pewnie, zacisnęła dłonie i tchnęła w świetliste włókienka swą wolę, która z ogromną, imponującą mocą, rozpalając czerwone włókna do białości, poczęła przepływać ku Bramie.

Ledwie fala białego światła dotarła do muru, portal na moment przysłonił się mgłą, by po sekundzie zajarzyć się białym blaskiem. Gdy światło zgasło, za łukiem przejścia ukazał się zupełnie inny fragment scenerii — rozświetlona błyskami na niebie Łąka Towarzyszy, widziana od strony Leśnej Świątyni.

Savil pochyliła się i uchwyciwszy tunikę Vanyela, jeszcze raz pomogła mu stanąć na nogach. Pociągnęła go za sobą, podążając za Jaysenem, który pospiesznie przekroczył próg Bramy, popychając przed sobą Tylendela. Savil zaś, pozostając tylko o krok w tyle, biegła niemal, z całych sił ciągnąc za sobą bezwładnego Vanyela.

Przekraczając Bramę, poczuła dobrze znane, przyprawiające o mdłości wrażenie spadania w dół, a potem... pod stopami poczuła gładki, twardy marmur, co oznaczało, że są już w domu.

W jedno z pobliskich drzew strzelił piorun, którego trzask ogłuszył ją na moment. Usunęła się ze ścieżki prowadzącej przez Bramę, a Kellan i Felar widząc, że ona i Vanyel schodzą im z drogi, skoczyły na drugą stronę.

Nie podtrzymywany już przez Savil, Vanyel zatoczył się kilka kroków i przywarł do jednego z filarów przejścia. Nie zważając na kolejne uderzenie pioruna, Savil stanęła znów twarzą do Bramy. Cała konstrukcja nagle zatrzęsała się, rozpalając się na przemian białym i czerwonym płomieniem, by po chwili zatonać w mroku. Każde wahanie pola energetycznego Bramy odbijało się w nasilającej się burzy nad ich głowami. Savil ponownie uniosła ramiona i rozpoczęła zamykanie Bramy. Napotkała jednakże niespodziewany opór.

Spróbowała jeszcze raz, kuląc się pod łoskotem piorunu roztrzaskującego się nad jej głową. Działo się coś złego, coś bardzo złego. Brama stawiała opór.

— Jays — zawołała, przekrzykując ryk piorunu i skowyt wiatru. — Potrzebuje pomocy.

Jaysen puścił Tylendela i pospieszył ku Savil, łącząc z jej siłami swe siły. Zespolona w jedno moc ich woli rozwiązała węzeł zaklęcia szybciej, niż jakakolwiek siła zdołałaby go na powrót zacisnąć.

Przy wtórze grzmotu piorunów strzelających w dzwonnice świątyni, Brama runęła...

Wtem, nagle, cała pozostała po niej energia, miast rozpierzchnąć się w powietrzu i ziemi, rozpalila się wielkim płomieniem, zajmując ostatnie szczątki swego istnienia — linię energii, na której końcu tkwił Vanyel. Savil spostrzegła wybuch, ale było już za późno, aby cokolwiek zaradzić.

Z gardła Vanyela dobywał się przeraźliwy krzyk. Jego ciałem wstrząsały konwulsje, gdy z całych sił ściskając filar, oddawał z siebie energię, która unosząc się falą, wciąż powracała i odpływała do niego, po przeciwnej, słabszej stronie

sięgając Tylendela.

Naraz Tylendel poderwał się... Z jego piersi wydarł się najbardziej wstrząsający, nieludzki ryk rozpaczy, jaki Savil kiedykolwiek słyszała; ryk, który stał się koszmarem prześladowającym ją w snach do końca życia.

Zakręciła się w miejscu i — najszybciej jak tylko mogła — próbowała uchwycić jego ramię. W tej samej chwili Vanyel, wyczerpany do cna, osunął się na ziemię u stóp filaru.

Savil spóźniła się. Tylendel, otępiały od szoku, odepchnął jej wyciągniętą dłoń. W świetle następnej błyskawicy ujrzała jego twarz zastygłą w masce udręki, ze źrenicami rozszerzonymi do nienaturalnych rozmiarów. Wodził dookoła rozgorączkowanymi, strasznymi oczami, w których nie zachował się już nawet cień rozsądku. Odepchnął ją jeszcze raz i szalonym pędem puścił się w kierunku pokurczonych drzew zagajnika.

Jaysen rzucił się w pogoń za nim, a Savil kulejąc pobiegła ich śladem. Błyskawice przelatywały teraz po niebie z taką częstotliwością, że zrobiło się jasno jak za dnia. Próbując dopędzić biegnących przed nią, Savil usiłowała uaktywnić magiczną więź łączącą jej umysł z umysłem Tylendela. Tylko taki sposób dawał jeszcze nadzieję na nawiązanie z nim kontaktu. Nagle dotknęła wreszcie jego myśli i doznała wstrząsu. Zachwiała się i upadła osłabiona szokiem. Nie było już nic, co mogłoby ich połączyć — po jego umyśle pozostała pustka ogarnięta chaosem bóleści, żalu i samotności. Był tak pusty, tak nieludzki, że przez chwilę Savil, niezdolna do czegokolwiek innego, zamarła skulona na zimnej trawie, wsłuchując się w bicie swego zdjętego paniką, przepracowanego serca. Po zetknięciu się z tym przerażającym, obezwładniającym bólem, opanowanie własnych myśli nie było dla niej łatwe.

Dopiero wtedy przypomniała sobie o Vanyelu. Jeśli w ogóle nawiązanie kontaktu z Tylendelem jest jeszcze możliwe, to na pewno Vanyel jest jedyną osobą, której może się to udać.

Zerwała się na równe nogi i chwiejnym krokiem skierowała się z powrotem ku świątyni. W blasku błyskawicy zobaczyła Vanyela, który po omacku, zataczając się, wychodził właśnie z budynku. Chłopiec kulił się w sobie, jakby przeszywany mrozem. Nagle potknął się i — nie próbując nawet się ratować — upadł bezwładnie na ziemię.

W tej samej chwili Savil ujrzała Tylendela. Wybiegł on z zagajnika po prawej stronie, przemknął obok niej, minął swego leżącego kochanka i wpadł do świątyni.

Serce Savil zamarło w przeczuciu katastrofy.

Próbowała przymusić swe zmęczone nogi do jakiejś parodii biegu, ale wciąż była zbyt powolna.

W chwili gdy, dysząc i jęcząc, dopadła miejsca, gdzie leżał Vanyel, spostrzegła, że chłopiec podrywa głowę jakby w odpowiedzi na coś, co właśnie usłyszał.

Zdawało się, że patrzy na wieżę, gdzie wisi Dzwon Śmierci. Jej uszu doszedł jakiś niezrozumiały okrzyk wyrywający mu się z gardła i podążając za jego przerażonym wzrokiem...

... na tle rozświetlonego błyskawicami nieba zobaczyła Tylendela. Stał z rozpostartymi ramionami, jakby gotował się do lotu...

... i skoczył...

Przez moment zdawało się, że zawisł w powietrzu, jak gdyby jakimś cudem opanował sztukę latania.

Ale trwało to tylko moment. Po chwili runął w dół. Savil nie wiedziała, czy krzyk świdrujący jej uszy to wrzask Vanyela, jej samej czy ich obojga. Na pewno nie był to głos Tylendela. Jego szczęki zaciskał głęboki żal, usta wykrzywił grymas, a oczy były zamknięte.

Savil poczuła zetknięcie jego ciała z ziemią, jak gdyby to ona sama upadała...

... i krzyk ucichł.

Jaysen, osłupiały, zamarł w pół kroku obok niej.

Z jej gardła dobył się rozpaczliwy skowyt. Jaysen zbliżył się wolno do wykręconych szczątek leżących na ziemi, dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie teraz stała. Osunął się na kolana obok niego i po chwili, uniósłszy głowę, skinął potwierdzając tylko to, co Savil i tak już wiedziała.

W tej właśnie chwili rozległ się majestatyczny głos Dzwonu Śmierci.

Chwiejąc się, Savil podeszła do Jaysena, a każdy krok przyprawiał ją o ból, jakiego nie doświadczyła w całym życiu, pełnym poświęceń na rzecz Królowej i Kręgu. Upadła ciężko na kolana i przycisnęła do piersi bezwładne, biedne ciało Tylendela.

Ścisnęła go, zarzuciła sobie jego ręce na ramiona, kołysała delikatnie, jak kołysze się małe dzieci. Po jej policzkach spływały łzy, mieszając się z kroplami deszczu, lejącego się strumieniem z nieba. Zdawało się, że jej lament rozchodzi się echem po całej ziemi. Jaysen przyklęknął obok niej. Głowa kiwała mu się, ramionami wstrząsał szloch. Dookoła nich zgromadziły się Towarzysze, a dzwon wciąż nie chciał zamilknąć.

O Vanyelu przypomnieli sobie dopiero wtedy, gdy nadeszli inni heroldowie. Natychmiast posłali kogoś, aby go odszukał.

Ale chłopca już nie było.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Vanyel szedł niepewnym krokiem, potykając się i błądząc po omacku w lodowatym deszczu. Na wpół zaślepiony rozpaczą, stracił nadzieję na jakąkolwiek otuchę. Nie zostało mu już nic... zupełnie nic.

On nie żyje... o bogowie, nie żyje, i w dodatku ja jestem temu winien...

Całe jego ciało zdawało się stać w ogniu bólu, który tłąc się powoli, zaczął wypalać go od wewnątrz, zupełnie tak samo, jak mróz ze snu ścinał lodem.

Nie było już żadnego powodu, aby walczyć z tym ogniem i lodem. Nie potrafił już przejąć się ani jednym, ani drugim. Który z nich go pochłonie — a może zrobią to oba naraz — było mu obojętne.

Deszcz chłostał go, grad bombardował niczym wyrzucane z procy kamienie. Świat wirował przed oczami, w głowie huczało. Cierpiał katusze, ale bez oporu przyjmował ból.

Tylko na to zasługuję. To wszystko przeze mnie...

Nie wiedział, dokąd zmierza i nic go to nie obchodziło. Potykał się i upadał wiele razy, ale sińce i rany nie miały znaczenia. Po prostu podnosił się i biegł, nie zastanawiając się, jaki obrać kierunek.

Z chwilą kiedy Tylendel rzucił się z wieży, zawalił się cały jego świat. Gdzieś na dnie duszy czaiło się przeświadczenie, że jeśli będzie biegł dość szybko i dość daleko, może uda mu się przeskoczyć kraj tego świata, by znaleźć się w krainie niepamięci, gdzie nie będzie uczuć i nie będzie bólu.

W rzeczywistości nie udało mu się przekroczyć kraju świata. Udało mu się jednak przeskoczyć brzeg rzeki...

Nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Wymachując dziko ramionami ni to spadł, ni to stoczył się w dół po stromym brzegu i, fiknąwszy kozła na samym dole, wpadł do lodowatej wody. Ledwie głowę nakryła mu woda, szok spowodowany nagłym zimnem sprowadził chwilę zapomnienia, ale pragnienie śmierci natychmiast ustąpiło instynktowi i Vanyel momentalnie wypłynął na powierzchnię.

Zachłysnął się. Wciągając pierwszy haust powietrza, strząsnął wodę zalewającą mu oczy i w świetle błyskawicy ujrzał walące się na niego drzewo. Było za późno, aby zrobić jakikolwiek unik. Udało mu się odwrócić, ale kłoda uderzyła

go w tył głowy i wcisnęła pod wodę. Gdy znów się wynurzył, był oszołomiony i niezdolny do myślenia. Kiedy następna błyskawica rozwidniła niebo, zobaczył obok siebie gałęzie jakiegoś krzaka i wyciągnął rękę, by je pochwycić...

Były zbyt daleko, poza zasięgiem jego oszalałych rak...

Raptem krzak zatrzęsł się gwałtownie i zdawało mu się, że roślina wyciąga się ku niemu. Jeszcze raz sięgnął i chwycił się jej gałęzi...

Jakimś dziwnym sposobem rzeczywiście złapał je. Wpijały mu się w ręce, ale dzięki nim udało mu się przesunąć się na płyciznę.

Pozostało mu już tylko tyle sił, aby przepłynąć połowę odległości dzielącej go od brzegu i tylko tyle przytomności, aby zastanowić się, dlaczego właściwie chciał się uratować.

Leżał z twarzą zwróconą do ziemi na rozmokłej, zgniłej trawie porastającej brzeg rzeki. Był przemarznięty, odrętwiały i kompletnie wyczerpany udręką, żalem i poczuciem winy.

Lendelu, Lendelu, to moja wina... och, bogowie, to moja wina... powinienem był powiedzieć Savil. Powinienem był spróbować cię powstrzymać.

Łkał z twarzą wtuloną w nieprzyjemną w dotyku trawę i pachnącą wilgocią ziemię, bez słów błagając o siłę, która pozwoliłaby mu cofnąć czas i odwrócić to, co już się stało.

Przepraszam... och, błagam, niech ktoś cofnie to wszystko! Jeśli musisz kogoś zabrać, weź mnie! Niech to będzie sen, och, bogowie... błagam...

Ale to nie był sen. Wszystko, co się wydarzyło, było nie mniej rzeczywiste niżli deszcz, który mieszał teraz swe krople z jego łzami, czy lodowata woda obmywająca mu stopy. I żaden bóg nie zstąpił, by cofnąć to, co już się stało. Przenikający chłód, oziębiający nawet rozpaloną krew w żyłach, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Nie miał sił, by się poruszyć, był zbyt wycieńczony i oszołomiony rozpaczą, aby przejmować się czymkolwiek. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że zaraz może umrzeć, że może umrzeć w samotności jak Tylendel.

W tej chwili nie pragnął niczego więcej, dlatego zaraz zmienił słowa swej modlitwy. Błagam... — zanosił rozpaczliwe prośby do mocy, które nie zsyłały żadnej odpowiedzi. Błagani... pozwól mi umrzeć.

Lamentował, myśląc o wszystkich popełnionych przez siebie błędach, o każdym złym posunięciu. Zasługuję tylko na śmierć — wmawiał sobie, zaciskając powieki. Chcę umrzeć.

— *Nie* — dobiegł go jasny jak płomień, ostry jak stalowa igła, głos czyichś myśli, niweczący jego mroczne marzenia o śmierci. — *Nie możesz. Musisz żyć, mój Wybrany.*

Uniósł nieco głowę, ale nie mógł, nie chciał nawet, otworzyć oczu.

— *Nic nie wiesz* — rzucił ponuro w odpowiedzi intruzowi. — *Zostaw mnie w spokoju. Nikt mnie nie chce, nikt nie powinien mnie chcieć. Zabijam wszystko, co kocham.*

Ale ktoś chwycił go za kołnierz i pociągnął wyżej na brzeg. Vanyel próbował się wywinąć, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa i zdobył się zaledwie na bezsilne wzdrygnięcie. W chwilę później poczuł, że deszcz nie zacina już tak bardzo w plecy, a pachnący, miękki mech pod jego omdlałymi dłońmi jest suchy. Ktoś wciągnął go pod jakąś osłonę. Ten ktoś, opuściwszy go delikatnie na mech, puścił teraz jego kołnierz. Vanyel zdołał otworzyć oczy, ale przy ginącym właśnie gdzieś w oddali błysku, nie zobaczył nic prócz ciemności.

Obok niego leżało coś ciepłego i wielkiego. Vanyel usłyszał jego westchnienie i poczuł na policzku głaskanie miękkich nozdrzy. . .

. . . zupełnie jak Gala. . .

Ten dotyk przywołał wspomnienia, które roztopiły mu serce. Podciągnął kolana pod brodę i skulił się, zanosząc się nieopanowanym szlochem. Żal i poczucie osamotnienia przywodziły go do granicy szaleństwa.

— . . . *ależ ja tutaj jestem. . .*

Dźwignął nieco głowę i zamglonymi od łez oczami rozejrzał się za swym rozmówcą. . . i w świetle ostatniej błyskawicy, napotkał wzrok błyszczących szafirowych oczu. . . oczu pałających takim współczuciem i miłością, że natychmiast nabrał pewności, iż ich właściciel wybaczy mu wszystko. Ta miłość sięgnęła i jego, napełniając sobą całą jego duszę. Nie mogła zatrzeć wyrwy po stracie, ale mogła ulżyć mu w udreće. . . i nie winała go za to, co się stało.

Wyprostował się po omacku, jak wtedy, gdy wyciągał rękę ku gałęziom krzaka, by ratować się przed utonięciem. Teraz odnalazł gładką, białą szyję.

Płakał do wyczerpania, aż do momentu, gdy nie miał już siły uronić ani jednej łzy. Wtedy spłynął na niego gorączkowy półsen, w którym przez cały czas słyszał w myślach jakiś pogodny głos, powtarzający w kółko:

— *Jestem tutaj, mój Wybrany. Kocham cię. Nigdy cię nie opuszczę.*

— Savil, znaleźliśmy go. — Do pokoju Vanyela i Tylendela wpadł Mardik; przemoczony od stóp do głów, ociekając wodą, trząsał się w chłodzie wiatru wpadającego przez otwarte drzwi za jego plecami.

W czasie gdy zamykał drzwi, Savil zebrała resztki sił, o jakich posiadanie nawet by się nie posądzała, i zaczęła powoli podnosić się z miejsca. Jaysen i Andreł, uzdrowiciel, jednocześnie chwycili ją za ramiona i posadzili z powrotem w fotelu.

— Gdzie? — zapytała głosem szorstkim od szlochu. — Kto go znalazł? Nic mu nie jest?

— Nie wiem, Towarzysze go odnalazły, to znaczy Yfandes — odpowiedział Mardik wymijająco. — Znalazła go na brzegu rzeki od strony ogrodu i zaciągnęła go do grotty. Tantras twierdzi, że jest chory i w szoku, ale nie jest tego pewien. Próbuje ją przekonać, aby pozwoliła przenieść Vanyela tutaj, żeby Andreł mógł się nim zająć.

Savil potrząsnęła głową, próbując wyłowić jakiś sens ze słów chłopca.

— Mardiku, co to ma znaczyć? Co ma do tego Yfandes?

— Nie pozwala nikomu nawet go tknąć, Savil — odparł Mardik, mrugając powiekami. Wciąż, mimo ciepła panującego w pokoju, nie mógł opanować dreszczy. — Nie daje się przekonać. Prawie odgryzła Tantrasowi dłoń, kiedy próbował zbliżyć się do Vanyela. Powiedziała mojemu Fortinowi, że nie ufa nam, że nie będziemy go dostatecznie chronić... że nie wiemy, z kim mamy do czynienia... że on cierpi i jego serce jest rozdarte w strzępy, a my nie wiemy nawet, jak się zabrać do uleczenia go...

— Mardiku — powiedział wolno Jaysen — czy to znaczy, że Yfandes wybrała Vanyela? Jedyne dojrzały Towarzysz na Łące, który nie wybrał dotąd nikogo... Towarzysz, który czekał z górą dziesięć lat, aby kogoś wybrać — i tym wybranym okazuje się Vanyel?

— Nie powiedziała tego, ale myślę, że tak właśnie jest — wybełkotał ostatkiem sił Mardik, osuwając się po futrynie drzwi na podłogę. — Nie wiem, dlaczego ułożyła się przy nim, jak gdyby był jej żrebakiem i nie dopuszcza nas do niego. On jest chyba nieprzytomny, nie rusza się i nie odpowiada, gdy do niego mówimy, ale Yfandes nie pozwala się zbliżyć nikomu, kto mógłby lepiej mu się przyjrzeć.

Savil i herold Kasztelana wymienili zdumione spojrzenia, uzdrowiciel Andreł ubrał ich myśli w słowa.

— Na Jasną Panią — zamruczał pod nosem, rozszerzając oczy w konsternacji. — Co, na bogów, to wszystko ma znaczyć?

Natarczywy głos, dźwięczący od jakiegoś czasu w jego głowie, wyrwał Vanyela z gorączkowego, niespokojnego snu pełnego koszmarów. Jęknął i rozwarł suche, piekące od płaczu oczy. W jego głowie wciąż pulsował ból i nawet nieznaczny ruch sprawiał, że oczy zachodziły mgłą. Czuł się, jak gdyby całe jego ciało zamieniło się w jakiś pałacy, ciasny, ograniczający ruchy kombinezon jak gdyby nie należało do niego.

Przez skalisty prześwit wkradała się jasność dnia. Z odległości kilku kroków dobiegało szemranie rzeki. Gdyby nie ławki z różowego marmuru znajdujące się przy wejściu, wydawać by się mogło, że Vanyel jest w jakiejś grocie. Ale przecież w grotach nie ma ławek z różowego marmuru. Nie ma też zadbanych, wyściełanych mchem podłóg.

Dopiero teraz rozpoznał to miejsce. Była to jedna z grot ogrodowych, ciągnących się wzdłuż brzegu rzeki, popularnych wśród umawiających się na schadzki par i ludzi szukających w ich zaciszu samotności i chwili wytchnienia od zgiełku panującego w pałacu. Tylendel nieraz wyrażał tęskne pragnienie, aby skorzystali kiedyś z jednej z nich...

Tylendel. Żałość ścisnęła mu gardło i odebrała dech w piersi.

— *Nie, Vanyelu, mój Wybrany. Nie teraz. Później będziesz go opłakiwał, a teraz wstań.*

Nie wiedząc właściwie, jak się tam dostał, stanąwszy na nogach, całym ciężarem oparł się o jedwabisty kark Towarzysza.

J e g o Towarzysza.

Usiłował odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens, ale zawroty głowy wciąż nie pozwalały mu pozbierać myśli, które rozpląwały się szybciej niż powstawały.

— *Jesteś chory* — odezwał się zatroskany głos w jego umyśle. — *Nie mogę się tobą zająć. Chciałam cię chronić, lecz nie potrafię ci pomóc. Masz gorączkę i musi cię zbadać uzdrowiciel. No zróbże krok. I jeszcze jeden. . .*

Vanyel poczuł, że całe jego ciało drży i wtulił się jeszcze bardziej w Towarzysza. Posłuszny jej głosowi, niepewnie postawił drugą stopę, ale szybko spostrzegł, że aby utrzymać równowagę, musi całym ciężarem ciała opierać się o bok Yfandes. Po kilku krokach musiał przymknąć oczy i zaufać jej także jako swemu przewodnikowi. Dręczyły go takie zawroty głowy i mdłości, że nie potrafił zrozumieć nic z tego, co działo się dookoła.

Stanęli w końcu w pełnym świetle słońca, które natychmiast oślepiło Vanyela. Otworzył oczy na ułamek sekundy i zaraz je zamknął. Wtedy poczuł, że Towarzysz nagle odstał od niego, a on sam osunął się wprost w ramiona nieznanego herolda. Raptem, gdy jego kontakt z Yfandes urwał się, w głowie momentalnie zahuczały mu dziesiątki jazgotliwych, wprawiających w zakłopotanie głosów. Vanyel zakwilił jak niemowlę, próbował się wycofać i wtulił głowę w ramiona. Czuł, że dźwięk tych wrzasków rani go i zadaje ból, ale nie potrafił odróżnić, które z nich są jego własnymi myślami, a które pochodzą od kogoś innego.

— *Powiedz swojemu niemądnemu Wybranemu, żeby go osłaniał, Delianie!*

Vanyel rozpoznał ten głos, choć Yfandes nigdy nie zwracała się do niego tak ostrym tonem. Nieznajomy, tłumiąc przekleństwo, zamruczał coś pod nosem i przyłożył dłoń do czoła Vanyela, a wszystkie głosy naraz ucichły. Vanyel otworzył oczy i zaraz tego pożałował. Wszystko wirowało wokół niego, jakby on sam stał się nagle punktem centralnym jakiegoś wszechświata chaosu. Od razu zamknął oczy, przysięgając nie otwierać ich już więcej.

— *Pozwól, Tantrasie.* — Ten łagodny głos też nie wydawał się znajomy.

Na jego głowie spoczęły dwie chłodne dłonie, a z nimi spłynęła obietnica ukojenia i spokoju snu. Przyjął z wdzięcznością wszystko, co mu dawały, zapadając powoli w słodki stan zapomnienia.

Pomyślał, że jeśli dopisze mu szczęście, może już nigdy się nie obudzi.

Łóżko zdawało się o wiele za duże dla niego. Nigdy nie był wysoki, ale teraz jakby jeszcze skurczył się w sobie. Był blady i — może przez tę naturalnie jasną

cerę i czarne włosy — Savil wydawało się, że wygląda gorzej niż Tylendel po swym ataku. Dotąd nie wyobrażała sobie, aby w ogóle można było wyglądać tak za życia.

Tylendelu. Och, mój Lendelu, mój biedny, biedny, Lendelu.

Uwięzione pod powiekami łzy zamgliły jej oczy, w gardle poczuła skurcz. Dlatego przeoczyła moment, gdy Andreł zabrał rękę z czoła chłopca i z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na fotel. Jego siwiejące rudawe włosy, posklejał pot, a zmarszczki pogłębiły się jeszcze bardziej na umęczonej, powleczonej bladością twarzy.

Jego strapione westchnienie przywołało Savil do rzeczywistości.

— Andrełu? — odezwała się cicho. — Potrafisz już coś powiedzieć?

— Zrobiłem dla niego, co tylko mogłem, a nawet więcej. Odnalazłem pewną ścieżkę dostępu do jego umysłu — powiedział, nie unosząc głowy, odziany w Zieleń uzdrowiciel heroldów. — Chcę, abyś poszła jej śladem, ale jeśli myślisz, że nie zniesiesz tego, pomóż mi znaleźć innego maga heroldów o twoich umiejętnościach. Szczerze mówiąc, nie wierzę w to, co sam zobaczyłem i dlatego potrzebuję potwierdzenia.

Savil zacisnęła zęby i jeszcze raz powtórzyła sobie, że Vanyel nie ponosi odpowiedzialności za nic, co się stało. Poza tym, i tak była jedyną osobą w pałacu, która mogła mu okazać jakiegokolwiek miłosierdzie.

— Dobrze, będę się trzymała tej ścieżki. Chcesz jeszcze coś powiedzieć, czy...

— Najpierw ty mi coś powiesz. Moja odpowiedź będzie uzależniona od tego, czy uznasz, że posunąłem się za daleko, czy nie.

Savil uniosła brwi ze zdumienia, ale zdecydowała się na współpracę z uzdrowicielem. Pochwyciła kojącą obecność Andreła z taką łatwością, jakby po prostu wzięła go za rękę. Kiedyś byli kochankami, a i przedtem, i potem, często pracowali razem.

Ich aury splotły się, jak splatają się dwie dłonie, i Savil podążyła ścieżką, którą wytyczył dla niej uzdrowiciel przez kipiący chaos najpłytszych pokładów śpiącego umysłu Vanyela, ku mrokowi rozszalałego żalością dna jego duszy. Potęga jego żalu skruszyłaby jej serce, nawet gdyby wierzyła w winę Vanyela. Dobrze wiedziała, że Tylendel darzył go miłością o wielkiej głębi, ale teraz zdało jej się, że sercem Vanyela zawładnęło uczucie jeszcze większe. Cały czas była pewna, że ma świadomość, co przeżywa Vanyel, że — tak jak ją — dręczy go rozpacz i żal, ale teraz zobaczyła dużo, dużo więcej...

Och, bogowie... stało się dokładnie to, przed czym ostrzegałam Lendela. On jest zagubiony, kompletnie zagubiony bez Lendela...

Ale nie to przyprawiło ją o prawdziwy szok.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Savil była jedynym magiem heroldów, tak głęboko zaangażowanym w wychowywanie młodych magów heroldów. To ją właśnie

najczęściej proszono o rozpoznanie, czy dziecko posiada dar i ma szansę zostać Wybranym. Widziała wiele dzieci z jednym, dwoma darami, ale najczęściej zupełnie ich pozbawione. Tylandel posiadał nieprzeciętny dar myślowy, przenoszenia, empatii i magii — wszystkie mniej więcej o równej mocy. Większość heroldów mogła się poszczycić zaledwie jednym lub dwoma silnymi darami, a trzy posiadało niewiele.

Vanyel był obdarzony wszystkimi. Każdy z nich, prócz uzdrawiania, był aktywny i większość z nich osiągnęła maksymalną moc. Vanyel posiadał dar myślowy, przenoszenia, dalekowzorności, przewidywania, także — równie silny jak u Tylandela — dar empatii, a nawet dar niecenia ognia sprawny na tyle, że chłopiec już nigdy nie będzie musiał brać do ręki hubki z krzesiwem. Przede wszystkim jednak Vanyel posiadał dar magii. Ponadto jego dar myślowy rozwinął jednocześnie myśloczucie i projekcję.

A w dodatku — o ironio — bogowie, chcąc chyba zrekompensować mu dawny zawód, obdarowali go darem barda.

Ten chłopiec posiadał więcej darów niż którykolwiek z pięciu najważniejszych heroldów i wszystkie uaktywniły się w ciągu niespełna doby.

Ku swemu przerażeniu Savil spostrzegła też, że kanały przepływu energii darów swą wrażliwością na wszelkie bodźce przypominają otwarte rany. Zdawało się, że nie zostały zwyczajnie uaktywnione, ale rozerwane. Jeśli Vanyel cierpiał tak strasznie, to tylko cudowi można było zawdzięczać, że ból nie doprowadził go do szaleństwa.

Savil wypadła z jego umysłu jak z ukropu i momentalnie przerzuciła wzrok na uzdrowiciela, a potem jeszcze raz na chłopca. Była bliska szoku.

— O wielkie nieba — wyjąkała. — Jak do tego doszło?

Andrel potrząsnął głową.

— Ty możesz lepiej odpowiedzieć na to pytanie. Ja nie zastanawiałem się nigdy nad tym, skąd pochodzą nasze siły. Staralem się tylko nauczyć, jak je wykorzystywać. Ale czy rozumiesz teraz, z czym mam do czynienia?

— Myślę, że tak — odparła Savil, po omacku szukając oparcia w poręczy łóżka. — Pozwól, że podsumuję to wszystko. Pierwszy szok spowodowało sprzężenie zwrotne, gdy zakłęcie wyssało z niego całą energię, aby wznieść Bramę; później przyszedł następny wstrząs, kiedy ściągnąwszy tę energię z Bramy, wtłoczyliśmy ją z powrotem w jego ciało. Poza tym z przedwczesnym albo opóźnionym wyzwoleniem darów zawsze wiążą się problemy. U niego dary od razu osiągnęły pełną moc. A co gorsza, przepływają one kanałami, które nie otworzyły się same, ale zostały rozsądzone, wypalone.

— W dodatku przeżył, już bardziej zwyczajny, szok emocjonalny i fizyczny. Zanoszę modły do niebios, żeby do tego wszystkiego nie dostał jeszcze zapalenia płuc. Już raz zbiłem mu gorączkę, którą jego ciało zareagowało na przytłaczający napływ energii. — Sprawdzając temperaturę, Andrel przyłożył wierzchnią stronę

dłoni do woskowego policzka Vanyela. — Na razie nie jest tak źle, ale wciąż istnieje zagrożenie. Próbuję też zwalczyć skutki działania energii o tak wielkiej mocy. Savil, ten chłopiec jest w stanie beznadziejnym.

— Masz skłonności do używania zbyt łagodnych określeń, mój kochany. — Wzrok Savil spoczął na wymizerowanej, zastygłej w masce udręki twarzy.

Cierpienie nie opuszcza go nawet podczas snu, pomyślała.

— Teraz rozumiem, dlaczego Yfandes oddawała go nam z taką niechęcią. Do czasu kiedy połączy ich prawdziwa więź, Vanyel musi mieć z nią fizyczny kontakt, aby mogła go ochraniać. Ale co my możemy zrobić? Nie można sprowadzić jej tutaj ani jego przenieść do stajni, przynajmniej w taką pogodę.

— Spróbuj tylko, a odpowiesz mi za to — odparł Andreł, a Savil wiedziała, że nie żartuje. — Przenieś go tam w ten chłód, a zobaczysz, że go zabijesz. Nawet w ciepłym łóżku grozi mu niebezpieczeństwo.

— A jak mam go chronić przed działaniem jego własnych sił?

— Nałóż na niego własne osłony i módl się, żeby nic się przez nie przedostało.

— Ale przecież nie mogę ich utrzymywać cały czas — ostro przypomniała mu Savil. — I tak jestem dość zmordowana. W tej chwili nie zdołam utrzymać ich dłużej niż kilka godzin.

— To, do diaska, idź zamówić dwie trumny! — warknął Uzdrawiciel w nagłym wybuchu gniewu. — Bo i tego chłopaka stracisz, jeśli nie zajmiesz się porządnie wszystkim!

Savil skuliła się, ogromnie zaskoczona jego nieoczekiwanym wzburzeniem.

— Ja... — wyjąkała, a potem, gdy uświadomiła sobie w pełni znaczenie jego słów, gdy pomyślała o tym, który już leżał w Leśnej Świątyni, sama straciła kontrolę nad własnymi emocjami.

Chwiejąc się, wstała i odwróciwszy się do Andreła plecami, oparła się o framugę drzwi. Jej ramionami wstrząsnął szloch, gdy zapłakała cicho.

— Savil...

Silne, ale teraz drżące ręce na jej ramionach zmusiły ją, by znów stanęła twarzą do pokoju i przyciągnęły ją do kościstej piersi, okrytej miękką, zieloną wełną.

— Savil, przepraszam — szepnął Andreł, tuląc głowę w jej włosach. — Nie powinienem był tego mówić. Jesteś wykończona, ja jestem wykończony i żadne z nas nie jest w formie, aby radzić sobie z ciężkimi sprawami, jakie wiążą się z tym chłopcem. Czy jest ktoś, kto mógłby się nim zająć, przynajmniej przez jedną dobę? Miałabyś trochę czasu na odpoczynek i zastanowienie się nad wszystkim.

Kwadratowy kawałek białego płótna pojawił się w samą porę. Wytarła oczy zaoferowaną przez Andreła chusteczką i wydmuchała nos.

— W innych okolicznościach poprosiłabym kogokolwiek, aby mnie zastąpił... ale nie wiem, Andy. Wielu z nich wciąż myśli, że to Vanyel ponosi winę za to, co się stało. Nawet jeśli użyczą mu swych osłon, przy jego darach może się

to okazać bezskuteczne. Sam powinieneś wiedzieć najlepiej, jak trudno jest okiełznać nowy, nie oszlifowany jeszcze dar. Nawet wtedy, gdy nie jesteśmy w stanie napięcia.

Andrel westchnął.

— Serdeńko, myślę, że nie masz wyboru. Możesz tylko pocieszać się nadzieją, że jeśli dotrą do niego jakieś powierzchowne myśli, on nie będzie jeszcze w stanie ich zrozumieć. Jeżeli jednak nie zatroszczysz się o swój własny odpoczynek, to wkrótce zupełnie opadniesz z sił. Nawet najbardziej początkujący uzdrowiciel ci to powie.

Skinęła głową i nagle wydało jej się, że na jej barki spadło brzemień wszystkich lat, które przeżyła, i smutków, których w tym życiu doznała.

— Dobrze — zgodziła się, wbrew własnej ocenie sytuacji, lecz nie znajdując innego wyjścia. — Spróbuj sprowadzić Tantrasa. On przynajmniej nie znał zbyt dobrze Tylendela.

Vanyel obudził się właśnie. Śniło mu się, że Tylendel ożył i drażnił się z nim, żartując sobie z jego żalu. Przez krótką chwilę po przebudzeniu Vanyel nie mógł rozemnać, co było snem, a co rzeczywistością.

Wtedy otworzył oczy i uświadomił sobie, że leży we własnym łóżku, we własnym pokoju, oświetlonym bladym blaskiem starannie przyciemnionych latarenek ze świecami, Mimo to dostrzegał coś osobliwego, co sprawiało, że pokój jakby się odmienił.

Po dłuższej chwili zrozumiał wreszcie: zniknęło wrażenie obcowania z Tylendelem, uczucie, że — choć fizycznie nieobecny — przyjaciel wciąż jest przy nim.

Nagle pojął wszystko. Stłumił w gardle jęk rozpaczony i zacisnął powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy. Zrobił to w samą porę, bo właśnie ktoś delikatnie otworzył i zamknął drzwi, a Vanyel poczuł czyjaś obecność.

Zamarł na moment, potem westchnął, jakby we śnie, i przewrócił się na bok, ukrywając twarz w cieniu.

Usłyszał jakieś głosy... jak gdyby ktoś mówił do siebie, tylko... tylko że one nie dochodziły z zewnątrz, ale po prostu siedziały w jego głowie, zupełnie jak odzywał się w jego głowie głos Yfandes, kiedy do niego mówiła. Słuchanie sprawiało mu ból, ale nie mógł powstrzymać napływających wciąż słów. Po tonie tego głosu w myślach rozpoznał nawet, kto przy nim siedzi. Był to jeden z heroldów, którzy towarzyszyli Savil, ten o imieniu Jaysen.

Tymczasem sam Jaysen w najmniejszym stopniu nie przejmował się Vanyelem.

— ...*bogowie...* — usłyszał Vanyel, zbity z tropu bólem przepelniającym słowa. — ...*zamienić Tylendela na tego małego gbura. To ci dopiero interes.*

Z chwilą gdy Vanyel poczuł na sobie zamyślony wzrok, słowa stały się wyraźniejsze i wypowiedane w większym skupieniu.

— *Bez względu na to, co mówi Savil, nigdy nie uwierzę w to, że on nie miał nic wspólnego ze śmiercią Tylandela. Gdyby rzeczywiście byli ze sobą tak blisko, Tylandel na pewno by go posłuchał. Nawet jeśli Lendela tak opętała idea zemsty, ten tutaj był od niej wolny. Może i Lendel go kochał, ale Vanyelowi na pewno nie zależało na nim aż tak bardzo, bo inaczej powstrzymałby go. Lendel był tylko dodatkiem do grona jego wielbicieli. Gdyby Vanyel zostawił go w spokoju, gdyby nie wykorzystywał jego... słabości...*

Vanyela przytłoczył ciężar tych bezlitosnych słów, opisujących go jako aroganckiego samoluba wykorzystującego Tylandela, którego nie kochał. Co gorsza, z tego, co myślał Jaysen, wynikało, że Vanyel utwierdzał nawet Tylandela w jego obsesji, że wtłaczał mu ją do głowy, jak gdyby poił wiecznego pijaka wódką, której nie jest w stanie wypić.

Mimo woli Vanyel przeniósł się jakby poza pokój. Zdawało mu się, że po prostu natężył słuch, aby usłyszeć jakąś rozmowę dobiegającą z oddali. Ból, jaki czuł przy tym, przypominał trochę naciąganie mięśni na złamanej kości. Nagle uzmysłowił sobie jednak, że odbiera jakieś strzępy... najwyraźniej myśli... spływających ku niemu.

Mogło to być echo myśli Jaysena.

Uciekł od tych głosów, kuląc się w sobie jak wystraszone dziecko, które szybko cofa z ognia sparzoną rączkę. Były tylko dwie istoty, o których wiedział z całą pewnością, że kochały go mimo jego wad: Tylandel i Yfandes. Ale żadne z nich nie znało całej prawdy o nim. Yfandes działała pod wpływem jakichś magicznych sił, które kazały jej go wybrać, a Tylandel...

Tylandel nie żyje. A on ponosi za to winę. Jaysen ma rację. Gdyby rzeczywiście zależało mu na Lendelu, powstrzymałby go. To niekoniecznie musiało być trudne. Gdyby nie zgodził się na wykradzenie tych książek, gdyby nie zgodził się pomóc mu w wykorzystaniu zaklęcia, Tylandel żyłby teraz. A gdyby nie uwiódł go, zaspokajając swe egoistyczne potrzeby, nic by się w ogóle nie stało.

Nie może być już gorzej. A teraz stał się ciężarem dla heroldów, którzy go nienawidzą, ale związani poczuciem honoru, postanowili przyjąć go na miejsce Tylandela. Ale on nigdy, przenigdy nie będzie w stanie godnie zastąpić Tylandela i doskonale o tym wie. Nie posiada żadnej z jego cnót, za to wszystkie jego wady i całe mnóstwo swoich.

Wyteżał wszystkie siły, wsłuchując się w głos myśli mężczyzny siedzącego obok i nie zwracał uwagi na ból, jaki mu to sprawiało. Całą nadzieję pokładał w tym, że herold da mu jakąś szansę na ucieczkę... i naprawienie wszystkiego. Gdyby tylko herold po prostu... odszedł na moment albo... albo, jeszcze lepiej, zasnął...

A Jaysen rzeczywiście był zmęczony. Choć nie musiał czynić żadnych ma-

gicznych zabiegów i miał więcej czasu na odpoczynek, wciąż czuł się utrudzony. Usadowił się w najwygodniejszym fotelu w całej izbie, tym, w którym Tylen-delowi zdarzało się zasnąć. Czując, że na Jaysena począł spływać sen, Vanyel wstrzymał oddech w nadziei, że herold zaśnie na dobre.

Bo z tych wszystkich przemyśliwań ludzkich odczytywanych przez jego zmysły, dowiedział się czegoś. . .

Ponieważ Dzwon Śmierci zabrzmiał dla Tylandela, bez względu na jego czyny, uznano go za pełnoprawnego herolda i jutro, ze wszystkimi należnymi mu honorami, chłopiec zostanie pochowany.

Jutro. Ale dzisiejszej nocy. . . leżał w świątyni w Lasku. A Vanyel, jeśli tylko zdoła tam dotrzeć, postanowił odpokutować za zło, które stało się jego udziałem, ofiarowując tę jedyną rzecz, jaka mu jeszcze została.

Myśli Jaysena ogarnęły już majaki senne i po chwili ciche chrapanie dobiegające z fotela przy łóżku powiedziało Vanyelowi, że herold pograżył się w głębokim śnie.

Vanyel przewrócił się, umyślnie robiąc to z jak największym hałasem.

Jaysen nie przestawał chrapać.

Vanyel usiadł powoli, lustrując wzrokiem otoczenie i swój własny wygląd.

Po kilku minutach był już ubrany. Ale jeśli nawet nie groziło mu wytrącenie ze snu herolda, to i tak ze względu na swój mizerny stan był zmuszony poruszać się niezmiernie wolno. Jego nogi były tak słabe, a kroki tak chwiejne, że z początku szukał nawet oparcia w sprzętach dookoła siebie. Po pewnym czasie jednakże jego ruchy zaczęły nabierać pewności.

Bezszelестnie przemknął przez pokój i odsunął rygiel w drzwiach. Uchylił je, prześlizgnął się przez małą szparę i zamknął na powrót. Na dworze panowała ciemna noc, niebo było bez chmur. Z pewnością nikt go nie zobaczy, ale miał do przebycia długą drogę do Lasku.

Uzbroił się w odwagę i postawił niepewną stopę na żwirowej ścieżce prowadzącej od jego drzwi w głąb zalanego księżycem ogrodu.

Ale tam ktoś już na niego czekał.

Ledwie uszedł pięć kroków, z ciemności wyłoniła się Yfandes.

— *Nie* — powiedziała surowym tonem, zagrządzając mu drogę. — *Jesteś chory, powinieneś leżeć w łóżku.*

Przez moment zdawało mu się, że lada chwila runie na ziemię.

. . . bogowie, ona mnie nie przepuści. . .

Wtem zaświtał mu pomysł, jak nakłonić Yfandes, aby — nie zdając sobie nawet z tego sprawy — udzieliła mu pomocy.

— *Proszę. . .* — Skupił całą uwagę na części planu opierającej się na prawdzie. Wiedział przecież, że nie jest w stanie okłamywać jej swymi myślami. Jednakże dopóty, dopóki Yfandes nie zapyta go o to wprost, nie musiał też odsłaniać przed nią wszystkich swych intencji. Na dodatek więź między ich umysłami nie była

jeszcze stabilna, na przemian słabła i wzmacniała się, sprawiając tym ogromny ból, a Vanyel był gotów iść o zakład, że Yfandes nie będzie chciała robić niczego na siłę.

— *Proszę, Yfandes, muszę...* — wyjąkał — *...pożegnać się.*

Skłoniła głowę niemal do ziemi, a on pozwolił, by jego żal spłynął na jej serce.

— *Dobrze.* — Usłyszał zrezygnowany głos. — *Pomogą ci. Ale później musisz odpocząć.*

— *Zgoda* — przyrzekł szczerze, choć miał na myśli zupełnie co innego niż ona.

Yfandes przyklęknęła, aby mógł ją dotknąć. Vanyel, kiedyś najlepszy jeździec w Forst Reach, nie potrafiłby teraz wdrapać się na jej grzbiet o własnych siłach. Przywarł do niej z rozdygotanymi ramionami i nogami i gdyby nie Yfandes, której niezwykła umiejętność balansowania swym ciałem potrafiłaby uchronić od upadku nawet niemowlę, Vanyel już po kilku chwilach znalazłby się na ziemi.

Skoncentrował się na własnym zmęczeniu i lichym samopoczuciu, a najmniej starał się myśleć o swych prawdziwych zamierzeniach. Zamknął oczy w koncentracji, ale też i dlatego, że widok przesuwanej się z wielką prędkością ziemi pod kopytami Yfandes, przyprawiał go o mdłości i wprowadzał w głowie zamęt.

Nie miał pojęcia, jaką prędkość rozwijają Towarzysze idąc stępa. W każdym razie Yfandes przekroczyła próg przedsionka świątyni dużo wcześniej, niż Vanyel się tego spodziewał i dźwięczny stukot jej kopyt o marmurową posadzkę niespodziewanie wyrwał go z głębokiej zadumy, zmuszając do otworzenia oczu.

— *Jesteśmy na miejscu* — rzekła i przyklęknęła, by ułatwić mu zejście.

Marmurowa posadzka świątyni połyskiwała w poświacie księżyca i w szparce pod drzwiami Vanyel zauważył odbijające się o płyty światelka świec. Ześlizgnął się z grzbietu Yfandes i korzystając ze swego nowego zmysłu „wysłuchał” się w ciszę świątyni, upewniając się, czy nie ma tam kogoś poza nim.

Nie było nikogo.

Zimny wiatr przeszył go dreszczem. Strój dobrał wprawdzie z jak największą starannością — włożył czarną jedwabną tunikę i bryczesy, w których najbardziej podobał się Tylendelowi — ale nie ogrzewany już ciepłem ciała Yfandes, narażony był na chłód wiatru przenikającego przez ubranie.

— *Ale tylko na chwilę* — przestrzegła go Yfandes, gdy przywarłszy całym ciałem do drzwi prowadzących do wnętrza, usiłował otworzyć tkwiącą w nich zasuwę.

— *Tak, Yfandes* — odparł ze szczerością. — *Tylko na chwilę.*

Uchylił drzwi i zaraz zamknął je za sobą, a wtedy... najciszej jak potrafił, przesunął rygiel.

Za drzwiami nie odezwało się żadne rzenie, uznał więc, że Yfandes nie zauważyła, iż zasuwę powróciła na swe dawne miejsce. Odwrócił się, zbierając wszystkie siły na następny krok, i stanął twarzą do ołtarza.

Sama świątynia był malutka, niewiele większa od wspólnej izby ich apartamentu. Całe jej wnętrze wyłożone było białym marmurem, a ściany odbijały płomyki świec, rozpalając je roziskrzonym blaskiem. W pomieszczeniu stały tylko dwie ławki i ołtarz, a za nim lichterze pełne świec. Ścianę w ich tle pokrywał subtelny relief figuralny przedstawiający skłębione chmury, księżyc, gwiazdy i słońce. Chmury ukształtowano w wyobrażenia twarzy kobiety i mężczyzny, na których przy każdej zmianie natężenia światła pojawiały się coraz to nowe emocje.

Przed ołtarzem stały mary.

Z każdym krokiem nogi Vanyela ugięły się coraz bardziej. Zbliżył się ostrożnie do okrytego białym całunem podwyższenia i opuścił wzrok na leżące na nim ciało.

Tylendel był odziany w pełną Biel. Kiedy leżał tak z zamkniętymi oczami, na jego urodziwej, spokojnej twarzy nie dało się dostrzec żadnych śladów rozpacz i obłąkania. Jego piękne, silne dłonie, które kiedyś przynosiły jego ukochanemu tyle ukojenia, spleciono na jego piersi. Zdawało się, że wygląda tak samo, jak każdego ranka, kiedy budząc się pierwszy, Vanyel przyglądał mu się, pogrążonemu we śnie. Jego długie, złociste kędziory spływały na białą tkaninę, a kilka splecionych loczków wprowadzało małe zamieszanie nad prawą skronią. Policzki ocieniały długie, ciemnozłote rzęsy. Tylko ta dziwna pozycja zdradzała nienaturalność. Tylendel nigdy, przez cały czas jaki spędzili razem, nie spał inaczej jak z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami.

Vanyel lekko wyciągnął dłoń i dotknął gładkiego policzka, z wiarą, że wystarczy go tylko musnąć, by Tylendel zbudził się na nowo.

Ale policzek był zimny — zimny jak marmurowa płyta ołtarza — a powieki nawet nie drgnęły. Tylko w baśniach zdarza się, że śpiącego królewicza budzi ze snu magiczny dotyk ukochanej osoby; a to, co działo się tutaj, nie miało z baśnią nic wspólnego.

— Tylendelu, proszę, przebac mi — wyszeptał prosto w twarz chłopca i wyciągnął nóż z białej pochwy u jego paska. — Zapłacę za wszystko, co cię ode mnie spotkało.

Jego ręce drżały, ale wola wciąż pozostawała niezachwiana.

W pośpiechu — jakby obawiając się, że odwaga może go opuścić — pochylił się i wiedziony nadzieją, że i to zostanie mu wybaczone, złożył pocałunek na zimnych ustach. I nagle ogarnął go taki smutek, że nie miał już nawet sił, by zapłakać. Potem uklęknął na lodowatym marmurze podłogi, u stóp marów, ścisnął kolanami rękojeść sztyletu i przycisnął nadgarstki do obydwu ostrzy noża.

— Lendelu, bez ciebie wszystko straciło sens. Wybacz mi... jeśli tylko możesz — szepnął, zwracając się jednocześnie do Tylendela i zadumanych twarzy w tle ołtarza.

A potem, nim zdążył dopaść go lęk, przeciągnął szybko obie ręce po ostrzach, rozcinając je równocześnie.

Dobrze naostrzony sztylet spełnił jego nadzieje, ale i przerósł oczekiwania. Rozpruł oba nadgarstki niemal do kości. Vanyel zachwiał się, ból zatrzymał mu oddech i szarpnął ramionami. Nóż, uwolniony mimowolnym drgnieniem kolan, upadł z brzękiem na marmurową posadzkę.

Oszołomiony nagłym zawrotem głowy, Vanyel zawisł ku przodowi i wreszcie runął na podłogę. Głowa opadła na dłonie, a ramiona spłynęły bezwładnie na marmurową posadzkę. Biały kamień zalała krew, tworząc kałużę wokół okaleczonych rąk. Vanyel przypatrywał się temu z niezdrową satysfakcją.

Czerwone na białym. Jak krew na śniegu. . .

I dopiero w tym momencie Yfandes zorientowała się, co robi jej Wybrany.

Zarżała głośno i rzuciła się na drzwi, kopiąc w nie z całych sił.

Ale było już za późno. Wzrok Vanyela tracił ostrość, a ból w nadgarstkach stał się obojętny.

Wciąż jednak chłopiec czuł straszny, przejmujący chłód.

— *Przykro mi.* — Na wpół oszołomiony zwrócił się w myśli do swego oszalełego Towarzysza, pograżając się w nieprzytomności. Czuł, jak jego ciało przechyla się na bok. — *Yfandes, przepraszam. . . znajdziesz sobie kogoś. . . lepszego ode mnie. Kogoś, kto będzie ciebie wart.*

— Nie ma go? — Głos Savil załamał się. — Co, u diabła, ma znaczyć: „nie ma go”?

— Savil, przysięgam, chłopak spał. Uciałem sobie krótką drzemkę, a kiedy się obudziłem, już go nie było — odparł Jaysen, targając ręką kępkę włosów z boku głowy. Na jego twarzy wściekłość mieszała się z poczuciem winy. — Myślałem, że może wymknął się do wygodki, ale nie mogłem go nigdzie znaleźć.

Savil wyskoczyła z łóża i przetała oczy, usiłując zebrać myśli. Dokąd Vanyel mógł pójść i, na bogów, po co?

Odpowiedź jednak przyszła w mgnieniu oka — zza rzeki dobiegło ją przerażone, rozwścieczone rzenie Towarzysza, a w jej głowie zabrzmiał świdrujący pisk jej własnej Kellan:

— Savil. . . chłopiec. . . — I przed jej oczami stanął obraz miejsca, gdzie uciekł Vanyel i tego, co z sobą zrobił.

Wstrząśnięty wyraz twarzy Jaysena pozwolił jej wywnioskować, że i jego Felar zdążyła powiedzieć mu, co zaszło.

— Bogowie! — Savil porwała płaszcz z krzesła przy łóżku i boso wybiegła przez wspólną izbę ku pokojowi Vanyela. Na karku czuła oddech biegnącego zaraz za nią Jaysena.

W szaleńczym pędzie pchnęła drzwi do ogrodu. Na szczęście były otwarte, inaczej swoim uderzeniem wyrwałaby je z zawiasów. Chłód nocy zdzielił ją w twarz niczym ręka jakiegoś szubrawca. Zatrzymało ją to na chwilę — na bar-

dzo krótką chwilę. W sekundzie pojawiły się Felar i Kellan, galopując ku nim co sił. Felar zaryła kopytami w ziemię i obróciła się w miejscu, podstawiając zad swemu Wybranemu, który wskoczył na niego z taką zwinnością, że gdyby nie powaga sytuacji, Savil nie omieszkałaby skomentować tego jako popisu podyktowanego próżnością. Teraz jednak wyczekała, aż zatrzyma się jej Towarzysz, po czym wdrapała się na jego grzbiet, marszcząc koszulę nocną wokół nóg. Potem z całych sił przywarła do ciała Kellan, gdy ta zerwała się i ruszyła przed siebie w pełnym galopie.

Teraz Jaysen, młody herold Kasztelana, wyprzedzał Savil o włos, wiodąc ją przez najbliższy most na Łakę Towarzyszy i dalej, ku świątyni w Lasku. Nie oni jedyni zareagowali na oszalałe wrzaski i wołania myśli Yfandes. Heroldowie i uczniowie wybiegali teraz z pałacu niczym podekscytowane mrówki. Dosiadając swych Towarzyszy, rzucili się pędem w stronę mostu.

Jednak Jaysen i Savil pierwsi dotarli na miejsce, korzystając z wątpliwego przywileju oglądania Yfandes usiłującej sforsować nie ustępujące ani o włos masywne brązowe drzwi świątyni. Spod jej kopyt trących o metal sypały się iskry, a jej wrzaski pełne udręki przypominały raczej ludzkie żalosne zawrozczenia niżli rżenie konia.

Jaysen zeskoczył z grzbietu Felar w pełnym biegu i nie robiąc sobie nic z niebezpieczeństwa, dał nura wprost pod kopyta Yfandes, by samemu spróbować rozprawić się z drzwiami.

— Są zamknięte od środka! — zawołał, niepotrzebnie zresztą, bo Savil, ześliźnawszy się z Kellan, stała już obok niego. Przycisnął ramię do drzwi i pchnął je, ale nie udało mu się zdziałać więcej niż Yfandes.

— Vanyelu! — Savil przyłgnęła twarzą do szpary między drzwiami a futryną i zawołała: — Vanyelu, chłopcze, wpuść nas do środka!

Teraz przyłożyła do szpary ucho, próbując wyłować jakiś dźwięk, ale nie usłyszała nic.

— *Kellan...*

— *Yfandes powiada, że on żyje, ale słabnie i jest nieprzytomny.* — Doszła ją odpowiedź. Yfandes wierzgała w miejscu; jej szafirowe oczy przystoniła rozpacz, nadając im odcień bliski czerni.

— Niech ktoś oświetli magiczną lampką tę przeklętą wieżę.

Był to głos Mardika. Położył ręce na ramionach Donni i z zadartą głową patrzył na dzwonicę. Donni trzymała w dłoni kuszę z potężnym pociskiem przygotowanym do wystrzału.

Savil pierwsza odpowiedziała na jego wołanie, odsuwając się od drzwi na tyle, by móc dojrzeć czubek wieży. Jej światełko płonęło jednak zbyt bladym blaskiem, by Donni mogła wycelować kuszę. Wtedy wyrzuciwszy ramiona w górę, posłała w górę taką moc energii, że cały czubek wieży zalała jasność.

Mardik zamknął oczy i koncentrując się, przybrał groźną minę. Donni uniosła kuszę, starannie wycelowwała i wystrzeliła.

Użyta przez nią strzała o dość niecodziennym kształcie leciała wolno i dziwnym torem, a w dodatku ciągnęło się za nią coś jaskrawego. Dopiero po chwili Savil uświadomiła sobie, co to było. Nim Donni została Wybrana, terminowała u pewnego złodziejaszka, a pocisk, który przed chwilą wystrzeliła, to kotwica ciągnąca za sobą lekką, ale mocną linę. Kotwica miała zaczepić się o parapet okna. Mardik posiadał co prawda bardzo słaby, lecz niesłychanie przydatny dar przenoszenia. Użył go, by nakłonić strzałę do wyniesienia w górę czegoś cięższego niż cienki sznur, a mianowicie liny do wspinaczki.

Pocisk wpadł przez okno do dzwonnicy, z brzdękiem objając się o Dzwon Śmierci. Savil przeszył dreszcz, a ona sama uczyniła gest, jakby chciała oddać zło. Inni zrobili to samo. Zobaczyła, że wszyscy ludzie zgromadzeni wokół świątyni zareagowali na dźwięk Dzwonu z takim samym poruszeniem, a z gardła Yfandes wydarł się żaloszny jęk.

Zwykle ożywiona twarz Donni nie zdradzała żadnych uczuć. Dziewczyna nie zważała na nic, koncentrując się w pełni na strzale i linie. Cała jej uwaga skupiona była na wykonywanym właśnie zadaniu. Powoli — zdawało się, że trwało to wieki — przyciągnęła do siebie linę, a Savil z trudem powstrzymała się od ponaglenia jej. W końcu Donni wyczuła opór, szarpnęła, pociągnęła jeszcze mocniej, wreszcie uwiesiła się na sznurze całym swym ciężarem.

Nim Savil zdążyła mrugnąć, Donni pięła się w górę jak wiewiórka.

Jeden czy dwóch uczniów wyraziło swe uznanie, Donni jednakże zignorowała ich aplauz. Dotarła do okna i precyzyjnie się do środka, a Savil — ku swemu zaskoczeniu — spostrzegła, że Mardik podąża jej śladem. Wcześniej tak bardzo zajęta ją wspinaczka Donni, że w ogóle nie zauważyła, iż wskoczył na linę, i zobaczyła go dopiero wtedy, gdy znalazł się w obrębie magicznego światła.

Savil dała susa z powrotem pod drzwi — tłum rozsunał się, by ją przepuścić — i wraz z innymi czekała, drżąc w zniecierpliwieniu.

— *Uspokój się, Savil.* — Usłyszała głos myśli Mardika. — *Żyje. Na szczęście nie wiedział, jak skutecznie podciąć żyły. Donni zatamowała krew, ale czym prędzej potrzeba tu Uzdrawiciela. Yfandes walcząc z drzwiami, wypaczyła je, więc otwarcie ich zajmie nam trochę czasu.*

Mardik zaczął od środka uderzać w drzwi i zmagając się z wielkim ryglem, jął przesuwac go centymetr po centymetrze. Tymczasem z tłumy wyłoniła się rosła sylwetka odziana w Zielę uzdrawicieli. Andreł rozchylił ramiona i zagarnął Savil pod swój ciepły, podszyty futrem płaszcz.

Wreszcie drzwi ustąpiły i otworzyły się ze skrzypieniem. Andreł natychmiast opuścił Savil, zostawiając ją nagle w posiadaniu ciężkiego płaszcza, lecz i ona zaraz podążyła za nim do środka.

Donni kłęzczała u stóp podwyższenia z trumną. Dookoła niej na marmurowej

posadzce rozlewała się szkarłatna plama. Trzymała w dłoniach obie ręce Vanyela, który leżał na podłodze przy marach z twarzą powleczonej niemal przezroczystą bledością podobną do bieli marmuru pod jego głową. Chłopiec tracił przytomność. Andreł, nie troszcząc się o swe odzienie, klękał właśnie obok niego w kałuży krwi, i wyciągnawszy ręce, zacisnął je mocno na zakrwawionych dłoniach Donni. Tymczasem Savil, wraz z innymi niedoszłymi ratownikami, chwiejnym krokiem zbliżyła się ku nim.

Twarz Andreła zastygła w absolutnym skupieniu i Savil poczuła płynącą od niego moc. Jednakże uświadamiając sobie, że Andreł ma za sobą ciężki dzień pełen napięć i bardzo krótki wypoczynek, wiedziała, iż nie starczy mu sił na zbyt długo...

Podbiegła ostatnie kilka kroków i złożywszy ręce na jego ramionach w chwili gdy zaczął słabnąć, uwolniła swą energię, przesyłając ją ku niemu silnym, równomiernym strumieniem. Przez krótką chwilę poczuła więź z Jaysenem, Mardikiem i Donni. Wszyscy czworo spleli się w niemalże idealną jedność. Nigdy jeszcze nie była nawet świadkiem tak idealnego zespolenia podczas jakiegokolwiek zabiegu magicznego.

W końcu uzdrowiciel odetchnął i odjął swe dłonie od rąk Donni, a wtedy pozostałe trzy osoby, idąc jego śladem — lecz nie ukrywając niechęci, z jaką przerywały zabieg — zrobiły to samo. Nawet heroldom nieczęsto zdarzało się doświadczyć upajającego uczucia wszechogarniającego spokoju, które przychodziło po osiągnięciu doskonałego zespolenia energii uzdrowicielskich. Było to doznanie niemal mistyczne, przywodzące na myśl wyobrażenia o błogiej ciszy niebios, tak upragnionej przez Savil. Przez całe życie marzyła, że tego właśnie chciałaby doświadczyć, gdy już zostanie wezwana.

Wreszcie Donni uniosła dłonie z nadgarstków Vanyela, odsłaniając je przed wzrokiem innych, i Savil zobaczyła, że żyły, ścięgna i pokrywająca je skóra są znów całe, jakby w ogóle nietknięte. O ranach przypominały jeszcze jaskrawoczerwone blizny, lecz i one natychmiast zniknęły, zostawiając po sobie cieniutkie, białe kreseczki.

Jaysen energicznym ruchem przygarnął chłopca do siebie. Krew z rękawów chłopca zakrzepła na jego białej tunice, ale on zdawał się w ogóle tego nie zauważać.

Głowa Vanyela opadła mu bezwładnie na pierś. Mimo wszelkich ruchów, chłopiec w dalszym ciągu nie zdradzał oznak odzyskiwania przytomności.

Savil pomogła Andrełowi wstać i przysunąć się bliżej chłopca. Uzdrowiciel, wyciągnawszy drżącą rękę, sprawdził puls na szyi Vanyela, a potem uniośł powiekę. Wreszcie potrząsnął głową.

— Jest gorzej, niż myślałem, a w dodatku, biorąc pod uwagę jego ostatnie przeżycia, stracił zbyt wiele krwi — powiedział Andreł, marszcząc brwi. — Jaysenie, czy mógłbyś razem z Felar przenieść go piorunem z powrotem do łóżka?

— Nie — przerwała mu Savil. — Nie, musicie zostawić to mnie i Yfandes. Jays, podasz mi go, jak tylko wsiądę na jej grzbiet.

Przecisnęła się przez milczący, ogarnięty szokiem tłum i tuż przed wejściem spotkała czekającą w pełnej gotowości Yfandes. Jej oczy odzyskały już spokój i na powrót przybrały swój bezdennie szafirowy odcień. Zajrzała teraz głęboko w oczy herolda i przyklęła, by ułatwić jej dosiadanie.

Savil wspięła się na jej grzbiet, a Yfandes z gracją, ani razu nie poślizgnąwszy się na gładkiej posadzce, uniosła się na równe nogi. Potem Savil, nie mogąc się nadziwić własnemu opanowaniu, wyciągnęła ramiona, a Jaysen uniół bezwładnego Vanyela i posadził go przed nią. Objęła ramieniem jego ciało i otuliła ich oboje płaszczem Andreła. Nie czuła w ogóle ciężaru chłopca... zdawał się nader lekki w porównaniu do udręki ciężającej na jej sercu i sumieniu.

Och, chłopcze, chłopcze... — westchnęła, spinając piętami Yfandes. Biedny chłopcze... wprowadziliśmy okrutny zamęt w twoje życie, prawda? A wszystko przez obojętność na twe uczucia. Nie wiem już, kto ponosi za to większą winę, ja czy Withen.

Przytuliła go jeszcze mocniej. Tymczasem Yfandes, idąc lekkiego stępa, zbliżała się do drzwi jej mieszkania, które teraz zdały się niczym mrugająca latarnia na rozszalałym morzu. Vanyel był wszystkim, co zostawił jej po sobie Tylendel, dlatego poprzysięgła pogrążonemu w wiecznym śnie chłopcu w świątyni, że dołoży wszelkich starań, by odtąd być jego ukochanemu lepszą opiekunką.

Ale najpierw muszę postawić cię na nogi, mój biedny, zagubiony chłopczyku. Oby tylko mi się to udało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Savil zdawało się, że minęły wieki, nim udało się jej w końcu założyć jakieś ubranie. Jakże pragnęła pokrzepiającego snu, jakże tęskniła do chwili, kiedy będzie wreszcie mogła się położyć. Potrzebowała odpoczynku, jak głodujący łaknie chleba, lecz nie miała odwagi zostawić Vanyela bez opieki. W końcu przysunęła sobie do łóżka fotel, w którym wcześniej siedział Jaysen, i owinęła się pierwszym ciepłym nakryciem, jakie wpadło jej w ręce. Owym okryciem okazał się podszyty futrem płaszcz Andreła. Mimo okrutnego zmęczenia, postanowiła starać się nie zasnąć najdłużej, jak tylko będzie mogła.

Ale mniej więcej o świcie zapadła w drzemkę i obudził ją dopiero dźwięk stłumionego łkania.

Czym prędzej wyswobodziła się z krępującego ruchu okrycia i pierwszą rzeczą, jaka ukazała się jej oczom, gdy zdołała wyplątać głowę z fałdów kaptura, był oskarżycielski smutek w świdrujących ją oczach Vanyela.

— Dlaczego? — szepnął żałośnie. — Dlaczego nie pozwoliłaś mi tego zrobić?

Savil zrzuciła płaszcz, uniosła się z fotela i powiodła wzrokiem dookoła. Dokładnie wypełniając jej polecenia, Mardik stał na warcie u drzwi prowadzących do innych pokoi apartamentu. Donni drzemała, osunąwszy się na podłogę przy wyjściu do ogrodu. Minio iż tym razem zdawać by się mogło, że prawdopodobieństwo ponownej ucieczki Vanyela jest dość nikłe, to jednak Savil wołała nie ryzykować. Wszak i poprzednio nikt nie przypuszczał, że chłopiec zechce się wyniknąć.

Skinieniem głowy dała znak Mardikowi i przesłała mu myślą jeszcze jedno polecenie:

— *Wyjdź, złotko, to delikatna sprawa.* — A potem delikatnym muśnięciem myślodotyku zbudziła Donni. Dziewczyna ocknęła się momentalnie, wzbudzając w ten sposób zazdrość Savil, bo wyrwanie się ze snu nigdy nie przychodziło jej z łatwością. Donni podciągnęła się w górę po framudze drzwi za jej plecami i wraz z Mardikiem i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi do wspólnej izby.

Savil sztywno uniosła się z fotela; czuła ból w każdym stawie. Przysiadła na brzegu łóżka i ujęła dłonie Vanyela w swoje. Były lodowate i blade, jakby odpłynęła z nich cała krew.

— Nie pozwoliłam ci, ponieważ to był mój obowiązek — odezwała się. — Ponieważ... Vanyelu, samozagłada nie jest żadnym rozwiązaniem; ponieważ straciliśmy już jedną ukochaną osobę... i nie mogłam dopuścić, abyś i ty odszedł...

— Ale ja zasłużyłem sobie tylko na śmierć... — Jego słabutki głos załamał się na ostatnim słowie.

Unikał jej wzroku.

Wielcy bogowie, co kłębi się w tej głowie? Co on sobie wmawia?

— Czym? — zapytała głosem, który nawet w jej uszach zabrzmiał zbyt szorstko. — Tym, że popełniłeś błąd? Bogowie, jeśli za to miałyby grozić wyrok śmierci, to w takim razie i ja na niego zasługuję.

Od zimnych dłoni Vanyela marzły jej ręce, więc spróbowała je rozgrzać delikatnym rozcieraniem.

— Posłuchaj, Vanyelu. Wszystkie nieszczęścia, które nas ostatnio dotknęły są wynikiem wielu błędów. To ja popełniłam błąd, ponieważ powinnam była obserwować Lendela z większą uwagą i po śmierci jego brata nakłonić go do rozmowy z Lansirem. Troska o jasność naszych umysłów i prawość naszych serc należy do obowiązków Lansira. A niech to! Wiedziałam przecież, do czego zdolny był Lendel, gdy szło o Stavena! Na pewno nie udałoby mu się skryć tej obsesji przed uzdrowicielem umysłów! I Lendel popełnił wiele błędów — bogowie wiedzą, dlaczego. Powinien był najpierw pomyśleć, a dopiero potem działać. Próbowałam go do tego przekonać. My, heroldowie, uznajemy dowody pochodzące z odczuć zmysłowych! Wystarczyłoby, gdyby zwrócił się do kogoś z prośbą o wystuchanie jego argumentów i już mielibyśmy wystarczające dowody, aby ukrócić knowania Leszarów. To prawda, że i ty zbłądziłeś, ale szedłeś przecież za głosem serca. On potrzebował pomocy, poprosił o nią ciebie, a ty po prostu udzieliłeś mu jej tak, jak dyktowała ci to twoja dotychczasowa wiedza. A poza tym, bogowie, nawet Gala popełniła błędy!

Jej głos pod wpływem łez i poczucia winy brzmiał teraz chrapliwie, ale nie wstydziała się tego przed Vanyelem.

— Van, Van, jesteście tylko zwyczajnymi, omylnymi śmiertelnikami... nie świętymi, nie aniołami... błądzimy, popełniamy błędy, które czasem przyplacamy życiem... nierzadko umierają ludzie, których szczerze kochamy...

Zachłysławszy się szlochem, opuściła głowę.

Vanyel uwolnił dłoni z jej rąk i nieśmiało dotknął jej policzka. Czując na twarzy jego lodowate palce, pochwyciła je i ścisnęła, a potem podniosła wzrok i zajrzała w jego oczy. Nim zdążył je spuścić, dostrzegła w nich coś straszniejszego nawet od rozpacz.

— Myślałeś, że bez ciebie ten świat stanie się lepszy, czyż nie tak?

Skinął potakująco, głupawo, a jego ręce zadrżały w jej dłoniach.

— Nie myślałeś, jak ja się poczuje? Byłeś miłością Lendela. Czyż nie przyszło ci do głowy, że choćby przez wzgląd na jego pamięć, staniesz się bliski memu

sercu?

Jak miała do niego dotrzeć... jeśli nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze ze słowami?

— Dziś go pochowałam. Myślałeś, że twój pogrzeb byłby mi obojętny? A co z Jaysenem? Zostawiłam go tutaj, aby miał ciebie na oku. Myślisz, że jest zadowolony ze swej nieostrożności? Jak ci się wydaje, co by czuł, gdybyś umarł? A poza tym, bogowie... zastanawiałeś się, co zrobiłaby Yfandes?

— Myślałem... myślałem, że poszuka sobie kogoś lepszego — wyjąkał drżącym z lekka głosem.

— Umarłaby, mój drogi. Towarzysze nieczęsto żyją dłużej niż ich Wybrani. A ona wybrała c i e b i e. Jeśli umrzesz, to i ona umrze. Najprawdopodobniej zmarniałaby i uszła z tęsknoty, a ona na to nie zasługuje.

Vanyel skulił się, odsuwając się od niej coraz bardziej. Widząc to, Savil przekląła niezręczność swych słów. Przekląła się za to, że nie potrafi przekazać Vanyelowi tego, co zamierzyła, bez zadawania mu dalszych cierpień.

— Van... och, do diabła... miałam to powiedzieć zupełnie inaczej. Posłuchaj, jesteś chory i aby wydobrzej, musisz odpoczywać. Innymi sprawami zajmiemy się później, dobrze? Po prostu... nie odchodź jeszcze z tego świata. Jeśli sobie pójdziesz, to w życiu niektórych ludzi pojawiają się ogromne, puste wyrwy. Wiem, bo sama jestem jedną z tych osób.

Vanyel pokiwał głową. Nie wyglądał na przekonanego, ale Savil wykorzystała już całe zasoby swej skromnej elokwencji i nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Wykorzystała zatem jeszcze jeden sposób.

Oby tylko udało mi się utrzymać go przy życiu... jeśli to się powiedzie, może będzie można mu pomóc.

— Czy jesteś gotów dać mi słowo honoru, że nie będziesz próbował zrobić tego jeszcze raz? Jeśli tak, zaufam ci i nie postawię straży pod twymi drzwiami.

Vanyel przełknął ślinę, wysunął dłonie z jej uścisku i wyszeptał urywającym się głosem:

— Przyrzekam. Słowo honoru. — W dalszym ciągu nie patrzył jej w oczy, ale mimo to zaufała jego słowom.

Skinęła.

— Przyjmuję twe słowo. A teraz powiedz mi, czy jest coś, cokolwiek, co mogłabym dla ciebie zrobić? — Może... może chciałbyś porozmawiać?

Potrząsną głową, Savil wyczuwając, że zupełnie już wycofał się z rozmowy, znów zakłęła. A niech to, akurat teraz, gdy tak bardzo potrzebuję Lansira, nie ma go tutaj.

— Na pewno? — Napierała nawet w obliczu klęski. Taką już miała naturę. — Vanyelu... Vanyelu, tylko tobie Lendel był tak bliski jak mnie. Jeśli... chciałbyś z kimś nad nim zapłakać...

Jeszcze raz potrząsnął głową, unikając jej wzroku, a Savil westchnąwszy, postanowiła się poddać.

— Gdybyś zmienił zdanie... cóż, odpoczywaj. Zdrowiej szybko i zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebował... myślą czy głosem, obojętnie. Usłyszę cię.

Skinął lekko głową, a potem zamknąwszy oczy, położył się i odwrócił twarzą do ściany. Bładość jego twarzy nie odróżniała się od poduszek, na których spoczywała jego głowa. Zabolał Savil ten zagubiony wyraz jego oczu. Nie odchodziła jeszcze przez chwilę, czekając na jakąś reakcję, może prośbę, ale na Vanyela spłynął już płytki, niespokojny sen. W końcu podniosła się, zabrała z fotela płaszcz Andreła i wyszła, zostawiając Vanyela samego.

O zachodzie słońca przyszedł Andrel. Savil zaprosiła go, by mógł odebrać swój płaszcz, podzielić się z nią przemyśleniami na temat ostatnich wydarzeń i spożyć z nią wieczorny posiłek. Obydwoje mieli już za sobą wiele takich intymnych kolacyjek, z których większość odbywała się w tym właśnie pokoju, lecz nigdy dotąd nie towarzyszyło im przy tych okazjach takie widmo smutku. Tymczasem Mardik i Donni poszli zasięgnąć języka wśród wielbicieli Vanyela i przeprowadzić staranny wywiad, czynnie istnieje jeszcze jakaś osoba, która mogłaby okazać się pomocna w wyciągnięciu duszy Vanyela ze stanu zamętu, w jaki niewątpliwie popadła.

Maska Sokolich Braci wisząca nad lewym ramieniem Andreła nieubłaganie wbijała w nią beznamiętny wzrok swych pustych otworów na oczy. Płomienie świec migotały na stole pomiędzy dwojgiem biesiadników.

Żadne z nich nie miało siły przełknąć czegokolwiek z podanej im kolacji; myślami cały czas byli przy chłopcu śpiącym za drzwiami, za plecami Savil.

— Potrzebujemy — zaczęła ponuro Savil, przymuszając się do jedzenia, które w ogóle jej nie smakowało — Lansira. Potrzeba nam jego umiejętności uzdrawiania umysłów. Z każdą chwilą Vanyel coraz bardziej zamyka się w sobie i za nic nie chce mi pozwolić zbliżyć się choć trochę. Znów buduje dookoła siebie jakąś barierę. Co prawda odmienną od tej poprzedniej, polegającej głównie na arogancji wobec świata, ale ta różnica nie gra tu żadnej roli, bo i tak pozostaje faktem, że chłopiec stara się wyizolować. Niestety jednak Lansir na razie pozostaje nieosiągalny.

Andrel, dziobiąc widelcem na talerzu, przesuwiał kawałki jedzenia z jednego jego krańca na drugi. Wreszcie westchnął ciężko, wprawiając płomyk świecy w swoisty taniec.

— Muszę się z tobą zgodzić. Ale czy nie można by sprowadzić Lansira przy pomocy Bramy?

Savil potrząsnęła głową, opędzając się od ogarniającej ją rezygnacji. Rozmawiała już o tym z Jaysenem.

— Nie ma mowy, ponieważ nie wiemy nawet, gdzie on może być w tej chwili. Poza tym, jego zmysł myśloczucia nie jest aż tak silny, by mógł odczytać dalekonośne przesłanie. Nie jesteśmy też w stanie przewidzieć, jaką obierze drogę powrotną. Istnieje przecież około pięciu różnych tras. Gdyby coś się stało Elspeth, nikt nie miałby nam za złe wyprawienia na jego poszukiwania aż pięciu heroldów, ale Vanyel nie jest żadną ważną osobistością. — Jej głos nagle zabrzmiał zjadliwie. — W każdym razie, tak mi właśnie powiedziano.

Andrel zmarszczył czoło, aż jego brwi połączyły się w jedną kreskę.

— Ale może zostać ważną osobistością. Osłaniam go, jak tylko potrafię, ale traumatyczne przeżycia ostatniego czasu wciąż znajdują sobie jakieś ujście i rozsiewają smutek dookoła. Większość uczniów pogrążyła się w takiej rozpacz, że zaczynają już płakać po kątach, a najgorzej jest z kandydatami na bardów, uzdrowicieli i heroldów. Wszystko przez te ulatniające się wciąż doznania Vanyela.

— A czego się spodziewałeś? — odparowała, nie ukrywając autentycznej złości. — Widziałeś przecież, że jego dary mają nieprzeciętną moc i głębię. Nawet bez przygotowania bezwiednie nadaje dalekonośne przesłania, a o osłanianiu swego umysłu wie dokładnie tyle, co o lataniu! Nie co dzień mamy do czynienia z przypadkiem, kiedy połączoną więzami życia parę rozdziela samobójcza śmierć jednego z kochanków. Toteż nawet staranne szkolenie nie byłoby w stanie pomóc Vanyelowi zwalczyć tego przenikania jego żalu do serc innych. A jednak nikt nie chce dać wiary, że dary Vanyela to niezwykła siła. Wszyscy uważają, że poddając się rozpacz po śmierci Tylendela, tracę poczucie rzeczywistości i wyolbrzymiam znaczenie wszystkiego, co miało z nim jakikolwiek związek.

— Na bogów! — Andrel podniósł wzrok znad talerza, z wyrazem twarzy upodabniającym go do przerażonej owcy. — Vanyel i Tyndel... połączeni więzią życia?

Savil bez entuzjazmu skinęła potakująco.

— Jestem tego niemal pewna. Co gorsza, także Mardik i Donni to potwierdzają, a oni, jako para połączona takimi więzami, znają się na tym najlepiej. Spodziewałam się smutku, żalości — naturalnych reakcji młodego chłopca, który w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach stracił swego pierwszego kochanka. Nie przewidziałam, że zobaczę rozpacz i zdruzgotaną psychikę. Nigdy nie zetknęłam się z tak głębokim uczuciem u żadnego herolda, z wyjątkiem oczywiście Mardika i Donni. A zatem powiedz mi, jak, do diaska, radzić sobie z przerwana więzią życia?

Andrel potrząsnął głową; był wyraźnie zbity z tropu.

— Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie znam odpowiedzi. Nie uzdrawiam umysłów, uzdrawiam ciała. I nie znam nikogo, kto potrafiłby uleczyć serce.

Savil westchnęła i spuściła oczy na zakrzepłe, zimne jedzenie na talerzu.

— Obawiałam się, że to właśnie mi powiesz. W dodatku mamy jeszcze jeden problem: w ich związku Lendel był przywódcą, Vanyel zaś był tym, który się pod-

porządkowywał. Vanyel całkowicie się od Lendela uzależnił emocjonalnie. Próbowalam przestrzegać Lendela przed tym, ale... — Wzruszyła ramionami. — Na domiar złego Vanyela przygniata okrutne poczucie winy i chłopiec nie pozwala wybić sobie z głowy przeświadczenia, że to on skazał na śmierć Lendela, ponieważ go uwiódł. Pozwolę sobie zauważyć, że o ile mi wiadomo, nikt tutaj nikogo nie uwiódł, a jeśli uwiódł, to zrobili to obaj jednocześnie. Ale... cóż.

— Jaysen — stanowczym głosem rzucił Andrel.

Skinęła.

— W rzeczy samej, mój drogi przyjacielu. Jaysen nie potrafi zerwać ze swymi uprzedzeniami względem związków ludzi tej samej płci, które wyniósł z Klejmaru. Zaakceptował Lendela dopiero po tym, jak rzuciłam mu prosto w twarz, że jest nietolerancyjny. Ale Vanyel? Gdy zeszli się z Lendelem, nie był nawet kandydatem na herolda. Jays nie powiedział co prawda ani słowa, lecz nietrudno się domyślić, o czym dumał siedząc przy jego łóżku.

— A Vanyel to podchwycił — rzekł Andrel ze smutkiem.

— Prawdopodobnie. — Wzięła kęs jedzenia, ale czując, że zimna papka utknęła jej w gardle, zrozumiała, że nie jest w stanie nic przełknąć i odsunęła talerz.

— Z tego, co zauważyłam, wnioskuję, że Vanyel potrafiłby wyciągnąć z pamięci człowieka rzeczy, do których ten nie powracał latami, a osłony nie stanowiłyby wtedy żadnej przeszkody. Ach, na bogów.

Oparła łokcie na stole i zakryła rękami zmęczone oczy. Po chwili poczuła na głowie dłoń Andreła delikatnie głaszczącą jej włosy. Położyła ręce na stole i zatopiła spojrzenie w swym przyjacielu. W jego nieruchomych zielonych oczach, patrzących na nią przez płomień świec, odbijała się głęboka troska.

— A ty? — zapytał nieomal szeptem.

— Staram się dotrzeć do niego — odparła bliska rezygnacji, czując się nagle stara i umęczona. — Zdołałam nawet przekonać samą siebie, że Vanyel za nic nie ponosi winy większej niż ktokolwiek inny. I mam nadzieję, że to prawda, bo inaczej nawet ja go nie oszczędzę. A on przecież nie zasługuje na to. Co do reszty spraw... bogowie, nie mam najmniejszego pojęcia, jak postępować.

— Nie o to pytałem — powiedział, biorąc ją za rękę. — Chcę wiedzieć, jak to znosisz. Może potrzebujesz wsparcia?

— Chcesz znać prawdę? — Drżała już na całym ciele, ze wszystkich sił powstrzymując się od krzyku. — Tak, potrzebuję wsparcia i nie, nie znoszę tego dobrze. Tak bardzo bym pragnęła, by wrócił Lendel, Andrełu, on był mi jak syn, jak syn mojej duszy, kochałam go i chcę go mieć z powrotem przy sobie.

Głos jej się załamał, porzuciła wszelkie pozory opanowania i załapała się łzami. Andrel wstał, powoli, nie wypuszczając z ręki jej dłoni, obszedł dookoła stół, pomógł jej podnieść się i podprowadził do kanapy. A potem już tylko dołożył wszelkich starań, by przekonała się, że nie musi zмагаć się ze swymi problemami

w samotności.

Spokojem nocy nieoczekiwanie wstrząsnął rozdzierający serce lament. Vanyel wił się w konwulsjach. . .

Jego krzyk, podobny do ryku umierającego zwierza, zjeżył włos na głowie Savil.

Drgawki wstrząsały całym pokojem. Ściany dygotały szarpane skurczami mięśni chłopca.

Szeroko rozwarte oczy nic nie widziały, źrenice rozszerzył strach. Vanyel szarpnął się ponownie, a wraz z nim pałac zatrzęsł się w posadach. Łóżko podskoczyło, jakby nagle ożyło. Lutnia zawieszona na ścianie spadła z trzaskiem, który przekreślił wszelkie nadzieje na reperację. Stojak na zbroję runął, a części ekwipunku rozsypały się po całym pokoju. Savil stojąca przy łóżku Vanyela padła na podłogę prędzej, niżli zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Szybko jednak dźwignęła się na równe nogi i nie zważając na zagrożenie i sińce, jeszcze raz rzuciła się na Vanyela.

Ten szarpał się na wszystkie strony, okładając ją z nieludzką siłą. Nie wiedział już, gdzie się znajduje ani kim jest. Miotał się tylko w niewyobrażalnej męczarni, pod której powłoką Savil wyczuła ból, dezorientację i panikę zwierzęcia w potrzasku. Chwyliła go za nadgarstki i spróbowała przycisnąć je do poduszki, a potem przydusiła kołdrą jego samego. Wygiął się w łuk, z jego gardła dobył się wrzask, a ścianami wstrząsnął jego skurcz.

Mardik, nieprzytomny, leżał w rogu pokoju. Donni, trzymając jego głowę na kolanach, osłaniała go własnym ciałem przed spadającymi na nich przedmiotami. Kiedy zaczął się koszmarny sen Vanyela, Mardik popełnił ten drobny błąd i próbował dotrzeć do jego umysłu, by wyrwać go ze snu. Wtedy niespodziewanie Vanyel rzucił nim o ścianę.

— *Donni. . .* — Savil wykorzystwała chwilę ciszy, aby porozumieć się myślą ze swą podopieczną. Zrobiła to odrywając drobną cząstkę uwagi skupionej na próbie — próbie, gdyż nie przynosiła ona żadnych rezultatów — osłaniania Vanyela i zapanowania nad nim w jakikolwiek sposób. — *Donni, co z Mardikiem?*

— *Nic poważnego, jest tylko ośluszony* — zapewniła dziewczyna. — *Mogę użyzyć ci trochę mojej siły. Chwytaj, prędko. . .*

Donni „rzuciła” jej wiązkę myśli, a gdy tylko Savil „pochwyliła ją”, zaczęła przesyłać dodatkową porcję niezbędnej energii.

Niestety pozwoliła ona jedynie utrzymać przytomność Savil po strasliwym smagnięciu bicia rozszalałych zmysłów Vanyela.

Z pomocą nadbiegał Jaysen. Savil poczuła, że próbował rozeznaczyć się w sytuacji i zauważyła panikę ogarniającą jego umysł, gdy zorientował się, że próbują właśnie okiełznać obdarzonego wielką mocą chłopca, uwięzionego w pułapce za-

łości i halucynacji. Wyłamał drzwi, aby dostać się do pokoju, i bez chwili zastanowienia rzucił się w wir walki.

— Do diabła, osłaniaj go — krzyczał, skacząc na nogi Vanyela. Ściany, choć już nie cały budynek, zatrzęsły się ponownie.

— Właśnie usiłuję to robić — rzuciła. Poniechała teraz wszelkich wysiłków, by utrzymać pod sobą całe ciało Vanyela, i ograniczyła się do samych rąk. — Niszczycy moje osłony szybciej, niż ja nadażam je wznosić!

Jaysen, dużo cięższy od Savil, zdołał unieruchomić całe ciało Vanyela. Zaraz potem dołączył do Savil i Donni, wspomagając ich beznadziejne zabiegi w celu osłaniania chłopca. Ale i to na nic się zdało. Ich panowanie nad chłopcem słabło z każdą chwilą, a sam Vanyel oddalał się, coraz bardziej pograżając się w swym koszmarze.

Wpadł Andreł. Savil nie zauważyła nawet, gdy pojawił się w pokoju. Po prostu nagle wyrósł przed nią i zamiast natychmiast rzucić się w zamęt oszalałej walki, począł odrywać ich ręce od ciała chłopca.

Sięgnął po coś stojącego na podłodze, uniósł wiadro z lodowatą wodą i bez chwili wahania chlusnął ją wprost na Vanyela.

Ten momentalnie wyrwał się ze snu i konwulsje ustały.

Usiadł... rozejrzył się... i padł bez czucia.

Ściany uspokoiły się.

— Savil, przynieś koc — rozkazał Andreł cichym głosem. — Jaysen, pomóż mi zabrać go z tego mokrego łóżka, nim wpadnie w szok, a potem zdejmij pościel, aby nie nasiąkł materac.

Nim Savil powróciła z pledem, który porwała ze swego łóżka, dwaj mężczyźni dźwignęli nieprzytomnego chłopca z przemokniętej, rozwichrzonej pościeli, którą Jaysen zaraz zrzucił na podłogę. Teraz Andreł potrząsał ramionami chłopca, a Jaysen podtrzymywał go.

Za ich plecami Mardik podnosił się na swe rozdygotane kolana przy pomocy Donni, która starała się go podeprzeć. Savil postąpiła krok w ich stronę, ale natychmiast ujrzała ich gesty wskazujące, by nie zaprzętała sobie nimi uwagi.

— *Nic nam nie jest* — rzuciła Dormi. — *Sama zaprowadzę Mardika do łóżka, a potem wrócę, żeby pościel łóżko Vanyela,*

Ufając słowom Donni, która bez wątpienia poprosiłaby o pomoc, gdyby nie miała pewności, że sprostą sytuacji, Savil zajęła się na powrót Vanyelem.

— Vanyelu, zbudź się — mówił pieszczotliwie Andreł. — No dalejże, chłopcze, wróć do nas. Zbudź się, wyrwij się z tego.

Powieki chłopca drgnęły, potem mrugnęły, oczy znów nabrały ludzkiego wyrazu. Ogarnął wzrokiem pokój, zrazu zdawał się być zbity z tropu, ale po chwili zdał sobie sprawę, że otaczające go zniszczenia są jego dziełem. Zamknął oczy i z jego gardła wydobył się ledwie słyszalny, łagodny jęk.

W tej samej chwili Savil poczuła, że przygniatają brzemieniem wszechogarniającej rozpacz, potwornego poczucia winy i smutek tak wielki, że nogi ugięły się pod nią, jakby pod przemożnym ciężarem.

Wtem wszystko urwało się, a nastąpiło to tak szybko, że przez moment wątpiła nawet, czy odczucie sprzed chwili było rzeczywiste.

Lecz wystarczyło jedno spojrzenie na Andrela i Jaysena, by przekonała się, że jednak było. Obaj stali jak wryci; Andrel był wstrząśnięty, z warg Jaysena odpłynęła krew.

Spodziewała się czułości i troski ze strony Andrela, lecz — ku jej zaskoczeniu — to Jaysen ostrożnie posadził chłopca w fotelu i owinął pledem, a później, gdy Donni na nowo posłała łóżko, położył w suchej pościeli. To Jaysen został przy nim, by Savil mogła pójść sprawdzić, czy Mardikowi rzeczywiście nic nie jest. Savil jednak nie była w nastroju, by wypytywać go o tę odmianę w jego sercu.

Okazało się, że Mardik jest cały, zdrow i nawet dość wesół.

— Będę miał potworny ból głowy — powiedział. — Biedny Vanyel myślał, że chcę go uśmiercić, wziął mnie za swego wroga ze snu. Kiedy się zorientował, że to tylko sen, zrezygnował. . .

— Zrezygnował? — Savil zakrzuszyła się, tłumiąc śmiech. — Zwalił cię z nóg, a ty mówisz, że zrezygnował?

— Prawie. — Mardik przyłożył sobie dłonie do skroni i począł je masować. — Cóż, gdy cofnął cios, nagła fala mocy zalała rozognione kanały przepływu jego energii, zadając mu ból i stracił panowanie nad wszystkim. Wtedy, tak mi się przynajmniej wydaje, zatracił się zupełnie w swoim cierpieniu. Andrel miał dobry pomysł — szok fizyczny pomógł mu uchwycić się czegoś.

— Ale tobie nic nie jest?

Mardik uśmiechnął się zawadiacko.

— Jeśli pozwolisz mi trochę pospać. . .

Savil potraktowała jego słowa jako niezbyt taktownie wyrażoną prośbę i szybko opuściła pokój.

Powróciła do pokoju Vanyela w chwili, gdy Andrel właśnie dawał chłopcu do wypicia jakiś środek uspokajający. Ale znów Jaysen pozostał przy chłopcu aż do momentu, gdy lekarstwo zaczęło działać. Także on postawił na miejsce stojak na zbroję i z grymasem smutku na widok ruiny pięknego instrumentu podniósł z podłogi rozbitą lutnię.

— Zajmę się nią, jeśli w ogóle można ją jeszcze naprawić — powiedział, widząc przyglądającą mu się Savil. Savil wygasza ogień na kominku. Nie odważyli się zostawić śpiącego Vanyela w pokoju z choćby jedną zapaloną świecą, więc o rozpalaniu kominka nie było mowy. Chyba że Andrel znajdzie jakiś sposób, by powstrzymać chłopca przed kolejnym atakiem.

— Jaysenie, co ja mam z nim począć? — zapytała cicho, podnosząc się znad kominka. Skrzywiła się, czując nagle skurcz mięśnia, przypominający jej, że nie

powinna była się schylać. Jays skinął ku niej, wskazując, by wyszła z nim na zewnątrz. Idąc obok niego, Savil zwróciła ku niemu twarz. — Jest pod wpływem szoku i jego stan pogarsza się, zamiast polepszać. Jego kanały przepływu energii są zupełnie nieprzystosowane do takich napięć. Nie można porozumieć się z nim zmysłem myśloczucia bez przyprawiania go o wstrząs, zaraz popada w konwulsje. Właśnie tak się dziś zaczęło. Mardik chciał go tylko wyrwać ze złego snu. Jak mam postąpić następnym razem, gdy nawiedzą go koszmary?

Jaysen był bezsilny, wzruszył ramionami i zamknął za nią drzwi. Obeszła wspólną izbę, wstawiając świece do lichtarzy i zapalając je.

— Jeśli ty nie umiesz mi poradzić, skąd, u diabła, mam się tego dowiedzieć? Andy, czy możemy poddać go działaniu środków uspokajających na cały okres rekonwalescencji?

Na twarzy Andreła pojawił się grymas. Wyglądał, jakby przełknął właśnie coś gorzkiego.

— Gdyby chodziło o innego pacjenta powiedziałbym ci, co możesz zrobić z takim pytaniem. Właśnie zaaplikowałem chłopcu argonel.

Jaysen i Savil zamarli ze zdumienia. W przypadku Savil zdumieniu towarzyszył szok.

— Wielkie nieba, Andy!

— Uspokój się, nic mu nie będzie — przerwał jej Andrel, rzucając się na kanapę ze swym zwykłym brakiem dbałości o meble. Wydał jakiś nieokreślony pomruk, przeciągnął się i spojrzał spod oka na herolda Kasztelana. — Jaysenie, czy mogę nadmienić, że masz urocze nogi?

Jaysen odziany tylko w koszulę i pończochy, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę i na jego twarz wypłynął dorodny rumieniec. Nie pozwolił jednak Andrełowi zbić się z pantafyku.

— Argonel, Andy... — zaczął, usiadłszy na fotelu z pruderyjnie skrzyżowanymi nogami.

— Chłopiec spala lekarstwo w dość szybkim tempie. Inaczej nie podałbym mu go — odparł Andrel. — Dobroczynność tego leku polega na tym, że jest on jednocześnie środkiem uspokajającym i rozluźniającym. Nie zagrażają Vanyelowi już żadne drgawki, nawet jeśli spróbujesz porozumieć się z nim za pomocą myśloczucia. Trudno mi odpowiadać za ruszanie z posad całego pałacu, ale z pewnością nie grożą mu już konwulsje. Jeśli zaś idzie o jego rekonwalescencję, wszystko zależy od tego, co rozumiesz przez to słowo.

Savil zajęła miejsce w fotelu, zagłębiając się weń z rumorem podobnym temu, który wydobył się przed chwilą, kiedy Andrel opadł na poduchy kanapy.

— Powrót do sił fizycznych — rzekła sucho. — Czyste fizyczne podejście. Objawy szoku, wyczerpania, utrata krwi. O nieprzystosowane kanały będą się martwić później.

— Rzeczywiście mogę podtrzymywać działanie środków uspokajających doted, dokąd będą utrzymywać się objawy szoku, na czas powrotu do sił fizycznych i wyrównania utraty krwi. Mogę łączyć argonel z herwawinem i stłumić działanie wszystkich zmysłów związanych z darem na tyle, by nie reagowały na bodźce. To może pomóc w zaleczeniu kanałów, jednak nie daję za to głowy. Nigdy nie widziałem i nie czytałem o takim przypadku, żeby rozerwały się wszystkie kanały naraz, jak u niego.

— A umysł? — naciskał Jaysen, marszcząc czoło. — A uczucia?

— Przy obecnym stanie rzeczy wątpię, czy nawet Lansir potrafiłby mu pomóc — ze smutkiem odparł Andrel. — Obydwoje czuliście. . .

Jaysen ponuro pokiwał głową.

— Myśle. . . zdaje się, że mnie udało się wyczuć nawet troszkę więcej niż wam — powiedział. Na jego twarzy mignął cień poczucia winy. — On jest przekonany, że wszystko, czego dotyka, zostaje potępione, skazane na zagładę przez to, że on i Lendel byli. . . A ja wiem, skąd przyszedł mu do głowy ten niemądry wniosek, który teraz przestał być tylko niemądry. To przeświadczenie stało się jego obsesją, podobnie jak było obsesją Tylendela.

Zwiesił głowę, nie miał odwagi spojrzeć Savil prosto w oczy.

— Nie przypuszczałem. . . — zająknął się. — Nie wiedziałem. . . wydawało mi się, że tylko wykorzystał. . .

Savil nie miała ochoty na miłosierdzie.

— Rzeczywiście, nigdy nie myślałeś — wybuchnęła. — W ogóle ci to nie przyszło do głowy ! Och, ty i te przekłete prowincjonalne. . .

— Savil — ostrzegł ją Andrel i przekręcając głowę lekko w bok, pokiwał nią, wskazując na drzwi prowadzące do pokoju Vanyela.

Zamilkła. Gdyby wpadła w złość, Vanyel mógłby to odczuć, a wtedy groziłby mu kolejny atak.

— Wybacz, Jays — powiedziała w końcu z urazą w głosie. Wcale nie chciała go przeprosić.

— No, przynajmniej ty nie postarałaś się, by ktoś podciął sobie żyły — odpowiedział Jaysen rozgorączony.

Skrzywiła się.

— Nie. . . ja tylko. . . do diabła, w ten sposób nic nie zdiagnozujemy. Andy, uważasz, że możesz przywrócić zdrowie jego ciału, czy tak?

Płomyki świec odbijały się w jego oczach, które zdawały się być zwrócone raczej ku jego duszy niżli na zewnątrz.

— Można tak powiedzieć, ale z wielką ostrożnością.

— Zajmijmy się więc tym przez następnych kilka dni. Mam pewien plan, lecz jego powodzenie zależeć będzie przede wszystkim od tego, czy uda ci się przywrócić go do takiego stanu, aby mógł jeździć konno.

— Jeśli nie dam rady dokonać tego w ciągu najbliższych tygodni, to już nigdy nie będzie to możliwe — odparł Andrel.

— A jaka jest nadzieja, że znajdziemy sposób, aby przekonać go, by przestał się od nas izolować... albo przynajmniej pomóc mu okiełznać swą własną moc?

Andrel zamyślił się nad jej pytaniem, słuchając przez chwilę ognia trzaskającego na kominku.

— Zapytajcie swych Towarzyszy. Vanyel może izolować się przy tobie, lecz wątpię, by zdołał ukryć cokolwiek przed Yfandes.

Savil przycisnęła dłoń do oczu i potrząsnęła głową.

— Bogowie, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? — I w tej samej chwili zawołała: — *Kellan?* — Wiedziała, że Jaysen robi to samo, porozumiewając się z Felar.

— *Slucham* — Usłyszała niemal natychmiast.

Savil przedstawiła jej cały problem w jednej zawikłanej wiązce myśli i odczekała, aż Kellari zdoła wszystko rozplatać i — najprawdopodobniej — skonsultować się z Felar i Yfandes.

— *Yfandes mówi, że ich więź jest jeszcze słaba.* — Usłyszała odpowiedź, wyraźnie pobrzmiewającą troską. — *Wciąż pulsuje, słabnie i rośnie na przemian... a czasem nawet rozmowa z Yfandes sprawia Vanyelowi ból.*

— *Czy można temu jakoś zaradzić?* — Nieoczekiwanie przerwał ich naradę Jaysen. Gdyby nie napięcie spowodowane trudnym problemem, Savil z pewnością nie byłaby w stanie pochwycić jego myśli w trakcie rozmowy z Felar, ale obecna sytuacja była wyjątkowa. Myśli Felar przepływały teraz ku niej przez Jaysena.

— *Może pomóc tylko kontakt fizyczny* — odrzekła Felar.

Kellan zgodziła się.

— *Jak najbardziej intensywny. Więź wzmacnia się, gdy Wybrany przebywa ze swym Towarzyszem. Teraz jednak Yfandes nie jest jeszcze zdolna pomóc chłopcu zapanować nad jego czynami.*

— *A gdy więź umocni się?* — spytał Jaysen.

— *Może wtedy* — odparła Felar.

— *Więc jest nadzieja* — dodała Kellan.

Jaysen odwrócił twarz ku Savil i z drugiego końca pokoju przerzucił na nią swe posępne spojrzenie, zapinając je w głębi jej zatroskanych oczu. Pokiwał głową. W tej chwili pozostaje im tylko zadowolić się cieniem nadziei, choćby nawet najbardziej nikłym.

Ból ustąpił. Ognista mikstura podana przez rudowłosego uzdrowiciela zdawała się koić cierpienie. Vanyel wciąż odczuwał wszystko, co tak bardzo szarpało go wewnątrz i paliło, lecz był to już ból tak dalece wyciszony i odległy, jakby

należał do kogoś innego. Wszystko nagle straciło znaczenie i nie potrafił skupić na niczym uwagi dłużej niż przez kilka sekund.

Tylko pustka w sercu pozostawała wciąż ta sama, jak jątrząca się rana, której bólu nie uśmierzą specyfiki uzdrowiciela. To miejsce, które kiedyś zajmował Tylendel... a teraz...

Na szczęście lekarstwa sprowadziły sen, długi sen bez snów. Śniegowy koszmar nawiedził go już wcześniej. To on sprowadził nań ów napad szału.

Och, bogowie... myślał, że... myślał, że ten straszny sen dawno się już skończył, że Lendel rozpędził go na cztery wiatry.

Pojawił się jednak nowy, w którym nie było już lodowej pułapki, więc może jednak Lendel...

A może wcale nie. Nie wiadomo. W każdym razie ten ostatni sen różnił się od poprzednich. Był wyraźny i żywy, jak żaden inny; bardziej rzeczywisty przez mnogość szczegółów.

Vanyel znalazł się na dnie kanionu, wąziutkiego przesmyku pomiędzy zadziwiająco wygładzonymi ścianami skał. Wiedział, że nie jest to prawdziwa przełęcz — że powstała za sprawą magii.

Wiedział też, że była to zła, podstępna magia, żerująca na bólu i śmierci, że każdy centymetr tego kanionu wzniesiono, przelewając ludzką krew.

Dookoła panowała czarna noc. Na niebie kłębiły się chmury, a wiatr przynosił zapach śniegu. Vanyel stał pośrodku gwałtownego przewężenia doliny, w miejscu często nawiedzanym przez lawiny. Choć na ramionach czuł ciężar futrzanego płaszcza, marzył coraz bardziej, a jego stopy stały się niczym bryły lodu u podnóża skalistych ścian kanionu.

Gdy tylko zorientował się, że przesmyk jest tak wąski, iż przejść przez niego mogą jednocześnie tylko dwie osoby, ogarnęło go uczucie ponurej satysfakcji. Wiedział, że owo przewężenie jest jego własnym dziełem, że stworzył w ten sposób miejsce, gdzie jeden człowiek będzie mógł powstrzymać napór całej armii.

A właśnie nic innego, tylko wielka armia szła wprost na niego korytem kanionu.

Posłał po posiłki, po Yfandes i Tylendela...

Tylendela? Ależ on nie żyje...

... lecz doskonale wiedział, że pomoc nie nadejdzie na czas.

Wyczekał moment, kiedy — nie spodziewając się niczego — byli już bardzo blisko. Czuł, że siłą własnej woli sprawia, iż w ogóle go nie widzą. Wtedy wzniosł wysoko w górę swe prawe ramię i rozpałił je magicznym światłem o jaskrawości, której potęgą przełamała pierwsze szeregi straszliwej armii, zamieniając je w czarne cienie. Zagradał im drogę — tylko na tym polegało jego zadanie.

Stali przed nim żołnierze uzbrojeni po zęby, dźwigający swe czarne, matowe pancerze z wysiłkiem nie większym, niż Vanyel nosił swój płaszcz z białego futra. W dłoniach dzierżyli długie pałasze i proste, okrągłe tarcze z tego samego co

zbroje materiału. Co do reszty, sądząc po ubraniach wyzierających tu i tam spod pancerzy i płaszczy ich okrywających, była to zwykła zbieranina przypadkowych ludzi. Ich ociążałe ruchy i niedbałość o porządek w szyku, nasunęły Vanyelowi skojarzenie z Jervisem. Zdawało się, że szkolili ich ręka pozbawiona litości bardziej nawet niż ciężka łapa fechtmistrza z Forst Reach.

Wlepili w niego nieruchome oczy. Żaden z nich nawet nie drgnął.

Wreszcie pierwsze szeregi rozstały się i wyszedł przed nie czarownik.

Wszak w istocie był to czarownik. Vanyel czuł bijącą od niego moc. Lecz moc ta pochodziła od tych samych sił, które wycięły ten kanion, które żywiły się śmiercią. Jeśli Vanyel zdoła zgładzić czarownika, razem z nim zniszczy całą tę piekielną moc. Vanyel miał za sobą wszystkie siły życia, moc śpiącej ziemi i szumiącego lasu...

Rozpostarł ramiona i uwolnił życiodajną energię, która spływając od niego, utworzyła barykadę w poprzek doliny...

... niczym w poprzek serca...

... i osłonę, za którą schronił się sam Vanyel. Stał teraz twarzą do czarownika, z dumnie uniesioną głową; każdym drobnym gestem wyzywał go, zachęcając do zbliżenia się.

Lecz szeregi wojowników rozstały się ponownie i do czarownika dołączył następny mag, a potem jeszcze jeden. Vanyel poczuł, że serce zamiera mu na myśl o wyroku śmierci wpisanym w zbliżający się pojedynek.

Wciąż jednak nie ustępował...

Aż do momentu, gdy Mardik musnął jego zmysły.

Jakże bolesny był ten delikatny dotyk, niczym garść soli sypnięta wprost na jątrzącą się ranę. Wziął ten dotyk za atak czarowników i odparł cios, tak by zabić. I dopiero gdy uderzył, zrozumiał, że...

... to sen, och, bogowie... sen, to nie rzeczywistość, to Mardik...

I wtedy próbował zahamować uderzenie. Udało się, lecz cała, ogromna przecież, energia ciosu spłynęła z powrotem na niego samego, zalewając wielką falą rozpalone, porozrywane kanały jego nowych zmysłów, które nawet na najmniej-szy bodziec reagowały bólem nie do zniesienia. Starał się powstrzymać tę falę, ale bezskutecznie. Porwał go szał rozpacz, której nie potrafił już okiełznać i zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. Vanyel nie wiedział już, gdzie jest ani co się z nim dzieje. Całe jego ciało, cały umysł rozrywał potworny ból. Uwięziony w potrzasku piekielnej tortury, wił się w konwulsjach i krzyczał co sił, choć wiedział, że i tak nikt jego wołania nie słyszy. Raptem... zatracił zupełnie poczucie własnego ciała, nic już nie słyszał i nie widział. Szedł na dno morza męczarni...

Na raz szok... jak nokaut...

Poczuł, że próbuje złapać oddech, że jest znów w swym ciele, przemarzniętym na wskroś, utrapionym zwykłym cierpieniem.

Potem zemdlał na chwilę i powrócił do rzeczywistości w ramionach mówiącego coś i potrząsającego nim uzdrowiciela.

Był przemoczony i odrętwiały z zimna.

A Mardik? Co z Mardikiem? — pomyślał. Słaniał się na nogach, podtrzymywany przez uzdrowiciela Jaysena. . .

Tylendel nie żyje, leży u stóp Jaysena. To przeze mnie, och, bogowie, to moja wina. . .

Żal znów zatopił w nim swe szpony, ale gdzieś na dnie serca odezwała się świadomość, że jego ból dotyka ich wszystkich, że oni wszyscy cierpią jego męczarnie. Wtedy odciął się. . .

Po chwili w niezmaconej ciszy jego otępiełego umysłu rozległ się pełen udręki ton myśli Jaysena, tak wyrazistych, jakby ich autor szeptał wprost do ucha Vanyela.

— *Bogowie. . . o bogowie, nie wiedziałem, nie miałem pojęcia. . . myślałem, że Tylendel był dla niego tylko zabawką, myślałem, że. . . och, bogowie, co ja narobiłem?*

Vanyel wzdrygnął się przed tym objawem współczucia poniewczasie. Słowa Jaysena zasyczały w jego sercu niczym kwas rozlany na najboleśniejże rany, z bezwzględnością urywając kontakt.

Potem zaaplikowano mu miksturę, która spowiła całe ciało w odrętwieniu. Dryfował swobodnie i nic nie zaprzętało już jego uwagi, nawet troska o Mardika. Otulił go czarny mrok, nie pozostawiono mu nawet jednej świeczki w pokoju, czyniąc zresztą dość rozsądnie, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Gdzieś tam błądziły strzępy myśli, to głos Savil, Jaysena (przybity poczuciem winy, choć Vanyel nie mógł pojąć, dlaczego), to znów Mardika.

Usłyszawszy tego ostatniego, Vanyel poczuł, że wielki kamień spada mu z serca. Nie zabiłem go. . . dzięki bogom, nie zabiłem go — pomyślał.

Odpywał coraz dalej i dalej, aż urwały się wszelkie dźwięki, rozpierzchnęły myśli. Pozostał tylko sen i smutek, który nigdy, przenigdy go nie opuszczał.

U drzwi prowadzących do ogrodu stała Savil. Oparłszy się jedną ręką o framugę, pogrążyła się w modlitwie. Nieczęsto to robiła, podobnie zresztą jak większość heroldów. Modlitwa zwykle łączy się z zanoszeniem do boga jakichś prośb, a heroldowie należą do osób, które niechętnie szukają pomocy u innych, zwracając się o nią dopiero wtedy, gdy wyczerpią się wszelkie nadzieje.

W końcu i w życiu Savil nadszedł taki moment.

Zaraz za progiem, oparty o bok leżącej Yfandes, drzemał Vanyel, otulony pościelą i pledami. Lekarstwa Andrela wciąż utrzymywały go w stanie tępego oszołomienia. Na dwór wyniósł go Jaysen, używając do tego celu najdelikatniejszego sposobu, czyli siły woli. Otoczył przy tym własne myśli osłoną tak szczelną, by

nic nie zakłóciło spokoju śpiącego chłopca. Nim wypała się następne dwie miarki świecy, Jaysen przyjdzie znów, tym razem po to, aby przenieść chłopca z powrotem do łóżka. Dzień był zbyt chłodny, by Andrel mógł zezwolić na dłuższe spotkanie z Yfandes. To już trzeci raz Vanyel i jego Towarzysz mogli spędzić ze sobą parę chwil. Ostami kryzys nie powtórzył się co prawda, lecz obawa, że w każdej chwili może nastąpić nieoczekiwany wybuch, co noc spędzała Savil sen z powiek.

Vanyel westchnął przez sen i wyciągnawszy spod kołdry rękę, pogładził szyję Yfandes. Ona zaś, w odpowiedzi na jego pieśczość, trąciła nozdrzami ucho Vanyela, który nie stroniąc już od czułości, wtulił się jeszcze bardziej w jej ciepło.

Ledwie Savil zdołała nacieszyć oczy owymi pierwszymi objawami rozkwitu więzi pomiędzy chłopcem a jego Towarzyszem, błogą ciszę zmaćliło gwałtowne pukanie do drzwi. Odwróciła się i posłyszała kroki Donni, biegnącej przez wspólną izbę. Potem dało się słyszeć jakieś odgłosy rozmowy, lecz zbyt przytłumione, by można je było rozróżnić.

Głos za drzwiami nabrał wyrazistości.

— Proszę, jestem siostrą Vanyela. . . pozwól mi choć pomówić z ciocią. . .

Savil natychmiast ruszyła się z miejsca i szybko przemierzywszy pokój, otworzyła drzwi. Tylko jedna z sióstr Vanyela mogła zawitać w te progi w tak nieoczekiwanym momencie, oczywiście ta, która przebywała pod opieką na dworze lorda Coreya, przygotowując się do służby w Gwardii.

— Wpuść ją, Donni — powiedziała Savil, mrugając powiekami w zdumieniu. Dziewczyna stojąca w drzwiach mogłaby być nią samą w wieku siedemnastu czy osiemnastu lat.

Niech bóg ma ją w swej opiece. . . nic dziwnego, że wybrała Gwardię — pomyślała. — Nie oszczędziła jej natura, przydając ten nos Ashkevronów.

To samo spostrzeżenie najwyraźniej przemknęło przez myśl dziewczyny.

— To ty musisz być moją ciotką Savil — powiedziała bezceremonialnie, stojąc ciągle na progu. — Poznałam cię po nosie. Jestem Lissa. Czy mogę mu jakoś pomóc?

Savil z miejsca spodobała się ta szczerą, prostolinijną dziewczyną.

— Może, jeszcze nie wiem — odparła. — Najpierw, Lisso, wejdź i opowiedz mi, co już wiesz.

Lissa wzdrygnęła się i odwróciła wzrok od drzwi ogrodowych.

— Wygląda, jakby go kto przeciągnął przez dziewięć piekieł — powiedziała.

— I tak jest już lepiej niż trzy dni temu — odparła Savil. Chciała dodać coś jeszcze, ale przerwało jej następne pukanie do drzwi apartamentu. Gdy Donni otworzyła, uszu Savil dobiegł znajomy, grzmiący głos.

— Co to znaczy zajęta? — warczał lord Withen Ashkevron. — Nie po to zajeżdżani swego najlepszego konia, żeby mnie odprawiono z kwitkiem. Mów mi

tu zaraz, gdzie ona jest.

Savil, z Lissa u swego boku, podeszła do drzwi, pchnęła je i stanęła twarzą w twarz z Withenem. Naprężona jak struna, z lekko rozstawionymi nogami i rękoma założonymi na piersi, prezentowała się nader groźnie.

— Czego chcesz, Withenie? — rzuciła sucho, wbijając w niego zwężone gniewem oczy.

— A czego ja, u diabła, mogę chcieć? — huknął, ignorując zupełnie obecność Lissy i Donni. Wręcz buchał wściekłością; wziął się pod boki i stanął w rozkroku. — Chcę się dowiedzieć, co wyrabiasz z chłopakiem, którego ci oddałem na wychowanie! Przysłałem go tu, żebyś zrobiła z niego mężczyznę, a nie wykołejonego homoseksualistę! — Twarz nabiegła mu krwią, a głos stawał się coraz donośniejszy z każdym słowem. — Ja...

— Wystarczy, Withenie — przerwała Savil, ucinając jego wywód, nim zdążył się zanadto rozpędzić. — Ja, ja, ja... a niech to, ty rozzuchwalony durniu, czy tylko o sobie potrafisz myśleć? Vanyel był bliski śmierci cztery dni temu, prawie umarł trzy dni temu i za pięć minut może umrzeć albo postradać zmysły, a ty wściekasz się, że zrobił coś, co według twoich prowincjonalnych uprzedzeń jest godne potępienia! O wielcy bogowie, nawet jego imię nie może ci już przejść przez gardło! Dla ciebie to tylko „chłopak”!

Postąpiła w kierunku Withena. Ten, na widok zbliżającej się coraz bardziej, pałającej wściekłością twarzy, zrobił krok w tył; oczy zaszyły mu trwogą i zdumieniem. Lissa, przesunawszy się wraz z Savil, stała teraz u jej boku, wyprężona, z zaciśniętymi pięściami.

— Wpadasz tutaj jak burza, nie pytając nawet o pozwolenie, i to akurat wtedy, gdy jest nadzieja, że udało nam się opanować jego stan. Nie zapytałeś nawet, czy on w ogóle może rozmawiać. Oczywiście potrafisz tylko wywrzaskiwać, że zrobiłam z niego homoseksualistę, podczas gdy ty przysłałeś go tutaj, aby ukształtować w nim mężczyznę. Mężczyznę! — Z jej gardła wyrwał się śmiech podobny do chrapliwego krakania. — Wielcy bogowie... za kogo ty go masz? Kto oddaje swego syna w obce ręce tylko dlatego, że ten nie odpowiada jego wyobrażeniu o męskości!

Savil straciła wątek, ale zaraz okazało się, że Lissa też ma coś do powiedzenia.

— Kto pozwala, żeby pierwszy lepszy zabijaka bez powodu łamał rękę jego synowi? — warknęła. — Kto doprowadza do kalectwa emocjonalnego swego rodzonygo syna, dając mu zamiast miłości ojcowskiej tylko kary i poniżenia? Kto wierzy słowom obcego człowieka, tym samym bezpodstawnie oskarżając o kłamstwo własnego syna? — Lissa atakowała ojca, jakby ten był jej przeciwnikiem w zaciekłym pojedynku. — No powiedz, ojcze! Jakie prawo pozwala ci stawiać mu jakiegokolwiek wymagania? Co mu dałeś w życiu poza pogardą? Czy kiedykolwiek zareagowałeś na jego potrzeby i pragnienia? Czy kiedykolwiek pochwaliłeś jego postępowanie? Czy choć raz powiedziałaś mu, że go kochasz?

Withen, cofnąwszy się następne dwa kroki, oparł się o ścianę obok drzwi. Wyglądał, jakby go kto zdzielił toporem.

Savil nabrała nowych sił.

— Mężczyznę... obyś doczekał wszystkiego, na co zasługujesz, ty bałwanie! Jaki człowiek dba bardziej o własną reputację niż życie swego syna? — Spychała go w kąt pokoju, dając upust całej udręce, frustracji i złości, jaka kotłowała się w niej przez cały ostatni tydzień. Withen zbladł, otworzył usta, chcąc coś wykrzyknąć, ale Savil natychmiast mu przerwała.

— Posłuchaj, Withen — syknęła. — Do wszystkiego, co stało się z Vanyelem, ty sam przyłożyłeś rękę, ponieważ wcale nie chciałeś syna. Potrzebowałeś tylko zabawki, miniaturowej kopii siebie samego. Paradowałbyś z nią przed ludźmi, a oni gratulowałiby ci twych sypialnianych wyczynów. To ty pomogłeś mu stać się tym, kim jest. To przez ciebie Vanyel wykształcił w sobie tak skrzywiony system wartości, że za cud chyba można uznać fakt, iż rozpoznał miłość, gdy po raz pierwszy jej doświadczył. I ty właśnie nauczyłeś go, że ze swymi uczuciami trzeba się kryć, bo dorosłym nie można ufać. Ja zaś właśnie pochowałam już jednego chłopca. Drugi jest o krok od śmierci, ale mimo to wciąż jedynym problemem, który zaprzęta ci głowę, jest obawa, że ktoś może sobie pomyśleć, iż nie byłeś dość męski, by wychować syna na mężczyznę! Wynoś się stąd, zejdz mi z oczu...

Odwróciła się gwałtownie, chowając przed nim zaszkłone łzami oczy. Lissa położyła dłoń jej na ramieniu, po czym obrzuciła swego ojca takim spojrzeniem, iż wydawać by się mogło, że rozszarpie go na strzępy, jeśli ten odważy się wypowiedzieć jeszcze jedno słowo.

— S-Savil... ja... — wybełkotał. — Mówiono mi... ale nie wierzyłem... czy Vanyel jest...

— Jedno słowo, jeden fałszywy krok, a on umrze, Withenie — rzuciła oschle i zacisnęła powieki, uspokajając rozedrgane nerwy. — Jedna niewłaściwa myśl już niemal go zabiła. Podciął sobie żyły, gdyż odkrył, że ktoś, komu ufał, uważał, że to jego miłość zabiła Tylandela. Pewnie teraz jesteś usatysfakcjonowany. W końcu to p o c z u c i e h o n o r u popchnęło go do tego, prawda?

— Ja... ja...

— A teraz z przyjemnością zawiadamiam cię, że Vanyel nie należy już do ciebie, Withenie, teraz jest mój. Został wybrany. Jeśli tylko uda mu się przeżyć, zostanie kandydatem na herolda i będzie podlegał tylko mnie. Nie masz już do niego żadnych praw. Nadszedł moment spełnienia twoich najskrytszych pragnień. Teraz Mekeal stanie się twym spadkobiercą i w związku z tym nie będziesz musiał zaprzętać sobie głowy Vanyelem.

Withen aż zadrżał na dźwięk tych dosadnych słów. Zdawało się, że zaczyna wręcz kurczyć się w sobie.

— Savil... nie chcesz chyba powiedzieć... nie chciałem...

— Nie chciałeś? — zapytała z ironią, unosząc brwi.

Uciekł przed jej wzrokiem.

— Savil, czy mogę... go zobaczyć? Nie zrobię mu nic złego! Do diabła, w końcu jest moim synem!

— Lisso, jak myślisz?

Lissa omiotła ojca spojrzeniem, jakim ocenia się zazwyczaj podejrzanego nieznanego.

— Nie jestem pewna, czy on może zaufać samemu sobie.

Twarz Withena pociemniała.

— Ty niewdzięczna...

Lissa wzruszyła ramionami, zwracając się do Savil.

— Widzisz, co mam na myśli?

Savil skinęła potakująco.

— Rozumiem... ale chyba będzie lepiej, jeśli mu pozwolimy. Może na własne oczy powinien przekonać się, do czego doprowadził. — Nieznacznym ruchem głowy wskazała drzwi do pokoju Vanyela. — Chodź ze mną, Withenie. I trzymaj na uwieży ten swój niewyparzony język. Inaczej cię wyrzucę.

Withen stanął jak wryty. Przywarł rękoma do szyby drzwi ogrodowych, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Wielkie nieba... — wycharczał. — Mówiono mi... ale myślałem, że to niemożliwe. Savil, widziałem tygodniowe zwłoki, które wyglądały lepiej niż on teraz!

Lissa parsknęła. Savil zaś, zniecierpliwiona zachowaniem Withena, odepchnęła go od drzwi, a potem otworzyła je. Zimny powiew przeszył ją dreszczem. Spojrzała za siebie, ale Withen nie zrobił jeszcze ani kroku.

— Idziesz czy nie? — spytała jak najciszej, by nie obudzić Vanyela.

Pobladła z przerażenia twarz Withena skamieniała. Przełknęła ślinę, a potem powoli, niepewnym krokiem, ruszył za nią. Savil podeszła szybko do małego skrawka trawnika otoczonego osłoną, gdzie na wypalanej słońcem, pożółkłej murawie spoczywał Vanyel wsparty o bok Yfandes. Odkąd odeszła, chłopiec leżał wciąż w takiej samej pozycji. Zdawał się nie zauważać nawet jej obecności, gdy przyklękła przy nim na suchej, szorstkiej trawie, kłującej kolana przez tkaninę bryczesów i pończoch.

— Van, zbudź się — powiedziała łagodnie, nie dotykając go nawet. — Van.

Chłopiec poruszył lekko głową i zamrugał powiekami.

— Ciociu? — wyszeptał.

— Jest tutaj twój ojciec... Withen... chce się z tobą widzieć. Vanyelu, nie bierz cię do domu. Nie ma już do ciebie żadnych praw, odkąd zostałeś wybrany. Jeśli nie chcesz, nie musisz z nim rozmawiać.

Powieki Vanyela znów drgnęły, zdradzając, że jej słowa wzbudziły w nim czujność.

— Nie, Savil. Zobaczę się z nim. Yfandes twierdzi, że powinienem.

Savil wstała i spiesznie wróciła do Withena, czekającego na wydeptanej ścieżce, w połowie odległości między drzwiami a miejscem, gdzie leżał chłopiec.

— Idź — rzuciła oschle. — Tylko nie podnoś głosu. Miej na uwadze, że on cały czas znajduje się pod wpływem leków. Jeśli będziesz nieostrożny, możesz wywołać coś, czego z pewnością nie chciałbyś zobaczyć.

Podążyła za nim. Nie chcąc uronić ani słowa z ich rozmowy, zatrzymała się w odległości kilku kroków i nadstawiła uszu. Lissa poszła za nią. Tymczasem Withen zapadł ciężko kolanami w suchą trawę i wyciągnawszy rękę, próbował położyć ją na ramieniu chłopca. Savil już chciała mu przeszkodzić, lecz Vanyel sam odepchnął nieczułą dłoń ojca.

— Vanyelu... — odezwał się Withen, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. — Vanyelu... słyszałem, że jesteś chory...

Vanyel zaśmiał się szyderczo.

— Słyszałeś, że zabawiałem się w owieczkę tryka Tylendela, tak? Nie okłamuj mnie, ojcze. Okłamywałeś mnie przez całe życie, a ja nie byłem zdolny tego dowieść, ale teraz już umiem rozpoznać, czy ktoś mówi prawdę.

Withen zapłonął rumieńcem, lecz Vanyel jeszcze nie skończył.

— Myślisz, że jestem... zdeprawowany, zbrukany czy coś podobnego, że... jestem zły, niewdzięczny i że nigdy nie potrafiłem... cię usatysfakcjonować... ale ja zawsze chciałem, żebyś choć raz w życiu pochwalił mnie i powiedział, że zrobiłem dobrze! Choć raz, ojcze, jeden, jedyny raz! Ale ty tylko pozwalałeś, żeby Jervis tłukł mnie do upadłego, a potem sam mnie kopałeś! Lendel mnie kochał, a ja kochałem jego, więc skończ z tymi... przekłętymi, ohydnyimi domysłami...

Withen odsunął się i skoczył na równe nogi, otwierając usta, jakby miał zaraz ryknąć na syna potwornym wrzaskiem...

Ale nie zrobił już nic więcej. Oczy Vanyela zaszyły mgłą, twarz zapałała wściekłością i nim Withen zdążył wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, Vanyel wyprysnął z kokonu swej pościeli i siłą nieposkromionych mocy własnego umysłu ogłuszył Withena, rzucając go w pobliskie krzaki.

Ten podźwignął się z ziemi, ale Vanyel powalił go jeszcze raz. Widząc to, Lissa wykonała ruch, jakby chciała dołączyć do jednego z nich, lecz Savil powstrzymała ją, silnym uściskiem chwytając jej ramię.

— Spójrz na Yfandes — powiedziała. — Jest opanowana, nawet nie drgnęła. Zostaw ich w spokoju. Między nami mówiąc, jestem zdania, że Yfandes i ja zdołałybyśmy same powstrzymać Vanyela od zabicia twego ojca, a on przecież nie ma zamiaru tego zrobić.

Jeszcze dwa razy Withen gramolił się, chcąc stanąć na nogi, i dwa razy syn posyłał go na ziemię. Vanyel płakał. Jego białe policzki znaczyły ślady spływających łez.

— No, jak się czujesz, ojcze? Czy jestem już dość silny? Jak to jest, być zwalonym z nóg i przydepniętym przez kogoś, z kim nie można się ani porozumieć,

ani walczyć? Jesteś zadowolony? Jestem teraz takim samym zbirem znęcającym się nad słabszymi, jak Jervis! Jesteś usatysfakcjonowany?

Withen poruszył ustami, ale nie wydał z siebie żadnego głosu.

Vanyel prześwidrował go rozwścieczonym wzrokiem, lecz już po chwili miejsce gniewu w jego oczach zajęła gorycz obrzydzenia.

— Ja w każdym razie nie czuję się uszczęśliwiony — powiedział cicho i wyraźnie. Znać było, że otrząsnął się do reszty z zamroczenia spowodowanego lekami. — Zbiera mi się na mdłości, gdy pomyślę, że mógłbym cię teraz zabić. Nic nie sprawia mi przyjemności. I nic już nigdy mnie nie uszczęśliwi.

Opadł z powrotem na trawę, owinął się pościelą i wtulił twarz w szyję Yfandes.

— Odejdź, ojcie — zabrzmiał jego przytłumiony głos. — Po prostu, idź sobie.

Withen powoli, niezgrabnie podniósł się z ziemi i stanąwszy nad swym synem, patrzył na niego przepraszająco.

— Czy jeśli powiem ci teraz, że jest mi przykro, będzie to miało jakieś znaczenie? — zapytał w końcu po długiej chwili milczenia. Z jego zakłopotanego wyrazu twarzy i szczerze zatroskanych oczu z łatwością wyczytać można było, że niezupełnie jeszcze uświadamia sobie fakt, iż cały jego świat zawalił się właśnie w gruzy. Nietrudno też było się domyślić, że nie ma pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć i że nie wie nawet, co zrobić za moment.

— Może... kiedyś. — Usłyszał słowa syna wypowiedziane przez łzy. — Ale nie teraz. Odejdź, ojcie. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Drogi Withenie,

Myślę, że po raz pierwszy w życiu postąpiłeś słusznie. Wszak chłopiec ten nie jest już chłopcem. Nigdy zresztą nie był podobny do twego wyobrażenia o nim. Jeżeli zdobędziesz się na to, by traktować go jak dorosłego, znajomego raczej niżli potomka, z pewnością dojdziecie kiedyś do porozumienia.

— Savil?

Savil uniosła głowę. Przez uchylone drzwi do pokoju zaglądał Mardik. Od razu dostrzegła jakąś niepewność w jego gestach.

Ha. Wreszcie zaczynam rozpoznawać, co kryje się pod powłoką ludzkich zachowań — pomyślała.

Rzuciła okiem za okno. Vanyel siedział na ławce rozmawiając z Lissa; nad nimi górowała oczywiście Yfandes.

Niech bogowie błogosławią tę dziecinę. Nie mam pojęcia, jak dałabym sobie radę bez niej.

Raptem poczuła bezlitosne brzemie zmęczenia, opadające na jej ramiona niczym przyciężki płaszcz. Na krótki moment zapomniała nawet o Mardiku.

Bogowie. Cóż ja mam zrobić? — westchnęła. — Jego stan zdrowia wcale się nie polepsza. Może jest troszkę silniejszy, ale to wszystko. Ze wszech miar stara się zastąpić Lendela mną albo Lissa, by miał komu się podporządkować. Nie mogę mu na to pozwalać. To jeszcze bardziej pogorszyłoby sprawę. Jednakże przy każdej okazji, gdy próbujemy go nakłonić do tego, by stanął wreszcie na własnych nogach, zaraz zaczyna się dąsać. Tak mnie to złości, że czasem mam ochotę porządnie mu przyłać. Ale i tak dosyć już wycierpiał, a poza tym, nie zasługuje na to. A niech to ogień piekielny pochłonie! Biorąc pod uwagę jego zachowanie ostatnimi czasy, te dąsy wydają się i tak najbardziej zbliżone do normalności. Och, bogowie...

Mardik chrząknął. Savil aż podskoczyła.

— Wybacz, chłopcze, zamyśliłam się. Chyba się starzeję. Wejdz.

Mardik wsunął się nieznacznie do pokoju, lecz wciąż stał w progu.

— Savil, Donni i ja chcielibyśmy cię o coś zapytać. — Słowa uwięzły mu w gardle. Założył ręce z tyłu i pocierał lewą stopą o prawą kostkę.

— My... Savil, jesteś najlepsza ze wszystkich, lecz... Vanyel potrzebuje cię bardziej niż my.

— Bogowie — westchnęła, masując palcami prawą skroń. — Zaniedbywałam was... przepraszam...

— Nie, wcale nie mamy ci tego za złe — wtrąciła Donni, wykukując zza drzwi, tuż ponad ramieniem Mardika.

— Zastanawiałam się, kiedy pojawi się twa śliczna główka — powiedziała Savil.

— Jesteśmy nierozłączni — zauważyła dziewczyna. — Nie, Savil, nie uważamy, abyś nas zaniedbywała. Obawiamy się raczej, że możesz się zamęczyć, zajmując się zbyt wieloma rzeczami na raz. Vanyel naprawdę cię potrzebuje, a my otrzymaliśmy już wszystko, co mogłaś nam dać. Nikt inny nie zdołałby nauczyć nas pracować w zespole, ale popatrz tylko...

Mardik wsunął się wreszcie do pokoju, Donni jednak została przy drzwiach. Wyciągnęli ku sobie ramiona, nie stykając się dłońmi, a potem...

Ich emanacje zlały się w jedną wspólną aurę. Złoto-zielony obłok, o wiele bardziej intensywny niżli każda z tworzących go emanacji występująca osobno, okalał ich sylwetki ze wszystkich stron, wprawiając Savil w istne zdumienie.

— Od kiedy umiecie robić coś takiego? — zapytała.

— Od tej nocy, kiedy usiłowaliśmy dostać się do świątyni — pospieszył z wyjaśnieniem Mardik. — Gdy wystrzeliliśmy ten pocisk, a potem wszyscy połączyliśmy się w przepływie mocy uzdrawiających. Wtedy właśnie wszystko, czego nas dotąd uczyłaś, jakby się w nas samo ułożyło. Teraz więc może nas uczyć którykolwiek mag heroldów, lecz ze względu na nasze umiejętności powinien to być Lansir albo Jaysen. On nie prowadzi teraz nikogo.

— Głupstwa pleciesz i za dużo mówisz — prychnęła Donni. — Savil, rozmawialiśmy już z Jaysenem. Powiedział, że nas przyjmie, jeśli tylko ty wyrazisz zgodę.

Savil odłożyła pióro i zamknęła rozwarte ze zdumienia usta.

— Chętnie was ucałuję — rzekła wreszcie, na co Donni uśmiechnęła się do Mardika, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam? — Długo rozmyślałam o znalezieniu dla was nowego mentora, lecz nikt nie przychodził mi do głowy, ponieważ jestem chyba jedyną osobą, która mogła was nauczyć pracy w parze. Niech was bogowie błogosławią, moi kochani.

Wstała i przygarnęła oboje w swe ramiona, a oni dając wyraz swemu uczuciu wemu i fizycznemu wsparciu odwzajemnili jej uścisk.

— Savil — odezwała się Donni, gdy Savil ze szczerą niechęcią wypuściła ich ze swych ramion. — Co zrobisz z Vanyelem? Jest... jeszcze ciągle taki zrozpaczony... a tutaj wszystko przypomina mu Lendela. Szkoda, że nie możesz przenieść go gdzieś, w zupełnie inne otoczenie.

— Niestety, masz rację — odparła Savil i pomyślała: ... zupełnie inne otoczenie... bogowie, wielkie dzięki za zesłanie mi takich bystrych podopiecznych!

— Donni — rzekła powoli. — Zdaje się, że znalazłaś rozwiązanie dla moich problemów. Teraz jestem wam wręcz wdzięczna za znalezienie sobie nowego nauczyciela.

— Masz jakiś pomysł?

Savil przytaknęła skinieniem.

— Pomysł na upieczenie dwóch pieczeni przy jednym ogniu. Te stworzy zemsty przywołane przez Leszarów, a potem Vanyela, z pewnością pochodziły z Pelagris. I tak miałam tam pojechać, aby dowiedzieć się, kto maczał w tym palce. Zabiorę więc Vanyela ze sobą do mych przyjaciół, Sokolich Braci. Są samozwańcami strażnikami Pelagris, toteż powinni wiedzieć, że ktoś posłużył się ich zwierzakami w swych magicznych manipulacjach. Postępują oni według nieco innych zasad niż my tutaj, dlatego może się okazać, że będą mogli pomóc Vanyelowi. Jeśli nie uda im się udzielić mu pomocy, zdołają przynajmniej okiełznać jego dary.

— Naprawdę myślisz, że mogliby mu pomóc? — zapytała Donni z nadzieją w głosie.

— No cóż, ja nie potrafię, ale wiem na pewno, że Gwiazdny Wichur jest silniejszy ode mnie. Ponadto Andrel obawia się, że jeśli nadal będziemy faszerować Vanyela lekarstwami, jego organizm może się od nich łatwo uzależnić, ale jeśli odstawimy je...

— Moglibyśmy doprowadzić do ruiny cały Pałac. — Mardik posępnie pokiwał głową. — Kiedy go zabierasz?

— Kiedy... myślę, że za parę dni. Im szybciej, tym lepiej. — Przeniosła wzrok na ścianę, gdzie nad głową Mardika wisiał jej Talizman Skrzydlatej Siostry. — Jedyne problem polega na tym, że aby odnaleźć Gwiazdny Wichur

k'Trevę i Tańczącego Księżycyca k'Trevę będę musiała pojechać do nich, ponieważ oni nigdy nie ruszają się z Pelagris. Pociąga to za sobą dwie sprawy. Będę musiała wznieść Bramę, a później, gdy już uda mi się tego dokonać, pozostanie mi tylko krzepić się nadzieją, że jeszcze potrafię ich odnaleźć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bogowie, nie cierpię wznoszenia Bramy — bąknęła Savil do Andreła, oślepią blaskiem promieni słonecznych odbijających się na śniegu. Rozglądała się po niebie w poszukiwaniu choćby najdrobniejszej chmurki.

— Dlaczegoż to? Masz jakieś inne powody, poza skojarzeniem z ostatnimi przykrościami?

— To zakłęcie jest piekielnie niebezpieczne. Płata różne figle. Wokół Bramy powstaje pole energetyczne, które potrafi zakłócić każdy wysokoenergetyczny układ pogodowy w okolicy i wprowadza zmiany w pogodzie, zazwyczaj na gorsze. — Zamknęła oczy, skoncentrowała się, uziemiła przepływ energii, by rozszerzyć zasięg swego daru magii i ogarnąć jeszcze większą przestrzeń w poszukiwaniu ewentualnych źródeł zakłóceń działania zaklęcia. Odetchnęła jednak z ulgą, przekonując się, że nic nie powinno jej przeszkodzić. Jedynym polem energetycznym w pobliżu było kilka wstępujących prądów powietrza nad cieplejszymi obszarami, lecz zbyt małych, by stworzyć jakiegokolwiek zagrożenie.

Westchnęła.

— No cóż, pogoda chyba nie przysporzy nam kłopotów. Jak tam nasz młodzieniec?

— Oszołomiony lekami. Daję głowę, że do wieczora nie będzie nawet w stanie powiedzieć, jak się nazywa. Ja zaś bardzo się cieszę, że powiedziałaś mi o tym, iż zamierzasz wznieść Bramę. — Andrel zatopił swe długie, delikatne dłonie w kieszeniach płaszcza i mrużąc oczy w słońcu, sięgnął spojrzeniem na drugą stronę łąki. — Przecież to właśnie moc Bramy rozerwała w nim kanały przepływu energii...

— Może — przerwała mu Savil.

— W porządku, może rozerwała w nim kanały, ale faktem jest, że od tamtej pory zdwoiła się jego wrażliwość na to zakłęcie. Najprawdopodobniej będzie odczuwał każde wykorzystanie tego zaklęcia w promieniu kilku kilometrów, a przechodzenie przez samą Bramę może się skończyć atakiem. Dlatego...

— ...uśpiłeś go lekami. Nie mam nic przeciwko temu. Co prawda jest to trochę niewygodne, ale do takich przypadków przystosowane są siodła naszych Towarzyszy.

Ruszyli przez Łąkę Towarzyszy, przysypaną pierwszym śniegiem. Z każdym krokiem Savil powtarzała sobie ćwiczenie uspokajające, wiedząc, że za wszelką cenę musi osiągnąć bezwzględny spokój ducha. Zakłęcie Bramy będzie wymagało od niej wykorzystania wszystkich sił, zwłaszcza, że będą musieli przenieść się na ogromną odległość.

Dlatego też wcześniej przekazała wszystkie swoje sprawy w ręce innych, a sama skupiła się na zakłęciu. Mardik i Donni zapakowali jej rzeczy, a Lissa zajęła się bagażem Vanyela i nim samym, gdy tylko Andreł zaaplikował mu lekarstwo. Wszyscy czekali teraz w Leśnej Świątyni.

— A więc, dlaczego nie lubisz Bramy? — zapytał Andreł. Pole wokół nich mieniło się tysiącem błysków w świetle słońca.

— Ponieważ kiedy wreszcie przez nią przejdę, stanę się zupełnie bezużyteczna — odparła sucho. — Pozostanie mi tylko liczyć na to, że Talizman pomoże mi dotrzeć do Gwiezdnego Wichru, bo inaczej staniemy się z Vanyelem zupełnie bezbronni.

— Dlaczego nie postąpisz podobnie jak Tylendel i nie wykorzystasz energii innej osoby?

— Bo sama nie wiem, co on właściwie zrobił — rzekła po długiej chwili milczenia, przerywanej tylko skrzypieniem śniegu pod ich stopami. — Nikt tego nie wie. Może dlatego energia, zamiast rozproszyć się w ziemi, uderzyła z powrotem w Vanyela. Ja nie mam zamiaru ryzykować narażania na coś podobnego żadnej żywej istoty. Vanyelowi udało się przeżyć, ale kto inny mógłby umrzeć. Poza tym jest bardzo prawdopodobne, iż taką operację może przeprowadzić tylko para połączona więzami życia. Dlatego — wzruszyła ramionami — użyjemy tradycyjnej metody, a ja padnę na nos po drugiej stronie Bramy.

Zagłębili się w lasek. Bezlistne korony drzew nad ich głowami tworzyły coś na kształt misternej koronki. Panował tu zawsze niezmacony spokój, bez względu na porę roku, co stanowiło jeden z powodów, dla których Savil wybrała na wzniesienie Bramy właśnie ten zakątek. Ponadto lasek był najbezpieczniejszym miejscem, ponieważ odwiedzają je jedynie heroldowie, co eliminuje niebezpieczeństwo, że ktoś przypadkowy mógłby nagle znaleźć się w polu działania zaklęcia.

Grupka oczekująca przy świątyni nie była zbyt liczna. Stali tam Jaysen, Donni i Mardik oraz Lissa, a z daleka wydawało się, że ich sylwetki są tylko figurami usypanymi z tego samego świeżego śniegu, który pokrywał ziemię. Ze względu na to, że Towarzysze omijali zwykle lasek i przychodzili tutaj tylko wtedy, gdy zmarł jakiś herold, żadna z osób odprowadzających dziś Savil i Vanyela nie przyprowadziła swego konia. Były z nimi tylko Kellan i Yfandes, na której grzbiecie siedział już Vanyel. Był otulony w najcieplejszy płaszcz, jaki Savil udało się zdobyć, i przywiązany do swego siodła tak, aby nie groził mu upadek, nawet jeśli Yfandes będzie musiała stanąć do walki albo pełnym galopem rzucić się do ucieczki.

Odejdźcie złe moce — pomyślała Savil, poddając się swej skłonności do wiary w przesady. Oby nie wydarzyło się nic, co zmusiłoby nas do walki albo ucieczki. I tak prześladowuje nas pech.

Savil podeszła najpierw do Vanyela. Rzeczywiście Lissa i inni dołożyli wszelkich starań, by Vanyel siedział pewnie na Yfandes. Ręce chłopca uwiązali luźno do przedniego łąku. Pasy, na których zazwyczaj wiszą strzemiona, owinęły wokół jego łydek i także przymocowali, unieruchamiając w ten sposób nogi chłopca. Same strzemiona zaś najwyraźniej powędrowały do któregoś z tłumoków przytroczonych za siodłem. W pasie umocowali Vanyela na dwa sposoby: przywiązując jednym paskiem do przedniego łąku, a drugim, przeciągniętym przez specjalnie do tego celu przystosowane uchwyty, do tylnego łąku siodła.

Do Savil dołączył Andrel i zajął się krótkim badaniem stanu chłopca. Ten nawet nie zareagował, gdy uzdrowiciel uniósł jego powiekę. Źrenice oczu Vanyela zwężyły się do malutkich punkcików. Potem na moment wzrok Andrela stracił nagle ostrość i zagłębił się we wnętrzu chłopca. Wreszcie uzdrowiciel, najwyraźniej usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, pokiwał głową.

— Nic mu nie będzie, Savil. Ale później nie może już przyjmować żadnych lekarstw. Nawet mikstur tych twoich przyjaciół. . .

Savil skinęła potakująco.

— Oni nie przepadają za tego typu lekarstwami. Nie używają ich nawet w najcięższych przypadkach. Zbyt łatwo popaść w nałóg.

— Ja też ich nie lubię, ale czasami zdarzają się sytuacje, kiedy nie ma wyboru. Nam się właśnie to przytrafiło. — Andrel pogładził rękę chłopca, a gdy pogrzyżył się w zadumie, na kilka chwil jego zielone oczy pociemniały. — Bogowie, mam nadzieję, że nie mylisz się co do tych ludzi. Zmysły chłopca nie są jeszcze w pełni sprawne. Prawdę mówiąc, kanały przepływu energii wcale się nie zaleczyły.

— Jeśli oni nam nie pomogą, nikt nie zdoła tego zrobić. — Savil odwróciła wzrok od swego półprzytomnego podopiecznego i stanęła twarzą do świątyni, przygotowując się do wypowiedzenia zaklęcia.

I do wzniesienia Bramy. . .

Było to zaklęcie bardzo osobiste, ponieważ tylko jedna osoba uczestniczyła we wznoszeniu Bramy i tylko jeden umysł kierował energią na jej powstanie. Jej twórca musiał umieć określić z wielką dokładnością, dokąd powinna go zaprowadzić Brama, a nie jest wszak możliwe, by istniało dwoje ludzi, którzy noszą w pamięci identyczne wyobrażenia jakiegoś miejsca. Poza tym spośród wszystkich obecnych tylko Savil odwiedziła kiedykolwiek ziemie k'Trevów w Pelagris. Żaden inny mag heroldów nie może jej pomóc, ponieważ całą swą uwagę Savil musi skupić na Bramie i nie starczyłoby jej energii, by nawiązywać kontakt z innym heroldem. Przede wszystkim jednak ze względu na to, że zaklęcie wymaga, aby z ogromną dokładnością skierować energię w ściśle określone miejsce, musi ona płynąć tylko z jednego, jedyne źródła. . .

... z wnętrza twórcy Bramy. A może... z ducha osoby związanej z twórcą Bramy? Więzy życia zajmują najniższe pokłady duszy ludzkiej, nie muszą przebijać się do świadomości, a zatem może właśnie dzięki nim Tylendelowi udało się wykorzystać Vanyela jako źródło swej energii.

Specyfika sił potrzebnych do wzniesienia Bramy polega na tym, że można je gromadzić przez dłuższy czas, jeśli wcześniej zaplanuje się użycie zaklęcia. Jednakże podobnie jak każde naczynie, które może pomieścić ograniczoną ilość płynu, mag jest zdolny zebrać w sobie ograniczoną ilość energii. Savil, dobrze o tym wiedząc, była na to przygotowana. Po przejściu przez Bramę będzie potrzebowała całej doby, aby odzyskać siły, a przez dwadzieścia cztery świece pozostanie w stanie całkowitego wyczerpania sił fizycznych, psychicznych i — rzecz jasna — magicznych.

Teraz nie pora o tym rozmyślać. Bierz się do roboty, kobieto. Najpierw portal, potem konstrukcja.

Drzwi świątyni tak często służyły jako szkielet Bramy, że nie wymagały nawet szczególnych przygotowań. Wystarczyło tylko... dotknąć...

Uniosła ramiona, zamknęła oczy i pogрузzyła się w takiej koncentracji, że wszystko dookoła niej jakby przestało istnieć. Pozostała tylko siła wewnątrz niej samej i miejsce, gdzie ma stanąć Brama.

Przyzywam Portal...

Z wiązki energii uformowała odrzwia wspierające się na autentycznych odrzwiach świątyni i obudowując je warstwa po warstwie, stworzyła mocny szkielet podtrzymujący przed zawaleniem całą konstrukcję, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Wtedy, wysupłując pojedyncze nitki energii z całej tej konstrukcji, zaczęła przerzucać je jakby w głąb utworzonego już przejścia.

— Oto jest wasz cel — rzekła, kierując je na poszukiwania rzeczywistego odpowiednika obrazu miejsca przywołanego z pamięci. — Gdzie są góry skaliste i drzewa rosną tak... a ziemia pachnie...

Nitki energii wydłużyły się, stały się cieńsze, wreszcie zupełnie zwiotczały. Wtedy wzmocniła je swą własną energią, czując jednak, że traci coraz więcej sił.

Savil słabła. Traciła energię w takim tempie, że miała wrażenie, jakby krew odpływała jej strumieniem z otwartej rany. Po chwili jednak zdawało się, że sama Brama wysysa z niej resztki sił. Był to moment największego niebezpieczeństwa. Jeżeli teraz nie przeciwstawi się tej zaborczej mocy, Brama pozbawi Savil resztek sił, doprowadzając ją do utraty przytomności.

W tej sekundzie jedna z poszukujących w dali nici energii zaczepiła się o coś znajdującego się poza zasięgiem wzroku. Za nią podążyła następna...

Naraz Brama eksplodowała jasnością i w jednej chwili ze szkieletu energii powstała nietrwała, lecz na razie zupełnie stabilna całość.

Savil opuściła ramiona, otworzyła oczy i zakotłowała się, tracąc równowagę

z wyczerpania. Na szczęście tuż obok niej stała Kellan i Savil uratowała się przed upadkiem, chwytając szybko łąk jej siodła.

Brama nie okalała już wejścia do świątyni. Teraz jej biały marmur, jarzący się wielką jasnością, stał się oprawą dla zupełnie innego obrazu, przedstawiającego fragment obcego, niezwykłego krajobrazu.

— Czy tam właśnie się udajesz? — zapytał Jaysen z powątpiewaniem, obrzucając wzrokiem dziwaczne kształty przysypanych piaskiem i śniegiem skał po drugiej stronie portalu. Padał tam śnieg... Jego grube płaty leciały z czarnych, niskich chmur. Savil skinęła potakująco.

— W rzeczy samej. To właśnie pogranicze Pelagris w pobliżu terytorium Gwiazdowego Wichru. Po drugiej stronie Bramy znajduje się wyjście z grotty, a więc będziemy mogli się tam schronić, do czasu gdy Gwiazdny Wicher albo Tańczący Księżyc nas odnajdą.

— A jeśli nie odnajdą? — zapytał Jaysen. — Savil, nie podoba mi się, że znajdziecie się sami w takim miejscu. Chłopak jest zupełnie niezdolny do udzielenia ci jakiegokolwiek pomocy, a ty jesteś skrajnie wyczerpana.

— Jaysenie, nie wiesz, co to za ludzie. Całkiem możliwe, że zobaczywszy cię, pojawiającego się nagle ni stąd, ni zowąd, zabiliby cię bez zastanowienia — odparła i uchwyciwszy siodło, próbowała zebrać resztki sił do wdrapania się na nie. — Oni przywiązują nieprawdopodobną wagę do nienaruszalności ich terytorium i zachowania tajemnicy. Zresztą mają ku temu powody. Sam pomyśl. Muszą się dowiedzieć, że ktoś zabawiał się magią i wykradł zwierzęta, które oni uważają za dobrze strzeżone. Jeśli napotkają na swej drodze obcego człowieka posiadającego dar magii, najprawdopodobniej najpierw go zabiją, a dopiero później będą pytać, kim był ów nieznamy. Mówię całkiem szczerze, nie przesadzam. I tak ryzykuję, zabierając ze sobą Vanyela, a przecież jest za mną i nietrudno rozpoznać, że naprawdę potrzebuje pomocy.

Wreszcie poddała się, stwierdzając, że jednak nie jest zdolna dosiąść Kellan o własnych siłach.

— Mogę się na tobie oprzeć? — zapytała z pokorą w głosie.

Taka pomoc jednak nie wystarczyła i Jaysen wraz z Andrelem musieli unieść ją i umieścić w siodle.

— Czy zabrałaś wszystkie potrzebne rzeczy?

— Myślę, że tak. — Ale naprawdę była zbyt osłabiona, aby o tym pomyśleć. Przecież musiała wciąż skupiać uwagę na następnym etapie podróży. — Rzućcie polana.

Cztery ciężkie belki suchego drewna wylądowały na śniegu po drugiej stronie Bramy.

Vanyel zakwilił jak niemowlę, a jego twarz wykrzywiła maska bólu.

Rzeczywiście jest tak, jak mówił Andy. Vanyel odczuwa działanie pola energetycznego Bramy. Lepiej się pospieszyć.

— Mardiku... — powiedziała cicho. — Donni...

Wychowankowie zbliżyli się posłusznie, a ona, wyciągnawszy ku nim dłoń, połączyła się z nimi w chwili zjednoczenia, które znaczyło dużo więcej niż zwykłe pożegnanie. Znaczyło wymianę podarunków. Ona obdarzyła ich swą dumą z poczynionych przez nich postępów, miłością i błogosławieństwem, oni zaś przekazali jej swą miłość i życzenia dobrej podróży.

— Lisso...

Dziewczyna stanęła obok jej uczniów.

— Nie wiem, jak ci dziękować — zaczęła Savil, jak zwykle z trudem ujmując myśli w słowa.

— Podziękujesz mi, przywożąc Vanyela z powrotem do domu. — Wyciągnęła rękę, ścisnęła krótko dłoń Savil i odsunęła się.

Mardik i Donni usunęli się z drogi, a Jaysen i Andrel, nie czekając na zachętę, zajęli ich miejsce. Savil ponownie przymknęła oczy, podała dłoń każdemu z nich i otworzyła swą duszę dla ich uczuć, łącząc się z nimi jeszcze ściślej niżli ze swymi uczniami. We troje nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Przed Jaysenem i Andrelem nie ukrywała tego, o czym nie powiedziała Mardikowi i Donni. Przed nimi przyznała się otwarcie, że z tej podróży mogą nigdy nie powrócić ani ona, ani Vanyel. Jeśli nie uda jej się okiełznać darów Vanyela, jego potężna moc może zabić ich oboje. Jego zmysły miały siłę tak wielką, że nawet teraz, po zażyciu dawki narkotyku, która uspiłaby przeciętnie uzdolnionego herolda na tydzień, Vanyel pojękiwał i wybudzał się ze snu, dręczony mocą energii płynącej od Bramy.

Savil rozzłościła się na moment. Mógł nas wszystkich pozabijać, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Och, bogowie. Bogowie, wyrządziliście mu tyle krzywd! Musicie mu to wynagrodzić! Zabraliście jego miłość — dajcie chociaż coś w zamian!

Zmęczenie jednak nie pozwalało jej wytrwać nawet w gniewie wobec opatrności, bogów czy... czegokolwiek. A to pożegnanie mogło naprawdę być ostatnim.

Poprosiła więc swych przyjaciół, aby wybaczyli jej wszystko, co złego uczyniła im w przeszłości. Oni zrobili to samo i tak cała ich trójka zjednoczyła się w pojednaniu.

Gdy Savil uniosła wreszcie ciężką od zmęczenia głowę, ujrzała łzy w szarych i zielonych oczach swych przyjaciół. Ale łzy te nie mogły być uronione, nie teraz. Uścisnąwszy jeszcze raz ich dłonie, puściła je, czekając, by obydwaj usunęli się z jej drogi. Potem wyprostowała się w siodle, wzięła głęboki oddech i zwróciła się twarzą ku Bramie i szarej krainie rozpościerającej się za nią. Widok nie zdawał się wcale bardziej zachęcający niż kilka minut wcześniej, lecz nie można było dłużej zwlekać. I tak nic by to nie zmieniło.

— *No, moja Kellan, ruszajmy.*

I pojechali wprost ku pulsującej wielką mocą Bramie, której Savil tak nienawidziła.

Savil podkuliwszy nogi usadowiła się przy ogniu. Musiała teraz ze wszystkich sił zwalczyć sen. Na szczęście nie było wiatru i powietrze w grocie stawało się coraz cieplejsze. Ale wraz ze wzrostem temperatury nieprzyjemny zapach wilgotnych, na wpół zgniłych liści przyniesionych tutaj jeszcze przez jesienny wiatr, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Wilgoć stanowiła też swoiste niebezpieczeństwo. Jeśli bowiem zgaśnie ogień, rozpalenie drugiego stanie się zupełnie niemożliwe, a wtedy w grocie zapanuje taki chłód, że nawet ciepłe, grube płaszcze nie zdadzą się na nic.

Odkąd przeszli przez Bramę, Savil opanowało wszechogarniające wyczerpanie. Ledwie starczyło jej sił na ułożenie ogniska i rozpalenie węgla, który przywiozła w swym podręcznym przyborniku do rozpalamia ognia. Potem już tylko opadła na piaszczystą ziemię przy ognisku i przygarnęła pod swój płaszcz drżącego jak liść Vanyela. Ten wtulił się w nią i oparł głowę na jej kolanach. Od czasu do czasu z jego ust dobywał się cichutki jęk. Wysuwał wtedy dłoń spod płaszcza, szukając po omacku czegoś, co widział chyba tylko we śnie, Savil kołta wówczas jego niepokój, głaszcząc go po głowie tak długo, aż Vanyel znów przekonywał się, że nie jest sam, i uspokojony na powrót zapadał w sen.

Przejście przez Bramę rzeczywiście wyraźnie dało się Vanyelowi we znaki. Obawy Savil spełniły się. Gdy zbliżyła się do Yfandes, chcąc zdjąć Vanyela z jej grzbietu, chłopiec był na wpół rozbudzony. Oczy miał szeroko rozwarte, szczęki zaciśnięte. Ból i przerażające męczarnie sparaliżowały go zupełnie i dopiero po upływie jednej świecy Savil udało się uśmierzyć jego cierpienie.

Gdzieś na zewnątrz, nieopodal groty pełniły straż Kellan i Yfandes. Biedaczki stały na śniegu w pełnej uprzęży. Savil, słaniając się na nogach, ledwie zdołała rozwiązać pasy, którymi Vanyel przyczepiony był do siodła, i nie starczyło jej sił, by ulżyć Towarzyszom. Była tak zmęczona, że niewiele brakowało, a zapomniałaby nawet o uaktywnieniu Talizmanu. Dopiero ostra uwaga Kellan wyrwała ją z zamroczenia i pomogła zebrać siły potrzebne, aby nakłuć sztyletem palec i upuścić na Talizman niezbędne trzy krople krwi.

I wtedy zalała ją fala wspomnień z czasów pobytu u Sokolich Braci. Przed oczami stanął jej żywy obraz sceny pożegnania z nimi i zdało jej się, że od tamtej pory minęło zaledwie parę dni, a nie lata całe.

— Krew przyzywa krew, a serce serce — rzekł z powagą Gwiazdny Wicher, zwracając w głąb siebie swe szkliste, błękitne oczy. Zawiesił swą rozciętą dłoń ponad Talizmanem Skrzydlatej Siostry, utkany z srebrnych drucików i kryształów górskich, a krew z jego rany poczęła kapać na kamień w samym jego środku, przemieniając bezbarwny kryształ w jaskrawy rubin.

Savil przyglądała się temu w milczeniu, napawając się mocą spływającą na klejnot z mieniącym się wszystkimi barwami tęczy kryształem wplecionym w misterną koronkę srebrnych nitok.

W niczym nie przypominało to magii, do której sama przywykła, ale różniło się też od metod, jakich nauczyli ją Sokoli Bracia. Były to pradawne czary pochodzące może nawet z czasów Wojen Magów, wojen, które wyniszczyły cały świat, a Pelagris obróciły w ruinę, w kraj rządzący się prawami magii. Savil zarzwała z lekka. Wtedy Gwiazdny Wicher uniósł wzrok i jego oblicze rozjaśnił na moment, jakże rzadko pojawiający się na jego ustach, uśmiech.

Potem zaniknął dłoń, a gdy tańczący Księżyc musnął ręką jej wierzchnią stronę, rozwarł ją na nowo. Rozcięcie na jego dłoni zagoiło się z prędkością, jaką osiągnąć może tylko myśl. Wówczas osiemnastoletni przybysz z dalekiego kraju, nazywający siebie Tańczącym Księżycem, był na najlepszej drodze do zostania najwyższej cenionym z magów — biegłym uzdrowicielem.

Gwiazdny Wicher umocował Talizman na jego miejscu, na masce z piór i paciorków z kryształu, gdzie umieszczony ponad otworami na oczy wyglądał niczym diadem wielkości dłoni. Potem wręczył maskę Savil i wskazując na Talizman powiedział:

— Gdy będziemy ci potrzebni, przybądź do naszego kraju i upuść trzy krople własnej krwi na kryształ w sercu Talizmanu. Rozpoznam twój znak i odnajdę cię.

Przez wszystkie te lata jasny szkarłat kamienia zachował swą barwę, a Savil krzepiła się teraz nadzieją, że i zaklęcie przypisane mu zachowało swą moc. Zauważyła wprawdzie, że z chwilą gdy pierwsza kropla krwi spłynęła na kryształ, w jego wnętrzu zdawało się błysnąć blade pulsujące światło, nie dowierzała jednak własnym oczom. Mógł to być blask ognia odbijający się w kamieniu bądź wytwór jej umęczonych oczu, tracących już ostrość widzenia. Nie miała siły dociekać istoty tego światełka ani nawet wyczuć energii pulsującego na jej piersi blasku.

Vanyel poruszył się i ułożył wygodniej, bardziej przyciągnąwszy nogi do piersi. Savil uniosła się troszkę, z zadowoleniem zauważając, że podłoże jaskini pokrywa kilkunastocentymetrowa warstwa suchego piasku.

Biedaczku — pomyślała, pogrążając się w smutku. Zupełnie nie wiem, co z tobą zrobić. Wiecznie szukasz we mnie wsparcia, a ja chciałabym ci go udzielić, choć nie powinnam, wręcz nie mogę. Jeśli pozwolę ci polegać we wszystkim na mnie, wpadniesz z powrotem w te wszystkie przyzwyczajenia, jakie wyrobiły się w tobie, gdy miałeś Lendela u swego boku.

Gładziła bujne, jedwabiste włosy Vanyela, czując przejmujący smutek. Sam już nie wiesz, co myśleć, prawda? Nie masz odwagi otworzyć się na innych, twe serce przepełnia taki strach i ból. . . o bogowie, nie zapomnę nigdy dźwięku twych

słów, gdy powiedziałaś swemu ojcu, że już nic nigdy cię nie uszczęśliwi...

Przełknęła ślinę, czując, że żal ściska jej gardło. Zmrużyła oczy widząc, że płomienie w ognisku poczęły tańczyć jak szalone, i zamknęła piekące oczy. Na jej rzęsach zawisły łzy. Gwiezdny Wichrze, stary przyjacielu — zawołała rozpaczliwie w głębi swych myśli. — Gdzie jesteś? Nie mam już sił. Nie wiem, co czynić. Potrzebuję twojej pomocy...

— *Właśnie ci ją niosą, siostrze mej duszy.*

Zamarła. U wejścia do groty podniósł się tuman śniegu, mieniając się bielą i złotem w świetle błyskającego płomienia na ognisku. Towarzysze na zewnątrz zachowywały cały czas spokój...

Ale gdy śnieg opadł, on stał przed nią.

Taki sam jak przed laty, nic nie zmieniony.

Cały czas przypominał jej lodowy miecz. Tak go nazwała przy pierwszym spotkaniu. Spod kaptura wysypały się jego falowane, srebrne włosy sięgające niżej pasa. Jego twarz ciągle wolna była od zmarszczek, nawet skóra wokół skośnych oczu pozostawała gładka i jedwabista. Wciąż był wysoki i smukły niczym młodzieniec, a czas nie zgiął mu pleców. Jedynie z chłodnej głębi jego oczu wyczytać można było wiek tego mężczyzny i aurę wielkiej mocy pulsującą wokół niego. Nikt przenigdy nie miałby żadnych wątpliwości, że był to obdarzony potężną siłą biegły.

Uśmiechnął się i wyciągnął ku niej dłoń.

— Witaj, siostrze mego serca, Skrzydlata Siostrze Savil — powiedział w swym języku Tayledras, postępując ku niej, by uścisnąć jej przyjazne ręce. — Zawsze z radością cię witamy, moja droga.

— Gwiezdny Wichrze, *shaydra*. — Raptem pociemniało jej w oczach. Gdy się ocknęła, biegły klęczał u jej boku, podtrzymując ją.

— Savil, ty uparta kobieto o żelaznej woli — skarcił ją, a ona poczuła nagle silny strumień energii spływającej na nią z jego serca. Chwiała się, ale on podpierał ją nadal. — Jakaż to wielka potrzeba skłoniła cię do przybycia tutaj i zamęczania się wznoszeniem Bramy?

— Ta oto... — Savil odrzuciła płaszcz i oczom Gwiezdnego Wichru ukazał się zwinięty w kłębek na ziemi chłopiec z twarzą napiętą w zmaganiach z cierpieniem.

— O boże moich ojców... — Wyciągnął dłoń, dotknął lekko czoła Vanyela i cofnął rękę w takim pośpiechu, jakby się sparzył.

— O bogini moich matek! A cóż ty mi tu przywiodłaś, siostrze?

— Nie wiem — odparła, zwisając bez sił na jego ramieniu, — Wszystkie jego dary eksplodowały naraz i nie może powrócić do zdrowia... co więcej... och, jestem nazbyt zmęczona, aby opowiadać. Tyle się wydarzyło w naszym życiu, że nie mam już pojęcia, co robić. Wiem tylko, że on przeżywa koszmarnie męczarnie, a ja nie jestem w stanie mu pomóc, a gdybym zostawiła go tam, gdzie mieszkamy,

w najlepszym wypadku zabiłby siebie, a w najgorszym obrócił w gruzy połowę stolicy.

— Nie mylisz się w swych sądach — odparł Gwiazdny Wicher i usiadłszy na piętach zatopił w Vanyelu swe badawcze spojrzenie. — On ma w sobie potencjał... który wzbudza we mnie strach. Jego duszę zaś spowija taki mrok... nie, Skrzydlata Siostró, nie zło, nie ma w nim żadnego zła. Po prostu... mrok. Rozpacz jednakże nie jest jedynym powodem tego stanu — on odżegnuje się od swej tożsamości, od tego, że musi zostać magiem heroldów. To on sam, z własnej woli, narzuca sobie ten stan. Tak myślę.

— Widzisz dużo więcej, niżli ja zdołałam dostrzec — rzekła, pocierając bolące czoło. — Nie mam prawa prosić cię o to, wiem, ale czy pomożesz mi uporać się z tym, co nie pozwala mu żyć? Czy w ogóle możesz mi pomóc?

Płomień ogniska przemienił lodowy blask oczu Gwiazdnego Wichru w złoto-błękitne światło.

— Masz prawo prosić twego brata o każdą rzecz. Czyż nie obdarowałaś mnie największym ze wszystkich podarków, moim *shay'kreth'ashke*?

Rzeczywiście, temu nie mogła zaprzeczyć. To, że dawno, dawno temu przywiodła do Gwiazdnego Wichru pewnego chłopca, uważała po dziś dzień za jeden z niewielu dobrych uczynków, jakie jej się w życiu udało zrobić. — A gdzie jest Tańczący Księżyc?

— *Tańczący Księżyc stoi na śniegu, chroniąc swą głowę i życie. Przekonuje nieznanego laska'Kaladra, aby mnie nie zjadła.* — Posłyszała pogodną odpowiedź. — *Przestraszyłem ją. Myślę, że mi nie ufa.*

— *Kellan...* — zawołała w myśli Savil.

— *Wyrósł spod ziemi wprost pod nosem Yfandes i śmiertelnie ją przestraszył* — odparła przepraszająco Kellan. — *Ta rzuciła się na niego, nim zdołałam go rozpoznać. Ale już wszystko jest dobrze.*

— *Wielkie nieba, Kellan, na szczęście przynajmniej ty go znasz!* — rzuciła. Zmęczenie za bardzo dawało jej się we znaki i zaczęła już tracić cierpliwość.

— *Już nie...*

— Obawiam się, że bardzo się zmieniłem, moja Skrzydlata Siostró — rzekł Tańczący Księżyc, stając na tle wejścia do groty. — Obawiam się też, że już nawet o tym zapomniałem.

Savil uniosła wzrok ponad ramię Gwiazdnego Wichru i uzmysłowiła sobie, że ze zdumienia otworzyła usta. Gwiazdny Wicher przyłożył palec pod jej podbródek i ze zgrzytem zamknął opadającą szczękę.

— Wielcy bogowie! — powiedziała wreszcie po długiej chwili martwej ciszy. — Postarzałeś się!

Tańczący Księżyc, którego znała — wtedy od niedawna nosił to imię — był szatynem o brązowych oczach i wyglądem tak pospolitym jak zwykła chłopska chata. Nic dziwnego, pochodził wszak z wieśniaczej rodziny. Ale teraz — teraz

nosił długie, tak samo srebrzyste jak u Gwiezdnego Wichru włosy, a jego oczy nabrały tej samej lodowatej głębi, co oczy jego przyjaciela. Rysy jego okrągłej twarzy niewiele się zmieniły, jedynie kości policzkowe zdawały się być dużo bardziej wystające niż dawniej. Jego postura dawno zatraciła młodzieńczą niezgrabność i zamieniła nastolatka w smukłego, dojrzałego mężczyznę. Obaj, on i Gwiezdny Wicher, mogliby być rodzonymi braćmi, a nie braćmi krwi.

— *On nawet pachnie inaczej* — uskarżała się Kellan.

— Jak tego dokonałeś? — zapytała Savil.

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami i odrzucił na boki białą pelerynę, ukazując, że ma na sobie tylko popielate bryczesy i bezrękawnik ze skóry, dopasowany kolorem do wysokich butów. Savil przeszył dreszcz, gdy przypomniała sobie, iż ludzie z Tayledras nic sobie nie robią z chłódów i mrozów.

— To magia, którą się posługujemy — powiedział. — Ona przemienia nas w to, czym sama chce, abyśmy byli. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Jak zwykle upraszczasz wszystko — upomniał go pieszczotliwie Gwiezdny Wicher. — *Ka'sheeleth*. Savil przywiozła ze sobą pewien problem. Podejź i przyjrzyj się temu chłopcu. . .

Tańczący Księżyc zbliżył się do Savil, usiadł na piętach u jej boku i na parę chwil zatopił wzrok w twarzy Vanyela.

— *Hai'yasha* — westchnął. — *Shay'a'chern*, prawda? I utracił swą miłość? Nie, to jeszcze głębsze. — Podobnie jak wcześniej zrobił to Gwiezdny Wicher, wyciągnął rękę i dotknął czoła chłopca, ale nie cofnął jej. — *Ai'she'va*. . . Najświętsze Matki! Jakież to potworny ból! — Zaciśnął szczęki i źrenice jego oczu ściągnęły się do średnicy czubka igły. — Ograbiony i osierocony po stracie swego *shay'kret'h'ashke*. — Jego twarz skamieniała. — Sługą jest. . . i sługą był. . . — wyrzekł matowym głosem, zniżonym o pół tonu. — Sługą, którym jest, a być nie pragnie. Lecz niezależnie od jego woli toczy się gra. . . a gra ta jest próbą. . .

— Co za gra? — zapytał szeptem Gwiezdny Wicher.

Tańczący Księżyc zawahał się przez moment, ale już po chwili jego twarz na powrót ożywiła się, a źrenice odzyskały dawny kształt.

— Tego wiedzieć nie sposób — odparł, z wolna unosząc dłoń z czoła Vanyela. — To jest całkowicie zależne od tego, czy on chce zostać kimś więcej niżli tylko sługą. Lecz wydaje mi się, że nauka należy do ciebie — powiedział, unosząc wzrok na biegłego. — On zdaje się mieć w sobie jakby twe własne siły. A co do jego powrotu do zdrowia, uważam, że najpierw sam musi tego chcieć, to już będzie połowa sukcesu. . . a potem. . . zobaczymy czy w ogóle uda się go postawić na nogi. . .

— Druga połowa leży w twoich rękach — uśmiechnął się z ironią biegły.

Tańczący Księżyc odwrócił ręce Vanyela i ujrzał blizny w nadgarstkach. . . potem sam przekreślił własną dłoń i światło bijące od ogniska padło na długą szramę

na jego ręce, biegnącą od środka pokrytej złotawą skórą dłoni aż do połowy przedramienia, wzdłuż niebieskiej tętnicy pulsującej pod grubą krechę blizny.

— No, kto z nas był lepszy? — zapytał. — Zdaje się, że coś nas łączy.

Savil znów straciła równowagę, ścięta z nóg nowym zawrotem głowy. Gwiazdny Wicher jednak w porę uchwycił jej ramiona i nie pozwolił upaść.

— Chcesz spędzić noc tutaj, czy możesz jechać konno?

Savil opadło nagłe pragnienie rzucenia się na piasek, tak jak stała, lecz na myśl o ciepłym łóżku szybko zrezygnowała z tego zamiaru.

Wszak tam, na mrozie, w śniegu czekają Towarzysze wciąż uwięzione w swych uprzężach.

— Towarzysze mogą unieść dwie osoby — rzekła z westchnieniem, czując się bliska omdlenia. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, możesz dosiąść jednego z nich albo przywiązać nas do siodła i wtedy będziemy mogli jechać sami. Mnie jest to obojętne, róbcie, jak chcecie. Ja pragnę tylko, aby Towarzysze znalazły ciepłe schronienie.

— W takim razie jedziemy — rzekł Gwiazdny Wicher. Tańczący Księżyc bez wysiłku uniósł chłopca jakby ten nic nie ważył. Starszy biegły wstał i podał rękę Savil, która z trudem zebrała siły, by podnieść się z ziemi. — To niedaleko, Skrzydlata Siostró.

— Mam nadzieję — odparła z powagą, chwiejnym krokiem wychodząc na śnieg. Tymczasem Tańczący Księżyc jednym spojrzeniem rzuconym w pośpiechu przez ramię ugasił ogień. — Jeśli to nieprawda, będziecie musieli nieść nie tylko chłopca, ale też i mnie.

Najpierw była ciemność, a potem wszechogarniający spokój oszołomienia wpływającego nań z chwilą przyjęcia leku. Spokój bez cienia jakiegokolwiek myśli. Tajemnicza mikstura stała się jedynym źródłem ciszy i ukojenia. Dlatego też z radością witał Vanyel rudowłosego uzdrowiciela pojawiającego się przy jego łóżku co dzień. Czasem jednak cisza i ukojenie zdawały się nie wystarczać. Wtedy Vanyel z nadzieją wyczekiwał momentu, gdy uzdrowiciel pomyli się w swych obliczeniach i poda zbyt dużą dawkę. . . a on już nigdy nie przebudzi się ze snu.

Potem znów dopadał go ból, nieokreślony ból, choć bliski, dotkliwy niczym ukłucie promienia słońca na spalonej skórze. Nawet leki nie zdołały go stłumić. Vanyel próbował go odrzucić, lecz ból nie ustawał. Pulsował wszędzie tam, gdzie rany wciąż jątrzyły się, zapowiadając nadejście cierpień o wiele większych.

Raptem. . . potworne boleści ogarnęły całe jego ciało i umysł. Krew w żyłach rozpalila się wielkim ogniem, płomienie tańczyły wzdłuż nerwów, wypalając mu umysł. To na pewno ogień Bramy i jej energia. Przestał już wątpić. Ale ból wciąż trwał, choć dawno minął moment, w którym Vanyel czuł, że męczarnia pozbawia go zmysłów i zatrzymuje bicie serca. Krzyczał co sił. . . a może tylko mu się

wydawało. Zagubił się zupełnie, nie było już ucieczki, nawet w śmierć. Ból nie chciał pozwolić mu umrzeć.

Nagle cierpienie ustało, lecz jego drobne ogniki wciąż pełgały po rozpalonych na nowo ranach, co gorsza, przed oczami stanęły mu nagle wspomnienia najtraagiczniejszych chwil — umierająca Gala, Tylendel rzucający się z wieży, a potem jego ciało na marach. . .

Naraz, niespodziewanie, pojawił się sen.

Vanyel stał w wąskim przesmyku Garbatej Przetęczy, blokując przejście. Magiczne światło bijące od jego uniesionej w górę dłoni odbijało się na kamiennych twarzach i w pustych, zapadniętych oczach trzech czarowników.

To nie był już tamten sen o samotności pośrodku lodowej krainy. Teraz pod powłoką snu Vanyel wyczuwał różne rzeczy, ale nie był jeszcze w stanie zrozumieć ich prawdziwego znaczenia..

Wszystko zdawało się tak realne, przerażająco realne.

— *Dlaczego zajmujesz się tymi bzdurami?*

Za plecami czarowników odezwał się słodki, śpiewny głos. Szeregi armii rozstały się ponownie i wyłoniła się jeszcze jedna sylwetka.

— *Jesteś zupełnie sam magu heroldów. — Jeden z czarowników usunął się na bok, robiąc przejście dla nowo przybyłego, by ten mógł stanąć przed Vanyelem.*

Młody nieznajomy był piękny. Nie ma słowa, które mogłyby opisać lepiej jego idealne rysy twarzy, proporcjonalne dąło, włosy i oczy połyskujące blaskiem przedświt. Od jego sylwetki biła wielka pewność siebie i moc tak potężna, że cała jego osoba zdawała się dziełem sztuki.

Gdyby nie ciemne oczy, można by go wziąć za brata Vanyela, a nawet samego Vanyela sprzed paru lat. Jednakże fakt, że wszystko w nim zdawało się nieskazitelne, perfekcyjne wręcz, nie pozwalał snuć domysłów o podobieństwie.

Chłopiec odziany był w popielatą zbroję, jak jego żołnierze, lecz nie dzierżył żadnego oręża. Bo też wcale go nie potrzebował; sam stanowił broń, której jedynym celem było zgładzenie tego, którego zdoła opętać swą potężną mocą. W przeciwieństwie do noża, który tnąc może i leczyć, i zadawać rany, on potrafił tylko zadawać cierpienie. Vanyel wiedział o tym równie dobrze, jak on sam.

— *Jesteś sam — powtórzył młody nieznajomy, z uśmiechem wypowiadając słowa obliczone na zadanie bólu. — Zupełnie sam.*

Vanyel pokiwał głową.

— *Nie mówisz mi nic, czego sam bym nie wiedział. Znam cię. Jesteś Lareth. Słowo to oznacza. . .*

— *Ciemność. — Lareth zaniósł się śmiechem. — Jestem ciemnością. A to moje służki. Osobliwa koncepcja, nieprawdaż?*

Vanyel nie odpowiedział. Przetrzyumując Laretha jak najdłużej, zyskiwał na

czasie, wygrywał kolejne minuty dla Tylendela i Yfandes pędzących mu na pomoc...

... ale przecież Tylendel nie żyje...

— *Nie musisz być sam* — ciągnął Lareth, zmysłowo zwilżając językiem wargi. — *Wystarczy, abys wyciągnął do mnie dłoń i przyjął w siebie mój mrok... a nigdy nie będziesz sam. We dwóch moglibyśmy wiele dokonać. A jeśli chcesz... mógłbym nawet... — postąpił krok naprzód — mógłbym nawet przywrócić ci twego kochanka. Pomyśl tylko. Pomyśl o Tylendelu... żywym, znów u twego boku.*

— *NIE!*

Zanosząc się od szlochów, zamachnęła się i całą swą mocą uderzył w tę przerażającą, piękną twarz.

— *To sny, Vanyelu.* — Zabrzmiało niespodziewanie zielono-błękitny głos, powstrzymując go od zadania ciosu, — *To tylko sny. Jeśli zechcesz, rozpułną się we mgle.*

Na dźwięk tych słów wszystko — armia, przesmyk, Lareth — wszystko rozwiało się w ogarniającym go znów mroku, w ciemności ukojenia, w której Vanyel zatonął równie ochoczo, jak przed chwilą odtrącił propozycję ze snu.

Po jakimś czasie w ciszę wkradła się chłodna, zielonozłota muzyka. Nie zakłóciła jednak spokoju, wręcz przeciwnie, stała się jego uzupełnieniem. Odnajdując drogę do jego umysłu, wędrowała po różnych jego zakamarkach, pozostawiając po sobie ukojenie i zaleczone rany. Przepływała przez niego szerokim strumieniem, a on z rozkoszą poddawał się jej działaniu. Otaczała go, obmywała swym balsamem, uwalniając ze wszystkich trosk i cierpień...

... poza poczuciem pustki w zakątku serca należącym niegdyś do Tylendela — ta rana wciąż jątrzyła się przynosząc ból i poczucie krzywdy...

Naraz do łagodnych dźwięków zielono-złotej melodii dołączyła błękitno-zielona harmonia podobna do głosu, który przed momentem rozproszył koszmarny sen. Nowa muzyka nie pozwalała bezwiednie unosić się na jej falach bez celu i sensu. Nowa muzyka wskazywała mu jakąś nową drogę. Oplotła swą melodią duszę Vanyela z takim wdziękiem, że był gotów pójść, dokądkolwiek go wiodła.

Teraz błękitno-zielone dźwięki wysunęły się na pierwszy plan, a melodia zielono-złota powoli rozwiała się w oddali. Wtedy we śnie odezwał się znów znajomy już głos.

— *Postuchaj, chcesz zapanować nad sobą... oto na czym masz się skoncentrować...*

Muzyka zaprowadziła go w dal, w przestrzeń, gdzie odnalazł równowagę. I dopiero gdy odczuł dobroczynną moc owej równowagi, zdał sobie sprawę, jak bardzo jej pragnął. Muzyka wirowała wokół niego, a on wirował razem z nią i wiedział, że gdy raz odnalazł spokój, już nigdy go nie utraci.

— *Tak, tak, właśnie tak* — mówił ze śmiechem głos muzyki. — *Teraz będziesz potrafił się chronić... oto twa osłona, widzisz? Jest gęsta, szczelna i powolna twej woli. Tylko twojej woli, Vanyelu, bo sama jest tylko wolą...*

Otoczyły go ściany odgradzające jego umysł od umysłów innych. Rozpoznał ich działanie i sprawił, by stały się jeszcze grubsze, bardziej masywne... a potem zamienił je w przesłonki lekkie niczym woal. Wiedział już, że w każdej chwili będzie mógł je wzmocnić.

Naraz błękitno-zielona muzyka ucichła i melodia pobrzmiwała znów tylko tonami złotej zieleni. Opowiadała mu o ukojeniu, spoczynku, spokoju, a on znów śnił. Śnił o przebudzeniu, o poddaniu się woli drugiej osoby, o najprostszych potrzebach: picciu, jedzeniu i ponownym odpłynięciu w sen. Nie nawiedzały go już żadne koszmary. Pozostała tylko zielono brzmiąca muzyka.

Wtedy przebudził się... prawdziwym przebudzeniem, nie tamtym ze snu. Przebudził się na dźwięk donośnych, natarczywych tonów, raz po raz wkradających się pomiędzy łagodne akordy muzyki. Nowe tony zdawały mu się znajome, lecz nie potrafił ich zidentyfikować. W powietrzu unosiła się woń paproci, wrażliwych roślin i świeżo zaoranej ziemi oraz delikatna nuta jakiegoś metalicznego zapachu.

Nie czuł już działania lekarstw. Ustała męczarnia boleści płynąca z ognisk energii w jego umyśle.

Bez pośpiechu otworzył oczy.

Przez krótką chwilę opanowało go przeświadczenie, że tkwi w powietrzu, zawieszony na drzewie. Ze wszystkich stron otaczała go zieleń, a nad głową pochylały się konary drzewa z obfitym listowiem. I wtedy uzmysłowił sobie, że choć drzewa i liście w istocie były prawdziwe, nie były one częścią jednego i tego samego organizmu. Gałęzie podtrzymywały niespotykanej wielkości paprocie, spletające swe liście w olbrzymi żywy baldachim, podobny do tego nad łóżkiem Vanyela w Przystani. Natomiast zieleń dookoła niego nie była niczym innym jak kotarą składającą się z wielu warstw tkaniny o wszelkich możliwych odcieniach zieleni, zwisającej z ramy utworzonej z konarów drzew. Każda z warstw tej lekkiej niczym pajęczyna materii przycięta została na kształt opadającej kaskady liści. Vanyel nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego, nigdy nie wyobrażał sobie nawet, że w zwykłej zieleni może kryć się tyle przeróżnych odcieni.

Pomiędzy liśćmi paproci przebijały się promienie słońca. Pościel — jeśli tak ją można było nazwać — o ciemnozielonej barwie mchu była miękka i w dotyku przyjemna jak aksamit, lecz zdawała się bardzo ciężka.

Vanyel spróbował wstać, ale szybko przekonał się, że nie potrafi. Był kompletnie wyczerpany. Nie miał sił na najmniejszy ruch.

Muzyka dobiegająca spoza zasłon umilkła nagle i kotary się rozchyliły.

Mrugając oczami ze zdumienia, popatrzył na stojącą przed nim na tle zielonej materii postać młodego mężczyzny. Zdawał sobie sprawę z tego, że takie bezmyśl-

ne gapienie się nie jest przejawem dobrych manier, ale nie mógł się powstrzymać. Vanyel nigdy nie widział człowieka o podobnym wyglądzie...

Młodzieńca... o włosach siwych niczym u mężczyzny w jesieni wieku, dłuższych niżli włosy wielu niewiast, i błękitnych, połyskujących lodowym chłodem, oczach przeszywających go na wskroś. Oczach pełnych myśli i sekretów, o których odczytaniu Vanyel nie mógł nawet marzyć. Mężczyzna miał na sobie skórzany kaftan bez rękawów i ciemnozielone bryczesy, a w ręce podtrzymującej zasłony trzymał biały flet wycięty z nieprzezroczystego, fosforyzującego kryształu.

Vanyel nagle uświadomił sobie, iż rzeczywiście nie potrafi odczytać myśli nieznanego. Czuł obecność jego umysłu, lecz nie udawało mu się z otaczającej go ciszy wyłowić ani jednej myśli młodego mężczyzny.

Wyjąkał więc pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl. Nie były one może nazbyt mądre, ale...

— Gdzie... ja jestem? Kim ty... jesteś?

Nieznamy przechylił głowę lekko na bok i Vanyel ujrzał cień uśmiechu przemykający po jego twarzy. Potem usłyszał wypowiedane powoli, z dziwnym akcentem, słowa.

— No cóż. Pytasz: Gdzie ja jestem?... To dużo lepiej niż myślałem. Przyznam, Vanyelu, że obawiałem się, iż powiesz: Kim jestem? — Przechylił głowę w drugą stronę i tym razem jego oblicze rozjaśnił prawdziwy uśmiech. — Jesteś na ziemiach k'Trevów na Wzgórzach Pelagris i nim zadasz mi następne pytanie, spieszę wyjaśnić, że to twoja ciotka, Skrzydlata Siostra Savil, cię tu przywiozła. Jesteśmy przyjaciółmi, a ona zwróciła się do nas z prośbą o pomoc dla ciebie. Jestem Tańczący Księżyc k'Treva z Tayledras, twój uzdrowiciel. Leżysz teraz na moim łóżku. Podoba ci się ono? Gwiezdny Wicher uważa cały jego wystrój za zbyt uduchowiony, ale myślę, że jest po prostu zazdrosny, iż sam tego nie wymyślił.

Pod wpływem zamętu rodzącego się w jego głowie, Vanyela stać było tylko na mruganie powiekami.

Tańczący Księżyc sposepniał i pokiwał głową.

— Za bardzo się rozpędziłem, prawda? Najpierw zajmijmy się mniej skomplikowanymi sprawami. Jesteś głodny? Spragniony? Chciałbyś wziąć kąpiel?

Vanyel uzmysłowił sobie nagle, że czuje głód, pragnienie, a poza tym, jego ciało rozpaczliwie domaga się kąpieli.

— Wszystko naraz — odparł niezbyt pewnie.

— A więc zaspokoimy wszystkie trzy potrzeby. — Tańczący Księżyc odsunął zasłony i... wyciągnął rękę, by odkryć pościel. Wtedy dopiero Vanyel zreflektował się, że jest całkiem nagi, oblał się rumieńcem i ścisnął mocno koldrę.

Tańczący Księżyc był tym szczerze ubawiony.

— Jak ci się wydaje, kto cię rozebrał i położył do łóżka? — zapytał. — Zapewniam cię, że nie był to Wschodni Wiatr.

Vanyel znów się zarumienił, ale wciąż nie puszczał kołdry.

— No dobrze... wstydlivy chłopcze... — Tańczący Księżyc włożył rękę między zasłony i rzucił coś na kołdrę. — Vanyel sięgnął po to zaraz... Był to zielony szlafrok z jedwabistej tkaniny, na szczęście dużo grubszej niż materia, z której zrobiona kotary. Gdy Tańczący Księżyc ostentacyjnie odwrócił się plecami, Vanyel wygramolił się z łóżka i narzucił na siebie okrycie.

Od razu poczuł nowy zawrót głowy i przed upadkiem uratowała go tylko bliskość wezgłowia łóżka, którego w ostatniej chwili zdołał się uchwycić.

— To się nigdy nie skończy. — Poczul między oczami jakiś chłodny dotyk i pokój nagle przestał wirować.

— Chodź. — Tańczący Księżyc stał tuż przed nim, wyciągając doń zachęcająco rękę. — Patrz na mnie... tak. Zrób krok. A teraz drugi. Dużo czasu spędziłeś w łóżku. Musisz niemal od nowa uczyć się chodzić.

Uzdrowiciel szedł powoli tyłem, a Vanyel, prowadzony jego wzrokiem, postępował za nim. Nie podpierał chłopca w żaden sposób i ten utrzymywał się na nogach o własnych siłach. Tylko raz, gdy Vanyel potknął się, Tańczący Księżyc chwycił go na chwilkę i odczekał, aż odzyska równowagę. Dopiero widząc, że Vanyel znów mocno stoi na nogach, puścił go i pozwolił iść dalej.

Vanyel nie zorientował się nawet, że przekroczyli próg innego pokoju. Zwyczajnie chodzenie wyciskało z niego tyle potu, że koncentrował się wyłącznie na tej czynności, nie mając odwagi rozejrzeć się wokół. Zdawało mu się, że minęły lata, nim Tańczący Księżyc zatrzymał się, uchwycił go za łokieć i podprowadził do siedzenia na gładkim kamiennym występie opasującym basen pełen parującej wody.

— A teraz rozejrzyj się. — Tańczący Księżyc ogarnął gestem cały pokój. — To jest basen do mycia. Tu masz mydło. Gdy już się umyjesz, idź tam, do basenu przeznaczonego do odpoczynku.

Basen, przy którym Vanyel teraz siedział, nie był co prawda nazbyt obszerny, ale przynajmniej dość głęboki. Obok niego znajdował się drugi, dużo większy, dużo głębszy basen do odpoczynku. Nieco wyżej, ponad taflą wody, w ścianie widniał dość spory otwór, z którego lała się gorąca woda. Patrząc na kamienne obrzeża obydwu basenów i piaszczyste dno, odnosiło się wrażenie, że obydwa baseny są raczej tworem natury niżli rąk ludzkich.

— Wydaje mi się, że choć jesteś jeszcze dość słaby, świetnie dasz sobie radę. Przyjdę później i przyniosę ci coś do jedzenia i picia. — Mężczyzna zawahał się przez moment... a potem ze zwinnością spadającego na swą ofiarę sokoła, pochylił się i pocałował Vanyela prosto w usta. — Cieszymy się, że możemy cię gościć, Vanyelu — powiedział, nim Vanyel zdążył otrząsnąć się ze zdumienia. — Ja i Gwiazdny Wicher przyjmujemy cię z radością, i to nie tylko ze względu na

Skrzydlatą Siostrę Savil.

A potem ulotnił się jeszcze szybciej, nie czekając na reakcję chłopca.

Vanyel zaraz zorientował się, że jeśli tylko unika gwałtownych ruchów, nie męczy się nazbyt szybko i rzeczywiście może dać sobie ze wszystkim radę. Natychmiast więc zrzucił szlafrok i oddychając z ulgą, zanurzył się w gorącej wodzie. Namydlił całe ciało, a potem dokładnie opłukał. Basen opróżniał się sam, nadmiar wody wylewał się przez jego obrzeża do kanału w podłodze, lecz skąd i dokąd płynęła woda, w dalszym ciągu pozostawało dla Vanyela zagadką. Wreszcie domyślił się, że musiała pochodzić z jakiegoś gorącego źródła, a to tłumaczyłoby także obecność metalicznego zapachu w powietrzu.

Teraz, gdy był już całkiem sam, Vanyel mógł wreszcie rozejrzeć się dookoła i zastanowić się nad własną sytuacją. W całym mieszkaniu zdawało się nie być żadnych drzwi, a przejścia pomiędzy poszczególnymi pomieszczeniami pozostawały stale otwarte. Sama łazienka zaś sprawiała osobliwe wrażenie, ponieważ składała się z kilku poziomów. Na najwyższym z nich znajdował się basen do odpoczynku, z którego woda spływała kaskadą do basenu do mycia. Ten z kolei umieszczony był także powyżej poziomu właściwej podłogi, w której wydrążono kanał odprowadzający wodę. Ściany wzniesione z naturalnych skał nie miały okien, ale dzięki przeszklonemu sufitowi całe wnętrze było doskonale oświetlone. Łazienka wręcz tonęła w zieleni. Wszędzie pełno było paproci, pnączy i najróżniejszych roślin obsypanych kwiatami. Vanyel zauważył też, że jest tylko jedno wyjście, do sypialni. Tam także wykute w skale ściany pozbawione były okien, a światło wpadało przez przeszklone sklepienie.

Choć skalny murek odgradzający obydwa baseny nie był wysoki i Vanyel nie spodziewał się, aby mógł stanowić znaczącą przeszkodę, przedostanie się na drugą jego stronę okazało się dla chłopca wyczynem dość wyczerpującym. W końcu jednak udało mu się go dokonać i już po chwili Vanyel płał w gorącej, kryształicznie czystej wodzie. Zaraz też odkrył, iż jego przypuszczenie co do pochodzenia wody w basenie było słuszne. Rzeczywiście z piaszczystego dna unosiła się burza bąbelków, świadczących o tym, że wybija tam źródło. Człowiek tylko poprawił autentyczne dzieło natury, wygładzając skały tworzące naturalny zbiornik.

Vanyel poczuł się wspaniale. Temperatura wody, choć dość wysoka, zdawała się wprost idealna; nie sposób było się oprzeć jej relaksującemu działaniu. Vanyel zamknął oczy, ułożył się wygodnie i oddał się rozkosznej beztrójce, pozwalając swym myślom rozpląwać się w krążącej nad basenem parze. Z owego błogostanu wytrącił go dopiero dźwięk kroków na kamiennej posadzce.

Do łazienki wszedł właśnie Tańczący Księżyc, przynosząc dzban jabłecznika i dużą misę pełną chleba, sera i owoców.

— Jedz powoli — powiedział, wspinając się na poziom basenu, by postawić jedzenie na kamiennym murku. — Od trzech tygodni nie miałeś nic w ustach

i prawie cały czas znajdowałaś się pod wpływem leków.

— Od trzech tygodni?

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami.

— Trzeba było kuracji, jakiej nie mógł ci zapewnić twój poprzedni uzdrowiciel, Andrel. Przypuszczam, że żaden spośród waszych uzdrowicieli nie byłby w stanie zastosować podobnej terapii. Wasi ludzie nie mają pojęcia o leczeniu ran zadanych przez magię. Potrafią zwalczać tylko zwykłe choroby i obrażenia ciała. W twoim przypadku trzeba było posłużyć się wiedzą, jaką posiadało dotąd niewielu, w większości mieszkańców Tayledras. Posił się, Vanyelu. Do chleba i jabłeczniaka dodano zioła, które cię wzmocnią.

— A gdzie... gdzie jest Savil? — zapytał Vanyel, zaniepokojony przedłużającym się obcowaniem sam na sam z nieznanym.

— Jest z Gwiezdnym Wichrem. Była niezwykle wyczerpana, zarówno na duszy jak i ciele. To przez te... wszystkie wydarzenia. Podobnie jak ty bardzo ciężko to przeżyła. Myślę, że jej serce nadal krwawi. Mój *shay'kreth'ashke* i Savil są starymi przyjaciółmi, którzy kochają się szczerze i nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Savil bardzo potrzebowała takiej miłości. Może nawet bardziej niż ty, ponieważ naprawdę od dawna nie miała w nikim oparcia.

Słowo *ashke* wypowiedziane przez mężczyznę podziało na Vanyela jak kuleb zimnej wody. Serce skoczyło mu do gardła. Błyskawicznie zadarł głowę i obrzucił Tańczącego Księżyc drapieżnym spojrzeniem.

Ten spuścił wzrok na chłopca i zamyślił się nad czymś przez moment. Potem popatrzył na niego badawczo, odchrząknął i odwrócił oczy.

— Mam ci coś do powiedzenia i chciałbym bardzo, abyś się nad tym zastanowił.

Vanyel odstawił dzban z jabłeczniakiem, zamieniając się w słuch.

— Zagłębiłem się w twe myśli. Wiem o tobie więcej niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem twego *shay'kreth'ashke*.

Tańczący Księżyc zmienił pozycję. Odwrócił się tyłem do basenu i wsparłszy głowę na rękach, począł wpatrywać się w chmury widoczne przez przeszkłone sklepienie. Widać było, że starannie unika wzroku Vanyela.

— Jak już zapewne zgadłeś — zaczął — jestem *shay'a'chern*. Podobnie jak Gwiezdny Wicher i ty. — Teraz dopiero rzucił na chłopca krótkie, niemal niedostrzegalne spojrzenie spod oka i kontynuował. — Jestem biegłym uzdrowicielem i lecę nie tylko ludzi, lecę miejsca. Znam świat natury bardzo dobrze. Jedyne człowiek pragnący przywrócić mu dawną równowagę może wiedzieć o nim tak wiele. Oto co chcę ci przekazać: Na całym świecie żyje wiele stworzeń, które łączą się w pary, by spędzić razem całe życie. Są to zwierzęta otoczone największym szacunkiem i podziwem, jak: wilki, łabędzie, gęsi, wielkie ptaki drapieżne oraz wiele innych, które człowiek może jedynie naśladować w swych zachowaniach. Chcę, abyś wiedział, że związki osobników tej samej płci zdarzają się po-

śródm wszystkich gatunków zwierząt. Nie są może częste, ale uwierz mi, można je spotkać.

Vanyel poczuł nagle, że znieruchomiał. Nie miał pojęcia, dokąd ten wywód zmierza.

Tańczący Księżyc spuścił nań oczy i wtedy ich spojrzenia połączyły się ogromną mocą ich wspólnej woli.

— Zadręcza cię strach, poczucie wstydu, które zrodziło się z twych wątpliwości i przemyśleń na temat związku z Tylendelem. Chcę, abyś wziął sobie do serca to jedno: związki *shay'a'chern* zdarzają się w naturze. Jak więc mogą być nienaturalne? Zwyczajne nie są. Nie są pożądane z punktu widzenia przetrwania gatunku, ponieważ nie doprowadzają do prokreacji. Nie są jednak nienaturalne. Jakże niewinne są zwierzęta zamieszkujące pola i lasy. Człowiek nigdy nie dorówna im czystością myśli i uczuć, ponieważ zna zło i dobro, między którymi zawsze musi wybierać. A jednak one nigdy nie odrzucają osobników *shay'a'chern*. Z twym *shay'kreth'ashke* łączyła cię wielka miłość, tylko miłość. Nie można się wstydzić miłości.

Vanyel stracił dech w piersi. Przed sobą widział tylko błękitne, lodowate oczy mężczyzny.

— Myślę, że tam gdzie jest miłość, nie liczy się sposób, w jaki ona się przejawia, a bogowie się radują. Tyle nauczyły mnie moje obserwacje. Co się rodzi w naturze, jest jej dziełem, a jeśli bogowie odnaleźliby w tym coś złego, nie pozwoliliby na jego istnienie. Chcę, aby ta prawda wzmocniła twe serce i duszę.

Jeszcze raz, nim Vanyel zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Tańczący Księżyc pochylił się i pocałował go, tym razem w czoło.

— Zostawiam cię teraz z tą strawą wielorakiego przeznaczenia. — Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. — Ponieważ nie masz chyba zamiaru zapuścić korzeni w tym basenie, muszę pójść poszukać ci czegoś do ubrania. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, abyś sobie tu jeszcze posiedział, ale twoja ciotka nie może się wprost doczekać, kiedy zobaczy cię wreszcie przytomnego i w pełni sił, a nie chcielibyśmy chyba wywołać rumieńców na jej twarzy, prawda?

Powiedziawszy to, zeskoczył z brzegu basenu i znów zniknął.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Proszę. — Nim minęło parę chwil, Tańczący Księżyc znów wszedł do łazienki, przynosząc tym razem ręcznik i złożone w kostkę, zielone jak jego ubranie. Vanyel dostrzegł jednak gwałtowną odmianę w nastroju mężczyzny; na jego twarzy odbijało się przygnębienie.

— Obawiam się, że sam będziesz musiał dać sobie radę. Wydarzyło się coś złego i wezwano mnie, abym się tym zajął. Gwiazdny Wicher i Savil wkrótce tu będą. — Zawahał się przez moment, był wyraźnie rozdarty. — Wybacz mi, muszę już iść.

Położył rzeczy na brzegu basenu i w mgnieniu oka wybiegł z łazienki.

Bogowie, czuję się jak postać z bajki — pomyślał Vanyel. Ktoś, kto zasypia i budzi się po stu latach. Wciąż trudno mi w to wszystko uwierzyć, jakbym wciąż spał.

Ubierał się powoli, starając się zebrać myśli, co wciąż przychodziło mu z wielkim trudem. Pamiętał wprawdzie — choć dość słabo — że Savil mówiła mu, iż jest zbyt ciężko chory, aby Andrel zdołał go wyleczyć swoimi sposobami. Przypominał sobie też, że mówiła mu o tym, iż chciałaby go zabrać do jakichś przyjaciół. Wtedy jednak nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, co się z nim działo. Wciąż albo spał, odurzony lekami, albo zmagał się z cierpieniem, które nie pozwalało mu myśleć o niczym innym.

Najwyraźniej Tańczący Księżyc i Gwiazdny Wicher byli właśnie owymi przyjaciółmi. Zdawali się równie osobliwymi ludźmi jak tamte maski z paciorków i piór na ścianie w apartamencie Savil. To miejsce również sprawiało wrażenie dość niezwykłego. Tym bardziej że Vanyel nie wiedział nawet, gdzie naprawdę ono się znajduje.

Przeciągnął przez głowę zieloną tunikę i nagle uprzytomnił sobie coś. Nie był już odurzony lekami, co więcej, nie czuł cierpienia. Najbardziej rozognione źródła bólu w jego umyśle, choć wciąż je odczuwał, przestały już być tak wrażliwe jak przedtem.

Tańczący Księżyc powiedział, że mnie wyleczył. Czy dlatego wydaje mi się, jakbym znał go od dawna? Tayledras. Czyż nie jest to kraina z opowiadań ciotki? Myślałem zawsze, że tym właśnie jest ten kraj — krainą z bajki. Nie rzeczywistą

ziemią.

Rozejrzał się po dziwnym, na wpół wybudowanym, na wpół stworzonym przez naturę pomieszczeniu, w którym dzieło ręki ludzkiej i natury splatały się w tak idealnej harmonii, iż nie sposób było odróżnić, gdzie kończy się jedno a zaczyna drugie.

To naprawdę istnieje — pomyślał. Bogowie, gdybym miał opisać to miejsce, nikt nigdy nie dałby wiary ani jednemu mojemu słowu. Wszystko tutaj jest... takie inne. Nawet ja sam czuję się inaczej.

Wyczuł wokół siebie jakąś barierę, jakąś osłonę otaczającą jego myśli. Zrazu odniósł się do jej istnienia z wielką ostrożnością, zbadał ją, wciąż dość niepewnie, i uświadomił sobie, że sam może panować nad jej działaniem. Gdy ją osłabiał, stawała się cieńsza i wówczas doznawał jakby poczucia obecności innych umysłów gdzieś w oddali, poza ścianami pokoju, w którym się znajdował. Musiały to być, nie miał co do tego wątpliwości, myśli zwierząt, może ptaków, sądząc po ich przytłumionych tonach. Oprócz nich i ponad tamtymi brzmiały dwa zupełnie wyraźne głosy. Te jednak były zupełnie nieprzejryste dla myśli Vanyela, który nie potrafił rozpoznać, o czym mówią. Jeden miał ton głosu Savil, drugi zaś musiał należeć do owego tajemniczego Gwiazdnego Wichru. Dalej pobrzmiewały jeszcze dwa, równie wyraźne i równie nieprzejryste... lecz jeden z nich rozpoznał od razu jako głos myśli Yfandes.

Yfandes. Towarzysz. Mój Towarzysz.

A więc... to nie było złudzenie. Rzeczywiście jakimś zrzędzeniem losu ujawniły się u niego dary heroldów i został wybrany przez Towarzysza.

Ujawniły się u mnie dary, których nigdy nie pragnąłem, zwłaszcza za taką cenę. Oddałbym je wszystkie wraz z połową życia, aby tylko... być znów z nim.

Myśl ta ugodziła go niczym cios w serce. Zszedł z poziomu górnego basenu i opadł ciężko na jedną z kamiennych ław ustawionych wzdłuż ścian łazienki. Był zbyt przygnębiony i wyczerpany, by zrobić cokolwiek więcej.

Och, Lendelu... bogowie — pomyślał, pograżając się w beznadziejnej rozpaczy. Co ja tu robię? Dlaczego nie pozwolili mi umrzeć?

— *Czyżbyś mnie nienawidził, mój Wybrany?* — zapytał z wyrzutem wyraźny głos w jego myślach. — *Czyżbyś nienawidził mnie za to, że pragnę, abym żył?*

— *Yfandes?* — Przypomniawszy sobie nagle słowa Savil mówiące o tym, że gdyby umarł, Yfandes zagłodziłaby się na śmierć i uschła z poczucia winy. — *Och, bogowie, Yfandes, nie... nie, przepraszam... ja tylko...*

Wcześniej oszałamiająco działające leki nie pozwalały mu o tym rozmyślać. Wówczas nie był w stanie skoncentrować się na niczym bardziej zawiłym niżli zastanawianie się, co może przynieść następna chwila. Teraz jednak... jego myśli znów stały się jasne i przejrzyste. Nie mógł dłużej ignorować faktu, że Tyndel nie żyje, nie było też leków, które pomogłyby mu pogрузić się w błogim stanie zapomnienia.

— *Tęsknisz za nim, prawda?* — zapytała łagodnie. — *Potrzebujesz go i dlatego tęsknisz.*

— *Jest częścią mnie, jak moje ramię, jak moje serce. Wprost nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niego. Nie wiem, co ze sobą zrobić, dokąd pójść, jaki zrobić następny krok.*

Czy Yfandes miała na to jakąś radę, czy nie, Vanyel już nie usłyszał, gdyż w tym właśnie momencie Savil i jeszcze jeden mieszkaniec Tayledras weszli do pokoju. Mężczyzna miał na sobie białe bryczesy, miękkie, niskie buty i kaftan. Vanyel zerwał się na równe nogi, lecz Savil gestem wskazała mu, aby pozostał na miejscu. Obydwoje, ona i nieznajomy mężczyzna, weszli do łazienki i usiedli na kamiennej ławie obok niego.

Vanyel był wstrząśnięty wyglądem Savil. Choć włosy jego ciotki, odkąd ją znał, zawsze okrywała siwizna, nigdy nie wyglądała na osobę w podeszłym wieku. Teraz wydawała się wręcz stara. Na jej twarzy i ciele odznaczał się każdy rok jej życia. Vanyel przypomniawszy sobie, że Tańczący Księżyc powiedział coś o tym, iż śmierć Tylandela była dla Savil przeżyciem równie wstrząsającym jak dla niego. Teraz w to uwierzył.

— Ciociu Savil — rzekł z wahaniem, podczas gdy ona i nieznajomy sadowili się na swych miejscach. — Nic ci nie jest? To znaczy...

— Wyglądam jak wiedźma, tak? — zapytała oschle. — Nie, nie przepraszaj mnie. Mam lustro. Nie potrafię już podnosić się po tragedii z taką łatwością jak kiedyś.

Vanyel zarumienił się zmieszany.

— Vanyelu, to jest Gwiazdny Wicher k'Treva — ciągnęła ciotka. — On i Tańczący Księżyc są biegłymi z Tayledras, o których wam opowiadałam raz czy dwa. A to — zatoczyła ręką wokół siebie — wszystko w większości należy do niego jako rzecznika k'Trevów.

— Gdyby ktokolwiek w Tayledras mógł być właścicielem ziemi, byłoby to prawdą — zauważył Gwiazdny Wicher, unosząc brwi. Brzmienie jego głosu przywodziło przed oczy Vanyela obrazy odwiecznych skał i głębokiej, spokojnej wody. — Na razie jednak ja posiadam tę ziemię w takim samym stopniu, w jakim sam jestem jej własnością.

— Racja. Oto *voorthayshen* k'Trevów... to znaczy... jak byś to przetłumaczył, *shayana*?

Mieszkaniec Tayledras siedzący u boku Savil miał twarz o trójkątnym kształcie, okoloną srebrzystymi włosami, zaplecionymi w dwa — nie jeden, jak u Tańczącego Księżyca — warkocze zwisające znad skroni. Mężczyzna wyglądał na starszego od swego przyjaciela. Tak przynajmniej wydawało się Vanyelowi.

— Twierdza Klanu wydaje mi się najbliższym odpowiednikiem tego określenia — rzekł Gwiazdny Wicher. — Choć k'Treva nie można nazwać klanem w naszym rozumieniu tego słowa. Tutaj słowo „klan” jest bliższe temu, co oznacza ono

w języku Shin'a'in.

Jego głos był o ton niższy od głosu Tańczącego Księżyca i po krótkiej chwili Vanyel rozpoznał w nim błękitno-zieloną muzykę ze swego snu.

— Panie — zaczął Vanyel z wahaniem.

— Nie ma tutaj żadnych panów, Vanyelu — odparł biegły. — Ja przemawiam głosem k'Trevów, lecz każdy z nich żyje swym własnym, niezależnym od nikogo życiem.

Vanyel niezgrabnie skinął głową.

— Dlaczego jestem tutaj? — zapytał, po czym dodał nieśmiało: — Co ze mną zrobiliście? Ja... wybacz moją nieuprzejmość, ale wiem, że coś zrobiliście. Czuje się zupełnie inaczej.

— Jesteś tutaj, ponieważ posiadasz dary magii o niespotykanej mocy. Obudziły się one w tobie dość późno, za to z wielką gwałtownością i w bólu. Ponadto nie sposób było nad nimi zapanować — odparł biegły. Jego twarz przybrała wyraz spokojny, naznaczony głęboką powagą, błąkał się po niej ledwie cień strapienia. — Twoja ciotka doszła do wniosku, całkiem zresztą słusznego, że nie możesz pobierać nauki od heroldów, którzy nie byłiby dla ciebie żadnymi przeciwnikami, którzy nie stwarzaliby dla ciebie ani dla innych żadnego zagrożenia. Tańczący Księżyc i ja przywykliśmy już do poskramiania niebezpiecznych sił magicznych. Właściwie poświęcamy na to cały czas, jest to częścią naszych zwyczajnych zajęć. Możemy pomóc ci panować nad twymi zmysłami, a Savil uważa, że możemy też nauczyć cię posługiwać się nimi ku ogólnemu pożytkowi. Jeśli nawet nie uda nam się nauczyć cię panowania nad nimi, potrafimy utrzymywać je w ryzach, tak aby nie zagrażały innym.

Tańczący Księżyc wyglądał inaczej — nie tak bezosobowo, nie tak nieprzejednanie. Chłód w oczach Gwiazdnego Wichru przejmował Vanyela dreszczem. Chłopiec nie miał pewności, co biegły rozumiał pod pojęciem „trzymać w ryzach”, mimo to nie spieszyło mu się, aby się tego dowiedzieć.

— Wróćmy jednak do twego pytania o to, co tutaj z tobą robiliśmy. Tańczący Księżyc zaleczył kanały, którymi przepływa twa energia, ja zaś nauczyłem cię paru rzeczy, podczas gdy ty znajdowałeś się w uzdrawiającym transie. Nie mogłem niestety nauczyć cię więcej, ale wiedza, którą ci przekazałem jest niezwykle ważna i w dużym stopniu zapewni ci bezpieczeństwo pośród innych. Wiesz teraz, gdzie znajduje się główne ognisko twjej energii, potrafisz chronić się przed innymi i osłaniać swe myśli. Dzięki temu możesz przynajmniej zachować pewną równowagę i odgradzać się od myśli napływających z zewnątrz, swoje zaś zatrzymywać tylko dla siebie. Nie grożą ci też kolejne trzęsienia ziemi spowodowane koszmarnymi snami.

A więc to wszystko działo się, gdy słyszał muzykę o różnych barwach. To stąd bariera wokół jego umysłu.

Gwiazdny Wicher pochylił się lekko do przodu, a jego twarz nabrała nowych,

bardziej ludzkich rysów; odmalowała się na niej troska i szczerść.

— Vanyelu, chłopcze, Tańczący Księżyc i ja jesteśmy zachwyceni tym, że możemy cię tutaj gościć i udzielić ci pomocy. Na tym jednak kończy się nasz udział w twoim życiu. Sam, z własnej woli, musisz nauczyć się opanowania. My nie możemy ci tego narzucić. Musisz nauczyć się korzystać ze swych darów, gdyż w przeciwnym razie one zrobią użytek z ciebie. Taka już natura magii. Bardzo cię proszę, uwierz moim słowom, bo wypowiadam je na podstawie własnego doświadczenia. Jeśli ty jej nie wykorzystasz, ona wykorzysta ciebie. A jeśli już zacznie przejmować panowanie nad tobą — jego oczy ponownie nabrały chłodnego blasku — trzeba ją poskromić.

Na widok lodowatego wzroku mężczyzny Vanyel aż skulił się w sobie.

— Nie jest to jednak ani miejsce, ani pora, by rozmawiać o podobnych rzeczach — dodał Gwiazdny Wichor, podnosząc się z ławy. — Na razie otaczamy cię osłoną, a ponadto jesteś nadal zbyt wyczerpany, aby zagrażać komukolwiek. No cóż, młodzieńcze, potrafisz jeszcze chodzić? Jeśli możesz chodzić, dobrze ci zrobią ćwiczenia fizyczne i świeże powietrze. Potem zabiorę cię do naszego punktu widokowego, skąd będziesz mógł obejrzeć dom i okolicę, i opowiem ci, czym się tutaj zajmujemy.

Vanyel, niechętny perspektywie pozostania sam na sam ze swymi bolesnymi wspomnieniami, ochoczo pokiwał głową na znak, że akceptuje propozycję. Wstając poczuł się jakby silniejszy niż przedtem. Nie mógł wprawdzie chodzić zbyt szybko, ale dotrzymywanie kroku Savil i Gwiazdnemu Wichrowi, posuwającym się w zwykłym, spacerowym tempie, nie przysparzało mu większej trudności.

Przeszli z łazienki z powrotem do sypialni i Vanyel dostrzegł, że pokój ten jeszcze bardziej niż łazienka przypomina naturalną grootę. Niełatwo było odróżnić zwisające wokół łóżka pędy obsypanych liśćmi roślin od naśladowujących je kawałków tkaniny, a „meble”, czyli krzesła, ławy i stoły o nieregularnych kształtach, wyściełane zieloną materią, oraz pergole o wygiętych poprzeczkach tak idealnie harmonizowały z roślinami, że czasem oko ludzkie ulegało złudzeniu, iż są ich częścią. W głębi pokoju znajdowała się nisza, również odgradzona od reszty pomieszczenia ową „roślino-podobną” zasłoną. Najprawdopodobniej urządzono w niej garderobę, bowiem spod odchylonej z jednej strony kotary dojrzeć można było wiszące tani ubrania.

Z sypialni przeszli do trzeciego, najbardziej niezwykłego pokoju. Nie było tam żadnych mebli, ale za to w samym środku pomieszczenia z kamiennej posadzki wyrastało żywe drzewo o pniu tak potężnym, że nawet dwanaścioro ludzi, stając wokół niego ze złączonymi rękami, nie zdołałoby go opasać. Dookoła pnia wiła się spirala schodów. Ledwie zaczęli piąć się w górę, Vanyel poczuł, że słabnie. Uchwycił się kurczowo balustrady i tylko dzięki temu udało mu się dotrzeć na górę. Okazało się, że schody prowadzą na coś w rodzaju zadaszzonego tarasu, z którego rozciągał się widok na całe maleńkie królestwo Gwiazdnego Wichru.

Znajdowali się w dolinie, a może raczej kanionie o niemal pionowych ścianach, z wytryskującymi tu i ówdzie gorącymi źródłami. Praktycznie wszędzie znad bujnej zieleni wzbijały się chmury pary. Pomimo śniegu zalegającego na obrzeżach skał kanionu, na jego dnie, niczym w wielkiej misie, roślinność wręcz kipiała obfitością.

— To k'Treva — rzekł Gwiazdny Wicher, ogarniając kolistym gestem całą dolinę. — Choć zazwyczaj tylko Tańczący Księżyc i ja mieszkamy tu w dole, poniżej siedlisk hertasi i tych, którzy nie lubią przebywać w otoczeniu drzew.

Vanyel wychylił się za balustradę balkonu i spojrzał w dół. Pod nimi znajdowało się mnóstwo pokoi podobnych do tych, które Vanyel już poznał, wszystkie bez okien, oświetlone promieniami słonecznymi wpadającymi przez przezroczyste sklepienia. Pomieszczenia te jednak nie tworzyły żadnej uporządkowanej struktury, nie miały też regularnych kształtów, toteż całe to miejsce trudno byłoby nazwać domem.

— Są tutaj także inne pokoje — nad nami. Tam właśnie mieszka większość z nas — ciągnął Gwiazdny Wicher z ironicznym uśmiechem. — Tańczący Księżyc zaś nie jest taki jak my, ludzie z Tayledras, i nie potrafiłby przywyknąć do oderwania się od ziemi, dlatego mieszka na dole. Hertasi to stworzenia, które nam usługują. Opiekujemy się nimi i udzielamy im tutaj schronienia. W zasadzie możesz ich w ogóle nie widywać, ponieważ lękają się obcych — nawet tych z Tayledras. Tak naprawdę tylko Tańczący Księżyc uchodzi pośród nich za przyjaciela. Hertasi podobne są do wielkich jaszczurów, lecz inteligencją dorównują człowiekowi. Jeśli spotkasz któregoś z nich, błagam cię, uczyn wszystko, aby go nie przestraszyć. I choć na dole możesz poruszać się z pełną swobodą, proszę, nie przychodź na górę bez zaproszenia.

Vanyel zadarł głowę, lecz nie udało mu się dostrzec żadnych śladów siedlisk, nic ponad pnące się jeszcze wyżej schody znikające w koronie drzewa. Sama myśl o przebywaniu na takiej wysokości przyprawiała go o zawroty głowy. Do odbycia wycieczki na górę musiałoby go nakłonić chyba coś więcej niż zaproszenie Gwiazdnego Wichru.

— Ja też wolę zostać razem z Tańczącym Księżycem — rzekła Savil. — Pamiętam, jak podczas mojej pierwszej wizyty tutaj uparłem się, abym spała na jednej z tych waszych grzęd. Nie chciałabym przeżyć tego kolejny raz.

— Bo nie jesteś żadna przygód — odparł Gwiazdny Wicher i położywszy ręce na balustradzie, przechylił się lekko. — Ostatnia rzecz, o której chciałem ci powiedzieć, to bariera otaczająca cały wąwóz; może nawet sam wyczujesz jej obecność. Chroni nas ona od różnych niebezpieczeństw i utrzymuje stałe ciepło w dolinie. Tak więc... to jest k'Treva. A czym się tutaj zajmujemy? Dwiema sprawami. Po pierwsze, tworzymy miejsca, gdzie magiczne stwory z Pelagris mogą toczyć spokojne życie. Po drugie, usuwamy magię z miejsc, których zwierzęta te nie zamieszkują i czynimy je przyjaznymi dla człowieka. Magiczne moce tych

miejsz wykorzystujemy, okrywając osłonami skupiska ludzkie i zabezpieczając je przed niepożądanymi gośćmi. Oto właśnie zadania k'Varda, klanu magii z Tayledras. Jesteśmy strażnikami Pelagris strzegącymi ją przed rabusiami, podobnie jak nasi kuzynowie, Shin'a'in, są strażnikami Równiny Dorisza.

— Ja dodaję zawsze, że odgrywacie tutaj rolę zbliżoną do roli heroldów w Valdemarze. Wy jesteście strażnikami Pelagris, heroldowie zaś Valdemaru — dorzuciła Savil.

Gwiazdny Wicher pokiwał głową, a jego warkocze zakołysały się swobodnie.

— Można tak powiedzieć, zaznaczając jednak, że heroldowie chronią ludzi, a my, Tayledras, ziemię.

— Ależ Valdemar to właśnie ludzie. Moglibyśmy zebrać cały dobytek, przenieść się w inną część świata i wciąż pozostać ludem Valdemaru. Podejrzewam, że i ty mógłbyś powiedzieć to o swoich ludziach.

— Nie, Tayledras są związani z ziemią i nie mogliby żyć poza Pelagris. Musimy... — Przerwał mu dobiegający znad ich głów krzyk sokoła. Wysunął w bok ramię, a wtedy z baldachimu liści wyłonił się wielki biały ptak i spadł wprost na rękę Gwiazdnego Wichru. Vanyel wzdrygnął się na widok ochraniacza na przedramieniu biegnącego. Nosili je wszyscy mieszkańcy Tayledras dla ochrony przed groźnymi pazurami.

Owym białym ptakiem był sokół białożół. Przez parę chwil trzepotał skrzydłami w powietrzu, aż w końcu usiadł, wbijając swe złociste oczy w twarz Gwiazdnego Wichru. Ten pogładził palcem białą głowę ptaka, a potem zatopił wzrok w jego oczach, zdając się coś w nich czytać. Trwało to dość długo.

Raptem Gwiazdny Wicher podrzucił rękę do góry, a ptak poderwał się, zatrzepotał skrzydłami w ciężkim wilgotnym powietrzu, wzbil się w górę i zniknął wśród gałęzi drzewa.

— Złe wiadomości? — zapytała Savil.

— Nie... dobre. Sytuacja nie jest tak groźna, jak przypuszczaliśmy. Tańczący Księżyc jest bardzo wyczerpany, ale przed wschodem słońca będzie z powrotem.

— Przyjemnie jest słyszeć, że komuś dzieje się dobrze — westchnęła Savil.

— W rzeczy samej — odparł biegnący, zwracając swe dziwne, nieprzeniknione oczy na Vanyela. — W rzeczy samej. Vanyelu, chłopcze, radziłbym ci dużo spacerować, nabierać sił, jeść i odpoczywać. Gdy tylko Tańczący Księżyc powróci do domu i zregeneruje własną energię, rozpoczniesz naukę.

Tymczasem jednak Vanyel zabrał się do zwiedzania tego, co Gwiazdny Wicher nazywał wąwozem. Przemierzając go wzdłuż i wszerz, Vanyel odkrył, że w rzeczywistości jest on znacznie mniejszy, niż wydawał się być wcześniej. Była to dolina o kształcie kropli łzy, obfitująca w źródła, wodospady i małe gejzery, kryjące się pośród nieprawdopodobnie bujnej roślinności. Pomiedzy nimi wiły się

niezliczone ścieżki, pokrywając cały wąwóz siatką tak gęstą, że spacerując nimi odnosiło się wrażenie przebywania w nieskończenie wielkim dzikim parku.

Przynajmniej to zajmowało Vanyela przez jakiś czas. Dolina zdawała mu się miejscem tak osobliwym i egzotycznym, że przechadzając się po niej i obserwując barwne ptaki i ryby w strumykach, zupełnie zapominał o swej samotności.

Coś ciągnęło go do wspomnień z czasów zanim w jego życiu pojawił się Ty-lendel, do stanu całkowitej izolacji pośród lodowego krajobrazu ze snu. Jednocześnie coś sprawiało, że wzdragał się na samą myśl o owym odosobnieniu. Nie wiedział już, czego pragnie i kim jest.

Przede wszystkim jednak nie miał pojęcia, co zrobić z Yfandes. Wszak potrzebował jej i kochał ją szczerze, ale zdawało mu się, że uczucie to może stać się jego słabym punktem, źródłem kolejnych cierpień. Yfandes, wyczuwając obawy dręczące jej Wybranego, pozostawała wprawdzie blisko, ale nie chcąc go irytować, nie szukała towarzystwa Vanyela i kontaktowała się z nim myślomową tylko wtedy, gdy on sam odezwał się do niej pierwszy.

Savil również zachowywała dystans, z czego Vanyel był szczerze rad. Także Tańczący Księżyc, powróciwszy wreszcie ze swej wyprawy, zachowywał się dość przyjaźnie, nie przekraczając jednocześnie pewnej granicy poufałości. Wszystko to bardzo cieszyło Vanyela.

Za każdym razem, kiedy Vanyel zadawał mu jakieś pytanie, Tańczący Księżyc wnet zamieniał się w przewodnika i chętnie zwracał uwagę chłopca na rzeczy, które ten przeoczył, objaśniał mu zasady działania magicznej bariery wokół wąwozu, a nawet opowiadał o wielu innych, nie związanych z życiem w dolinie sprawach.

Tajemnicze stwory, hertasi, nie ukazały się oczom Vanyela ani razu, choć wszędzie można było napotkać ślady ich działalności. Niespodziewanie znikwały ubrania i równie niespodziewanie powracały na swoje miejsce, czyste i zreperowane; posiłki zjawiały się na stole regularnie, a pokoje zdawały się same sprzątać.

Gdy tylko Vanyel znudził się spacerowaniem w dolinie, zaczął polować na hertasi, by choć raz przez moment móc się przyjrzeć któremuś z nich. Robił wszystko, aby tylko wynaleźć sobie jakieś zajęcie.

Wkrótce jednak zajęło go coś zupełnie innego.

— *Nie dajesz rady* — rzekł Gwiazdny Wicher, wyraźnie formułując kierowaną drogą myśloczucia słowa. Siedział na kamiennej posadzce ze skrzyżowanymi nogami, odgradzony od Vanyela błękitno-zieloną świetlistą barierą. Był niewzruszony niczym głaz. — *Jeszcze raz, chłopcze.*

— *Ależ...* — zaprotestował Vanyel otoczony mgiełką osłony, jaką wznosił wokół niego biegły. — *Ja...* — Układanie myśli w słowa przekazywane drogą myśloczucia przychodziło mu z wielkim trudem.

— *Tak, ty.* — Skinął Gwiazdny Wicher. — *Właśnie ty i tylko ty masz to zrobić. Jeśli nie uchwycisz swej bariery i nie połączysz jej z moją, moja pozostanie nie-naruszona. Wówczas nie będziesz mógł przez nią przejść, a ja nie będę mógł cię*

zabrać z tego pokoju.

Vanyel opadł z sił. Zdawało mu się, że minęły lata, a nie godziny od chwili, gdy rozpoczęli lekcję. Był to już siódmy... a może ósmy test, któremu poddał go biegły. Najpierw Gwiazdny Wicher w jakiś sposób dotarł do umysłu Vanyela i wyjaśnił mu, jak to się robi. Potem, już przy pierwszej próbie, chłopcu udało się samodzielnie przedrzeć w myśli nauczyciela i od tamtej pory biegły zdręczał go kolejnymi próbami wykonania tego samego ćwiczenia.

W nagich, kamiennych ścianach pomieszczenia, do którego przyprowadził go Gwiazdny Wicher, nie było śladu drzwi. Vanyel nie wiedział nawet, w której części kompleksu pokoi znajdowała się owa sala. Był sam na sam z biegłym, którego trójkątna twarz niczym kamień zastygła w wyrazie pozbawionym wszelkich emocji.

Vanyel nie wiedział już, co o tym wszystkim sądzić. Jego nowe zmysły mówiły mu rzeczy, o których istnieniu wolałby nawet nie wiedzieć. Wyczuwał na przykład w dolinie obecność jakiejś mocy, żywej mocy, która pulsowała w jego umyśle wraz z krwią w tętnicach. Myśląc, że jest to może oznaka zbliżania się jakiejś choroby lub też wytwór wyobraźni, powiedział o tym Savil. Ciotka pokiwała tylko głową i powiedziała, aby nie przejmował się tym zanedo.

Nieczęsto ostatnio rozmawiał czy spotykał się z Savil. Jeśli nie będę się do nikogo zbliżał, nie będę cierpieć. Nadal, na wpół świadomie powtarzał sobie w kółko to zdanie, ale teraz zmieniło się jego znaczenie: Jeśli nie otworzę się przed drugim człowiekiem, nie będzie mi groziło, że go utracę.

Mieszkańcy Tayledras, Gwiazdny Wicher i Tańczący Księżyc na przemian fascynowali go i budzili w nim przestroch. Byli niepodobni do ludzi, których spotykał wcześniej, i nie potrafił przeniknąć ich natury. Zwłaszcza Gwiazdny Wicher stanowił nie lada zagadkę. Tańczący Księżyc zdawał się bardziej przystępny.

Mimo to zawsze istniało jakieś niebezpieczeństwo, toteż z dna duszy, wciąż jeszcze cierpiącej po utracie Tylandela, często dobywał się głos: Nie zbliżaj się, nie przywiązuj się. Nie próbuj nawet tego robić.

Był wprawdzie taki moment, jeszcze w Przystani, kiedy Vanyel usiłował znaleźć oparcie w innej osobie; najpierw w Savil, potem w Lissie. Bardzo pragnął znów mieć kogoś, kto dawałby mu wskazówki, mówił, co ma robić. Ale za każdym razem, kiedy próbował się zbliżyć do którejś z nich, one delikatnie dawały mu do zrozumienia, że nie tędy droga.

Teraz jednak pożegnał się z owymi dawnymi pragnieniami. Teraz chciał tylko jednego — aby pozostawiono go samemu sobie.

Ale przyjaciele z Tayledras zdawali się mieć co do niego zupełnie inne plany.

Pewnego ranka, po kilku dniach bezmyślnego błąkania się ścieżkami w dolinie, odwiedziła go Savil, przypominając o tym, co mówił Gwiazdny Wicher na temat czekającej go nauki. Vanyel miał się uczyć panować nad swymi nowymi zmysłami. Savil poprowadziła go przez kilka pokoi, które poznał już wcześniej,

aż do...

... jakiegoś osobliwego pomieszczenia...

Vanyel nie miał nawet pewności, jak można by je nazwać. Przypominało nieco Bramę, ale zamiast portalu był tam tylko okrąg zaznaczony na podłodze. Vanyel przekroczył go niepewnie i ni stąd, ni zowąd znalazł się w owym dziwnym pokoju bez drzwi.

Tuż przed nim wyrosła nagle Savil. Ledwie zdążył rzucić na nią zaniepokojone spojrzenie, ona rzekła do Gwiazdznego Wichru:

— Nie skrzywdź go, *shayana*. — I zniknęła. Cofnęła się za linię okręgu i rozplynęła w powietrzu, zostawiając go samego z tym... szaleńcem; z tym nieobliczalnym stworzeniem, które przez całe przedpołudnie zmuszało go do robienia rzeczy, których nawet nie pojmował, do korzystania z mocy, do posiadania której nawet nie zdążył się przyzwyczaić.

— Dlaczego mi to robisz? — wrzasnął Vanyel, gotów zalać się łzami z wyczerpania. Gwiazdny Wicher zignorował jego słowa, jak gdyby wcale nie zostały wypowiedziane.

— *To myśłomowa, mój Wybrany*. — Chłopiec posłyszał nagle spokojną myśl Yfandes. — *To część ćwiczeń. Użyj myśłomowy*.

Vanyel zebrał siły, sformował myśli na kształt sztyletu i pchnął je w umysł nauczyciela.

— *Dlaczego mi to robisz?*

— *Zrób to delikatnie, łagodnie*. — Poczł niewzruszoną odpowiedź. — *Zrób to delikatnie, w przeciwnym razie nie odpowiem ci*.

Były to najbardziej wymowne słowa, jakie usłyszał od biegłego od wielu godzin.

— *Dlaczego?* — zapytał.

— *Jesteś jak hubka bez krzesiwa* — odparł ze spokojem Gwiazdny Wicher. — *Stanowisz zagrożenie nie tylko dla siebie, ale także dla innych. Wystarczy mała isierka, abyś wybuchnął jak wulkan. Uczę cię panować nad tkwiącymi w tobie mocami aby ogień pojawiał się tylko wtedy, kiedy ty sam będziesz sobie tego życzył*. — Patrzył na Vanyela spoza migotliwej powłoki magicznej bariery, — *Chciałbyś jeszcze raz przechodzić przez to wszystko?*

I prosto w twarz rzucił Vanyelowi garść wspomnień, o których mógł wiedzieć tylko od Savil. Chłopiec ujrzał nagle grupkę adeptów w Przystani, zanoszących się histerycznym płaczem wywołanym żalem rozsiewanym przez umysł Vanyela. Zobaczył Mardika leżącego na ścianę i bez czucia osuwającego się na podłogę. Zobaczył pałac trzęsący się w posadach...

— *Nie...* — Wzdrygnął się.

— *Mogło być jeszcze gorzej...* — I Gwiazdny Wicher pokazał mu, co miał na myśli mówiąc „gorzej”. Przed oczami Vanyela stanął nagle wyraźny obraz martwego ciała Withena... zmiażdżonego, niczym robaczek pod ciężkim buciorem,

potworną mocą swego własnego syna, nad którą ten nie potrafił zapanować.

— *Nie!* — Vanyel próbował odpędzić myśl, że mógłby kiedykolwiek doprowadzić do czegoś takiego. Usiłował rozwiać ten straszliwy obraz z gwałtownością, od której...

... od której zatrzęsała się pod nim ziemia.

— *Widzisz?* — rzekł Gwiazdny Wicher, wciąż tak samo niewzruszony. — *Widzisz? Bez opanowania, bez zrozumienia tego wszystkiego możesz — i będziesz — zabijał, mimo woli, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. A teraz...*

Odpowiadając na alarmujące wezwanie Gwiazdnego Wichru, Savil rzuciła się pędem ku przejściu do tajemniczego pokoju. Tańczący Księżyc podążał w ślad za nią. W pełnym biegu przekroczyła linię okręgu wyznaczającego pole stałego działania zaklęcia Bramy. Przez moment poczuła nieodłączny przy takich okazjach zawrót głowy i w mgnieniu oka stała już na pokrytej łupkiem podłodze sali ćwiczeń Gwiazdnego Wichru, w samym środku nieprawdopodobnego zamętu.

Gwiazdny Wicher właśnie podnosił się z podłogi. W powietrzu unosił się zapach spalonej skały, mieszający się z lekką wonią ozonu. Ale to jeszcze nie wszystko. Posadzka w samym centrum pokoju, wokół miejsca, gdzie wcześniej stał Vanyel, spalona była na węgiel.

Obok wypalonej plamy leżał sam chłopiec, poparzony i nieprzytomny.

Tańczący Księżyc przeskoczył Bramę, wyrósł wprost przed Savil, przerzucił spojrzenie z jednego poszkodowanego na drugiego i skierował się ku chłopcu, który zdawał się najbardziej potrzebować pomocy. Savil zaś zajęła się Gwiazdnym Wichrem.

Podążyła mu obie ręce i pomogła wstać. Biegły potrząsnął głową, by rozproszyć oszołomienie, i odrzucił włosy do tyłu.

— *Boże moich ojców* — rzekł, pocierając dłonią czoło. — *Czuję się, jak gdyby ktoś wystrzelił mnie z katapuły.*

Savil szybko skontrolowała ogólny stan Gwiazdnego Wichru i spostrzegłszy niebezpieczne pulsowanie jego ognisk energii, uspokoiła je.

— *Co się stało?* — zapytała, trzymając go wciąż pod ramię. — *Pomyślałby kto, że toczy się tu jakaś magiczna wojna.*

— *Obawiam się, że troszkę przeraziłem chłopca* — odparł posępnie Gwiazdny Wicher, sprawdzając, czy nie pokaleczył sobie ręk. — *Chciałem go troszkę nastraszyć, choć nie tak mocno. Miał przywołać piorun, ale wciąż się przed tym wzbierał. Odmawiał wręcz wykorzystania energii, którą już zebrał w sobie. Straciłem cierpliwość i zesłałem na niego wspomnienie psów wyrsa. Wtedy Vanyel wpadł w panikę i zgromadził w sobie nie tylko własną moc, lecz także i energię z ogniska naszego wąwozu. Wówczas uświadomił sobie, co zrobił i próbował powstrzymać działanie mocy, a jedynym sposobem, jaki przyszedł mu do głowy,*

było zogniskowanie całej energii w sobie. — Gwiazdny Wicher spojrział na nią z wyrzutem. — Mówiłaś mi, że Vanyel wyczuwa ognisko energii wąwozu, ale nie powiedziałaś mi, że potrafi z niej czerpać.

— Sama o tym nie wiedziałam. Wielcy bogowie, przecież to właśnie psy wyrsa nastął jego *shay'kreth'ashke* na swych wrogów. Czy nie mówiłam ci tego? — Savil poczuła przejmujący chłód. Przygryzła wargi i obejrzała się przez ramię na Tańczącego Księżyca i jego pacjenta. Biegły uzdrowiciel klęczał przy chłopcu, trzymając dłonie nad jego czołem. — O Panie i Pani, mało brakowało a zmiotłby to miejsce z powierzchni ziemi!

Gwiazdny Wicher ze ściśniętym gardłem obserwował zabiegi Tańczącego Księżyca, który odjął właśnie ręce od głowy chłopca i podpierając go ramieniem, utrzymywał w pozycji siedzącej.

— Mówiłaś mi... ale zapomniałem o tym. Na boginię mojej matki, co ja narobiłem?

— Co zrobiłeś, *ashke*? — zawołał Tańczący Księżyc zatroskanym głosem, przykładając znów jedną dłoń do czoła chłopca. — Umysł chłopca jest w szoku.

— Uczyniłem najgorszą z możliwych rzeczy — jęczał Gwiazdny Wicher. — Ściągnąłem na niego obraz stworów, które wezwał jego ukochany, by zemścić się na swych wrogach.

— *Shethka*. Cóż, nic już nie można na to poradzić. Co się stało, to się nie odstanie. *Ashke*, położę go do łóżka, sprowadzę jego Towarzysza i wspólnie się nim zajmiemy. Zobaczymy, co z tego wyniknie. — Tańczący Księżyc podniósł chłopca i nie oglądając się za siebie przeszedł przez Bramę.

— O bogowie, do tego momentu wszystko układało się dobrze — lamentował Gwiazdny Wicher. — Vanyel zaczął zyskiwać autentyczne panowanie nad swymi zmysłami. Bogowie, jakże mogłem być takim głupcem?

— Zdarza się — westchnęła Savil. — A jeśli ma się do czynienia z Vanyelem, przytrafia się to jeszcze częściej. Mogło by się wydawać, że on w jakiś sposób mimowolnie przyciąga nieszczęścia, jak magnes. *Shayana*, dlaczego w ogóle go karałeś?

— Bo choć wreszcie udało mi się go nakłonić do wykonania ćwiczeń pozwalających mu kontrolować tkwiące w nim moce, a nawet bronić się, Vanyel wciąż wzdbraniał się przed przystąpieniem do ataku. — Gwiazdny Wicher zmarszczył czoło z bólu i przyłożył dłonie do skroni, by pomasować je przez moment. — Jeśli nie opanuje sposobów atakowania i wykorzystywania swych mocy...

— Siły pozwalające mu bronić się przed atakami z zewnątrz pozostaną nadal nieposkromione — dokończyła ponuro Savil. Wokół niej wciąż unosił się zapach spalenizny. — Z Tylendelem było podobnie. Nie mogłam przewyciężyć zadreżających go wspomnień o wstrząsających przeżyciach i zmusić go do zapanowania nad jego magiczną mocą. Powinnam była przywieźć go do ciebie.

— Moja Skrzydlata Siostrze, kiedy oglądamy się wstecz, wszystko zawsze wy-

daje się proste. — Gwiazdny Wicher przesłał ku jej sercu dotyk szczerego współczucia, na co ona zareagowała bladym uśmiechem. — Jeśli zaś idzie o chłopca... jak już mówiłem, Vanyel zdołał zgromadzić w sobie energię pioruna, ale nie chciał jej wyzwolić. Myślałem, że jeśli się przestraszy, zacznie się bronić. — Opuścił ręce i spojrział bezradnie na Savil. — On jest dla mnie prawdziwą zagadką. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wciąż nie chce w pełni wykorzystywać swych mocy.

— Moim zdaniem dlatego, że nadal nie rozumie, po co miałyby to robić — rzekła Savil, pograżając się w zadumie. Przez chwilę stała, kołysząc się na piętach w przód i w tył.

— Nie widzi powodu, dla którego miałyby korzystać ze swych sił. Nie chce nikomu pomagać i pragnie tylko, aby dać mu święty spokój.

Gwiazdny Wicher osłupiał.

— Ależ... z jego mocą... jakże...

— Nie czuje jeszcze potrzeby, *shayana*, a nawet jeśli ją ma, wszelkie inne uczucia tak go przytłaczają, że widzi tylko swe cierpienie. — Savil potrząsnęła głową. — Tak przynajmniej mi się wydaje. Może dzieje się tak też dlatego, że nigdy nie odczuwał potrzeby troszczenia się o kogoś, kogo osobiście nie zna. A może nie ma po prostu sił, aby zajmować się teraz czymkolwiek poza własną osobą. Kellan powiada, że Yfandes wskoczyłaby za nim w ogień, a więc Vanyel musi mieć w sobie coś naprawdę szczególnego. Może Tańczący Księżyc zdoła się do niego zbliżyć.

— Jeśli tylko chłopiec przetrwa wszystko, czym go tutaj zadręczamy — odparł Gwiazdny Wicher, wskazując skinieniem, aby Savil podążyła za nim przez Bramę, i zatopił się w przygnębieniu.

Vanyel obudził się z bólem serca i łzami na policzkach. Obraz psów wyrwał ożywił wszystkie najstraszliwsze wspomnienia, których tak bardzo pragnął się pozbyć.

Zorientował się zaraz, że leży w łóżku, wciąż ubrany, ale poczuł nagle, że jego ręce i przedramiona są zabandażowane, a skóra na twarzy paląca i ściągnięta.

Cały pokój tonął w srebrzystym blasku pełnego księżyca. Vanyel dokładnie widział jego tarczę prześwitującą między liśćmi paproci. W głowie mu huczało, ręce trawił piekący ból, ale największe cierpienie zadawało chłopcu potworne uczucie pustki w sercu. A może raczej winy... straszliwej winy.

Lendelu, Lendelu... to moja wina.

Usłyszał obok siebie czyjś oddech, a muśnięcie myśli owej osoby upewniło go, że jest przy nim Tańczący Księżyc. Vanyel jednak nie chciał z nikim rozmawiać; pragnął jedynie, aby zostawiono go w spokoju. Zaczął właśnie odwracać twarz do ściany, gdy na łagodny dźwięk niezwykle młodo dźwięczącego głosu zastygł w bezruchu.

— Opowiedziałbym ci o czymś...

Vanyel zwilżył wargi i popatrzył na srebrzystoczną sylwetkę siedzącą obok łóżka, na jednym ze swych ulubionych dziwacznych „krzesel”.

Tańczący Księżyc wyglądał niczym posąg, srebrzona figura boga siedzącego z jedną nogą podwiniętą pod siebie, skrzyżowanymi ramionami wspartymi o kolano i głową zwróconą ku księżycowi. Cała jego postać połyskiwała w łagodnym blasku księżyca.

— Był taki chłopiec — powiedział cicho Biegły. — Na imię miał Talio. Jego rodzice byli prostymi chłopami, na swój sposób nawet dobrymi ludźmi, przywiązanymi bardzo do swej ziemi i rytmu życia wyznaczanego przez pory roku. Ów Talio... był jednak inny. Czuł w sobie różne rzeczy, które zdawały się kłócić z życiem, jakie prowadziła jego rodzina. Rodzice nie rozumieli swego syna, który pragnął czegoś więcej niżli tylko pól porośniętych zbożem i żniw. Mimo to bardzo kochali go i starali się pojąć, co też mu chodzi po głowie. Zadbali o jego wykształcenie, próbowali nakłonić księdza, aby się nim zajął, ale nie wiedzieli, że uczucia przepelniające duszę ich syna to coś więcej niż powołanie do stanu duchownego. Była to jakaś moc, lecz o naturze innej niżli moc księdza. Wreszcie z ksiązek, jakie dał mu ksiądz, chłopiec dowiedział się, że siłę, którą nosi w sobie, nazywają magią. Później z tych samych ksiązek oraz zasłyszanych opowieści Talio próbował się dowiedzieć, do czego owa magia może mu posłużyć. Bardzo go to odróżniało od jego rówieśników i coraz częściej spędzał czas w samotności. Rodzice nie rozumieli tej potrzeby przebywania sam na sam ze swymi myślami i nie pojmowali tego, co Talio mówił i robił. Dlatego też zaczęli go zmuszać, aby znów zaczął żyć tak jak oni, zgodnie ze starymi tradycjami. Dochodziło do... kłótni i po obu stronach zrodziła się złość. A potem wydarzyło się jeszcze coś. Rodzice bardzo chcieli, aby ich syn ożenił się i założył rodzinę. Jednakże Tallo nie pociągały młode dziewczęta, miał za to wielkie zamiłowanie do młodych mężczyzn. Ale to już inna historia.

Tańczący Księżyc westchnął i w blasku księżyca Vanyel zobaczył łyzy błyszczące na jego rżesach.

— Wreszcie pewnego lata, gdy awantury stały się już nie do zniesienia, do wsi zawitała trupa wędrownych komediantów. Do trupy tej należał pewien młody mężczyzna, bardzo przystojny młody mężczyzna, i Tallo odkrył, iż nie jest jedynym chłopcem na świecie, w którego sercu odezwało się pragnienie obcowania z osobą tej samej co on płci. W niedługim czasie chłopcy zostali kochankami i Tallo był szczęśliwy jak nigdy przedtem. Postanowił nawet, że wspólnie z trupą odejdzie z wioski, a jego kochanek bardzo go do tego zachęcał. Pewnego razu jednak przyłapano ich razem. Wszyscy, rodzice, ksiądz i cała wieś, wpadli w straszny gniew, ponieważ dotąd nie wspominało się tam nawet o *shay'a'chern*, a o tym, że ktoś z ich wioski mógłby okazać się takim, w ogóle nie było mowy. Tallo został bardzo dotkliwie pobity. Ucierpiał także młody komediant. W końcu Tallo i je-

go ukochany zostali wygnani z wioski. Zaraz potem kochanek Talio pogardliwie go odtrącił, mówiąc w złości i gniewie różne rzeczy, których naprawdę wcale nie miał na myśli. Tallo opanowała dzika wściekłość. Bardzo go zaboląły słowa przyjaciela. Wszakże cierpiał za niego, został wygnany z wioski i odrzucony przez rodzinę, a na końcu odtrącony. Wówczas, korzystając ze swej na wpół opanowanej sztuki magicznej, wezwał piorun. Chciał tylko nastraszyć młodego człowieka, stało się jednak inaczej. Zabił go. Uśmiercił go używając mocy, nad którą nie potrafił zapanować.

Łzy spływające powoli po policzkach bieglego, połyskiwały w srebrzystym blasku księżyca.

— Talio słyszał myśli swego kochanka i wiedział, że naprawdę ani jedno z owych przykrych słów wykrzyuczanych w chwili gniewu nie było prawdziwe. Chciał tylko, aby jego ukochany wypowiedział głośno to, co brzmiało w jego sercu. Dlatego właśnie wezwał piorun, aby go nastraszyć. Niestety jednak wnet się przekonał, że jeśli ktoś działa w złości, a nie posiada odpowiednich umiejętności, pioruny i błyskawice nie będą mu posłuszne. Potem usłyszał już tylko swe imię, które wydarło się z gardła jego miłego w chwili śmierci. Usłyszał okrzyk przepełniony potwornym bólem, ale nie mógł już nic zrobić. Porwał sztylet z pochwy u pasa umierającego, przeciął sobie żyły i czekał na śmierć, bo myślał, że tylko w ten sposób będzie mógł odkupić morderstwo, jakiego się dopuścił.

Tańczący Księżyc podniósł swą potężną rękę, by odgarnąć opadające na twarz włosy, i tym razem w srebrzystej poświacie oczom Vanyela ukazała się biała blizna ciągnąca się od nadgarstka aż do połowy przedramienia bieglego.

— Tymczasem tą samą drogą podróżowała pewna nieznajoma przybywająca z odległego kraju. Wyczuła ona, że w pobliżu dzieje się coś niedobrego, że gdzieś wyzwoliła się ogromna, lecz nie kontrolowana moc. Przyjechała najszybciej, jak tylko mogła, choć nie dość szybko, aby ocalić obydwóch młodych mężczyzn. Gdy ich odnalazła, jeden był już martwy, drugi bliski śmierci. Uratowała tego, który jeszcze żył i zabrała go ze sobą do swego przyjaciela, który, jak się spodziewała, mógł mu pomóc.

Tańczący Księżyc zamilkł. Cisza przedłużała się i Vanyelowi zdawało się, że biegły już skończył. Ten zaś wpatrywał się nieruchomo w srebrzystą tarczę księżyca, a jego wilgotne policzki i oczy błyszczały niczym u marmurowego posągu splukanego deszczem.

Wtedy przemówił jeszcze raz, a każda sylaba wypowiedzanego przezeń słowa naznaczona była głębokim cierpieniem.

— I tutaj mamy paradoks. Gdyby Talio nie użył swej mocy i nie zabił kochanka, wędrowaliby dalej razem, aż w końcu rozstaliby się. Talio napotkałby może na swej drodze jakiegoś maga, który udzieliłby mu nauk, a kto wie, czy nie zawędrowałby aż do Valdemaru, gdzie zostałby wybrany przez Towarzysza. Ci, którzy mają w sobie moc, nigdy nie są pozostawiani sami sobie. Mogło zdarzyć się na-

wet tak, że mag, który by go przygarnął, zajmowałby się czarną magią i wtedy Talio zszedłby na złą drogę. Stało się jednak inaczej. Chłopiec zabił wprawdzie człowieka, lecz uczynił to przez własną niewiedzę i głupotę, a potem przywieziono go do k'Trevów. Tam znalazł wybaczenie i naukę, której potrzebował, jak nasiono potrzebuje deszczu. I odnalazł też jeszcze jedno: swego *shay'kreth'ashke*. W waszym języku oznacza to „przypisany przez nierozzerwalne więzy życia”.

Vanyel drgnął. Tańczący Księżyc pokiwał głową, wciąż nie odwracając ku niemu twarzy.

— Widzisz? To istny paradoks. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, Talio nigdy nie spotkałby Gwiazdowego Wichru. Ludzie z Tayledras, zwłaszcza k'Treva, żyją w ukryciu, a Skrzydlata Siostra Savil była jedną z pierwszych osób od wielu, wielu lat, które nas ujrzały. Drogi tych dwóch mężczyzn przeznaczonych sobie przez więzy życia, nigdy by się nie zeszyły. Nie byłoby wśród k'Trevów biegłego uzdrowiciela, a wiele problemów w Tayledras nie znalazłoby rozwiązania. A zatem spotkanie to zaowocowało mocą dobra i miłości, jednakże swe korzenie miało w morderstwie, wprawdzie przypadkowym, ale jednak morderstwie.

Tańczący Księżyc westchnął.

— Cóż więc miał sobie myśleć ów Talio? Gwiazdny Wicher zdecydował, że najlepszym rozwiązaniem będzie ogłosić, iż Talio umarł z własnej ręki — co miało być wystarczającym zadośćuczynieniem za jego winę — a potem powołać do życia nowego człowieka, Tańczącego Księżyca k'Trevę. Nie ma więc chłopca o imieniu Talio, jest za to mężczyzna, którego magia tak bardzo upodobniła do ludzi z Tayledras, że dziś zdaje się być jednym z ich braci. Czasem jednak głos Talio odzywa się w sercu Tańczącego Księżyca, który bardzo się wówczas smuci... płacze... i żałuje za zło, które uczynił.

Odwrócił głowę i wyciągnął rękę ku Vanyelowi.

— *K'chara*, czy podzielisz smutek Talio? Sam płacz nie przynosi ukojenia, a twoje serce krwawi tak samo jak moje.

Vanyel wykonał gest, jakby chciał uchwycić wyciągniętą dłoń, ale zawahał się.

Jeśli nie będę się do nikogo zbliżał...

— Jeśli się nie zbliżysz — rzekł Tańczący Księżyc, jak gdyby czytał w jego myślach — nie będziesz mógł żyć. Jeśli zamkniesz się w swym pancerzyku, izolujesz się nie tylko od bólu, ale i od miłości. A choć miłość czasem przynosi ból, nie jesteś w stanie przewidzieć, czy ból, który czujesz teraz, nie przywiedzie cię znów ku miłości.

— Tylandel nie żyje. — Tak, powiedział to, i to głośno. Naprawdę. Ściągnięta, poparzona skóra na twarzy piekła go, gdy zaciskał powieki, by zatrzymać łzy. — Nic mi go nie przywróci. Zawsze już będę sam.

Tańczący Księżyc pokiwał głową i pochylił się powoli, aż jego głowa spoczęła na brzegu łóżka. Vanyel nie widział jego twarzy przysłoniętej białymi włosami.

— Wielka miłość przeminęła, ale są jeszcze małe miłości: do przyjaciela, do siostry, brata, nauczyciela. Odmówisz sobie ciepła płynącego od paleniska w wiejskim domu tylko dlatego, że nie możesz już zasiąść przy kominku w pałacu? Odmówisz ciepła swego serca tym, którzy zwracają się do ciebie prosząc o nie? To okrutne, a ja nie uczyłem cię okrucieństwa, Vanyelu. A co z Yfandes? Ona cię kocha całą swą istotą. Czy jej także odmówisz swego uczucia? To byłoby więcej niż okrutne.

— Dlaczego mówisz mi to wszystko? Dlaczego zadajesz mi takie pytania? — wyrwało się z mimo woli z gardła Vanyela.

— Ponieważ ja sam byłem bliski zejścia na ścieżkę, którą ty właśnie podążasz. — Biegły uniósł się lekko na swym krześle i Vanyel usłyszał ciche skrzywienie drewna. — Dlatego, że myślałem, iż lepiej jest nie zbliżać się do nikogo, niżli skazywać na cierpienie siebie i innych. Wydawało mi się, że lepiej nie robić nic niż zrobić krok, który okaże się fałszywy. Tymczasem jednak unikając bliskości z innymi, także podjąłem jakąś decyzję i zamiast uchronić się od cierpienia, zadałem ból innym, którzy pragnęli zbliżyć się do mnie. — Zamilkł i czekał na odpowiedź. Vanyel jednak nie potrafił się zmusić do wykrztuszenia choćby jednego słowa.

Twarz Tańczącego Księżyca nagle stała się obca. Nie można już było nic z niej wyczytać. Biegły wzruszył ramionami.

— Decyzja należy do ciebie, to twoje życie. Uzdrowiciel nie mógłby tak żyć, ale może ty potrafisz.

Wykonał jakiś ledwie dostrzegalny ruch i już stał wyprostowany, odrzucając włosy na plecy. Łzy w jego oczach dawno już wyschły, a gdy spoglądał z góry na Vanyela, na jego obliczu malował się taki spokój, że zdawało się, iż nigdy ich tam nie było.

— Jeśli będziesz cierpieć, wezwij mnie w myśli, a przyjdę do ciebie.

Nim Vanyel zdążył mrugnąć, już go nie było.

Nadszedł poranek, ale choć Vanyel spodziewał się, że Savil albo Gwiezdny Wicher wezwą go znów na ćwiczenia w sali, nic podobnego się nie wydarzyło. Słońce dawno już wstało, a on spacerował od jednego pustego pokoju do drugiego, nie spotykając jednak nikogo. Zaczął się nawet zastanawiać, czy fakt, że poprzedniego wieczoru odtrącił przyjaźń Tańczącego Księżyca, nie spowodował, że wszyscy postanowili się od niego odwrócić.

Wreszcie postanowił pójść na przechadzkę w dolinie i stał właśnie pod kamiennym łukiem drzwi, mrużąc oczy porażone jasnym światłem słonecznym, nie przytłumionym, jak to było wewnątrz, przez ciemne szkło okien w suficie. Przed sobą miał ogromne paprocie o rozmiarach małego pokoju, krzewy i małe drzewka o liściach tak dużych, że można by się pod nimi schronić przed deszczem. Były

tam także dość duże drzewa, i choć nie mogły się równać z tym największym, rosnącym w „domu”, miały pnie, które opasać mogłoby nie mniej niż pięciu ludzi trzymających się za ręce.

— *Yfandes?* — zawołał nieśmiało, korzystając z myślomowy. Nie był wcale pewien, czy otrzyma odpowiedź.

— *Stucham* — odezwała się klacz. Po kilku chwilach wynurzyła się z lasku, jednym susem przesadziła krzewy i już stała przy Vanyelu, radośnie unosząc ogon i głaszcząc go nozdrzami po policzku. — *Czy twoje ręce już się zagoiły?*

Vanyel zdjął bandaż rano i okazało się, że oprócz małych podrażnień na skórze nie ma już śladów oparzeń. Z pewnością jego ręce nie były tak obolałe jak poprzedniej nocy.

— *Myślę, że tak.* — Oparł czoło o jej szyję. Sama jej obecność przynosiła mu ukojenie. Przy niej Vanyel nie potrafił zamykać się w swym pancerzu. — *Gdzie są wszyscy?*

— *Savil jest na górze, w mieszkaniu Gwiezdnego Wichru.* — Yfandes przekazała mu obraz pokoju o wielu oknach, zawieszonych pomiędzy czymś, co mogło być tylko konarami ogromnego drzewa wyrastającego w samym środku „domu”. — *Savil nie lubi tam przebywać i Kellan bardzo się o nią niepokoi, ale wczorajszy wypadek bardzo zmartwił Gwiezdnego Wichra, a on najlepiej czuje się właśnie w swym pokoju, tam w górze. Rozmawiają.*

— *Ona i k'Treva?*

— *Chyba tak.*

— *A gdzie Tańczący Księżyc?*

— *Myśli w samotności* — odparła Yfandes.

— *Yfandes, czy... — Przełknął ślinę. — Czy zrobiłem wczoraj coś złego?*

Yfandes spojrzała na niego z wyrzutem.

— *Tak. Myślę, że powinieneś z nim porozmawiać. Bardzo go zranieś, choć nie okazał ci tego. Nigdy jeszcze nikomu nie opowiadał tej historii. Savil i Gwiezdny Wicher znają ją, ale nie usłyszeli o niej od niego. Nigdy też nie mówił Gwiezdnemu Wichrowi, jak bardzo wciąż cierpi. Bardzo dużo go kosztowało, aby podzielić się z tobą tym wszystkim.*

Zrazu opanowało Vanyela uczucie winy, potem złość.

Według tego, co mówił Tańczący Księżyc, jego tragiczny romans był niczym innym jak... właśnie romanszem skazanym na krótki żywot. Jak więc w ogóle można porównywać jego cierpienie z bólem, który trawi serce Vanyela? Tańczący Księżyc nie jest sam...

Tańczący Księżyc nie zabił Gwiezdnego Wichra, tylko jakiegoś głupiego komedianta, który i tak zniknąłby z jego życia po kilku tygodniach. Zwykły aktorka, przelotna miłostka:

Tańczący Księżyc miał jeszcze Gwiezdnego Wichra. Zawsze go będzie miał.

Vanyel zaś na zawsze pozostanie samotny. Jak więc Tańczący Księżyc może porównywać swe położenie z jego?

Yfandes zdawała się wyczuwać, co dzieje się w sercu chłopca. Odsunęła się od niego lekko i popatrzyła nań urażona.

To jeszcze bardziej go rozżłościło.

Bez słowa, na ustach czy w umyśle, odwrócił się na pięcie i rzucił się pędem... przed siebie, byle dalej od niej, byle dalej od Tayledras, od nich wszystkich. Zatrzymał się w małym zakątku wąwozu, w ponurym zagajniku z paproci i drzew o mięsistych liściach, między którymi nie przebijało się prawie żadne Światło. Rozchylając gałęzie, utorował sobie drogę między nimi i skulił się na ziemi, rozpaczając nad swym nędznym losem. Był zły, w żołądku czuł dotkliwie skurcze, w oczach pałący ból.

Nic ich nie obchodzi, myślą tylko o tym, co mogą zrobić. Nie obchodzi ich, jak bardzo cierpię; chcą tylko, abym robił, co mi każą. Savil chce mnie podstępnie zmusić, abym został heroldem. Żadne z nich nic nie rozumie! Żadne z nich nie wie, jak bardzo...

Zaczął cicho płakać.

Lendelu, Lendelu, oni nie mają pojęcia, ile mnie samego umarło wraz z tobą. Chcę tylko, aby zostawili mnie w spokoju. Dlaczego nie chcą zostawić mnie w spokoju? Dlaczego nie przestają mnie przymuszać do rzeczy, których nie chcę robić? Do diabła, wszyscy są tacy sami, zupełnie jak ojciec! Jedyna różnica polega na tym, że ci tutaj chcą ode mnie czegoś zupełnie innego! Och, Lendelu... tak bardzo mi ciebie brak...

Wyplakiwał swe żale bardzo długo, aż do chwili, gdy dolinę spowiła zupełna ciemność. Wtedy dopiero — najciszej, jak tylko mógł — wślizgnął się do „domu”. W głębi duszy miał nadzieję, że będą na niego czekali.

Ale pokoje były równie opustoszałe, jak wtedy gdy wychodził. Paliły się tylko nocne lampki pozostawione dla mieszkańców Tayledras, którzy zażyczyliby sobie zejść w nocy na dół. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek za nim tęsknił.

Nic ich nie obchodzi — myślał posępnie, lustrując puste pokoje oświetlone nikłym blaskiem. Naprawdę nic ich nie obchodzi. Och, bogowie...

Żołądek skurczył mu się w kamień.

Nikt o mnie nie dba. Oprócz Lendela, nigdy nikomu na mnie nie zależało. I nikt już nigdy mnie nie pokocha.

Zwiesił ramiona i poczuł, że gardło zaciska mu żal. Jeszcze raz przeszedł wszystkie pokoje, ale nic się w nich nie zmieniło. Wciąż były tak samo opustoszałe. Ani śladu żywej duszy. Zdawało się, że pozostanie tak już na zawsze.

Spacerował tak długo, aż zdawało mu się, że echo własnych kroków znów doprowadzi go do łez. W końcu położył się do łóżka.

A potem płacz szybko sprowadził na niego sen.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lareth zaśmiał się. Jego pusty głos odbijał się echem między klifami, gdy uniósł rękę i wykonał najprostszy z gestów. Wtem, tuż za barierą Vanyela rozpętała się magiczna burza. Vanyel wzmocnił swe osłony, swe ostatnie zabezpieczenie. Był zupełnie wyczerpany, źródła jego energii także. Poniósł w pojedynku straty o wiele większe niżli te, które odważyłby się okazać Larethowi.

Nie był żadnym przeciwnikiem dla siejących spustoszenie w jego osłonach piorunów miotanych przez Laretha, który stojąc po drugiej stronie szalejącej wokół Vanyela burzy, posyłał mu uśmiech mówiący tylko tyle, że wie, iż Vanyel słabnie z każdą chwilą. Oczy chłopca zaszyły mgłą, która natychmiast zaczęła zamarać. Opadł na kolana. Nie miał już żadnych szans, ale wciąż walczył. Lareth zaś zdawał się nie czuć nawet zmęczenia.

Ostatni piorun zniósł resztki osłony Vanyela. Z gardła chłopca wydarł się nie-ludzki krzyk, a przez jego ciało przebiegł śmiertelny dreszcz, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej...

Vanyel obudził się. Pościel była zupełnie mokra. Szarpały nim takie drgawki, że nawet liście paproci nad jego głową zaczęły się poruszać. Bał się, że krzyczał nie tylko we śnie.

Ale gdy nikt nie przybiegł do jego pokoju, uspokoił się. Wiedział, że wszystko było tylko snem i przynajmniej tym razem jego wrzask nie obudził nikogo.

Sen. Och, bogowie, to nie tylko sen — pomyślał. Choć w pokoju było bardzo ciepło, wciąż wstrząsał nim dreszcz. Popatrzył na tarczę księżycy wiszącą wprost nad jego głową. Koszmar wciąż zaciskał na nim swe stalowe szpony.

To się wydarzy naprawdę, to wydaje się realne. To dar przewidywania pozwala mi zobaczyć to już teraz. Na pewno tak będzie. Lareth nazywa mnie Vanyelem magiem heroldów, a ja ubrany jestem w Biel. Przyśniła mi się moja własna śmierć. Właśnie to się ze mną stanie, tak właśnie umrę, jeśli zostanę heroldem. Umrę w samotności, w strasliwym bólu. Stoczę pojedynek, w którym skazany będę na porażkę.

Zadrżał mocniej, przeszyty chłodem bijącym od snu, a jeszcze bardziej własnym strachem. Wreszcie odrzucił pościel, porwał szlafrok i odnajdując drogę

dzięki światłu księżyca i własnemu przyzwyczajeniu, powędrował do pokoju z gorącymi źródłami.

Nie po raz pierwszy obudził się w środku nocy odrętwiały z zimna i nie po raz pierwszy potrzebował rozgrzewającej, kojącej kąpieli. Nigdy przedtem jednakże dręczący go od dłuższego czasu sen nie był wyraźny na tyle, aby można go było zapamiętać.

Wdrapał się do wyższego basenu i z westchnieniem ulgi zanurzył swe rozdygotane ciało w gorącej wodzie. Och, bogowie, nie chcę umierać. Nie mogą przecież mnie do tego zmusić, prawda? A gdyby wiedzieli o tym śnie? Czy wciąż chcieliby, abym został heroldem? Bogowie, znam przecież odpowiedź. . .

Jeszcze bardziej zagłębił się w wodę, aż poczuł na podbródku uderzenia jej delikatnych fal. Toczył walkę ze ślepym, bezzasadnym uczuciem paniki. Bez skutku.

Co ja mam robić? Och, bogowie. . . nie mogę nawet myśleć. . . Muszę się stąd wydostać. Nie mogę tu zostać. Jeśli zostanę, będą mnie ciągle zwodzić. Ale dokąd mógłbym pójść? Nie wiem nawet w którą stronę prowadzi droga do domu. Ale nie mogę zostać. . . po prostu sobie pójdę, spakuję się i pójdę, wiedziony nadzieją, że coś się wydarzy. Tylko tyle mogę zrobić. To oznacza, że muszę opuścić Yfandes. . .

Myśl o tym przemieniła się na moment w torturę. Ale strach był silniejszy.

Albo stracę ją, albo życie. Nie, nie mogę, nie mogę umrzeć w taki sposób. A poza tym — zakrztusił się od szloch — ona też chce, abym został heroldem. . .

Uniósł głowę i ocenił porę nocy po położeniu księżyca.

Mam jeszcze kilka godzin do brzasku. Mogę być daleko stąd, zanim zaczną się za mną rozglądać. A może nawet nie będą mnie szukać. Gwiazdny Wicher na razie nie jest w stanie się mną zajmować. Pomyślą, że poszedłem gdzieś, aby pobyć trochę w samotności, szczególnie jeśli zablokuję dostęp Yfandes do moich myśli i utrzymam ją na dystans.

Wyszedł z basenu i wytarł się swym szlafrokiem. Doskonale wiedział, gdzie jest ubranie, w którym tutaj przyjechał; wisiąco ono w garderobie Tańczącego Księżyca. Nałożył je najszybciej, jak tylko potrafił, a ciepły płaszcz zarzucił sobie na jedno ramię. W szafie był też jeden z jego tłumoków podróżnych, ten, w którym spakowane były jego zimowe rzeczy. W dolinie nie były one przydatne, a więc nigdy ich nie rozpakował, a sam nosił stare ubrania Tańczącego Księżyca. Ponieważ mieszkańcy Tayledras odżywiali się dość nieregularnie, w pokoju sąsiadującym z pomieszczeniem, w którym rosło drzewo oplecione schodami, zawsze można było znaleźć coś do jedzenia. Vanyel podkraść wystarczającą na parę dni porcję chleba i sera, a potem wraz z ubraniami zapakował wszystko do tłumoka.

Wypaliła się z górą jedna świeca, nim dotarł wreszcie do wyjścia z doliny. Gdyby nie padał śnieg, byłby nawet gotów zawrócić. Śnieg jednak prószył, lekko wprawdzie, ale wystarczająco, aby zakryć jego ślady. Vanyel zarzucił na ramiona ciepły, ciężki płaszcz, zebrał wszystkie siły, aby stawić czoło szokowi termicz-

nemu, i wyszedł w mroźną, pogrążoną w mroku krainę. Nie zapomniał też, aby zawczasu otoczyć się szczelną osłoną, która nie pozwoli innym wytropić jego aury.

— Dwa kroki do przodu, jeden w tył — dobiegał z dołu drabiny głos Tańczącego Księżyca. Oczywiście była to drabina tylko w pojęciu Savil, która uważała, że stopni tak stromych jak te, prowadzące do *ekele* Gwiezdnego Wichru, nie można nazwać „schodami”. Zaraz potem pojawił się sam Tańczący Księżyc. Jego głowa ukazała się we włazie w połyskującej drewnianej podłodze dokładnie w chwili, gdy podmuch wiatru zakołysał skrzypiącym drzewem.

Savil poczuła ucisk w gardle, złapała się oparć fotela i odwróciła wzrok od okna, za którym latały ptaki. Gwiezdny Wicher nigdy jej nie powiedział, jakiego materiału używają zamiast szyb w oknach. Na pewno nie było to zwykłe szkło, ono nie wytrzymałoby wiejących w górze wiatrów. Był to ten sam materiał, który tworzył przezroczyste sklepienia na dole, tutaj jednak dużo cieńszy. Przypominał on twardą, giętą, przezroczystą błonę, ale Savil nie dałaby się przekonać, że dość mocną, aby wytrzymać ciężar upadającego nań ciała ludzkiego. *Ekele* znów zaskrzypiało, a Savil zamarła, widząc, że pod wpływem ruchów drzewa, błona w oknie zaczyna falować.

— Mógłbyś mi wyjaśnić tę tajemniczą uwagę? — zapytała, gdy reszta sylwetki Tańczącego Księżyca wyłoniła się z wejścia w podłodze.

— Och, chodzi o twego ucznia, Skrzydlata Siostrę — powiedział oficjalnym tonem, zamykając właz, nim następny podmuch chłodnego powietrza wpadnie do pokoju. Drabina znajdowała się pod osłoną, ale niepełną, całkowite jej osłonięcie byłoby według Gwiezdnego Wichru niepraktyczne. Nie wyobrażał on sobie bowiem, aby można trwonić energię magicznej bariery na osłanianie wejścia do jego „gniazda”, jeśli właz świetnie spełniał swoją rolę. — Pogodnego dnia, mój mistrzu *ashke*.

— I wiatru w twe skrzydła — odparł Gwiezdny Wicher automatycznie, odwracając się od okna. Jego pochmurna twarz zaczęła się rozjaśniać. — *Shay'kreh'ashke*, nie ma tutaj dla ciebie żadnego „mistrza”.

— Aż do dnia, kiedy twe skrzydła uniosą cię ku niebiosom, zawsze pozostaniesz moim mistrzem. — Tańczący Księżyc, krokiem pewnym jak u żeglarza na pokładzie jachtu, przesunął się po chybotliwej podłodze i stanął obok Gwiezdnego Wichru.

— Już dość, schodzę na dół — wycodziła Savil. — Bogowie, to ponad moje siły. A co mówiłeś o moim uczniu? Możesz odejść od okna? Ciągle mam wrażenie, że przy następnym podmuchu wylecisz przez nie.

— Okno wytrzyma, a poza tym, od wieków żaden mieszkaniec Tayledras nie wypadł ze swego *ekele*, moja Skrzydlata Siostrę — rzekł Gwiezdny Wicher i sta-

jąc tyłem do okna, oparł się o jego ramę.

— A więc najwyższy czas, aby ktoś wypadł, a ja nie chcę, żebyś to był ty.
— Następny podmuch wycisnął prawdziwy jęk z rozkołysanego drzewa. Savil z całych sił uchwyciła się oparcia fotela, aż z jej dłoni odpłynęła krew.

— Zgoda. — Twarz Gwiezdnego Wichru tymczasem rozjaśnił promienny uśmiech. Odsunął się od okna i usiadł w jednym z foteli przyśrubowanych do podłogi jego *ekele*. Droczenie się z Savil i dokuczanie jej z powodu lęku wysokości sprawiało mu przyjemność.

Ekele było czymś na kształt dużego domku na drzewie. Na każdej z głównych gałęzi Królewskiego Drzewa znajdował się jeden taki domek, a w sumie było ich dwadzieścia. Nie wszystkie służyły za mieszkania, w większości spełniały funkcje pokoi do medytacji, sypialni, izb do nauki i rekreacji. Do innych celów dużo bardziej nadawało się „niższe mieszkanie”.

Ale kiedy któryś z mieszkańców Tayledras czuł potrzebę pograżenia się w zadumie, wycofywał się do swego *ekele* i spędzał tam nawet całe tygodnie, nie schodząc na ziemię.

Ekele takie składało się z jednego pokoju z oknem. Różne były rozmiary owych pokoi, ale wszystkie zbudowano z jasnego, niemalże białego, lakierowanego drewna. W każdym z nich umieszczono kilka przymocowanych do podłogi foteli i stół, także przymocowany, a w kącie pokoju pozostawiono zrolowane maty do spania. *Ekele* Gwiezdnego Wichru było jednym z najwyższej położonych, a tym samym najmniejszych domków. Za to widok rozciągał się stamtąd wspaniały. Savil jednakże niestety nie mogła go podziwiać.

Tańczący Księżyc zajął trzeci fotel i usiadł na nim bokiem, z nogami przewieszonymi przez oparcie.

— A zatem — domagała się Savil. — Powiesz wreszcie, o co ci chodziło?

— O twego ucznia. Najpierw robimy wszystko, aby nie uzależniał się od nikogo, a później on tak sobie bierze to do serca, że izoluje się od Yfandes i nawet przed nią skrywa swe cierpienie. W końcu ja próbuję nakłonić go, aby otworzył się przede mną. . .

— I co?

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami, a Savil wyczuła, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

— Co mu powiedziałaś?

Z jego oczu można było wyczytać wszystkie emocje; teraz czaił się w nich szaroniebieski cień.

— Opowiedziałem mu o sobie. Wydawało mi się, że jeśli uzmysłowi sobie fakt, że nie jest jedyną osobą na świecie, która ma rozdarte serce, uda mi się nakłonić go do podzielenia się z kimś swymi uczuciami.

Oczy Savil zwięzły się. Tańczący Księżyc jest nieszczęśliwy?

— *Shayana*, czy on cię skrzywdził? Jeśli to zrobił. . .

— Nie, ja sam zadałem sobie cierpienie. — Jego oczy rozjaśniły się, a na twarz wypłynął wymuszony uśmiech. — On tylko mnie odtrącił. Dlatego wczoraj przez cały dzień gdzieś się krył i dzisiaj rano też zniknął. Jego łóżko stoi puste, hertasi mówią, że poszedł aż na sam skraj doliny, a Yfandes powiada, że zablokował zupełnie jej dostęp do siebie. Powiem bez ogródek, moja Skrzydlata Siostrze, on się po prostu boczy na nas wszystkich.

Savil westchnęła, zapomniawszy nawet o przytrzymaniu się fotela przy ponownym podmuchu.

— Bogowie, co my mamy z nim zrobić?

Gwiezdny Wicher ocknął się z zadumy, otworzył usta, by dać odpowiedź, ale... coś mu przeszkodziło. Obydwaj biegli gwałtownie zwrócili głowy ku oknu, jak gdyby byli marionetkami, które ktoś jednocześnie pociągnął za sznurki.

Z dołu podfrunęły dwa ptaki i krążyły na wysokości okna. Był to ów biało-zór i inny sokół o zwykłym upierzeniu. Gwiezdny Wicher zerwał się z krzesła, otworzył okno, a gdy wraz z podmuchem wiatru do pokoju wleciały oba ptaki, zamknął je z powrotem.

Tańczący Księżyc skoczył na równe nogi i wyciągnawszy przed siebie ramiona, czekał, aż przysiada na nich sokoły. Te bezbłędnie odnalazły przygotowane dla nich miejsca i nim Gwiezdny Wicher zdążył zasunąć skobel zamykający okno, już siedziały na skórzanych ochraniaczach okrywających przedramiona jego przyjaciela.

Potem starszy biegły uniósł jedną rękę, a płowożółty ptak wzbił się w górę i z głośnym łopotem wylądował na jego ramieniu.

Obydwaj k'Treva zatopili swe spojrzenia w oczach sokołów i pograżyli się w całkowitym skupieniu. Savil zamarła w bezruchu. Wiedziała, że choć więź łącząca Sokolich Braci z ich ptakami jest bardzo silna, a sokoły wytresowane przez magię są znacznie inteligentniejsze niż zwykłe ptaki, to jednak ich umysły nie dorównują nawet umysłom małych dzieci i wystarczy drobny gest czy szmer, aby je spłoszyć.

Z dzioba białego sokoła pociekła piana, z gardła drugiego dobył się przejmujący wrzask. Wzrok biegłych znów nabrał ostrości, a Savil ujrzała smutek czający się w kącikach ich ust.

— Co się stało? — zapytała.

— Po pierwsze, ktoś próbuje znów wykorzystać magię do niecznych celów, ale tym razem dzieje się to nie na naszych ziemiach, ale u k'Valów — odparł Gwiezdny Wicher i uspokajając ptaka, pogładził pióra na jego piersi. — Wygląda na niespodziewany wylęg zimnokrwistych bestii. Coś musiało je poruszyć. Trzeba nam będzie wyruszyć w drogę, aby rozejrzeć się za przyczyną ich niepokojów. W pobliżu ich siedliska żyje pewien lud, którym opiekują się k'Treva. Dzięki tamtejszym ludziom, po raz pierwszy udało nam się przyłapać winowajcę na gorącym uczynku i nie mam zamiaru puścić mu tego płazem.

— Mam nadzieję, że mówiąc „my” uwzględniasz także i mnie. Aby poradzić sobie z wylęgiem zimnokrwistych bestii, nie wystarczy użyć jednego rodzaju magii. Przydadzą się wszelkie moce, jakie uda się zgromadzić — powiedziała, ostrożnie unosząc się z fotela i ze wszystkich sił utrzymując równowagę.

— Jeśli zechcesz ofiarować swą pomoc, przyjmiemy ją z radością — odparł Gwiazdny Wicher z ulgą. — Ale Vanyel. . .

— Jeśli się chowa, wyjdzie ze swej kryjówki dopiero wówczas, gdy będzie na to przygotowany. Dopóki przebywa w dolinie, nic mu nie zagraża. A właściwie jak daleko znajdują te stwory?

— W odległości kilku godzin marszu — odrzekł Tańczący Księżyc. — I to mi się właśnie nie podoba. Ktoś bardzo je pogonił, a może nawet przeprowadził przez Bramę. A w takim razie, kto to zrobił?

— Dobrze pytanie — zgodziła się Savil. — Na kogo możemy liczyć?

— Tutaj może pomóc tylko biegły. Według mnie nawet Wędrowcy nie powinni się zajmować stadem tych potworów. *Shethka*.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że tylko my w trójkę jesteśmy w stanie stawić im czoła?

— Słoneczna Pieśń jest wyczerpany po przeprowadzaniu ognistych ptaków do ich azylu, Szerokoskrzydły jest za stary na podróżowanie, a Skrzydlata Burza jest przy nadziei.

— O Panie i Pani, zamknijcie ją w odosobnieniu! — zawołała Savil.

— Nie ma się czego obawiać, odkąd została biegłą zupełnie się uspokoiła. Nie rzuca się już na oślep w sam środek niebezpieczeństwa tylko dla dreszczyku emocji. Deszczowa Gwiazda zaś wypełnia właśnie inną misję, odpowiadając na wezwanie *kyree*, a Ognisty Lot jej towarzyszy. To już wszyscy biegli k'Treva. — Gwiazdny Wicher skrzywił się. — Gdyby to było lato. . .

— Gdyby to było lato, nie groziłyby nam żadne zimnokrwiste bestie, *ashke* — przypomniał mu Tańczący Księżyc. — Użyjemy wszelkich dostępnych sposobów i będziemy wdzięczni, jeśli Skrzydlata Siostra Savil zechce nam towarzyszyć.

— A zatem do dzieła — rzekła Savil, przygotowując się do długiej drogi powrotnej na dół. Tymczasem jej przyjaciele uwolnili swe ptaki. — Jeśli idzie o mnie, to wolę walczyć z zimnokrwistymi kaczorami, niżli wspinać się po tej przeklętej drabinie!

Krótko przed świtem śnieg przestał prószyć i przez nagie gałęzie drzew zaczęło prześwitywać blade słońce. W lesie zapanowała jasność, a nadejście nowego dnia zdało się obudzić w Vanyelu zdrowy rozsądek.

Vanyel przysiadł na pieńku. Był zmęczony i brakowało mu już tchu. Wtem nagle wydało mu się, że dopiero teraz ocknął się ze swego koszmaru. Co ja tu robię? — pomyślał, wciąż dysząc z wysiłku. Nie wiem, dokąd idę, nie wiem, co

zrobię, gdy już tam dojdę, i nie mam zielonego pojęcia, gdzie jestem! Wypuściłem się na to pustkowie jak jakiś dureń!

Położył tłumok na ziemi i odzianą w rękawiczkę ręką zagarnął garść śniegu. Uniósł ją do ust i zjadł. Język zdrętwiał mu od lodu, ale uczucie pragnienia wciąż nie ustępowało. Nie mogę wprost uwierzyć, że zrobiłem coś tak głupiego — pomyślał.

Otulił się szczelnie swym ciepłym płaszczem, wsparł brodę na kolanach i zachwyił się widokiem ornamentów z oszronionych gałęzi na tle błękitu nieba. Powoli zaczął analizować swe położenie i choć nie było to łatwe, zastanawiać się nad swym postępowaniem.

Na jego twarzy powoli rozlał się rumieniec wstydu. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś takiego. Do diaska, wiem przecież dobrze, jak bardzo Savil mnie kocha, i Yfandes... a mimo to... jestem przeklętym głupcem. Tańczący Księżyc chciał mi tytko dać do zrozumienia, że łatwiej znosić cierpienie, kiedy ma się przy sobie kogoś bliskiego, kto również jest nieszczęśliwy. Wcale nie myślał, że jego serce krwawi mocniej niż moje. Wyrządziłem mu krzywdę odtrącając go.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej. Najgorsze jest to, że najprawdopodobniej nie będę musiał go nawet prosić o wybaczenie. Wczoraj na pewno wcale mnie nie porzucili, tylko zastanawiali się, jak mogą mi pomóc. Zrobili dokładnie to, czego od nich oczekiwałem — zostawili mnie w spokoju. Powinno się mnie obedrzeć ze skóry.

Zadumał się, nie odrywając wzroku od cieniutkich gałęzi brzoź kołyszących się na wietrze. Był sam, kompletnie sam, jak nigdy, odkąd opuścił Forst Reach. Tylko cichutkie szepty wiatru i odzywający się raz po raz śpiew ptaka mąciły zalegającą dookoła ciszę, przynoszącą Vanyelowi ukojenie, którego szukał i nie odnalazł w swej lodowej krainie ze snu. Teraz jednak samotność wcale nie była tym, czego pragnął najbardziej.

Wokół panował niezmacony spokój, ale Vanyel już dawno, jeszcze w domu, przekonał się, że miejsce azylu może z łatwością przemienić się w więzienie.

Gdy zamykasz się na innych — myślał powoli — sam sobie budujesz klatkę. Chyba właśnie to próbował mi powiedzieć Tańczący Księżyc.

Jego oczy wciąż błądziły po gałęziach drzew, ale teraz ich widok już go nie zajmował. Vanyel odwrócił uwagę od konkretnych spraw, pozwalając, by myśli swobodnie przebiegały mu przez głowę. Gdzieś głęboko czuł rodzącą się, nie w pełni jeszcze ukształtowaną, lecz bardzo ważką ideę, której jeszcze nie potrafił odczytać.

Wreszcie westchnął i na powrót pogрузzył się w rozmyślaniach o niedorzeczności własnego postępowania. Nawet jeśli ten sen bierze się z mojej zdolności przewidywania, na pewno można znaleźć sposób, aby w ogóle nie dopuścić do sytuacji, którą on przedstawia. Wszak nikt nie będzie mnie zmuszał do przyjęcia Bieli Herolda. Gdybym o to poprosił, z pewnością pozwoliliby mi tutaj zostać.

Nie było żadnego powodu, aby uciekać na to pustkowie bez zaopatrzenia i broni. Bogowie, jakimi jestem głupcem!

Odwrócił się, by przyjrzeć się swym śladom. Lekki wietrzyk przyniósł właśnie ostatnią porcję pierzastych płatków śniegu, zasypując całkowicie najbliższy odcisk jego buta.

Widząc to, jęknął. Och, wspaniale. Pewnie nie zdołam nawet odnaleźć drogi powrotnej! Nie trzeba mi nauczycieli, powinienem mieć niańkę!

Ton jego własnych myśli zaskoczył go. Wyprostował plecy, skoncentrował się i poczuł, że na nowo wstąpiło weń życie. Że znów jest gotów do życia.

Mam wrażenie, jakbym długo chorował i majaczył w gorączce, która dopiero co mnie opuściła. Jak gdybym w środku miał jakąś jątrzącą się ranę, która właśnie zaczęła się goić. Nie czułem się tak dobrze, odkąd Tylendel... umarł...

Przymknął oczy, spodziewając się nowej fali cierpienia. Ból po stracie przyjaciela nie ustępował wprawdzie, wciąż krył się gdzieś na dnie duszy, ale nie był już tak dotkliwy jak przedtem.

Lendelu — pomyślał zdumiony — nadal za tobą tęsknię. Wciąż cierpię z powodu naszej rozłąki. Myślę jednak, że Tańczący Księżyc miał rację. Muszę powrócić do normalnego życia, mimo że nie możesz go już ze mną dzielić.

Otworzył oczy, popatrzył na las przysypany połyskującym w słońcu śniegiem i uśmiechnął się, rozbawiony swą własną lekkomyślnością.

— Naprawdę jestem osłem, głupim osłem. Pewnie nie omieszkałbyś mnie wyśmiać, Lendelu, prawda? — Potrząsnął głową. — No dobrze. Teraz chyba powinienem się zastanowić, jak odnaleźć drogę powrotną, jeśli moje ślady dawno zasypał śnieg.

Rozwiązanie nasunęło mu się samo i Vanyel zaśmiał się, zdziwiony, że od razu na nie wpadł.

— Och, Panie i Pani, jak to dobrze, że opiekujecie się głupcami. Wystarczy, że poszukam magii. Nie można przecież spodziewać się, że w okolicy znajdują się inne skupiska magów, poza doliną k'Trevów, i chyba nawet taki dureń jak ja zdoła odnaleźć ognisko energii magicznej.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech zimnego powietrza.

Skoncentrować się... uziemić... otworzyć przepływ energii... i proszę, dokładnie tak, jak myślałem, są...

Wtem poczuł wstrząs i ogromna fala energii Bramy powaliła go na ziemię. Stracił przytomność.

Gdy odzyskał świadomość, słońce stało wysoko na niebie, a ciepłe promienie delikatnie muskały jego policzki. Zbliżało się południe. Vanyel leżał tam, gdzie upadł, na boku, między swym tłumokiem a pieńkiem drzewa. Skulił się wokół swej torby; korzenie pnia uwierały go w bok i nogę. W uszach, a może w głowie,

huczało mu. Czuł się jak po jednym z najsilniejszych ciosów Jervisa.

Bogowie. Wzniósł oczy ku słońcu i skrzywił się. To była Brama. Nic innego nie wprowadza człowieka w taki stan. Och, jakże mnie wszystko boli. Dobrze, że miałem na sobie ten płaszcz, inaczej zamarzłbym na śmierć.

Odepchnął tłumok i przewrócił się na brzuch. Teraz przynajmniej słońce nie raziło go w oczy. Podciągnął kolana i na rękach podniósł się ze śniegu. Był skostniały z zimna, ale poza tym nie ucierpiał wiele podczas upadku. Czuł tylko dość szczególny ból głowy, który oznaczał, że eksperyment nadwerżył nieco jego nowe zmysły. Ukłęknął, naciągnął na głowę kaptur i rozejrzał się. Wyglądało na to, że od razu upadł na bok, w chwili gdy odczuł wstrząs.

Chyba powinienem wreszcie ruszyć w drogę, nim zamienię się w lodową figurę — pomyślał. Podpierając się na pięńku, wstał i dla pobudzenia krążenia przez chwilę potupał nogami w miejscu. Może nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Mam nadzieję, że ten gwałtowny przypływ energii Bramy nie oznaczał, że ktoś mnie szuka. I bez tego czuję się jak dureń.

Zarzucił na ramię swój tłumok i spróbował ustalić swe położenie.

Spróbujmy jeszcze raz. Skoncentrować się... uziemić... otworzyć się na przepływ energii... a jeśli się dowiem, że Tańczący Księżyc maczał w tym palce, to...

W głowie znów odezwał się ból. Vanyel zachwiał się i niemal upadł, ale tym razem wstrząs spowodowany napływem energii przyniósł wyraźne, choć nieme, rozpaczliwe wołanie o pomoc. Vanyel ocknął się, jak obłany kubłem zimnej wody.

Nie czuł, od kogo pochodzi to wołanie, nie tak, jak czuli to posiadający dary mieszkańcy Tayledras. Wiedział tylko, że jest to krzyk pełen trwogi i miał całkowitą pewność, że nie woła na pewno herold czy mag. Mógł to być tylko zwyczajny człowiek zdjęty śmiertelnym strachem.

Bogowie! Przekręcił głowę w kierunku źródła tego wrzasku, jakby przyciągał ją tam jakiś magnes. A potem, mimowolnie, nie wiedząc nawet, co go do tego popycha — poza tym, że musi odpowiedzieć na wołanie o pomoc — Vanyel ruszył chwiejnym krokiem tam, skąd zdawał się dochodzić krzyk.

Najpierw posuwał się po śladach zwierząt, teraz jednak oddalił się od jakiegokolwiek ścieżki czy szlaku. Wszedł prosto na gęstwinę krzaków i nie mógł znaleźć sposobu, aby je obejść. Nieustające wołanie dźwięczące w głowie doprowadzało go niemal do obłądzenia, ale wiedziony jego siłą szybko przedarł się przez krzaki i nagle znalazł się w lesie bukowym. Przestrzeni między białymi, prostymi kolumnami drzew nie porastała tutaj żadna roślinność, nie było krzewów ani pnączy, i Vanyel mógł przyspieszyć kroku; szedł coraz szybciej i szybciej, aż w końcu puścił się przed siebie szalonym pędem.

Wkrótce jednak buczyna zamieniła się znów w gęsty las porośnięty bujnym podszyciem z płaczącymi się wokół nóg pędami dzikiej róży. Wnet teren zaczął falować, wreszcie stał się wyraźnie pagórkowaty. Vanyel gonił już ostatkiem sił,

w płucach czuł kłujący ból. Płaszcz zaczepiał się o gałęzie krzewów, wstrzymując jego bieg. Potknął się, zatoczył na pień drzewa i ledwie zdołał odzyskać równowagę, potknął się jeszcze raz i padł plackiem prosto na śnieg. Przez chwilę nie mógł złapać tchu, ale alarmujący głos dźwięczący w jego głowie nie pozwolił mu się poddać. Dźwignął się znowu, zerwał płaszcz z krzaka jeżyny i pobiegł dalej.

Jeszcze wiele razy potykał się o najróżniejsze przeszkody ukryte pod pokrywą śniegu. Robił przy tym wystarczająco dużo hałasu, aby ostrzec o swej obecności wszelkie nie pozbawione słuchu stworzenia w okolicy.

Nie pozbawione słuchu — albo nie zajęte czym innym.

Zdyszany, brnął na oślep niezdolny do ogarnięcia wzrokiem przestrzeni większej niż kilkudziesięciocentymetrowy skrawek ziemi przed nim. Dokładnie w chwili, gdy wdrapał się właśnie na szczyt kolejnego pagórka, zawadził stopą o korzeń i wylądował w gąszczu krzewów.

Nim zdołał się podnieść i przedrzeć przez ich ochronną zasłonę, jego oczy przyciągnął potworny widok. Vanyel zmartwił. To, co zobaczył, było zbyt zajęte swą ofiarą, aby trzaski i szmery wywoływane przez chłopca zdołały odwrócić jego uwagę. Wydawało się, że nawet cały oddział kawalerii mógłby przelecieć obok, nie zakłócając spokoju potwora.

Vanyel znalazł się właśnie na skraju ziem jakiegoś drobnego dzierżawcy, w żywej dolinie rzeki, dobrze nawodnionej, osłoniętej przed najsilniejszymi śnieżycami w zimie a burzami latem. Nic dziwnego, że grunty orne takie jak te bez trudu przyciągnęły tutaj przedsiębiorczego gospodarza, który zdecydował się stawić czoło niebezpieczeństwu grożącym mu w Pelagris. Dla ochrony przed najróżniejszymi zagrożeniami tutejszy dom i zabudowania gospodarskie otoczono specjalną palisadą z grubych drzew wysadzonych pierścieniem wokół zagrody.

Teraz jednak po owej palisadzie pozostało tylko zwałisko wyrwanych z korzeniami pni. Dla tego, co nawiedziło mieszkańców gospodarstwa w ten zimowy poranek, taka bariera nie stanowiła żadnej przeszkody.

Vanyel nigdy przedtem nie widział zimnokrwistej bestii, lecz z opisów przekazywanych w pieśniach i baśniach, wiedział doskonale co to za monstrum.

Stwór przypominający trochę jaszczurkę, a jeszcze bardziej węża na krótkich krępych nogach, był z pewnością największą żywą istotą, jaką kiedykolwiek ujrzaly oczy Vanyela. Gdyby zmierzyć długość monstrum od nozdrzy po koniec ogona, okazałoby się, że to dokładnie tyle co sześć wozów ustawionych jeden za drugim. Jego końska głowa rozmiarów beczułki od wina osadzona była na szyi otoczonej srebrzystymi, zastrzonymi jak igły kolcami, które wyrastały też na jego głowie, a dalej ciągnęły się rzędem wzdłuż grzbietu, aż po ogon. Potwór warczał z cicha, ukazując białe, spiczaste niczym sopte lodu kły, długości ręki Vanyela. Jego groźnie zakrzywione pazury ryły ziemię. Vanyel dobrze znał ich ostre krawędzie, gdyż Tańczący Księżyc miał nóż zrobiony z jednego z nich. Każdy taki pazur przewyższał długością ramię mężczyzny i był jeszcze groźniejszy niż

zęby potwora. Ogromne oczy o barwie głębokiej purpury, niczym dwa idealnie oszlifowane ametysty, nie odrywały się od ofiary, młodej kobiety i dwojga małych dzieci. Całe zwierzę okrywała srebrnobiała skóra, nieskazitelna niczym najczystszy śnieg, kolce połyskiwały w słońcu. Stwór był równie piękny, jak krwiożerczy.

Widok rozszarpanego ciała u jego stóp, nie pozwalał wątpić, że bestia doskonale wie, jak zrobić użytek ze swych pazurów i zębów.

Ale to nie kły ani ogon utrzymywały przerażoną kobietę i jej dwoje dzieci w stanie paraliżującego odrętwienia. To główna broń potwora — hipnotyczna moc jego wzroku — pozbawiała jego ofiary możliwości obrony.

Chcąc doprowadzić swą ofiarę do całkowitego posłuszeństwa, stwór trwał w bezruchu, świdrując kobietę swymi przerażającymi oczami. Odgłos jej ciężkiego od strachu oddechu dochodził pośród ogólnej ciszy nawet do uszu Vanyela.

Odkąd po raz pierwszy krzyk kobiety przeszył jego umysł niczym sztylet, Vanyel nie otoczył się osłoną. Dlatego cały czas odbierał jej myśli — nieskładne, histeryczne, rozpaczliwe. Wciąż jej dusza zawodziła przeraźliwie, usiłując wyrwać się z potrzasku spojrzenia fioletowych oczu bestii. Ale ona sama i jej dzieci znajdowali się już w pułapce, pozbawieni woli. Ich ciała już nie im były posłuszne.

Tak umarł jej mąż, ojciec dzieci, oddając się w łapy potwora kierowany nie swoją, a jego wolą. Ale najstraszniejsze było to, że bestia poruszała się dość leniwie i gdyby tylko jej ofiarom udało się jakoś odwrócić jej uwagę na dłuższą chwilę, mogliby z łatwością uciec.

Teraz dobiegały Vanyela także myśli innych ludzi, chyba kilku tuzinów członków rodziny, którzy schronili się między drzewami po drugiej stronie polany. Tylko tym czworo — kobiecie z dwojgiem dzieci na rękach i mężczyźnie, który chciał ich obronić — nie udało się umknąć flegmatycznej bestii. Vanyel odczuwał trwogę tamtych ludzi tak samo jak nieustanne zawodzenie zdjętej śmiertelnym strachem kobiety.

Wbił nieruchomy wzrok w całą trójkę. Był sparaliżowany niemal tak samo jak oni. Łomoczące serce rozsadzało mu pierś, gardło ścisnęło przerażenie. Wydawać by się mogło, że i jego zahipnotyzowały fioletowe oczy stwora.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Nie wszyscy uciekli do lasu. Zza stodoły wyszedł człowiek. Kuśtykał powoli, widać było, że cierpi, ale posuwał się tak bezgłośnie, że nawet śnieg nie skrzyphiał pod jego butami. Podchodził zwierza od tyłu. W głowie Vanyela zabrzmiały strzępy jego myśli, pozwalając mu zorientować się, do czego zmierza mężczyzna.

— ... *podejść jak najbliżej i dźgnąć go...*

Był to stary, sterany człowiek, dziadek kobiety z dziećmi. Atak stwora zaskoczył go w stodole; widział na własne oczy, jak mąż jego wnuczki sam wszedł do paszczy bestii. Z miejsca rozpoznał, co to za zwierzę, i uzbroił się w jedyny oręż, jaki był mu dostępny — widły. Ale przeciwko zimnokrwistemu potworowi była

to broń wręcz śmieszna.

— ... żeby tylko odwrócił od nich wzrok, a ona będzie mogła uciec...

Potwór nie zważał na nic, poza swą zdobyczą. Starzec zdołał zająć go od tyłu, a stwór nie zdawał sobie z tego sprawy.

Mężczyzna miał świadomość, że czeka go śmierć. Wiedział, że atakując bestię nie zdoła nic więcej poza wprawieniem jej we wściekłość. Ale tym samym rozproszy uwagę stwora, który odwróci swój łeb na jedną krótką, jakże cenną chwilę.

Był to atak samobójczy, mógł jednak przynieść kobiecie i dzieciom szansę na ocalenie.

Staruszek zbliżył się do potwora na odległość ramienia, uniósł widły, jak gdyby miał zamiar nadzieć na nie kupę siana, i pchnął, zatapiając ich zęby w boku stwora z dźwiękiem podobnym do odgłosu noża zagłębiającego się w drewnie aż po rękojeść.

Z gardła bestii dobył się wrzask, od którego Vanyelowi prawie popękały bębni w uszach. Łeb stwora okręcił się na jego długiej, węzowatej szyi, a jego wzrok spoczął na mężczyźnie, zanim ten zdążył puścić widły. Niemal w tej samej chwili las napełnił się echem kłapanięcia wielkiej szczęki odgryzającej głowę starca.

Vanyel wrzasnął, czuł w sobie agonię mężczyzny. Desperacka odwaga staruszka zaś stała się dla niego wewnętrznym bodźcem, którego nie mógł zignorować.

Gniew, strach i inne emocje, których nie był nawet w stanie nazwać, podebrały go na równe nogi, wyciągnęły z krzaków na otwartą przestrzeń i wybuchły z siłą, przy której reakcja na to, co uczynił Gwiezdny Wichur chcąc zmusić go do wezwania pioruna, była niczym.

W ogólnym zamęcie Vanyel pomyślał tylko, aby jednym krótkim zaklęciem otoczyć osłoną kobietę i dzieci. Zaraz potem zaatakował bestię, porażając ją całą siłą, jaką zdołał zebrać w sobie. Podmucha niewyobrażalnej mocy ugodził potwora w bok, wyrzucił go w powietrze, wysoko ponad dachy zabudowań, by tam zawiesić jego wielkie cielsko na jeden przeraźliwy moment, gdy Vanyelowi zdało się, że wnętrzości rozrywają mu ciało.

W końcu jego energia wyczerpała się, a stwór spadł na ziemię, gruchocząc wszystkie kości i krwawiąc z setki ran.

Vanyel osunął się na kolana, pochylił ciało do przodu opierając się na rękach, wreszcie padł na ziemię. Był zupełnie wycieńczony. Leżał na polanie pod bladym zimowym słońcem, usiłując złapać oddech i zastanawiając się, co właściwie zrobił.

Savil zlustrowała ostatnie z martwych ciał zimnokrwistych bestii, spojrzała na Gwiezdnego Wichra i zaniepokojona zagryzła wargi.

— A gdzie jest królowa?

— Nie ma tu po niej ani śladu — odparł krótko Gwiazdny Wicher, utrzymując się na nogach już tylko siłą woli. Wziął na siebie cały impet uderzenia, a teraz kręciło mu się w głowie. Był już osłabiony wysiłkami w celu utrzymania koncentracji. Tymczasem Savil i Tańczący Księżyc zamykali szczęki pułapki wokół gniazda potworów.

— Ja też jej nie widziałem — zawołał Tańczący Księżyc stojący u stóp wzgórza. Sprawdzał każde martwe cielsko. Któreś z nich mogło okazać się niedojrzałą królową. Istnienie gniazda z niedojrzałą królową nie było wprawdzie zbyt prawdopodobne, ale słyszano już o wypadkach napotykania takowych.

Ponieważ dotarcie na miejsce zanim jeszcze stado zbliży się do osiedli ludzkich było podstawowym warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia, Yfandes zgodziła się ponieść na swym grzbiecie obydwóch k'Trevów. Później zaś, gdy Tańczący Księżyc na Yfandes i Savil na Kellan zamykali pułapkę, Gwiazdny Wicher poszedł pieszo jako przynęta.

— Nie ma królowej — rzekł Tańczący Księżyc, zbadawszy ostatnie ciało.

Podmuch mocy wyzwolonej podczas walki ogołocił szczyt wzgórza ze śniegu, odkrywając poczerńiałe zbocza.

Sześć powykręcanych ciał potworów leżało na wypalanej ziemi, tworząc srebrzyste hałdki niby ozdoby ponaszywane na czarny aksamit szaty jakiejś olbrzymki.

— *Ashke*, dobrze się czujesz? — zapytał Tańczący Księżyc z niepokojem i porzuciwszy martwe cielska, zaczął pośpiesznie wspinać się na pagórek. Gwiazdny Wicher wyglądał, jak gdyby nogi miały mu lada chwila odmówić posłuszeństwa. Yfandes zbliżyła się do niego, by mógł wesprzeć się na jej boku, a on, wdychając z wdzięcznością, skwapliwie skorzystał z jej uczynności.

— Poczuję się znacznie lepiej, jeśli będę mógł oddychać — odparł starszy k'Treva, gdy Tańczący Księżyc przyłączył się do pomocy Yfandes. — Coraz bardziej mnie niepokoi fakt, że nie odnaleźliśmy królowej.

— Myślisz... — zaczęła Savil.

W tej samej chwili całą trójkę uderzyła nieprawdopodobnie potężna fala obłądnej mocy, za którą wyraźnie wyczuli „obecność” Vanyela.

— Panie?

Ktoś szarpał go za ramię. Vanyel uniósł głowę, ale okazało się, że w tej chwili nie ma siły, aby zdobyć się na coś więcej.

— Bogowie — jęknął oszołomiony, gdy otulona płaszczem kobieta kuczająca u jego boku, usiłowała pomóc mu wstać. — Och, proszę... jeszcze nie.

— Panie, czy coś wam się stało? — zapytała nieznajoma, marszcząc zatroskane czoło. — Nic wam nie będzie, tylko schrońcie się do środka, zanim przyjdzie

następny potwór.

— Nie ma... już więcej — wyjęczał i poddając się naleganiom kobiety, dźwignął się do pozycji siedzącej. Słońce zdawało się świecić teraz jaśniej niż przedtem, porażając wilgotne oczy Vanyela.

Bogowie, to jedna z gospodyń. Gotowa zaraz mnie zbesztać, że nie pojawiłem się wcześniej — myślał, spoglądając na nią i gotując się na przyjęcie wyzwisk. Na pewno będzie chciała wiedzieć, dlaczego nie uratowałem tego staruszka albo nie przyszedłem na czas, aby ocalić młodego mężczyznę. Co ja jej powiem? Jakże miałbym jej wytłumaczyć, że sam zneruchomiałem z przerażenia i nie byłem w stanie wykonać najmniejszego gestu, aż do czasu, gdy staruszek rzucił się na potwora?

— Panie, uratowaliście nas — powiedziała kobieta, rozszerzając swe brązowe oczy. Nawet udreńczone uszy Vanyela zdołały wychwycić pełen uniżoności ton, jakim się doń zwracała. — Przybyliście, aby nas ocalić. Nie mam pojęcia, skąd wiedzieliście, co się tu dzieje, ale wprost nie wiemy, jak wam dziękować, panie.

Vanyel popatrzył na nią zdumiony.

— Ależ...

— Czy wy jesteście od tych panów-ptaków? Nie jesteście do nich podobni, a to jedyni magowie w okolicy, którzy troszczą się o dobro ludzi.

— Panowie-ptaki? — powtórzył Vanyel niemądrze.

— Och, daj spokój, Menfri, to jeszcze chłopiec, w dodatku jest zupełnie wyczerpany! — Drugą nieznaną była stara kobieta o pomarszczonym i wysuszonym, ale dobrotliwym obliczu. Przytrzymując płaszcz na ramionach, pochyliła się nad Vanyelem. — No, chłopcze, wejdiesz do środka, ogrzejesz się, odpoczniesz i opowiesz nam swoją historię, dobrze?

Wzięła Vanyela pod rękę, a ten z konieczności, aby nie pociągnąć jej na ziemię, musiał wstać. Po chwili już prowadziła go przez bruzdy zaoranego pola, obok martwego cielska bestii (Vanyel wzdygnął się, widząc z bliska, jak wielkie było to monstrum) na ganek domu, a w końcu do ocienionych drzwi.

Vanyel był nie tylko oszołomiony z wycieńczenia, ale również czuł się trochę niezręcznie, jakby nie na miejscu. Znalazł się wszakże pomiędzy prostymi ludźmi, których tak bardzo starał się unikać w Forst Reach, wśród owych tajemniczych, nieprzeniknionych wieśniaków, których potrzeb i sposobu myślenia nigdy nie pojmował.

Był pewny, że za moment napadną na niego i zwymyślają za to, że nie było go tam, gdzie oni potrzebowali pomocy.

Tymczasem wcale się nie zanosilo, aby rzeczywiście mieli zamiar to zrobić. Staruszka posadziła go na stołku przy ogromnym palenisku pośrodku kuchni, młodsza z kobiet przyniosła jego tłumok i płaszcz, a jakiś chłopiec podał mu kubek posłodzonej herbaty. Gdy jeden z brodatych, odzianych na czarno mężczyzn zaczął zadawać mu pytania, staruszka natychmiast przegoniła go i zdjąwszy

płaszcz, rzuciła go na ławę.

— Zostaw chłopca w spokoju, Magnus. Widziałam już jedną taką panią-pta-ka. Odprawiają swoje czary, a potem przez jakiś czas nie mogą dojść do siebie i bredzą od rzeczy. — Poklepała Vanyela po głowie, jak gdyby miała wyłączność na zbliżanie się do niego. — Powiada, że nie ma już więcej stworów, więc lepiej zajmij się biednym starym Kernem i mężem Tansy, a temu chłopakowi pozwól dojść do ładu z samym sobą.

Vanyel skulił się na taborecie i mrużąc oczy w półmroku kuchni, obserwował ludzi krzątających się dookoła. Jakże łatwo powracali po tym wszystkim do normalnego życia. Ktoś poszedł zająć się ciałami zmarłych, kto inny zaopiekował się lamentującą matką, a jeszcze kto inny zabrał się do planowania obrzędów związanych z pogrzebem. Oczywiście wszyscy byli pogrążeni w żałobie po zmarłych, na swój prosty, szczerzy sposób, ale nie było w tym nic z dobrze znanych Vanyelowi lamentów i załamywania rąk. Nie pozwalali, aby żal przeszkodził im w powrocie do normalnego życia i w odbudowie palisady wokół gospodarstwa. Ich nieskomplikowana dzielność sprawiała, że Vanyel poczuł się odrobinę zawstydzony.

W takim właśnie refleksyjnym nastroju zastali go inni.

— ... wiem, że zachowałem się lekkomyślnie, uciekając w ten sposób, ale...
— Vanyel wzruszył ramionami. — Nie będę się usprawiedliwiał. Zrobiłem ostatnio dużo niemądrych rzeczy. Po prostu nie zastanowiłem się nad niczym jak należało.

— Cóż, nie bądź wobec siebie taki surowy. Wróżebne sny mają to do siebie, że różnie wpływają na ludzi — rzekła Savił, zakładając nogę na nogę i przyjmując wygodną pozycję na swym stołku przy palenisku. — Doprowadzają do tego, że krew zaczyna się w człowieku burzyć, odbierając mu zdolność rozsądnego rozumowania. Nie byłeś pierwszym, który próbował uciec od takiego snu, rzucając się na oślep przed siebie i najprawdopodobniej nie będziesz ostatnim. — Nie, dziękuję ci, Megan — powiedziała do dziecka, które zaproponowało jej herbatę. — Niczego nam nie trzeba.

Osadnicy odnosili się z wielkim respektem do Vanyela, ale pojawienie się mieszkańców Tayledras odebrało im niemal mowę. Herolda nie odróżniliby wprawdzie od brzozy, ale doskonale wiedzieli, kim są Sokoli Bracia, i usługiwali im z honorami należnymi koronowanym głowom.

Wszyscy trzej przybysze byli skrajnie wyczerpani, a uczucie ulgi na widok Vanyela całego i zdrowego oraz na wiadomość, że królowa jest bezspornie martwa, niemal ścięło ich z nóg. Dlatego też gościnność gospodarzy przyjmowali bez wahania i z ogromną wdzięcznością, sadowiac się wygodnie wokół paleniska i racząc się herbatą.

Vanyel poczekał, aż się wygodnie rozsiada i rozpoczął swe pełne skruchy wy-

znania.

— Więc gdy tylko odezwał się we mnie rozsądek — ciągnął — zdałem sobie sprawę, że najlepszym sposobem na odnalezienie drogi do domu będzie poszukanie największego w okolicy skupiska mocy magicznej. Zrobiłem wszystko tak, jak mnie uczyłeś, mistrzu Gwiazdny Wicherze, i otworzyłem się na przepływ energii... a potem, gdy się ocknąłem, było już prawie południe. Ktoś otworzył Bramę... gdzieś niedaleko... jej moc powaliła mnie na ziemię i straciłem przytomność.

— Ha, mówiłam ci, że te stwory przeniesiono tutaj przez Bramę! — wykrzyknęła Savil. — Przepraszam, chłopcze, nie chciałam ci przerywać. Co było dalej?

— Myślałem, że poza mieszkańcami Tayledras nie ma tutaj nikogo, kto mógłby posłużyć się zaklęciem Bramy. Spróbowałem otworzyć się na energię jeszcze raz, by odnaleźć dolinę, i usłyszałem wołanie o pomoc. Pobiegłem za nim, znalazłem się tutaj i zobaczyłem tę zimnokrwistą bestię... zobaczyłem, jak zabijała... tego starca... i po prostu nie mogłem stać z boku zupełnie beczynnym. Nawet się nie zastanawiałem, co robić, a lepiej byłoby, gdybym to zrobił. Coś mi się wydaje, że przedobrzyłem.

— Jeśli idzie o zimnokrwiste potwory, a szczególnie o królową, trudno przedobrzyć. Lepiej zrobić wszystko, aby można było mieć pewność, że nie żyje — odparła Savil, wymieniając z Gwiazdnym Wichrem spojrzenia pełne satysfakcji. — Może i postąpiłeś niemądrze, ale znalazłeś się dzięki temu we właściwym miejscu o właściwej porze i nie mam zamiaru cię za to ganić.

— Ciociu Savil. — Zarumienił się i skulił się w sobie. — Byłem tutaj zanim ten starzec wyszedł zza stodoły, i nie zrobiłem nic, aż do chwili, gdy on... to znaczy... po prostu kryłem się w krzakach. Obawiam się — powiedział ledwie dosłyszalnym głosem — obawiam się, że mój ojciec ma rację. Jestem tchórzem. Mogłem go uratować, a nie zrobiłem tego.

— Wiedziałaś, że możesz go uratować? — zapytał cicho Tańczący Księżyc. Jego twarz była jak z kamienia. — Wiedziałaś, że twa magiczna siła da radę zimnokrwistej bestii?

— No... nie.

— Pobiegłeś w kierunku zagrożenia, w chwili gdy usłyszałeś wołanie o pomoc, tak? — zapytała Savil. — Nie uciekałeś od niego?

— No... tak.

— I po prostu osłupiałeś z przerażenia na widok tego monstrum. Nie uciekałeś przecież? — Gwiazdny Wicher uniósł brwi.

— Zdaje się, że tak właśnie było.

— Wygląda na to, że brak doświadczenia poczytujesz sobie za tchórzostwo, Vanyelu — rzekł Gwiazdny Wicher z przekonaniem. — Tchórz uciekłby od wołania o pomoc. Tchórz wziąłby nogi za pas na sam widok potwora. Tobie trudno było podjąć decyzję, ale zostałeś. Doświadczenie uczy człowieka umiejętności

podejmowania decyzji, a ty masz go przecież niewiele.

— Mój panie, Gwiazdny Wicherze? — Jeden z odzianych w samodziałowe koszule mężczyzn stanął niepewnie u boku k'Trewy.

— Fellipie, wołałbym, abys nie nazywał mnie „panem” — westchnął Gwiazdny Wicher, potrząsając głową. — Mieszkasz na terytorium objętym naszą opieką, ale my tylko wymieniamy między sobą towary, pożywienie na opiekę, na tym właśnie polega nasz związek i na niczym innym.

— Dobrze, m... Mistrzu Gwiazdny Wicherze. Mistrzu, ten potwór... przyszedł tu przez przypadek, czy kryje się za tym, coś więcej?

Gwiazdny Wicher przyjrzał mu się z większą uwagą.

— Dlaczego o to pytasz?

Fellip zakasłał i poczerwieniał.

— Cóż, mój panie, urodziłem się i wychowałem na zachód stąd. Moja rodzina uprawiała ziemię maga lorda Grenvisa... on nie był zły, ale... jego sąsiedzi lubili bawić się w wojnę i często napuszczali na niego zimnokrwiste bestie albo inne potwory.

— I myślisz, że teraz też doszło do czegoś takiego? Fellipie, muszę ci więc pogratulować twojej przenikliwości. Właśnie to samo i mi przyszło do głowy...

— Tatko? — Jeden z chłopców nie wytrzymał i podskoczył do ojca. — Tatko, będzie wojna? Z bitwami i magią i...

Fellip złapał chłopca za luźną koszulinę i przyciągnął go do siebie.

— Jo... chcę, żebyś uważnie wysłuchał tego, co powie nasz pan, Gwiazdny Wicher. Panie, powiedzcie mu, on nie chce wierzyć, że z wojen nie ma nic dobrego, tylko nowe groby na cmentarzach.

— Młody człowieku — zaczął Gwiazdny Wicher, patrząc na chłopca ze szczerym przejęciem. — Nie ma nic pięknego w wojowaniu. Nie ma nic wspaniałego w bitwach. Dla takich jak ty i ja wojna to niebezpieczeństwo, że zginie ktoś, kogo kochamy, i to w okrutnych okolicznościach. Inni wrócą z niej kalecy na całe życie, a głupcy, którzy ją rozpętali, rozsiada się w fotelach w swych zamkach i zaczynają obmyślać sposoby na odzyskanie tego, co w niej utracili. Gdyby miało dojść do wojny — a uwierz mi, Fellipie, że uczynię wszystko, aby do niej nie dopuścić — to w najlepszym wypadku, młody człowieku, wszystko, co wyrośnie na tych polach, pójdzie z dymem, a wówczas będzie was czekał głód w zimie. Takie właśnie są skutki wojny. Jedynie walkę w obronie własnej można usprawiedliwić, a w każdej wojnie najwięcej cierpią ludzie niewinni.

Chłopiec wciąż zdawał się być nie do końca przekonany.

Vanyel chrząknął, a mały zwrócił oczy na jego twarz.

— Niezłe to wyglądało, gdy potwór odgryzł głowę temu głupiemu staruszkowi, co, Gwiazdny Wicherze? — powiedział Vanyel zaciągając, tonem naśladowującym sposób mówienia dworskich lekkoduchów ze stolicy.

Chłopiec zbladł, potem oblał się rumieńcem, ale nim zdążył wybuchnąć płaczem albo wpaść w złość, Vanyel zajął mu w oczy z taką srogością, że mały nie śmiał uniknąć jego wzroku.

— Właśnie takie rzeczy zdarzają się podczas wojny, Jo — powiedział szorstko. — W wojnie nie giną postaci z bajek, tylko twoja rodzina, młodzi, starzy — wszyscy. A głupcy, którzy nie biorą w niej udziału, rozgłaszają, jaka to ekscytująca rzecz. Taka jest prawda o wojnie.

Teraz Jo był poruszony, a może nawet przekonany. Kątem oka Vanyel dostrzegł potakujące skinienie gospodarza.

Ni stąd, ni zowąd Vanyel poczuł w sobie przyływ serdeczności dla tych ludzi. Raptem przestali być pozbawionymi twarzy, nieprzeniknionymi kamiennymi figurami, a stali się ludźmi. Ludźmi, którzy w jakiś sposób są do niego bardziej podobni niż jego krewni. Żyli swoim życiem... swymi miłościami i troskami.

Ich poglądy na wojnę z pewnością bardziej zbliżyły Vanyela do nich niż do któregośkolwiek z członków jego własnej rodziny.

Nie różnią się wiele ode mnie — pomyślał. Z wyjątkiem tego... że ja mogę robić coś, czego oni nie potrafią. Mogę... mogę ich ochraniać, gdy oni sami nie są w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa. Oni zaś potrafią robić rzeczy, na których ja się nie znam. Ale ja mógłbym nauczyć się, jak wyhodować marchew, gdyby coś mnie do tego zmusiło. Pewnie nie byłaby to zbyt dobra marchew, ale mógłbym ją wyhodować. Oni jednak nigdy nie będą w stanie powalić zimnokrwistej bestii. Ale co to właściwie znaczy? Jaki to ma wpływ na moje życie? Dlaczego właśnie ja, a nie kto inny, mogę robić te wszystkie rzeczy? A co z ludźmi, którzy zsyłają zimnokrwiste potwory, aby zjadały bezbronnych gospodarzy? Jeśli ja posiadam moc, dzięki której mogę ochronić tych ludzi przed tamtymi złymi ludźmi, to czyż nie oznacza to, że tym właśnie powinienem się zająć?

Podniósł wzrok na swoją ciotkę, która obserwowała dzieci krzątające się wokół zajęć domowych, sprzątające albo krojące warzywa na gulasz. Na jej twarzy malowały się jednocześnie troska i niepokój.

To właśnie czuje Savil, na pewno. Dlatego jest heroldem. Raptem przypomniały mu się słowa Tylendela. Usłyszał je tak wyraźnie, że przez moment wydawało mu się, jak gdyby Tylendel siedział obok i szeptał mu je wprost do ucha:

„... to rodzaj wewnętrznej potrzeby. Nie jestem w stanie się jej sprzeciwić. Posiadam te umiejętności, te dary, i nie mogę nie robić z nich użytku. Nie mógłbym, na przykład, siedzieć tutaj beczynnym, mając świadomość, że gdzieś są ludzie, którzy potrzebują pomocy dokładnie takiej, jakiej ja mogę im udzielić. Musiałbym pospieszyć im na ratunek.

Teraz wreszcie słowa te nabrały sensu. O ironio! Teraz dopiero Vanyel zrozumiał tę stronę natury Tylendela, której nigdy przedtem nie mógł pojąć. Teraz wszystko stało się oczywiste. Dopiero teraz, gdy Tylendel odszedł... wszystko stało się jasne.

Och, bogowie... Vanyel zacisnął powieki, powstrzymując łzy.
O tak... teraz rozumiał. Teraz sam czuł to samo.
Za późno jednak, aby mogli się tym wspólnie cieszyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I cóż ty na to? — Gdy Savil porozumiała się z Gwiazdym Wichrem myślowo, wszyscy obecni w kuchni byli pewni, że pogrążyła się już w głębokim śnie. Tak naprawdę jednak, mimo ogromnego zmęczenia, wcale nie czuła się senna i czekając na okazję rozmówienia się z przyjacielem, spod na wpół przymkniętych powiek obserwowała ogień na palenisku.

— *Interesujące z wielu powodów* — odparł Gwiazdny Wicher. Leżał teraz na plecach z rękami założonymi pod głowę i zamkniętymi oczami.

Mieszkańcy osady zaferowali przybyszom nieograniczoną gościnność. Jeszcze przed wieczorem Savil dowiedziała się, że nazywają swe ziemie Małym Fortem i że w ich osadzie mieszka siedem daleko ze sobą spokrewnionych rodzin. Wszyscy czterej przybysze byli wyczerpani do cna, a gdy po herbacie i odpoczynku nie odzyskali sił, postanowili skorzystać z gościnności gospodarzy. Mimo to odmówili położenia się do łóżek, gdyż wtedy niektórzy z tutejszych mieszkańców musieliby spać na podłodze. Tak więc po obiedzie składającym się z chleba i gulaszu, dali wszystkim do zrozumienia, że mają zamiar odpocząć przy palenisku i opatuleni w swe płaszcze skulili się na workach wypchanych sianem ułożonych na kamiennej posadzce.

Vanyel rzeczywiście zaraz zasnął, ale co do Tańczącego Księżyca Savil nie miała pewności. Leżąc na boku, z twarzą zwróconą do ognia, zdawał się spokojny i pogodny niczym dziecko.

Właściwie wszystko przemawiało za tym, że Tańczący Księżyc naprawdę śpi. Kilkoro mieszkańców osady odniosło drobne obrażenia podczas ataku potwora i ucieczki do lasu, toteż Tańczący Księżyc miał po przybyciu na miejsce pełne ręce roboty, zajmując się uzdrawianiem. Później zaś sam mianował się magicznym asystentem przy odbudowie palisady otaczającej zabudowania i unosząc powalone drzewa za pomocą zaklęć, oszczędził gospodarzom wiele trudu i zachodu. Były to wystarczające powody, aby opadł z sił.

Tak przynajmniej wydawało się Savil, nim usłyszała jego myślową.

— *Czy mogą się włączyć do rozmowy? Bo chyba rozmawiacie, prawda?*

— *Proszę bardzo, ale utrzymuj się w trybie osobistym* — odparła Savil. — *Rozmawiamy między innymi o chłopcu. Gwiazdny Wicherze, mów dalej.*

— *Zacznijmy od drobnostek, by później przejść do spraw ważkich. Sądzę, że możesz chyba przestać się martwić o chłopca. Wydaje mi się, że poczuł już potrzebę, o której mówiłaś kiedyś, i zrozumiał wiele. Pozostaje jednak pytanie, czy chłopiec zdoła przewyciężyć swe obawy.*

— *Zastanawiałam się już nad tym. Dziś wieczór jego twarz przybrała bardzo osobliwy wyraz, a poza tym, nigdy nie widziałam, aby z taką serdecznością odnosił się do prostych ludzi.* — *Otworzyła szeroko oczy i wbiła nie widzący wzrok w rozpalone polana.* — *Biedny Van. Jeśli ten jego sen jest rzeczywiście wróżebny... to życie z brzemieniem świadomości nadejścia takiego końca może stać się męczarnią.*

— *Ale to wcale nie musi się spełnić* — przypomniał Tańczący Księżyc, unosząc się na swym sienniku. — *Przecież zawsze widzimy to, co wydaje się najbardziej prawdopodobne w tym konkretnym momencie, a czas płynie i każdy następny moment, niosąc z sobą nową rzeczywistość, wszystko może odmienić. Zmieniłbym temat. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Te zimnokrwiste bestie zostały tutaj sprowadzone przez Bramę. To oznacza...*

— *...nadejście poważnych kłopotów* — dodał posępnie Gwiazdny Wicher. — *W tej chwili nie mam wątpliwości, że stwory zostały przysłane tutaj po to, aby udreńczy okolicznych mieszkańców i przygotować te ziemie na najazd armii.* — *Ogień strzelił wesoło w palenisku.* — *To coś więcej niżli zwykłe zakłócanie spokoju. Na zachód stąd znajdowała się wioska, którą opiekowali się k'Treva. Nie potrafią już jej odnaleźć, czuję, że otaczają obca osłona.*

— *Ktoś się tam rozpanoszył i objął panowanie nad nią, tak?* — zamyśliła się Savil. — *Co byście powiedzieli na to, abyśmy przygotowali małą niespodziankę dla tych, którzy przywieźli tutaj te zimnokrwiste stwory? Wątpię, aby się spodziewali tak szybkiej reakcji k'Trevow. Oczekują pewnie, że rozdzielenie stada zajmie nam przynajmniej tydzień.*

Gwiazdny Wicher był wyraźnie zmieszany.

— *Nie powiedziałbym, abyś była k'Trevą.*

— *A ja odpowiedziałabym, że jestem Skrzydlatą Siostrą, co sprawia, że jestem k'Trevą w takim samym stopniu jak Tańczący Księżyc. Jestem zdania, że trudno się spodziewać, aby działało na tym terenie aż dwóch magów. Najprawdopodobniej mamy tutaj do czynienia z tym samym czarownikiem, który działał z polecenia Leszarów z Valdemaru, a to oznaczałoby, że posługuje się on metodami, które ja znam najlepiej.*

Savil przekrzywiła głowę i napotkała przeciągłe, ironiczne spojrzenie Gwiazdnego Wichru.

— *A ja* — wtrącił Tańczący Księżyc — *powiedziałbym, że mój shay'kreth'ashke ma niewielkie szanse wygrać pojedynek woli z kobietą tak upartą jak Skrzydłata Siostra. Pozwolę sobie też zauważyć, że troje biegłych może zdziałać więcej niż dwóch.*

Gwiazdny Wicher westchnął.

— *Obawiam się, że zostałem pokonany w pierwszym starciu. A co zrobimy z chłopcem? Nie możemy go tu zostawić, a nie chciałbym tracić czasu na odwożenie go z powrotem do wąwozu. To odebrałoby nam możliwość zaskoczenia najeźdźców.*

— *Jego pomoc może okazać się przydatna* — odezwał się niespodziewanie Tańczący Księżyc. — *Pokonał wszakże królową.*

— *Wydaje mi się, że możemy go zabrać* — zgodziła się Savil, choć ton jej myśli zdradzał, że jest pełna obaw. — *Z pewnością można liczyć na Yfandes, która będzie go trzymać z dala od niebezpieczeństwa.*

— *Nie jestem pewny, czy dobrze robimy, ale muszę się z wami zgodzić* — odparł z niechęcią Gwiazdny Wicher. — *To wielkie ryzyko zabierać ze sobą kogoś, kto nie miał okazji się sprawdzić, a w dodatku dopiero co stanął na nogi po ciężkich przeżyciach.*

— *Wiem* — rzekła Savil, patrząc ze zgrozą na polana w palenisku; nazbyt przypominały miasto stojące w płomieniach. — *Naprawdę, wiem.*

Przez cały dzień równo prószył śnieg. Powietrze zdawało się nieomal ciepłe. Towarzysze posuwały się pośród śniegowych płatków niczym białe duchy. Każdy z nich niósł na grzbiecie dwie osoby. Na białych koniach jechali biali jeźdźcy, z wyjątkiem jednego, który odziany w szaroczarny strój wyglądał niczym cień ducha.

— *Wszyscy wyglądacie jak heroldowie* — odezwał się Vanyel, siedzący na poduszce za siodłem Tańczącego Księżycy. — *Wszyscy, poza mną.*

— *Jak to?* — zdziwił się Tańczący Księżyc, lekko zaskoczony.

— *To przez te wasze białe stroje* — wyjaśniła Savil, gdy Kellan zwolniła troszkę. — *Heroldowie na służbie zawsze noszą białe uniformy.*

— *Aha... a mieszkańcy Tayledras zawsze noszą barwy, które dobrze maskują się wśród koron drzew. W zimie białe, w lecie oczywiście zielone.* — Uwolniwszy ręce od cugli, które przełożył przez specjalne oczka w łuku siodła, Tańczący Księżyc starannie zaplatał sobie warkocz, Vanyel zaś, choć nie przepadał za jazdą na poduszce, był zadowolony, że jedzie z Tańczącym Księżycem. Tak jak przypuszczał, biegły przebaczył mu wszystko, nim przy pierwszej sposobności Vanyel zdążył go przeprosić. Teraz rozmawiali ze sobą tak, jak gdyby nieprzyjemny incydent nigdy nie miał miejsca. Tańczący Księżyc zachęcał nawet Vanyela do zadawania pytań i z przyjemnością na nie odpowiadał.

Przede wszystkim zajmowała ich sprawa darów Vanyela, który nie rozmawiał jeszcze z nikim na ten temat. Savil nie miała wielu okazji, aby wyjaśnić mu cokolwiek, a Gwiazdny Wicher przeszedł od razu do sedna sprawy, pokazał, jak posługiwać się nowymi zmysłami i oczekiwał od niego, że poradzi sobie z zada-

niem.

— A więc, na czym skończyliśmy? — zapytał Tańczący Księżyc.

— Na przewidywaniu. — Vanyel zadrżał. — Tańczący Księżycu, nie podoba mi się to. Nie chcę wiedzieć, co się stanie w przyszłości. Czy można jakoś zablokować tę umiejętność?

— Teraz, kiedy jest w pełni uaktywniona? O ile mi wiadomo, nie ma na to sposobu. Ale nie możesz pozwolić, aby cię to dręczyło, *ke'chara*. Zdarzenia, jakie pojawiają się w twoich snach, to nie jest nieodwołalna przyszłość, to przyszłość, jaka nadejdzie, jeśli nic się w twoim życiu nie zmieni. To są zdarzenia, których nadejście jest prawdopodobne teraz, dzisiaj. Ale wszystko może się zmienić. Ty możesz to zmienić.

— Mogę? — Vanyel ożywił się.

— Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale może to pociągać za sobą rozwiązanie przyjaźni lub miłości, której wcale nie chciałbyś się wyrzec. Może poczujesz, że taka więź jest warta ceny, jaką będziesz musiał zapłacić. — Odwrócił głowę i uśmiechnął się gorzko. — Gdybym się dowiedział, że mój związek z Gwiezdnym Wichrem jutro stanie się dla mnie wyrokiem śmierci, bez wahania poddałbym się przeznaczeniu. Jednakże na pewno nie powiedziałbym o niczym Gwiezdnemu Wichrowi. Zechciej się nad tym zastanowić.

Vanyel zadumał się nad słowami Tańczącego Księżycyca.

Powodem, dla którego właśnie Tańczący Księżyc, a nie on, siedział w siodle na Yfandes było to, że w razie gdyby zaskoczył ich atak, Vanyel miał ześlizgnąć się z poduszki i usunąć z pola walki.

Aczkolwiek rozwiązanie to było bardzo roztropne, Vanyelowi wydawało się ono dość upokarzające. W tej chwili jednakże nawet on musiał przyznać, że owa „roztropność” jest najważniejsza. Jeśli ich zaatakują, bez mrugnienia wykona wszystkie rozkazy. Spotkanie z zimnokrwistym potworem nauczyło go bardzo wiele.

— Co, *ke'chara*, nie masz już więcej pytań?

Vanyel potrząsnął głową.

— A więc ja mam jedno do ciebie. Gwiezdny Wicher wspominał, że wtedy, gdy bardzo się przestraszyłeś podczas ćwiczeń, zaczerpnąłeś energii z ogniska doliny. Czy to prawda?

— A co to jest ognisko doliny?

— Savil ci nie mówiła? — Tańczący Księżyc skrzywił się. — Ona nie ma za grosz ciepłości. Na pewno cały czas miałaś wrażenie, że wszystko wokół ciebie emanuje energią, prawda?

— Nawet skały...

— Ge'teva, jeśli czułeś i to, wówczas twój dar magii musi mieć naprawdę ogromną moc! Nawet ja mam pewne trudności z postrzeganiem tej energii. A więc

widziałeś, jak energia przepływa wiązkami wzdłuż pewnych linii, jak deszczówka do strumieni?

Przedtem Vanyel tego nie zauważał, ale gdy tylko zamknął oczy i przeniósł się w wyobraźni z powrotem w dolinę, szybko przekonał się, że Tańczący Księżyc ma rację.

— Nie wiem.

— I płynnie strumieniem do miejsca, gdzie spotyka inne.

Tak, o tym wiedział. Wiedział, że istnieje jakiś rodzaj... „węzła”, gdzie ogniskuje się cała moc. Powiedział o tym Tańczącemu Księżycowi.

— To właśnie ognisko. — Tańczący Księżyc skinął głową. — Mieszkańcy Tayledras potrafią kierować strumieniami energii i dzięki temu możemy uwalniać miejsca od magii pozostawionej przez wojny, przenosząc ją tam, gdzie jest przydatna. Na miejscach, gdzie spotykają się dwa lub trzy silne strumienie takiej energii, tworząc ogniska, budujemy nasze twierdze. Energia zebrana w takim ognisku ma to do siebie, że każdy z nas może z niej korzystać. Jednocześnie wiadomo nam, iż wielu magów z obcych krajów nie tylko nie jest w stanie wyczuć obecności strumieni, ale nie potrafi nawet odnaleźć takiego ogniska i zaczerpnąć z niego energii. Może tylko przybysze o mocy równej biegłym byliby do tego zdolni. Wydaje mi się, że mieszkańców Tayledras wyróżnia to, że z chwilą, kiedy nasze dary dają o sobie znać, rodzi się w nas umiejętność manipulowania energią wokół nas z taką łatwością, jak dziecko bawi się klockami. Kiedyś — dawno, dawno temu — mieszkańcy Tayledras często przyjmowali do swej wspólnoty przybyszów z innych krajów i powiadają, że owi przybysze zmieniali się tutaj tak samo jak ja. Sądzę, że kluczem do rozwiązania tej zagadki jest korzystanie z magii pod okiem urodzonych mieszkańców Tayledras. Spośród wszystkich obcych, jakich kiedykolwiek spotkaliśmy, tylko Skrzydlata Siostra dorównuje nam sprawnością w czerpaniu energii z ognisk. Ona ma bardzo silny dar. Podobnie zresztą jak ty.

Vanyel czuł się nieco zmieszany. Nie wiedział, do czego to wszystko zmierza.

— Ale co to znaczy?

— Jak na razie, doprowadziłeś się do skrajnego wycieńczenia w walce z zimnokrwistą bestią. Jeśli będziesz pamiętał o tym, że możesz czerpać energię ze wszystkich ognisk w zasięgu twych zmysłów, nie będzie ci się to zdarzało. Zacznij korzystać z własnej energii dopiero wówczas, gdy ogniska zostaną wyczerpane.

— *To właśnie cały czas ci powtarzałam* — niespodziewanie wtrąciła Yfandes.

Wszystko, co usłyszał, dostarczyło mu tematu do rozmyślań na następnych kilka miarek świecy.

Posuwali się teraz na zachód od Małego Fortu, a towarzyszyło im wschodzące właśnie słońce. Od początku podróży zatrzymywali się już trzy razy, aby wypytać o sytuację różnych znajomych Gwiezdnego Wichru. Pierwszym z nich był pewien myśliwy, który opowiedział im o plotkach na temat jakiegoś zdegenerowanego czarownika, na wpół człowieka, na wpół odmienca z Pelagris, który posiada po-

noć wielką moc i dąży do zdobycia niebywałej władzy. Później zatrzymali się, by porozmawiać z kyree, stworzeniem o ciele wilka i inteligencji człowieka, które zatrzymało ich, porozumiewając się z nimi myślomową. Kyree również ostrzegał ich przed czarownikiem, ale jego opowieść była czymś więcej niżli tylko relacją o plotkach. Kyree miał całkowitą pewność że czarownik w jak najkrótszym czasie ma zamiar stworzyć sobie królestwo i już przystąpił do zrealizowania tego przedsięwzięcia.

Trzecim przyjacielem, od którego mieli zamiar dowiedzieć się czegoś więcej, była jedna ze strażniczek granicznych k'Treva, nie pochodząca jednak z Tayledras, tervardi, przypominająca trochę nielotną kobietę-ptaka.

Niestety, okazało się, że nie ma jej już pośród żywych.

Gdy Gwiezdnemu Wichrowi nie udało się wezwać strażniczki w myślach, skierowali się do lasu, w którym znajdowało się jej *ekele*. Nie zastali tam śladów walki, ale odnaleźli delikatne, upierzone na białe włoki bez żadnego śladu na ciele, z łukiem o pękniętej cięciwie w dłoni strażniczki. Jej puste, błyszczące oczy pałały czymś, co Vanyel nazwał strachem.

Gwiezdny Wicher pozostał chwilę przy ciele, odprawiając jakieś łagodne zabiegi magiczne. Vanyel odczuwał, że coś niepokojącego dzieje się dookoła, choć wciąż nie potrafił zrozumieć, co to wszystko oznacza. Gwiezdny Wicher nie wyjaśnił mu, czego się dowiedział dzięki swym zaklęciom, ale chłopiec wnet zauważył, że cała trójka dorosłych bardzo sposepniała, a Tańczący Księżyc zabrał ze sobą łuk i strzały.

Jechali cały dzień, przemierzając kraj na przełaj z prędkością, jaką tylko Towarzysze potrafili rozwinąć, a gdy wreszcie zwolnili, dotarłszy do dość ruchliwej drogi, słońce chyliło się już ku zachodowi.

Gdy znajdowali się jeszcze pod osłoną drzew, Savil i Kellan zatrzymały się, a Yfandes — najciszej, jak tylko mogła — zrównała się z nimi. Obsypane śniegiem gałęzie ogromnych, wiecznie zielonych drzew, za którymi się skryli, czyniły ich niewidzialnymi dla ewentualnych podróżnych na drodze. Trakt wydawał się zupełnie opustoszały. Nie było na nim żadnych świeżych śladów, a wszystkie stare pokrywała już gruba warstwa miękkiego puchu. Jednakże cała droga ograniczona była po obu stronach drzewami iglastymi i za każdym z nich mogło się cziąć niebezpieczeństwo.

— Wioska Kovia leży kilkaset metrów stąd — wyszeptał Gwiezdny Wicher, gdy słońce dostojnie schowało się za horyzontem. — Jest na niej ciągle ta sama osłona i nie podoba mi się rodzaj mocy, jaki za nią wyczuwam. Wydaje mi się jednak, że sama moc nie jest w tej chwili obecna w wiosce.

— Ja też nie wyczuwam jej obecności — odparła Savil po chwili.

— *Spokój* — rzekła Yfandes do Vanyela.

— Yfandes mówi, że też niczego nie wyczuwa — powiedział głośno Vanyel.

— Mój plan polega na tym, aby wejść do wioski i przekonać się, czy rozpanoszyły się tam złe moce, i rozpytać ludzi, co sami wiedzą o swym położeniu. Później, Vanyelu, zostawimy ciebie w wiosce. Twoje umiejętności magiczne mogą stanowić dla nich jakąś ochronę, a oni mogą cię wesprzeć swą liczebnością, gdyby działo się coś złego.

— Ja... tak jest, Mistrzu Gwiazdny Wichrze — odparł Vanyel. Był niechętny takiemu rozwiązaniu, nie miał jednak wyboru. — A co z Yfandes?

— *Nie podoba mi się to, ale pójdę z nimi* — rzekła Yfandes. — *Jeśli będziesz mnie potrzebował, będę o tym wiedziała, oni zaś potrzebują drugiego wierzchowca.*

Vanyel ze smutkiem zrelacjonował słowa Yfandes, na co Gwiazdny Wichrze pokiwał głową.

— Myślę, że ona ma rację. Wierchem możemy przebyć dużo większą odległość. — Zlustrował spojrzeniem drogę, na której zapadał już wieczorny mrok. — Zdaje się, że już czas, abyśmy zobaczyli na własne oczy dzieło naszego wroga.

Vanyel zmagał się z uczuciem mdłości, po raz kolejny zresztą. Ledwie zbliżyli się do wioski, napotkali potworne ostrzeżenie czarownika, aby trzymać się od niej z dala. Wtedy to jego żołądek zbuntował się po raz pierwszy.

Od zachodu słońca minęło już trochę czasu, a nad głównym placem w wiosce zapanowała kompletna ciemność. Zgromadziła się teraz cała, licząca około siedemdziesięciu mieszkańców, ludność wioski. Wielu z obecnych przyniosło ze sobą pochodnie i kaganki oliwne. Oblegając zbitym tłumem czworo przybyszów i dwóch Towarzyszy, zdawali się niczym małe kurczaczki szukające schronienia pod skrzydłami kwoki, przy czym większą część ich uwagi przyciągali niewątpliwie Sokoli Bracia. Heroldów nie znano tutaj, toteż Savil nie wzbudzała w nich nadmiernego zaufania, a i chłopiec nie wydał im się godny uwagi.

Z niewielkiego przedsionka świątyni, który ledwie zdołał pomieścić czworo gości, uczyniono natychmiast prowizoryczne podium. Po obu jego stronach ustawiły się Towarzysze, by chronić przybyłych przed naporem cisnącej się ku nim ciżby. Nagle wokół Sokolich Braci zrobił się taki tłok, że Vanyel ucieszył się nawet, iż sam nie wzbudza szczególnego zainteresowania mieszkańców wioski. I tak słysząc historie opowiadane Gwiazdnemu Wichrowi, a czasem oglądając dowody okazywane przez niektórych ludzi, Vanyel z trudnością powstrzymywał torsje.

Kiedyś Kovia była przyjemną wioską, równie bezpieczną jak każde miejsce na terenie Pelagris. Ludzie z radością wychowywali tutaj dzieci i obchodzili swe święta.

Teraz jednak bezpieczeństwo rozwiało się, a spokojna osada straciła swój urok, zamieniając się w wioskę obłąaną.

Dwa tygodnie wcześniej zawitał do Kovii pewien nieznajomy. Dosiadał on czegoś, co z pewnością nie było koniem, a towarzyszył mu orszak odpychających stworów. Przybysz ów ogłosił, że wioska oraz jej mieszkańcy należą odtąd do niego i zabrał się do okradania tutejszych domostw ze wszystkiego, co uznał za przydatne. Po demonstracji jego potęgi pozostała hałda popiołu w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się karczma. Ludność wioski zdawała sobie sprawę, że stawianie oporu nie wyszłoby jej dobre, podjęto jednak pewne próby sprowadzenia pomocy. Niestety, nazajutrz rano wieśniacy znaleźli ciało swego posłańca wbite na pal na stosie pośrodku drogi wychodzącej z wioski. Zamarznięty trup nadal tam tkwił, a Towarzysze mijaly go, wchodząc do osady. Z wyglądu ciała tego człowieka nietrudno było wywnioskować, że wbicie na pal przyjął z wielką ulgą.

Nieznajomy powracał mniej więcej co drugą noc, a odchodząc, za każdym razem zabierał ze sobą kilkoro ludzi i najróżniejsze towary. Mieszkańcy osady wyznali Gwiezdnemu Wichrowi, że bardzo modlili się o nadejście pomocy, a przybycie biegłego odebrali jako odpowiedź na swe modły. Vanyel odniósł wrażenie, że Gwiezdny Wicher wcale nie zaprzecza takiemu ich rozumowaniu.

Chłopiec był wdzięczny, że światło pochodni nie było dość jasne, aby wydobywać z ciemności zbyt wiele szczegółów krzywd wyrządzonych niektórym spośród ofiar czarownika. Bardzo był rad, że może skryć się w cieniu przedsionka, za plecami Savil.

— ... a oto ostatnia jego zdobycz, Mistrzu Gwiezdny Wicherze — odezwał się smagły wódz wioski. Wyglądał on na człowieka strasznie udręczonego, a jego nabiegłe krwią oczy wskazywały, że w ostatnich dniach widział nazbyt wiele scen mrozących krew w żyłach. — Ta dziewczuszka.

Pchnął przed siebie, prosto na podwyższenie przedsionka, młodą jasnowłosą kobietę. Vanyel nie mógł powstrzymać się od spojrzenia na nią. Gdyby z jej pozabawionych wyrazu oczu nie zionęła taka pustka, gdyby z jej ust nie ciekła ślina, mogłaby wciąż uchodzić za ładną dziewczynę. Była brudna, a wokół jej twarzy zwisały strąki potarganych włosów. Gwiezdny Wicher wzdrygnął się na ten widok, ale Tańczący Księżyc ujął głowę dziewczyny w obie dłonie i zatopił wzrok w jej pustych, brązowych oczach.

Gdy po dłuższej chwili uwolnił ją od swych rąk, jego twarz zachmurzyła się, a głos zabrzmiał wielkim gniewem.

— Wydaje mi się, że tylko Jasny Wiatr będzie mógł przywrócić jej rozum — rzekł powoli, a jego słowa zabrzmiały, jak gdyby powstrzymywał się od powiedzenia czegoś, co wolałby zatrzymać dla siebie. — To zajmie wiele miesięcy... i dziewczyna już nigdy nie będzie mogła znieść dotyku mężczyzny. Zbyt okrutnie ją skrzywdzono. Zabito w niej umiejętność odczuwania przyjemności, a zastąpiło ją uczuciem bólu. Nie jestem pewny, czy potrafię to odmienić. Obawiam się, że nic nie jest w stanie uleczyć jej serca i duszy po tym co przeszła — na pewno nie do końca. Może nawet lepiej nie próbować tego robić. Może lepiej będzie wy-

mazać wszystko z jej pamięci i nauczyć ją wszystkiego od nowa, tak jak uczy się małe dziecko.

Wódz pokiwał głową, jak gdyby właśnie takich słów oczekiwał.

— Była jedną z pierwszych, które porwał — rzekł posępnie. — Ona i jej matka. Jej ojciec był posłańcem, który miał sprowadzić pomoc. O jej matce nie mieliśmy żadnych wieści.

— Czy on, Krebain, staje się coraz silniejszy po porwaniu każdej nowej ofiary?

Płomienie pochodni zakotływały się na wietrze, rzucając złowieszcze cienie na zapadnięte policzki mężczyzny, gdy ten skinął potakująco.

— Na to wygląda. Coś mi się zdaje, że on posługuje się magią krwi. Jak myślisz, Mistrzu Gwiazdny Wicherze?

Gwiazdny Wicher pokiwał głową i zwięził oczy, pograżając się w zadumie.

— Tak, Gallenie. Dobrze się znasz na waszych tradycjach. I mnie się tak wydaje. A teraz Krebain wycofał się do swej kryjówki, która musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Myślę, że postąpimy zgodnie z moimi pierwotnymi zamierzeniami, Gallenie, zostawię u ciebie Vanyela. On posiada niejaką wiedzę o sztuce wojennej, a ponadto jest obdarzony silnym darem magii.

Vanyela przeszył dreszcz na myśl o pozostaniu w wiosce. Wódz obrzucił go pełnym powątpiewania spojrzeniem i wyraził sprzeciw, czego Vanyel wcale nie miał mu za złe.

— Mistrzu Gwiazdny Wicherze... błagam... to młody chłopiec...

— On zgładził królową zimnokrwistych bestii, samodzielnie, bez żadnej pomocy — powiedział cicho Tańczący Księżyc i pchnąwszy chłopca przed siebie, położył mu rękę na ramieniu. — Moim zdaniem on potrafi sobie poradzić z niebezpieczeństwem większym, niż wy możecie sobie wyobrazić.

— Naprawdę zabił królową? — Tym razem w oczach wodza Gallena Vanyel dostrzegł nieco mniej wątpliwości, ale mężczyzna nadal nie wydawał się przekonany.

— Gallenie, nie oczekuję od niego, aby obronił was przed Krebainem — zaczęła cierpliwie Gwiazdny Wicher. — Vanyel nie dorównuje swymi umiejętnościami biegłym, a ja nie oczekuję od niego, aby było inaczej. Ufam jednak, że będzie w stanie dać radę tym zdracliwym potworom, jakie zsyła czarownik. Chcę, aby nasza trójka odnalazła Krebaina i zajęła się nim samym. Ale gdy uda nam się go zniszczyć, jego bestiom pozbawionym kontroli swego pana może przyjść do głowy, aby was zaatakować. Nie widzę powodu, dla którego przy pomocy Vanyela nie mielibyście zdołać obronić się przed takim zagrożeniem. Czy taka odpowiedź cię zadowala?

Nie zadowalała i było to aż nazbyt widoczne. Wódz Gallen wiedział jednak, że innej odpowiedzi nie otrzyma. Vanyel zaś próbował wczuwać się w rolę przywódcy, ale jego wysiłki nie przynosiły żadnych rezultatów.

— Van, zorientuj się, w jaki sposób możesz zorganizować tych ludzi — powiedziała cicho Savil. — Znasz dobrze mnóstwo starych ballad, a w nich można znaleźć dużo dobrych rad dotyczących tej materii. Dlatego właśnie wy, adepci, się ich uczycie. Jeśli rzeczywiście pojawi się jakieś niebezpieczeństwo, z którym nie będziesz mógł sobie dać rady, to chcę, abyś posługiwał się tylko sprawdzonymi metodami. Wówczas wezwij na pomoc Yfandes i graj na zwłokę. Stwory, które opisywali mieszkańcy wioski, są wprawdzie silne, ale niezbyt bystre. Barykady na drodze i ogień powinien utrzymać je z dala. To ty zabiłeś królową zimnokrwistych bestii, nie zapominaj o tym. Z wyjątkiem armii i samego Krebaina, możesz z powodzeniem stawić czoło wszystkiemu.

Vanyel poczuł ściśnięcie w gardle, ale dołożył wszelkich starań, aby sprawić wrażenie nieustraszonego i panującego nad sytuacją. Do tego się to wszystko sprwadza, prawda? To właśnie moje zadanie. I muszę to robić, bo — jak powiedział Lendel — ci ludzie mnie potrzebują.

— Dobrze, ciociu — odparł z rozwąga. — Barykady i ogień.

Savil zdawała się zatroskana.

— Daj z siebie wszystko, chłopcze. Pamiętasz ten ton mojego głosu, kiedy przerwałam twoją bijatykę z Tylendelem? Takiego głosu wszyscy słuchają. Taki głos przeszywa ich na wskroś. Spróbuj go naśladować. — Z podwyższenia przedsiönka Savil dosiadła Kellan. Gwiazdny Wicher zaś zajął miejsce w siodle na Yfandes, a Tańczący Księżyc dopiero po chwili wahania usiadł na poduszce za nim.

— Vanyelu, *ke'chara*, pamiętaj, co ci mówiłem o ogniskach energii. Skorzystaj z nich. Są... — przerwał, a jego oczy na moment przysłoniła mgła. — Są w pobliżu trzy, z których będziesz mógł zaczerpnąć energię. Żałuję, że nie potrafisz osiągnąć ogniska doliny, jak my. Ono chyba na razie znajduje się poza zasięgiem twoich zmysłów. Wprawdzie żadne z pobliskich ognisk nie dorównuje siłą temu w dolinie, ale wydaje mi się, że jeśli połączysz energię ich wszystkich, osiągniesz wystarczającą moc. — Ujął twarz Vanyela w dłonie i złożył pocałunek na jego czole. — Niechaj bogowie będą z tobą, chłopcze. Przy odrobinie szczęścia będzie to dla ciebie zaledwie interesujące ćwiczenie.

Potem wspiął się na grzbiet Yfandes i usiadł za Gwiazdnym Wichrem, a tłum wieśniaków rozstał się przed nimi. Gdy oddalali się powoli, zatapiając się w ciemności, Vanyel z ciężkim sercem odprowadzał ich wzrokiem.

Gdyby nie strach, Vanyel prawdopodobnie nieraz straciłby panowanie nad sobą. Nieustannie i w kółko tłumaczył wieśniakom, co mają robić i dlaczego, a gdy zdawało mu się, że w końcu zdołał uporać się z jedną grupą, odwracał się do drugiej, aby po chwili przekonać się, że ta pierwsza porzuciła pracę i stojąc nieruchomo, patrzy w ciemność wzrokiem pełnym niepokoju.

Ale wieśniacy nie zachowywali się tak dlatego, że byli głupi. To kompletny brak nadziei czynił ich zupełnie bezradnymi. Oni nie dostrzegali żadnej szansy

na odparcie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, dlatego ciągle przerywali pracę i modlili się o to, aby zdobyć jakąkolwiek możliwość przewyciężenia zagrożenia. Wszakże dotąd ich uległa postawa wobec czarownika, aczkolwiek przyjęta w dobrej wierze, nie przyniosła im nic dobrego, tylko śmierć wielu krewnych. Vanyel z początku liczył na to, że mieszkańcy wioski staną się dla niego oparciem, tak jak on miał być nim dla nich, ale teraz cała sytuacja doprowadzała go do szaleństwa. Minęło wiele godzin, nim zdołał nakłonić wieśniaków do przystąpienia do rzetelnej pracy.

Pozostawała jeszcze sprawa obrony.

Gdy Vanyel zapytał gospodarzy o posiadaną przez nich broń, okazało się, że wszystko co mają, to stare, zardzewiałe, ledwie nadające się do użytku żelastwo, którym i tak nikt w wiosce nie potrafił się posługiwać. Ludzie, których miał przed sobą, byli prawdziwymi chłopami z krwi i kości, gospodarującymi na ziemiach lordów i lordów-magów, którzy winni byli roztaczać nad nimi opiekę. K'Trevom przekazywali żywność i najróżniejsze wyroby rzemieślnicze w zamian za ochronę i nie spodziewali się nigdy, że nadejdzie moment, kiedy będą musieli walczyć z bronią w ręku.

Tak więc Vanyel stanął przed zadaniem wyjaśnienia amatorom, jak włączyć mieczem. Skupił się na sprawach najważniejszych, demonstrując pokrótce, co powinno się dziać z bronią w czasie walki i zarządził ćwiczenie ataku w parach. Uczył ich, jak trzymać w dłoni coś tak długiego jak miecz, jak zadawać nim ciosy i jak starać się, by uderzać raczej ostrzeni niżli płaską jego częścią.

Nim minął drugi dzień owych ćwiczeń, Vanyel był już zupełnie wyczerpany, na wpół oszalały z rozpacz i ledwie żywy ze strachu, którego nie ważył się okazywać. Toteż gdy Veth, dorastający syn Gallena, po raz setny przypuścił na niego atak, Vanyel stracił panowanie nad sobą i mimo woli odpowiedział mu ciosem zadany z całym impetem. Gdy zorientował się, co robi, było już za późno.

Jego pchnięcie rzuciło chłopca na drugi koniec placu.

Veth wylądował na plecach... i leżał bez ruchu...

Serce Vanyela zamarło...

Przed oczami stanął mu obraz... Jervisa... nad nim...

O bogowie! Vanyel rzucił na ziemię miecz, potem hełm i podbiegł do Vetha. O bogowie, o... bogowie... zrobiłem dokładnie to samo, co Jervis zrobił mnie. Och, proszę, bogowie, oby tylko nie okazało się, że wyrządziłem mu krzywdę...

Rozsznurował hełm chłopca i zdał go z jego głowy. Veth zamrugał powiekami i sam zaczął dźwigać się do pozycji siedzącej. Widząc to Vanyel poczuł taką ulgę, że nieomal krzyknął.

— Veth... proszę... wybac mi, Veth, przepraszam, ja... straciłem panowanie nad sobą... nie chciałem tego zrobić... Chłopiec popatrzył na niego oszołomiony.

— Ach, Mistrzu Van, nic mi nie jest. Nasz stary muł kopnął mnie kiedyś jeszcze mocniej... tylko proszę pozwolić mi się czegoś napić, dobrze?

Vanyel opadł na ziemię i przymknął oczy oślepione słońcem. Uczucie ulgi odebrało mu siły. Veth zaś z werwą poderwał się na równe nogi.

Och, bogowie. Jestem równie paskudny jak Jervis, Jestem gorszy od Jervisa. Wiem o tym. Och, bogowie...

— Vanyelu, panie...

Uniósł oczy. Stała nad nim Reva, matka Vetha; była wyraźnie zatroskana. Vanyel odwrócił wzrok, przygotowując się do wysłuchania gorzkich wymówek, na jakie według siebie zasłużył.

Usłyszał jednak coś zupełnie innego.

— Wybaczcie mi panie, jeśli się napraszam — powiedziała Reva, lekko wykrzywiając kąciki ust. — Zdaje się, panie, że umęczyliście się do ostatka. Wiem, że nie jedliście nic od wczorajszej wieszki. Proszę...

Podążyła mu rękę. Zaskoczony chwycił ją, a Reva podniosła go z ziemi. Był całkowicie zmieszany.

— A teraz — objęła go ramieniem, z drugiej strony przygarniając Vetha — chyba już pora, abyście się posilili. Czas potrzebny na przekąszenie czegoś i tak nie uczyniłby Vetha lepszym wojownikiem, a ciebie, panie, lepszym nauczycielem. — Przytuliła ich, jak gdyby obaj byli jej synami, a potem puściła.

Przypomniały mu się słowa, które rzucił w twarz Withenowi niespełna rok wcześniej, i zawstydzził się jeszcze bardziej.

„Niechaj każdy mąż stający na polu bitwy walczy podług swoich zdolności i niech nie będzie zmuszany do użycia żadnego ze stylów”.

Traktowałem ich dokładnie tak samo, jak Jervis traktował mnie. Zmuszałem ich do walki sposobami, o których nie mają pojęcia, do robienia czegoś, co zupełnie wykracza poza ich możliwości. Jestem kompletnym osłem.

Vanyel poczerwieniał i wyjąkał:

— Żaden... żaden ze mnie nauczyciel, pani Revo, inaczej powinienem był podejść do tej nauki. — A potem powiedział głośniej, aby reszta ćwiczących mogła go usłyszeć: — W ten sposób nic nie osiągniemy. To tak, jakbyście wy uczyli mnie orać pole i młócić zboże tydzień przed zawodami żniwnymi. Nie mamy przecież czasu, a ja postępuję jak głupiec. Powiedzcie mi więc, co jest waszym prawdziwym orężem? Czy ktoś z was potrafi posługiwać się łukiem? Albo procą? Albo włócznią?

Nie spodziewał się takiej reakcji. Po całym placu poniósł się szmer westchnień ulgi... a twarze rozpromieniły uśmiechy.

Jednakże w końcu okazało się, że wszystkie przygotowania i tak poszły na

mamę.

Mieszkańcy wioski chętni do podjęcia walki zgrupowali się na barykadach. Zbudowano w zasadzie zaledwie dwie blokady, ponieważ przez wieś przechodziła tylko jedna droga, prowadząca dokładnie przez ubity piaszczysty plac, który teraz wydawał się nawet dobrze osłonięty i łatwy do obrony. Nawet zimnokrwista bestia nie byłaby w stanie przecisnąć się między budynkami. Ludność, zbyt przerażona, albo niezdolna do walki, schroniła się, jak każdej zresztą nocy, na strychach i w piwnicach domów stojących wokół placu. Wódz Gallen doszedł wreszcie do wniosku, że Vanyel rzeczywiście potrafi sprostać zadaniom, jakie mu powierzono. Teraz zaś on oraz dwaj inni mieszkańcy wioski, nie zastraszeni jeszcze na tyle, aby bać się wyrażenia własnego zdania w sprawie nadchodzącej bitwy, prowadzili z Vanyelem żywiołową dyskusję na temat zaopatrzenia w czasie walki. Jedną z owych „dwóch osób” była czarodziejka-zielarka, której bardzo było nie w smak, że jakiś młody, początkujący czarownik zapanował nad „jej” wioską. Raptem wprost przed Vanyelem wyrosła gwałtowna fala energii Bramy, powalając go na kolana.

Nie stracił przytomności chyba tylko dzięki szczelnej osłonie, jaką otoczony był tym razem. Po chwili ocknął się z oszołomienia, z trudem łapiąc oddech. Był kompletnie zdezorientowany. Przed oczami migotały mu tylko jakieś błyski. Potrząsnął głową, ale i to nic nie pomogło.

Nie potrafił nawet zebrać myśli; prawie nic nie widział. Bogowie... co u...

— Co my tu mamy?

Wyraźny, śpiewny tenor zdradzał rozbawienie. Vanyel zamarł. Głos niósł się po całym placu, na którym zaległa cisza, jaka panować może tylko w dziewięciu piekłach.

Odzyskawszy ostrość widzenia, Vanyel uniósł wzrok, ale zobaczył tylko plecy stojących tyłem ludzi. Członkowie jego rady wojennej zbili się, jak gdyby chcieli go zasłonić. Vanyel poszukał oparcia w szorstkiej ścianie składziku i ostrożnie dźwignął się na nogi, a potem wyglądając zza głowy Gallena, wspiął się na palce, aby móc spojrzeć przez ramię mężczyzny stojącego przed nim. Wreszcie ujrzał wystrojonego przybysza stojącego pośrodku placu i... zmartwił.

Mógł to być tylko czarownik Kriebain.

Pochodnie wypadające z dłoni mieszkańców wioski nie były już potrzebne. Czarownik przywiódł ze sobą własne magiczne światło, unoszące się nad jego głową niczym małe zielono-żółte słońce. Ludzie zaczęli się powoli wycofywać, aż w końcu uciekli, kryjąc się w budynkach i za barykadami, pozostawiając przybysza stojącego zuchwale w samym centrum placu.

Czarownik, odziany w szkarłat i złoto, prezentował się niebywale. Miał na sobie szkarłatne obcisłe bryczesy, przylegającą do ciała haftowaną złotem tunikę

i szkarłatny płaszcz podszyty złotą materia. Nawet jego buty i aksamitne rękawiczki były czerwone. Na głowie miał szkarłatny hełm przypominający maskę, przyozdobiony ogromnym złotym smokiem. Jedną rękę oparł na biodrze, a palcem drugiej pocierał podbródek, przyglądając się ludziom zebranym wokół placu.

— Bunt... w rzeczy samej to bunt! Jakież to komiczne! — zaśmiał się paskudnie.

Był pełen wdzięku, smukły i bardzo wysoki. Spod jego hełmu spływały kaskadami platynowe, lśniąco włosy, a niewielka część twarzy nie ukryta pod maską zdawała się niczym wyrzeźbiona z marmuru. Vanyel poddał się nagle zauroczeniu czystą, charyzmatyczną pięknnością czarownika. Żaden z mieszkańców wioski nigdy o niej nie wspominał.

Sekundę później poczuł, że znów ogarniają go mdłości. Szatan, o jakim mu opowiadano, nie może być piękny!

Lecz po chwili pomyślał: Przecież naprawdę on jest nieprawdziwy, jest sztuczny. Sam się odmienił, jestem tego pewien. To tak, jakby pomalował sobie twarz, tylko że on zrobił to na większą skalę. Gdybym posiadał wielką moc i nie dbał o to, do czego mogę ją wykorzystać, przypuszczam, że sam uczyniłbym się pięknym.

— Zastanawiam się, co was podkusiło do walki przeciwko mnie? — rozmyślał głośno Kriebain. — Przedtem nie było w was ani krzty odwagi. Ale też przedtem... poza tą waszą starą wiedźmą, żadne z was nie zalatywało mi tak magią. — Uśmiechnął się chytrze. — Coś mi się zdaje, że mój nos wyczuwa pośród was obcego. No, gdzie go schowaliście?

Vanyelowi przebiegły po plecach ciarki. Wystarczy, że wskażą mnie palcem... a nawet jeśli tego nie zrobią... jeśli zawołam na pomoc Yfandes, będzie wiedział, gdzie jestem. Och, bogowie, czy nie ma sposobu, aby się gdzieś ukryć? Nie mogę go przecież wyzwać na pojedynek! Niemożliwe, aby tego ode mnie oczekiwali... nie jestem dla niego żadnym przeciwnikiem!

Jednakże, ku jego zaskoczeniu, żadna z osób znajdujących się na placu nie odpowiedziała na pytanie czarownika, a mężczyźni stojący przed Vanyelem ścisnęli się jeszcze bardziej, osłaniając go przed wzrokiem przybysza.

W głosie czarownika zabrzmiało zniecierpliwienie.

— To staje się męczące. Gdzie jest obcy, którego wyczułem?

Cisza.

Tylko stara zielarka szepnęła cicho za plecami Vanyela:

— Nie odzywaj się, chłopcze. Nie jesteś w stanie stawić mu czoło, a my dobrze o tym wiemy. Jeśli cię złapie, nie przyjdzie nam z tego nic dobrego. Zresztą nawet gdy cię dostanie, może nas rozszarpać na strzępy. A tak, możliwe, że się znudzi i sam odejdzie.

— Powiedziałem, że chcę wiedzieć, gdzie jest ten obcy. — Trzymając teraz obie dłonie na biodrach, czarownik powiódł wzrokiem dookoła siebie. Z całej je-

go sylwetki biła wściekłość. — A więc, dobrze. Widzę, że czas na następną lekcję posłuszeństwa. — Odwrócił się z lekka, stając twarzą do grupki zasłaniającej Vanyela i uniósł prawą dłoń. — Ty, Gallenie. — Skinął nieznacznie, przywołując mężczyznę. — Chodź tutaj. . .

Gallen zrobił jeden niepewny krok, potem drugi. Siłą własnej woli próbował przeciwstawić się nakazowi czarownika, ale bezskutecznie. Na czoło wystąpił mu pot, z gardła dobył się cichy jęk.

Grupka przed Vanyelem znów się ścisnęła, dzięki czemu Vanyel pozostawał nadal w ukryciu. Twarz czarownika wykrzywił sadystyczny uśmieszek.

— Wiecie przecież, że nie macie żadnych szans przeciwko mnie — powiedział łagodnie. — Wyzywając mnie, bylibyście jak dziecko atakujące uzbrojonego wojownika. No, chodź tutaj. Dobry piesek.

Gallen przebiegł ostatnie kilka kroków i cały rozdygotany zatrzymał się u boku czarownika. Krebain obszedł go dookoła, przyglądając mu się uważnie. Magiczne światło wiernie trwało wciąż nad jego głową.

— Niech no się zastanowie. . . domyślam się, że masz żonę. — Omiótł wzrokiem pozostałych wieśniaków. — Tak, w rzeczy samej. Reva. . . a niech to. Niedošla wojownicza, tak? Podejź tutaj, moja droga.

Skinął palcem, a smągła Reva wystąpiła z grupki przy zachodniej barykadzie. Wciąż ścisnęła w dłoni zaimprovizowaną dzidę z noża przymocowanego do kija. Jej pobladła twarz zmartwiała z rozpaczy.

Krebain potrząsnął głową.

— Doprawdy, moja droga, taką bronią wiele nie zwojujesz. Gallenie, zabierz jej to.

Gallen nawet nie drgnął. Jego zlana potem twarz błyszczała w blasku magicznego światła.

— Powiedziałem, zabierz to. — Głos Krebaina zabrzmiał szorstko, rozkazująco, a Gallen wyciągnął swe splekane ręce po dzidę żony.

— A teraz. . . przyłóż czubek tego maleńkiego nożyka do jej brzucha. — Twarz Gallena skurczyła się w udręce, gdy opuszczał dzidę, aż czubek noża zatrzymał się na brzuchu żony. Potem jęknął, gdy Krebain zmusił go do uchwycenia trzonu w obie dłonie. — Oczywiście, Revo, byłoby to dla ciebie dość bolesne, gdybyś chciała teraz zrobić krok do przodu. . .

Vanyel nie mógł już dłużej tego znieść. Zebrał resztki odwagi i wrzasnął łamiącym się głosem:

— Przestań!

Odsunął na bok zasłaniających go ludzi i stanął na wolnej przestrzeni, kilka kroków przed nimi.

Korzystając z momentu, jaki potrzebował czarownik, aby odwrócić się ku niemu, zwilżył wargi i z całej siły zawołał w myśli:

— *Yfandes! Mag jest tutaj! Yfandes. . .*

— Dość już tego, dziecko!

Vanyel poczuł, że nad wioską zasuwa się bariera, przez którą nie przedrze się już żadna myśl, żadne wołanie o pomoc.

Uniósł dumnie głowę, przybierając tę samą, lodowatą, prowokującą maskę, która tak dobrze posłużyła mu w konfrontacji z ojcem.

— Puść ich, czarowniku — powiedział drżącym głosem. Czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach. Był niemal sparaliżowany strachem. — To mnie szukałeś.

Krebain uczynił nieznaczny gest dłonią, a Gallen i Reva odeszli uwolnieni od jego mocy. Gallen odrzucił na ziemię dźbę i objął ramionami żonę, potem oboje wtopili się w tłum za plecami Krebaina.

— Stań tak, abym mógł cię wyraźnie widzieć — powiedział czarownik łagodnym głosem.

Vanyel postąpił naprzód i powolnym, niepewnym krokiem zaczął zbliżać się do czarownika, by stanąć w zasięgu jego magicznego światła.

— Cóż to za miła niespodzianka. . .

Jeżeli Krebain nie udawał — a niewykluczone że właśnie to robił — był wyraźnie zaskoczony.

Vanyel pomyślał, że jeśli uda mu się podtrzymać jego dobry nastrój, ludność wioski może zyskać parę chwil bezpieczeństwa. Poczuł rosnącą w sercu nadzieję i uchwycił się jej.

— Cóż to za milutka niespodzianka. Mój niedoszły wróg to piękny młody mężczyzna. Jak ci na imię, mój śliczny?

Vanyel nie widział powodu, dla którego miałby nie udzielić odpowiedzi. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli Yfandes usłyszała jego wołanie, zyska tylko na czasie. Pokrzepił się jeszcze nadzieją i odpowiedział:

— Vanyel Ashkevron.

— Vanyel. . . nie do wiary. . . ten Vanyel Ashkevron? — Odrzuciwszy w tył głowę, czarownik zaniósł się śmiechem. — A to ci dopiero dowcip! Cóż za wspaśniały żart! Ja poluję na ciebie, a ty sam pchasz się w moje ręce, i w dodatku nie uzbrojony!

Vanyel, oszołomiony, potrząsnął głową.

Czarownik wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

— Mój drogi, piękniutki chłopiec. Masz wrogów, wiesz o tym? Wrogów, którzy nie doceniają urody, za to mają sporo pieniędzy, Wester Leszara wini cię za śmierć jego kuzyna Evana. Nie wiedziałeś tego? Przysłał mi specjalną premię, abym się tobą zajął tak samo, jak zająłem się młodym Stavenem Frelennye. Chciałem najpierw załatwić swoje sprawy tutaj, a dopiero później, gdy wszystko przycichnie, wziąć się za ciebie. Ale teraz. . . nie wiem, czy rzeczywiście cię zabiję. Nie, gdy widzę, jak jesteś piękny. Zbliź się.

Vanyel nie odczuł żadnego magicznego przymusu, co było dla niego dość zaskakujące.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu — powiedział ostrożnie — wolałbym tego nie robić.

Tym razem uśmiech Krebaina zdradzał szczere rozbawienie.

— A więc ja podejść do ciebie, piękny Vanyelu.

Wdzięcznym krokiem przemierzył ubity plac, stawiając stopy, jak gdyby stąpał po specjalnie dla niego usypanym kobiercu z płatków róż; magiczne światełko nad jego głową przesuwało się wraz z nim. Obszedł Vanyela dookoła, podobnie jak przedtem Gallena. Tym razem jednak na jego twarzy malowała się okrutna radość i zachłanność. Posuwał się jakby po spirali, której centralnym punktem był Vanyel. Zbliżał się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie stanął wprost przed chłopcem, w odległości nie większej niż kilkanaście centymetrów. Potem uniósł jedną ze swych odzianych w szkarłatne rękawiczki dłoni i — jak gdyby był z Vanyelem sam na sam — położył rękę na jego policzku. Vanyel wbił wzrok w błękitno-czarne oczy patrzące na niego przez otwory w hełmie-masce i wytrwał, nie cofając się przed świdrującym spojrzeniem. Dopiero te oczy zdradzały, że czarownik nie jest człowiekiem. Były zwężone jak u kota, a pod aksamitną rękawiczką Vanyel wyczuwał coś ostrego, jakby pazury.

— A niech to — westchnął Krebain. — Srebrzyste oczy. Rzadkie i piękne, Vanyelu Ashkevron. Jakże to wspaniałe i niesłychane, że jesteś tutaj właśnie teraz. Zastanawiam się, czy — biorąc pod uwagę upodobania Tylendela Frelenny — byłeś tylko jego przyjacielem czy może kimś więcej?

Nadal ignorując obecność pozostałych ludzi, pochylił się i złożył na ustach Vanyela namiętny, gorący pocałunek.

Vanyel zadrżał wstrząśnięty jednocześnie narastającą w nim falą wstępu i pożądania.

Połowa jego istoty pragnęła wyrwać się z objęć czarownika i skoczyć do gardła temu dziwnemu stworzeniu, które bez trudu potrafiło zmusić mężczyznę do zamordowania własnej żony, a w tej chwili zupełnie straciło zainteresowanie mieszkańcami wioski, ignorując ich obecność.

Druga jego połowa zaś pragnęła zatonać w ramionach czarownika.

Zmagał się z uczuciem pożądania, by po chwili mu ulec.

Do diaska, to tylko seks. Wiem, co to prawdziwa miłość... a to... nie ma z nią nic wspólnego.

Zamknął oczy i poczuł, że kolana się pod nim uginają.

Raptem przed oczami stanął mu sen...

— *Poddaj się, magu heroldów Vanyelu* — mówił Lareth. — *Przyjmij w siebie mój mrok.*

Czyżby ów sen nie był wróżbą, lecz ostrzeżeniem?

Usiłował zastanowić się nad tym przez chwilę, jednakże tocząc wewnętrzną walkę, nie dopuszczał do tego, aby czarownik zorientował się, co się z nim dzieje. Wtedy uświadomił sobie, że pomimo swej ogromnej mocy Krebain nie dorównuje

mu sprawnością umysłu i siłom jego darów. Nie posiadał na przykład umiejętności myśloczucia. Bariera wzniesiona wokół wioski została stworzona siłą zaklęcia, a nie umysłu. Wszystko to oznaczało, że Vanyel nie powinien mieć żadnych trudności z odczytaniem myśli Krebaina, oczywiście bez jego wiedzy.

Czarownik wreszcie oderwał swe usta od ust Vanyela, odsunął się powoli, niechętnie, a potem pogłaskał pieszczotliwie policzek chłopca i opuścił rękę.

— Och — wyszeptał z na wpół przymkniętymi oczami. Jego kocie źrenice zwężyły się do ledwie dostrzegalnych kreseczek. — Ach, piękne i rzadko spotykane, śliczny Vanyelu. Chodź ze mną. Chodź ze mną i zostań moim ukochanym. Mogę cię nauczyć więcej sztuczek, niżli potrafisz sobie wyobrazić. Zbuduję dla ciebie królestwo, dam ci władzę, rozkosz — wszystko, o czym zamarzysz. Powiedz tylko, czego pragniesz, a będziesz to miał.

Pokusa była nieprawdopodobna. Vanyel pomyślał: Mógłbym nim pokierować, wzbudzić w nim litość, współczucie. Nie musi przecież pozostać taki, jaki jest. Mógłbym go odmienić na lepsze. Nawet jeśli go nie kocham... czyż nie byłoby warto? Bo przecież go nie kocham... ale sądzę, że mogłoby mi na nim zależeć. Pragniemy się nawzajem... Czyż to nie jest wystarczający powód?

Serce waliło mu jak młotem. Muszę się dowiedzieć, kim naprawdę jest Krebain. Jeśli mógłbym w nim coś zmienić... jeśli mógłbym jakoś na niego wpłynąć...

Krebain uśmiechnął się.

— Mogę nawet — wyszeptał — urządzić zemstę na Westerze Leszara, jakiej świat jeszcze nie widział. Zemstę, która usatysfakcjonowałaby nawet kochanka Tylendela.

Umysł czarownika był cały czas dostępny dla Vanyela, który mógł w nim czytać jak z otwartej księgi.

I Vanyel zobaczył, w jaki sposób Krebain posiadał swą moc, jak i skąd się jej nauczył. I zobaczył też, do jakich celów ową moc wykorzystywał i jaką czerpał z tego wszystkiego przyjemność. Ani w nim samym, ani w jego myślach nie było nic ludzkiego.

Bogowie! Nigdy... nigdy nie oddam się czemuś takiemu! Obrzydzenie zmiołło resztki pożądania i Vanyel odwrócił głowę. Jego twarz wyraźnie zdradzała, że znów opadły go mdłości.

Krebain poczerwieniał i mimo woli zrobił krok do tyłu. Potem gniewnie zmarszczył brwi i przybrał surowy wyraz twarzy.

— Będę cię miał, Vanyelu Ashkevron... przy zdrowych zmysłach albo i nie.

To ostrzeżenie wystarczyło. Vanyel okrył się osłoną i wrzasnął do wieśniaków:

— Uciekajcie...

Ci momentalnie rozpierchli się, kryjąc się za barykadami i pozostawiając Vanyela sam na sam z czarownikiem...

... który strzelił w niego piorunem.

Ciało Vanyela rozdarł ból. Nie pomogła nawet osłona. Włosy stanęły mu dęba, po nerwach przebiegł ogień. Pod naporem ataku padł na kolana; wzmocnił osłonę, lecz natychmiast poczuł, że ta znów słabnie. . . Wtedy przypomniał sobie, co mówił Tańczący Księżyc o ogniskach siły.

Zdesperowany otworzył umysł w poszukiwaniu któregoś z nich, odnalazł je i poczuł spływającą nań energię, przynoszącą przytłaczającą moc, odpędzającą ból i podsycającą wolę walki z potworem w ludzkiej skórze.

Dźwignął się na nogi, zrobił krok do tyłu i odbił błyskawicę Krebaina wprost na jego twarz.

Nad placem buchnął ogień, a czarownik wycofał się, w ostatniej chwili zdążywszy nałożyć swe osłony. Vanyel jednak nie dał mu ani chwili na otrząśnięcie się z zaskoczenia i sam przypuścił atak, używając tym razem nie pioruna, a broni o wiele skuteczniejszej — wokół ciała czarownika począł owijać ognistą płachtę.

Ale już po kilku chwilach Krebain zdołał rozerwać całun i w odpowiedzi posłał Vanyelowi ognisty krąg, który buchnąwszy płomieniami na ziemi u stóp chłopca, począł zacieśniać się wokół niego coraz bardziej, zamykając go w potrzasku. Vanyel poczuł spaleniznę, gdy ogień lizał podeszwy jego butów. Skóra paliła go, jakby zaczęła się kurczyć.

Oblany potem z gorączki, strachu i wysiłku, Vanyel sprawił, że z ziemi poderywały się tumany piachu, który opadając zdusił ogień.

Tym razem jednak Krebain nie dał mu szansy na kolejny atak i ściągnął na Vanyela magiczną burzę, podobną do tej z koszmarnego snu. Burza spadła wprost z czarnego nieba, zamykając się dookoła chłopca chmurą przynoszącą wyjąca wichurę i potworny powiew rozdzierającej energii.

I tak samo jak we śnie jej pioruny rozerwały osłony Vanyela, szybciej, niż ten potrafił je wznieść.

Trąba powietrzna szalała wokół niego ze skowytym, ograniczając pole widzenia. Nie widział już. . . nie widział już nic, tylko ową dziką chmurę mocy rosnącą w siłę z każdą chwilą.

Ogniska energii wyczerpywały się jedno po drugim. Teraz już pozostała Vanyelowi tylko jego własna moc.

Osunął się na kolana, utrzymując swą ostatnią osłonę resztką determinacji. . .
. . . i ostatni, decydujący podmuch rozpędził burzę, powalając Vanyela na ziemię.

Chłopiec leżał ogłuszony pośród ciszy zalegającej nad placem. Był kompletnie wyczerpany. Krwawił.

Rozciągnięty na wpół na plecach, na wpół na boku, z udręką wsłuchiwał się w tę ciszę, wyjąca w jego uszach tak samo jak burza. Poza szkarłatną sylwetką czarownika na placu nie było nikogo.

Vanyel zupełnie opadł z sił, a całe jego ciało szarpał ból, odbierający mu zdolność myślenia. Zakasłał i poczuł smak krwi w ustach, a gdy próbował oddychać,

uczul w piersi i gardle ostre klucie.

Dziwnie jakoś jego uwagę przyciągały drobne szczegóły. Czul kamyk wbijający mu się w policzek, drażnił go kosmyk włosów łaskoczących go w nos, wiedział, że jego stopa wykręcona jest nie w tę stronę, w którą skierowana być powinna, i że oczy nabiegają mu krwią... i dostrzegał każdy płatek śniegu spływający w dół w blasku magicznego światła.

Na widok Krebaina zmierzającego ku niemu z przeciwległego krańca placu pociemniało mu w oczach. Nagle widział wszystko przez ciemną mgłę.

Czarownik stał nad nim.

I nagle zachciało mu się śmiać. Bogowie. Na co się zdał cały strach przed tym snem? Na nic. Lecz spojrzenie na twarz Krebaina otrzeźwiło go. A więc do tego to się sprowadza. Tak to się kończy. Ale przynajmniej... wygląda na trochę zmęczonego. Przynajmniej stoczyłem z nim walkę.

Zdało mu się, że ktoś, a może coś, wydało z siebie skomlenie. Proszę, bogowie... niechże ci ludzie ujdą z życiem, nie pozwólcie, aby wszystko poszło na marne. Sprawcie, aby inni przybyli w porę, aby ich ocalić.

— Mówiłem ci, Vanyelu Ashkevron, że będziesz mój, przy zdrowych zmysłach albo i nie — rzekł łagodnie Krebain. — Wolałbym jednakże, abyś oddał mi się w całości i z własnej woli. Widzisz? Potrafię okazać miłosierdzie. Potrafię być dobry dla tych, których kocham. Daję ci jeszcze jedną szansę, piękny Vanyelu. Poddaj się, a ulecę twoje rany i obdaruję cię wszystkim, co ci obiecałem. Pójdiesz teraz ze mną?

Nie. Nigdy. Nie za cenę mojego życia. Vanyel uniósł głowę i spojrzał w te nieludzkie, odpychające oczy. A ja przecież zapłacę za to swoim życiem. Ale... bogowie... nie mogę pozwolić, aby ktoś poza mną je stracił!

Otworzył się na przepływ energii i sięgnął najdalej, jak tylko zdołał, wiedziony nadzieją, że pozostało jeszcze trochę mocy w ogniskach lub też że odnajdzie jakieś nowe skupisko energii, jeszcze nie wyczerpane...

... tymczasem poczul ognisko doliny.

Bogowie... to niemożliwe!

Na moment opanowała go myśl, że to ocalenie, nie tylko dla mieszkańców wioski, ale i dla niego samego. Lecz gdy przeanalizował swe możliwości, zorientował się, że użycie żywej energii o takiej mocy najpewniej przyniesie mu śmierć. Nie miał już przecież sił, aby nad nią panować, a rezultat byłby podobny do tego, co wydarzyło się podczas ćwiczeń z Gwiezdnym Wichrem, ale tysiąc razy gorszy.

Mógł umrzeć bezboleśnie, pozwalając czarownikowi unicestwić jego duszę i ciało; mógł też umrzeć w nieludzkich męczarniach, ratując życie Kovii.

Już raz gotów byłem umrzeć, dla Lendela, dlatego więc teraz miałbym się obawiać bólu i śmierci? — pomyślał ze ściśniętym gardłem. Na pewno muszę zapłacić za to, że nie powstrzymałem Lendela. Bogowie, niech to będzie moja pokuta. Dajcie mi choć tyle sił, abym zdołał go powstrzymać.

— Nie — wykrztusił. — Nigdy.

Twarz czarownika wykrzywiła wściekłość, a on sam zrobił krok w tył, przygotowując się do zadania ostatecznego ciosu. Vanyel zamknął oczy i sięgnął po energię...

W tej samej chwili poczuł wszechogarniający spokój. Przepęłniła go wewnętrzna błogość płynąca ze świadomości, że to, co za moment uczyni, zabije go, a w pobliżu nie ma Tańczącego Księżyca, który swą uzdrawiającą mocą potrafiłby odwrócić skutki owego kroku. Z uczuciem dziwnie podnoszącym na duchu otworzył się na przepływ energii ogniska doliny... i nakierował jej strumień...

A żywa moc przelała się przez niego, by oczami wytrysnąć wprost na czarownika.

Vanyel krzyczał w straszliwych męczarniach, ale jego wrzask ginął w przeraźliwym skowycie Krebaina, którego wielka fala mocy zastała nie osłoniętego, porażając go prosto w twarz.

A potem Vanyel pograżył się w absolutnym spokoju i ciemności. Och, Lendelu, gdziekolwiek jesteś, idę do ciebie. Proszę, proszę, czekaj na mnie...

Drogi Withenie!

Myślę, że dziś byłbyś bardzo dumny ze swego syna...

Savil usłyszała cichutki szmer dochodzący z łóżka osłoniętego zielonym baldachimem z paproci. Odłożyła na bok pióro i papier, wyplątała się z płaszcza, którym była otulona, wstała i odsunęła jedwabiste zasłony.

Vanyel, obandażowany, poparzony i posiniaczony, zdawał się bardzo blady na tle pościeli Tańczącego Księżyca. Znów poruszył głową na poduszce i otworzył zamglone oczy.

Savil przełknęła ślinę. Jakże był zmalretowany, jakże oszołomiony.

Och, mój kochaniutki, nieomalże cię utraciliśmy... tak niewiele brakowało. Przypuszczam, że poprosisz mnie, abym mógł tu zostać, w bezpiecznym schronieniu. Bogowie wiedzą, że zasłużyłeś sobie na to.

Vanyel zamrugał powiekami, jak gdyby nie dowierzał własnym oczom.

— Ciociu... Savil? — powiedział słabiutkim głosem. — Czy... to naprawdę ty?

Savil przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka i uśmiechając się łagodnie, położyła dłoń na policzku bratanka.

— A czy to wydaje ci się dość rzeczywiste?

Vanyel skinął potakująco i znów zamrugał powiekami.

— A co z tamtymi ludźmi... z wioski... co z Gallenem, Revą... czy nic im nie jest?

— Są cali i zdrowi, *ke'chara* — odparła. Pytanie Vanyela napełniło jej serce dumą i miłością. Jego pierwsza myśl dotyczy... innych. Nie ma wątpliwości;

Gwiezdny Wicher miał rację. Nie można żywić już żadnych obaw co do niego. — Przybyliśmy na miejsce w samą porę, aby powstrzymać cię od opuszczenia nas. Bogowie... jak to dobrze, że ten drań był już martwy. Nigdy w życiu nie widziałam go tak rozwścieczonego, a Yfandes wprost szalała z gniewu. Praktycznie nie mieliśmy tam już nic do roboty. Wzniosłam tylko Bramę, ponieważ musieliśmy jak najszybciej powrócić do doliny, aby Tańczący Księżyc mógł przywrócić cię do życia.

— A więc nikomu nic się nie stało? — dopytywał się Vanyel, jakby sam nie śmiał w to wierzyć. — Czy są teraz bezpieczni? A czy tobie, Gwiezdnemu Wichrowi i Tańczącemu Księżycowi nic się nie stało? Ten czarownik... to był ten sam, którego najął Leszara... sam mi o tym powiedział. Mówił, że...

— Później — uspokoiła go. — Opowiesz mi później. Nic nam nie jest. K'Treva posłali kilku Wędrowców z Tayledras, aby pomogli ludności Kovii stanąć na nogi po tym wszystkim i aby zorganizowali lepszą ochronę w tamtym rejonie. Jesteś jedynym, który odniósł jakiegokolwiek obrażenia, kochanie. — Rzucała okiem na niebo, aby ocenić porę nocy. — Przypuszczam, że lada moment nadejdzie Tańczący Księżyc, aby przeprowadzić następny zabieg uzdrawiający.

Vanyel westchnął i z jego gardła dobył się cichutki szloch. Savil spojrzała na niego; poczuła się zmieszana, widząc, że chłopiec płacze.

— Vanyelu — powiedziała, zdeorientowana widokiem łez na jego policzkach i dziwnym cieniem czającym się w jego oczach. — Van, o co chodzi?

— Ja... — wykrztusił — ja... po tym, co Lendel... nie będą mnie chcieli. Heroldowie... nie będą mnie chcieli...

— Och, Van... — Savil zacisnęła powieki, powstrzymując cisnące się jej do oczu łzy radości. — Dziecko... och, moje dziecko, przechodzisz wszelkie moje oczekiwania. Zdawało mi się, że jest to ostatnia rzecz, jaką mogę teraz usłyszeć z twych ust. — Van... *ke'chara*... Heroldowie przyjmą cię. Jakżeby mogli cię odrzucić? Wszakże już jesteś heroldem.

— Ja... jestem... jestem? — Wpatrywał się w Savil zdeorientowany, najwyraźniej nie mógł uwierzyć w jej słowa.

Ona zaś zdjęła z fotela swój biały płaszcz i okryła nim Vanyela. Chłopiec chwycił go mocno. Na jego twarzy odbiła się cała burza wzbierających i wygasających w jego sercu uczuć, od rezygnacji przez zdumienie, aż do radości tak wielkiej jak radość Savil.

— ...proszę. Oto twa Biel na dowód moich słów. Musisz się wprawdzie nauczyć jeszcze paru rzeczy i dlatego zostaniemy tu przez następnych kilka księżycy, lecz, Vanyelu, to serce czyni z człowieka herolda; troskliwe serce, które w pierwszej kolejności dba o dobro innych, a dopiero później o swoje. Dlatego jesteś już heroldem.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech, tak ciepły i szczęśliwy, że serce Savil zabiło mocniej. Potem Vanyel zamknął oczy i zapadł w sen, jedną ręką wciąż przyciska-

jąc do siebie biały płaszcz.

... o tak, Withenie, byłbyś bardzo dumny. Jak ja jestem.